

Kulisy zamachu na Jana Pawła II w superbestsellerze mistrza



TOM CLANCY



CZERWONY KRÓLIK

ἴμνη

TOM CLANCY

CZERWONY KRÓLIK

RED RABBIT

Przełożył: Jan Kraśko

Wydanie oryginalne: 2002

Wydanie polskie: 2003

Danny'emu O.

i strażakom z 52. drużyny 52. jednostki

2

Bohaterami bywają często najzwyklejsi

ze zwykłych ludzi.

Henry David Thoreau

*Najdonioślejsze w życiu człowieka jest to,
że opanował on sztukę przekonywania duszy
do dobra lub zła.*

Pitagoras

*Człowiek, który nie uznaje rządzeń niebios,
zawsze będzie człowiekiem przeciętnym.*

Prolog

Ogród

Doszedł do wniosku, że najbardziej przerażające będzie prowadzenie samochodu. Kupił

już jaguara – dżegjuaara: będzie musiał zapamiętać, że tak to się tu wymawia – ale chociaż był w salonie aż dwukrotnie, za każdym razem podchodził do samochodu ze złej strony.

Sprzedawca się z niego nie śmiał, lecz Ryan był pewien, że chciał. Dobrze chociaż, że nie wsiadł lewymi drzwiami i nie zrobił z siebie kompletnego idioty. Prawidłową stroną drogi była tu strona lewa: to też będzie musiał wbić sobie do głowy. Lewy pas międzystanówek –

nie, autostrad: w tym kraju nazywano je autostradami – był pasem wolnym. Wszystkie elektryczne wtyczki miały tu tęgiego zeza. A w domu nie było centralnego ogrzewania, mimo wysokiej ceny, jaką za niego zapłacił. Ani centralnego ogrzewania, ani klimatyzacji, chociaż klimatyzacja nie była tu pewnie konieczna. Angielski klimat nie należał do najgorętszych: miejscowi zaczynali padać na ulicach, gdy temperatura przekraczała dwadzieścia cztery stopnie Celsjusza. Ciekawe, jak by się czuli w Waszyngtonie. Najwyraźniej rymowanka o

„wściekłych psach i angolach” była już nieaktualna.

Ale cóż, mogło być gorzej. Ostatecznie miał kartę uprawniającą do zakupów w Greenham Commons, pobliskiej bazie sił powietrznych, w sklepie zaopatrywanym przez Air Force Exchange Service, służbę kwatermistrzowską znaną jako PX, tak więc nie groził im przynajmniej brak amerykańskich hot dogów i produktów podobnych do tych, które kupował w rodzinnym Marylandzie.

I wszędzie te fałszywe nuty, tyle fałszywych nut. Ot, choćby angielska telewizja. Zupeł-

nie nie przypominała amerykańskiej, to oczywiste. Nie, żeby chciał wegetować przed fosforującym ekranem – to mu raczej nie groziło – ale mała Sally potrzebowała codziennej dawki kreskówek. Poza tym, nawet jeśli czytał coś ważnego, wyciszone, dochodzące z tła odgłosy jakiegoś idiotycznego talk-show zawsze działały na niego uspokajająco. Ale dzieńniki były całkiem niezłe, natomiast gazety bardzo dobre – lepsze od tych, które czytywał w domu, chociaż już teraz wiedział, że będzie mu brakowało porannej „Far Side”. Miał nadzieję, że zastąpi ją „International Tribune”. Mógł kupować ją w kiosku na stacji. Tak, musiał

przecież śledzić przebieg rozgrywek baseballowych.

Ci od przeprowadzek – tu nazywano ich spedytorami – uwijali się jak w ukropie pod czujnym okiem Cathy. Dom jako taki nie był zły, choć dużo mniejszy od ich domu na Peregrine Cliff; na czas wyjazdu wynajęli go pułkownikowi piechoty morskiej, który nauczał

dziarskich młodzieńców i poważne dziewczęta z Akademii Marynarki Wojennej. Okna sypialni wychodziły na ogród o powierzchni – tak na oko – tysiąca metrów kwadratowych; pośrednik handlu

nieruchomościami bardzo go wychwalał. Poprzedni właściciele musieli spędzać tam masę czasu, sadząc szpalery pięknych róż, głównie czerwonych i białych, pewnie dla uczczenia dynastii Lancasterów i Yorków. Między czerwonymi i białymi zasadzili też różowe dla przypomnienia, że rodziny te połączyły się ze sobą, by stworzyć dynastię Tudosów i – po śmierci Elżbiety I, ostatniej przedstawicielki tego rodu – założyć królewską dynastię, którą Ryan nie bez powodów bardzo polubił.

Pogoda też była całkiem, całkiem. Przyjechali tu przed trzema dniami i przez ten czas ani razu nie padało. Słońce wschodziło wcześnie i zachodziło późno, natomiast zimą, tak przynajmniej słyszał, pokazywało się tylko i momentalnie znikało. Nowi przyjaciele z Departamentu Stanu mówili mu, że długie noce mają fatalny wpływ na zdrowie dzieci, że maluchy 4

źle je znoszą: maluchy takie jak ich czteroipółletnia Sally. Pięciomiesięczny Jack pewnie jeszcze takich rzeczy nie zauważał i spał jak zabity. Spał i teraz, pod opieką niani, Margaret van der Beek, młodej, rudowłosej córki pastora metodystów z Afryki Południowej; dziewczyna miała świetne referencje, które tutejsza policja dokładnie sprawdziła. Pomysł zatrudnienia niani nie przypadł Cathy do gustu. Na myśl, że jej własnym dzieckiem miałby opiekować się ktoś obcy, krzywiła się tak, jakby ktoś przeciągnął przy niej paznokciami po tablicy, lecz tu, w Anglii, był to stary, powszechnie szanowany zwyczaj, który sprawdził się doskonale w przypadku niejakiego Winstona Spencera Churchilla. Panna Margaret została też prześwietlona przez agencję sir Basila, natomiast agencja, w której pracowała, miała oficjalne poparcie rządu Jej Królewskiej Mości. Ale cóż, znaczyło to tyle co nic i Jack był tego świadom. Przed wyjazdem przeszedł odpowiednie przeszkolenie i wiedział, że „opozycja” – tego angielskiego określenia używano również w Langley – wielokrotnie penetrowała brytyjski wywiad. W

CIA panowało przekonanie, że ich spenetrować jeszcze nie zdołała, ale on miał co do tego duże wątpliwości. Ci z KGB byli cholernie dobrzy, a ludzie, wiadomo: są chciwi. Rosjanie płacili dość kłopotliwie, lecz niektórzy byli gotowi zaprzedać duszę i wolność za marne grosze.

No i nie nosili na ubraniu tablic z migającym napisem: *Jestem zdrajcą*.

Ze wszystkich szkoleń najbardziej zmęczyło go szkolenie na temat środków bezpieczeństwa. Chociaż jego ojciec był policjantem, Jack nigdy nie nauczył się myśleć tak jak on.

Żmudne selekcyjonowanie i analizowanie informacji napływających do wydziału wraz z tonami nic niewartych śmieci nie miało nic wspólnego z podejrzliwym zerkaniem na kolegów i udawaniem, że cudownie się z nimi współpracuje. Często zastanawiał się, czy którykolwiek z nich tak na niego zerka i doszedł do wniosku, że chyba jednak nie. Ostatecznie ciężko na to stanowisko zapracował, czego dowodziły stare blizny na ramieniu, nie wspominając już o koszmarnej nocy w Chesapeake Bay, o snach, w których pistolet – mimo jego rozpaczliwych wysiłków – nigdy nie chciał wypalić, o krzyku przerażonej Cathy, o alarmowych dzwonkach, które wciąż dzwoniły mu w uszach. Tamtą bitwę wygrał, wygrał ją na pewno. W takim razie dlaczego w snach zawsze było inaczej? Może potrafiłby mu to wyjaśnić jakiś psychiatra, ale, jak mawiały doświadczone żony, trzeba było mieć tęgiego

świra, żeby do niego pójść.

Sally biegła w kółko, oglądając nową sypialnię, podziwiając nowe łóżko, które składali ci od przewodzących. On schodził im z drogi. Cathy twierdziła, że nie nadaje się do nadzorowania tego rodzaju prac, mimo swojej skrzyneczki z narzędziami, bez której żaden Amerykanin nie czuje się prawdziwym mężczyzną i którą rozpakował niemal natychmiast po przyjeździe. Oczywiście ci od przewodzących mieli swoje narzędzia i – co było równie oczywiste – zostali prześwieceni przez Secret Intelligence Service, wywiad brytyjski, żeby jakiś prowadzony przez KGB agent nie podłożył im w domu pluskwy. Nic z tego, staruszkę, nie tym razem.

– Gdzie jest nasz turysta? – Czyjś głos. I ten amerykański akcent.

Ryan zajrzał do holu, żeby sprawdzić, kto to, i...

– Dan! Jak się masz?

– Wynudziłem się w biurze, więc wpadliśmy z Lizą, żeby zobaczyć, co u was. – I rzeczywiście: tuż za Danem Murrayem, doradcą prawnym ambasady amerykańskiej w Londynie, stała jego piękna żona, święta Liza, słynna męczennica, patronka żon pracowników FBI.

5

Podeszła do Cathy, żeby objąć ją jak siostrę i ucałować, po czym natychmiast wybyły do ogrodu. Cathy uwielbiała róże, co Jackowi bynajmniej nie przeszkadzało. Posiadaczem wszystkich genów ogrodniczych w rodzinie Ryanów był jego ojciec, lecz nie wiedzieć czemu, nie przekazał ich synowi.

Dan spojrzał na niego.

– Wyglądasz... koszmarnie.

– Długi lot, nudna książka – odparł Jack.

– Nie spałeś? – Murray był wyraźnie zaskoczony.

– W samolocie?

– Aż tak cię to dobija?

– Dan, płynąc okrętem, widzisz przynajmniej, że po czymś płyniesz. W samolocie nie widać nic.

Dan zachichotał.

– Lepiej do tego przywyknij, brachu. Będziesz latał tam i z powrotem, jak maszynka.

Nabijesz tyle kilometrów, że dadzą ci zniżkę.

– Pewnie tak. – To dziwne, ale przyjmując propozycję pracy w Londynie, jakoś o tym nie pomyślał. Dureń. Co za dureń. Będzie musiał latać do Stanów co najmniej raz w miesiącu –

dla kogoś, kto boi się samolotów, nie była to zbyt kusząca perspektywa.

– Jak tam przeprowadzka? Można im zaufać. Bas korzysta z ich usług od ponad dwudziestu lat, moi kumple z Yardu też na nich nie narzekają. Połowa z tych facetów to byli gliniarze. – A gliniarze – Dan nie musiał tego dodawać – są bardziej wiarygodni niż agenci czy szpiedzy.

– Aha, to znaczy, że w kiblu nie ma podsłuchu – wymruczał Jack. – Świetnie. – Nie miał

w tej branży zbyt wielkiego doświadczenia, ale wiedział już, że życie funkcjonariusza agencji wywiadowczej różni się nieco od życia wykładowcy historii w Akademii Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych. Podsłuch w kiblu pewnie był, tyle tylko, że podsłuchiwali go ludzie sir Basila.

– Wiem, stary, wiem – odrzekł Murray. – Ale są też i dobre nowiny: będziesz mnie często widywał, jeśli tylko nie masz nic przeciwko temu, rzecz jasna.

Ryan ze znużeniem kiwnął głową i zdołał się nawet uśmiechnąć.

– Przynajmniej będę miał z kim chodzić na piwo.

– To ich narodowy sport. Więcej spraw załatwiają w pubie niż w biurze. My jeździmy do podmiejskich klubów, oni chodzą do pubu.

– Piwo mają niezłe.

– Lepsze niż siuśki, które pijemy w Stanach. Ja już się przestawiłem.

– W Langley mówili, że robisz dla Emila Jacobsa.

– Owszem, coś tam dla niego robię. – Murray kiwnął głową. – Prawda jest taka, że jeste-

śmy w tym lepsi od was. Ci z operacyjnego nie otrząsnęli się jeszcze po siedemdziesiątym siódmym i nie wiem, czy prędko się otrząsną.

– Admirał też tak uważa. Bob Ritter to błyskotliwy facet, może nawet aż za bardzo błyskotliwy, ale ma w Kongresie za mało kumpli i nie może rozbudować swego imperium, jak by tego chciał.

Admirał Greer był zastępcą dyrektora CIA do spraw wywiadu, Bob Ritter szefem wydziału operacyjnego. Często dochodziło między nimi do kłótni.

– Po prostu mu nie ufają, i tyle – dodał Murray. – Scheda sprzed dziesięciu lat, po Fran-ku Churchu, przewodniczącym senackiej komisji do zbadania działalności CIA. Wiesz, jak to jest. Ci z Senatu szybko zapomnieli, kto tymi operacjami tak naprawdę kierował. Kanonizowali szefa i ukrzyżowali wojskowych, którzy próbowali – choć niemrawo – wykonywać jego rozkazy. Kurczę, to była zwyczajna... – Murray długo szukał odpowiedniego słowa. – Nie wiem, Niemcy mówią: *Schweinerei*. Nie umiem tego przetłumaczyć, ale dobrze to brzmi.

Jack rozciągnął usta w uśmiechu.

– Tak – mruknął. – Lepiej niż „obsuwa”.

Próba zabójstwa Fidela Castro, operacja CIA przeprowadzona za wiedzą i pod kierownictwem prokuratora generalnego Stanów Zjednoczonych za prezydentury Johna Kennedy’ego, przypominała operację rodem z kreskówki z Wesołym Dzieciątkiem i siostrzeńcami kaczoza Donalda: wzięli w niej udział politycy próbujący udawać Jamesa Bonda, postać stworzoną przez nieudacznego brytyjskiego agenta. Ale filmy to filmy, a życie to życie, o czym Ryan przekonał się na własnej skórze najpierw w Londynie, a potem w salonie swego własnego domu.

– Powiedz mi, Dan, jak to naprawdę z nimi jest. Dobrzy są?

– Angole? – Murray ruszył do drzwi i wyszli na trawnik. Ci od przeprowadzek byli niby czyści, ale Dan pracował w FBI. – Basil to fachman światowej klasy. Dlatego tak długo siedzi na tym stołku. Był świetnym agentem operacyjnym, jako pierwszy zaczął podejrzewać Philby’ego; pamiętaj, że był wtedy nieopierzonym żółtodziobem. Jest dobrym administratorem, to jeden z najłotniejszych umysłów, z jakimi kiedykolwiek miałem do czynienia. Tutejsi politycy, i ci z rządu, i ci z opozycji lubią go i darzą zaufaniem. Niełatwo do tego dojść. Przypomina naszego Hoovera, z tym że Hoovera bez kultu jednostki. Lubię go. Miło się z nim pracuje. Poza tym on bardzo lubi ciebie.

– Mnie? Dlaczego? Nic takiego nie zrobiłem.

– Bas to łowca talentów. Uważa, że masz w sobie to coś. Zachwycił się twoją zeszłoroczną „Pułapką na Kanarki”, tą sztuczką na przecieki, poza tym to, że uratowałeś ich przyszłego króla, też ci chyba nie zaszkodziło. Będiesz tu bardzo popularny, chłopie. Jeśli uznają, że trafiłeś na afisz nie bez powodu, czeka cię świetlana przyszłość, przynajmniej w tej branży.

– Bomba. – Ryan wciąż nie był pewny, czy tej przyszłości chce. – Pamiętasz? Byłem zwykłym bukmacherem, a teraz jestem wykładowcą historii.

– To już przeszłość. Patrz w przyszłość, Jack. W Merrill Lynch byłeś ponoć całkiem niezły, tak?

– Fakt, trochę zarobiłem – przyznał Ryan. Tak naprawdę zarobił bardzo dużo i nadal zarabiał. Ci z Wall Street paśli się jego krwią.

– No to zajmij się teraz czymś na serio. Mówię ci to z prawdziwą przykrością, ale w wywiadzie nie ma zbyt wielu bystrzaków. To moja branża, siedzę w tym i wiem. Mnóstwo pa-sożytów, kilku w miarę inteligentnych facetów i jedna, może dwie gwiazdy pierwszej wielkości. Masz wszelkie zadatki, możesz zostać kimś. Jim Greer też tak uważa. I Basil. Umiesz myśleć niekonwencjonalnie. Ja też. Dlatego nie uganiam się już za bankowymi rabusiami z Riverside w Filadelfii. Ale ja, brachu, nie zarobiłem miliona dolców na giełdzie.

– Dan, to, że ktoś ma szczęście, nie znaczy jeszcze, że jest równym facetem. Joe, ojciec Cathy, zarobił dużo więcej, niż kiedykolwiek zdołałem zarobić, mimo to jest apodyktycznym, zadufanym w sobie sukinsynem.

– Ale jego córka wyszła za rycerza Jej Królewskiej Mości, prawda?

Jack uśmiechnął się z zażenowaniem.

– No wyszła.

– To otwiera tu mnóstwo drzwi, stary. Anglicy uwielbiają tytuły. – Murray westchnął. –

No dobra. Dacie się namówić na piwo? Tu niedaleko jest miły pub, Cygańska Ćma. Ta przeprowadzka doprowadzi was do szału, zobaczysz. To gorsze niż budowa domu.

Jego biuro mieściło się w podziemiach Centrali. Pewnie tak było bezpieczniej, ale dlaczego, tego nikt mu nigdy nie wyjaśnił. Okazało się jednak, że dokładnie takie samo po-mieszczenie znajduje się w centrali Głównego Przeciwnika, z tym że tam nazywano je imieniem wysłannika bogów, Merkurego – musiał przyznać, że gdyby jego naród wierzył w jakiegoś boga, byłaby to nazwa bardzo adekwatna. Na jego biurko spływały wszystkie depesze i szyfrówki z dekryptażu. Analizował je pod kątem treści i kodów, przekazywał do odpowiednich biur, a gdy do niego wracały, odsyłał je tam, skąd przyszły. Ilość materiałów kryptograficznych wahała się w zależności od pory dnia: rano dominowały materiały przychodzące, po południu wychodzące. Najmudniejszą rzeczą było oczywiście szyfrowanie, ponieważ niemal wszyscy agencji operacyjni używali jednorazówek, jedynych w swoim rodzaju kluczy kodowych. Przechowywano je w pomieszczeniach po jego prawej stronie. Pracujący tam urzędnicy strzegli i przekazywali odpowiednim władzom wszelkiego rodzaju tajemnice, sekrety dotyczące zarówno życia seksualnego włoskich parlamentarzystów, jak i dokładnej hierarchii celów amerykańskiego ataku nuklearnego.

To dziwne, ale żaden z nich nigdy nie rozmawiał o tym, co odszyfrował, co zaszyfrował, co odebrał i

co wysłał. Robili to niemal bezmyślnie. Może właśnie dlatego ich zwerbowano?

Zupełnie by go to nie zdziwiło. Pracował w agencji stworzonej przez geniuszy i obsługiwanej przez ludzkie roboty. Gdyby ktoś potrafił zbudować roboty mechaniczne, na pewno by je tu zatrudniono, ponieważ maszyny niemal zawsze robiły to, do czego je zaprojektowano.

Ale maszyny nie potrafiły myśleć, tymczasem jeśli Centrala miała funkcjonować – a funkcjonować musiała – myślenie i zapamiętywanie bardzo się przydawało, przynajmniej w jego pracy. Centrala była tarczą i mieczem państwa, a państwo potrzebowało i tarczy, i miecza. Natomiast on był kimś w rodzaju listonosza: musiał pamiętać, gdzie co szło. Nie wiedział wszystkiego, wiedział jednak dużo więcej niż ludzie pracujący na innych piętrach gmachu. Znał nazwy poszczególnych operacji, miejsca, gdzie je przeprowadzano, znał nawet 8

niektóre rozkazy operacyjne i przydział zadań. Nazwiska i twarze większości agentów były mu obce, znał za to ich cele oraz kryptonimy zwerbowanych przez nich konfidentów. W

większości przypadków wiedział również, jakiego rodzaju informacje ludzie ci przekazywali.

Pracował w Centrali już dziesiąty rok. Zaczął w 1973, zaraz po ukończeniu wydziału matematyki na państwowym uniwersytecie w Moskwie. Miał ścisły, wysoce zdyscyplinowany umysł i łowcy talentów z KGB szybko go wytropili. Świetnie grał w szachy i, jak przypuszczał, to właśnie dzięki szachom wyrobił sobie doskonałą pamięć. Natomiast dzięki wiedzy, którą zyskał, analizując rozgrywki starych arcymistrzów, niemal zawsze potrafił przewidzieć następny ruch przeciwnika. Był taki czas, gdy zamierzał nawet poświęcić się szachom zawodowo, lecz chociaż zawzięcie trenował, jego wysiłki spełzły na niczym. Borys Spaski, naonczas młody szachista, rozgromił go sześć do zera – dwa rozpaczliwe remisy niczego mu nie dały – raz na zawsze grzebiąc jego nadzieje na sławę, fortunę i... podróże. Zajcew ciężko westchnął. Podróże. Przeczytał mnóstwo książek geograficznych i zamknąwszy oczy, często widział przeróżne obrazy, głównie czarno-białe: Canale Grande w Wenecji, londyńską Regent Street, cudowną Copacabanę w Rio de Janeiro, szczyt Mount Everestu zdobyty przez Hillary'ego, gdy on, kapitan Zajcew, uczył się dopiero chodzić, wszystkie te miejsca, których nie dane mu będzie zobaczyć. Nigdy. Nie, on na pewno ich nie zobaczy. Nie zobaczy ich przecież ktoś z jego uprawnieniami, ktoś, kto miał dostęp do najpilniej strzeżonych tajemnic państwowych. Nie, Komitet Bezpieczeństwa Państwowego bardzo na takich ludzi uważał. Nikomu nie ufał, o czym wielu przekonało się na własnej skórze. Tylu próbowało z tego kraju uciec – dlaczego? Tylu próbowało uciec, jednocześnie tyle milionów oddało za ten kraj życie. Za Związek Radziecki, za *rodinu*... Od wojska uchroniły go początkowo matematyka i szachy, a potem to, że zwerbowano go do KGB, że zaczął pracować w gmachu na placu Dzierżyńskiego numer 2. Wraz z pracą przyszło ładne mieszkanie, całe siedemdziesiąt pięć metrów w nowo zbudowanym bloku. I stopień wojskowy: Zajcew był już kapitanem-majorem, a za kilka tygodni czekał go awans na pełnego majora, co w sumie nie było takie złe. Ba!, niedawno zaczęto wypłacać mu pensję w kupończykach, mógł więc robić zakupy w sklepach za złotymi frankami, w których sprzedawano zachodnie towary i w których – to najważniejsze – nie było tak długich kolejek. Żona bardzo się z tego cieszyła. Wkrótce, niczym młody carewicz, miał stanąć na pierwszym szczeblu nomenklatury i zadzierając głowę, zastanawiać się, jak wysoko może zajść. Lecz w przeciwieństwie do

prawdziwych carewiczów, znalazł się tam nie dzięki błękitnej krwi i pochodzeniu, tylko dzięki swoim zasługom.

Fakt ten bardzo wzmacniał jego poczucie męskości.

Tak, całkowicie na to zasłużył, to ważne. Dlatego powierzano mu tak liczne tajemnice, ot, choćby tę: agent o kryptonimie Kassjusz, Amerykanin z Waszyngtonu – wyglądało na to, że ma dostęp do ważnych informacji politycznych, wielce cenionych przez ludzi z czwartego piętra Centrali, do informacji, które często przekazywano do Instytutu Amerykańsko-Kanadyjskiego. A instytut je analizował. Kanada interesowała KGB tylko pod względem jej uczestnictwa w amerykańskim systemie obronnym i tylko dlatego, że niektórzy z tamtejszych polityków, zwłaszcza ci starsi, nie przepadali za swoim południowym sąsiadem – tak przynajmniej donosił ich rezydent z Ottawy. Ciekawe, myślał Zajcew. Polacy też nie kochali swych wschodnich sąsiadów, ale oni – jak z nieukrywaną przyjemnością doniósł przed miesiącem warszawski rezydent KGB – robili to, co im kazano, o czym – ku swej niewątpliwej niewygodzie – przekonał się ten związkowy rozrabiaka. Towarzysz pułkownik Igor Aleksie-jewicz Tomaszewski nazywał ich „kontrewolucjonistycznymi szumowinami”. Uważano go 9

za wschodzącą gwiazdę KGB, pewnie dlatego, że służył na Zachodzie. To właśnie tam wysyłało najlepszych.

Niewiele ponad trzy kilometry dalej, po drugiej stronie miasta, Ed Foley i jego żona Mary Patricia właśnie wchodziła do mieszkania. Mary prowadziła za rączkę synka, małego Eddiego. W jego wielkich, niebieskich oczach gościła dziecięca ciekawość, ale nawet on, czteroipółletni brzdąc, wyczuwał już, że Moskwa to nie Disney World. Jego rodzice zdawali sobie sprawę, że szok kulturowy grzmotnie go w głowę niczym młot bojowy samego Thora, choć wiedzieli również, że cios ten poszerzy trochę jego horyzonty. Nie tylko jego, ich też.

– No tak... – mruknął Ed Foley, omiatając wzrokiem wnętrze. Przed nimi mieszkanie zajmował urzędnik konsularny ambasady, który spróbował przynajmniej trochę tu posprzą-

tać, bez wątpienia z pomocą jakiegoś moskwianina. Podsylał im ich sowiecki rząd: byli bardzo pracowici i wierni... obu szefom naraz. Tak... Przed długim lotem z nowojorskiego lotniska imienia Kennedy'ego na moskiewskie Szeremietiewo Ed i Mary Pat przeszli wielotygo-dniowe przeszkolenie.

– A więc to jest nasz nowy dom, hę? – rzucił Foley z wystudiowaną obojętnością w głosie.

– Witajcie w Moskwie – powiedział Mike Barnes, urzędnik służby zagranicznej, miejscowy karierowicz, który z ramienia ambasady – akurat miał dyżur – witał przybywających do Moskwy dyplomatów. – Przed wami mieszkał tu Charlie Wooster. Świetny facet. Wrócił

do Foggy Bottom. Grzeje się pewnie w letnim słończku.

– A tutaj? – spytała Mary Pat. – Jak jest tu latem?

– Tak jak w Minneapolis – odrzekł Barnes. – Niezbyt gorąco i niezbyt parno. Zimy też nie są zbyt surowe. Pochodzę z Minneapolis – dodał wyjaśniająco. – Oczywiście niemieccy żołnierze by się z tym nie zgodzili, napoleońscy też, ale z drugiej strony nikt nie twierdzi, że Moskwa to Paryż, prawda?

– Tak, opowiadano mi o tutejszym nocnym życiu. – Ed zachichotał. Akurat jemu w zupełności to odpowiadało. Nie musiał być szefem paryskiej placówki i czaić się na każdym kroku, poza tym placówka w Moskwie była najlepszą, najciekawszą fuchą, jakiej mógł się kiedykolwiek spodziewać. Ba! nie przypuszczał nawet, że ją dostanie. Myślał, że wyślą go ot, do Bułgarii czy gdzieś, ale żeby tak od razu tu, do Moskwy, do jaskini lwa? Dzięki Bogu, że Mary Pat urodziła Eddiego, kiedy go urodziła. Na ile? Ledwie na trzy tygodnie przed prze-wrotem w Iranie. Cięża przebiegała z kłopotami i lekarz nalegał, żeby wróciła na poród do Nowego Jorku. Tak, rzeczywiście, dzieci to boży dar... No i dzięki temu mały Eddie był no-wojorczykiem, a on, Ed, chciał, żeby jego syn od urodzenia kibicował Jankesom i Rangersom.

Nie licząc spraw zawodowych, najbardziej cieszył się z tego, że tu, w Moskwie, zobaczy w akcji najlepszych hokeistów świata. Chrzanić balet i koncerty symfoniczne. Ci skurwiele naprawdę umieli jeździć na łyżwach. Szkoda, że nie rozumieli baseballu. Pewnie był dla nich za trudny. Ech, *muzyki, muzyki*. Tyle tam uderzeń, że nie wiadomo, które wybrać...

– Małe jest – powiedziała Mary Pat, spoglądając na pękniętą szybę w oknie. Mieszkanie mieściło się na piątym piętrze. Przynajmniej nie będzie dochodził tu uliczny hałas. Osiedla dla obcokrajowców – ich getto – było ogrodzone i strzeżone. Rosjanie twierdzili, że to dla ich bezpieczeństwa, ale napady uliczne na obcokrajowców nie stanowiły w Moskwie wielkiego 10

problemu. Obowiązujące prawo zakazywało przeciętnemu obywatelowi posiadania obcej waluty, poza tym obywatel ów nie miałby gdzie jej wydać. Dlatego napadanie na Amerykanów czy Francuzów było bez sensu. Ewentualna pomyłka też nie wchodziła w grę: dzięki swemu ubraniu ludzie ci wyróżniali się w szarym tłumie jak pawie wśród wron.

– Dzień dobry! – Brytyjski akcent. Rumiana twarz ukazała się chwilę później. – Jesteśmy waszymi sąsiadami. Nigel i Penny Haydock. – Facet, wysoki i chudy, miał około czterdziestu pięciu lat i przedwcześnie posiwiałe rzadkie włosy. Jego żona, młodsza i ładniejsza, niż na to zasługiwał, weszła za nim z tacą kanapek i białym winem na powitanie.

– Eddie, prawda? – spytała.

Dopiero wtedy Ed zauważył, że kobieta ma na sobie obszerną sukienkę: tak na oko, była w szóstym miesiącu ciąży. A więc informacje, które przekazano im podczas szkolenia, potwierdzały się w każdym szczególe. Foley ufał CIA, ale z doświadczenia wiedział, że trzeba je sprawdzać, zawsze i wszystkie, od nazwisk sąsiadów poczynając, na niezawodności spłuczek toaletowych kończąc.

Zwłaszcza w Moskwie, pomyślał, wchodząc do ubikacji. Nigel Haydock ruszył za nim.

– Kanalizacja działa, choć jest trochę hałaśliwa – wyjaśnił. – Ale nikt nie narzeka.

Ed pociągnął za uchwyt. Rzeczywiście, spłuczka hałasowała jak wszyscy diabli.

– Sam naprawiłem – pochwalił się Nigel. – Złota rączka jestem. – I cicho dodał: – Uważaj, co tu mówisz. Wszędzie są te cholerne pluskwy. Zwłaszcza w sypialni. Ci przekłeci ruscy uwielbiają liczyć nasze orgazmy. Penny i ja staramy się ich nie zawieść. – Uśmiechnął się chytrze.

Cóż, do niektórych miast nocne życie trzeba było importować...

– Siedzisz tu już dwa lata? – Woda leciała i leciała. Foley miał ochotę podnieść pokrywę i sprawdzić, czy Haydock nie zastąpił zaworu patentem własnego pomysłu. Nie, po co. Doszedł do wniosku, że na pewno zastąpił, nie musiał tam nawet zaglądać.

– Dwudziesty dziewiąty miesiąc. Siedem do końca. Urocze miejsce. Na pewno ci mówili, że dokądkolwiek pójdziesz, zawsze będziesz miał pod ręką „przyjaciela”. Ale nie wolno ich lekceważyć. Ci z Drugiego Zarządu Głównego są nieźle wyszkoleni... – Woda przestała lecieć i Haydock ponownie zniżył głos. – Prysznic. Ciepła woda zwykle jest, ale rura potwornie klekoce, tak samo jak u nas. – Odkręcił kran, żeby to zademonstrować. Rzeczywiście, rura klekotała. Czyżby ktoś celowo ją poluzował? Pewnie tak. Na pewno obecna tu złota rączka.

– Ekstra.

– Tak, czeka cię tu sporo roboty. Oszczędzaj wodę: bierz prysznic z przyjaciółką. Tak mówią w Kalifornii?

Foley parsknął śmiechem – pierwszy raz od przyjazdu do Moskwy.

– Tak, chyba tak. – Przyjrzał się Nigelowi. Był zaskoczony, że Haydock przedstawił się tak wcześnie, ale może skrytość na odwyrtekę, czyli pełna jawność, była u Anglików czymś normalnym. W szpiegostwie obowiązywało wiele różnych zasad, a Rosjanie słynęli z tego, że ich przestrzegali. Dlatego Bob Ritter powiedział mu tak: zapomnij o regułach, a przynajmniej o części reguł. Nie wyłaż spod przykrywki i kiedy tylko będziesz miał okazję, uda-11

waj głupiego jankesa. Powiedział też, że Nigel Haydock jest jedynym facetem, któremu mogą zaufać. Był synem oficera wywiadu. Jego ojciec, zdradzony przez samego Kima Philby'ego, należał do grupy nieszczęśników, którzy polecili do Albanii, by opaść na spado-chronach prosto w ramiona komitetu powitalnego KGB. Nigel miał wtedy pięć lat i był już na tyle duży, by zapamiętać, jak to jest, gdy wróg zabija ci ojca. Musiały nim kierować motywacje równie silne jak te, które kierowały Mary Pat, a te były nie do przebicia. Po kilku drinkach Ed mógłby nawet przyznać, że pod tym względem żona jest jeszcze bardziej zawzięta od niego. Nienawidziła tych sukinsynów jak dobry Pan Bóg nienawidził grzechu.

Haydock nie był szefem placówki, był za to filarem niemal wszystkich operacji, jakie SIS, wywiad brytyjski, przeprowadzał w Moskwie. Sędzia Moore, dyrektor CIA, bardzo Anglikom ufał: po aferze z Philbym na własne oczy widział, jak miotaczami płomieni gorętszych nawet od tych, jakimi oczyścił agencję James Jezus Angleton – szef kontrwywiadu CIA za kadencji Williama Colby’ego – sterylizują wszystkie kąty, likwidując wszystkie potencjalne przecieki. Foley z kolei ufał sędziemu, prezydent też. Właśnie to było w tym fachu najbardziej zwariowane: nie mogłeś nikomu ufać, jednak ufać komuś musiałeś.

Cóż, pomyślał, sprawdzając, czy woda jest gorąca. Nikt nigdy nie twierdził, że w naszej branży obowiązuje jakaś logika. Klasyczna metafizyka. Po prostu metafizyka.

– Kiedy przyjadą meble?

– Kontener powinien być teraz na dworcu kolejowym w Leningradzie. Myślisz, że będą w nim grzebać?

Haydock wzruszył ramionami.

– Wszystko sprawdź – ostrzegł groźnie i nagie złagodniał. – Nigdy nie wiadomo, jak bardzo będą dokładni. KGB to wielka machina, biurokracja do potęgi. Słyszysz jakieś słowo, ale jego prawdziwe znaczenie poznajesz dopiero wtedy, gdy za słowem idzie czyn. Ot, choćby pluskwy w waszym mieszkaniu: ile z nich tak naprawdę działa? Tu nie ma ani brytyjskiego Telecomu, ani AT&T. To przekleństwo tego kraju i woda na nasz młyn, ale woda też może być zatruta. Nigdy nie ma całkowitej pewności. Kiedy ktoś cię śledzi, nigdy nie wiesz, czy facet jest doświadczonym fachmanem, czy zasmarkanym kretynem, który nie potrafi trafić do kibla. Wszyscy wyglądają tak samo i tak samo się ubierają. Z naszymi też jest różnie, ale ich biurokracja jest tak koszmarnie rozbuchana, że niekompetentny kretyn ma tu dużo większe szanse na przetrwanie. To oczywiste: rozdęta biurokracja ich chroni. Chroni albo i nie. W Century House też mamy paru kretynów.

Foley kiwnął głową.

– W Langley nazywamy to wydziałem do spraw wywiadu.

– Tak? A my Pałacem Westminsterskim – odrzekł Haydock z charakterystyczną dla niego stroniczością. – Pysznic działa. Chyba dość już tego sprawdzania.

Foley zakręcił kran i wrócili do salonu, gdzie Penny i Mary Pat zawierały bliższą znajomość.

– Mamy przynajmniej gorącą wodę, kochanie.

– To miło. – Mary Pat spojrzała na swego gościa. – Gdzie robicie zakupy?

– Mogę cię tam zabrać – odrzekła z uśmiechem Penny. – Niektóre rzeczy można sprowadzić z Helsinek. Są świetnej jakości: angielskie, francuskie, niemieckie, nawet amerykań-

skie. Wiesz, soki owocowe, konserwy i tak dalej. Produkty łatwo psujące się pochodzą zwykle z Finlandii, ale są bardzo dobre, zwłaszcza jagnięcina. Mają świetną jagnięcinę, prawda, Nigel?

– Fakt – zgodził się z nią mąż. – Nie ustępuje nowozelandzkiej.

– Ich steki pozostawiają trochę do życzenia – wtrącił Mike Barnes. – Ale my mamy swoje. Co tydzień ściągamy je z Omaha. Całe tony; rozprowadzamy je wśród przyjaciół.

– To prawda – potwierdził Nigel. – Karmicie krowy kukurydzą, dlatego mają znakomite mięso. Boję się, że wszyscy wpadliśmy w nałóg.

– Niech Bóg ma w opiece Amerykańskie Siły Powietrzne – ciągnął Barnes. – Zaopatrują w wołowinę wszystkie NATOwskie bazy, a my jesteśmy na ich liście. Mięso przyjeżdża zamrożone, nie tak dobre jak prosto ze sklepu, ale i tak przypomina nam dom. Mam nadzieję, że przywieźliście grilla. Ustawiamy je na dachu i pichcimy. Węgiel drzewny też sprowadzamy. Te Iwany ani w ząb tego nie rozumieją. – Mieszkanie nie miało balkonu, może dlatego, żeby ochronić ich przed smrodem dieslowskich spalin, które spowijały miasto.

– A jak jest z dojazdem do pracy? – spytał Foley.

– Najlepiej jeździć metrem – odrzekł Barnes. – Jest naprawdę świetne.

– Czyżbyś chciał zostawić mi samochód? – spytała Mary Pat z pełnym nadziei uśmiechem. Taki mieli plan, tego oczekiwała, ale wszystko to, co spodziewane i oczekiwane, było w ich branży jedną wielką niespodzianką. Tak samo jak z prezentami pod choinkę: zawsze miało się nadzieję, że Święty Mikołaj dostał list, ale nigdy nie było się tego całkowicie pewnym.

– Miasto jak miasto – powiedział Barnes. – Da się jeździć, tylko trzeba przywyknąć.

Przynajmniej macie państwo ładny samochód. – Poprzedni lokator zostawił im w spadku białego mercedesa 280. Wóz był rzeczywiście ładny. Nawet trochę za ładny, jak na czteroletni pojazd. W Moskwie było niewiele samochodów. Dyplomatyczne tablice rejestracyjne rzucały się w oczy i tutejsi milicjanci, ci z drogówki, natychmiast je zauważali. Niechybnie zauważali je również zmotoryzowani agenci KGB, którzy nieustannie te wozy śledzili. I znowu: Anglia na odwyrtek. Mary Pat będzie musiała nauczyć się jeździć jak mieszkanka India-napolis na pierwszej wycieczce do Nowego Jorku.

– Ulice są ładne i szerokie – kontynuował Barnes. – A stacja benzynowa jest ledwie trzy przecznice stąd, w tamtą stronę. – Machnął ręką. – Wielka, olbrzymia. Rosjanie takie lubią.

– Bosko. – Mary Pat grała pod publiczność i już wchodziła w rolę pięknej, słodkiej idiotki.

Na całym świecie uważano, że ładne kobiety są zwykle głupie, szczególnie blondynki. Ostatecznie

kobietę głupią odgrywało się dużo łatwiej niż mądrą; wystarczyło popatrzeć na hollywoodzkie gwiazdy.

– Mają tu warsztaty samochodowe? – spytał Ed.

– To mercedes, mercedesy się nie psują – zapewnił ich Barnes. – W ambasadzie niemieckiej jest facet, który naprawi każdą usterkę. Z NATO-wskimi sojusznikami łączą nas bardzo serdeczne stosunki. Lubicie piłkę nożną?

– To dobre dla dziewczynek – odrzekł Foley.

– Grubianin – mruknął Nigel Haydock.

13

– Amerykański futbol: to jest to – odparował Foley.

– Beznadziejnie głupia, barbarzyńska gra, pełna przemocy i przerw na naradę – pogardliwie prychnął Anglik.

Ed posłał mu szeroki uśmiech.

– Zjedzmy coś.

Usiedli. Tymczasowe meble były całkiem niezłe, podobne do tych, jakie widywało się w bezimiennych motelach w Alabamie. Na łóżku dawało się spać, a trujący psikacz uśmiercił pewnie większość tego, co łąziło i pełzało po podłodze. Taką przynajmniej mieli nadzieję.

Kanapki były niezłe. Mary Pat wstała, wzięła szklanki, odkręciła kran i...

– Na pani miejscu bym tego nie robił – ostrzegł ją Haydock. – Niektórzy od tej wody chorują.

– Tak? Przejdźmy na „ty”, Nigel. Mam na imię Mary Pat.

Dopiero teraz zostali sobie oficjalnie przedstawieni.

– Tak. Pijemy tu butelkowaną. Kranówka jest dobra do kąpieli. Można ją też przegotować do mrożonej herbaty czy kawy. Tu jest jeszcze gorzej niż w Leningradzie. Podobno moskwianie są na nią odporni, ale my, zagraniczniacy, możemy mieć poważne kłopoty żołądkowo-jelitowe.

– A szkoły? – Mary Pat bardzo martwiła się o szkołę dla małego Eddiego.

– Amerykańsko-Brytyjska jest bardzo dobra – odrzekła Penny. – Sama pracuję tam na ćwierć etatu.

Mają znakomity program nauczania, zwłaszcza dla młodzieży z ogólniaka.

– Nasz Eddie zaczyna już czytać, prawda, kochanie? – spytał dumny ojciec, Ed Foley.

– Czyta tylko *Królika Piotrusia* i kilka bajek, ale jak na czterolatka to całkiem nieźle – potwierdziła z zadowoleniem matka, Mary Pat Foley.

Tymczasem mały Eddie odkrył tacę z kanapkami i właśnie coś żuł. Co prawda nie była to jego ukochana kiełbasa, gotowana i lekko podsuszana, ale głodne dziecko nie jest wybredne. Ukryte w bezpiecznym miejscu czekały na niego cztery duże słójki masła orzechowego Skippy Super Chunk. Rodzice uznali, że dżem winogronowy dostaną wszędzie –

dżem tak, masło orzechowe najpewniej nie. Wszyscy mówili, że tutejszy chleb jest niezły, choć daleko mu było do Czarodziejskiego Chleba, na którym wychowywały się amerykań-

skie dzieci. Dlatego w kontenerze z meblami i rzeczami, które jechały teraz pociągiem z Leningradu do Moskwy, podróżowała również mechaniczna dzieża. Mary Pat, świetna kucharka, była prawdziwą artystką od wypieków i postanowiła, że to właśnie chleb będzie jej biletem wstępu do śmietanki towarzyskiej ambasady.

W tej samej chwili, niedaleko od miejsca, w którym siedzieli, doręczano komuś list. Kurier, pułkownik wywiadu, przyjechał z Warszawy – wysłał go polski rząd, a właściwie jedna z jego agencji wysłała go do odpowiedniej agencji rządu radzieckiego. Pułkownik wolałby tej misji uniknąć. Był komunistą – musiał być komunistą, w przeciwnym razie nie powierzono by mu tak odpowiedzialnego zadania – lecz był też Polakiem, a treść listu dotyczyła Polski.

W tym cały sęk.

14

List był kserokopią oryginału, posłania, które specjalny kurier przywiózł do Warszawy – do jednego z najważniejszych warszawskich urzędów – ledwie przed trzema dniami.

Jego adresat znał pułkownika osobiście. Pamiętał go i lubił. Rosjanie wykorzystywali swoich zachodnich sąsiadów do wielu zadań. Polacy mieli wyjątkowy talent wywiadowczy z tego samego powodu co Izraelczycy: byli otoczeni przez nieprzyjaciół. Od zachodu grani-czyli z Niemcami, od wschodu z Sowietami. Nieszczęśliwe położenie geograficzne zaowocowało tym, że wielu najlepszych i najbardziej inteligentnych Polaków prędzej czy później trafiało do wywiadu.

Odbiorca listu doskonale o tym wiedział. Co więcej, znał już na pamięć treść całego po-słania.

Otrzymał je poprzedniego dnia. Ale ta krótka zwłoka zupełnie go nie zaskoczyła. Polski rząd po prostu się zastanawiał, rozważał znaczenie listu. Jego odbiorca nie miał im tego za złe. Rząd każdego państwa poświęciłby na to co najmniej dzień. Takie postępowanie, tego rodzaju przeczekiwanie i odkładanie na później, leżało w naturze wszystkich ludzi u władzy, choć przecież ludzie ci musieli wiedzieć, że gra na zwłokę jest tylko stratą czasu i energii. Ale ludzkiej natury nie potrafił zmienić nawet marksizm i leninizm. Smutne to, lecz prawdziwe. Nowy Radziecki Człowiek, tak samo jak Nowy Polski Człowiek, był w końcu tylko człowiekiem.

Balet, który się teraz rozgrywał, był równie stylizowany jak taniec zespołu imienia Ki-rowa z Leningradu – odbiorca listu słyszał niemal muzykę. W sumie wolał amerykański jazz, ale tak czy inaczej muzyka baletowa była jedynie ozdobą, schematycznym systemem bodźców, które nakazywały tancerzom podrygiwać i podskakiwać jak ładne, dobrze wytre-sowane pieski. Baletnice były oczywiście za szczupłe jak na rosyjskie gusta, ale prawdziwe kobiety, te z krwi i kości, byłyby o wiele za ciężkie i te małe, udające mężczyzn cioty nie zdo-

łałyby ich udźwignąć.

O czym on myślał? I dlaczego? Powoli opadł na skórzany fotel i otworzył kopertę. Po-słanie spisano po polsku – on po polsku mówić nie umiał, ani mówić, ani czytać – lecz do posłania dołączono rosyjskie tłumaczenie. Oczywiście zamierzał przekazać list swoim własnym tłumaczom – tłumaczom i dwóm, trzem psychologom, którzy przeanalizują jego treść i sporządzą portret psychologiczny nadawcy, wielostronicowy dokument, który on – choć to czysta strata czasu – będzie musiał przeczytać. Potem zaś będzie musiał donieść o tym swoim politycznym zwierzchnikom – nie, swoim kolegom, swoim towarzyszom – żeby z kolei oni zmarnowali swój czas, analizując wagę wszystkich dodatkowych materiałów i wreszcie podjęli jakąś decyzję.

Przewodniczący zastanawiał się, czy pułkownik zdaje sobie sprawę, w jak wygodnej sytuacji są jego polityczni szefowie. W końcu musieli tylko przekazać list swoim politycznym szefom, czyli postąpić tak, jak postępowali wszyscy pracownicy rządowi na całym świecie, bez względu na miejsce ich urzędowania i wyznawaną przez nich filozofię: musieli po prostu pchnąć dokument drogą służbową wyżej. Wasale wszędzie są tylko wasalami.

Przewodniczący podniósł wzrok.

– Towarzyszu pułkowniku, dziękuję, że zwróciliście na to naszą uwagę. Przekażcie moje pozdrowienia i wyrazy szacunku waszemu dowódcy. Możecie odejść.

Polak stanął na baczność, zsalutował w ten dziwny polski sposób, zrobił w tył zwrot i pomaszerował do wyjścia.

Jurij Andropow odczekał, aż zamkną się drzwi i ponownie spojrzął na dołączone do listu tłumaczenie.

– A więc grozisz nam, Karolu, hę? – Zacmokał, pokręcił głową i cicho dodał: – Jesteś odważny, ale twoja ocena sytuacji wymaga poprawek, mój duchowny towarzyszu...

Zamyślony, ponownie podniósł wzrok. Na ścianach gabinetu wisiało to, co wisiało niemal we wszystkich rządowych gabinetach, i z tej samej przyczyny: żeby wypełnić czymś pustkę. Obrazy. Dwa renesansowe oleje, wypożyczone z kolekcji jakiegoś dawno już nieżyjącego cara czy szlachcica. I portret, całkiem niezły portret Lenina: blada twarz i wypukłe czoło, dobrze znane milionom ludzi na całym świecie. Obok portretu zaś kolorowe zdjęcie obecnego sekretarza generalnego Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego, towarzysza Leonida Breżniewa. Zdjęcie kłamało: zamiast twarzy zniedołężniałego, starego capa, który zasiadał u szczytu stołu prezydialnego w Biurze Politycznym, przedstawiało twarz młodego, pełnego wigoru mężczyzny. Cóż, wszyscy się starzeją, lecz gdzie indziej ludzie tacy jak on po prostu rezygnowali z urzędu i przechodzili na honorową emeryturę. Gdzie indziej, ale nie tutaj, nie w tym kraju... Przewodniczący Komitetu Bezpieczeństwa Państwowego spojrzął na list. Ten człowiek też nie zrezygnuje, pomyślał. To stanowisko też jest dożywotnie.

Ale nie chcąc zrezygnować, może zburzyć od dawna ukształtowaną równowagę. W tym właśnie tkwiło niebezpieczeństwo.

Niebezpieczeństwo?

Konsekwencje były nie do przewidzenia i już samo to mogło być groźne. Jego koledzy z Biura Politycznego, ostrożni, zalęknieni starcy, na pewno postrzegą to w ten sam sposób.

Dlatego też nie mógł ograniczyć się jedynie do zreferowania problemu. Nie, musiał przedstawić im skuteczny sposób zapobieżenia niebezpieczeństwu.

Na ścianie gabinetu powinny też wisieć portrety dwóch na wpół zapomnianych już ludzi. Feliksa Dzierżyńskiego, Żelaznego Feliksa, założyciela Czeki, Czwyczajnej *Komisji dla Borby z Kontrrewolucją, Sabotażem i Spekulacją*, poprzedniczki KGB.

No i oczywiście portret Józefa Wissarionowicza Stalina. Stalin rzucił kiedyś pytanie bardzo adekwatne do sytuacji, w jakiej znalazł się teraz Jurij Andropow. Zrobił to w roku 1944.

A teraz... Teraz pytanie było jeszcze bardziej na czasie.

Cóż, zobaczymy, zadumał się Andropow. Decyzja należała do niego. Przecież każdy może po prostu... zniknąć. To, że myśl ta przyszła mu do głowy, powinno go zaskoczyć, jednak nie zaskoczyło. Ten gmach, zbudowany przed osiemdziesięciu laty jako pałacowa siedziba Towarzystwa Ubezpieczeniowego „Rosija”, był świadkiem wielu takich zniknięć, a pracujący tu funkcjonariusze wydali tysiące, wiele tysięcy wyroków śmierci. W podziemiach przeprowadzano kiedyś egzekucje. Zaprzestano ich niedawno, ledwie przed kilkoma laty, gdy siedziba KGB rozrosła się, pochłaniając

cały gmach – ten i nowy kompleks przy moskiewskiej obwodnicy – mimo to pracujący tu ludzie wciąż szeptali o duchach, które krążąc cichymi nocami po podziemiach, straszyły uzbrojone w wiadra i miotły sprzątaczkę z roz-czochnymi jak u wiedźm włosami. Rząd tego kraju nie wierzył ani w duchy, ani w nie-

śmiertelność duszy, ale walka z przesądami prostych chłopów była znacznie trudniejsza niż walka o to, żeby inteligencja kupowała obszerne dzieła Włodzimierza Iljicza Lenina, Karola Marksa czy Fryderyka Engelsa, nie wspominając już o napuszonej prozie przypisywanej Stalinowi (tak naprawdę tworzyło ją grono wystraszonych ekspertów ze specjalnego komite-16

tu, przez co proza ta była jeszcze gorsza), na którą dzisiaj – i całe szczęście – zapotrzebowanie zgłaszali jedynie najbardziej masochistyczni studenci i akademicy.

Tak, pomyślał Jurij Władimirowicz. Propagowanie wiary w zasady marksizmu przychodziło w sumie bez trudu. Najpierw wbijano je do głowy uczniom szkół podstawowych, potem młodym pionierom, potem uczniom szkół średnich, komsomolcom, członkom Kół

Młodych Komunistów, a jeszcze potem najbystrzejsi z nich zostawali członkami partii i dostawali legitymacje, które „nosili na sercu”, w metalowych papierośnicach.

Wtedy wiedzieli już, na czym to wszystko polega. Politycznie świadomi członkowie przychodzili na zebrania partyjne, bo żeby awansować, musieli na nie przychodzić. Podobnie było w starożytnym Egipcie: mądrzy, a może raczej mądrze przebiegli dworacy klękali przed faraonem i żeby nie oślepnąć, zasłaniali sobie oczy przed jaskrawym blaskiem bijącym z jego oblicza. Podnosili do góry ręce i bili pokłony, gdyż w faraonie, w tym uosobieniu żywego Boga, widzieli źródło osobistej władzy i dobrobytu, dlatego też padając przed nim na kolana i oddając mu hołd, chętnie zaprzeczali swoim zmysłom i uczuciom. Wszystko, żeby tylko awansować. Tak samo było tu, w Związku Radzieckim. Ile to już lat? Pięć tysięcy?

Mógłby to sprawdzić w jakiejś książce. Związek Radziecki wykształcił najslawniejszych w świecie historyków epoki średniowiecza i bez wątpienia równie kompetentnych fachowców od starożytności, ponieważ mediewistyka i studia nad starożytnością należały do dziedzin mało upolitycznionych. Wydarzenia, które zaszły w pradawnym Egipcie, były zbyt odległe od współczesności, żeby mieć jakiegokolwiek znaczenie dla politycznych spekulacji Marksa czy niekończących się dywagacji Lenina. Dlatego właśnie niektórzy naukowcy się nimi zajmowali. Inni wybierali nauki ścisłe, ponieważ nauki ścisłe to nauki ścisłe: atom wodoru polityki nie uznaje.

Ale już rolnictwo tak, jak najbardziej. Rolnictwo to czysta polityka. Dlatego najlepsi i najbystrzejsi trzymali się od rolnictwa z daleka, woląc nauki polityczne. Bo tam, w naukach politycznych, wypatrywali szansy na sukces. W głoszone przez siebie prawdy wierzyli tak samo jak w to, że Ramzes II był żyjącym synem boga słońca czy czymś tam. Nie, nie, dumał

Jurij Władimirowicz. Egipcjacy dworacy widzieli jedno: to, że Ramzes ma liczne żony i jeszcze więcej dzieci, że w sumie wiedzie całkiem niezłe życie. A dzisiaj były dacje na Wzgórzach

Leninowskich i urlopy w Soczi. Czy świat w ogóle się zmienia?

Pewnie nie, pomyślał przewodniczący Komitetu Bezpieczeństwa Państwowego. Jego praca miała temu zapobiegać.

A leżący na biurku list groził zmianami. Groźba była całkiem realna, więc musiał coś z nią zrobić. Musiał zrobić coś ze stojącym za groźbą człowiekiem.

To już się zdarzało. Zdarzyć się może i teraz.

Gdyby Jurijowi Andropowowi dane było pożyć dłużej, przekonałby się, że rozważając to, co w tej chwili rozważał, zapoczątkował rozpad swego własnego kraju.

17

Rozdział 1

Piękne marzenia i groźne pomruki

– Kiedy zaczynasz? – spytała Cathy.

Wokoło panowała cisza i spokój. Leżeli w łóżku. Jack cieszył się, że jest to ich własne łóżko. Łóżko w nowojorskim hotelu też było wygodne, ale nie było ich łóżkiem, poza tym miał dość swego teścia, jego dwupoziomowego apartamentu przy Park Avenue i jego kosz-marnego zarozumiałstwa. Zgoda, Joe Muller zgromadził na koncie ponad dziewięćdziesiąt milionów – mieli nowego prezydenta i kwota ta nieustannie rosła – ale co za dużo, to niezdrowo.

– Pojutrze. Po lunchu wpadnę tam, żeby się rozejrzeć.

– Powinieneś już spać.

Od czasu do czasu dochodził do wniosku, że małżeństwo z lekarką ma pewną wadę: przed lekarką nic się nie ukryje. Czuły, delikatny dotyk mógł być dotykiem mierzącym puls, temperaturę ciała i Bóg wie co jeszcze. Diagnoza? Lekarze potrafili ukryć diagnozę z miną zawodowego pokerzysty. No, przynajmniej niektórzy.

– Tak, to był długi dzień... – W Nowym Jorku dochodziła piąta po południu, ale jego

„dzień” trwał dłużej niż dwadzieścia cztery godziny. Nie ma co, musiał nauczyć się spać w samolocie. Nie, żeby niewygodnie mu się siedziało. Dali mu służbowy bilet w klasie ekonomicznej, ale dzięki karcie American Express przeniósł się do klasy pierwszej, a już wkrótce, jako często podróżujący pasażer, nabije tyle kilometrów, że przenosić go tam będą automatycznie. Bomba, pomyślał, świetnie. Zaprzyjaźnię się ze wszystkimi celnikami na Heathrow i w Waszyngtonie. Cóż,

przynajmniej miał paszport dyplomatyczny i nie groziły mu żadne rewizje. Technicznie rzecz biorąc, pracował w ambasadzie amerykańskiej na Grosvenor Square, dokładnie naprzeciwko budynku, w którym podczas drugiej wojny światowej kwaterował sztab Eisenhowera, dlatego przysługiwał mu status dyplomatyczny, status nadczołowieka wolnego od wszelkich przyziemnych niedogodności w rodzaju przepisów obowiązujących w danym kraju prawa. Mógłby na przykład wwieźć do Anglii dwa kilo heroiny i bez pozwolenia nikt nie śmiałyby tknąć jego bagażu. A pozwolenia mógłby po prostu nie udzielić, powołując się na przywileje dyplomaty i zwyczajny brak czasu. Tajemnicą poliszynela było, że dyplomaci nie zgłaszali do odprawy perfum dla żon (dla żon lub dla kochanek) czy alkoholu dla siebie, ale Ryan, który mierzył ich zachowanie katolicką miarką, uważał, że popełniają grzech lekki, bynajmniej nie śmiertelny.

Mętnik. Płatanina myśli przemęczonego mózgu. W tym stanie psychicznym Cathy nigdy nie wzięłaby do ręki skalpela. Jasne, trzymałby ją na dyżurze przez kilkanaście godzin –

niby po to, żeby przywykła do podejmowania decyzji w stresie – ale on zastanawiał się podświadomie, ilu pacjentów poświęcono na ołtarzu tego medycznego obozu dla rekrutów.

Gdyby jakiś adwokat zdołał kiedyś wykoncypować, jak można na tym zarobić, to...

Cathy – według jej identyfikatora, dr med. Caroline Ryan, FACS (Członek Kolegium Amerykańskich Chirurgów) – przeszła już tę fazę szkolenia – jej mąż zamartwiał się wówczas o to, jak poradzi sobie za kierownicą małego, sportowego porsche po trzydziestu sze-

ściu godzinach nieustannego dyżuru na położnictwie, pediatrii czy chirurgii ogólnej, a więc na oddziałach związanych z dziedzinami medycyny, które zupełnie ją nie interesowały, ale o których musiała coś wiedzieć, żeby zostać dobrą lekarką szpitala Johns Hopkinsa. Cóż, 18

wiedziała i umiała na tyle dużo, że potrafiła zacerować mu ramię. Wtedy, tamtego popołudnia, przed pałacem Buckingham. Gdyby nie ona, wykrwawiłby się na śmierć na oczach żony i córki, co byłoby upokarzające dla wszystkich zainteresowanych, zwłaszcza dla Brytyjczyków. Przyznaliby mi szlachectwo pośmiertnie? Jack cicho zachichotał. A potem, po raz pierwszy od trzydziestu dziewięciu godzin, zamknął oczy.

– Mam nadzieję, że mu się tam spodoba – powiedział sędzia Moore na zakończenie codziennej narady ze swoimi zastępcami.

– Arthurze, nasi kuzyni wiedzą, co znaczy gościnność – zauważył James Greer. – Basil powinien być dobrym nauczycielem.

Ritter milczał. Jak na funkcjonariusza CIA, Ryan, ten cholerny amator, zrobił sobie niezłą

– ba! o wiele za dużą – reklamę. Zwłaszcza że pracował w DI, w wydziale do spraw wywiadu. Ritter uważał, że wydział ten powinien być pieskiem pokojowym ludzi z DO, wydziału operacyjnego. Jasne, James Greer był świetnym fachowcem i dobrze się z nim pracowało, sęk w tym, że był zwykłym funkcjonariuszem: funkcjonariuszem, nie agentem, których – wbrew przekonaniu tych z Kongresu – CIA najbardziej potrzebowała. Dobrze, że Moore rozumiał

choć to. Ale jeśli poszło się do Kapitolu, zaczepiło paru kongresmanów odpowiedzialnych za przydział funduszy i powiedziało: „agent”, ci natychmiast wzdrygali się i cofali jak Dra-kula przed złotym krucyfiksem, czemu towarzyszył chóralny okrzyk przerażenia. Dopiero wtedy można było zacząć mówić.

– Ciekawe, w co go wprowadzą? – zastanawiał się na głos szef wydziału operacyjnego.

– Basil potraktuje go jak mojego osobistego przedstawiciela – odrzekł po namyśle sędzia Moore. – Podziela się z nim wszystkim tym, czym dzieli się z nami.

– Przekabacą go – ostrzegł Ritter. – Wie o rzeczach, o których oni nie mają zielonego po-jęcia. Spróbują wycisnąć z niego co się da. A on nie umie się bronić.

– Bob, osobiście z nim o tym rozmawiałem – odparł Greer. Oczywiście Ritter dobrze o tym wiedział, ale – jak to Ritter – lubił sobie pogderać, jeśli coś szło nie po jego myśli. Greer zastanawiał się, co musiała przeżywać jego matka. – Nie lekceważ tego chłopaka. Jest inteligentny. Założę się o kolację ze stekiem, że wyciągnie z Anglików więcej niż oni z niego.

– Marny zakład – prychnął dyrektor wydziału operacyjnego.

– O kolację u Snydera – prowokował dyrektor wydziału do spraw wywiadu; restauracja Snydera mieściła się w Georgetown, tuż za Key Bridge, i była ich ulubioną knajpką.

Sędzia Moore, dyrektor Centralnej Agencji Wywiadowczej, obserwował tę potyczkę ze szczerym rozbawieniem. Greer umiał pociągnąć Rittera za ogon, a Ritter – nie wiedzieć czemu – nigdy nie potrafił porządnie mu się odgryźć. Może dlatego, że admirał mówił z wy-szukany-m wschodnim akcentem. Tekszańscy, a Bob Ritter (podobnie jak sam Moore) pochodził z Teksasu, uważali się za lepszych od wszystkich tych, którzy mówili przez nos; przekonanie to umacniało się zwłaszcza wtedy, gdy grali w karty lub pili bourbona. Sędzia był ponad to, choć sprzeczki między Greerem i Ritterem bardzo go bawiły.

– Dobra, o kolację u Snydera. – Szef wydziału operacyjnego wyciągnął rękę.

Nadeszła pora, żeby dyrektor Moore zapanował nad przebiegiem narady.

– Panowie, skoro już to ustaliliśmy, pozostało nam tylko jedno. Prezydent żąda ode mnie raportu o sytuacji w Polsce.

Ritter zwlekał. Ich warszawską ekspozyturą kierował dobry fachowiec, ale co z tego, jeśli miał do dyspozycji tylko trzech agentów, w tym jednego siusiumajtka. Mieli jakkolwiek świetnego informatora w polskich kręgach rządowych oraz siedmiu agentów w wojskowych kręgach dowódczych.

– Artur, oni nic nie wiedzą – odrzekł po chwili. – Codziennie tańczą wokół tej „Solidarności”. A muzyka ciągle się zmienia.

– Będzie tak jak zawsze – zgodził się z nim Greer. – Zrobią to, co każe im Moskwa. A Moskwa nie wie, co im kazać, przynajmniej na razie.

Sędzia zdjął okulary i przetrął oczy.

– Tak. Kiedy ktoś otwarcie stawia im czoło, nigdy nie wiedzą, co robić. Stalin natychmiast by wszystkich rozstrzelał, ale ci dzisiejsi nie mają tyle odwagi. I dzięki Bogu.

– Kolektywne rządy robią z każdego tchórza, a Breżniew nie potrafi już przewodzić. Z

tego, co słyszę, muszą prowadzić go do toalety jak małe dziecko. – Ritter lekko przesadził, ale świadomość, że rosyjskie przywództwo wyraźnie mięknie, bardzo go cieszyła.

– A co mówi Kardynał? – Sędzia miał na myśli najważniejszą, najcenniejszą wtyczkę CIA, człowieka z Kremla, osobistego asystenta ministra obrony narodowej Dmitrija Fiodorowicza Ustinowa. Nazywał się Michaił Siemionowicz Filitow, ale – nie licząc garstki najwyższych urzędników CIA – wszyscy znali go jedynie z kryptonimu.

– Ustinow twierdzi, że Biuro Polityczne nie wymyśli nic pożytecznego, dopóki nie wybierze przywódcy z prawdziwego zdarzenia. Leonid jest coraz powolniejszy, coraz bardziej ociężały. Wszyscy o tym wiedzą, nawet zwykli ludzie. Obrazu telewizyjnego nie podretu-szujesz.

– Jak myślicie, ile mu jeszcze zostało?

Szef wydziału operacyjnego i szef wywiadu wzruszyli ramionami.

– Nasi lekarze mówią – odrzekł Greer – że równie dobrze może zejść pojutrze, jak i za parę lat. Że ma Alzheimera, ale łagodnego. I kardiomiopatię, która się nasila, bo zaczął nałogowo pić. Jest ponoć w początkowym stadium alkoholizmu.

– Oni wszyscy mają ten problem – zauważył Ritter. – Kardynał to potwierdza, i jego alkoholizm, i kłopoty z sercem.

– Ważna jest też wątroba, a on ją chyba solidnie nadwerężył – dodał eufemistycznie Greer.

Rozmowę o alkoholizmie podsumował Moore:

– Ale zabronić Rosjanom pić, to tak, jak zabronić niedźwiedzim lać w lesie. Wiecie co?

Jeśli cokolwiek ich kiedyś zgubi, będzie to chroniczna niezdolność do spokojnego, zdyscyplinowanego przekazywania władzy.

– Cóż, Wysoki Sądzie. – Bob Ritter spojrział na niego z szelmowskim uśmiechem. – Po prostu brakuje im adwokatów. Może tak podeślemy im ze sto tysięcy naszych?

20

– Aż tak głupi to oni nie są – odparł Greer. – Lepiej spuścić na nich parę rakiet, najlepiej posejdonów. Społeczeństwo poniosłoby mniejsze straty.

– Dlaczego dyskredytujecie mój szlachetny zawód? – rzucił sędzia, patrząc w sufit. – Ich system może uratować tylko prawnik, szanowni panowie.

– Naprawdę tak myślisz? – spytał Greer.

– Racjonalnie funkcjonujące społeczeństwo nie zaistnieje bez litery prawa, a litera prawa bez zarządzających prawem adwokatów. – Moore był kiedyś przewodniczącym teksańskiego sądu apelacyjnego. – Oni tego prawa jeszcze nie mają. Jak mogą je mieć, skoro Biuro Polityczne może skazać każdego na karę śmierci bez możliwości jakiegokolwiek odwołania? Ci ludzie muszą żyć tam jak w piekle. Na niczym nie mogą polegać. Jak w Rzymie za Kaliguli: przyszła mu do głowy jakaś myśl i myśl ta natychmiast nabierała mocy aktu prawnego. Do diabła, przecież nawet tam, w Rzymie, istniały prawa, których musieli przestrzegać wszyscy cesarze. W Rzymie, ale nie w państwie naszych rosyjskich przyjaciół.

Ritter i Greer nie rozumieli – a jeśli tak, to na pewno nie do końca – że sytuacja Rosjan jest dla dyrektora czymś horrendalnym. Sędzia Moore był kiedyś najwybitniejszym adwokatem w stanie słynącym ze świetnych prawników – najpierw adwokatem, a potem sędzią w środowisku pełnym ludzi mądrych i sprawiedliwych. Istnienie zasad prawa i konieczność ich przestrzegania było dla większości Amerykanów równie oczywiste jak to, że poszczególne bazy na boisku baseballowym dzieli odległość dwudziestu siedmiu metrów. Ale dla szefa wydziału operacyjnego i dla zastępcy dyrektora do spraw wywiadu ważniejsze było to, że przed rozpoczęciem kariery prawniczej Arthur Moore znakomicie radził sobie w terenie jako agent.

– No i co mam powiedzieć prezydentowi?

– Prawdę – zaproponował Greer. – Że nic nie wiemy, bo oni nic nie wiedzą.

Szczerze i racjonalnie: nic innego nie mógł odrzec, mimo to stwierdził:

– Cholera jasna, Jim, płacą nam za to, żebyśmy wiedzieli!

Greer westchnął.

– Wszystko zależy od tego, jak bardzo poczują się zagrożeni. Polska jest dla nich tylko pionkiem, wasalem, marionetką, która podskoczy, kiedy każą jej skakać. Trzymają łapę na telewizji, wypisują co chcą w „Prawdzie”...

– Ale nie są w stanie cenzurować plotek, które docierają do nich przez granicę – przerwał mu Ritter.
– Ani opowieści żołnierzy, którzy służyli w Niemczech, w Czechosłowacji czy na Węgrzech. Ani Głosu Ameryki czy Wolnej Europy. – Głos Ameryki był pod bezpo-

średnią kontrolą CIA, podczas gdy Wolna Europa chlubiła się niemal całkowitą niezależnością, w którą nikt tak naprawdę nie wierzył. Ritter miał wielki wpływ i na jedną rozgłoszenie, i na drugą. Rosjanie rozumieli i szanowali dobrą agitkę i propagandę.

– Jak myślicie, mocno ich przycisnęło? – zastanawiał się na głos sędzia.

– Jeszcze dwa lata temu uważali, że są górą – odrzekł Greer. – My mieliśmy inflację, nasza gospodarka szła na dno. Kolejki na stacjach benzynowych, burdel w Iranie. Oni mieli na karku tylko Nikaragę. Morale podupadało, więc...

21

– Ale dzięki Bogu już nie podupada – wpadł mu w słowo Moore. – Początki całkowitego ozdrowienia? – Za mocno powiedziane, ale sędzia zawsze był optymistą, w przeciwnym razie jak mógłby piastować urząd dyrektora CIA?

– Wszystko na to wskazuje – odrzekł Ritter. – Rosjanie wolno się uczą. Nie należą do najlotniejszych myślicieli. To ich największa słabość. Ci z wierchuszki tak przesiąkli ideologią że nie widzą, co się wokół nich dzieje. Moglibyśmy zrobić im kuku, naprawdę wielkie kuku, gdybyśmy tylko dokładnie przeanalizowali ich słabe punkty i spróbowali je wykorzystać.

– Myślisz? – rzucił dyrektor do spraw wywiadu.

– Nie, ja to wiem! – odparował dyrektor do spraw operacyjnych. – Są bezbronni i, co najlepsze, nawet nie zdają sobie z tego sprawy. Pora coś zrobić. Mamy nowego prezydenta, prezydenta, który nas poprze, jeśli tylko przedstawimy mu plan wart zainwestowania politycznego kapitału. Kongres tak się go boi, że na pewno mu nie przeszkodzi.

– Robercie – powiedział Moore – czuję, że chowasz coś w zanadrzu.

Ritter lekko się zawahał.

– Tak, żebyś wiedział. Myślę o tym od jedenastu lat, od chwili, kiedy ściągnęli mnie tu z terenu. Ale niczego nie zanotowałem. Niczego. Ani słowa. – Nie musiał wyjaśniać dlaczego.

Kongres miał prawo położyć łapę na każdym świstku papieru walającym się w tym budynku – no, prawie na każdym – ale nie mógł zarekwirować czegoś, co tkwiło jedynie w umyśle człowieka. Ale być może nadszedł czas, żeby wyłożyć kawę na ławę. – Jakie jest największe marzenie Sowietów?

– Rzucić nas na kolana – odparł Moore. Odpowiedź nie wymagała intelektu noblisty.

– Brawo. A nasze?

To pytanie wziął na siebie Greer.

– Nie wolno nam myśleć tymi kategoriami. My chcemy się z nimi dogadać, szukamy modus vivendi. – Tak twierdził przynajmniej „New York Times”, a „New York Times” był

przecież głosem narodu. – No dobra, Bob. Powiedz nam wreszcie.

– Jak tym sukinsynom przyłożyć? – rzucił Ritter. – Ale przyłożyć tak, żeby to odczuli, żeby ich zabolalo, żeby...

– Padli na kolana? – dokończył za niego Moore.

– A czemuż by nie? – zripostował Ritter.

– To w ogóle możliwe? – spytał sędzia, zaintrygowany tym, że jego zastępca potrafi tak myśleć.

– Arthurze, jeśli oni mogą wycelować w nas armatę, dlaczego my nie możemy wycelować armaty w nich? – Ritter ruszył do ataku. – Finansują naszych przeciwników politycznych, próbują utrudniać nam życie. W całej Europie organizują demonstracje, wzywając do zlikwidowania naszego teatru działań nuklearnych, podczas gdy sami rozbudowują swój. A my nie możemy nawet zrobić przecieku i sprzedać prasie tego, co o tym wiemy...

– A gdyby coś od nas przeciekło, i tak by tego nie wydrukowali – zauważył Moore. Ostatecznie media też nie przepadały za bronią nuklearną, chociaż skłonne były tolerować broń radziecką, gdyż z tych czy innych powodów nie uważano jej za czynnik destabilizujący. Sę-

dzia bał się, że Ritter chce sprawdzić, czy Sowietci mają wpływ na amerykańskie środki masowego przekazu. Ale nawet gdyby taki wpływ mieli, śledztwo w tej sprawie zrodziłoby trujące owoce. Ci z mediów mieli swoją własną wizję prawości i równowagi i bronili jej, jak skąpiec broni swego skarbu. CIA nie dysponowała żadnymi konkretnymi dowodami, jednak nie ulegało wątpliwości, że

KGB ma pewien wpływ na amerykańską prasę, radio i telewizję.

Dlaczego? Choćby dlatego, że łatwo ten wpływ można było wyrzucić. Wystarczyło im trochę poschlebiać, powierzyć im kilka niby-tajemnic i zostać ich zaufanym informatorem. Ale czy Rosjanie wiedzieli, jak niebezpieczna to może być gra? Amerykańskie media hołdowały kilku nienaruszalnym zasadom i wszelkie próby ich podważenia byłyby tym, czym jest igranie z uzbrojoną bombą: każdy zły ruch pociągnąłby za sobą olbrzymie koszty. Nikt z szóstego piętra tego gmachu nie miał złudzeń co do genialności rosyjskich służb wywiadowczych.

Owszem, Sowieci mieli zdolnych pracowników i dobrze ich szkolili, ale Komitet Bezpieczeństwa Państwowego miał też swoje słabe punkty. Jego funkcjonariusze przykładali do rzeczywistości czysto polityczny szablon, ignorując informacje, które do tego szablonu nie pasowały, słowem, zachowywali się tak, jak społeczeństwo, któremu służyli. Dlatego bywało, że po wielu miesiącach, a nawet latach żmudnych planowań i przygotowań jeden z funkcjonariuszy dochodził do wniosku, że życie na Zachodzie nie jest tak złe, jak mu je przedstawiano, i całą operację trafiał szlag. Najlepszym lekarstwem na kłamstwo jest prawda. Sęk w tym, że jest to lekarstwo o piorunującej sile: uderzy cię w łeb jak młotem, a im jesteś inteligentniejszy, tym bardziej cię zaboli.

– To nieważne – odrzekł Ritter i ponownie ich zaskoczył.

– Dobrze, mów dalej – rzucił sędzia Moore.

– Musimy po prostu wymacać ich słabe punkty i zaatakować w taki sposób, żeby zde-stabilizować ich całą gospodarkę.

– To bardzo trudne – zauważył Moore.

– Ty co? Bierzesz tabletki na ambicję? – spytał coraz bardziej zaintrygowany Greer. – Na-si polityczni zwierzchnicy usłyszą to i zemdleją.

– Tak, tak, wiem. – Ritter podniósł ręce. – Nie róbmy im krzywdy, bo zrzucą na nas bombę atomową. Dajcie spokój, przecież to, że przypuszczają na nas atak nuklearny, jest jeszcze mniej prawdopodobne niż to, że my przypuścimy atak na nich. Ludzie, toż oni się nas boją, boją się nas bardziej niż my ich. Chryste, oni boją się nawet Polski! Dlaczego? Dlatego, że w Polsce szaleje zaraza, którą może rozprzestrzenić się na Rosję. Jej nazwa? Oczekiwania: rosnące oczekiwania. A rosnące oczekiwania to jedyna rzecz, której władza nie jest w stanie im zapewnić. Ich gospodarka jest jak stęchła, stojąca woda. Wystarczy tylko lekko ich po-pchnąć...

– „Wystarczy wyważyć drzwi i ta zmurszała struktura runie jak domek z kart” – zacytował sędzia Moore. – Już to słyszeliśmy, ale gdy sypnął śnieg, Adolf przeżył paskudną niespodziankę.

– Bo był idiotą i nie czytał Machiavellego – zripostował Ritter. – Najpierw się ich podbija, potem morduje. Po cholerę kogoś ostrzegać?

– Nasi dzisiejsi przeciwnicy mogliby go czegoś nauczyć – zgodził się z nim Greer. – Machiavellego oczywiście. No dobrze, Bob, ale co konkretnie proponujesz?

– Rozpoczęcie systematycznych badań nad słabymi punktami Sowietów i nad możliwo-

ściami skutecznego ich wykorzystania. Krótko mówiąc, proponuję opracować plan, którego realizacja mogłaby bardzo zaszkodzić naszym przeciwnikom.

– Do diaska, powinniśmy to robić cały czas – mruknął Moore, natychmiast kupując pomysł swego zastępcy. – James?

– Jestem za. Mogę zebrać ludzi i niech trochę pogłówkują.

– Ale nie tych co zawsze – zaproponował Ritter. – Oni nie wydumają nic nowego. Pora pomyśleć niekonwencjonalnie.

Greer zawahał się lekko i skinął głową.

– Dobra, osobiście ich wybiorę. Projekt specjalny. Jakiś kryptonim?

– Może „Infekcja”? – podsunął Ritter.

– A jeśli wszystko wypali i zorganizujemy jakąś operację, nadamy jej kryptonim „Zaraza”? – spytał ze śmiechem Greer.

Moore też zachichotał.

– Nie, już wiem – powiedział. – „Maska czerwonej śmierci”. Coś z Poego. Co wy na to?

– Tak naprawdę chodzi o to, żeby wydział operacyjny przejął kompetencje wydziału do spraw wywiadu, prawda? – myślał na głos Greer.

Przedsięwzięcie było dopiero zamysłem, ciekawym akademickim ćwiczeniem i przypominało plany szefów korporacji, którzy analizują słabe i mocne punkty konkurencyjnej spół-

ki, żeby w odpowiednim momencie – jeśli tylko pozwolą na to okoliczności – rozbić ją na części i przejąć. Nie, Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich, centrum ich zawodowego wszechświata, był tym, kim Bobby Lee był dla armii Potomacu, czym nowojorscy Jankesi byli dla bostońskich Red Soksów. Pokonanie go zaś, choć marzenie to piękne i kuszące, było jedynie marzeniem.

Ale sędzia Moore pochwalał taki sposób rozumowania. Skoro człowiek nie mógł sięgać myślą gwiazd, po cholere Bóg stworzył niebo?

W Moskwie dochodziła jedenasta w nocy. Jurij Andropow palił papierosa – amerykański marlboro – i sączył przednią starkę, brązową jak amerykański bourbon. Na wirującej tarczy adaptera leżał kolejny amerykański produkt, longplay Louisa Armstronga, który grał na trąbce wspaniałą nowoorleański jazz. Podobnie jak wielu innych Rosjan, przewodniczący Komitetu Bezpieczeństwa Państwowego uważał Murzynów za kogoś w rodzaju kanibali-stycznych małp, ale Murzyni amerykańscy wynaleźli swoją własną formę wspaniałej sztuki.

Wiedział, że powinien lubić Borodina czy innych rosyjskich kompozytorów muzyki klasycznej, jednak w żywotności i dynamice amerykańskiego jazzu było coś, co bardzo mu odpowiadało.

Ale muzyka pomagała mu jedynie w myśleniu. Jurij Władimirowicz Andropow miał

wypukłe czoło i zapadnięte policzki, co sugerowało obce rasowo pochodzenie, lecz umysł

miał typowo rosyjski, to znaczy częściowo bizantyjski, częściowo tatarski, częściowo mongolski. Wszystkie te części zaś skupiały się na jednym: na osiągnięciu wytkniętych celów.

Celów Andropow miał aż za wiele, lecz najważniejszy był jeden: przewodniczący KGB

24

chciał zostać nowym przywódcą państwa. Ktoś musiał ten kraj ocalić, a on dobrze wiedział, jak bardzo Rosja potrzebuje ocalenia. Jedną z korzyści, jakie zapewniało mu stanowisko przewodniczącego KGB, było to, że znał wszystkie sekrety i tajemnice – sekrety i tajemnice społeczeństwa, w którym roiło się od kłamstw, w którym kłamstwo było najwyższą formą sztuki. Odnosiło się to zwłaszcza do radzieckiej gospodarki. Ten rozchwiany i zwiotczały kolos był kolosem odgórnie sterowanym, co oznaczało, że każdej fabryce – i każdemu dyrektorowi fabryki – wyznaczano ściśle określony plan produkcyjny, który i fabryka, i jej dyrektor musiał zrealizować. Plany bywały realistyczne lub zupełnie nierealistyczne. Nie miało to żadnego znaczenia. Znaczenie miało jedynie to, że drakońskimi metodami wcielano je w życie. Oczywiście nie tak drakońskimi jak kiedyś. W latach trzydziestych i czterdziestych niemożność osiągnięcia celów wytkniętych w planie oznaczała dla dyrektora śmierć – tu, w podziemiach tego gmachu – ponieważ ci, którzy nie potrafili ich zrealizować, byli sabotażystami, bumelantami, wrogami ludu, zdrajcami w państwie, w którym zdrada, będąc najgorszą ze zbrodni, wymagała najwyższej kary, czyli kuli w łeb – kuli wystrzelonej ze starego smith & wesson kalibru 44, jednego z rewolwerów zakupionych przez cara od Amerykanów.

Dyrektorzy szybko odkryli, że skoro nie potrafią sprostać założeniom planu w realnej produkcji, bez trudu mogą sprostać im na papierze, przedłużając sobie życie i nadal czerpiąc korzyści z zajmowanego stanowiska. Dowody ich klęski gubiły się zwykle w straszliwie rozrośniętej

biurokracji, odziedziczonej po carach i jeszcze bardziej rozdętej za czasów marksizmu-leninizmu. KGB też było za bardzo zbiurokratyzowane i Andropow dobrze o tym wiedział. Mógłby coś powiedzieć, mógłby zagrznieć, co wcale nie oznaczało, że sytuacja uległa-by natychmiastowej poprawie. Ale tak, interwencja czasami pomagała – ostatnio coraz czę-

ściej i tylko dlatego, że prowadził regularne notatki, które wykorzystywał tydzień lub nawet kilka tygodni po tym czy innym wydarzeniu. I tak Komitet Bezpieczeństwa Państwowego powoli uczył się i zmieniał.

Jednakże fakt pozostawał faktem: symulowanie i pozorowanie było zjawiskiem po-wszechnym nawet w jego branży. Nie potrafiłby tego zmienić nawet sam Stalin, gdyby uda-

ło mu się wstać z grobu, a kogo, jak kogo, ale wskrzeszonego Stalina nikt tu już nie chciał.

Rozpleniło się do lego stopnia, że sięgało szczytów hierarchii partyjnej. Członkowie Biura byli równie zdecydowani w działaniu jak kierownictwo kołchozu Wschód Słońca. Pokonując kolejne szczeble kariery politycznej, Jurij Władimirowicz zaobserwował, że nikt w tym kraju nie wie, co znaczy wydajność pracy, że większość spraw załatwia się tu, puszczając do kogoś oko i dając mu do zrozumienia, że w sumie nie jest to aż tak ważne.

A ponieważ postępu praktycznie nigdzie nie było, na niego i na całe KGB spadł obowią-

zek naprawiania tego, co poszło nie tak. Jeżeli organy władzy nie potrafiły zdobyć dla pań-

stwa czegoś, czego państwo w danej chwili potrzebowało, Komitet Bezpieczeństwa Pań-

stwowego wykradał to od tych, którzy już to coś mieli. KGB i siostrzany GRU, Główny Zarząd Wywiadowczy Sztabu Generalnego, podkładały na Zachodzie wszelkiego rodzaju projekty, zwłaszcza projekty nowych broni. Jesteśmy w tym tak dobrzy, pomyślał ironicznie Andropow, że radzieccy piloci giną w wypadkach spowodowanych usterkami, które zabija-

ły pilotów amerykańskich wiele lat temu.

No właśnie, w tym sęk. Bez względu na efektywność działania KGB, ich największe sukcesy gwarantowały jedynie to, że pod względem technicznym radzieckie siły zbrojne były –

w najlepszym wypadku – pięć lat za Zachodem. Dlaczego? Dlatego, że nawet najlepsi agenci 25

nie potrafili wykraść stamtąd jakości i staranności wykonania produktów, a bez dokładnej kontroli jakości budowa zaawansowanych systemów uzbrojenia była po prostu niemożliwa.

Ileż to razy jego ludzie wykradali lub kupowali od Amerykanów tajne plany tylko po to, żeby przekonać się, że w Rosji nie można ich po prostu wcielić do produkcji.

I właśnie to musiał zmienić. Prace mitycznego Herkulesa to przy tym kaszka z mleczkiem, pomyślał,

gasząc papierosa. Zmienić cały naród? W mauzoleum na placu Czerwonym leżała mumia Lenina, tego komunistycznego boga, człowieka, który przekształcił Rosję z zacofanego imperium w... zacofane państwo socjalistyczne. Moskwa pogardzała krajami, które próbowały łączyć socjalizm z kapitalizmem. Pogardzała, choć jednak nie do końca, gdyż KGB próbowało kraść i tam. Ci z Zachodu rzadko kiedy przelewali krew i szastali pieniędzmi, żeby poznać tajemnice ich nowych broni; robili to chyba tylko po to, żeby sprawdzić, co jest z tą bronią nie tak. Zachodnie agencje wywiadowcze stawały na głowie, żeby przerazić swoje rządy opowieściami o nowych, straszliwych radzieckich rakietach, określa-jąc je mianem rakiet z piekła rodem czy piekielnym narzędziem zniszczenia, by szybko stwierdzić, że rosyjski tygrys – choć groźnie szczyrzy upiorne kły – nosi ołowiane buty i nie potrafi dopaść jelenia. Natomiast oryginalne wynalazki radzieckie – a było ich wiele – niemal natychmiast trafiały na Zachód, gdzie przekształcano je w urządzenia, które – o dziwo – znakomicie działały.

Biura projektowe składały setki obietnic i wojsku, i Biuru Politycznemu. Przekonywały ich, że nowe systemy uzbrojenia będą lepsze, że wystarczy troszkę więcej pieniędzy i... Ha!

A tymczasem ten nowy amerykański prezydent robił to, czego nie robił żaden z jego poprzedników: karmił swego tygrysa. Ich przemysłowy potwór żarł surowe czerwone mięso i raz za razem wypływał broń zaprojektowaną jeszcze w minionym dziesięcioleciu. Funkcjonariusze KGB i agenci donosili, że morale amerykańskiej armii szybko wzrasta, po raz pierwszy od wielu, wielu lat. Że żołnierze ćwiczą jak nigdy dotąd, że ich nowa broń...

Ale ci z Biura Politycznego mu nie uwierzyli. Byli zbyt zaściankowi i nie chcieli przyjąć do wiadomości, że za granicami Związku Radzieckiego istnieje zupełnie inny świat. Zakładali, że jest to świat podobny do świata sowieckiego, żyjący w zgodzie z politycznymi teo-riami Lenina – spisany przed ponad sześćdziesięcioma laty! Jakby przez ten czas nigdzie nie zaszły żadne zmiany! Jurij Władimirowicz kipiał gniewem. Wydawał olbrzymie fundusze, żeby ten prawdziwy świat poznać, żeby zebrać o nim jak najwięcej informacji, żeby informacje te sumiennie przeanalizować – robili to przecież najlepiej wykształceni i wyszkoleni eksperci – żeby przedstawić je następnie starcom zasiadającym wokół długiego dębowego stołu – a ci nie chcieli go słuchać!

No, a teraz to. Kolejny problem.

Właśnie tak się to zaczęło, pomyślał, pociągając długi łyk starki. Wystarczy jeden człowiek, pod warunkiem, że będzie to człowiek odpowiedni. Bo odpowiedniego człowieka ludzie słuchali, uważali na to, co mówi i robi. Tak, niektórzy potrafili skupić na sobie uwagę całego świata.

I właśnie ich trzeba się bać.

Karolu, Karolu... Dlaczego musisz sprawiać mi tyle kłopotów?

Bo jeśli Karol zrealizuje swoją groźbę, kłopoty na pewno będą. List, który wysłał do Warszawy, był przeznaczony nie tylko dla tych polskich lokajczyków. Karol musiał wie-26

dzieć, dokąd w końcu trafi. Nie był głupcem. Wprost przeciwnie, sprytem i przebiegłością dorównywał najtęższymi politycznym głowom, jakich Jurij znał. Katolicki duchowny z komunistycznego kraju nie wejdzie na szczyt piramidy największego kościoła w świecie i nie zostanie ich sekretarzem generalnym, nie umiając kierować machiną władzy. Jeśli wierzyć tym wszystkim bzdurom, posada, którą objął, istnieje już od prawie dwóch tysięcy lat.

Może. Ostatecznie wiek Kościoła katolickiego to obiektywny fakt. Zgoda, fakt historyczny to fakt historyczny, ale nie oznacza to jeszcze, że ukrywająca się pod faktem wiara jest – a do-kładniej mówiąc, nie jest – czymś więcej niż wiarą z definicji Marksa. Jurij Władimirowicz zawsze uważał, że wiara w Boga nie różni się niczym od wiary w doktryny Marksa i Engelsa. Jednakże wiedział też, że wszyscy muszą w coś wierzyć nie dlatego, że to coś jest prawdziwe, tylko dlatego, że to coś – samo w sobie – jest źródłem władzy. Ci maluczcy, ci, któ-

rych trzeba było prowadzić za rączkę, musieli wierzyć w coś większego od nich samych.

Słyszac grzmot, prymitywne ludy zamieszkujące resztki istniejących jeszcze dżungli słyszały nie przeraźliwy huk, jaki wydają ścierające się ze sobą fronty powietrza, zimnego i ciepłego, tylko głos żywej istoty. Dlaczego? Dlatego, że zdawali sobie sprawę ze swej słabości i z potę-

gi otaczającego ich świata. Uważali, że są w stanie przebłagać swe bóstwo ofiarami z za-rżniętych świń, a nawet dzieci, a ci, którzy potrafili tego dokonać – ci, których bóstwo wysłuchało – mieli potem władzę, mogli potem rządzić. Władza to waluta. Niektórzy z wielkich wydawali ją na luksusy lub kobiety – jeden z jego poprzedników wydawał ją na młode dziewczęta, ale Jurij Władimirowicz był wolny od tego rodzaju pokus. Nie, jemu wystarczała sama władza, władza jako taka. Mógł się w niej pławić, mógł rozkoszować się nią jak kot rozkoszuje się ciepłem z płonących w kominku szczap, mógł cieszyć się jej bliskością, zwykłą świadomością, że może rządzić innymi, że może skazać na śmierć lub wynagrodzić tych, którzy mu służą, którzy schlebiają mu swymi hołdami i przymilnymi zapewnieniami, że jest kimś lepszym od nich.

Oczywiście nie tylko na tym to polegało. Trzeba było coś z tą władzą zrobić. Trzeba było zostawić na piasku odciski swych stóp. Duże czy małe, nie miało to żadnego znaczenia, grunt, żeby przykuwały uwagę. Kraj go potrzebował, ponieważ ze wszystkich członków Biura Politycznego tylko on widział, co trzeba zrobić. Tylko on mógł wykreślić kurs i pchnąć naród w nowym kierunku. I jeśli zrobi to dobrze, na pewno go zapamiętają. Zdawał sobie sprawę, że pewnego dnia jego życie dobiegnie kresu. Że wykończy go wątroba. Nie powinien pić wódki, lecz wraz z władzą przychodziło prawo niczym nieograniczonego wyboru.

Nikt nie mógł mu niczego zakazać. Jego utajona inteligencja podszeptowała mu, że maluczcy miewają rację, lecz wielcy maluczki nie słuchali, a on uważał się za największego ze swoich wielkich poprzedników. Czyż nie miał woli silnej na tyle, żeby określić świat, w którym żył? Oczywiście, że miał, dlatego czasem pił, kieliszek, dwa, trzy kieliszki, głównie późnym wieczorem. Podczas oficjalnych kolacji pijał dużo więcej. Jego kraj już dawno temu przeszedł

fazę rządów jednostki – skończyła się przed trzydziestu laty, wraz ze śmiercią Koby, Józefa Wissarionowicza Stalina, krwiożerczego oprawcy, przed którym struchlałby sam Iwan Groźny. Nie, tego rodzaju władza była zbyt niebezpieczna i dla rządzącego, i dla rządzonych. Stalin zrobił dla

kraju równie dużo złego, jak i dobrego, i chociaż rzeczy dobre okazały się wielce pożyteczne, te złe pchnęły Związek Radziecki na skraj przepaści wiecznego zacofania – a jego straszliwa, rozbudowana do nieprawdopodobnych rozmiarów biurokracja okazała się największą przeszkodą dla postępu.

Ale jeden człowiek, jeden odpowiedni człowiek, mógł poprowadzić Biuro Polityczne w dobrym kierunku, a potem, pomagając wybrać nowych członków, osiągnąć cel samym li 27

tylko wpływem, miast terrorem. Może wtedy zdołałby pchnąć Związek Radziecki na drogę rozwoju. Skupiając władzę w swoich rękach – każdy kraj potrzebuje silnej, scentralizowanej władzy – dałby gospodarce większą swobodę, elastyczność, dzięki której mogliby wreszcie osiągnąć cel, prawdziwy komunizm, ujrzyć promienną przyszłość, która, wedle proroczych zapewnień Lenina, oczekiwała tych najwierniejszych.

Andropow nie dostrzegał w tym sprzeczności. Podobnie jak tylu wielkich przed nim, nie dostrzegał rzeczy stojących w konflikcie z podszeptami swego kapryśnego „ja”.

Tak czy inaczej, wszystko sprowadzało się do Karola i do wiążącego się z nim niebezpieczeństwa.

Poruszy tę sprawę na porannej naradzie. I sprawdzi, jakimi dysponują możliwościami.

Członkowie Biura Politycznego przeczytają „Warszawski list”, podniosą larum i natychmiast spojrzą na niego – będzie musiał coś powiedzieć. Tylko co? Cała sztuka polegała na znale-zieniu czegoś, co tych konserwatystów porządnie wystraszy. Ci niby potężni byli tak naprawdę bardzo strachliwi...

Przestudiował setki raportów, tysiące doniesień utalentowanych szpiegów z Pierwszego Zarządu Głównego, którzy próbowali czytać w myślach swych zachodnich odpowiedników.

To dziwne, że w świecie było tyle strachu, że najbardziej zalęknionymi ze wszystkich często bywali ci, którzy dzierżyli w swych rękach władzę.

Nie. Jurij Władimirowicz dopił wódkę i postanowił już więcej nie pić, nie tego dnia.

Tamci bali się dlatego, że nie mieli władzy. Byli słabi. Siedzieli pod pantoflem żon, tak samo jak robotnicy i prości chłopci. Perspektywa utraty tego, co zdołali osiągnąć, przerażała ich do tego stopnia, że angażowali się w haniebne przedsięwzięcia mające na celu zniaczenie tych, którzy próbowali im to odebrać. Nawet Stalin, ten najpotężniejszy z tyranów, wykorzystywał władzę głównie do eliminowania przeciwników marzących o jego wywyższonym krześle. Tak więc, zamiast patrzeć przed siebie, tracił siły na patrzenie w dół. Był jak baba, jak kucharka, która boi się myszy pod spódnicą, zamiast być władcą o sile woli wystarczają-

cej do tego, żeby zabić szarżującego tygrysa.

Czyż on, Jurij Władimirowicz Andropow, mógł postąpić inaczej? Tak! Mógł podnieść wzrok, dostrzec przyszłość i nakreślić wiodącą ku przyszłości drogę. Tak, mógł przedstawić tę wizję

maluczkim z Kremla i poprowadzić ich tam siłą woli. Tak, mógł przywrócić ostrość wizjom Lenina, wizjom innych myślicieli obowiązującej w tym kraju filozofii. Tak, mógł

skierować naród na nowy kurs, a wówczas ludzie zapamiętaliby go na zawsze jako największego z wielkich...

Ale najpierw, teraz i tutaj, musiał rozprawić się z Karolem i tym, że stanowił irytującą groźbę dla Związku Radzieckiego.

28

Rozdział 2

Wizje i horyzonty

Cathy omal nie wpadła w panikę na myśl, że będzie musiała odwieźć go na stację. Wi-dząc, jak podchodzi do samochodu z lewej strony, myślała, jak każda Amerykanka, że bę-

dzie prowadził, i wyraźnie się zdziwiła, gdy rzucił jej kluczyki.

Szybko odkryła, że pedały są rozmieszczone tak jak w amerykańskich samochodach, bo chociaż tu, w Anglii, roіło się od mańkutów, ludzie byli w większości „prawonożni”. Dźwi-gnia zmiany biegów sterczała dokładnie pośrodku, więc musiała ją przerzucać lewą ręką.

Jazda na wstecznym po wyłożonym cegłą podjeździe nie była w sumie taka straszna. Zastanawiali się – on też – czy Brytyjczykom jest równie trudno przestawić się na ruch prawo-stronny, kiedy odwiedzają Stany albo wskakują na prom i płyną do Francji. Jack postanowił

spytać o to jakiegoś Anglika, najlepiej przy piwie.

– Pamiętaj: lewa to prawa, prawa to lewa. Masz jechać złą stroną jezdni.

– Wiem – odburknęła poirytowana. Wiedziała, że musi nauczyć się prowadzić i racjo-nalna część jej umysłu zdawała sobie sprawę, iż jest to pora równie dobra, jak każda inna, chociaż moment ten – to „już zaraz”, „już teraz!” – zawsze nadchodził nagle i niespodziewanie, jak grom z jasnego nieba, jak partyzant wyskakujący z zamaskowanej nory. Wyjeżdżając z osiedla, minęli parterowy budynek – mieścił się w nim chyba gabinet lekarski – a potem park, który zauroczył Jacka do tego stopnia, że postanowił kupić mieszkanie w tym właśnie bloku. Sally uwielbiała huśtawki i na pewno pozna tam mnóstwo dzieci. A mały Jack będzie mógł się trochę poopalać. Przynajmniej latem.

– Skręć w lewo, kochanie. W lewo skręca się tu jak u nas w prawo: nie trzeba ustępować nikomu pierwszeństwa.

– Wiem – odrzekła Cathy, zastanawiając się, dlaczego Jack nie zadzwonił po taksówkę.

Miała w domu od groma roboty i nie potrzebowała nauki jazdy, nie teraz. Cóż, wóz miał

przynajmniej potężnego kopa, co odkryła, wciskając pedał gazu. Co prawda nie takiego jak jej stare porsche, ale dobre i to.

– U stóp wzgórza w prawo.

– Uhm. – To proste. Będzie musiała wrócić do domu, a nie znosiła wypytywać o droge przechodniów. Ostatecznie była chirurgiem i potrafiła zapanować nad swoim światem tak, jak pilot myśliwca panuje nad swoim. Poza tym, jako chirurg nie miała prawa wpadać w panikę, prawda?

– Tutaj – powiedział Jack. – Pamiętaj o tych z naprzeciwka. – Na razie z naprzeciwka nic nie nadjeżdżało, ale czuł, że gdy tylko wysiądzie, sytuacja natychmiast się zmieni. Nie zazdrościł jej samotnej jazdy – krążenia po tych wszystkich uliczkach – ale żeby nauczyć się pływać, trzeba było

skoczyć na głęboką wodę; to najskuteczniejszy sposób, pod warunkiem, że delikwent się przedtem nie utopi. Ale nie, Anglicy byli ludźmi gościnnymi i był pewien, że w razie konieczności jakiś kierowca odprowadzi ją pod sam dom.

Stacja kolejowa była równie imponująca, jak stacja kolei podmiejskiej na Bronksie, mała, kamienna budowla z ruchomymi schodami prowadzącymi na peron. Zapłacił za bilet go-tówką, lecz zauważył też ogłoszenie, które oferowało zniżkowe bilety całodzienne. Kupił

„Daily Telegraph”; istniała szansa, że miejscowi wezmą go za konserwatystę. Ci o poglądach 29

bardziej liberalnych wybraliby raczej „Guardian”. Postanowił zrezygnować z piśmideł z nagimi babkami. Za ostry widok, przynajmniej jak na tę porę dnia.

Czekał kwadrans. Pociąg – skrzyżowanie amerykańskiego pociągu dalekobieżnego i kolejki podziemnej – wjechał na peron w miarę cicho. Miał bilet pierwszej klasy, więc przysługiwało mu miejsce w małym przedziale. Okna podnosiło się i opuszczało za pomocą skórzanego pasa, a drzwi otwierały się w taki sposób, że zamiast wędrować korytarzem, mógł od razu wysiąść na peron. Dokonawszy tych odkryć, usiadł i spojrzał na pierwszą stronę gazety. Tak samo jak w Ameryce, mniej więcej połowę zajmowały krajowe sprawy polityczne.

Przeczytał, a raczej przejrzał dwa artykuły, doszedłszy do wniosku, że równie dobrze może zapoznać się z miejscowymi zwyczajami, skargami i zarzutami. Według rozkładu jazdy, na Victoria Station mieli dojechać za czterdzieści minut. Całkiem nieźle; Dan Murray twierdził, że to o wiele szybciej niż samochodem. Poza tym z parkowaniem w Londynie było jeszcze gorzej niż w Nowym Jorku; trzeba było szukać miejsca po drugiej, tej „złej” stronie ulicy, i tak dalej.

Jechało mu się całkiem wygodnie. Koleje były monopolistyczną własnością państwa i państwo najwyraźniej nie żałowało pieniędzy na dobre podkłady. Konduktor sprawdził mu z uśmiechem bilet – niewątpliwie natychmiast odgadł, że ma do czynienia z jankesem – i poszedł dalej, pozostawiając go sam na sam z gazetą. Wkrótce uwagę Ryana przykuły widoki za oknem. Krajobraz był zielony, roślinność bujna. Anglicy naprawdę kochali swoje traw-niki. Szeregowce były tutaj mniejsze niż te, które pamiętał z dzieciństwa w Baltimore, i miały kryte dachówką dachy. I te uliczki. Jezus, wąskie, że aż strach. Jeśli się nie uważało, można było wjechać samochodem do czyjegoś salonu. Samochód w salonie nie przypadłby do gustu nawet Anglikom, ludziom przywykłym do ułomności odwiedzających ich kraj Amerykanów.

Dzień był słoneczny, a po rozkosznie błękitnym niebie sunęło tylko kilka pierzastych ob-

łoczków. Jak dotąd nie padało. Pewnie jeszcze będzie. Co trzeci mężczyzna na ulicy szedł ze złożonym parasolem. Wielu było w kapeluszach. On przestał nosić kapelusz po odejściu z Korpusu Piechoty Morskiej. Uznał, że Anglia różni się od Stanów na tyle, że może tu być niebezpiecznie. Dostrzegął wiele podobieństw, ale różnice gryzły człowieka w tyłek w najmniej spodziewanym momencie. Trzeba będzie uważać. Trzeba nauczyć Sally przechodzić przez ulicę. Miała cztery i pół roku i wbito jej do głowy, że najpierw musi spojrzeć w lewo, potem w prawo. A tutaj... Raz widział

ją w szpitalu i, na miłość boską, wystarczyło mu to do końca życia.

Wjechali do miasta. Gęsta zabudowa, po prawej skarpa. Rozejrzał się w poszukiwaniu znajomych punktów orientacyjnych. Czy tam, po prawej, to katedra Świętego Pawła? Jeśli tak, niebawem dojadą na Victoria Station. Złożył gazetę. Pociąg zwolnił, i tak, byli na Victoria Station. Niczym rodowity Anglik otworzył drzwi i wysiadł. Dworzec. Stalowe łuki i tafle szkła, dawno poczerniałego od dymu buchającego z kominów dawno zapomnianych parowozów. Nikt tych szyb nigdy chyba nie mył, nawet nie przecierał. A może to tylko skutek zanieczyszczenia środowiska? Nie wiadomo. Wraz z tłumem pasażerów ruszył w stronę ceglanej ściany, gdzie znajdowała się poczekalnia. Było tam mnóstwo sklepików, kiosków z gazetami, no i wyjście. Znalazłszy się na dworze, wyjął z kieszeni plan Londynu. Westminster Bridge Road. Piechotą za daleko. Machnął ręką na przejeżdżającą taksówkę.

Jadąc, rozglądał się na wszystkie strony jak turysta, którym już nie był. Jechał, jechał, wreszcie dojechał.

30

Century House, Stuletni Dom, nazwany tak dlatego, że mieścił się przy Westminster Bridge Road numer 100, był typową budowlą z okresu międzywojennego, średniej wysoko-

ści gmachem, którego kamienna fasada zaczynała już chyba... odpadać? Całą ścianę zasłonię-

te plastikową siatką, żeby gruz nie zabił jakiegoś przechodnia. Ups! A może ktoś rozpruwał

ściany w poszukiwaniu rosyjskich pluskiew? W Langley go o tym nie uprzedzono. Nieco dalej widać było Westminster Bridge i gmachy Parlamentu po drugiej stronie Tamizy. Cóż, całkiem ładne sąsiedztwo. Kamiennymi schodami doszedł do podwójnych drzwi i trzy metry za nimi natknął się na biurko, za którym siedział jakiś mężczyzna w mundurze przypominającym mundur policjanta.

– W czym mogę panu pomóc? – spytał. Anglicy zawsze tak mówili – jakby naprawdę chcieli komuś pomóc. Jack zastanawiał się, czy facet nie ukrywa gdzieś pistoletu. Jeśli był

nieuzbrojony, broń na pewno leżała w zasięgu ręki. Przecież musiały tu obowiązywać jakieś środki bezpieczeństwa.

– Nazywam się Jack Ryan. Mam tu pracować.

Przebłysk rozpoznania, natychmiastowy uśmiech.

– Aaaa, sir John. Witamy w Century House. Pozwoli pan, że zadzwonię na górę. – I zadzwonił. – Już ktoś do pana schodzi. Zechce pan usiąść.

Ledwo usiadł, gdy obrotowymi drzwiami do holu wszedł ktoś znajomy.

– Jack!

– Sir Basil. – Ryan wstał i wyciągnął do niego rękę.

– Myślałem, że przyjdzie pan jutro.

– Cathy nas rozpakowuje. Uznała, że się do tego nie nadaję.

– Tak, w pewnych sprawach my, mężczyźni, jesteśmy dość ograniczeni, prawda? – Sir Basil Charleston, wysoki i „majestatycznie szczupły”, jak napisał kiedyś poeta, dobijał pięć-

dziesiątki. Miał brązowe włosy bez śladu siwizny, jasne, brązowe oczy, a w kosztownym garniturze z szarej wełny w szerokie prążki wyglądał jak zamożny londyński bankier. I rzeczywiście pochodził z bankierskiej rodziny, lecz stwierdziwszy, że bankowość jest zajęciem ograniczającym horyzont umysłowy, postanowił wykorzystać swoje wykształcenie – ukoń-

czył Cambridge – w służbie dla kraju, najpierw jako agent terenowy, potem jako pracownik administracyjny. Jack wiedział, że James Greer lubi go i szanuje, podobnie jak sędzia Moore.

Poznał Charlestona przed rokiem, zaraz po tym, gdy postrzelono go przed pałacem Buckingham, a potem dowiedział się, że sir Basil podziwia jego „Pułapkę na Kanarki”, dzięki której Ryana zauważyli ludzie z kierownictwa CIA; Charleston musiał ją wykorzystać, bo wykrył –

tak przynajmniej powiadano – kilka irytujących przecieków. – Chodź, Jack. Trzeba pana odpowiednio wyposażyć. – Na pewno nie miał na myśli jego garnituru z Savile Row, równie kosztownego, jak jego własny. Nie, czekała ich wyprawa do kadr.

Obecność dyrektora generalnego Brytyjskiej Tajnej Służby Wywiadowczej bardzo rzecz ułatwiła i wizyta przebiegła zupełnie bezboleśnie. Langley przesłało już do Londynu jego odciski palców, dlatego musiano mu tylko zrobić zdjęcie, które następnie zafoliowano wraz z przepustką otwierającą elektronicznie sterowane drzwi, podobne do tych, jakie mieli w siedzibie CIA. Sprawdzili ją na atrapie i okazało się, że działa. Potem pojechali windą do przestronnego gabinetu sir Basila.

31

Gabinet był znacznie szykowniejszy od kiszkowatego pokoju, którym musiał zadowolić się sędzia Moore. Z okien roztaczał się ładny widok na Tamizę i pałac Westminsterki. Sir Basil wskazał Jackowi skórzany fotel.

– Jak tam pierwsze wrażenia?

– Jak dotąd nie narzekamy. Cathy nie była jeszcze w szpitalu, ale Bernie, jej nowy szef, mówi, że dyrektor kliniki to porządny gość.

– Tak, Hammersmith ma dobrą reputację, a doktor Byrd jest uważany za najlepszego chirurga ocznego w Wielkiej Brytanii. Nie znam go osobiście, ale powiadają, że to bardzo przyzwoity facet. Wędkarz. Uwielbia jeździć do Szkocji na łososie. Żonaty, trzech synów.

Najstarszy jest porucznikiem w Coldstream Guards. To gwardia królewska, bardzo prestiżowy pułk.

– Kazał go pan sprawdzić? – spytał zdumiony Ryan.

– Ostrożności nigdy nie za wiele. Niektórzy z pańskich dalekich kuzynów za Morzem Irlandzkim raczej za panem nie przepadają.

– Myśli pan, że coś mi grozi?

Charleston pokręcił głową.

– Mało prawdopodobne. Pomagając obalić ULA, Armię Wyzwolenia Ulsteru, na pewno ocalił pan życie kilku członkom PIRA, Tymczasowej Irlandzkiej Armii Republikańskiej.

Wkrótce wszystko samo się wyjaśni, ale to działka tych ze służby bezpieczeństwa. Rzadko kiedy z nimi współpracujemy, a jeśli nawet będziemy, to na pewno nie w sprawach, które bezpośrednio dotyczą pana.

Coś skłoniło Jacka do zadania kolejnego pytania:

– Właśnie, à propos współpracy: co ja tu będę robił?

– James panu nie powiedział?

– Nie. Podobno lubi robić niespodzianki.

– Cóż, prace połączonej brytyjsko-amerykańskiej grupy roboczej skupiają się głównie na naszych radzieckich przyjaciołach. Mamy kilka dobrych i pewnych źródeł. Wy też. Chodzi o to, żeby dzielać się informacjami, lepiej poznać przeciwnika.

– Dzielać się informacjami, nie informatorami – upewnił się Ryan. Charleston uśmiechnął się ze zrozumieniem.

– Dobrze pan wie, że informatorów trzeba strzec.

Owszem, Jack doskonale zdawał sobie z tego sprawę. O informatorach amerykańskich wiedział tyle co nic. Ich dane personalne należały do najpilniej strzeżonych tajemnic CIA i bez wątplenia tu było podobnie. Informatora mogło zabić najmniejsze przejęzyczenie. W tej branży bardziej niż życie ceniono to, co przekazywali agentom – cóż, wywiad to ostatecznie interes jak każdy inny – ale prędzej czy później człowiek zaczynał się zastanawiać, jacy tak naprawdę są, kim są ich rodziny. Na pewno dużo piją, pomyślał Ryan. Zwłaszcza Rosjanie.

Przeciętny Rosjanin pił tyle, że w Stanach uznano by go za alkoholika.

– Oczywiście – odrzekł. – Jeśli chodzi o mnie, nie znam nazwiska ani jednego sowieckiego informatora. Ani jednego – podkreślił. Skłamał, ale tylko troszkę. Nic mu nigdy nie mó-

32

wiono, ale z rodzaju przekazywanych informacji i ze sposobu cytowania ludzi u władzy można się wiele domyślić. Informatorzy byli w zdecydowanej większości mężczyznami, ale czuł, że są wśród nich i kobiety. Tego rodzaju spekulacje były intrygującą grą, którą prowadzili wszyscy analitycy, grą wybitnie umysłową i sekretną, chociaż kilka razy otwarcie rozmawiał na ten temat z admirałem Greerem. Zastępca dyrektora do spraw wywiadu ostrzegał

go przed zbyt głośnym wyrażaniem myśli, ale dwa razy puścił do niego oko, mówiąc mu tym samym znacznie więcej, niż chciał powiedzieć. Cóż, zatrudnili go, ponieważ był zdolnym analitykiem. Nie chcieli, żeby im odmówił. Ilekroć przekazywane informacje stawały się trochę dziwne, oznaczało to, że z informatorem jest źle, że wpadł albo zwariował. – Ale admirała interesuje ostatnio pewien problem...

– Tak? – spytał sir Basil. – Jaki?

– Polska. Wygląda na to, że wszystko się tam trochę sypie i ciekawi nas, jak daleko to zajdzie, jak szybko. Chodzi nam o skutki.

– Nas też to ciekawi. – Charleston w zadumie kiwnął głową. Ludzie, a zwłaszcza reporterzy z pubów przy Fleet Street, często na ten temat spekulowali. A reporterzy też mieli niezłe źródła informacji, bywało, że równie dobre jak oni. – Co o tym sądzi?

– Admirał? I jemu, i mnie przypomina to sytuację z 1930. – Ryan odchylił się w fotelu i odprężył. – UAW, Związek Pracowników Przemysłu Samochodowego. Kiedy weszli do zakładów Forda, zaczęły się kłopoty. Duże kłopoty. Ford wynajął nawet bandę zbirów, żeby się z nimi rozprawić. Pamiętam, widziałem zdjęcie... Czyje to było zdjęcie? – Jack zmarszczył

czoło. – Waltera Reuthera? Chyba tak. Opublikował je wtedy „Life”. Bandziory rozmawiają z nim, a jego ludzie uśmiechają się jak przed meczem bokserskim. A chwilę potem zaczyna się bijatyka. Dyrekcja Forda pograła bardzo nieprofesjonalnie. Fatalne było już samo to, że do awantury doszło na oczach reporterów, ale wpuścić do zakładu reporterów z aparatami fotograficznymi? Czysta głupota.

– Tak, pręgierz opinii publicznej – zgodził się z nim sir Basil. – Wszystko jest wtedy takie namacalne, takie rzeczywiste, a dzisiejsza technika jeszcze bardziej to uplastycznia. Dlatego rozumiem, dlaczego tak bardzo was to dręczy. Macie tę nową sieć telewizyjną, CNN. Ci ludzie mogą zmienić świat. Informacja lubi krążyć własnymi ścieżkami. Plotka też. Nie powstrzymasz ani jednej, ani drugiej, a po pewnym czasie obie zaczynają żyć własnym życiem...

- Ale zdjęcie jest warte więcej niż tysiąc słów, prawda?
- Swoją drogą ciekawe, kto to powiedział. Nie wiem, ale na pewno nie był głupcem. Ta sentencja jest jeszcze prawdziwsza w przypadku filmu.
- Filmy też chyba kręcimy.
- Pańscy zwierzchnicy podchodzą do tego dość niechętnie. Ja wprost przeciwnie. Pracownikowi ambasady łatwo jest zaprosić na piwo dziennikarza i niby przypadkiem wspomnieć o czymś podczas rozmowy. Jedno trzeba przyznać: jeśli podsunie się im materiał na dobry reportaż, nigdy nie pozostają dłużni.
- W Langley nienawidzą prasy. Szczerze i z głębi serca.
- Według mnie, to oznaka zacofania. Ale z drugiej strony, mamy na prasę większy wpływ niż wy, tak myślę. Tak czy siak, bardzo łatwo ich oszukać, prawda?

33

- Nigdy nie próbowałem. Admirał Greer mówi, że rozmowa z dziennikarzem przypomina taniec z rottweilerem. Nigdy nie wiadomo, czy chce polizać cię w twarz, czy rozszarpać ci gardło.
 - Rottweilery nie są takie groźne. Trzeba tylko odpowiednio je wytresować.
- Anglicy i ich psy, pomyślał Ryan. Lubią je bardziej niż dzieci. On za psami nie przepadał. Labrador, jak choćby Ernie, to zupełnie co innego. Labradory mają miękkie pyski. Sally bardzo za Erniem tęskniła.
- A więc co pan sądzi o sytuacji w Polsce, Jack?
 - Moim zdaniem w garnku będzie kipiało, dopóki nie spadnie pokrywka. A kiedy spadnie i wszystko się wyleje, będzie niezły bałagan. Polacy nie lubią komunizmu. Nie chcą i nigdy nie chcieli nim przesiąknąć. Chryste, w polskim wojsku są nawet kapelani. Mnóstwo ich rolników pracuje na własną rękę; sprzedają szynkę, jajka, i tak dalej. Ich najpopularniejszym serialem telewizyjnym jest *Kojak*; pokazują go w niedzielę rano, żeby odciągnąć ludzi od kościoła. Co dowodzi dwóch rzeczy. Polacy lubią amerykańską kulturę, a ich rząd wciąż boi się kościoła. Rząd jest chwiejny, niestabilny, i dobrze wie, że taki jest. To, że pozwolili ludziom trochę poszaleć, było mądrym posunięciem, przynajmniej na krótką metę, ale podstawowym problemem jest co innego, a mianowicie to, że muszą funkcjonować w z gruntu niesprawiedliwym systemie politycznym. Są pozornie silni, ale w środku trawi ich zgnilizna.

Zadumany Charleston lekko skinął głową.

– Trzy dni temu rozmawiałem z panią premier i powiedziałem jej mniej więcej to samo.

– Dyrektor generalny wahał się przez chwilę, wreszcie podjął decyzję. Ze sterty na biurku wziął jakąś teczkę i podał ją Ryanowi.

Na okładce widniał napis: ŚCIŚLE TAJNE. Zaczyna się, pomyślał Jack. Ciekawe, czy ojciec sir Basila nauczył pływać syna, wrzucając go do Tamizy i czy sir Basil też uważał, że to najlepszy sposób.

Otworzywszy teczkę, przeczytał, że jest to raport sporządzony na podstawie doniesień informatora o kryptonimie Strzyżyk. Było oczywiste, że Strzyżyk jest Polakiem, że ma znakomite dojścia, a to, co przekazał Anglikom...

– O cholera... Czy to wiarygodne?

– Bardzo. Dwie pełne piątki. – Oznaczało to, że wiarygodność informatora nie podlega dyskusji, a dostarczone przez niego informacje są najwyższej wagi. – Pan jest chyba katolikiem, prawda? – Charleston doskonale o tym wiedział. Po prostu zagadywał go, jak to Anglik.

– W szkole średniej, w Boston College i w Georgetown uczyli mnie jezuici, a w Saint Matthew's siostry zakonne. Cóż mi pozostało?

– Co pan sądzi o nowym papieżu?

– Pierwszy niewłoski papież od z górą czterystu lat: już samo to dużo mówi. Kiedy dowiedziałem się, że jest Polakiem, myślałem początkowo, że wybrali kardynała Wyszyńskiego z Warszawy; facet ma umysł geniusza i jest przebiegły jak lis. O Wojtyłę nie wiedziałem nic, ale z tego, co od tamtej pory przeczytałem, wynika, że to bardzo przyzwoity człowiek.

Dobry proboszcz, dobry administrator, zręczny negocjator... – Jack zmrużył oczy. O głowie 34

swego kościoła mówił jak o jakimś polityku, choć był stuprocentowo przekonany, że papież jest człowiekiem znacznie głębszym. Przede wszystkim musiał być człowiekiem wielkiej wiary, duchownym o przekonaniach, którymi nie zachwiałyby największe trzęsienie ziemi.

Ludzie jemu podobni wybrali go na przywódcę i rzecznika największego kościoła w świecie, kościoła, który – zupełnie przypadkowo – był również jego kościołem. Papież musiał też być człowiekiem, który niczego się nie lękał, człowiekiem, dla którego rewolwerowa kula jest tylko przepustką z ziemskiego więzienia i biletem przejazdu do samego Boga. Tak, musiał

odczuwać Jego obecność we wszystkim, co robił. Nie należał do tych, których można zastraszyć, a to, co uważał za słuszne, było słuszne niemal dla wszystkich.

– Jeśli rzeczywiście napisał ten list, to na pewno nie blefuje. Kiedy go dostali?

– Niecałe cztery dni temu. Strzyżyk złamał wszystkie reguły, żeby jak najszybciej go nam dostarczyć, ale waga tego dokumentu jest chyba oczywista, prawda?

Witamy w Londynie, pomyślał Jack. Właśnie wpadł do zupy. Do wielkiego kotła, takiego, w których komiksowi ludożercy gotują misjonarzy.

– List na pewno trafił już do Moskwy.

– Strzyżyk twierdzi, że tak. No i cóż, sir Johnie? Co pańskim zdaniem powiedzą na to Rosjanie? – Tym pytaniem Charleston podpalił ogień pod kotłem Ryana.

– To bardzo złożony problem – odrzekł Jack, robiąc zwód i zwlekając z odpowiedzią na tyle, na ile pozwalała sytuacja.

Ale taktyka gry na czas nie poskutkowała.

– Na pewno coś powiedzą – drążył Charleston, przeszywając go spojrzeniem brązowych oczu.

– Cóż, nie spodoba im się to, nie ma co do tego wątpliwości. Dostrzegą w tym groźbę.

Pytanie tylko, jak poważnie ją potraktują, czy uznają, że jest wystarczająco wiarygodna. Stalin pewnie by ten list wyśmiał... A może i nie. Ostatecznie był paranoikiem, prawda? – Ryan spojrzał w okno. Chmura? Czyżby zanosilo się na deszcz? – Nie, on też by jakoś zareagował.

– Tak pan myśli? – Sir Basil oceniał go i Jack dobrze o tym wiedział. Czuł się jak na egzaminie doktorskim w Georgetown. Cięty dowcip zgryźliwego ojca Tima Rileya i jego przy-gwałdzające pytania. Charleston był uprzejmiejszy, bardziej kulturalny, co wcale nie oznaczało, że egzamin pójdzie mu łatwiej.

– Lew Trocki mu nie zagrażał. To zabójstwo było rezultatem paranoi i czystej złośliwo-

ści. Było zabójstwem z powodów osobistych. Stalin robił sobie wrogów i nigdy im nie wybaczał. Ale obecni przywódcy Związku Radzieckiego nie mają odwagi zrobić tego co on.

Sir Basil wskazał okno z widokiem na Westminster Bridge.

– Mój chłopcze, niecałe pięć lat temu Rosjanie mieli czelność zabić człowieka tu, na tym moście...

– I zostali za to napiętnowani – przypomniał mu Ryan. Mieli odrobinę szczęścia, poza tym pomógł im pewien bystry angielski lekarz. A tak w ogóle nie warto było tego biednego sukinsyna ratować. Ale zdołali przynajmniej odkryć przyczynę jego śmierci i okazało się, że nie zginął z ręki ulicznego bandziora.

– Myśli pan, że nie mogli przez to spać? – odrzekł Charleston. – Bo ja nie.

– Kiepsko to wygląda. Dzisiaj już takich rzeczy nie robią, przynajmniej o tym nie słyszałem.

– Zapewniam pana, że robią, z tym, że u siebie w domu. A Polska jest dla nich „domem”. To strefa ich wpływów.

– Ale papież mieszka w Rzymie, a Rzym to już nie „dom”. Wszystko sprowadza się do tego, jak bardzo się wystraszą. Ojciec Riley, mój promotor z Georgetown, wbijał mi do głowy, że wszystkie wojny rozpętują ludzie ogarnięci strachem. Boją się wojny, ale jeszcze bardziej boją się tego, co się stanie, jeśli wojny nie rozpoczną albo nie zrobią czegoś, co będzie jej równoznaczne. Tak więc, jak już mówiłem, wszystko zależy od tego, jak poważnie potraktują zagrożenie, jak bardzo to zagrożenie do nich przemówi. Powtarzam, moim zdaniem papież nie blefuje. Jego pochodzenie, jego przeszłość i odwaga: tego nie da się w żaden sposób podważyć. Dlatego uważam, że zagrożenie jest jak najbardziej realne. Ale pytaniem ważniejszym jest to, jak ocenią je oni...

– Proszę, niech pan mówi – rzucił łagodnie sir Basil.

– Jeśli będą mądrzy na tyle, żeby je dostrzec... Tak, na ich miejscu bardzo bym się tym zaniepokoił, może nawet trochę wystraszył. Uważają się za supermocarstwo, za potęgę równą Ameryce, i tak dalej, ale w głębi serca wiedzą, że jest to pogląd niczym nieuzasadniony.

Byłem na wykładzie Kissingera w Georgetown... – Jack usiadł wygodniej i na chwilę zamknął oczy, żeby lepiej odtworzyć tamte chwile. – Pod koniec, charakteryzując radzieckich przywódców, opowiedział nam pewną historię. Breżniew oprowadzał go po Kremlu; Nixon miał przyjechać tam na swój ostatni szczyt. Szli, a Breżniew zdejmował pokrowce z rzeźb, żeby pokazać mu, jak dokładnie je odkurzyli, jak starannie przygotowali się do wizyty. Zastanawiałem się wtedy, dlaczego to robił. Przecież mają tam sprzątaczkę i konserwatorów.

Więc po co ta demonstracja? Musiała mieć związek z ich poczuciem niższości, z podświadomym brakiem pewności siebie. Wmawiają nam, że Rosjanie mają trzy metry wzrostu, ale nie sędzę, bo im więcej o nich czytam, tym mniej się ich boję. Od paru miesięcy dyskutuję o tym z admirałem. Zgoda, mają wielką armię, mają znakomity wywiad, są olbrzymami.

Przypominają wielkiego, paskudnego niedźwiedzia, jak mawiał Muhammad Ali. Ale wie pan, Ali tego niedźwiedzia pokonał, i to aż dwa razy, prawda? Poszedłem trochę okrężną drogą, ale tak, myślę, że ten list ich przerazi. Pytanie tylko, czy do tego stopnia, że postanowią coś zrobić. – Ryan pokręcił głową. – Możliwe, że tak, ale na razie mamy za mało danych.

Jeśli zdecydują się nacisnąć guzik, czy ktoś nas o tym uprzedzi?

Charleston tylko czekał, aż Jack spróbuje odwrócić sytuację na swoją korzyść.

– Mamy taką nadzieję, ale to nic pewnego.

– Pracuję w Langley od roku i odnoszę wrażenie, że nasza wiedza o Rosji jest w niektó-

rych dziedzinach głęboka, lecz bardzo zawężona, w innych zaś płytką, lecz szeroką. Nie spotkałem jeszcze nikogo, kto analizując sytuację w ZSRR, czułby się jak ryba w wodzie. Nie, to nieprawda. Niektórzy tak się czują, ale ich analizy są często – przynajmniej dla mnie – zupełnie niewiarygodne. Choćby materiały na temat ich gospodarki...

– James je panu udostępnia? – przerwał mu zaskoczony sir Basil.

– Przez pierwsze dwa miesiące ganiał mnie po wszystkich wydziałach. Kończyłem ekonomię w Boston College. Przed wstąpieniem do piechoty morskiej zrobiłem dyplom biegle-36

go księgowego; tu nazywacie to chyba inaczej. Po wojsku powiodło mi się na giełdzie, a potem zrobiłem doktorat i zacząłem wykładać.

– Dokładnie ile zarobił pan na Wall Street?

– W Merrill Lynch? Sześć, siedem milionów. Najwięcej na Chicago & North Western Railroad. Wujek Mario, brat mojej matki, uprzedził mnie, że pracownicy kolei zamierzają wykupić akcje, żeby firma odzyskała dawną rentowność. Przyjrzałem się temu i uznałem, że warto zainwestować. Za jednego dolara dostałem na rękę dwadzieścia trzy. Powinienem był

wyłożyć więcej, ale w Merrill Lynch nauczono mnie konserwatywnej powściągliwości; nawiasem mówiąc, w Nowym Jorku na nic mi się nie przydała. Pracowałem w Baltimore. Tak czy inaczej, pieniądze są ulokowane w akcjach, ale rynek jakoś się trzyma. Teraz też się w to bawię. Nigdy nie wiadomo, kiedy coś się trafi, poza tym to ciekawe hobby.

– Owszem. Gdyby zauważył pan coś obiecującego, proszę dać mi znać.

– Bez honorarium, ale i bez gwarancji – zażartował Ryan.

– Nie przywykłem do gwarancji, nie w tej cholernej branży. Przydzielę pana do grupy rosyjskiej, do Simona Hardinga. Skończył Oxford, zrobił doktorat z literatury rosyjskiej. Bę-

dzie pan wiedział wszystko to co on. Wszystko oprócz...

Ryan podniósł do góry obie ręce.

– Panie dyrektorze, informatorzy to wasza sprawa. Nie chcę ich znać, bo w nocy nie zmrużyłbym oka. A tak będę miał dostęp tylko do surowych informacji. Wolę analizować je sam. Ten Harding to bystry gość? – spytał z celową prostodusznością.

– Bardzo. Prawdopodobnie czytał pan jego prace. Sporządził dla nas portret psychologiczny Jurija

Andropowa. Przekazaliśmy go wam dwa lata temu.

– Tak, rzeczywiście, czytałem. Dobra robota. Myślałem, że napisał to jakiś psycholog.

– Harding studiował psychologię, ale za krótko, nie zrobił dyplomu. Bardzo inteligentny człowiek. Jego żona jest artystką, malarką. Urocza niewiasta.

– Poznam go już teraz?

– Czemu nie? Muszę wracać do pracy. Chodźmy, zaprowadzę pana.

Nie musieli daleko iść. Ryan zdał sobie sprawę, że będzie pracował tu, na najwyższym piętrze gmachu. To go zaskoczyło. Zdobyć gabinetu na szóstym piętrze w Langley trwało lata i często pociągało za sobą wspinaczkę po trupach. Pewnie uznali, że jest bardzo inteligentny.

Gabinet Simona Hardinga nie należał do zbyt okazałych. Okna wychodziły na północ, na dwa czy trzy ceglane budynki, których przeznaczenie trudno było odgadnąć. Natomiast sam Harding okazał się mężczyzną dobijającym czterdziestki, bladym, jasnowłosym i błękit-nookim. Był w rozpiętej kamizelce – tutaj nazywano to bezrękawnikiem – i w brązowym krawacie. Na jego biurku walały się kartonowe teczki oklejone prążkowaną taśmą, którą niemal na całym świecie oznaczano materiały tajne i poufne.

– Sir John, prawda? – Harding odłożył fajkę.

37

– Jack – poprawił go Ryan. – Nie wolno mi udawać rycerza. Poza tym nie mam ani konia, ani kolczugi. – Uścisnął mu rękę. Harding miał małe, kościste dłonie, ale z oczu biła mu inteligencja.

– Dobrze się nim zaopiekuj, Simon – powiedział sir Basil i szybko wyszedł.

Pod oknem czekało już podejrzanie czyste biurko i obrotowy fotel. Jack usiadł, żeby go wypróbować. Uznał, że będzie im tu trochę ciasno, ale całkiem do przyjęcia. Jego telefon stał

na plastikowym pudle szyfratora. Ryan zastanawiał się, czy angielskie szyfratory działają równie dobrze, jak amerykańskie STU, te z Langley. GCHQ, Główna Kwatera Łączności Rządowej w Cheltenham, współpracowała z Agencją Bezpieczeństwa Narodowego, więc może wnętrze telefonu były takie same. Nieustannie musiał sobie przypominać, że jest w obcym kraju. Miał nadzieję, że nie sprawi mu to zbyt wielkich trudności. Miejscowi mówili tutaj z zabawnym akcentem – *graaas, raaasbry, kaaasl* – ale dzięki amerykańskim filmom i telewizji angielszczyzna powoli, acz wyraźnie zaczynała przesiąkać amerykańszczyzną.

– Basil mówił ci o papieżu? – spytał Simon.

– Tak. Ten list to prawdziwa bomba. Zastanawia się, jak zareagują na niego Rosjanie.

– Tak, wszyscy się tu zastanawiamy. A ty? Jak sądzisz?

– Właśnie powiedziałem twojemu szefowi, że gdyby na Kremlu siedział Stalin, pewnie chciałby skrócić papieżowi życie, ale byłaby to piekielnie ryzykowna zagrywka.

– Sęk w tym, że chociaż ci z Biura Politycznego podejmują decyzje kolegiально, następcą Breżniewa będzie najprawdopodobniej Andropow, a on może być mniej powściągliwy od pozostałych.

Jack usiadł wygodniej.

– Dwa lata temu przyjaciele mojej żony ze szpitala Johns Hopkinsa polecieli do Moskwy. Michaił Susłow miał retinopatię cukrzycową oczu – jest sercowcem i krótkowidzem –

więc pojechali tam, żeby dać Rosjanom pokaz najnowszych technik operacyjnych. Cathy była wtedy stażystką, ale zabrał się z nimi Bernie Katz, znakomity chirurg oczny i bardzo równy facet. Kiedy wrócił, nasi ludzie go przepytali, jego i całą resztę. Czytałeś ten raport?

– Nie – odrzekł Simon z wyraźnym zainteresowaniem w oczach. – Ciekawy?

– Jestem mężem lekarki i nauczyłem się słuchać tego, co mówi o ludziach. Berniego też warto posłuchać. Albo przeczytać ten raport. Pacjenci są wobec lekarzy szczerzy, a lekarze dostrzegają rzeczy, na które większość z nas nie zwraca uwagi. Tak czy inaczej, Bernie powiedział, że Susłow jest bardzo inteligentny, uprzejmy i konkretny, ale ma w sobie coś takiego, że nie zaufałyby mu nawet z rewolwerem w ręku – z rewolwerem, a w jego przypadku ze skalpelem. Nie podobało mu się, że wzrok ratują mu Amerykanie. Że nie potrafią tego zrobić jego rodacy. Z drugiej strony cały zespół twierdził, że po operacji ugościli ich iście po kró-

lewsku. Widać z tego, że nie są kompletnymi barbarzyńcami, jak myślał Bernie; jest Żydem, jego rodzina wyjechała z Polski chyba jeszcze za cara. Jak chcesz przeczytać ten raport, poproszę, żeby go tu przysłali.

Harding machnął ręką, gasząc zapałkę.

– Tak, chętnie. Rosjanie to dziwni ludzie. Pod pewnymi względami niezwykle kulturalni. Rosja to jedyny kraj na świecie, gdzie można nieźle zarobić na pisaniu wierszy. Oni czczą 38

swoich poetów, co jest godne podziwu, jednocześnie... Nawet Stalin niechętnie prześladował

artystów, przynajmniej ludzi pióra. Pamiętam, jeden z nich żył dłużej, niż można się było spodziewać, ale i tak wykończyli go w gułagu. Jak z tego widać, ich ucywilizowanie ma granice.

– Znasz rosyjski? Ja nie.

Harding skinął głową.

– Cudowny, język, zwłaszcza ten literacki. Coś jak attycka greka. Znakomity do poezji, bo ukrywa ich zdolność do mrożącego krew w żyłach okrucieństwa. Pod wieloma wzglę-

dami dość łatwo ich rozgryźć, zwłaszcza, jeśli chodzi o politykę, o podejmowanie decyzji.

Nieprzewidywalność Rosjan to rezultat walki głęboko zakorzenionego konserwatyizmu z politycznymi dogmatami. Nasz przyjaciel Susłow choruje na serce – przypuszczalnie z powodu cukrzycy – ale jego następcą będzie prawdopodobnie Michaił Jewgieniewicz Aleksandrow, Rosjanin i marksista o moralności Ławrientija Berii. Nienawidzi Zachodu. Pewnie namawiał Susłowa – są starymi, bardzo starymi przyjaciółmi – żeby raczej oślepl, niż przyjął

pomoc amerykańskich chirurgów. Mówisz, że ten Katz jest Żydem? Fatalnie. Nieciekawy facet, według Aleksandrowa naturalnie. Kiedy Susłow umrze, a naszym zdaniem wyzionie ducha już za kilka miesięcy, Michaił Jewgieniewicz zostanie nowym ideologiem Biura Politycznego. I poprze każdą decyzję Andropowa, nawet jeśli będzie to decyzja o zamachu na Jego Świątobliwość.

– Naprawdę myślisz, że mógłby się do tego posunąć?

– Tak, to możliwe.

– Czy ten list trafił już do Langley?

Harding kiwnął głową.

– Dziś rano odebrał go szef waszej placówki. Na pewno macie swoje dojścia, ale po co ryzykować.

– Fakt. Jeżeli ruscy zrobią jakiś drastyczny krok, rozpęta się piekło.

– Możliwe, ale oni widzą to zupełnie inaczej.

– Wiem, tylko trudno mi to sobie wyobrazić.

– Tak, trzeba na to czasu – zgodził się z nim Simon.

– Pomaga ci w tym ich poezja? – Ryan praktycznie nie znał rosyjskiej poezji, poza tym czytał ją w przekładzie, a wiersze powinno się czytać w oryginale.

Harding pokręcił głową.

– Nie bardzo. Niektórzy poeci wyrażają w ten sposób swój protest. Protest musi być bardzo zakamuflowany, żeby ci głupszy mogli cieszyć się lirycznym hołdem, złożonym powabnym kształtom jakiejś dziewicy, nie zauważając rozpaczliwego krzyku, wołania o wolność słowa. W KGB jest pewnie specjalny wydział, w którym analizują wiersze pod kątem ukrytego znaczenia politycznego, na które nikt nie zwraca szczególnej uwagi, dopóki ci z Biura Politycznego nie stwierdzą, że wiersz jest zbyt wyrazisty seksualnie. To banda pruderyjnych starców... Pod tym względem są moralni, pod

innym już nie. To dziwne.

– Cóż, trudno ich ganić za to, że potępili *Debbie zalicza Dallas* – rzucił Ryan.

39

Harding omal nie zakrztusił się dymem z fajki.

– Właśnie. *Król Lear* to nie jest, co? Oni kręcą i wystawiają Tolstoja, Czechowa i Pasterna-ka.

Jack żadnego z nich nie czytał, ale uznał, że nie jest to pora, żeby się do tego przyznawać.

– Co takiego? – spytał Aleksandrow.

To, że wybuchnie wściekłością, było do przewidzenia, chociaż tym razem jakby tę wściekłość stłumił. Może podnosi głos tylko na posiedzeniach Biura, pomyślał Andropow, gdy ma dużo słuchaczy. Albo w obecności podwładnych z Sekretariatu. Tak, to bardziej prawdopodobne.

– Macie tu oryginał i tłumaczenie – odrzekł, podając mu dokumenty.

Przyszły ideolog partyjny wziął je i przeczytał. Czytał powoli, żeby karmić swą wściekłość każdym, najdrobniejszym nawet niuanssem. Andropow czekał, paląc papierosa. Poczę-

stował gościa wódką, lecz ten jej jak dotąd nie tknął.

– Nasz święty robi się coraz ambitniejszy – powiedział w końcu Aleksandrow, odkładając list na stolik do kawy.

– Otóż to – odrzekł Jurij Władimirowicz.

– Czuje się niezniszczalny? – Wyraźne rozbawienie w głosie. – Zdaje sobie sprawę z następstw takich gróźb?

– Moi eksperci uważają, że to nie blef. Następstwa? Nie, on się chyba ich nie boi.

– Skoro chce zostać męczennikiem, może powinniśmy mu to ułatwić... – Sposób, w jaki to powiedział, zmroził krew w żyłach nawet Andropowowi. Nadeszła pora, żeby go przestrzec. Problem z ideologami polegał na tym, że ich teorie nie zawsze uwzględniały realia, na które byli po prostu ślepi.

– Michaile Jewgieniewiczu, to poważna decyzja, mogą być konsekwencje...

– Nie tak duże, Jurij, nie tak duże – odparł Aleksandrow. – Ale tak, zgoda, zanim cokolwiek postanowimy, trzeba to dokładnie przemyśleć.

– Co sądzi o tym towarzysz Susłow? Rozmawialiście z nimi?

– Misza jest ciężko chory – odrzekł Aleksandrow bez cienia żalu w głosie. Co trochę Andropowa zdziwiło. Jego gość dużo Susłowowi zawdzięczał, ale z drugiej strony wszyscy ideologowie żyli w swoim własnym, małym i ograniczonym świecie. – Obawiam się, że niedługo odejdzie.

To z kolei Andropowa nie zaskoczyło. Wystarczyło na niego spojrzeć, choćby na posiedzeniu Biura. Miał zrozpaczony wyraz twarzy człowieka, który wie, że stoi nad grobem: przed śmiercią chciałby zbawić świat, lecz raptem stwierdza – cóż za przykra niespodzianka

– że przekracza to jego możliwości. Czyżby w końcu zrozumiał, że marksizm i leninizm to zła droga? On, Andropow, doszedł do tego wniosku mniej więcej przed pięcioma laty. Ale nie, o takich rzeczach na Kremlu się nie rozmawiało. A już na pewno nie z Aleksandrowem.

40

– Był z nami przez wiele lat. Jeśli to prawda, będzie nam go bardzo brakowało – rzekł poważnie, bijąc pokłon przed ołtarzem marksizmu i jego gasnącym kapłanem.

– Tak – odrzekł Aleksandrow, grając swoją rolę równie dobrze, jak Andropow. Jak wszyscy członkowie Biura Politycznego. Grali, ponieważ tego od nich oczekiwano, ponieważ było to konieczne. Nieszczere, z gruntu fałszywe, lecz konieczne.

Podobnie jak jego gość, Jurij Władimirowicz wierzył nie dlatego, że po prostu wierzył, tylko dlatego, że udawana wiara była źródłem najważniejszego: władzy. Ciekawe, zastanawiał się teraz, co Aleksandrow odpowie. On potrzebował jego, a Michaił Jewgieniewicz –

może nawet jeszcze bardziej – jego. Aleksandrow miał za małe wpływy, żeby zostać sekretarzem generalnym Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego. Szanowano go za teoretyczną wiedzę i za oddanie religii, jaką stał się w tym kraju marksizm-leninizm, ale żaden z członków Biura nie uważał go za dobrego kandydata na przywódcę. Jednakże wszyscy zdawali sobie sprawę, że jego poparcie będzie miało olbrzymie znaczenie dla każdego, kto zechce zająć fotel Breżniewa. Podobnie jak w średniowieczu, kiedy to najstarszy syn zostawał nowym panem na włościach, a jego młodszy brat biskupem diecezji, Aleksandrow – jak swego czasu Susłow – musiał przedstawić duchowe – czy to aby odpowiednie słowo? – uza-sadnienie popierające tego, kto przejmował władzę. System gwarantujący zachowanie równowagi politycznej pozostawał nienaruszony, był może tylko bardziej przewrotny niż dawniej.

– Kiedy nadejdzie czas, zajmiecie jego miejsce – rzucił Andropow, proponując przymierze.

Aleksandrow – znowu ta fałszywa skromność – oczywiście zaprotestował:

– W Sekretariacie naszej partii jest wielu godnych następców.

Przewodniczący Komitetu Bezpieczeństwa Państwowego lekceważąco machnął ręką.

– Jesteście najstarsi i cieszyacie się największym zaufaniem.

O czym Michaił Jewgieniewicz dobrze wiedział.

– To miło, że tak mówisz, Jurij. A więc co zrobimy z tym głupim Polakiem?

I właśnie to, te odważne słowa, miały być kosztem przymierza. Żeby Aleksandrow poparł jego kandydaturę na stanowisko sekretarza generalnego, Andropow musiał wymościć mu łóżko, robiąc coś... No cóż, coś, o czym od dawna myślał. Zabieg zupełnie bezbolesny, prawda?

Przybrał konkretny, służbowy ton głosu:

– Misza, tego rodzaju operacja nie jest trywialną wprawką. Trzeba ją bardzo starannie przeanalizować i zaplanować, przygotować z zachowaniem najwyższych środków ostrożno-

ści, a potem musi ją zatwierdzić Biuro Polityczne.

– Widzę, że już to sobie przemyślałeś...

– Myślę o wielu rzeczach, ale marzenie to jeszcze nie plan. Żeby z tym ruszyć, trzeba najpierw wszystko dokładnie rozważyć, sprawdzić, czy to w ogóle możliwe. Ostrożnie, krok po kroku. Ale nawet wtedy nie będziemy mieli żadnej gwarancji, że się uda. To nie film, Misza. Prawdziwy świat jest bardzo złożony. – Zamiast zaglądać do realnego świata przemocy 41

i jej krwawych konsekwencji, trzymaj się lepiej swoich zabawek i ulotnych teorii: bardziej dosadnie nie mógł mu tego powiedzieć.

– Cóż, jesteś wiernym członkiem partii. Wiesz, o jaką stawkę toczy się gra. – Tymi słowami Aleksandrow przekazał mu stanowisko Sekretariatu. Dla Michaiła Jewgieniewicza państwo było partią i tym, w co partia wierzyła. A Komitet Bezpieczeństwa Państwowego był tego państwa mieczem i tarczą.

Najdziwniejsze jest to, pomyślał Andropow, że ten polski papież myśli pewnie tak samo, że tak samo traktuje swoją wiarę i swój świat. Ale jego poglądy nie są chyba ideologią, przynajmniej nie w ścisłym tego słowa znaczeniu. Cóż, dla naszych potrzeb przyjmijmy, że są.

– Moi ludzie uważnie się temu przyjrzą. Nie potrafimy dokonać rzeczy niemożliwej, ale...

– Czy dla Komitetu Bezpieczeństwa Państwowego Związku Radzieckiego istnieją rzeczy

niemożliwe? – Retoryczne pytanie, krwawa odpowiedź. Odpowiedź niebezpieczna, bardziej niebezpieczna, niż Aleksandrow to sobie wyobrażał.

Oni wszyscy są tacy sami, pomyślał Andropow. Ten tu, pijąc jego starkę, bezgranicznie wierzył w ideologię, której nie można było udowodnić. I żądał śmierci człowieka, który również wierzył w coś, czego nie sposób dowieść. Ciekawa sprawa. Bitwa na lękające się siebie nawzajem idee. Strach? Czego bał się Wojtyła? Na pewno nie śmierci. Deklarował to bez słów w swoim liście. Ba! on się głośno śmierci domagał. Chciał zostać męczennikiem.

Dlaczego? Po co? – zastanawiał się przez chwilę Andropow. Żeby wykorzystać swoje życie lub śmierć jako broń wymierzoną we wroga. A ich – Związek Radziecki i komunizm – na pewno uważał za wrogów. Związek Radziecki z powodów nacjonalistycznych, komunizm z powodu przekonań religijnych. Ale czy się tego wroga bał?

Nie, dumął Jurij Władimirowicz. Chyba nie. Tym trudniejsze będzie zadanie. Organizacja, którą kierował, wygrywała dzięki strachowi. Strach był źródłem jej mocy, a człowiekiem nieustraszonym nie da się manipulować...

Ale tych, którymi nie da się manipulować, zawsze można zabić. Ostatecznie kto dziś pamięta Lwa Trockiego?

– Nie, takich rzeczy jest niewiele – odrzekł z dużym opóźnieniem. – Pozostałe są po prostu trudne.

– A więc pomyślisz o tym?

Andropow powściągliwie skinął głową.

– Tak, jutro. Z samego rana.

Machina ruszyła.

Rozpoznanie

- Jack ma już swoje biurko – oznajmił Greer kolegom z szóstego piętra.
- Cieszę się – odrzekł Ritter. – Myślisz, że wie, co z nim zrobić?
- Bob, co ty masz do tego Ryana? – spytał dyrektor do spraw wywiadu.
- Twój jasnowłosy chłopczyk za szybko się wspina. Pewnego dnia spadnie i będzie brzydki klops.
- Chcesz, żebym zrobił z niego kolejnego urzędasza? – James Greer często kłócił się z Ritterem, odpierając jego zarzuty, że wydział do spraw wywiadu jest większy i, w konsekwencji, ma większą siłę przebicia. – Ty też masz u siebie kilka wschodzących gwiazd. Ten chłopak ma możliwości, dlatego pozwolę mu biec, dopóki nie wpadnie na mur.
- Już słyszę ten plask – mruknął Ritter. – Dobra. Który z klejnotów koronnych chce wręczyć naszym brytyjskim kuzynom?
- Nie prosi o nic wielkiego. Chce, żebyśmy przesłali Anglikom raport w sprawie Susło-wa, który sporządzili nasi chirurdzy po powrocie z Rosji.
- To oni jeszcze tego nie mają? – Sędzia Moore nawet się nie zdziwił. Cóż, ostatecznie nie chodziło o jakiś superważny dokument.
- Pewnie go nie chcieli. Zresztą z tego co tu widzę, Susłow długo nie pociągnie.

CIA miała wiele sposobów na określenie stanu zdrowia przywódców radzieckich, zwłaszcza tych starszych. Najpopularniejszym były zdjęcia, a jeszcze lepiej filmy. Agencja zatrudniała lekarzy – najczęściej profesorów z najlepszych akademii medycznych – którzy na podstawie zdjęć stawiali diagnozę, badając pacjenta z odległości sześciu tysięcy czterystu kilometrów. Nie było to najskuteczniejsze rozwiązanie, ale lepszy rydz niż nic. Poza tym po każdej wizycie na Kremlu ambasador amerykański spisywał swoje spostrzeżenia, przekazując im wszystkie, nawet najmniej znaczące szczegóły. Często powracano też do pomysłu, żeby ambasadorem w Moskwie został lekarz, ale jak dotąd go nie zrealizowano. Natomiast o wiele częściej wydział do spraw wywiadu otrzymywał polecenie zdobycia próbki moczu jakiegoś ważnego zagranicznego męża stanu; mocz jest dobrym materiałem diagnostycznym. Pociągało to za sobą konieczność dokonania niezwykłych przeróbek kanalizacji w Blair House naprzeciwko Białego Domu, gdzie dygnitarze ci się zatrzymywali, a także – od czasu do czasu – włamań do gabinetów lekarskich na całym świecie. Poza tym plotki. Zawsze można było wykorzystać plotki, zwłaszcza krążące tam, w Rosji. A wszystko to wynikało z przekonania, że zdrowie człowieka wywiera wpływ na sposób myślenia i podejmowania decyzji. Moore, Greer i Ritter często żartowali, że równie dobrze mogliby zatrudnić parę Cyganek, i twierdzili – nie bez kozery – że ich diagnozy byłyby nie mniej dokładne jak te, które stawiali dobrze opłacani zawodowi funkcjonariusze wywiadu. W Fort Meade, w stanie Maryland, zainicjowano też przedsięwzięcie pod kryptonimem „Gwiazdne Wrota”, w któ-

rym uczestniczyli ludzie obdarzeni jeszcze większym darem niż Cyganki; projekt ten rozpoczęto głównie dlatego, że Sowietci rozpoczęli podobny.

– Aż tak ciężko choruje? – spytał Moore.

43

– Z tego, co widziałem trzy dni temu, nie dotrwa do Bożego Narodzenia. Ostra niewydolność serca. Mamy zdjęcie, na którym łyka coś, co wygląda jak tabletkę nitrogliceryny. Zły znak. Czerwony Mike – tak tu nazywano Susłowa – ma poważne kłopoty.

– I zastąpi go Aleksandrow? Też mi interes – rzucił lapidarnie Ritter. – Tuż po narodzinach zamieniły ich Cyganki. Wielki bóg Marks i jego kolejny kapłan.

– Nie wszyscy mogą być baptystami, Robercie – zauważył sędzia Moore.

– Przyszło dwie godziny temu faksem z Londynu. – Greer rozdał im kartki. Najlepsze zachował na koniec: – To może być ważne.

Bob Ritter był wielojęzycznym mistrzem szybkiego czytania.

– Chryste!

Moore czytał powoli. No pewnie, że powoli, myślał. Jak na sędziego przystało. Odezwał się dopiero dwadzieścia sekund później:

– Boże święty... A nasi milczą?

Ritter poprawił się w fotelu.

– To trwa, Arthurze, a Foleyowie jeszcze się nie urządzili.

– Na pewno usłyszymy o tym od Kardynała. – Nieczęsto wymieniali ten kryptonim.

Wśród klejnotów koronnych CIA Kardynał był brylantem Cullinana.

– Powinniśmy, jeśli tylko Ustinow powie coś na ten temat, a przypuszczam, że powie.

Jeżeli ruscy coś zrobią...

– A zrobią? – rzucił dyrektor do spraw wywiadu.

– Na sto procent, rusz głową – odparł natychmiast Ritter.

– To poważny krok. – Greer myślał trochę trzeźwiej. – Myślicie, że Jego Świątobliwość chce ich sprowokować? Niewielu potrafi podejść do klatki, otworzyć drzwiczki i pokazać tygrysowi język.

– Będę musiał pokazać to prezydentowi. – Moore próbował zebrać myśli. Nazajutrz o dziesiątej rano miał cotygodniowe spotkanie w Białym Domu. – Nuncjusz wyjechał, tak? –

Ale jego zastępcy tylko wzruszyli ramionami. Ktoś będzie musiał to sprawdzić...

– Nuncjusz? – Znowu Ritter. – Ale co byś mu powiedział? Watykańscy doradcy na pewno próbowali to papieżowi wyperswadować.

– James?

– Cofamy się do czasów Nerona. Wygląda to tak, jakby groził Rosjanom swoją śmiercią...

Do diaska, czy ludzie naprawdę tak myślą?

– James, czterdzieści lat temu narażałeś życie dla kraju. – Podczas drugiej wojny światowej Greer służył na okrętach transportowych i w klapie marynarki często nosił złotą miniaturkę z delfinami.

– Ryzykowałem jak wszyscy inni. Ale nie pisałem do generała Tojo, żeby zawiadomić go, gdzie jestem.

44

– Ten facet ma jaja – tchnął Ritter. – Już takiego widzieliśmy. Doktor King też się nigdy przed niczym nie cofał...

– A Ku-Klux-Klan był dla niego równie niebezpieczny, jak KGB dla papieża – dokończył

myśl Moore. – Duchowni widzą świat inaczej niż my. Patrzą przez pryzmat czegoś, co nazywają cnotą. – Nachylił się ku nim. – No dobrze. Jeśli prezydent mnie o to spyta, a spyta na sto procent, co mam mu, do diabła, powiedzieć?

– Że nasi rosyjscy przyjaciele mogą dojść do wniosku, że Jego Świątobliwość dość już się nażył – odrzekł Ritter.

– To cholernie duży i niebezpieczny krok – zaoponował Greer. – Żaden komitet i żadne biuro polityczne tego nie robi.

– To może zrobić – odparował dyrektor do spraw operacyjnych.

– Musieliby za to słono zapłacić. Dobrze o tym wiedzą. Ci ludzie są szachistami, nie hazardzistami.

– Ten list przyprze ich do muru – nie ustępował Ritter. – Arthurze, moim zdaniem życie papieża jest w niebezpieczeństwie.

– Jest za wcześnie, żeby to jednoznacznie stwierdzić – polemizował z nim Greer.

– Nie, jeśli przypomnisz sobie, kto kieruje KGB. Andropow to człowiek partii. Jeżeli w ogóle jest komuś wierny, to na pewno swojej organizacji, a nie powszechnie przyjętym normom, które my nazywamy zasadami. Jeśli ten list ich wystraszy albo chociaż zaniepokoi, nie mam wątpliwości, że zaczną o tym myśleć. Papież rzucił im rękawicę, panowie. A oni mogą ją podnieść.

– Czy któryś papież już coś takiego zrobił? – spytał z powagą sędzia Moore.

– Czy zrezygnował z pontyfikatu? – odrzekł Greer. – Chyba nie. Nie wiem nawet, czy może zrezygnować. Ale wiem, że byłby to cholernie wymowny gest. Musimy założyć, że on nie żartuje. Moim zdaniem to nie blef.

– Nie – przyznał mu rację Moore. – Na pewno nie.

– Ten człowiek jest lojalny wobec swoich ludzi. Musi taki być. Kiedyś był proboszczem.

Chrzcił dzieci, udzielał ślubów. On tych ludzi zna. Nie są dla niego bezosobową masą: on ich chrzcił i grzebał. To są jego rodacy, jego owieczki. Na pewno uważa Polskę za swoją parafię.

Czy pozostanie im wierny, jeśli ktoś zagrozi mu śmiercią? Oczywiście, bo czyż mógłby ich zdradzić? – Ritter pochylił się do przodu. – To nie jest kwestia odwagi osobistej. Jeżeli tego nie zrobi, Kościół katolicki straci twarz. Nie, panowie, ten człowiek nie żartuje, nie blefuje.

Pytanie tylko, jak możemy w tej sytuacji zareagować?

– Przestrzec Rosjan? – myślał głośno Moore.

– Wykluczone – odparował Ritter. – Dobrze o tym wiesz. Jeśli zorganizują operację, bę-

dzie miała więcej pośredników niż jakakolwiek operacja mafijna. Papież ma dobrą ochronę?

– Nie mam zielonego pojęcia – wyznał dyrektor CIA. – Są tam ci Szwajcarzy, ci w galo-wych mundurach i z halabardami... Czy oni w ogóle kiedyś walczyli? Chociaż raz?

– Chyba tak – odrzekł Greer. – Dawno temu, za innego papieża. Próbowano go zabić i osłaniali go, żeby mógł uciec z miasta. Większość z nich zginęła.

– A teraz pozują głównie do zdjęć i wskazują turystom drogę do toalety... – myślał głośno Ritter. – Ale nie, przecież muszą go jakoś ochraniać. Papież jest zbyt ważną figurą, mógłby zaatakować go jakiś wariat... Technicznie rzecz biorąc, Watykan jest suwerennym państwem, więc, jak w każdym państwie, muszą tam funkcjonować określone struktury i mechanizmy. Moglibyśmy ich ostrzec...

– Gdybyśmy tylko wiedzieli przed czym – zauważył Greer. – A my nie wiemy, prawda?

Wysyłając list, musiał zdawać sobie sprawę, że potrząśnie drzwiczkami paru klatek. Jeżeli ma jakąś ochronę, na pewno już ich zaalarmowano.

– Prezydenta też mocno to zaniepokoi. Zechce poznać szczegóły, nasze opinie. Jezu, ludzie, odkąd wygłosił to przemówienie o „imperium zła”, zaczęły się kłopoty. Jeśli ruscy coś zrobią, wybuchnie jak Góra Świętej Heleny, nawet jeśli nie uda nam się udowodnić, że to ich sprawka. W Stanach mieszka prawie sto milionów katolików. Mnóstwo z nich na niego głosowało.

James Greer zastanawiał się, czy i kiedy sprawa może wymknąć się im z rąk.

– Panowie, jak na razie mamy tylko faks z kopią listu do polskiego rządu w Warszawie.

Nie wiemy na pewno, czy list ten dotarł już do Moskwy. Jak dotąd Rosjanie nie zareagowali, a przynajmniej niczego takiego nie odnotowaliśmy. Dlatego nie możemy powiedzieć im, że o tym wiemy. Skoro tak, nie możemy też im niczym zagrozić, bo byśmy się zdradzili. Z tego samego powodu nie możemy powiedzieć papieżowi, że się niepokoi. Miejmy nadzieję, że jeśli Rosjanie postanowią zareagować, uprzedzi nas o tym któryś z ludzi Boba. Watykan też ma całkiem niezły wywiad. Podsumowując: na razie dysponujemy jedynie ciekawą informacją, informacją najpewniej prawdziwą, lecz jak dotąd niepotwierdzoną.

– Proponujesz, żebyśmy usiedli i spokojnie to przemyśleli? – spytał Moore.

– Nic innego nie możemy zrobić. Rosjanie szybko nie zareagują. W sprawach ważnych politycznie zawsze biorą na wstrzymanie. Bob?

– Tak, chyba masz rację – odrzekł zastępca do spraw operacyjnych. – Mimo to prezydent powinien o tym wiedzieć.

– Mamy za mało szczegółów... – wahał się Greer. – Ale tak, chyba powinien. – Zdawał

sobie sprawę, że gdyby mu o tym nie powiedzieli i gdyby doszło do czegoś niebezpiecznego, musieliby poszukać sobie nowej pracy. – Jeżeli Rosjanie postanowią ruszyć sprawę do przodu, powinniśmy dowiedzieć się o tym, zanim zrobią coś drastycznego.

– Dobrze, powiem mu to – odparł sędzia Moore. „Panie prezydencie, uważnie tę kwestię badamy”. To zwykle skutkowało. Zadzwoił do sekretarki i poprosił o więcej kawy. Nazajutrz o dziesiątej

wejdzie do Gabinetu Ovalnego, zapozna prezydenta z sytuacją, a potem, po lunchu, odbędzie cotygodniową posiedzenie z szefem Agencji Wywiadowczej Obrony i szefem Agencji Bezpieczeństwa Narodowego. Kolejność powinna być odwrotna, ale taki mieli harmonogram.

Pierwszego dnia pracy Ed Foley siedział w biurze trochę dłużej, niż się spodziewał. Zaimponowało mu moskiewskie metro. Jego wnętrzu musiał zaprojektować ten sam szalowiec, który zaprojektował tortowaty gmach Uniwersytetu Moskiewskiego, budowlę uwielbianą przez Stalina, którego zmysł estetyczny był równie obłąkany, jak on sam. Carski pałac w 46

delirycznej wizji nałogowego alkoholika – tak to mniej więcej wyglądało. Ale perony były bardzo starannie wykończone, choć może trochę za ciasne. Z drugiej strony tłok był jego największym sprzymierzeńcem. Przekazanie czy odebranie przesyłki „na mijankę” nie nale-

żało w takich warunkach do zadań trudnych, zwłaszcza jeśli przestrzegało się wpojonych podczas szkolenia zasad. A on, Edward Francis Foley, zawsze ich przestrzegał. Teraz wiedział już na pewno, że Mary Pat tu się spodoba. Takie otoczenie było dla niej tym, czym Disney World dla małego Eddiego. Wielki tłum ludzi i wszyscy mówią po rosyjsku. On znał

rosyjski całkiem nieźle, natomiast ona mówiła językiem literackim, którego nauczyła się jeszcze na kolanach dziadka; będzie musiała celowo go kaleczyć, w przeciwnym razie miejscowi mogliby uznać, że mówi za dobrze jak na żonę zwykłego pracownika amerykańskiej ambasady.

Dojazd do pracy metrem bardzo mu odpowiadał. Z ambasady miał na stację ledwie parę kroków, ot, dwie ulice, a wysiadał dosłownie przed domem. W tych okolicznościach – mimo powszechnie znanego uwielbienia, jakim Amerykanie darzyli samochody – nawet największy paranoik z Drugiego Zarządu nie dopatrzyłby się niczego podejrzanego w tym, że tak często jeździ metrem. Rozglądając się na wszystkie strony jak każdy zagraniczny turysta, wytropił w tłumie ogon. Wiedział, że przez jakiś czas będzie ich co najmniej kilka. Pracował

w ambasadzie i Rosjanie zechcą sprawdzić, czy nie jest przypadkiem szpiegiem CIA. Postanowił zachowywać się jak niewinny Amerykanin za granicą, choć nie przypuszczał, żeby dali się nabrać. Wszystko zależało od tego, kto go aktualnie śledził, a tego oczywiście nie wiedział. Wiedział jednak – irytujące to, acz spodziewane – że będą za nim łazić przez parę tygodni. Za Mary Pat też. Niewykluczone, że nawet za małym Eddie. Sowieci byli paranoikami, ale czyż miał prawo na to narzekać? Chyba nie. Ostatecznie kazano mu wydrzeć największe tajemnice tego kraju. Przyjechał tu jako nowy szef moskiewskiej placówki CIA: jako szef incognito. Był to kolejny pomysł Boba Rittera. W normalnych okolicznościach tożsamo-

ści głównego szpiega ambasady bynajmniej nie ukrywano, ponieważ każdy z nich prędzej czy później wpadał albo przez nieudaną operację, albo przez jakiś głupi błąd. Przypominało to utratę dziewictwa. Raz stracone, już nigdy nie wracało. Ale CIA rzadko kiedy wysyłała w teren zespół złożony z męża i żony, a on strawił wiele lat na budowę tej przykrywk. Ed Foley, absolwent

nowojorskiego Fordham University, został zwerbowany bardzo wcześnie, zwerbowany, sprawdzony przez FBI i wysłany do pracy w „New York Timesie” jako reporter bez konkretnego przydziału. Napisał kilka reportaży – niezbyt wiele – i w końcu powiedziano mu, że chociaż nie zamierzają go wyrzucić, byłoby lepiej, gdyby poszukał sobie pracy w mniejszej gazecie, gdzie na pewno się wybije. Zrozumiał aluzję i załatwił sobie posadę attaché prasowego w Departamencie Stanu, pracę biurową, niezłe płatną, choć pozbawioną szerszych perspektyw. Jego oficjalnym zajęciem w ambasadzie miało być gadanie z elitą zagranicznych korespondentów największych amerykańskich gazet i sieci telewizyjnych, załatwianie im wywiadów z ambasadorem, z podlegającymi mu dyplomatami i trzymanie ich na dystans, gdy płodzili swoje ważne artykuły.

Słowem, musiał udawać kompetentnego fachowca. Kompetentnego, nic ponad to. Już teraz moskiewski korespondent „Timesa” rozpowiadał kolegom, że Foley nie ma dzienni-karskiego daru, że zawalił na całego w redakcji „najważniejszej amerykańskiej gazety”, że będąc za młody, by uczyć – uczelnie to kolejne miejsce zsyłki dla nieudaczných żurnalistów

– zrobił rzecz niewiele gorszą, to znaczy został propagandową tubą rządu. Foley musiał tę opinię nieustannie podtrzymywać, gdyż wiedział, że ci z KGB na pewno podpytają Amerykanów, chcąc ocenić tych z ambasady. Agent zyskuje najlepszą przykrywkę wtedy, gdy 47

uważają go za nudnego, nierozgarniętego przygłupa, ponieważ nudny, nierozgarnięty przygłup nie może być szpiegiem. Wielokrotnie dziękował za to Ianowi Flemingowi i filmom powstałym na podstawie jego powieści. James Bond był inteligentny i przebiegły. W przeciwieństwie do niego. Nie, Ed Foley był zwykłym urzędasem. Najbardziej zwariowane w tym wszystkim było to, że Rosjanie, których państwem rządziła banda przygłupich urzędasów, kupowali tę przykrywkę z naiwnością chłopów od gnoju ze świńskiej farmy w stanie Iowa.

W tej branży nie da się niczego przewidzieć, myślał. Ale tu, w Związku Radzieckim, się da. Przewidywalność Rosjan była jedyną rzeczą, na której nikt się jeszcze nie zawiódł.

Wszystko mieli spisane, pewnie w jakiejś wielkiej księdze, i wszyscy się do tego stosowali.

Wsiadł do wagonu, popatrzył na współpasażerów, zauważył, jak oni patrzą na niego. W

tym ubraniu wyróżniał wśród nich się jak święty w aureoli z obrazu renesansowego malarza.

– A pan kto? – Czyjś obojętny, neutralny głos.

Foley drgnął.

– Słucham? – rzucił po rosyjsku z silnym akcentem.

– *Aaa, Amierykaniec...*

– *Da, Amierykaniec. Z ambasady. Mój pierwszy dzień. Jeszcze nie znam Moskwy. – Bez względu na to, czy facet siedział mu na ogonie, czy nie, Ed doszedł do wniosku, że najlepiej będzie rozegrać to*

uczciwie.

– I jak wam się u nas podoba? – spytał tamten. Wyglądał na urzędnika. Może był agentem z kontrwywiadu KGB albo dziennikarzem. A może urzędasem z państwowej firmy i trawiła go zwykła ciekawość. Tacy też się trafiali. Czy zagadałby do niego szary człowiek z ulicy? Mało prawdopodobne. Panująca w tym kraju atmosfera ograniczała ciekawość do przestrzeni między uszami ciekawskiego, z tym że Amerykanie ciekawili ich jak wszyscy diabli. Nakazywano im ich lekceważyć, a nawet nienawidzić, a oni patrzyli na jankesów jak Ewa na zakazane jabłko.

– Metro jest bardzo ładne – odrzekł, rozglądając się najnaturalniej, jak umiał.

– Skąd pochodzicie?

– Z Nowego Jorku.

– Gracie tam w hokeja?

– Oczywiście! Od urodzenia kibicuję nowojorskim Rangersom. Tu też chcę pójść na jakiś mecz. – Mówił szczerze. Rosjanie grali w hokeja jak Mozart na fortepianie. – Wczoraj powiedzieli mi w ambasadzie, że mają dobre miejsca. Na mecz drużyny Armii Centralnej – dodał.

– Ba! – prychnął Rosjanin. – Ja kibicuję Skrzydlatym.

Kurczę, ten facet chyba nie udaje, pomyślał zaskoczony Ed. Sowieccy kibice byli wy-bredni i przywiązywali się do swoich klubów hokejowych tak samo jak Amerykanie do klubów baseballowych. Ale w Drugim Zarządzie Głównym na pewno pracowali też ludzie zwariowani na punkcie hokeja. Ostrożności nigdy nie za wiele, zwłaszcza tutaj.

– Ci z Armii to wasi mistrzowie, tak? – spytał.

– E tam, grają jak baby. Spójrzcie tylko, jak poszło im w Ameryce.

48

– Nasi grają bardziej... fizycznie, siłowo. To dobre określenie? Pewnie uważacie ich za chuliganów, tak? – Żeby obejrzeć ten mecz, pojechał pociągiem aż do Filadelfii, gdzie ku jego rozbawieniu Flyersi – bardziej znani jako Uliczni Zabijacy – utarli nosa nieco aroganckim Rosjanom. Wykorzystali nawet swoją tajną broń, podstarzałą Kate Smith, która odśpiewała *Boże, pobłogosław Ameryce*, co dla tej drużyny było jak śniadanie złożone z gwoździ i ludzkich niemowląt. Kurczę, ależ wtedy grali!

– Tak, wasi grają ostro, ale przynajmniej to nie pedały. A ci z Centralnej uważają się chyba za tancerzy z baletu Bolszój. Takie upokorzenie dobrze im robi.

- Pamiętam olimpiadę w osiemdziesiątym. To cud, że z wami wygraliśmy. Mieliście świetną drużynę.
- Jaki tam cud! Trener zasnął. Nasi bohaterowie też. Wasi grali jak natchnieni i wygrali uczciwie. A naszego trenera powinni rozstrzelać. – Tak, facet mówił jak prawdziwy kibic.
- Chciałbym, żeby mój syn nauczył się tu hokeja.
- Ile ma lat? – spytał Rosjanin ze szczerym zainteresowaniem w oczach.
- Cztery i pół.
- Dobry wiek na rozpoczęcie nauki. W Moskwie jest dużo lodowisk dla takich maluchów jak on. Nie, Wania? – Trącił łokciem siedzącego obok kolegę, który przysłuchiwał się rozmowie z zażenowaniem i ciekawością.
- Kupcie mu tylko dobre łyżwy – rzekł Wania. – W złych powykręca sobie kostki u nóg.
- Typowo rosyjska odpowiedź. W tym srogim kraju dbałość o dzieci była urzekająco prawdziwa. Sowiecki niedźwiedź miał miękkie serce dla maluchów i lodowate dla dorosłych.
- Dziękuję. Na pewno mu takie kupię.
- Mieszkacie w osiedlu dla zagraniczników?
- Tak.
- To na następnym wysiadacie.
- *Spasibo*. Do widzenia. – Foley ruszył do drzwi, skinąwszy im na pożegnanie głową.

KGB? Może, ale niekoniecznie. Jeśli KGB, na pewno zobaczy ich w metrze za kilka tygodni.

Foley tego nie wiedział, ale to przypadkowe spotkanie obserwował znad „Sowietskowo Sporta” mężczyzna stojący niecałe dwa metry dalej. Nazywał się Oleg Zajcew, a Oleg Iwanowicz Zajcew pracował w KGB.

Szef moskiewskiej placówki wysiadł i wraz z tłumem pasażerów ruszył w kierunku ruchomych schodów. Kiedyś zawiozłyby go prosto pod olbrzymi portret Stalina, ale portret już dawno temu zdjęto i miejsce to ziało teraz pustką. W powietrzu czuło się już jesienny chłód, świeży i rześki po dusznym wagonie metra. Kilkunastu pasażerów zapaliło cuchnące papierosy i każdy z nich poszedł w swoją stronę. Do ogrodzonego osiedla miał ledwie parę kroków. Czuwający w drewnianej budce umundurowany strażnik otaksował go spojrzeniem, poznał – pewnie po płaszczu – że Foley jest Amerykaninem i przepuścił go bez skinienia głową, tym bardziej bez uśmiechu. Rosjanie mało się uśmiechali. Uderzało to wszystkich odwiedzających ten kraj Amerykanów; ich posępna natura była dla obcych zupełnie niewy-tłumaczalna.

Dwa przystanki dalej Oleg Zajcew zastanawiał się tymczasem, czy powinien napisać raport. Oficerów KGB bardzo do tego zachęcano, częściowo po to, żeby mogli dowieść swej lojalności, częściowo po to, żeby mogli wykazać się nieustanną czujnością wobec „głównego przeciwnika”, jak w jego środowisku nazywano Amerykę; przede wszystkim chodziło chyba o to, żeby zademonstrować instytucjonalną paranoję, którą KGB otwarcie kultywowało. Ale Zajcew od wielu lat przerzucał w pracy papierki i nie miał ochoty pisać kolejnego, zupełnie bezsensownego meldunku. Wiedział, że jakiś urzędnik – jeden z tych na górze – spojrzy nań, w najlepszym wypadku pobieżnie przeczyta, a potem wrzuci kartkę do pudła i szybko o niej zapomni. Za bardzo cenił sobie swój czas, żeby zajmować się takimi bzdurami. Poza tym, nawet do tego Amerykanina nie zagadał. Wsiadł na swoim przystanku, wjechał schodami na górę i na rześkim, wieczornym powietrzu zapalił truda. Strasliwe paskudztwo. Miał kartę wstępu do sklepów za żółtymi firankami i mógłby kupić francuskie, angielskie, a nawet amerykańskie, ale sporo kosztowały, a jego zarobki nie były tak wielkie jak wybór dostępnych tam papierosów. Dlatego, podobnie jak miliony jego ziomków, palił popularne trudy.

Ubranie nosił odrobinę lepsze od ubrań większości towarzyszy. Ale tylko odrobinę, dlatego nie wyróżniał się w tłumie. Do domu miał dwie ulice. Mieszkał w lokalu numer 3, na wysokim parterze – Amerykanie powiedzieliby, że na pierwszym piętrze – co w sumie mu odpowiadało, bo nie groził mu przynajmniej zawał, ilekroć wysiadała winda, a wysiadała średnio raz w miesiącu. Tego dnia najwidoczniej działała, bo cieciovą, czyli gospodyni domu, miała zamknięte drzwi; kiedy coś w bloku nawalało, otwierała je na oścież i ostrzegała wszystkich wchodzących lokatorów. A więc tego dnia nie doszło do żadnej awarii. Nie był to powód do świętowania, ot, jedna z tych przyziemnych drobnostek, za które powinni dziękować Bogu czy komukolwiek, kto kierował zawilościami ich losu. Papieros zgasł. Zajcew pstryknął niedopałek do popielniczki i ruszył do windy, która – o dziwo – czekała na niego z szeroko otwartymi drzwiami.

– Dobry wieczór, towarzyszu Zajcew – powitał go windziarz.

– Dobry wieczór, towarzyszu Glienko. – Glienko był kaleką, kombatantem Wielkiej Wojny Ojczyźnianej, na dowód czego miał kilka medali. Służył w artylerii, przynajmniej tak mówił. Prawdopodobnie był też informatorem KGB i donosił na mieszkańców bloku w zamian za nędzny dodatek do renty, którą wypłacała mu Armia Czerwona. Pociągnął za dźwignię, miękko zatrzymał kabinę i otworzył drzwi. Z tego miejsca Zajcew miał pięć me-trów do domu.

W korytarzu powitał go znajomy zapach gotowanej kapusty – a więc na obiad będą jedli kapuśniak. Normalka. Kapuśniak był podstawą rosyjskiej diety, podobnie jak razowiec.

– Tata! – Jego maleńka Swietłana. Oleg Iwanowicz nachylił się i wyciągnął ręce. Miała uśmiechniętą twarzyczkę cherubinka i była światłością jego życia.

– Jak się miewa mój mały *zajczik*? – Cmoknęła go w policzek, a on porwał ją w ramiona.

Swietłana chodziła do specjalnego ośrodka opieki dziennej – czegoś pośredniego między żłobkiem i przedszkolem – gdzie roilo się od dzieci w jej wieku. Jej ubranie składało się z jedynych kolorowych rzeczy, jakie można było dostać w tym kraju, to znaczy z zielonego pulowerka, szarych spodenek i czerwonych skórzanych bucików. Korzyść z dostępu do sklepów za żółtymi firankami polegała głównie na tym, że mógł tam kupować dla swego *zajczik*. W Związku Radzieckim nie było nawet pieluszek dla niemowląt – matki robiły je 50

zwykle ze starych prześcieradeł – nie wspominając już o pieluszkach jednorazowych, tak popularnych na Zachodzie. W rezultacie tego rodzice starali się jak najszybciej nauczyć dzieci korzystania z toalety; ku uldze jej matki, mała Swietłana opanowała tę sztukę już jakiś czas temu. Idąc za zapachem kapusty, Oleg Iwanowicz zajrzał do kuchni.

– Witaj, kochanie – rzuciła znad garnków Irina Bogdanowa. W garnkach gotował się ka-puśniak, ziemniaki i chyba szynka. Do tego będzie chleb i herbata. Wódka potem. Zajcewowie pili, lecz umiarkowanie. Zwykle czekali, aż Swietłana pójdzie spać. Irina pracowała jako księgowa w GUM-ie. Zrobiła dyplom na uniwersytecie i należała do kobiet dość wyzwolo-nych, choć nie wyemancypowanych. Przy stole wisiała siatka, którą nosiła w torbie dokądkolwiek szła, nieustannie wypatrując czegoś do jedzenia lub czegoś, czym mogliby ozdobić swoje szare mieszkanie. Pociągało to za sobą konieczność odstania swego w kolejce, co nale-

żało do obowiązków wszystkich radzieckich kobiet, tak samo jak gotowanie obiadu dla mę-

ża, bez względu na zawodowy status jego lub jej. Wiedziała, że Oleg pracuje w KGB, lecz nie wiedziała, na czym ta praca polega; zadowalała się tym, że ma niezłą pensję, że dostaje specjalny dodatek na mundur, który rzadko kiedy nosił, i że wkrótce dadzą mu awans. Tak więc cokolwiek tam robił, robił to dobrze i świadomość ta całkowicie jej wystarczała. Była córką żołnierza piechoty Wielkiej Wojny Ojczyźnianej. W szkole się wybijała, chociaż nie osiągnęła tego, co zamierzała. Miała uzdolnienia pianistyczne, lecz nie aż takie, żeby zdać egzaminy do konserwatorium. Próbowwała też pisać, ale i tu zabrakło jej talentu, żeby ktoś zechciał to pisanie opublikować. Nie należała do kobiet zbyt atrakcyjnych, ponieważ wedle rosyjskich standardów była za szczupła. Miała szarobrązowe, długie do ramion włosy, zwykle starannie wyszczotkowane. Dużo czytała – książki, które mogła zdobyć i które były warte jej czasu –

lubiła też muzykę klasyczną. Czasami chodziła z mężem na koncerty. Oleg wolał balet, więc chodzili i na balet; bilety zdobywali – tak przynajmniej podejrzewała Irina – dzięki temu, że pracował na placu Dzierżyńskiego numer 2. Oleg miał za niski stopień, żeby zapraszano go na towarzyskie przyjęcia dla starszych rangą pracowników Komitetu. Może zacznie na nich bywać, kiedy awansuje na pułkownika. Może. Na razie wiedli życie typowych przedstawicieli klasy średniej, państwowych urzędników wiążących koniec z końcem dzięki pensjom męża i żony. Dobrze chociaż, że mieli dostęp do sklepów za żółtymi firankami, gdzie mogli kupić ładne rzeczy dla siebie i Swietłany. Kto wie, może za jakiś czas stać ich będzie na drugie dziecko. Byli jeszcze młodzi i maleńki chłopczyk wniósłby radość do ich domu.

– Jak tam w pracy? – zązartowała jak co dzień. – Coś ciekawego?

– W pracy nigdy nie dzieje się nic ciekawego – odrzekł z uśmiechem. Nie, jak zwykle by-

ły tylko szyfrówki od i do agentów terenowych, które wkładał do odpowiednich przegródek i które kurierzy zanosili potem na górę, gdzie pracowali prowadzący tychże agentów oficerowie. A w tamtym tygodniu mieli inspekcję. Przyszedł pełny pułkownik, ważna figura. Bez cienia uśmiechu, bez przyjaznego słowa, chodził po sali dobre dwadzieścia minut, a potem zniknął w holu z windami. Musiał być kimś naprawdę ważnym, bo towarzyszył mu sam kierownik wydziału. Coś tam do siebie mówili, lecz Oleg był za daleko, żeby ich usłyszeć. W

tej sali rozmawiało się szeptem – jeśli w ogóle – poza tym dobrze go wyszkolono i wiedział, że nie powinien okazywać zbytniego zainteresowania.

Ale wyszkolenie to wyszkolenie, a on to on. Kapitan-major Oleg Iwanowicz Zajcew był

zbyt inteligentny, żeby się całkowicie wyłączyć. Zresztą jego praca wymagała czegoś zbliżonego do umiejętności samodzielnego decydowania, chociaż umiejętność tę musiał wykorzystywać ostrożnie jak myszka przebiegająca przez pokój pełen kotów. Przed podjęciem decy-51

zji zawsze szedł do swego bezpośredniego przełożonego i zawsze zaczynał od pokornych pytań. Zawsze też jego decyzje były akceptowane. Miał talent i zaczynano to zauważać.

Awans na majora zbliżał się wielkimi krokami. Więcej pieniędzy, szerszy dostęp do sklepów za złotymi firankami i, stopniowo, coraz większa niezależność. Niezależność? Nie, to niedobre słowo. Raczej coraz mniej ograniczeń. Pewnego dnia będzie mógł nawet spytać, czy wy-syłanie takiej to a takiej szyfrówki ma sens. „Czy na pewno chcecie to zrobić, towarzyszu?” –

jakże często kusiło go, żeby to powiedzieć. Oczywiście nie miał prawa podejmować samo-dzielnych decyzji, ale mógł – lub będzie mógł w przyszłości – podać w wątpliwość zasadność tego czy innego sformułowania, bardzo delikatnie i z wycuciem, rzecz jasna. Ot, choć-

by oficer numer cztery-pięć-siedem, ten z Rzymu. Często widywał adresowane do niego depesze i zastanawiał się, czy jego kraj, Związek Radziecki, na pewno chce aż tak bardzo ryzykować. Bo czasami działało się źle, czasami coś nie wypalało. Nie dalej jak przed dwoma miesiącami widział szyfrówkę z Bonn ostrzegającą Centralę, że służby wywiadowcze Niemiec Zachodnich coś szykują. Tamtejszy agent terenowy pilnie prosił o instrukcje i instrukcje te otrzymał: miał kontynuować operację bez kwestionowania inteligencji przełożonych. No i natychmiast zniknął z sieci. Aresztowany i rozstrzelany? Oleg Iwanowicz znał nazwiska niektórych agentów terenowych, kryptonimy dosłownie wszystkich operacji oraz wiele za-dań i celów operacyjnych. Ale co najważniejsze, znał kryptonimy setek obcokrajowców, informatorów KGB. Czasami było tak, jakby czytał powieść szpiegowską. Niektórzy agenci umieli pisać, mieli wielki dar. Ich meldunki nie przypominały krótkich, suchych komunikatów. O nie, zawierały również ich odczucia, oddawały stan ich umysłu, nastrój, towarzyszą-

czą misji atmosferę. Ludzie ci mogliby zostać płatnymi prelegentami i opisywać swoje przeżycia publiczności. Analizowanie takich informacji nie należało do jego zadań, ale Oleg Iwanowicz Zajcew potrafił myśleć, poza tym każda szyfrówka zawierała charakterystyczny kod.

Na przykład błąd ortograficzny w trzecim wyrazie mógł być ostrzeżeniem, że dany agent wpadł, że jest spalony. Każdy z nich posługiwał się innym systemem kodowania, a Zajcew miał je spisane na długiej liście. Kodowe ostrzeżenia zdarzały się dość rzadko, on wychwycił

je tylko dwa razy. Przełożeni uznali, że to zwykłe błędy, że powstały w trakcie przepisywania i kazali mu je zignorować – fakt ten zdumiewał go do dziś. Z drugiej strony, błędy się już nie powtórzyły, więc może rzeczywiście były tylko zwykłymi błędami. Ostatecznie, jak twierdzili przełożeni, ludzie wyszkoleni w Centrali bardzo rzadko wpadali. Byli najlepszymi agentami w świecie, a ci z Zachodu nie należeli do najinteligentniejszych. Więc cóż. Złożywszy meldunek, kapitan-major Zajcew posłusznie skinął głową, zrobił notatkę służbową i jak na dobrego urzędnika przystało, włożył ją do akt, żeby w razie czego mieć podkładkę.

A jeśli któryś z jego bezpośrednich przełożonych jest informatorem zachodniej agencji wywiadowczej? Zastanawiał się nad tym i wtedy, i długo potem, zwykle po kilku kieliszkach wódki przed telewizorem. Byłby to układ idealny, wprost doskonały. W żadnym wydziale KGB nie istniała ani jedna lista agentów czy oficerów prowadzących. Nie, tu obowią-

zywało całkowite „rozcłonkowanie”, podział na hermetyczne zarządy i wydziały, koncepcja, którą wprowadzono w latach dwudziestych, a może nawet wcześniej. Listy takiej nie miał nawet przewodniczący Andropow, bo przecież on też mógł uciec na Zachód. Komitet Bezpieczeństwa Państwowego nie ufał nikomu, a już na pewno nie swojemu przewodniczą-

cemu. Tak więc, chociaż to trochę dziwne, jedynie pracownicy jego wydziału mieli dostęp do tak dużej ilości informacji, ale oni nie byli funkcjonariuszami operacyjnymi. Byli tylko zwykłymi łącznościowcami, szyfrantami.

52

Ale czyż KGB nie zależało najbardziej na tym, żeby zwerbować jakiegoś szyfranta, pracownika zachodniej ambasady? Tak, ponieważ był on zwykle funkcjonariuszem na tyle nierozgarniętym, że zwierzchnicy bez zastrzeżeń mu ufali – czyż to właśnie nie im, nie szyfran-tom, najczęściej powierzano tajne, a więc superważne materiały? Zdecydowanie przeważały wśród nich kobiety i oficerów KGB uczono, jak je uwieść. Oleg widywał takie raporty. Bywa-

ło, że sporządzający je agenci nie szczędzili plastycznych szczegółów, może po to, żeby zaimponować przełożonym męskością i podkreślić swoje poświęcenie dla państwa. Zajcew nie uważał, żeby pobieranie pensji za kopulowanie z kobietami należało do czynów bezprzykładnie

heroicznych, ale z drugiej strony, może kobiety te były koszmarnie brzydkie? Tak, wtedy spełnienie męskiego obowiązku wobec ojczyzny mogło być trudne.

Wszystko sprowadzało się do tego, myślał Oleg Iwanowicz, że funkcjonariuszom KGB

często powierzano tajemnice kosmicznego wprost znaczenia i że jednym z tych funkcjonariuszy był on. Czyż to nie zabawne? O wiele zabawniejsze niż kapuśniak, który właśnie jedli, chociaż zupa to dobra i pożywna. Jak z tego widać, nawet państwo radzieckie musiało niektórym zaufać, chociaż dla ludzi przywykłych do zbiorowego myślenia zaufanie było poję-

ciem równie obcym, jak demokracja na Marsie. A państwo ufało między innymi jemu, kapitanowi Zajcewowi. Cóż, dzięki temu jego córka mogła nosić ten ładny zielony pulowerek.

Położył na krześle kilka książek i posadził na nich Swietlanę, żeby mogła wygodnie zjeść.

Miała małe rączki i z trudem obejmowała wielką, aluminiową łyżkę; cóż, przynajmniej była lekka. Nie umiała jeszcze smarować chleba masłem. Dobrze chociaż, że mogli sobie pozwolić na prawdziwe masło.

– Wracając do domu, widziałam coś ładnego w naszym sklepie. – Jak wszystkie kobiety, wykorzystwała sytuację, żeby złapać męża w dobrym nastroju. Kapuśniak był tego dnia wyjątkowo smaczny, a szynka polska. A więc znowu poszła do sklepu za żółtymi firankami.

Chodziła tam ledwie od dziewięciu miesięcy i już zastanawiała się, często na głos, jak dawała sobie przedtem radę.

– Co widziałas? – spytał, pijąc gruzińską herbatę.

– Staniki. Szwedzkie.

Oleg tylko się uśmiechnął. Te radzieckie projektowano chyba dla chłopek, które zamiast dzieci, karmiły piersią cielęta. Były o wiele za duże dla normalnych kobiet.

– Po ile? – rzucił, nie podnosząc wzroku.

– Tylko po siedemnaście rubli.

Siedemnaście, ale tych poświadczonych. Jedynie kupończyki miały jakąkolwiek siłę na-bywczą. Można je było wymienić nawet na „twardą” walutę, przeciwieństwo papierków, którymi wypłacano pensję robotnikom z fabryki i których wartość była jedynie teoretyczna...

jak wszystko w tym kraju.

– Jakiego koloru?

– Białe. – Bywały też czarne i czerwone, ale radzieckie kobiety rzadko kiedy je nosiły.

Rosjanie należeli do ludzi bardzo konserwatywnych.

Gdy skończyli jeść, Oleg pozostawił kuchnię żonie i wyszedł ze Swietłaną do pokoju, na telewizję. W dzienniku powiedzieli, że rozpoczęły się żniwa i że jak co roku, bohaterscy pracownicy kołchozów w północnych rejonach kraju – tam lato trwało najkrócej – zwieźli z pól 53

pierwsze ziarno pszenicy. Zbiory są znakomite, tak mówili. To dobrze, pomyślał Oleg. Tej zimy nie zabraknie chleba. Prawdopodobnie, bo tym z telewizji nikt tak do końca nie wierzył. Potem był krytyczny reportaż o amerykańskiej broni nuklearnej, którą rozmieszczano w państwach należących do NATO, mimo rozsądnych żądań Związku Radzieckiego, żeby zaprzestać tych niepotrzebnych, prowokacyjnych i destabilizujących politycznie działań.

Zajcew wiedział, że Związek Radziecki też rozmieszcza swoje rakiety – oczywiście gdzie indziej – lecz rosyjskie SS-20 niczego rzecz jasna nie destabilizowały ani nikogo nie prowokowały. Gwoździem wieczoru był cykliczny program pod tytułem *Służymy Związkowi Radzieckiemu*, reportaż o operacjach wojskowych, w których brali udział dzielni, młodzi chłopcy służący ojczyźnie. Tego dnia – to wielka rzadkość – wyświetlali film o żołnierzach wypełniających „internacjonalistyczny obowiązek” w Afganistanie. W telewizji mało się o tym mówi-

ło i Oleg był ciekaw, co pokażą. W ich stołówce też o tym rozmawiano, choć sporadycznie.

On częściej słuchał, niż mówił, bo jego ze służby zwolniono, czego ani trochę nie żałował.

Słyszał za dużo opowieści o przypadkach brutalnej przemocy, do jakich dochodziło w jed-nostkach piechoty, poza tym wojskowi mieli brzydkie mundury. Wystarczyło mu już samo to, że czasami, choć na szczęście rzadko, musiał występować w mundurze KGB. Obraz przemawia do widza lepiej niż słowa, a on – tego wymagała jego praca – miał dobre oko do szczegółów.

– W Kansas też co toku zbierają pszenicę, ale słyszałaś, żeby kiedykolwiek mówili o tym w wieczornych wiadomościach NBC? – spytał Ed Foley.

– Będą mieli co jeść, tutaj to pewnie wielkie osiągnięcie – odrzekła Mary Pat. – Jak tam w biurze?

– Normalnie. – Ed machnął ręką, jakby w pracy nie zdarzyło się nic ciekawego.

Niebawem będzie musiał wsiąść do samochodu i pojeździć po mieście w poszukiwaniu umówionych znaków. Prowadzenie Kardynała miało być ich najważniejszym zadaniem.

Pułkownik wiedział, że czeka go współpraca z nowymi agentami. To zadanie trudne i delikatne, ale Mary Pat zdążyła do takich przywyknąć.

Rozdział 4

Wprowadzenie

Gdy Ryan włączył szyfrator, żeby zatelefonować do Stanów, w Londynie dochodziła piąta, a w Langley dwunasta w południe; ciągle zapominał, że istnieje coś takiego jak strefy czasowe. Podobnie jak wielu innych, już dawno temu odkrył, że w ciągu dnia ma dwa twórcze okresy: rano najlepiej mu się czytało i analizowało, wieczorem zaś rozmyślało. Admira-

łowi Greerowi też, dlatego bardzo mu tej wspólnej rutyny brakowało. Musiał też przywyknąć do nowego obiegu dokumentów. Pracował w administracji rządowej dość długo i wiedział, że będzie to o wiele trudniejsze i bardziej skomplikowane, niż się spodziewał. Aparat nawiązał połączenie.

- Greer.
- Dzień dobry, panie admirale. Mówi Ryan.
- Co słyszeć w Anglii, Jack?
- Jak dotąd nie padało. Jutro rano Cathy zaczyna nową pracę.
- A jak tam Basil?
- Nie mogę narzekać, jest bardzo gościnny.
- Skąd dzwonicz?
- Z Century House. Dali mi gabinet na najwyższym piętrze. Siedzę tu z takim jednym sowietologiem.
- I pewnie chciałbyś mieć w domu własne STU, co?
- Zgadł pan. – Ten stary sukinkot czytał w jego myślach.
- Coś jeszcze?
- W tej chwili nic konkretnego nie przychodzi mi do głowy, panie admirale.
- Zdarzyło się coś ciekawego?
- Nie, dopiero się tu urządzam. Mój wydział jest całkiem nieźle zorganizowany. A ten gość, z którym pracuję, Simon Harding, jest świetnym analitykiem. – Dobrze, że nie ma go w pokoju, pomyślał Ryan. Oczywiście telefon mógł być na podsłuchu, ale czy podsłuchiwaliby sir Johna, Komandora Orderu Wiktorii?
- Z dziećmi wszystko w porządku?
- Tak, dziękuję. Sally przyzwyczajają się do tutejszej telewizji.

– Dzieci szybko się adaptują.

Szybciej niż dorośli, pomyślał Jack.

– Będę informował pana na bieżąco, panie admirale.

– Jutro powinny dotrzeć do was dokumenty, o które prosiłeś.

– Dzięki. Ten raport na pewno ich zainteresuje. Bernie mówi tam ciekawe rzeczy. Jest jeszcze ta sprawa z papieżem...

– Co sądzą o tym nasi kuzyni?

55

– Niepokoją się. Ja też. Jego Świątobliwość za mocno potrząsnął drzwiczkami klatki i tygrys na pewno go zauważy.

– A co mówi Basil?

– Niewiele. Nie wiem, kogo mają w Moskwie. Pewnie czekają na raport. – Jack zrobił

pauzę. – A my? Mamy coś?

– Jeszcze nie. – Krótko i lapidarnie. „Nie mogę o tym z tobą rozmawiać” – niewiele brakowało i by tak powiedział. Czy on mi ufa? – zastanawiał się Jack. Tak, Greer lubił go, ale czy wierzył, że Ryan jest dobrym analitykiem? Może ten londyński epizod był jeśli nie obo-zem dla rekrutów, to drugą szkołką? Bo to właśnie tam, w szkółce piechoty morskiej, spraw-dzano, czy młodzi chłopcy z belką porucznika na ramieniu nadają się na dowódców. Mówiono, że to najgorsza szkoła w korpusie. Ryan też nieźle dostał w kość, ale ukończył ją z jedną z najwyższych lokat w oddziale. A może tylko miał fart? Nie zdążył się o tym przekonać, bo za długo się nie nasłużył: wszystko dzięki temu, że ich CH-46, śmigłowiec, którym lecieli na Krecie, runął jak kamień na ziemię. Do dzisiaj nawiedzały go nocne koszmary. Na szczęście był tam jego sierżant, który wraz z innym piechociarzem zdołali utrzymać go jakoś przy życiu, ale na myśl o śmigłowcach, Jacka wciąż przechodził zimny dreszcz. – A ty? –

spytął admirał. – Co o tym sądzisz?

– Gdybym odpowiadał za jego ochronę, trochę bym się zdenerwował. Rosjanie potrafią zagrać twardo, jeżeli oczywiście chcą. Trudno mi tylko przewidzieć, jak zareaguje na to Biuro Polityczne. Po prostu nie wiem, jak bardzo potrafią być zdecydowani. Rozmawiając z sir Basilem, powiedziałem, że wszystko sprowadza się do tego, czy i jak mocno wystraszą się tej groźby, jeśli

można nazwać to groźbą, naturalnie.

– A ty jak byś to nazwał? – spytał dyrektor wywiadu z odległości ponad pięciu tysięcy czterystu kilometrów.

– Tu mnie pan ma. Ale przypuszczam, że tak, że jest to swego rodzaju zagrożenie dla ich sposobu myślenia.

– Swego rodzaju? To znaczy? – Jako nauczyciel, admirał Greer byłby straszliwą piłą.

Gorszą chyba niż ojciec Tim z Georgetown.

– Rozumiem, panie admirale, już uściślam: tak, to dla nich konkretne zagrożenie. W taki sposób to odbiorą. Ale nie jestem pewien, jak poważnie je potraktują. Oni nie wierzą w Boga.

Dla nich Bóg to polityka, a polityka to tylko proces, a nie system wierzeń.

– Jack, musisz nauczyć się widzieć rzeczywistość oczami przeciwnika. Masz wielkie zdolności analityczne, ale nie ufasz swoim zmysłom. To nie są akcje czy papiery wartościowe, to nie jest giełda, gdzie masz do czynienia z konkretnymi liczbami. El Greco miał podobno astygmazm, dlatego widział świat w charakterystyczny sposób. Rosjanie też widzą rzeczywistość przez inny pryzmat. Jeśli nauczysz się patrzeć tak jak oni, będziesz nie do po-bicia, twoja wyobraźnia musi tylko dokonać skoku. Harding jest w tym dobry. Ucz się od niego. Dowiedz się, o czym ci rusecy myślą.

– Zna pan Simona?

– Od lat czytam jego analizy.

To nie przypadek, pomyślał Jack, bardziej zaskoczony niż powinien. To druga w tym dniu lekcja. Lekcja bardzo ważna.

56

– Rozumiem, panie admirale.

– Nie bądź taki zaskoczony, chłopcze.

– Tak jest – odrzekł Ryan jak młody rekrut. O nie, drugi raz tego błędu nie popełnię, pomyślał. I właśnie w tym momencie John Patrick Ryan stał się prawdziwym analitykiem.

– STU prześlę ci przez ambasadę – powiedział admirał. – Oczywiście wiesz, że trzeba z tym ostrożnie... – dodał ku przestrodze.

– Tak jest, oczywiście.

– No dobrze. Tutaj już pora lunchu...

– Tak jest, panie admirale. Zadzwoń jutro. – Jack odłożył słuchawkę i wyjął elektroniczny klucz z szyfratora. Klucz, płaską, plastikową kartę, schował do kieszeni. Zerknął na zegarek. Pora zwijać interes. Teczki z tajnymi aktami zebrał z biurka już wcześniej. O wpół

do piątej przyszła kobieta z wózkiem i zawiozła je do archiwum. Jakby na zawołanie wrócił

Simon.

– O której masz pociąg?

– Dziesięć po szóstej.

– Idę na piwo. Masz ochotę?

– Jasne. – Ryan wstał i wyszli z pokoju.

Do Lisa i Koguta, bardzo tradycyjnego pubu ulicę od Century House, mieli tylko cztery minuty drogi piechotą. Pub był aż za bardzo tradycyjny: z ciężkimi, drewnianymi stołami i tynkowanymi ścianami wyglądał jak zabytek z czasów Szekspira. Pewnie tak go tylko urzą-

dzili, dla lepszego efektu architektonicznego, bo żaden budynek tak długo by nie przetrwał.

W środku wisiała chmura dymu, a pod tą chmurą siedział tłum mężczyzn w marynarkach i krawatach. Ekskluzywny pub; sporo gości przyszło tu pewnie z Century House. Harding to potwierdził.

– To nasz wodopój. Właściciel kiedyś u nas pracował. Teraz zarabia pewnie dużo więcej.

– O nic go nie pytając, zamówił dwa duże kufle tetleya, które szybko im podano. Potem zaprowadził go do stołu w kącie sali.

– A więc, sir Johnie, jak ci się tu podoba?

– Jak dotąd nie narzekam. – Ryan pociągnął łyk piwa. – Admirał mówi, że jesteś bardzo bystry.

– Greer? Basil twierdzi, że to inteligentny gość. Dobrze się z nim pracuje?

– Tak, bardzo. Umie słuchać, pomaga myśleć. Kiedy zrobisz coś głupiego, nie urwie ci łba. Woli pouczać, niż zawstydząć, przynajmniej mnie. Ale niektórym bardziej doświadczonym analitykom darł żywcem pasy z tyłka. Pewnie jestem na to za młody. – Ryan przekrzywił głowę. – Simon, czy ty masz mnie tu szkolić?

Bezpośredniość pytania trochę Hardinga zaskoczyła.

– Niezupełnie. Jestem sowietologiem. Rozumiem, że ty nie masz określonej specjalizacji...

– Powiedzmy, że jestem uczniem, stażystą o profilu ogólnym – odpowiedział mu Ryan.

57

– No, dobrze. Co chcesz wiedzieć?

– Podobno umiesz myśleć jak Rosjanin. Jak ty to robisz?

Simon roześmiał się z ustami w piwie.

– Uczę się – odrzekł – Uczymy się tego codziennie. Najważniejsze to pamiętać, że wszystko jest dla nich polityką, a polityka to tylko mgliste pojęcia, to estetyka. Zwłaszcza dla Rosjan, Jack. Rosjanie nie potrafią wytwarzać konkretnych produktów, takich jak samochody czy telewizory, więc skupiają się na tym, żeby dopasować wszystko do teorii politycznych, do złotych myśli Marksa i Lenina. Oczywiście Lenin i Marks doskonale znali realia naszego świata. To przypomina obłąkaną religię, z tym że zamiast ginąć od gromów i biblijnych plag, ich apostołowie giną od kul plutonów egzekucyjnych. Według ich poglądu na świat, wszystko to, co poszło nie tak, jest winą politycznej apostazji. W ich teoriach politycznych nie ma miejsca na ludzką naturę, a ponieważ teorie te są dla nich tym, czym dla nas Pismo Święte, które nigdy się nie myli, coś nie tak musi być z naszą naturą. To spójne i logiczne, prawda? Studiowałeś może metafizykę?

– Na drugim roku w Boston College – odrzekł Ryan, wypiwszy długi łyk piwa. – Jezuici maglowali nas przez cały semestr, chcieliśmy tego czy nie.

– Widzisz, komunizm to nic innego jak metafizyka, której zasady na siłę zastosowano w realnym świecie, tak więc kiedy coś w tym świecie zaczyna zgrzytać, jest to wina trzeźwo myślących wykolejeńców, którzy co i raz wystawiają łeb ze swoich równiutko powycinanych komórek. Biedni są, ciężkie mają życie. Wujaszek Stalin wymordował coś około dwudziestu milionów takich odszczepieńców, częściowo dlatego, że nie pasowali do jego teorii politycznych, częściowo dlatego, że był psychicznie chory i żądny krwi. Ten obłąkany kutas był

uosobieniem paranoi. A za rządy szaleńca, który wyznaje wypaczone poglądy, trzeba słono płacić.

– Ale do jakiego stopnia obecni przywódcy Rosji są wierni marksizmowi?

Harding w zadumie skinął głową.

– Dobre pytanie. Odpowiedź? Nie mamy bladego pojęcia. Wszyscy twierdzą, że są prawdziwymi komunistami, ale czy na pewno nimi są? – Zamyślony wypił ryk piwa. – Moim zdaniem są nimi tylko wtedy, kiedy im to odpowiada. Poza tym, zależy o kim mówimy.

Na przykład Susłow wierzy bezgranicznie. Ale pozostali? Pewnie wierzą i nie wierzą zarazem. Są jak ludzie, którzy chodzili do kościoła co niedziela i nagle przestali chodzić. Część z nich wciąż wierzy, część już nie. Ale tak naprawdę wierzą tylko w to, że ich państwowa religia jest źródłem władzy, że może zapewnić im wysoki status. Tak więc przed szarym człowiekiem z ulicy muszą udawać, rozumiesz? Udawać, że wierzą, ponieważ ostentacyjna wiara jest jedynym sposobem na zdobycie władzy.

– Intelktualna inercja? – zastanawiał się na głos Ryan.

– Otóż to. Pierwsze prawo Newtona.

Podświadomość nakazywała Jackowi zaprotestować. Nie, przecież świat musiał być sen-sowniejszy. Ale czy aby na pewno był? Bo kto tak powiedział? Kto miałby te sensowniejsze zasady wprowadzać? I czy można było ten świat opisać w tak prosty sposób? To, co Harding ujął przed chwilą w niecałe dwieście słów, miało rzekomo usprawiedliwiać wydawanie miliardów dolarów na strategiczną broń nuklearną o niewyobrażalnej mocy, na utrzymanie 58

wielkich rzesz ludzi w mundurach, których kolor wzbudzał agresję i oznaczał śmierć podczas wojny lub w okresie wojnę poprzedzającym.

Ale świat to idee, te dobre i te złe, dlatego konflikt między światem zaprezentowanym przez Hardinga i jego własnym światem określał rzeczywistość, w której Ryan pracował, określał system wierzeń ludzi, którzy omal nie zabili jego i jego rodziny. A rzeczywistość ta była jak najbardziej namacalna. Nie, nie istniała żadna reguła, wedle której świat musiałby mieć jakikolwiek sens. Decydowali o tym tylko ludzie. Czyżby więc wszystko sprowadzało się do indywidualnego postrzegania? Czyżby wszystko zależało od umysłu człowieka? W

takim razie co było rzeczywistością?

Ale to pytanie wykraczało poza metafizykę. Kiedy studiował w Boston College, była to wiedza tak abstrakcyjna, że zdawała się nie mieć żadnego związku z rzeczywistością. Z trudem ją sobie przyswoił w wieku dziewiętnastu lat, z jeszcze większym trudem przychodziło mu to w wielu lat trzydziestu dwóch. Z tym, że teraz zamiast zwykłych ocen w indeksie, wystawiano mu oceny pisane ludzką krwią.

– Chryste. Byłoby nam dużo łatwiej, gdyby wierzyli w Boga.

– Gdyby wierzyli w Boga, groziłaby nam kolejna wojna religijna, a jak dobrze wiesz, wojny te bywają krwawe. Pamiętasz krucjaty? Jedna wersja Boga przeciwko innej. Koszmar.

Ci z Moskwy, ci najbardziej bogobojni, myślą, że niesie ich fala historii, że dzięki nim ludzkość osiągnie pełnię doskonałości. Świadomość, że ich kraj nie potrafi się wyżywić, musi doprowadzać ich do szału, więc próbują ten fakt ignorować. Ale trudno jest ignorować pusty żołądek, prawda? Dlatego całą winę zrzucają na nas i na swoich „bumelantów”, zdrajców i sabotażystów. A tych

wtrącają do więzienia albo zabijają. – Harding wzruszył ramionami. –

Ja uważam ich za niewiernych, za wierzących w fałszywego boga. Tak jest łatwiej. Długo studiowałem ich polityczną teologię, ale niewiele mi to dało, ponieważ, jak już mówiłem, niewielu z nich wierzy w ten system. Czasami myślą jak pradawni Rosjanie, a chociaż pradawni Rosjanie zawsze byli wobec siebie lojalni, mieli – według naszych standardów – wypaczone poglądy na świat. Historia Rosji jest tak zagmatwana, że my, ludzie kierujący się zachodnią logiką, nigdy jej do końca nie zrozumiemy. Rosjanie są ksenofobami, ksenofobami do potęgi. Zawsze nimi byli, ale mieli ku temu dobre powody historyczne. Przez całe wieki groziła im napaść i ze wschodu, i z zachodu. Tacy Mongołowie, na przykład, dotarli aż nad Bałtyk, a Niemcy i Francuzi do samych bram Moskwy. Dziwni są, może aż dziwaczni. Jedno wiem na pewno: żaden zdrowy na umyśle człowiek nie chciałby żyć pod ich rządami. Szkoda. Mają tylu cudownych poetów i kompozytorów...

– Kwiaty na śmietniku – podsunął Ryan.

– Właśnie. Bardzo celna uwaga, Jack. – Harding wyjął z kieszeni fajkę i zapalił ją długą zapalką. – Jak ci smakuje piwo?

– Jest znakomite, o wiele lepsze niż nasze.

– Nie wiem, jak możecie pić te amerykańskie siuśki. Ale wasza wołowina jest lepsza od naszej.

– Karmimy krowy kukurydzą, mięso jest wtedy smaczniejsze. – Ryan westchnął. – Wciąż próbuję przywyknąć do nowego życia. Ilekroć zaczynam czuć się swobodnie, coś wyskakuje na mnie jak wąż z wysokiej trawy.

– Przywykniesz, jesteś tu dopiero tydzień.

59

– Moje dzieci będą mówiły śmiesznym językiem.

– Cywilizowanym językiem, Jack, cywilizowanym – poprawił go Simon, śmiejąc się do-brodusznie.

– Wy, jankesi, straszliwie go kaleczycie.

– Tak, pewnie masz rację... – Niedługo zacznie mówić „rugby”, zamiast „futbol”. Ale co oni wiedzieli o prawdziwym futbolu? Tyle samo co o baseballu.

Świadomość, że w mieszkaniu jest pełno pluskiew, doprowadziła go nagle do szału. Ilekroć kochał się z żoną, podsłuchiwał ich jakiś kutas z KGB. Dla tych z kontrwywiadu była to pewnie miła, acz perwersyjna rozrywka, ale na miłość boską, przecież życie seksualne Foleyów było tylko ich życiem,

poza tym czy nie istniała już żadna świętość? Uprzedzano ich o tym podczas szkolenia i w drodze do Moskwy. Mary Pat próbowała z tego żartować; w samolocie podsłuchu raczej nie założysz. Mówiła, że pokażą tym barbarzyńcom, jak żyją prawdziwi ludzie i wtedy śmiał się wraz z nią, ale teraz nie widział w tym nic zabawnego.

Mieszkali tu jak w klatce, jak w zoo, cholera, a ludzie śmiali się z nich i pokazywali palcami.

Czy tych z KGB naprawdę interesowało to, jak często ze sobą sypiają? Całkiem prawdopodobne, bo trudności małżeńskie – choćby różnice temperamentu – mogliby wykorzystać jako pretekst do zwerbowania jego lub Mary Pat. Wszyscy tak robili. Dlatego musieli kochać się regularnie, chociaż mała podpucha mogła mieć nader ciekawe konsekwencje, przynajmniej teoretycznie... Nie, nie. Jeszcze bardziej skomplikowaliby sobie już i tak skomplikowane życie, a jako szef moskiewskiej placówki bynajmniej tego nie chciał.

Tylko ambasador, attaché wojskowy i jego podwładni wiedzieli, kim tak naprawdę jest.

Oficjalnym szefem ekspozytury był Ron Fielding i to właśnie on miał więc się publicznie jak robak na haczyku. Bywało, że parkując samochód, opuszczał osłonę przeciwsłoneczną albo przekręcał ją o dziewięćdziesiąt stopni w lewo; czasami nosił kwiatek w butonierce, który w połowie ulicy nagle wyjmował, jakby dawał komuś umówiony znak, albo wpadał na jakiegoś przechodnia, symulując przekaz „na mijankę”. Ci z Drugiego Zarządu Głównego dostawali szału: uganiali się za Bogu ducha winnymi moskwianami, jednych przesłuchiwali, na innych nasyłali stado agentów, którzy śledzili ich każdy krok. Oczywiście nie przynosiło to żadnych rezultatów, ale Zarząd tracił przynajmniej czas i środki na ściganie ulotnych duchów. Ale najważniejsze było to, że uważali Fieldinga za niezdarne dupka. Podbudowywali tym swoje ego i było to bardzo mądre posunięcie ze strony CIA. Jego gra zmuszała tamtych do wykonywania posunięć, jakie wykonują grający w owcę i wilki.

Ale to, że w sypialni prawdopodobnie jest podsłuch, maksymalnie go wkurzało. W dodatku nie mógł zrobić nic, żeby ten podsłuch zagłuszyć, nie mógł choćby włączyć radia. Nie, nie, byłby głupcem, gdyby zachowywał się jak wyszkolony agent. Musiał udawać głupiego, ale udawanie głupiego wymagało inteligencji, samodyscypliny i największej dokładności.

Nie wolno im było popełnić ani jednego błędu. Błąd mógł kogoś zabić, a Ed Foley miał sumienie. Sumienie dla agenta prowadzącego to niebezpieczna rzecz, ale trudno było go nie mieć. Agent prowadzący musiał dbać o swoich informatorów, o tubylców, którzy dla niego pracowali. Wszyscy – no, prawie wszyscy – mieli jakieś problemy. Największym była wódka. Podświadomie zakładał, że każdy informator, który się z nim kontaktuje, jest alkoholikiem. Niektórym poważnie odbijało. Najwięcej było wśród nich takich, którzy chcieli się odegrać – na szefie, na systemie, na kraju, na komunizmie, na współmałżonku, na całym tym zaszranym świecie. Niektórzy, bardzo nieliczni, byli wielce obiecujący. Ale to nie on ich wy-60

bierał. To oni wybierali jego. A on musiał grać rozdawanymi przez nich kartami. Zasady tej gry były twarde i bezpardonowe. Jemu nic nie groziło. Tak, oczywiście, mogli go trochę poturbować – jego albo Mary Pat – ale ponieważ oboje mieli dyplomatyczny paszport, gdyby ich tylko tknęli, któryś z

radzieckich dyplomatów w Stanach oberwałby od członków ulicznego gangu, którzy tak naprawdę byliby – choć niekoniecznie – dobrze wyszkolonymi oficerami kontrwywiadu. Dyplomaci nie lubili takich rzeczy i woleli ich unikać; szczerze powiedziawszy, Rosjanie przestrzegali tych reguł sumiennie niż Amerykanie. Tak więc on i jego żona byli bezpieczni, ale ich informatorzy, zwłaszcza ci spaleni, mogli liczyć na mniej łaski niż mała myszka w łapach wyjątkowo sadystycznego kota. W tym kraju wciąż stosowano tortury, a przesłuchania trwały wiele, wiele godzin. Proces? Proces karny zależał od tego, w jakim nastroju był rząd. A ewentualna apelacja od faktu, czy oskarżony miał nabitą broń.

Dlatego musiał traktować informatorów jak własne dzieci. Bez względu na to, czy byli pijakami, dziwkami czy przestępcami, musiał zmieniać im pieluszki, podawać szklankę wody przed snem i wycierać im zasmarkany nos.

W sumie, myślał, gramy w piekielnie ostrą grę. Nie mógł przez to spać. Czy Rosjanie się tego domyślali? Może zainstalowali w ścianach kamery? To dopiero byłaby perwersja. Ale nie, nawet Amerykanie nie dysponowali tak zaawansowaną technologią, tym bardziej ruscy.

Prawdopodobnie. Nie mógł zapominać, że tu też mieszkają zdolni ludzie i że wielu z nich pracuje dla KGB.

Zdumiewało go, że leżąca tuż obok Mary Pat śpi snem sprawiedliwego. Jest lepszą agentką niż ja, dumiał. Na pewno. Była w swoim żywiole, czuła się tu jak foka ściągająca tłuste ryby w morzu. Ale co z rekinami? To normalne, że mąż boi się o żonę bez względu na to, jak zdolną jest agentką. Mężczyźni są po prostu tak zaprogramowani, natomiast ją zaprogramowano na bycie matką. W przyćmionym świetle, z tym ślicznym, rozmarzonym uśmiechem i jasnymi, mięciutkimi jak u dziecka włosami, które burzyły się, gdy tylko kładła głowę na poduszce, wyglądała jak anioł. Dla Rosjan była potencjalnym szpiegiem, ale dla niego, dla Edwarda Foleya, ukochaną żoną, współtowarzyszką pracy i matką jego dziecka. To dziwne, że każdego człowieka można widzieć na tyle sposobów, że każdy z patrzących widzi go inaczej, mimo to prawdziwie. I z tą jakże filozoficzną myślą Ed – Chryste, jak bardzo potrzebował snu! – powoli zamknął oczy.

– I co powiedział? – spytał Bob Ritter.

– Nie jest zbyt zadowolony – odparł sędzia Moore, bynajmniej ich nie zaskakując. – Ale rozumie, że niewiele możemy zrobić. W przyszłym tygodniu wygłosi przemówienie na temat szlachetności pracy robotnika, zwłaszcza robotnika-związkowca.

– Świetnie – mruknął Ritter. – Niech zaprosi kontrolerów ruchu lotniczego. – Zastępca dyrektora do spraw operacyjnych był mistrzem kąśliwych docinków, chociaż miał na tyle oleju w głowie, żeby nie wygłaszać ich w nieodpowiednim towarzystwie.

– Gdzie będzie przemawiał? – spytał admirał Greer.

– W Chicago. Mieszka tam dużo Polaków. Naturalnie będzie mówił o stoczniovcach i wspomni, że

kiedyś on też stał na czele związku. Jeszcze tego nie czytałem, ale myślę, że zaserwuje im lody waniliowe z małą domieszką czekolady.

61

– A w gazetach znowu napiszą, że podlizuje się robotnikom – rzucił Jim Greer. Dziennikarze, choć jakoby wyrafinowani i wyrobieni, dostrzegali problem dopiero wtedy, gdy poda-

ło im się go na talerzu, z frytkami i keczupem. Byli mistrzami politycznych dyskursów, ale o uprawianiu prawdziwej polityki wiedzieli tyle co nic, a gdy im się to wytłumaczyło, najlepiej krótkimi, monosylabicznymi słowami, wybałuszali oczy. – Rosjanie to zauważą?

– Może. W Instytucie Amerykańsko-Kanadyjskim mają niezłych analityków. A może ktoś z Departamentu Stanu rzuci mimochodem coś na temat zatroskania, z jakim śledzimy rozwój sytuacji w Polsce, ponieważ w Ameryce mieszka tylu obywateli polskiego pochodzenia. W tej chwili dalej posunąć się nie można.

– A więc niepokoi nas sytuacja w Polsce, ale nie polski papież, tak? – drażył Ritter.

– Jeszcze tego nie wiemy, prawda? – rzucił retorycznie Moore.

– Nie będą się zastanawiali, dlaczego papież nas nie uprzedził?

– Chyba nie. Użyte przez niego sformułowania wskazują, że to prywatny list.

– Nie na tyle prywatny, żeby Warszawa nie przekazała go Moskwie – zaproponował Ritter.

– To zupełnie co innego, jak mawia moja żona – zauważył Moore.

– Wiesz, Arthurze, ta cała kołomyja przyprawia mnie czasem o ból głowy – wyznał Greer.

– Każda gra ma swoje zasady, James.

– Boks też, ale te bokserskie są o niebo prostsze.

– „Nigdy nie opuszczaj gardy” – rzucił Ritter. – To zasada numer jeden, u nas też. Cóż, jak na razie nie dotarły do nas żadne konkretne ostrzeżenia, prawda? – Bez słowa pokręcili głowami. – Nie, nie dotarły. – Prezydent mówił coś jeszcze?

– Chce, żebyśmy sprawdzili, czy Jego Świątobliwości nie grozi niebezpieczeństwo. Jeżeli coś mu się stanie, ostro się wkurzy.

– On, a wraz z nim miliard katolików – zauważył Greer.

– Myślicie, że Rosjanie poszukają zamachowca w Irlandii Północnej? – spytał ze złośliwym uśmiechem Ritter. – Nie zapominajcie, że protestanci też nie lubią papieża. To coś dla Basila.

– Chyba trochę przesadziłeś, Robercie – zastanawiał się na głos Greer. – Zresztą protestanci nienawidzą komunizmu niemal tak samo jak katolicyzmu.

– Andropow nie potrafi myśleć aż tak niekonwencjonalnie – zdiagnozował sędzia Moore. – Nikt z nich nie potrafi. Jeśli postanowi zabić papieża, wykorzysta swoje własne środki i spróbuje zrobić to sprytnie. Dlatego jeżeli do tego dojdzie – oby Bóg nas od tego uchronił –

na pewno będziemy o tym wiedzieli. A jeśli uznamy, że Andropow się ku temu skłania, będziemy musieli mu to wyperswadować.

– Tak daleko się nie posuną – odrzekł dyrektor do spraw wywiadu. – Ci z Biura Politycznego są zbyt ostrożni. A taka zagrywka byłaby dla nich zbyt prymitywna. Szachista zagrałby inaczej, a szachy to ich narodowy sport.

62

– Powiedz to Trockiemu – warknął Ritter.

– To była sprawa osobista – odparował Greer. – Stalin chciał usmażyć jego wątrobę i zjeść ją z cebulką i sosem. Zrobił to z czystej nienawiści i z politycznego punktu widzenia nic przez to nie osiągnął.

– On widział to inaczej. Bał się Trockiego, dlatego...

– Nieprawda, wcale się go nie bał. Zgoda, był paranoikiem, ale nawet paranoik potrafi odróżnić paranoję od prawdziwego strachu. – Błąd: Greer natychmiast tych słów pożałował.

– A nawet jeśli się go bał – dodał asekuracyjnie – dzisiaj rządzą tam inni. Nie są paranoikami jak Stalin, ale brakuje im jego zdecydowania.

– Mylisz się, Jim. Ten list jest potencjalnym zagrożeniem dla ich stabilności politycznej, dlatego na pewno potraktują go poważnie.

– Robercie, nie wiedziałem, że jesteś aż tak religijny – zażartował Moore.

– Nie jestem religijny, oni też nie, ale to ich zaniepokoi. Bardzo zaniepokoi. Czy na tyle, żeby przedsięwziąć coś konkretnego? Tego nie jestem pewien, ale daję głowę, że o tym po-myślą.

– Zobaczymy – zripostował Moore.

– Arthurze, taka jest moja oficjalna ocena – odpalił dyrektor do spraw wywiadu. Użył

dwóch słów na „o”, a to już poważna sprawa, przynajmniej w klasztornych zakamarkach Centralnej Agencji Wywiadowczej.

– Dlaczego tak szybko zmieniłeś zdanie, Bob? – spytał sędzia.

– Bo im dłużej wczuwam się w ich sytuację, tym poważniej to wygląda.

– Czyżbyś miał już jakiś plan?

Ritter poczuł się nagle trochę nieswojo.

– Jest za wcześnie, że obarczać Foleyów poważnym zadaniem, ale uprzedzę ich, żeby przynajmniej zaczęli o tym myśleć.

Była to kwestia typowo operacyjna, a w kwestiach operacyjnych Moore i Greer zwykle zdawali się na Boba Rittera i jego instynkt. Odbieranie informacji od agenta często bywało zadaniem łatwiejszym i bardziej rutynowym niż przekazywanie informacji agentowi. Ponieważ zakładano, że każdy pracownik moskiewskiej ambasady jest regularnie lub doryw-czo śledzony, niebezpiecznie było zmuszać ich do robienia czegoś, co mogło ich zdradzić.

Odnosiło się to zwłaszcza do Foleyów: jako nowo przybyli, na pewno podlegali ścisłej inwi-gilacji. Z oczywistego powodu Ritter nie chciał, żeby się spalili. Miał ku temu również po-wód dodatkowy: to, że postanowił wysłać do Moskwy zespół złożony z męża i żony, było przedsięwzięciem śmiałym, lecz ryzykownym i gdyby coś nie wypaliło, porządnie by oberwał. A jako pokerzysta grający o wysokie stawki, nie lubił tracić żetonów. Pokładał w Fo-leyach wielkie nadzieje i wolałby, żeby nie wyeliminowano ich już po dwutygodniowym pobycie w Rosji.

Moore i Greer tego nie skomentowali, uznał więc, że ma wolną rękę.

63

– Wiecie co? – rzucił sędzia, sadowiąc się wygodniej w fotelu. – Siedzimy tu, trzech najlepszych, najbardziej inteligentnych i najlepiej poinformowanych urzędników prezydenckiej administracji, i nie mamy zielonego pojęcia o czymś, co może okazać się prawdziwą bombą.

– To prawda, Arthurze – zgodził się z nim Greer. – Ale nasza niewiedza płynie z dobrego źródła. A tego nikt poza nami nie może powiedzieć, prawda?

– Właśnie to chciałem usłyszeć, James. – Wszyscy ci, którzy mieszkali i pracowali tam, za murami Langley, mogli sobie pozwolić na dywagacje i perorowanie, ale oni nie mieli do tego prawa. Nie, oni musieli starannie ważyć każde słowo, ponieważ ludzie brali ich opinie za fakty, tymczasem

opinie te – o czym można się było przekonać tylko tu, na szóstym piętrze gmachu – bywały często jedynie zwykłymi opiniami. Gdyby byli tacy dobrzy, na pewno zarabialiby na życie inaczej, choćby grając na giełdzie.

Ryan usiadł w fotelu i otworzył „Financial Times”. Większość ludzi wolała czytać gazetę rano – większość, ale nie on. Poranki nadawały się do studiowania wiadomości ogólnych, takich, które mógł wykorzystać w pracy; w Stanach, jadąc do pracy – dojazd zajmował mu blisko godzinę – słuchał też radia, ponieważ jako pracownik wywiadu musiał śledzić codzienne wiadomości. Ale teraz mógł wreszcie usiąść i zająć się sprawami finansowymi. „Financial Times” różnił się od „Wall Street Journal”, ale różnice te były nader interesujące: mógł dzięki nim spojrzeć inaczej na szereg problemów, zwłaszcza tych abstrakcyjnych, a potem przepuścić je przez filtr doświadczenia nabytego w Ameryce. W Anglii też musiało być mnóstwo finansowych możliwości, które tylko czekały, aż ktoś je odkryje i gdyby je odkrył, jego europejska przygoda byłaby warta zachodu. Wciąż uważał, że pobyt w Londynie jest tylko ubocznym epizodem, którego sens ginie hen, daleko w siwej mgle. Cóż, nie pozostawało mu nic innego, jak rozgrywać to rozdanie karta po karcie.

– Ojciec dzwonił – rzuciła Cathy znad czasopisma. Tym razem był to „New England Journal of Medicine”, jeden z sześciu periodyków, które prenumerowała.

– Joe? Czego chciał?

– Pytał, jak sobie radzimy, jak dzieci, i tak dalej.

Na mnie szkoda mu było słów, hę? Ale po co o to pytać. Joe Muller, jeden z ważnych dyrektorów Merrill Lynch, miał mu za złe, że porzucił handel, że miał czelność odebrać mu córkę, że zaczął wykładać, a potem bawić się w szpiega rządowej agencji wywiadowczej. Joe pogardzał rządowymi sługusami, uważał ich za bezproduktywnych pożeraczy tego, co wy-tworzyli inni. Jack go nawet rozumiał, ale ktoś musiał walczyć z tygrysami tego świata i tak się przypadkiem złożyło, że tym kimś był on, John Patrick Ryan. Ryan lubił pieniądze – jak wszyscy – ale były dla niego jak dobry samochód: narzędziem, a nie celem samym w sobie.

Bo samochód, owszem, mógł zawieźć cię w piękne miejsce, ale przecież w nim nie spałeś. Joe widział to inaczej i nie próbował nawet zrozumieć tych, którzy myśleli jak Jack. Z drugiej strony, bardzo kochał córkę i nigdy nie wymawiał jej tego, że została chirurgiem. Pewnie uważał, że opiekowanie się chorymi jest zajęciem dobrym dla kobiet, ale że zarabianiem pieniędzy powinni zajmować się wyłącznie mężczyźni.

– To miło – mruknął znad gazety. Japońska gospodarka zaczynała się chwiać, chociaż redaktorzy „Financial Timesa” jakby tego nie zauważyli. Cóż, mylili się nie pierwszy raz.

To była bezsenna noc. Jurij Andropow wypalił więcej niż zwykle, chociaż po powrocie z dyplomatycznego przyjęcia na cześć hiszpańskiego ambasadora ograniczył się tylko do jednego kieliszka wódki. Przyjęcie: kompletna strata czasu. Hiszpania wstąpiła do NATO i jej kontrwywiad był przygnębiająco efektywny w wykrywaniu i uniemożliwianiu wszelkich prób umieszczenia „kreta” w ich rządzie. Nie, lepiej spróbować na królewskim dworze.

Dworacy słynęli z gadatliwości, a nowo wybrany rząd na pewno zechce informować na bie-

żąc króla – niedawno przywrócili tam monarchię – choćby tylko po to, żeby się mu podli-zać. Tak więc pił wino, skubał kanapki na patyku i jak zwykle gadał o niczym. „Tak, lato było ładne, prawda?” Czasami zastanawiał się, czy to, że wszedł w skład Biura Politycznego, było warte tego całego zachodu. Miał tyle obowiązków, że nie starczało mu czasu na czytanie, nic tylko harówka i ciągnące się w nieskończoność obowiązki polityczno-dyplomatyczne. Teraz wiedział już, jak to jest być kobietą. Nic dziwnego, że tak gderają i psioczyły na swoich mężów.

Ale jedna myśl ciągle nie dawała mu spokoju: ten „Warszawski list”. *Jeśli polski rząd nie zaprzestanie bezpodstawnego represjonowania narodu, będę zmuszony zrezygnować z pontyfikatu i wrócić do ojczyzny, żeby być z rodakami w tych ciężkich dla nich czasach.* A to sukinsyn! Ten człowiek zagrażał światowemu pokojowi! Czy to Amerykanie go podpuścili? Żaden z agentów o niczym takim nie zameldował, ale nigdy nie wiadomo. Było oczywiste, że nowy amerykań-

ski prezydent jest do nich wrogo nastawiony, że wszędzie szuka sposobów, żeby im do-gryźć. To intelektualne zero miało czelność powiedzieć, że Związek Radziecki jest imperium zła! Ten pieprzony aktor, ten nędzny aktorzyzna śmiał wygadywać takie rzeczy! Nie złagodziły tego nawet głośne protesty amerykańskich mediów i środowiska akademickiego. W

dotadku natychmiast podchwycili to Europejczycy, co gorsza, podchwyciła to wschodnioeu-ropejska inteligencja, co doprowadziło do licznych problemów w podległym mu kontrwywiadzie państw Układu Warszawskiego. Jakbyśmy nie mieli dość własnych spraw na głowie, pomyślał posepnie, sięgając po kolejnego papierosa z czerwono-białej paczki i przypala-jąc go zapalką. W gabinecie grała muzyka, ale jak tu słuchać muzyki, skoro w głowie ma się tylko jedno.

Warszawa musiała, po prostu musiała wyplenić z Danzigu tych kontrrewolucjonistycz-nych wichrzycieli – to dziwne, ale myśląc o Gdańsku, zawsze używał tej starej, niemieckiej nazwy – inaczej wszystko się tam rozpieprzy. Kazali im wziąć tych roboli za pysk, a Polacy umieli słuchać rozkazów. Obecność czołgów Armii Czerwonej na ich ziemi pomoże im zrozumieć, co jest dla nich dobre, a co nie. Jeśli ta cała „solidarnościowa” bzdura przybierze większe rozmiary, zaraza zacznie się rozprzestrzeniać na zachód, do Niemiec, na południe, do Czechosłowacji, i na... wschód? Do Związku Radzieckiego? Nie, na to nie mogli pozwolić.

Z drugiej strony, jeśli polski rząd zdoła tę zarazę zdusić w zarodku, sytuacja się uspokoi.

Do następnego razu?

Gdyby nie ograniczały go mury Kremla, niewykluczone, że zrozumiałby, na czym polega podstawowy problem. Ale jako członek Biura Politycznego był odizolowany od mniej przyjemnych aspektów życia w kraju. Niczego mu nie brakowało. Po dobre jedzenie wystarczyło zatelefonować. Jego luksusowe mieszkanie było ładnie urządzone i wyposażone w niemiecki sprzęt gospodarstwa domowego. Winda w jego domu nigdy się nie psuła. Miał

wygodne meble. Miał ochronę, żeby nie napastowali go uliczni chuligani. Chronili go i bronili niczym cara Mikołaja II i zakładał, że to normalne, że tak powinno być, chociaż intelekt podszeptował mu zupełnie co innego. Przecież ci, którzy mieszkali za tymi oknami, mieli co 65

jeść, mogli oglądać telewizję, kibicować drużynom sportowym, a nawet kupić sobie samochód. W zamian za to, że to wszystko dostawali, jemu żyło się troszkę lepiej. Tak było chyba sprawiedliwie, prawda? Bo czyż nie pracował ciężiej niż oni? Czego, do diabła, ci ludzie jeszcze chcieli?

A Polak z Rzymu próbował tym układem zachwiać.

I może mu się udać, pomyślał Andropow. Stalin spytał kiedyś, ile dywizji ma papież, ale nawet on musiał wiedzieć, że nie cała władza pochodzi z lufy rewolweru.

Wojtyła zrezygnuje z pontyfikatu – co wtedy? Spróbuje wrócić do Polski. Czy Polacy mogli go jakoś powstrzymać, na przykład pozbawić go obywatelstwa? Nie, na pewno by sobie z tym poradził. Oczywiście KGB i polska bezpieka miała swoje wtyczki w kościele, ale na wtyczkach się kończyło. Czy Watykan też zdołał ich spenetrować? Jeśli tak, to do jakiego stopnia? Nie wiadomo. Nie, wszelkie próby uniemożliwienia mu powrotu do ojczyzny speł-

złyby na niczym i – gdyby rzeczywiście tam powrócił – doprowadziłyby do katastrofy iście epickich rozmiarów.

Mogliby spróbować dyplomatycznie. Odpowiedni urzędnik Ministerstwa Spraw Zagranicznych poleciałby do Rzymu, spotkał się potajemnie z Wojtyłą i spróbowałby mu to wyperswadować. Tylko jakimi dysponowałby kartami? Zagroziłby mu śmiercią? Nie, to by nie poskutkowało. Przecież tego rodzaju szantaż to gwarancja przyszłego męczeństwa i święto-

ści i papież jeszcze bardziej by się rozochocił. Dla człowieka prawdziwie wierzącego byłoby to otwarte zaproszenie do nieba, zaproszenie wysłane przez samego diabła, i Wojtyła skwapliwie podniósłby rzuconą mu rękawicę. Nie, takiemu jak on nie można grozić śmiercią. A groźenie jego rodakom surowszymi konsekwencjami tylko zachęciłoby go do powrotu, bo zechciałby jak najszybciej stanąć na ich czele, żeby świat ujrzał w nim jeszcze większego bohatera.

Tak, zawarta w „Warszawskim liście” groźba jest niezwykle finezyjna i wyrafinowana, myślał Andropow. I można na nią odpowiedzieć tylko w jeden sposób: Wojtyła będzie musiał przekonać się osobiście, jak to z tym Bogiem jest, czy naprawdę istnieje.

A istnieje? Pytanie to dręczyło od wieków wielu ludzi, wreszcie Karol Marks i Włodzimierz Lenin

ostatecznie rozstrzygnęli sprawę – przynajmniej tu, w Związku Radzieckim.

Nie, dumął Jurij Władimirowicz, już za późno na szukanie własnych odpowiedzi. Boga nie ma. Żyje się tylko raz, tu i teraz, i gdy się umiera, umiera się na dobre, dlatego trzeba to życie maksymalnie wykorzystać, sięgając po owoce, po które można sięgnąć, i wchodząc na drabinę, żeby zerwać te, których dosięgnąć się nie da.

Tymczasem Wojtyła chciał ten dogmat podważyć. Chciał potrząsnąć drabiną – może nawet drzewem? Nie, nie, to pytanie było trochę za głębokie.

Jurij Władimirowicz odwrócił się w fotelu, wziął karafkę, nalał sobie wódki i w zamyśleniu pociągnął mały łyk. Polski papież próbował narzucić mu system fałszywych wierzeń, próbował wstrząsnąć podstawami Związku Radzieckiego i podległych mu krajów, próbował

wmówić ludziom, że warto jest wierzyć w coś innego, lepszego. Próbował tym samym prze-kreślić dorobek życia wielu pokoleń, a do tego jego kraj nie miał prawa dopuścić. Ale on, Andropow, nie mógł go do niczego zmusić. Nie mógł mu tego wyperswadować. Nie, myślał, trzeba zareagować tak, żeby powstrzymać go całkowicie i ostatecznie.

66

Zdawał sobie sprawę, że nie będzie to ani łatwe, ani bezpieczne. Ale jeszcze groźniejsze było siedzenie z założonymi rękami, groźniejsze dla niego, dla jego kolegów i dla całego kraju.

Dlatego Wojtyła musiał umrzeć. Ale najpierw trzeba opracować plan. Potem przedstawić ten plan Biuru Politycznemu. Tak, zanim przejdą do działania, musiał zgrać wszystkie szczegóły, musiał mieć gwarancję, że operacja zakończy się sukcesem. Cóż, od tego miał

KGB, prawda?

67

Rozdział 5

Blisko...

Jurij Władimirowicz Andropow był rannym ptaszkiem. Wziął prysznic, ogolił się, ubrał i przed siódmą rano jadł już śniadanie, jajecznicę z trzech jaj na boczku i grubo krojony rosyjski chleb z duńskim masłem. Kawa była niemiecka, tak samo jak urządzenia kuchenne w jego mieszkaniu. Jedząc, czytał „Prawdę”, przeglądał wycinki z zagranicznych gazet, przetłumaczone przez językoznawców z KGB, oraz raport, który przygotowali analitycy z Centrali i który już o szóstej rano doręczał mu specjalny kurier. Przy trzecim papierosie i drugiej filiżance kawy stwierdził, że w nocy nie działo się nic ważnego. Rutyna. Nawet amerykański prezydent niczego nie chlapnął, co było miłą niespodzianką. Może zasnął przed telewizorem, jak Breżniew.

Breżniew. Ciekawe jak długo jeszcze będzie kierował Biurem. Ustąpi? Wykluczone.

Gdyby ustąpił ze stanowiska, ucierpiałyby jego dzieci, a życie w królewskiej rodzinie Związku Radzieckiego za bardzo im odpowiadało, żeby chcieli do tego dopuścić. Demoralizacja jest złem. Andropow, który uważał się za człowieka uczciwego, zawsze ją potępiał.

Dlatego obecna sytuacja tak bardzo go frustrowała. Tak, myślał. Ocalę, muszę ocalić ten kraj przed chaosem, w którym wszyscy się pogrążamy. Oczywiście pod warunkiem, że Breżniew wkrótce umrze, a ja jeszcze trochę pożyję. Leonid Iljicz wyraźnie podupadał na zdrowiu.

Udało mu się rzucić palenie – Jurij Władimirowicz musiał przyznać, że dla siedemdziesięciosześcioletka jest to nie lada wyczyn – ale był już całkowicie zdzieciniały. Rozkojarzony.

Zawodziła go pamięć. Bywało, że ku zdumieniu swoich współpracowników przysypiał na ważnych naradach. Ale władzę wciąż miał potężną i trzymał się jej jak tonący deski. Dzięki kilku mistrzowskim posunięciom doprowadził do obalenia Nikity Siergiejewicza Chruszczowa i wszyscy w Moskwie tę sztuczkę pamiętali – sztuczkę, która na pewno nie podziąła-

łaby na kogoś, kto ją wymyślił. Nikt mu nawet nie zasugerował, żeby trochę zwolnił, tym bardziej, żeby usunął się na bok, ustępując miejsca ludziom, którzy przejęliby część jego obowiązków administracyjnych, żeby on mógł zająć się wyłącznie sprawami najwyższej wagi państwowej. Amerykański prezydent był niewiele młodszy od niego, ale prowadził dużo zdrowszy tryb życia, a może pochodził z twardszej, prawdziwie chłopskiej rodziny.

Ileć raz popadał w refleksyjną zadumę, zawsze dziwiło go, że tego rodzaju demoralizacja wywołuje w nim wewnętrzny sprzeciw. Tak, uważał, że jest to demoralizacja, właśnie tak to zjawisko postrzegał, ale rzadko kiedy zadawał sobie pytanie, dlaczego postrzega je akurat w taki sposób. Gdy o tym myślał, odwoływał się zwykle do swoich marksistowskich przekonań, ponieważ nawet on musiał odwoływać się do jakiegoś etosu, a żadnego innego po prostu nie znał. Co dziwniejsze, był to obszar, w którym dogmaty marksizmu i chrześcijaństwa się na siebie nakładały. Pewnie przez przypadek. Ostatecznie Karol Marks był żydem, a nie chrześcijaninem, dlatego bez względu na to, jaką religię akceptował lub odrzucał, na pewno nie była to religia obca jego kulturowemu dziedzictwu.

Przewodniczący KGB z rozdrażnieniem pokręcił głową. Bzdura. Dość tego myślenia.

Czekały go obowiązki, którym nigdy nie było końca. Ktoś dyskretnie zapukał do drzwi.

– Proszę – rzucił, dobrze wiedząc, kto puka.

– Samochód czeka, towarzyszu przewodniczący – zameldował dowódca ochrony.

– Dziękuję, Władymirze Stiepanyczu. – Andropow wstał od stołu i włożył marynarkę.

68

Jak co dzień czekała go czternastominutowa przejażdżka przez centrum Moskwy. Jego ził był samochodem zrobionym ręcznie i przypominał trochę nowojorską taksówkę. Pędził

przez śródmieście szerokimi alejami, najszerszym pasem zarezerwowanym wyłącznie dla najwyższych urzędników państwowych i politycznych. Ruchem na tych pasach kierowali milicjanci. Co trzy ulice jeden, stali tam przez cały dzień, w piekącym słońcu i na lodowatym zimnie, i pilnowali, żeby nikt nie zablokował ich na dłużej niż na czas wystarczający do szybkiego skrętu w lewo czy w prawo. Dzięki temu dojazd do pracy trwał tyle co przelot śmigłowcem i był znacznie mniej stresujący.

Moskiewska Centrala, jak służby wywiadowcze na całym świecie nazywały KGB, mie-

ściła się w gmachu dawnego Towarzystwa Ubezpieczeniowego „Rosija”, i potężne musiało to być towarzystwo, skoro stać je było na budowę takiego pałacu. Ził wjechał przez bramę na wewnętrzny dziedziniec i stanął przed brązowymi drzwiami. Otworzyły się drzwiczki i Andropow wysiadł, odpowiadając skinieniem głowy na służbisty salut umundurowanych żoł-

nierzy z Ósmego Zarządu Głównego. Winda – oczywiście przytrzymano mu drzwi – zawiozła go na najwyższe piętro. Ochroniarz, jak wszyscy ochroniarze ważnych osobistości, uważnie zbadał mu wzrokiem twarz, żeby sprawdzić, w jakim szef jest nastroju, i jak zwykle nic z niej nie wyczytał. Przewodniczący KGB umiał ukrywać emocje jak zawodowy pokerzysta. Od windy do sekretariatu miał ledwie piętnaście metrów korytarzem. Do sekretariatu, ponieważ w jego gabinecie nie było drzwi. W przedpokoju była za to wbudowana w ścianę szafa, a w szafie tajne przejście. Ta maskarada rodem z filmów płaszczka i szpady pochodziła jeszcze z czasów Ławrientija Berii, szefa tajnych służb Stalina, który bojąc się o swoje życie, a bał się nie bez powodu, kazał zbudować to przejście na wypadek, gdyby zamachowcy przebili się aż na najwyższe piętro siedziby NKWD. Andropow uważał, że to nieco teatralne, ale cóż, było w tym coś z tradycji KGB, a odwiedzający go goście mieli przynajmniej trochę zabawy. Poza tym szafa i przejście istniały za długo, żeby utrzymać rzecz w tajemnicy.

Zgodnie z harmonogramem dnia, przed rozpoczęciem urzędowania zawsze miał piętna-

ście minut czasu na przejrzanie czekających na biurku dokumentów. Potem rozpoczynały się odprawy, po odprawach zaś narady i spotkania, których termin uzgadniano na wiele dni, a nawet tygodni wcześniej. Tego dnia czekały go głównie sprawy związane z bezpieczeń-

stwem wewnętrznym państwa, chociaż przed obiadem miał też spotkanie z kimś z Sekretariatu partii. Chodziło o coś czysto politycznego... Aha, znowu ten Kijów. Gdy został przewodniczącym KGB, natychmiast stwierdził, że problemy partii mocno błędną w porównaniu z szerokim wachlarzem spraw, jakie czekały go tu, przy placu Dzierżyńskiego numer 2.

Chociaż Komitet Bezpieczeństwa Państwowego miał swoje ograniczenia, był przede wszystkim „mieczem i tarczą” partii. Dlatego do jego głównych zadań – przynajmniej teoretycznie

– należało pilnowanie obywateli, którzy mieli do rządu mniej entuzjastyczny stosunek niż powinni. Coraz więcej kłopotów sprawiały mu Komitety Helsińskie. Przed siedmiu laty Związek Radziecki podpisał w stolicy Finlandii tak zwaną Wielką Kartę Pokoju, dokument przyjęty na zakończenie Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie, i ci z Komitetów najwyraźniej potraktowali to poważnie. Co gorsza, co jakiś czas przykuwali uwagę zachodnich mediów. Dziennikarze to prawdziwe utrapienie, w dodatku nie można było nimi pomiatać jak kiedyś. W każdym razie nie wszystkimi, bo świat kapitalistyczny uważał ich za półbogów, oczekując tego samego od Rosjan, tymczasem roiło się wśród nich od wszelkiego rodzaju szpiegów. Amerykanie oficjalnie zabronili swoim agentom podszywania się pod dziennikarzy i reporterów. Przeważnie. Podszywali się pod nich agenci służb wywiadowczych całego świata. Że niby ich Kongres ustanawiał te niewinne jak dziewice prawa tylko 69

po to, żeby inne kraje z otwartymi ramionami przyjmowały dziennikarzy z „New York Timesa” i pozwalały im tam spokojnie węszyć. Ha! Kompletna bzdura, niewarta nawet lekceważącego prychnięcia. Absurd i niedorzeczność. Każdy zagraniczny turysta odwiedzający Związek Radziecki jest szpiegiem – wszyscy o tym wiedzieli, dlatego Drugi Zarząd Główny, zajmujący się kontrwywiadem, był tak bardzo rozbudowany.

Cóż, jeśli się dobrze zastanowić, problem, który kosztował go godzinę nocnego dumania, wcale się od tego nie różnił. Prawie wcale. Jurij Władimirowicz wcisnął guzik interkomu.

– Słucham, towarzyszu przewodniczący – odpowiedział momentalnie głos sekretarza.

– Przyślijcie do mnie Aleksieja Nikołajewicza.

– Rozkaz, towarzyszu przewodniczący, natychmiast.

Według zegarka Andropowa, owo „natychmiast” trwało cztery minuty.

– Melduję się, towarzyszu przewodniczący. – Aleksiej Nikołajewicz Roźdiestwienski, pułkownik z Pierwszego – „zagranicznego” – Zarządu Głównego, był bardzo doświadczonym agentem terenowym, który służył zarówno w Europie Zachodniej, jak i w państwach niemal całej zachodniej półkuli. Jako

wybitnie utalentowany wywiadowca i agent prowadzący, został przeniesiony do Centrali, gdzie ze względu na jego rozległą wiedzę praktyczną przydzielono mu funkcję osobistego doradcy Andropowa, który konsultował się z nim, ilekroć potrzebował informacji na temat podejmowanych przez KGB przedsięwzięć. Niewysoki i niespecjalnie przystojny, Roźdiestwienski był człowiekiem, który potrafił „zniknąć” na ulicy każdego miasta w świecie, co częściowo tłumaczyło jego dotychczasowe sukcesy.

– Aleksiej, mam tu pewien teoretyczny problem. O ile pamiętam, pracowałeś we Włoszech, tak?

– Tak jest, przez trzy lata, towarzyszu przewodniczący. Służyłem w rzymskiej ekspozyturze, pod rozkazami towarzysza pułkownika Gordienki. Pułkownik Gordienko wciąż tam pracuje, jest naszym rezydentem.

– Dobry z niego fachowiec?

Pułkownik Roźdiestwienski energicznie kiwnął głową.

– Tak, to dobry oficer. Ma świetnie zorganizowaną placówkę. Dużo się od niego nauczyłem.

– A dobrze zna Watykan?

Roźdiestwienski szybko zamrugał.

– Niewiele tam ciekawego. Tak, mamy kilka kontaktów, ale Watykan nigdy dotąd nie należał do naszych priorytetów. Kościół katolicki trudno zinfiltrować, z oczywistych powodów.

– Trudno? Nawet za pośrednictwem Kościoła prawosławnego?

– Owszem, w prawosławnym mamy swoich ludzi, ale rzadko kiedy dostarczają użytecznych informacji. Większość to raczej plotki, a plotki można zebrać innymi kanałami.

– Czy papież ma dobrą ochronę?

70

– Chodzi o ochronę fizyczną?

– Tak.

Roźdiestwienski poczuł, że spadła mu temperatura krwi, i to aż o kilka stopni.

– Towarzyszu przewodniczący, papież ma ochronę, ale jest to głównie ochrona bierna.

Chodzą za nim Szwajcarzy w cywilu; ci operetkowi przebierańcy, którzy paradują w pasko-wanych wdziankach, są tylko na pokaz. Owszem, czasami zdarza im się zatrzymać jakiegoś napaleńca, podnieconego bliskością głowy kościoła, ale nic więcej. Nie wiem nawet, czy są uzbrojeni, chociaż zakładam, że tak.

– Dobrze. Chciałbym wiedzieć, czy trudno by było nawiązać z nim... bliski kontakt. Zbliżyć się do niego, po prostu podejść. Jak myślicie?

Aha, pomyślał Roźdiestwienski.

– Chodzi wam o moje doświadczenie zawodowe w tym zakresie? Nie mam żadnego, towarzyszu przewodniczący. Byłem w Watykanie kilka razy. Mają tam niezwykle bogatą kolekcję dzieł sztuki; moja żona się tym interesuje. W sumie zabrałem ją do Watykanu chyba z sześć razy. Pełno tam księży i zakonnic. Przyznaję, że nigdy nie zwracałem uwagi na środki bezpieczeństwa, ale raczej nie rzucały się w oczy. Mają tam to, co jest wszędzie, zabezpieczenia przed wandalami, i tak dalej. Są również strażnicy, ale wygląda na to, że ich jedynym obowiązkiem jest wskazywanie turystom drogi do toalety.

Papież mieszka w apartamentach sąsiadujących z Bazyliką Świętego Piotra. Ale nigdy w nich nie byłem. Nie miałem po co. Wiem, że czasem bywa tam nasz ambasador, ale mnie nie zapraszano. Pełniłem funkcję sekretarza attaché handlowego, to za wysokie progi. – Roźdiestwienski przestąpił z nogi na nogę. – Towarzyszu przewodniczący, pytaliście, czy dałoby się podejść do papieża. Zakładam, że chodzi wam o odległość...

– Powiedzmy pięciu metrów. Nie więcej niż pięciu.

Skuteczny zasięg rażenia pocisku pistoletowego, zrozumiał natychmiast pułkownik.

– Nie wiem, towarzyszu przewodniczący. To zadanie dla pułkownika Gordienki i jego ludzi. Papież udziela audiencji dla wiernych, ale nie wiem, jak się na taką dostać. Pokazuje się też publicznie z innych okazji. Nie wiem, kto i jak te rzeczy ustala.

– A więc dowiedzmy się tego – rzucił lekko Andropow. – Zameldujecie o tym bezpośrednio mnie. Mnie i tylko mnie. Z nikim na ten temat nie rozmawiajcie.

– Tak jest, towarzyszu przewodniczący – odrzekł Roźdiestwienski, stając na baczność. –

Priorytet?

– Absolutne pierwszeństwo – odparł obojętnie Andropow.

– Osobiście tego dopilnuję – obiecał pułkownik. On też miał twarz pokerzysty. Miał kilka takich twarzy. Oficerom KGB wpajano, że nie wolno im ulegać żadnym skrupułom, przynajmniej nie w

sprawach politycznych, bo w tych musieli odznaczać się bezgraniczną wiarą. Rozkaz przełożonego miał moc woli bożej. Dlatego w tej chwili Aleksiej Nikołajewicz niepokoił się jedynie o potencjalne skutki polityczne, jakie może wywołać zrzućenie tej specyficznej bomby atomowej. Rzym dzieliło od Moskwy ponad dwa tysiące kilometrów, mimo to nawet taka odległość będzie prawdopodobnie za mała. Jednakże rozstrzygnięcie kwestii politycznych nie należało do jego obowiązków, dlatego szybko o tej sprawie zapomniał, 71

przynajmniej tymczasem. I właśnie wtedy na biurku przewodniczącego zabrzączał interkom. Andropow pstryknął prawym górnym przełącznikiem.

– Tak?

– Pierwsze spotkanie, towarzyszu przewodniczący – przypomniał mu sekretarz.

– Jak myślisz, Aleksiej, jak długo to potrwa?

– Kilka dni. Rozumiem, że chcecie natychmiastowej oceny sytuacji, ale dużo zależy od tego, jak szczegółowe interesują was dane.

– Tymczasem wystarczy sama ocena. Jeszcze niczego nie planujemy.

– Rozkaz, towarzyszu przewodniczący. Za waszym pozwoleniem, udam się teraz centrum łączności.

– Znakomicie. Dziękuję, Aleksiej.

– Ku chwale Związku Radzieckiego – odrzekł automatycznie pułkownik. Ponownie stanął na baczność i zrobił zwrot w stronę drzwi. Jak większość mężczyzn, wchodząc do sekretariatu, musiał pochylić głowę, po czym skręcił w prawo i znalazł się na korytarzu.

A więc jak podejść do papieża, do tego polskiego księdza? Było to przynajmniej ciekawe zagadnienie teoretyczne. W KGB było pełno teoretyków i akademików, którzy badali i analizowali dosłownie wszystko, poczynając od tego, jak zorganizować zamach na szefa zagranicznego rządu – bardzo pożyteczny w przypadku, gdy ma wybuchnąć duża wojna – koń-

cząc na sposobach kradzieży i przechwytywania szpitalnych kart chorobowych. Wachlarz operacji Komitetu Bezpieczeństwa Państwowego był bardzo szeroki.

Postronny obserwator nie wyczytałby wiele z twarzy zmierzającego ku windom puł-

kownika. Roźdiestwienski wcisnął guzik i czterdzieści sekund później otworzyły się drzwi.

– Na dół – rzucił. Wszystkie windy w gmachu były obsługiwane przez windziarzy. Kabina dźwigu osobowego to zbyt dobre miejsce na martwą skrzynkę kontaktową, żeby pozostawić ją bez czujnego nadzorca. Windziarzy odpowiednio szkolono, żeby umieli dostrzec, czy nikt nie przekazuje sobie niczego w tłoku. W tym gmachu nikt nikomu nie ufał. Zbyt wiele ukrywano tu tajemnic. Gdyby

wywiad obcego mocarstwa mógł wybrać dowolny budynek w Związku Radzieckim i umieścić w nim swojego agenta, budynkiem tym byłby na pewno gmach KGB, dlatego wszyscy pracujący tu funkcjonariusze uprawiali rodzaj podejrzliwej gry, zawsze i wszędzie obserwując innych, zawsze i wszędzie doszukując się w ich słowach podwójnego znaczenia. Mężczyźni zawierali tu przyjaźnie, jak w każdym innym środowisku. Rozmawiali o swoich żonach i dzieciach, o sporcie, o pogodzie, o tym, czy warto mieć samochód, o daczach na wsi, które kupić mogli szczęśliwcy o najdłuższym stażu pracy. Ale rzadko kiedy rozmawiali o pracy, chyba że z najbliższymi współpracownikami i tylko w salach konferencyjnych, jedynym miejscu, gdzie można było o tym mówić. Roździe-stwienskiemu nigdy nie przyszło do głowy, że te instytucjonalne restrykcje obniżają wydajność i mogą źle wpłynąć na skuteczność pracy całego Komitetu. Ostrożność była tu religią.

W drodze do centrum musiał przejść przez posterunek kontrolny. Strażnik zerknął na zaopatrzoną w zdjęcie przepustkę i przepuścił go, ledwo skinąwszy głową.

Oczywiście Roźdiestwienski bywał tu na tyle często, że znali go wszyscy starsi szyfranci, z twarzy i nazwiska, a i on nieźle ich znał. Biurka ustawiono daleko od siebie, a dzięki temu, 72

że w tle nieustannie klekotały teleksy, nawet człowiek o najczulszym uchu nie podsłuchałby rozmowy z odległości większej niż trzy, cztery metry. Dopracowanie środków bezpieczeń-

stwa obowiązujących w tym pomieszczeniu trwało wiele lat i teraz były niemal idealne, chociaż ci od wydajności, ci z trzeciego piętra, ciągle chodzili naburmuszeni, ciągle kręcili głowami i wszędzie doszukiwali się wad. Stał przed biurkiem oficera dyżurnego.

– Witajcie, Olegu Iwanowiczu.

Zajcew podniósł wzrok. Piąty gość tego dnia: przeszkadzano mu już piąty raz! Służba oficera dyżurnego bywała tu prawdziwym przekleństwem, zwłaszcza poranna. Nocą człowiek się nudził, ale przynajmniej mógł spokojnie popracować.

– Dzień dobry, towarzyszu pułkowniku – odrzekł uprzejmie. – Czym mogę służyć?

– Szyfrówka specjalna do ekspozytury w Rzymie, do rąk własnych rezydenta. Na jednorazówce. I wolałbym, żebyście załatwili to osobiście. – A więc zamiast szyfranta, zrozumiał

natychmiast Zajcew. Prośba była dość niezwykła i wzmogła jego zaciekawienie. I tak by ten przekaz zobaczył, ale wyeliminowanie szyfranta oznaczało, że jego treść pozna o połowę ludzi mniej.

– Oczywiście. – Zajcew wziął notatnik i ołówek. – Dyktujcie.

– „Ściśle tajne specjalnego przeznaczenia. Pilne. Nadawca: Centrala, gabinet przewodniczącego. Odbiorca: pułkownik Rusłan Borysowicz Gordienko, rezydent, Rzym. Treść: Zebrać i przekazać informacje o sposobach nawiązania bliskiego kontaktu z papieżem. Koniec”.

– To wszystko? – Zajcew był zaskoczony. – A jeśli spyta, co to znaczy? Treść jest niejasna.

– Rusłan Borysowicz na pewno wszystko zrozumie – odrzekł Roźdiestwienski. Wiedział, że zadając to pytanie, Zajcew nie przekroczył swoich kompetencji. Jednorazówki były bardzo niewygodne w użyciu, dlatego przekazywana wiadomość musiała zawierać jak najwię-

cej szczegółów, żeby przeciwnik – namierzając przesyłane w tę i we w tę prośby o dodatkowe wyjaśnienia – nie rozpracował ich systemu transmisji danych. Ponieważ ta wiadomość miała zostać przesłana teleksem, przeciwnik na pewno ją przechwyci i rozpoznawszy charakterystyczne sformatowanie, bez wątplenia zrozumie, że jest to coś ważnego. Bez wątplenia też zabiorą się do niej amerykańscy i brytyjscy specjaliści od dekryptażu, a wszyscy bali się ich sprytnych sztuczek. Te przeklęte zachodnie agencje wywiadowcze ściśle ze sobą współpracowały.

– Skoro tak, to oczywiście, towarzyszu pułkowniku. Wyślę ją w ciągu godziny. – Zajcew zerknął na ścienny zegar, żeby sprawdzić, czy będzie w stanie dotrzymać słowa. – Gdy rezydent przyjdzie do pracy, wiadomość powinna czekać na biurku.

Rozszyfrowanie zajmie Rusłanowi dwadzieścia minut, myślał Roźdiestwienski. Czy za-

żąda od nas dodatkowych wyjaśnień, jak sugerował Zajcew? Prawdopodobnie tak. Jest bardzo ostrożny i dokładny – i zręczny politycznie. Chociaż nadawcą jest sam Andropow, zwycięży w nim ciekawość i poprosi o więcej szczegółów.

– Jeśli będzie odpowiedź, zadzwonicie do mnie, kiedy tylko ją rozszyfrujecie.

– Jesteście w tej sprawie łącznikiem? – spytał Zajcew, chcąc się upewnić, czy dobrze zakwalifikował przekaz. Ostatecznie w nagłówku widniał napis: CENTRALA, GABINET

PRZEWODNICZĄCEGO.

73

– Zgadza się, kapitanie.

Zajcew kiwnął głową i podał pułkownikowi czysty formularz, do podpisu i potwierdzenia. Każda, najmniejsza nawet decyzja podjęta w KGB pozostawiała za sobą papierowy ślad.

Kapitan spojrzął na listę. Przekaz, nadawca, odbiorca, sposób kodowania, punkt kontaktowy... Tak, wszystkie rubryki były poprawnie wypełnione. Podniósł wzrok.

– Zaraz się tym zajmę. Zadzwonię do was i potwierdzę czas nadania. – Musiał również wysłać odpis do archiwum. Skończył pisać i wyjąwszy kalkę, podał pułkownikowi kopię.

– Tu jest numer. Do odwołania będzie numerem referencyjnym tej operacji.

– Dziękuję, kapitanie. – Roźdiestwienski odszedł.

Oleg Iwanowicz ponownie spojrzął na zegar. Rzym dzieliła od Moskwy trzygodzinna różnica czasu. Rezydent najpierw depeszę rozszyfruje – zajmie mu to dziesięć, piętnaście minut; wiedział, że ci z terenu nie mają w tym wprawy – potem przeanalizuje jego treść, a potem...? Potem zażąda od nich dodatkowych wyjaśnień. Tak, na pewno. Zajcew był gotów się o to założyć, sam ze sobą naturalnie. Wysyłał i odbierał od niego szyfrówki od kilku lat.

Gordienko był bardzo ostrożny i lubił jasne polecenia. Dlatego lepiej zostawić notatnik w szufladzie, na pewno będzie jeszcze potrzebny. Policzył: dwieście pięćdziesiąt osiem znaków, łącznie ze znakami interpunkcyjnymi i odstępami. Szkoda, że nie mógł zaszyfrować tego na jednym z tych amerykańskich komputerów, którymi bawili się ci z góry. Ech, marzenia ściętej głowy... Wyjął notatnik kodowy, zapisał jego numer i przeszedł na drugą stronę sali. Numer zapisał odruchowo i niepotrzebnie, bo znał je wszystkie na pamięć. Pamięć miał znakomitą, pewnie dzięki temu, że kiedyś grywał w szachy.

– Jeden, jeden, pięć, osiem, dziewięć, zero – rzucił do urzędnika za metalową siatką, podając mu formularz zapotrzebowania. Urzędnik, znużony pięćdziesięciosiedmioletni męż-

czynna, który przepracował tu połowę życia, przeszedł kilka metrów po odpowiednią książ-

kę, a raczej wąski skoroszyt szerokości dziesięciu i wysokości dwudziestu pięciu centymetrów. Wypełniało go około pięciuset luźno spiętych kart perforowanych. Tę aktualnie używaną oznaczono plastikową fiszką.

Karty były zapisane kolumnami nazwisk, przypominających nazwiska z książki telefonicznej, ale wystarczyło im się uważnie przypatrzeć, by natychmiast stwierdzić, że nie są to nazwiska w żadnym znanym języku, a raczej ciągi przypadkowo dobranych liter. Na obrze-

zach Moskwy, zaraz za moskiewską obwodnicą, mieściła się siedziba Zarządu, w którym pracował Zajcew. Była to tak zwana Ósemka, a pracujący w niej specjaliści zajmowali się kryptografią i kryptoanalizą, to znaczy tworzeniem i łamaniem przeróżnych szyfrów i ko-dów. Na dachu siedziby zamontowano niezwykle czułą antenę, połączoną z urządzeniem przypominającym teleks. Umieszczony między anteną i teleksem odbiornik wychwytywał

atmosferyczne szумы i zamieniał te „sygnały” na serie kropek i kresek, które teleks pracowicie drukował. W sumie KGB dysponowało kilkoma takimi urządzeniami: były ze sobą odpowiednio sprzężone, żeby maksymalnie spotęgować przypadkowość wychwyconych z atmosfery szumów, wymieszać je ze sobą i stworzyć kompletnie niezrozumiałe bełkot. Beł-

kot ów służył do sporządzania kluczy jednorazowego użytku, całkowicie losowych transpozycji, których żaden matematyk nie potrafiłby ująć w konkretny wzór i tym samym rozszyfrować. Klucze jednorazowego użytku powszechnie uważano za najbezpieczniejszy system kryptograficzny. To ważne, ponieważ Amerykanie uchodzili za czołowych kryptoanalityków w świecie. Ku wielkiemu zakłopotaniu KGB, ich program „Venona” z końca lat czter-74

dziestych i początku pięćdziesiątych skompromitował nawet kryptoanalitików radzieckich.

Superbezpieczne jednorazówki były jednocześnie supernieporęczne i superniewygodne nawet dla pracowników tak doświadczonych jak kapitan-major Zajcew. Ale nic nie można było na to poradzić – Jurij Andropow żądał informacji na temat sposobów nawiązaniu bliskiego kontaktu z papieżem.

I właśnie wtedy go to uderzyło: bliski kontakt z papieżem? Ale po co? Czyżby Jurij Władimirowicz chciał się wypowiedzieć? Mało prawdopodobne.

Co mu kazano wysłać?

Ich rzymski rezydent, pułkownik Gordienko, był doświadczonym funkcjonariuszem i miał pod opieką Włochów oraz informatorów innej narodowości, którzy pracowali dla KGB.

Przekazywał do Centrali informacje wszelkiego rodzaju, i ważne, i po prostu zabawne, acz potencjalnie użyteczne w kompromitowaniu ważnych osobistości ich wstydliwymi dziwactwami. Czy dziwactwom tym ulegali jedynie ci naprawdę ważni, czy też to stanowiska, któ-

re zajmowali, umożliwiały im nurzanie się w rozpuście, o jakiej marzyli wszyscy mężczyźni, i w jakiej nurzać się mogli tylko nieliczni? Tak czy inaczej, w Rzymie na pewno mieli raj, pomyślał Zajcew. Ostatecznie to miasto cesarów, a więc raj. Przypomniały mu się książki podróżnicze i historyczne o Wiecznym Mieście i jego okolicach – historia klasyczna w radzieckim wydaniu była przyprawiona komentarzem politycznym, lecz na szczęście niezbyt rozbuchanym. Te komentarze, to upolitycznianie każdego aspektu życia było najbardziej męczącą intelektualnie stroną życia w tym kraju, męczącą do tego stopnia, że niektórzy uciekali od niej w alkoholizm – oczywiście tu, w Związku Radzieckim, tego rodzaju ucieczka nie nastęrczała żadnych trudności. Cóż, pora wracać do roboty. Z górnej szuflady wyjął szyfrator. Urządzenie wyglądało jak połączone ze sobą tarcze telefonu: górną trzeba było przyło-

żyć do litery, którą chciało się zaszyfrować, a dolną się przekręcało, tak żeby naszła na odpowiednią literę z karty kodów. On rozpoczął pracę od początku dwunastej linijki karty numer 284. Wzmianka o tym znajdzie się w pierwszej linijce przekazu, żeby odbiorca wiedział, jak odczytać wiadomość.

Praca była bardzo żmudna. Przyłożyć górną tarczę do litery, przekręcić dolną, zapisać wynik. Po każdym ruchu musiał odkładać ołówek, podnosić go, jeszcze raz sprawdzić wynik – w tym przypadku sprawdzał go dwukrotnie – i zaczynać wszystko od początku. (Szyfranci, którzy zajmowali się wyłącznie mechanicznym szyfrowaniem, pracowali obydwoma rękami, ale on tego nie potrafił). Było to zajęcie niewyobrażalnie nużące, zwłaszcza dla ma-tematyka. Jak sprawdzanie dyktand w podstawówce, pomyślał ponuro Zajcew. Zajęło mu to sześć minut. Skończyłby szybciej, gdyby ktoś mu pomógł, ale prosząc kogoś o pomoc, zła-małby przepisy, a te były tu świętością.

Zapisawszy ostatnią literę, powtórzył całą operację jeszcze raz, żeby sprawdzić, czy do zaszyfrowanego przekazu nie wkradł się błąd; błąd wszystko by popsuł, ale winę zawsze można było rzucić na operatora teleksu i często to tu praktykowano. Cztery i pół minuty później stwierdził, że

żadnego błędu nie ma. Dobrze.

Drzwiami na drugim końcu sali wszedł do centrum łączności. Panujący tu hałas doprowadzał do szaleństwa. Teleksy były stare – jeden z nich skradziono Niemcom jeszcze w latach trzydziestych – i klekotały jak zamek karabinu maszynowego, czemu na szczęście nie towarzyszył huk wybuchającego w łuskach prochu. Przed każdym siedział umundurowany teletypista. Wszyscy byli mężczyznami i przypominali zastygłe bez ruchu posągi z rękami

przyklejonymi do klawiatury. Mieli zatyczki w uszach, w przeciwnym razie już dawno by ogłuchli albo wylądowali w szpitalu psychiatrycznym. Zajcew podszedł do kierownika zmiany, który bez słowa wziął zaszyfrowany przekaz – on też miał w uszach zatyczki –

wstał, ruszył w stronę teletypisty siedzącego na końcu ostatniego rzędu i przypiął formularz do pionowo ustawionej podkładki z klipsem nad klawiaturą. Na górze formularza widniał

numer identyfikacyjny adresata. Teletypista wykręcił go i zaczął, aż zabrzmiał charakterystyczny warkot teleksu po drugiej stronie linii; warkot był na tyle intensywny, że słyszał go mimo zatyczek, poza tym na pulpicie urządzenia zapalała się również żółta lampka. Gdy się zapaliła, zaczął wystukiwać wiadomość.

Jak to robili, nie wariując, tego Zajcew za nic nie mógł pojąć. Umysł człowieka kierował

się logicznymi wzorami i zdrowym rozsądkiem, tymczasem bezbłędne wystukiwanie słów w rodzaju: TKALNNETPTN wymagało koncentracji robota i było całkowitym zaprzeczeniem człowieczeństwa. Niektórzy twierdzili, że teletypiści są wytrawnymi pianistami, ale to nie mogła być prawda. Zajcew w to nie wierzył. Nawet najbardziej kakofoniczny utwór for-tepianowy miał spoistą harmonię, w przeciwieństwie do bełkotliwej i zupełnie niespójnej

„partytury” jednorazowych kluczy kodowych.

Już kilka sekund później teletypista podniósł głowę.

– Wiadomość została przekazana, towarzyszu kapitanie. – Zajcew skinął głową i wrócił do biurka kierownika zmiany.

– Jeśli odbierzecie coś z tym numerem referencyjnym, natychmiast przynieście to do mnie.

– Rozkaz, towarzyszu kapitanie – odrzekł tamten, wpisując numer na listę tych „gorących”, czyli priorytetowych.

Załatwiwszy sprawę, Zajcew ruszył do swego biurka, gdzie czekał już stos papierów i praca niewiele mniej otepiająca od tej, którą wykonywały siedzące za teleksami roboty. Może właśnie dlatego w jego głowie ponownie zabrzmiał cichutki szep: nawiązać bliski kontakt z papierem... Po

co?

Budzik zadzwonił za kwadrans szósta. Pogańska godzina. Pomyślał, że w Stanach jest za kwadrans pierwsza, lecz myśl ta nie pociągnęła za sobą dalszej refleksji. Zrzucił koc, wstał i poszedł chwiejnie do łazienki. Do wielu rzeczy jeszcze tu nie przywykł. Słuczka splukiwała jak każda inna, ale umywalka... Po cholere komuś dwa krany? myślał. Oddzielny na zimną wodę, oddzielny na gorącą. W Stanach wkładało się ręce pod jeden, a tu trzeba było najpierw poczekać, aż woda wymiesza się w umywalce. To człowieka spowalniało. Poranne spojrzenie w lustro należało do najtrudniejszych. Czy ja naprawdę tak wyglądam? – zastanawiał się zawsze, wracając do sypialni, żeby poklepać Cathy w pupę.

– Pora wstawać, kochanie.

I to dziwnie kobiece mruknięcie:

– Wiem.

– Obudzić Jacka?

76

– Nie, niech jeszcze pośpi. – Wieczorem nie chciał zasnąć, więc teraz na pewno nie zechce wstać.

– Dobra. – Ryan poszedł do kuchni. Żeby włączyć ekspres do kawy, wystarczyło wcisnąć guzik i potrafił stawić temu czoło. Tuż przed wylotem ze Stanów widział ofertę wyjściową nowej amerykańskiej spółki, Starbucksa. Handlowała kawą, a ponieważ zawsze uważał się za kawowego snoba, zainwestował sto tysięcy dolarów i kazał przysłać sobie próbkę towaru; Anglia to piękny kraj, ale na pewno nie przyjeżdżało się tu na małą czarną. W bazie mógł

przynajmniej kupić maxwell house'a, a z czasem spróbuje ściągnąć ze Stanów trochę kawy ze Starbucksa. To po pierwsze.

Po drugie, ciekawe, co Cathy robi na śniadanie. Chirurg, nie chirurg, zawsze uważała, że kuchnia to jej królestwo. Mąż miał tylko prawo robić kanapki i przygotowywać drinki, nic więcej. Ponieważ kuchenka była dla niego jak terra incognita, bardzo mu to odpowiadało. A kuchenkę mieli tu gazową, jak u jego mamy, z tym że innej marki. Ruszył do drzwi z nadzieją, że na progu znajdzie gazetę.

I znalazł. Zaprenumerował „Timesa”, żeby „International Herald Tribune”, którą kupował na stacji w Londynie, nie czuła się osamotniona. W końcu włączył telewizor. O dziwo, mieli tu coś w rodzaju kablówki i, *mirabile dictu*, wśród kanałów był również nowy amerykański kanał informacyjny CNN – w dodatku właśnie nadawali wiadomości sportowe! A więc jednak Anglia była cywilizowana.

Oriolesi pokonali Cleveland pięć do czterech, w jedenastu rundach. Teraz pewnie leżeli w łóżkach, odsypiając pomeczowe piwo, które wyłopali w hotelowym barze. Rozkoszna myśl. Mieli przed sobą co najmniej osiem godzin snu...

Punktualnie o szóstej nocny zespół redakcyjny z Atlanty podsumował wydarzenia minione-go dnia. Nie zdarzyło się nic szczególnego. Gospodarka wciąż trochę kaprysiła. Dow Jones pięknie podskoczył, ale wskaźnik bezrobocia jak zwykle się ociągał, podobnie jak robotnicy na wyborach. Oto i cała demokracja. Nieustannie musiał sobie przypominać, że jego poglądy na gospodarkę najpewniej różnią się od tych, które głosili hutnicy i technicy montujący chevrolety. Jego ojciec był związkowcem – choć był też policjantem, poza tym pracował w zarządzie, a nie na linii produkcyjnej – i prawie zawsze głosował na demokratów. Ryan wo-lał być niezależny i nie zapisał się do żadnej partii. Dzięki temu jego skrzynki pocztowej nie zatykały kilogramy ulotek, zresztą kogo obchodziły wybory wstępne?

– Cześć – powiedziała Cathy, wchodząc do kuchni w różowym szlafroku. Szlafrok był już mocno podniszczony, co go zaskoczyło, ponieważ żona zawsze ubierała się elegancko. O nic nie spytał, choć podejrzewał, że szlafrok ten ma dla niej znaczenie sentymentalne.

– Cześć, skarbie. – Wstał, pocałował ją na dzień dobry i objął, choć dość anemicznie. –

Chcesz gazetę?

– Nie, poczytam w pociągu. – Otworzyła lodówkę i coś z niej wyjęła. Jack nie patrzył w tamtą stronę.

– Pijesz kawę?

– Tak. Dzisiaj nie mam żadnych zabiegów. – Gdyby miała, na pewno by nie piła, bo po kawie lekko drżały jej ręce, a ktoś, kto ma dłubać skalpelem w ludzkim oku, nie może sobie na to pozwolić. Ale nie, tego dnia czekało ją pierwsze spotkanie z profesorem Byrdem. Bernie Katz nazywał go swoim przyjacielem, co dobrze wróżyło, poza tym Cathy była znakomitym chirurgiem i nie musiała bać się ani nowego szpitala, ani nowego szefa. Ale trema to 77

ludzka rzecz, chociaż żona była zbyt przebojowym macho, żeby ją okazywać. – Masz ochotę na jajka na bekonie?

– To wolno mi jeść cholesterol? – spytał zdziwiony.

– Tylko raz w tygodniu – odparła władczo doktor Ryan. Jutro rano czekała go owsianka.

– Ekstra.

– I tak wiem, że w biurze zjesz coś paskudnego.

– *Moi?*

– Pewnie croissantsa z masłem. Wiesz, że croissantsy to prawie samo masło?

– Bułka bez masła jest jak prysznic bez mydła.

– Powiesz mi to, kiedy przeżyjesz pierwszy atak serca.

– Na ostatnim badaniu mówili, że mam... Ile mam cholesterolu?

– Sto pięćdziesiąt dwa – ziewnęła z wyraźnym rozdrażnieniem.

– To chyba nieźle, co? – drążył.

– Ujdzie – przyznała; ona miała sto czterdzieści sześć.

– Dziękuję, skarbie. – Otworzył „Timesa” na stronie z komentarzami i listami do redakcji. Listy były ostre, a język, jakim posługiwała się cała tutejsza prasa, o niebo lepszy od tego, jakiego używały amerykańskie media. Cóż, nic dziwnego. Ostatecznie oni go wymyślili.

Niektóre wyrażenia brzmiały wytwornie i elegancko, jak prawdziwa poezja, i czasem były zbyt subtelne dla jego amerykańskiego ucha. Kiwnął głową. Na pewno je szybko podłapię.

Już niebawem po kuchni rozszedł się miły zapach skwierczącego bekonu. Kawa – z mlekiem, zamiast ze śmietanką – była całkiem dobra, a poranne wiadomości nie zepsuły mu śniadania. Jeśli nie liczyć tej nieludzkiej pory, nie było tak źle, poza tym najgorszy etap wstawania miał już za sobą.

– Cathy?

– Tak?

– Mówiłem ci już, że cię kocham?

Ostentacyjnie spojrzała na zegarek.

– Spóźniłeś się, ale przypiszę to tej wczesnej porze.

– Co dzisiaj robisz?

– Och, przedstawią mnie, rozejrzę się trochę. No i poznam pielęgniarki. Mam nadzieję, że przydzielą mi dobre.

– To ważne?

– Dla chirurga nie ma nic gorszego niż niezdarna pielęgniarka. Ale te tutaj są ponoć świetne, a Bernie mówi, że profesor Byrd to znakomity fachowiec. Wykłada w Hammersmith i w Moorefields. Znają się z Bernie od dwudziestu lat. Często bywał w moim szpitalu, ale nigdy go nie spotkałam. Lekko

ścięte i obsmażone?

– Tak, poproszę.

78

Trzasnęła skorupka. Podobnie jak on, Cathy uważała, że nie ma to jak żelazna patelnia.

Trudniej ją doczyścić, to prawda, ale jajka były z niej przepyszne. W końcu usłyszał zgrzyt dźwigni tosterka.

Z działu sportowego dowiedział się wszystkiego o piłce nożnej, czyli niewiele.

– Jak tam Jankesi? – spytała Cathy.

– Kogo to obchodzi – odparował. Dorastał z Brooksem Robinsonem, Miltem Pappasem i z Oriolesami. Jego żona kibicowała Jankesom, co odbijało się na ich małżeństwie. Tak, oczywiście, Mickey Mantle był dobrym baseballistą – pewnie kochał też swoją mamę – ale grał w Jankesach, więc o czym tu gadać. Ryan wstał, nalał kawy i podał jej kubek wraz z pocałunkiem.

– Dziękuję, kochanie. – Ona podała mu talerz.

Jajka wyglądały trochę inaczej. Były jaskrawopomarańczowe, jakby tutejsze kury jadły pomarańczowe ziarno. Ale smakowały nieźle. Pięć apetycznych minut później Ryan poszedł pod prysznic, żeby nie przeszkadzać żonie.

Dziesięć minut później włożył białą bawełnianą koszulę, zawiązał krawat w paski i przypiął go spinką ze znaczkiem Korpusu Piechoty Morskiej. O szóstej czterdzieści ktoś zapukał do drzwi.

– Dzień dobry. – Przyszła Margaret van der Beek, niania i guwernantka. Mieszkała niecałe dwa kilometry od nich, sama prowadziła i pracowała w agencji sprawdzonej przez wywiad brytyjski. Szczupła, ładna i chyba bardzo miła, była córką pastora i przyjechała tu z Afryki Południowej. Sądząc po jej czerwonych jak marchewka włosach, można by przypuszczać, że miała irlandzkich przodków, ale najwyraźniej były to włosy typowe dla Afrykanerów holenderskiego pochodzenia. Mówiła z dziwnym akcentem, innym niż miejscowi, mimo to przyjemnym dla ucha.

– Dzień dobry, panno Margaret. – Gestem ręki Ryan zaprosił ją do środka. – Dzieciaki jeszcze śpią, ale zaraz wstaną.

– Jak na pięciomiesięczne dziecko, Jack dobrze sypia.

– Pewnie przez tę różnicę czasu. – Cathy twierdziła, że niemowlaki jej nie odczuwają, ale on w to

nie wierzył. Tak czy inaczej, ten mały sukinkot – żona warczała, ilekroć tak go nazywał – zasnął dopiero o wpół do jedenastej. On znosił to lepiej niż Cathy. Jemu wrzask nie przeszkadzał, jej tak.

– Zaraz musimy iść, skarbie! – zawołał.

– Wiem. – Wyszła, niosąc na rękach synka. Tuż za nią truchtała Sally w żółtej piżamce z króliczkiem.

– Jak się masz, maleńka. – Ryan podniósł ją i pocałował.

Sally uśmiechnęła się i nagrodziła ojca energicznym przytulaskiem. To, że dzieci potrafi-

ły budzić się w tak dobrym humorze, było dla niego wieczną tajemnicą. Może kierowała nimi instynktowna potrzeba utrzymania jak najsilniejszej więzi z rodzicami, żeby ci nie przestali się nimi opiekować, potrzeba, którą manifestowali praktycznie od pierwszego uśmiechu do mamusi i tatusia. A to małe spryciule...

– Jack, wstaw butelkę. – Cathy podeszła do stołu, żeby przewinąć syna.

79

– Rozkaz, pani doktor – odrzekł służbiście analityk CIA, wracając do kuchni po butelkę papki, którą przygotował wieczorem. Butelka to męska robota – żona uświadomiła mu to jednoznacznie jeszcze za czasów Sally. Męska, jak przesuwanie mebli czy wynoszenie śmieci, a więc zadania, do których wykonywania wszyscy mężczyźni byli genetycznie przysposobieni.

Przygotowywanie butelki było dla niego tym, czym dla żołnierza czyszczenie karabinu: zdjąć nakrętkę, odwrócić smoczek, wstawić butelkę do garnka z wodą – jej poziom nie mógł

przekraczać dziesięciu, góra dwunastu centymetrów – podpalić gaz i odczekać kilka minut.

Ale tym razem miała to zrobić Margaret – przez okno zobaczył, że przed dom zajeżdża taksówka.

– Taksówka już jest! – zawołał.

– Dobrze. – Zrezygnowany głos. Cathy nie lubiła zostawiać dzieci, wychodząc do pracy.

Cóż, pewnie nie lubiła tego żadna matka. Weszła do łazienki, żeby umyć ręce, po czym wło-

żyła szary płaszcz, pasujący do jej szarego zakietu, a nawet do szarych bucików na płaskim obcasie. Chciała zrobić dobre wrażenie w szpitalu. Całus dla Sally, całus dla małego Jacka, i ruszyła do drzwi, które Ryan dla niej otworzył.

Czekał na nich zwykły land-rover; klasyczne angielskie taksówki jeździły tylko po Londynie, chociaż

niektóre, zwłaszcza te starsze, trafiały aż tutaj. Tę Ryan zamówił poprzedniego dnia. Jej kierowca, niejaki Edward Beaverton, był w niezwykle dobrym humorze jak na kogoś, kto musiał pracować od siódmej rano.

– Hej – rzucił Jack. – Ed, to jest moja żona, jak zwykle śliczna i elegancka doktor Ryan.

– Dzień dobry – powiedział kierowca. – Pani jest chirurgiem, prawda?

– Tak, oftal...

– Rozcina ludziom oczy – przerwał jej Jack – a potem je zszywa. Szkoda, że pan tego nie widział, Eddie, to naprawdę fascynujące.

Kierowca aż się wzdrygnął.

– Wielkie dzięki, ale wolałbym nie.

– On mówi tak tylko po to, żeby ludziom zrobiło się niedobrze – wyjaśniła Cathy. – Poza tym to mięczak, nie zniósłby takich widoków.

– I tak powinno być. Rany lepiej jest zadawać, niż odnosić.

– Słucham?

– Służył pan w piechocie morskiej?

– Tak. A pan?

– W wojskach powietrznodesantowych. Tego nas tam uczyli: lepiej jest, kiedy ty ranisz kogoś, niż kiedy on rani ciebie.

Ryan zachichotał.

– Większość chłopaków z piechoty na pewno by się z tym zgodziła.

– W szpitalu Hopkinsa uczyli nas czego innego – prychnęła Cathy.

W Rzymie było godzinę później. Obowiązki dyplomatyczne zajmowały pułkownikowi Gordience dwie godzinny dziennie – oficjalnie był drugim sekretarzem ambasady radzieckiej – ale większość czasu poświęcał obowiązkom rezydenta, czyli szefa miejscowej ekspozytury KGB. Miał dużo pracy. Rzym był ważnym ogniwem łańcucha krajów należących do NATO, miastem, w którym można było

zdobyć wszelkiego rodzaju informacje polityczne i wojskowe, i właśnie zdobywanie tychże informacji należało do jego głównych obowiązków.

Wraz z sześcioma pełno – i półetatowymi pracownikami prowadził w sumie dwudziestu trzech agentów, Włochów (i jednego Niemca), którzy współpracowali z nimi z powodów politycznych i osobistych. Lepiej by było, gdyby kierowały nimi powody ideologiczne, ale to należało już do przeszłości. W bońskiej rezydenturze panowała lepsza atmosfera pracy.

Niemcy to Niemcy i wielu z nich dawało się przekonać, że współpraca z NRD jest czymś korzystniejszym niż współpraca z Amerykanami, Brytyjczykami i Francuzami, którzy mienili się sojusznikami ich ojczyzny. Pułkownik Gordienko, podobnie jak wszyscy Rosjanie, uważał, że Niemcy nigdy nie będą ich sojusznikami, i to bez względu na przyjętą przez nich politykę; chociaż owszem, listek figowy marksizmu-leninizmu bywał niekiedy nader użytecznym kamuflażem.

We Włoszech było inaczej. Pamięć o Benito Mussolinim zdążyła już wyblaknąć, a tutejszych komunistów, niegdyś bardzo gorliwych i wierzących w słuszność sprawy, interesowa-

ło bardziej wino i makaron niż rewolucyjny marksizm; no, może z wyjątkiem bandytów z Czerwonych Brygad, ale ich należało traktować jak niebezpiecznych chuliganów, a nie jak politycznie pewnych agentów. Byli groźnymi dyletantami, co bynajmniej nie oznaczało, że dyletantami całkowicie bezużytecznymi. Od czasu do czasu organizował dla nich szkolenia w Związku Radzieckim, gdzie studiowali teorie polityczne i – co ważniejsze – uczyli się taktyki przydatnej w organizowaniu i przeprowadzaniu akcji zbrojnych.

Na biurku leżał stos nocnych szyfrówek, a na samym wierzchu szyfrówka z moskiewskiej Centrali. Zerknął na nagłówek. Coś ważnego. Numer referencyjny? Sto piętnaście, osiemset dziewięćdziesiąt. Książka kodów spoczywała w sejfie wbudowanym w kredens za biurkiem. Musiał obrócić się z fotelem i na wpół przyklęknąć, żeby zdezaktywować podłą-

czony do pokrętła alarm i otworzyć drzwiczki. Zajęło mu to kilka sekund. Na książce leżał szyfrator. Gordienko nie znosił jednorazówek, chociaż ich rozszyfrowywanie stało się czę-

ścią jego życia, tak samo jak korzystanie z toalety. Budziło odrazę, ale było konieczne. Od-czytanie szyfrówki pochłonęło dziesięć minut i dopiero gdy skończył, w pełni zrozumiał jej znaczenie. Od samego przewodniczącego? Był urzędnikiem średniego szczebla, a każdy urzędnik średniego szczebla odebrałby to jak wezwanie na dywanik.

Papież? Co, u licha, obchodzi go papież? W zamyśleniu zmarszczył czoło. Tak, oczywi-

ście. Nie chodzi o papieża. Chodzi o Polskę. Polaka można z Polski wypędzić, ale Polski mu z serca nie wydrzesz. To sprawa polityczna. A więc ważna.

Co wcale mu się nie podobało.

Zbadać i przekazać informacje o sposobach nawiązania bliskiego kontaktu z papieżem.

W zawodowym języku KGB mogło to oznaczać tylko jedno.

Zabić papieża? Doszłoby do politycznej katastrofy. Choć Włochy były krajem katolickim, Włosi nie należeli do ludzi gorliwie wierzących. *La dolce vita*, słodkie życie – oto jaka obo-81

wiązywała tu religia. Byli jednymi z najbardziej zdeorganizowanych ludzi w świecie. To, że jakimś cudem zostali sojusznikami Hitlera, po prostu nie mieściło się w głowie. Dla Niemców wszystko musiało być *in Ordnung*, równiutko ułożone, czyste i zawsze gotowe do użyt-ku. Natomiast jedyną rzeczą, którą w jako takim porządku utrzymywali Włosi, była kuchnia, no i może piwnica z winem. Całą resztę pozostawiali beztroskiemu przypadkowi. Dla Rosjanina przyjazd do Rzymu był kulturowym szokiem, podobnym do tego, jaki towarzyszy cio-sowi bagnetu w pierś. Włosi nie mieli żadnego poczucia dyscypliny. Żeby się o tym przekonać, wystarczyło spojrzeć na ruch uliczny, a jazda w tym ruchu musiała przypominać lot myśliwcem.

Mieli za to wrodzone poczuciem stylu i przyzwoitości, dlatego niektórych rzeczy po prostu nie dało się tu zrobić. Mieli też wrodzone poczucie piękna, czemu nikt nie śmiał zaprzeczyć, a jakakolwiek próba naruszenia ich systemu wartości mogła pociągnąć za sobą bardzo poważne konsekwencje. Choćby takie jak zdekonspirowanie jego informatorów. Najemnicy, nie najemnicy... Nawet najemnik nie wystąpi przeciwko czemuś, w co głęboko wierzy. Każdy człowiek ma jakieś skrupuły, nawet – nie, poprawka – zwłaszcza tutaj. Dlatego polityczne konsekwencje czegoś takiego jak to mogłyby znacznie obniżyć ich wydajność pracy i źle wpłynąć na werbunek nowych agentów.

Więc co, do diabła, mam robić? – myślał. Jako pułkownik Pierwszego Zarządu Głównego KGB i odnoszący sukcesy rezydent mógł pozwolić sobie na pewną elastyczność działania.

Był również trybikiem olbrzymiej maszyny biurokratycznej, dlatego postanowił pójść na łatwiznę i zrobić coś, co na jego miejscu zrobiłby każdy biurokrata: opóźnić, zaciemnić i utrudnić sprawę.

Wymagało to pewnych umiejętności, ale Rusłan Borysowicz Gordienko dobrze znał swój fach.

...lecz nie za blisko

Nowe rzeczy są zawsze interesujące, nawet dla chirurgów. Podczas gdy on czytał gazetę, ona wyglądała przez okno. Wstał kolejny pogodny dzień i niebo było niebieskie jak jej piękne oczy. Jack znał drogę prawie na pamięć, a kiedy się nudził, ogarniała go senność. Wcisnął

się głębiej w fotel i wkrótce poczuł, że ciąży mu powieki.

– Będiesz spał? A jeśli przegapimy nasz przystanek?

– To nie przystanek, to stacja – wyjaśnił. – Pociąg tam nie przystaje, tylko kończy bieg.

Poza tym, nigdy nie stój, kiedy możesz usiąść i nigdy nie siedź, kiedy możesz poleżeć.

– Kto ci to powiedział?

– Sierżant.

– Kto?

– Phillip Tate, starszy sierżant sztabowy Korpusu Piechoty Morskiej Stanów Zjednoczonych. Dowodził moim plutonem, dopóki nie zabiłem się w tym śmigłowcu, potem pewnie też. – Ryan wciąż wysyłał mu kartki na Boże Narodzenie. Gdyby Tate zawałił, on nie mógłby teraz opowiadać marnych dowcipów o swojej „śmierci” na Krecie. Sierżant Tate, wraz z sanitariuszem ze szpitala marynarki wojennej, szeregowcem drugiej klasy Michaelem Burnsem, ustabilizował go i utrzymał przy życiu, dzięki czemu Ryan nie skończył na wózku inwalidzkim. Burns też dostawał od niego kartki.

Na dziesięć minut przed końcem trasy Ryan przetarł oczy i usiadł prosto.

– Witaj w świecie żywych – rzuciła oschle Cathy.

– W połowie przyszłego tygodnia też będziesz spała.

– Jak na byłego oficera piechoty morskiej, jesteś straszliwie leniwy.

– Kochanie, jeśli nie ma nic do roboty, trzeba produktywnie wykorzystać czas.

– Ja mam co robić. – Pokazała mu czasopismo, „Lancet”.

– O czym czytałaś?

– I tak byś nie zrozumiał. – Fakt. Jego wiedza biologiczna ograniczała się do znajomości budowy wewnętrznej żaby, którą pokroił na lekcji w ogólniaku. Cathy też musiała to robić, z tym że ona pewnie tę żabę potem pozszywała, żeby popatrzeć, jak skacze z powrotem do stawu. Umiała też rozdawać karty jak zawodowa krupierka z Las Vegas, co nieodmiennie go zadziwiała. Ale z pistoletu strzelała marnie, jak większość lekarzy, a broń uważano tutaj za coś nieczystego – uważali tak nawet

policjanci, którzy ją nosili. Zabawny kraj.

– Jak dojadę do szpitala? – spytała, gdy pociąg zwolnił przed dworcem.

– Za pierwszym razem weź taksówkę – zasugerował. – Albo pojedź metrem. Nie znasz miasta. Zanim je poznasz, upłynie trochę czasu.

– Ten szpital... To bezpieczna okolica? – Oto rezultaty tego, że dorastała w Nowym Jorku i pracowała w śródmieściu Baltimore, gdzie trzeba było mieć oczy z tyłu głowy.

83

– O wiele bezpieczniejsza niż sąsiedztwo twojego Hopkinsa. Na ostrym dyżurze nie zobaczysz tu zbyt wielu ran postrzałowych. Poza tym Anglicy są bardzo przyjacielscy. Kiedy odkryją, że jesteś Amerykanką, poczęstują cię trawką.

– To prawda, w sklepie byli dla mnie bardzo mili – przyznała Cathy. – Ale wiesz, że nie mają tu soku grejpfrutowego?

– Boże, co za barbarzyński naród! – wykrzyknął Jack. – Daj Sally ichniego piwa.

Wybuchła śmiechem.

– Głupek. Sally lubi grejpfrutowy, grejpfrutowy i wiśniowy, a tu mają tylko z czarnej po-rzeczki. Bałam się kupować.

– Tak, i zaczniesz robić błędy ortograficznie. Oni piszą tu inaczej. – Jack nie martwił się o córkę. Dzieci adaptują się błyskawicznie. Kto wie, może Sally nauczy się nawet grać w krykieta. Jeśli tak, pewnego dnia wytłumaczy tacie, na czym polegają zasady tej kompletnie niezrozumiałej gry.

– Boże, wszyscy tu palą – mruknęła Cathy, gdy wjeżdżali na dworzec.

– Kochanie, myśl o tym jak o źródle przyszłego dochodu dla lekarzy.

– Straszny i jakże głupi sposób umierania.

– Tak, skarbie. – Ilekroć zapalił papierosa, robiła mu w domu piekło. Był to jeden z kosztów, jakie ponosił za to, że ożenił się z lekarką. Oczywiście miała rację i dobrze o tym wiedział, ale przecież wszyscy ulegali jakimś słabostkom. Wszyscy z wyjątkiem Cathy. Jeśli w ogóle miała wady, po mistrzowsku je ukrywała. Pociąg stanął, więc otworzyli drzwi i wyszli na peron, gdzie czekał tłum jadących do pracy urzędników.

Jak na Grand Central w Nowym Jorku, pomyślał Ryan, tylko mniej tłoczno. W Londynie było

mnóstwo stacji połączonych torami, które obejmowały miasto niczym macki wielkiej ośmiornicy. Perony były dość szerokie, a ludzie o niebo kulturalniejsi niż nowojorczyki. Godzina szczytu wszędzie była godziną szczytu, ale Londyn pokrywało coś w rodzaju szła-chetnej patyny, którą wcześniej czy później dostrzeże każdy obcokrajowiec. Cathy też ją dostrzeże – dostrzeże i zacznie podziwiać. Przed dworcem czekał rząd taksówek. Podeszli do pierwszej

– Szpital Hammersmitha – rzucił do kierowcy i pocałował Cathy na do widzenia.

– Do zobaczenia wieczorem. – Zawsze miała dla niego uśmiech.

– Miłego dnia, kochanie. – Ruszył w przeciwną stronę. Podświadomie burzył się przeciwko temu, że żona musi pracować. Jego mama nie pracowała. Ojciec, podobnie jak wszyscy mężczyźni z jego pokolenia, uważał, że zdobywanie pieniędzy na chleb jest jego zadaniem. Pochwalał to, że Jack ożenił się z lekarką, ale swymi szowinistycznymi poglądami na miejsce kobiety w społeczeństwie zaraził syna, mimo że Cathy zarabiała dużo więcej niż on.

Pewnie dlatego, myślał, że chirurdzy oczni są znacznie pożyteczniejsi niż analitycy wywiadu. Albo dlatego, że są bardziej potrzebni na rynku pracy. Cóż, ona nie umiała robić tego co on, on nie umiał robić tego co ona, i tyle.

Umundurowany wartownik w Century House powitał go uśmiechem i przyjaznym gestem ręki.

– Dzień dobry, sir John.

84

– Cześć, Bert. – Ryan wsunął przepustkę do czytnika. Zapaliło się zielone światelko i przeszedł przez bramkę. Do windy miał tylko kilka kroków.

Simon Harding też właśnie przyszedł.

– Dzień dobry, Jack. – Jak zwykle, jak co rano.

– Się masz – mruknął Ryan, podchodząc do biurka. Czekająca na niego duża żółta koperta

– na przywieszce widniał stempel ambasady amerykańskiej na Grosvenor Square – więc otworzył ją, żeby sprawdzić, czy to raport na temat Michaiła Susłowa. Przerzucił kilka kartek i zobaczył coś, o czym zapomniał podczas ich pierwszej rozmowy. Bernie Katz, lekarz bardzo dokładny i sumienny, uznał, że cukrzyca Susłowa jest niebezpiecznie zaawansowana i przewidywał, że główny ideolog Związku Radzieckiego może wkrótce umrzeć.

– Masz. Piszą tu, że nasz komuszek długo nie pożyje.

– Bywa – odrzekł Harding, bawiąc się fajką. – To niezbyt miły facet.

– Podobno.

Na biurku leżało też kilka porannych raportów. Wszystkie były oznaczone napisem *Tajne*, co oznaczało, że ich zawartość ukaże się w prasie dopiero za parę dni. Mimo to były interesujące, ponieważ niektóre podawały źródła informacji, a na podstawie źródeł można było stwierdzić, czy informacje te są wiarygodne. Większość z nich klasyfikowano zwykle jako plotki, ponieważ nawet grube ryby z kręgów rządowych lubiły plotkować. Byli zawistnymi, zdradliwymi sukinsynami, jak wszyscy. Zwłaszcza ci z Waszyngtonu. Może ci z Moskwy byli jeszcze gorsi? Spytał o to Hardinga.

– O tak, o wiele. W ich społeczeństwie najbardziej liczy się status, dlatego dźganie nożem w plecy... Cóż, można powiedzieć, że to ich narodowy sport. Oczywiście my też go uprawiamy, ale u nich to straszliwie brutalna gra. Jak na średniowiecznym dworze, kiedy to dworacy codziennie musieli zabiegać o względy króla. Walka w systemie rozbuchanej biurokracji musi być niezwykle zażarta.

– Jak to wpływa na jakość naszych informacji?

– Wiesz, często żałuję, że nie studiowałem psychologii na Oxfordzie. Mamy tu kilkunastu psychologów. Wy też ich pewnie zatrudniacie.

– O tak. Znam kilku. Pracują głównie w moim wydziale, ale w innych też. Szkoda, że nie jesteśmy w tym lepsi.

– Lepszy w czym?

Ryan wyciągnął się w fotelu.

– Dwa miesiące temu rozmawiałem z kolegą Cathy, lekarzem ze szpitala Hopkinsa. Nazywa się Solomon i jest neuropsychiatrą. Trudno go czasem zrozumieć. Nie, nie, jest szefem wydziału i w ogóle to naprawdę bystry facet. Ale nie kładzie pacjentów na kozetce, żeby dać się im wygadać. On tego nie uznaje. Uważa, że większość chorób umysłowych jest skutkiem braku równowagi chemicznej w mózgu. Omal nie pozbawili go za to prawa do wykonywania zawodu, ale dwadzieścia lat później dotarło do nich, że miał rację. Tak czy inaczej, Sol twierdzi, że politycy są jak gwiazdorzycy filmowi. Otaczają się pochlebami i cmokierami, ludźmi, którzy szepczą im do ucha miłe słówka. Skutek jest taki, że wielu z nich zaczyna w te słówka wierzyć, bo chce w nie wierzyć. Dla nich to jedna wielka gra, z tym że gra polega-85

jąca na samym graniu, niemal zupełnie bezproduktywna maskarada. To nie są prawdziwi ludzie. Nie pracują, choć udają, że są zaharowani. W „Advise and Conset” jest taki fragment:

„Waszyngton to miasto, w którym ma się do czynienia nie z ludźmi, lecz z ich reputacją”.

Skoro można to odnieść do Waszyngtonu, tym bardziej do Moskwy, prawda? Tam wszystko jest polityką. Wszystko jest symbolem. Dlatego zdradzieckie podchody i walki wewnętrzne muszą tam

być o wiele bardziej zażarte niż gdzie indziej. Dla nas ma to dwojakie znaczenie, tak przynajmniej myślę. Po pierwsze, duża część napływających stamtąd informacji jest zniekształcona, ponieważ informatorzy albo nie potrafią dostrzec rzeczywistości, nawet jeśli się z nią boleśnie zderzą, albo zniekształcają informacje w sobie tylko wiadomym celu, świadomie lub nie. Po drugie, oznacza to, że nawet Rosjanie, którzy potrzebują tych informacji dla siebie, nie potrafią odróżnić prawdy od fałszu, tak więc jeśli nawet uda się to ustalić naszym analitykom, trudno im przewidzieć, z czym tak naprawdę mają do czynienia, ponieważ sami Rosjanie nie mają pojęcia, co z tym zrobić – nawet jeśli wiedzą, co mają w ręku. Jak z tego widać, analizujemy zniekształcone informacje, które w konsekwencji zostaną źle wykorzystane. Krótko mówiąc, jak, do diabła, możemy przewidzieć, co zrobią, skoro oni sami tego nie wiedzą?

Nie wyjmując z ust fajki, Harding nagroził te słowa lekkim uśmiechem.

– Bardzo dobrze, Jack. Zaczynasz chwytać. Tak, obiektywnie mówiąc, niewiele z tego, co robią, ma sens. Mimo to, stosunkowo łatwo jest przewidzieć, jak się zachowają. Trzeba tylko ustalić, jak zareagowałby na ich miejscu inteligentny człowiek, a potem zrobić coś dokładnie odwrotnego. – Simon wybuchł śmiechem.

– Ale martwi mnie też coś innego. Sol uważa, że ludzie u władzy mogą być koszmarnie niebezpiecznymi sukinsynami. Nie wiedzą, kiedy przestać, nie wiedzą, jak wykorzystać tę władzę w inteligentny sposób. Myślę, że tak właśnie zaczęła się wojna w Afganistanie.

– Słusznie. – Harding poważnie skinął głową. – Ulegli ideologicznym iluzjom i poza iluzjami niczego innego nie widzą. A najpoważniejszym problemem jest to, że mają cholernie dużą władzę.

– Czegoś mi w tym równaniu brakuje.

– Jak nam wszystkim, Jack. Taką mamy pracę.

Nadeszła pora zmienić temat.

– Przyszło coś nowego na temat papieża?

– Nie, jak dotąd nic. Jeśli Basil coś wie, powie mi jeszcze przed lunchem. Aż tak cię to martwi?

Jack w zadumie kiwnął głową.

– Tak. Sęk w tym, że nawet jeśli uznamy, że coś mu grozi, co, u diabła, możemy zrobić?

Przecież nie wyślemy tam kompanii piechoty morskiej. Papież pokazuje się publicznie w tylu miejscach i tak często, że nie sposób go ochronić.

– Poza tym ludzie tacy jak on nie boją się niebezpieczeństwa, prawda?

– Pamiętam, kiedy zabili Martina Luthera Kinga. On wiedział, cholera, on musiał wiedzieć, że tamci na niego dybią. Mimo to ani razu się nie uląkł. Ucieczka nie leżała w jego naturze. Tak samo będzie z papieżem, i w Rzymie, i wszędzie tam, dokąd pojedzie.

– Powiadają, że w ruchomy cel trudniej trafić – rzucił bez przekonania Harding.

– Jeśli z miesięcznym albo dwumiesięcznym wyprzedzeniem wiesz, dokąd pojedzie, to nie takie trudne. Jeżeli KGB wystawi na niego kontrakt, niewiele będziemy mogli zrobić.

– Najwyżej ostrzec.

– Bomba, żeby się obśmiał. I pewnie by się obśmiał. Przez czterdzieści lat był dręczony przez nazistów i komunizm. Co, do diabła, może go jeszcze wystraszyć? – Ryan odchrząknął. – Jeśli zdecydują się to zrobić, kto wyda rozkaz?

– Pewnie będą musieli przegłosować wniosek na plenarnym posiedzeniu Biura. Dla pojedynczego członka, bez względu na to jak ważnego i wpływowego, polityczne implikacje tego rodzaju operacji były zbyt poważne. Nikt nie zorganizowałby tego na własną rękę, poza tym nie zapominaj, że oni lubią decydować wspólnie. Nikt z nich nie zrobi żadnego kroku sam, nawet Andropow, który ma opinię najbardziej niezależnego.

– Dobra, ilu ich tam jest? Piętnastu? Piętnastu facetów głosujących za albo przeciw, tak?

Piętnastu członków Biura, do tego sekretarze, członkowie rodzin, z którymi ci z Biura pewnie pogadają, razem to sporo ludzi. Mamy tam dobrych informatorów? Dowiedzą się czegoś?

– To delikatne pytanie, Jack. Boję się, że nie mogę na nie odpowiedzieć.

– Nie możesz, czy ci nie wolno? – spytał znacząco Ryan.

– Posłuchaj, o pewnych źródłach informacji nie mogę z tobą rozmawiać. – Harding był

chyba zażenowany.

– Jasne, nie ma sprawy. – Jack dobrze go rozumiał. On też nie miał prawa mówić tu o wielu sprawach. Nie mógł na przykład wspomnieć o TALENT KEYHOLE – zakazano mu nawet wymawiać te słowa! Owszem, wprowadzono go w temat, lecz był to temat NOFOR –

no talking about this one to a foreigner, nie gadać o tym z obcokrajowcami – chociaż Simon, a już na pewno sir Basil, na pewno o tym sporo wiedzieli. Był to zupełnie idiotyczny układ, ponieważ pozbawiał ich dostępu do informacji, które mogliby dobrze wykorzystać. Gdyby obowiązywał na Wall Street, mieszkańcy Stanów Zjednoczonych żyliby poniżej poziomu ubóstwa. Albo się ludziom ufało, albo nie. Ale ta gra miała swoje reguły i on ich przestrzegał. Taki był koszt wstępu do tego specyficznego klubu.

– Cholera, to jest znakomite – mruknął Harding, przerzucając drugą kartkę raportu Berniego Katza.

– Bernie to inteligentny facet. Dlatego Cathy lubi z nim pracować.

– Ale on jest okulistą, nie psychologiem, prawda?

– Simon, na tym poziomie medycyny każdy lekarz zna się po trosze na wszystkim. Pyta-

łem Cathy: to, że Susłow ma retinopatię cukrzycową, wskazuje na poważne problemy zdrowotne. Cukrzyca niszczy naczynka krwionośne na dnie oka, co widać podczas badania. Bernie i jego zespół trochę go podleczyli – retynopatii całkowicie usunąć się nie da – i przywró-

cili mu wzrok w siedemdziesięciu pięciu czy osiemdziesięciu procentach, ale ważne jest to, co przy okazji odkryli. Naczynka na dnie oka to jedno, ale nie wszystko, kapujesz? On jest straszliwie schorowany. W ciągu góra dwóch lat umrze na nerki albo na serce, tak przynajmniej twierdzi Bernie.

87

– Nasi mówią, że w ciągu pięciu.

– Nie wiem, nie jestem lekarzem. Jeśli chcesz, wyślij swoich do Berniego, niech z nim pogadają, ale wszystko jest w tym raporcie. Tak czy inaczej, Cathy mówi, że po wyglądzie dna oka można poznać stan zaawansowania cukrzycy.

– Susłow o tym wie?

Ryan wzruszył ramionami.

– Dobre pytanie. Lekarze nie zawsze mówią pacjentom prawdę; tam chyba jeszcze rza-dziej. Leczy go pewnie wiarygodny politycznie profesor. U nas byłby to po prostu dobry specjalista, znający się na rzeczy fachowiec. Ale tam...

Harding skinął głową.

– Racja. Susłow wolałby dostawać zastrzyki od Lenina niż od Pasteura. Słyszałeś może o Siergieju Korolewie, ich głównym konstruktorze rakiet kosmicznych? Wyjątkowo paskudny przypadek. Tego biedaka praktycznie zamordowano na stole operacyjnym, bo przeprowadzający zabieg chirurdzy wzajemnie się nienawidzili i kiedy pacjent zaczął umierać, jeden nie chciał ustąpić drugiemu. Zachód pewnie się ucieszył, ale Korolew był naprawdę świetnym inżynierem. A zabiła go medyczna niekompetencja.

– Pociągnięto ich za to do odpowiedzialności?

– A skąd. Obaj byli za bardzo ważni politycznie, mieli za wielu ważnych politycznie pacjentów. Nie, nic im nie grozi, chyba że któryś zamorduje ich kumpla, a to się raczej nie zdarzy. Jestem pewien, że obaj mają młodych, kompetentnych asystentów, którzy ich kryją.

– Wiesz, kogo Rosja najbardziej potrzebuje? Prawników. Nie znoszę tych, co uganiają się za karetkami pogotowia, ale trzeba przyznać, że trzymają ludzi w ryzach.

– Tak czy inaczej, nie, Susłow pewnie nie zdaje sobie sprawy ze swego stanu zdrowia.

Przynajmniej tak uważają nasi konsultanci. Według raportów HUMINT, wciąż pije, chociaż mu tego nie wolno. – Harding się skrzywił. – Zastąpi go Aleksandrow, uczeń równie nieprzyjemny jak mistrz. A propos, będę musiał uzupełnić jego dossier... – Zanotował coś w notatniku.

Przed rozpoczęciem pracy nad swoim projektem Ryan przejrzał poranne raporty. Greer kazał mu przeanalizować sposoby zarządzania w radzieckim przemyśle zbrojeniowym i sprawdzić, jak – jeśli w ogóle – funkcjonuje ta część sowieckiej gospodarki. Miał współpracować z Hardingiem i korzystać z danych zarówno brytyjskich, jak i amerykańskich. Tego rodzaju analizy przeprowadzał już przedtem, dlatego bardzo mu to odpowiadało. Kto wie, może nawet zauważą go ci z samej góry.

Odpowiedź przyszła o jedenastej trzydzieści dwie. Szybko w tym Rzymie pracują, po-myślał kapitan Zajcew, sięgając po szyfrator. Miał zadzwonić do pułkownika Roźdiestwienskigo, gdy tylko skończy, ale wiedział, że trochę to potrwa. Zerknął na ścienny zegar. Spóź-

ni się na obiad i pewnie będzie burczało mu w brzuchu, ale cóż, priorytet to priorytet. Dobrze chociaż, że pułkownik Gordienko rozpoczął szyfrowanie od pierwszej linijki strony numer dwieście osiemdziesiąt pięć.

PILNE

NADAWCA: REZYDENT, RZYM

ODBIORCA: GABINET PRZEWODNICZĄCEGO, CENTRALA, MOSKWA

DOTYCZY: SZYFRÓWKI OPERACYJNEJ 15-8-82-666

NAWIĄZANIE

Z

PAPIEŻEM

JEST

WZGLĘDNIŁ ŁATWE W OKREŚLONYCH DNIACH I O OKREŚLONYCH

PORACH. DO PEŁNEJ OCENY OPERACYJNEJ POTRZEBNE BĘDĄ

DALSZE WSKAZÓWKI. PAPIEŻ UDZIELA PUBLICZNYCH AUDIENCJI, KTÓRYCH DATY ZNANE SĄ Z DUŻYM WYPRZEDZENIEM. WYKO-RZYSTANIE TYCHŻE NIE BĘDZIE, POWTARZAM, NIE BĘDZIE ŁATWE

ZE WZGLĘDU NA TŁUMY UCZESTNICZĄCYCH W AUDIENCJACH

LUDZI. BEZ DALSZYCH WSKAZÓWEK TRUDNO JEST OCENIĆ TOWARZYSZĄCE IM ŚRODKI BEZPIECZEŃSTWA. ZALECAM WSTRZYMANIE SIĘ OD AKCJI FIZYCZNEJ ZE WZGLĘDU NA NIEUCHRONNE

KONSEKWENCJE POLITYCZNE. ORGANIZATORZY TAKIEJ AKCJI ZOSTALIBY SZYBKO ROZSZYFROWANI.

No i proszę, pomyślał Zajcew. Rezydentowi się to nie spodobało. Czy Jurij Władimirowicz posłucha rady z terenu? Ale za myślenie o takich sprawach mu nie płacono. Podniósł

słuchawkę telefonu i wykręcił numer.

– Pułkownik Roźdiestwienski. – Niski, szorstki głos.

– Kapitan Zajcew z łączności. Towarzyszu pułkowniku, przyszła odpowiedź na 666.

– Już idę.

I rzeczywiście, już trzy minuty później pułkownik był na posterunku kontrolnym. Do tego czasu Zajcew zdążył odnieść książkę szyfrów i włożyć oryginalny przekaz wraz z jego rozszyfrowaną wersją do brązowej koperty, którą następnie mu wręczył.

– Czy ktoś to widział? – spytał Roźdiestwienski.

– Tylko ja, towarzyszu pułkowniku.

– Bardzo dobrze. – Pułkownik odszedł, natomiast Zajcew zostawił na biurku swoje papiery i ruszył do kantyny na obiad. Jedzenie było chyba najmiłą korzyścią z pracy w Centrali.

Ale zostawiając papiery, nie mógł pozostawić za sobą natrętnych myśli. Nie dawały mu spokoju, gdy mył ręce w toalecie. Jurij Andropow chciał zabić papieża, a rzymski rezydent tego nie pochwalał. On, kapitan Zajcew, nie miał prawa do własnego zdania. Był jedynie małym ogniwem skomplikowanego systemu łączności. Rzadko kiedy tym z wierchuszki Komitetu Bezpieczeństwa Państwowego przychodziło do głowy, że pracujący w Centrali ludzie też mają mózgi...

...a nawet sumienie.

Stanął w kolejce, wziął tacę i sztućce. Tego dnia wybrał gulasz wołowy, cztery grube kromki chleba i duży kubek herbaty. Kasjer policzył mu pięćdziesiąt pięć kopiejek. Koledzy, z którymi zwykle jadał, już poszli, więc usiadł na końcu stołu z nieznanymi sobie ludźmi.

Rozmawiali o piłce nożnej, ale on się do niech nie przyłączył, woląc spokojnie pomyśleć.

Gulasz był smaczny, tak samo jak chleb prosto z pieca. Nie mieli tu tylko dobrych sztućców, jakimi

jadano w prywatnych jadalniach na górze. Tu używano aluminiowych, lekkich jak piórko; jadali takimi wszyscy obywatele Związku Radzieckiego. Cóż, sztucce jak sztucce, tyle tylko że nic nie ważyły i były trochę nieporęczne.

A więc miałem rację, myślał. Przewodniczący zamierza zamordować papieża. Zajcew nie był człowiekiem religijnym. W ciągu całego życia ani razu nie był w kościele, jeśli nie liczyć kościołów, które po rewolucji przekształcono w muzea. Religię znał jedynie z propagandy, którą wtłaczano mu do głowy w szkole. A jednak niektórzy koledzy z podstawówki mówili, że wierzą w Boga, ale on na nich nie doniósł, bo donoszenie nie leżało w jego naturze. Rzadko kiedy dręczyły go wielkie pytania o sens życia. Życie w Związku Radzieckim ograniczało się do dnia wczorajszego, dzisiejszego i jutrzejszego, a realia ekonomiczne nie pozwalały na snucie długoterminowych planów. Nie było ani domów za miastem, które ludzie mogliby kupić, ani luksusowych samochodów, o których by marzyli, ani egzotycznych wakacji, na które mogliby oszczędzać. Narzucając ludziom tak zwany socjalizm, rząd tego kraju pozwalał im – a raczej ich zmuszał – aspirować dokładnie do tego samego, bez względu na indywidualne gusta, co oznaczało, że zapisywano ich na niekończącą się listę, i powiadamiano, gdy przyszła ich kolej. Czekając w kolejce, co i raz – o czym oczywiście nie wiedzieli – byli spychani w dół przez tych z dłuższym stażem partyjnym, bo ci mieli po prostu większe chody. Podobnie jak wszyscy obywatele Związku Radzieckiego, wiódł życie wołu w chłopskiej zagrodzie. Dbano o niego względnie dobrze i karmiono tą samą karmą o tej samej porze każdego z szeregu nużąc o identycznych dni. Wszystkie aspekty życia tonęły w szarzyźnie i bezgranicznej nudzie, którą w jego przypadku rozpraszały jedynie szyfrowane i wysyłane przez niego depesze. Nie miał prawa o nich myśleć, tym bardziej pamiętać ich treść, ale ponieważ nie miał też prawa z nikim o nich rozmawiać, pozostawały mu jedynie samotne rozważania. A tego dnia rozważał coś, co zaległo się w jego głowie i za nic nie chciało odejść. Pędziło przed siebie jak chomik w obracającym się kółku, krążyło, śmigąło, smyrgało, ale zawsze powracało.

Andropow chce zabić papieża.

Szyfrował już rozkazy dotyczące zamachów. Ale niewiele. KGB stopniowo od tego odchodziło. Zbyt dużo rzeczy szło nie tak. Mimo sprytu i zawodowych umiejętności radzieckich agentów, policjanci w innych krajach też byli sprytni i obdarzeni bezmyślną cierpliwo-

ścią czatującego na pajęczynie pająka, dopóki więc KGB nie nauczy się zabijać samym li tylko życzeniem śmierci, zawsze znajdą się świadkowie i dowody, ponieważ ludzi w niewydziałnych płaszczach spotykało się jedynie w bajkach dla dzieci.

O wiele częściej szyfrował depesze dotyczące uciekinierów, potencjalnych uciekinierów i

– ci ludzie też byli śmiertelnie niebezpieczni – oficerów prowadzących lub agentów, których tamci „obrócili” i zwerbowali. Miewał w ręku depesze wzywające ich na „konsultacje” do Moskwy, „konsultacje”, z których niewielu powróciło do rezydentury. Dokładnie co się z nimi potem działo, o tym krążyły tylko plotki, i to nieprzyjemne. Powiadano, że jednego z takich „obróconych” oficerów wsadzono żywcem do pieca krematoryjnego, tak jak robili to 90

hitlerowcy w obozach koncentracyjnych. Podobno zostało to sfilmowane; rozmawiał nawet z takimi, których znajomi znali ludzi, którzy ten film widzieli. Ale on go nie widział i jak do-tąd nie poznał nikogo, kto miałby okazję go obejrzeć. Niektóre rzeczy, pomyślał, są nie do przyjęcia nawet dla KGB. Nie, najwięcej mówiono o plutonach egzekucyjnych – powiadano, że często partoliły robotę – albo o pojedynczym strzale z pistoletu w tył głowy, w czym przodował Ławrientij Beria. W to wierzyli absolutnie wszyscy. Widział zdjęcia Berii i wyglą-

dały tak, jakby ociekały krwią. A Żelazny Feliks zabijał ludzi w przerwach między kolejnymi kęsami kanapki. Na pewno. Tacy jak on nadali okrucieństwu zupełnie nowy wymiar.

Ale chociaż głośno się o tym nie mówiło, panowało powszechne odczucie, że Komitet Bezpieczeństwa Państwowego staje się coraz bardziej *kulturny*. Bardziej kulturalny. Cywilizowany. Łagodniejszy i dobroduszny. Zdrajców oczywiście wciąż rozstrzeliwano, ale dopiero po procesie, podczas którego dla przyzwoitości dawano im szansę na usprawiedliwienie swych czynów i udowodnienie niewinności, jeśli, naturalnie, byli niewinni. Ale to prawie nigdy się nie zdarzało, pewnie dlatego, że państwo oskarżało tylko prawdziwych zdrajców.

Śledczy z Drugiego Zarządu Głównego należeli do najlepiej wyszkolonych w kraju i najbardziej się ich bano. Podobno nigdy nie dawali się oszukać i byli nieomylni, jak jacyś bogowie.

Tyle tylko, że państwo głosiło, że żadnych bogów nie ma.

Dobrze, byli więc zwykli mężczyźni – no i kobiety. Wszyscy słyszeli o szkółce „jaskół-

łek”. Mówiąc o niej, mężczyźni uśmiechali się znacząco i puszczały oko. Ach, być tam in-struktorem albo jeszcze lepiej egzaminatorem! Wszyscy o tym marzyli. Sypiać z nimi i jeszcze dostawać za to pieniądze. Wszyscy mężczyźni to świnię, mawiała jego Irina. Ale, dumął

Zajcew, dobrze by było być taką świnią.

Zabić papieża – dlaczego? Przecież im nie zagrażał. Stalin zażartował kiedyś, pytając, ile papież ma dywizji. Nie ma żadnej, więc po co go zabijać? Nawet rezydent ich przed tym przestrzegwał. Gordienko bał się politycznych reperkusji. Stalin rozkazał zabić Trockiego i nasłał na niego oficera KGB, dobrze wiedząc, że ten dostanie za to wieloletni wyrok. Mimo to, oficer pozostał wierny woli partii i wykonał polecenie, jak na zawodowca przystało; jego czyn omawiano później na licznych szkoleniach, zastrzegając, że „nasz Komitet już tego nie praktykuje”. Szkoleniowcy o tym nie wspominali, ale była to operacja *niekulturna*, a KGB

powoli od takich odstępowało.

Do teraz. Do dzisiaj. Chociaż odradza ją nasz rzymski rezydent. Ale dlaczego odradza?

Bo nie chce, żeby świat uznał, że on i jego Komitet – i jego kraj! – jest *niekulturny*.

A może dlatego, że przeprowadzenie tej operacji byłoby czymś gorszym niż głupota? Że byłoby czymś... złym? Obywatele Związku Radzieckiego nie rozumieli tego pojęcia, przynajmniej nie w sensie zła moralnego. Moralność zastąpiono tu poprawnością i niepoprawno-

ścią polityczną. Tych, którzy służyli interesom systemu politycznego, nagradzano. Tych, którzy im nie służyli, karano, nawet śmiercią. Czy to sprawiedliwe?

I kto o takich rzeczach decydował?

Ludzie.

Ludzie, bo moralność pojmowana tak, jak pojmował ją świat, tu nie istniała. Nie istniał

Bóg, który mógłby zawyrokować, co jest dobrem, a co złem.

Mimo to...

91

Mimo to każdy człowiek w głębi serca odróżniał dobro od zła. Zabijanie było złem.

Odebrać komuś życie można było tylko w słusznej sprawie. Ale to ludzie decydowali, co jest słuszne, a co nie. Odpowiedni ludzie na odpowiednich stanowiskach, ludzie z odpowiednią władzą mieli prawo zabijać, bo... No właśnie, bo co?

Bo tak powiedzieli Marks i Lenin.

I tak, już dawno temu, zdecydowano w jego kraju.

Zajcew posmarował chleb masłem, zanurzył go w pozostałym na talerzu sosie i zjadł.

Wiedział, że są to myśli zbyt głębokie, myśli niebezpieczne. To społeczeństwo nie zachęcało do niezależnego myślenia, nawet go zakazywało. Mądrość partii mądrością narodu: nie wolno było tego podważać, a już na pewno nie tutaj, nie w kantynie. W kantynie KGB nikt nigdy nie śmiałyby powiedzieć, że partia i ojczyzna, której partia ta służy i której broni, może popełnić jakiś błąd. Co najwyżej spekulowano na temat przyjętej przez partię taktyki działania, ale nawet wtedy rozmawiano o tym z ograniczeniami większymi, wyższymi i grubszy-mi niż ceglane mury Kremla.

Zasady moralne obowiązujące w jego kraju ustalił niemiecki Żyd z Londynu, syn carskiego adwokata, który po prostu nie przepadał za carem, i którego zuchwały brat został

stracony za czynne uczestnictwo w zamachu. Znalazł schronienie w Szwajcarii, w najbardziej kapitalistycznym ze wszystkich krajów świata, skąd Niemcy wysłali go z powrotem do Matki Rosji z nadzieją, że uda mu się obalić carski rząd, dzięki czemu mogliby zwyciężyć na zachodnim froncie pierwszej wojny światowej. W sumie nie wyglądało to chyba na interwencję jakiegoś bóstwa, które za jego pośrednictwem chciało zbawić ludzkość, obdarowując ją wielkim planem postępu. Wszystko

to, co wykorzystał Lenin do budowy nowego modelu swojego kraju – i, w zamierzeniach, do przebudowy całego świata – pochodziło z napisanej przez Marksa książki i z pism Fryderyka Engelsa, który przedstawiał w nich sposoby rzą-

dzenia w nowego rodzaju państwie.

Jedyną rzeczą odróżniającą marksizm i leninizm od religii był brak boga. Oba systemy twierdziły, że mają absolutną władzę nad ludzkim losem, oba twierdziły – apriorycznie – że racja leży po ich stronie. Sęk w tym, że system obowiązujący w jego kraju sprawował tę władzę mocą nakazów i zakazów decydujących o życiu i śmierci.

Związek Radziecki utrzymywał, że robi to dla dobra sprawiedliwości, dla dobra robotników i chłopów całego świata. Ale to ci z góry decydowali o tym, kto był robotnikiem i chłopem, to oni, ci, którzy mieli piękne dacje, wielopokojowe mieszkania, samochody z szoferami i... przywileje.

Och, jakże wspaniałe były to przywileje! Zajcew wielokrotnie wysyłał depesze z prośbą o przysłanie rajstop czy perfum dla ich żon czy kochanek. Często przewożono je wraz z pocztą dyplomatyczną radzieckich ambasad na Zachodzie, rzeczy, których w kraju nie produkowano, a których ci z nomenklatury pożąдали równie mocno jak niemieckich lodówek i kuchenek. Widząc, jak ci z wierchuszki śmigają przez centrum Moskwy swoimi ziłami, Zajcew rozumiał, co Lenin myślał o carze. Car uzurpował sobie prawo do władzy, twierdząc, że pochodzi ono od Boga. Przywódcy partii otrzymywali je od ludu.

Z tym, że lud ten nigdy go im nie przyznał. Zachodnie demokracje miały wybory –

„Prawda” opluwała je co kilka lat – ale były to prawdziwe wybory. Anglią rządziła teraz ta paskudnie wyglądająca baba, Stanami Zjednoczonymi ten podstarzały bufon i aktor, ale i 92

jego, i ją wybrali sami obywatele, odsuwając od władzy poprzednią ekipę rządzącą. Żaden z nich nie był tu za bardzo lubiany i Zajcew widywał oficjalne depesze, w których wypytywano o ich stan umysłowy i zapatrywania polityczne. Bił z nich oczywisty niepokój i odczuwał

go czasem nawet on, Zajcew, ale bez względu na to, jak odrażający i chwiejni to byli przywódcy, wybrał ich naród. Natomiast Rosjanie na pewno nie wybierali książąt zasiadających obecnie w Biurze Politycznym.

A teraz książęta ci zamierzali zamordować polskiego papieża. Ale w jaki sposób człowiek ten zagrażał *rodinie*? Przecież nie dowodził żadną armią. A więc co? Zagrażał im politycznie? Ale jak? Watykan miał status niezależnego państwa, ale państwo bez armii było...

czym? Skoro Bóg nie istnieje, papieska władza musiała być jedynie iluzją, czymś równie namacalnym jak kłęb dymu z papierosa. Ojczyzna Zajcewa dysponowała największą armią w świecie, co regularnie podkreślano w *Służymy Związkowi Radzieckiemu*, programie, który wszyscy oglądali.

Więc dlaczego chcieli zabić kogoś, kto zupełnie im nie zagrażał? Papież machnie swoją laską i co?

Rozstąpi się ocean? Spadną na nich jakieś plagi? Na pewno nie.

A zabicie bezbronnego to zbrodnia, myślał kapitan. Pierwszy raz, odkąd zaczął pracować na placu Dzierżyńskiego numer 2, tak bardzo wyteżył umysł, tak jednoznacznie – choć tylko w duchu – zmanifestował swoją wolną wolę. Zadał sobie pytanie i sam na nie odpowiedział.

Byłoby mu rażniej, gdyby mógł z kimś o tym porozmawiać, ale z oczywistych względów nie wchodziło to w rachubę. Nie miał zaworu bezpieczeństwa, żadnego sposobu na przetrawienie tych odczuć i wypracowanie jakiegoś rozwiązania. Prawa i zwyczaje tego kraju zmuszały go do nieustannego analizowania natarczywych myśli, do ciągłego ich przetwarzania, co mogło prowadzić tylko do jednego. A to, że państwo tego nie pochwalało, było wyłącznie rezultatem polityki wewnętrznej tegoż państwa.

Skończywszy jeść, zapalił i wypił łyk herbaty, lecz ten kontemplacyjny gest bynajmniej go nie uspokoił. Chomik wciąż szalał w wirującym kole, ale nikt w kantine tego nie widział.

Dla tych, którzy na niego patrzyli, Zajcew był zwykłym oficerem palącym w samotności papierosa. Jak wszyscy mieszkańcy Związku Radzieckiego, umiał ukrywać uczucia, dlatego jego twarz niczego nie zdradzała. Ot, siedział sobie, jeden z wielu urzędników w tym olbrzymim gmachu, i spoglądał na ścienny zegar, żeby nie spóźnić się na popołudniową służ-

bę.

Na górze sprawy miały się trochę inaczej. Pułkownik Roźdiestwienski nie chciał przeszkadzać przewodniczącemu w obiedzie, dlatego siedział w swoim gabinecie, obserwował

wskazówki zegara i jadł kanapkę, nie tykając kubka z zupą do zapitki. Podobnie jak przewodniczący, palił amerykańskie marlboro, łagodniejsze i dużo lepsze niż papierosy radzieckie. Zaczął je palić na Zachodzie, ale jako wysoki funkcjonariusz Pierwszego Zarządu Głównego miał prawo robić zakupy w specjalnych sklepach w centrum Moskwy. Były drogie nawet dla kogoś, komu wypłacano pensję w kupończykach, pił za to taną wódkę, więc wszystko się wyrównywało. Ciekawiło go, jak Jurij Władimirowicz zareaguje na depeszę Gordienki. Rusłan Borysowicz był bardzo kompetentnym rezydentem, funkcjonariuszem ostrożnym, konserwatywnym i na tyle zasłużonym, że miał prawo odszczekiwać. Ostatecznie jego zadaniem było dostarczanie informacji do Centrali, informacji dobrych i sprawdzo-93

nych, skoro więc uważał, że może przez coś wpaść, miał obowiązek uprzedzić o tym Moskwę; poza tym wysłana przez nich szyfrówka nie zawierała żadnych obligatoryjnych dyrektyw, polecono mu jedynie ocenić sytuację. Dlatego Rusłan Borysowicz najpewniej nie będzie miał kłopotów. Ale Andropow mógł warczeć, a warczał nieprzyjemnie i on, pułkownik Roź-

diestwienski, będzie musiał to warczenie znieść. Jego praca była z jednej strony godna

pozazdroszczenia, z drugiej zaś straszna. Doradzał samemu przewodniczącemu KGB, ale to, że mógł szeptać mu do ucha, oznaczało również, że był blisko jego zębów. Historia Komitetu Bezpieczeństwa Państwowego знаła wiele przypadków, w których niewinni cierpieli za winnych. Ale on cierpieć nie będzie, to mało prawdopodobne. Andropow, człowiek nieza-przeczalnie twardy, był również człowiekiem względnie sprawiedliwym. Mimo to nie opłacało się podchodzić do grzmiącego wulkanu. Zadzwoił telefon. W słuchawce zabrzmiał

głos osobistego sekretarza Jurija Władimirowicza.

– Towarzyszu pułkowniku, przewodniczący prosi.

– *Spasibo*. – Roźdiestwienski wstał i wyszedł na korytarz.

– Jest odpowiedź od pułkownika Gordienki – zameldował, wręczając mu kopertę.

Andropow nie robił wrażenia zaskoczonego i ku dobrze skrywanej uldze Roźdiestwienskiego, nie wybuchnął gniewem.

– Tego się spodziewałem. Nasi ludzie tracą ducha, co, Aleksieju Nikołajewiczu?

– Towarzyszu przewodniczący, rezydent przedstawił wam profesjonalną ocenę problemu.

– Mówcie.

– Towarzyszu przewodniczący – zaczął Roźdiestwienski, uważnie dobierając słowa. –

Operacji, jaką najwyraźniej zamyślacie, nie można planować, nie uwzględniając ryzyka politycznego. Papież ma duże wpływy. Może są iluzoryczne, ale są. Rusłan Borysowicz martwi się, że ewentualna akcja zbrojna mogłaby przeszkodzić mu w zbieraniu informacji, a zbieranie informacji jest jego głównym zadaniem.

– Od oceny skutków politycznych jestem ja, nie on.

– To prawda, towarzyszu przewodniczący, ale to jego teren i jego obowiązkiem jest przedstawienie wam rzetelnej oceny sytuacji. Strata tamtejszych agentów byłaby kosztowna zarówno pośrednio, jak i bezpośrednio.

– Jak bardzo kosztowna?

– Nie sposób tego przewidzieć, towarzyszu przewodniczący. Rzymska rezydentura prowadzi kilkunastu bardzo wydajnych agentów, którzy dostarczają nam informacji wojskowych i politycznych. Czy moglibyśmy się bez nich obejść? Pewnie tak, ale po co. Tu waż-

ny jest czynnik ludzki, dlatego trudno mi spekulować. Prowadzenie agenta jest sztuką, a nie fizyką czy matematyką.

– Już mi to mówiłeś, Aleksieju. – Andropow znużonym gestem przetarł oczy. Ma dzisiaj ziemistą

cere, pomyślał Roźdiestwienski. Znowu ta wątroba?

– Agenci są ludźmi, towarzyszu przewodniczący, a każdy człowiek jest indywidualno-

ścią. Nic na to nie poradzimy. – Tłumaczył mu to chyba setny raz. Ale mogło być gorzej, bo 94

Andropow czasami słuchał tego, co się do niego mówiło. W przeciwieństwie do jego mniej oświeconych poprzedników. Jurij Władimirowicz był pewnie inteligentniejszy.

– I właśnie to lubię w wywiadzie informacyjnym – mruknął niechętnie przewodniczący.

Wszyscy z Centrali tak mówili. Cały problem tkwił w dobrym wywiadzie informacyjnym.

Zachód był w tym dużo lepszy, mimo że udało im się zinfiltrować tamtejsze agencje. Amerykańska NSA, Agencja Bezpieczeństwa Narodowego, a szczególnie brytyjska GCHQ, Główna Kwatera Łączności Rządowej, robiły co mogły, żeby rozgryźć radziecki system łączności i czasami – co było nader niepokojące – go rozgryzały. Właśnie dlatego funkcjonariusze KGB tak bardzo wierzyli w skuteczność jednorazowych kluczy szyfrowych. Niczemu innemu nie mogli ufać.

– To wiarygodne? – spytał Ryan.

– Naszym zdaniem tak, nawet bardzo. Część materiałów pochodzi z jawnych źródeł, ale większość z dokumentów przygotowanych przez Radę Ministrów. A oni raczej się wzajemnie nie okłamują.

– Czemu nie? – drążył Jack. – Cała reszta kłamie.

– Ale w tym przypadku mamy do czynienia z czymś konkretnym, z dostawami dla wojska. Jeśli nie dotrą na miejsce, ktoś to na pewno zauważy i rozpocznie się dochodzenie. Tak czy inaczej – sprecyzował Harding – chodzi tu przede wszystkim o kwestie polityki gospodarczej, a kłamstwem niczego by w tych kwestiach nie osiągnęli.

– Może i nie... W zeszłym miesiącu rozpętałem w Langley prawdziwe piekło. Przygotowali dla prezydenta ocenę radzieckiej polityki gospodarczej, a ja ją dokumentnie zjechałem.

Powiedziałem, że to niemożliwe, a facet, który tę ocenę spłodził, mówi mi na to, że dokładnie te same materiały przedstawiono na posiedzeniu Biura Politycznego...

– I co mu odpowiedziałeś? – przerwał mu Harding.

– Że wszystko jedno, kto je komu przedstawił, że to po prostu nie może być prawda. Raport był zwyczajnie do dupy, wyspany z palca, dlatego zastanawia mnie, jak, do diabła, ci z Biura ustalają założenia polityki gospodarczej kraju, skoro dane, na których je opierają, są równie prawdziwe jak przygody *Alicji w Krainie Czarów*. Wiesz, w piechocie morskiej straszyli nas, że rosyjscy żołnierze

mają trzy metry wzrostu. Okazało się, że to bzdura. Może jest ich dużo, ale są niżsi od nas, bo w dzieciństwie gorzej jadali, a ich broń jest do bani. Kałasz-nikow to niezły karabin, ale ja bez wahania wybrałbym nasz M-16, a pamiętaj, że karabin jest pod względem budowy znacznie prostszy niż przenośna radiostacja. Kiedy przeszedłem do CIA, zajrzałem gdzie trzeba, no i proszę, okazało się, że miałem, kurczę, rację, że ich taktyczne radiostacje polowe to ostatni szmelc. Krótko mówiąc, oni kłamią, Simon. Okłamują Biuro Polityczne nawet jeśli chodzi o realia gospodarcze, a jeżeli potrafią skłamać im, skłamią wszystkim i na każdy temat.

– I co się stało z tym raportem dla prezydenta?

– Przesłali mu go, ale z pięcioma stronami moich uwag na końcu. Mam nadzieję, że tak daleko doszedł. Podobno dużo czyta... Tak czy inaczej, chcę przez to powiedzieć, że u podstaw ich polityki leży kłamstwo i że może uda nam się poprowadzić lepszą, jeśli trochę lepiej ocenimy rzeczywistość. Moim zdaniem ich gospodarka jest na dnie, Simon. To niemożliwe, 95

żeby funkcjonowała tak dobrze, jak pokazują to oficjalne wskaźniki. Gdyby tak było, widzielibyśmy pozytywne rezultaty, w ich produktach, w towarach, ale tych jakoś nie ma, prawda?

– Dlaczego mielibyśmy bać się kraju, który nie potrafi się wyżywić?

– Otóż to. – Ryan kiwnął głową.

– Podczas drugiej wojny światowej...

– Podczas drugiej wojny światowej zaatakowali ich Niemcy, których Rosjanie nigdy nie lubili, ale Hitler był zbyt głupi, żeby wykorzystać antypatię Rosjan do swego rządu i zastosował politykę czysto rasistowską, a polityka rasistowska po prostu musiała pchnąć Rosjan z powrotem w ramiona wujaszka Stalina. Tak więc, to niedobre porównanie. Związek Radziecki jest państwem z gruntu niestabilnym. Dlaczego? Dlatego, że panuje tam niesprawiedliwy system społeczny, a żaden niesprawiedliwy system nie może być systemem stabilnym. Ich gospodarka... – Urwał. – Wiesz co? Moglibyśmy to jakoś wykorzystać...

– I co?

– I potrząsnąć fundamentami ich państwa. Zrobić im takie małe trzęsienie ziemi.

– Żeby wszystko się zawaliło? – Harding uniósł brwi. – Nie zapominaj, że Rosjanie mają mnóstwo głowic nuklearnych.

– Dobra, zgoda. Jak będą padać, podłożymy im pod tyłek poduszkę.

– Porządny z ciebie facet, Jack.

Rozdział 7

Na wolnym ogniu

Jako attaché prasowy, nie musiał poświęcać zbyt dużo czasu na ugłaskiwanie akredytowanych w Moskwie korespondentów amerykańskich i – sporadycznie – całej reszty dziennikarzy. Ta „reszta” pracowała jakoby w „Prawdzie” i w innych rosyjskich gazetach, ale Foley zakładał, że ludzie ci są agentami KGB albo wolnymi strzelcami – co na jedno wychodziło, ponieważ agenci KGB rutynowo wykorzystywali dziennikarską przykrywkę. W rezultacie tego za większością radzieckich dziennikarzy w Stanach chodził jeden, a nawet dwóch agentów FBI, przynajmniej wtedy, gdy FBI miało wolnych agentów na zbyciu, co nie zdarzało się za często. Dziennikarze i agenci terenowi pełnili dosłownie identyczne funkcje.

Niedawno przydusił go niejaki Paweł Kuricyn, facet z „Prawdy”, który był albo zawodowym szpiclem, albo naczytał się powieści szpiegowskich. Ponieważ łatwiej jest udawać głupka niż bystrzaka, Ed dzielnie dukał po rosyjsku, uśmiechając się dumnie w oczekiwaniu pochwał za to, że tak dobrze opanował ten skomplikowany język. Kuricyn doradził mu oglądanie rosyjskiej telewizji, dzięki czemu Foley miał szybciej nabrać wprawy w posługiwaniu się jego ojczystym językiem. Zaraz po spotkaniu Ed napisał raport o nawiązaniu kontaktu, podkreślając, że Paweł Jewgieniewicz Kuricyn wygląda mu na gościa z Drugiego Związku Radzieckiego, że przyszedł zrobić mu egzamin i że on, Foley, chyba ten egzamin zdał.

Oczywiście całkowitej pewności nigdy nie było. Wiedział, że Rosjanie zatrudniają ludzi potrafiących czytać w myślach. Wiedział też, że eksperymentują niemal ze wszystkim, nawet z telepatią, „zdalnym widzeniem”, które dla niego, jako zawodowca, niewiele różniło się od

„widzeń”, jakie miewają cygańskie wróżki, i które – ku jego wielkiemu zdegustowaniu –

skłoniło Agencję do zainicjowania własnych badań w tym zakresie. On, Ed Foley, uważał, że to, czego nie można wziąć do ręki, po prostu nie istnieje. Ale nigdy nie można było przewidzieć, do czego się te dupki z wywiadu posuną, żeby tylko obejść to, co ludzie z wydziału operacyjnego – prawdziwi szpiegowie i agenci CIA – musieli robić każdego – szlag by to trafił!

– dnia.

Wystarczało już samo to, że Rosjanie mieli Bóg wie ile oczu i uszu tu, w ambasadzie, chociaż cały budynek regularnie „odpluskwiano”. (Raz udało im się nawet założyć podsłuch w gabinecie samego ambasadora). Dokładnie naprzeciwko, po drugiej stronie ulicy, stał ko-

ściół wykorzystywany obecnie przez KGB. W ambasadzie Stanów Zjednoczonych nazywano go kościołem pod wezwaniem Najjaśniejszej Pani od Mikrochipów, ponieważ naszpikowano go mikroprzebiegami wycelowanymi w gmach ambasady, których zadaniem było zakłócanie urządzeń wykorzystywanych przez miejscową ekspozyturę CIA do przechwytywania i nasłuchiwanie radzieckich rozmów telefonicznych i radiowych. Natężenie buchającego ze ścian kościoła promieniowania przekraczało poziom bezpieczny dla zdrowia, dlatego w ambasadzie zamontowano specjalne metalowe ekrany, które odbijały dużą część tegoż promieniowania, kierując je z powrotem w stronę kościoła. Ta gra miała swoje zasady i Rosjanie w sumie ich przestrzegali, z tym że zasady te

nie miały sensu. Okoliczni mieszkań-

cy nieśmiało protestowali, lecz jedyną reakcją na ich protesty było wzruszenie ramion i pytanie: „Kto, my?” Na tym się zwykle kończyło. Lekarz z ambasady mówił, że on się nie martwi, ale jego gabinet mieścił się w piwnicy osłoniętej warstwą betonu i ziemi. Niektórzy powiadali, że można ugotować hot doga, kładąc go na parapecie okna wychodzącego na wschód.

97

O Foleyu wiedzieli tylko dwaj ludzie: ambasador i attaché wojskowy. Ambasadorem był

niejaki Ernest Fuller. Jego podobizna mogłaby zdobić okładkę książki o rzymskich patrycjuszach, bo facet był wysoki i szczupły, i miał lwią grzywę pięknych białych włosów. Tak naprawdę urodził się nie w starożytnym Rzymie, tylko na świńskiej farmie w stanie Iowa. Dostał stypendium na Northwestern University, ukończył prawo, trafił do zarządu jakiejś korporacji i po pewnym czasie został dyrektorem dużego koncernu samochodowego. Po drodze, podczas drugiej wojny światowej, odsłużył trzy lata w marynarce wojennej i wraz z załogą lekkiego krążownika USS „Boise” brał udział w bitwie o Guadalcanal. Urzędnicy służby zagranicznej uważali go za poważnego gracza i za utalentowanego amatora.

Natomiast attaché wojskowym był generał brygady George Dalton. Z zawodu artylerzysta, znakomicie dogadywał się ze swoimi rosyjskimi odpowiednikami. Wielki jak niedź-

wiedź, miał czarne, kręcone włosy i przed dwudziestoma paroma laty grał jako obrońca w reprezentacji futbolowej West Pointu.

Foley miał spotkanie z nimi obu, oficjalnie po to, żeby omówić stosunki z amerykańskimi korespondentami prasowymi. W moskiewskiej ekspozyturze CIA tajemnicą objęte były nawet wewnętrzne sprawy ambasady.

– Jak tam syn? – spytał Fuller. – Adaptuje się?

– Tęskni za kreskówkami. Przed wyjazdem kupiłem ten nowy magnetowid – wie pan, Betamaksa – i kilka kaset, ale szybko się zużywają i kosztują, że aż strach.

– Mają tu odpowiednik naszego *Strusia Pędziwiatra* – powiedział generał. – *Nu, pogadi*, filmiki o wilku i zającu. Do Strusia się nie umywają, ale są lepsze niż ta poranna gimnastyka.

Baba, która ją prowadzi, sprząłaby tyłek każdemu sierżantowi piechoty morskiej.

– Tak, widziałem ją wczoraj rano. Czy ona nie jest przypadkiem członkinią ekipy olimpijskiej tutejszych sztangistów? – zażartował Foley.

– Pierwsze wrażenia? – spytał Fuller. – Jakieś niespodzianki?

Foley pokręcił głową.

– Nie, jest tak, jak tego oczekiwałem, mniej więcej. Wygląda na to, że dokądkolwiek idę, zawsze mam towarzystwo. Długo będą za mną łazili?

– Tydzień, może dwa. Niech pan sobie pospaceruje, a jeszcze lepiej niech pan poobserwuje Rona Fieldinga. Ron świetnie to robi.

– Szykujecie coś większego? – spytał Fuller.

– Nie, panie ambasadorze, sama rutyna, przynajmniej na razie. Za to Rosjanie coś szykują.

– Tak?

– Nazwali to NANO, skrót od Nagłego Ataku Nuklearnego na Ojczyznę. Boją się, że prezydent może rzucić na nich bombę. Spanikowali i wypytują nas o jego stan umysłowy.

– Pan poważnie? – spytał Fuller.

– Jak najbardziej. Pewnie za bardzo wzięli sobie do serca to imperium zła.

– Coś w tym jest. Ich minister spraw zagranicznych zadał mi kilka dziwnych pytań, ale myślałem, że on tylko tak.

98

– Panie ambasadorze, inwestujemy dużo pieniędzy w przemysł zbrojeniowy, dlatego się denerwują.

– Ale kiedy oni kupują dziesięć tysięcy czołgów, to wszystko w porządku, tak? – wtrącił generał Dalton.

– Właśnie – zgodził się z nim Foley. – Pistolet w moim ręku służy do obrony, pistolet w twoim do ataku. Wszystko zależy od punktu widzenia.

– À propos. Widział pan to? – Fuller podał mu faks z Departamentu Stanu.

Ed przebiegł go wzrokiem.

– Uuu... – mruknął.

– Powiedziałem im, że Rosjanie bardzo się zdenerwują. Co pan na to?

– Też tak uważam, panie ambasadorze. Najbardziej zaniepokoi ich to, że ewentualne zamieszki w Polsce mogą się rozszerzyć na całe imperium. W tej dziedzinie Rosjanie potrafią myśleć z dużym wyprzedzeniem. Polityczna stabilność jest dla nich warunkiem sine qua non. Co na to Waszyngton?

– Agencja przekazała wiadomość prezydentowi, prezydent przekazał ją sekretarzowi stanu, a on przysłał ją nam z prośbą o komentarz. Może pan potrząsnąć kim trzeba i sprawdzić, czy mówią o tym w Biurze Politycznym?

Foley myślał chwilę i kiwnął głową.

– Mogę spróbować. – Poczł się trochę nieswojo, ale cóż, ostatecznie na tym polegała je-go praca. Będzie musiał nawiązać kontakt z agentem, niewykluczone, że z kilkoma, ale wła-

śnie od tego byli agenci. Najgorsze, że będzie musiał również zaprząć do pracy żonę. Mary Pat na pewno się ucieszy – uwielbiała zabawę w szpiega – ale martwiło go, że narazi ją na niebezpieczeństwo. Mój szowinizm wyłazi, pomyślał. – Czy to zadanie priorytetowe?

– Waszyngton bardzo się tym interesuje – odrzekł Fuller. Co oznaczało, że sprawa nie jest na tyle ważna, żeby zastosować środki nadzwyczajne.

– Dobrze, panie ambasadorze, zajmę się tym.

– Nie wiem, jakich ma pan tu agentów, i nie chcę tego wiedzieć, ale domyślam się, że to dla nich niebezpieczne, prawda?

– W tym kraju zdrajców rozstrzelują, panie ambasadorze.

– To gorzej niż w branży samochodowej – mruknął Fuller. – Dobrze ich rozumiem.

– Nawet na wojnie bywało lepiej – wtrącił generał Dalton. – Ruscy to wredni gracze.

Wiecie, mnie też wypytywali o prezydenta. Starsi oficerowie, zwykle przy drinkach. Boją się go, co?

– Na to wygląda – odrzekł Foley.

– I dobrze. Jak się kimś trochę potrząśnie, facet traci pewność siebie i zaczyna spoglądać przez ramię. To dobrze robi.

– Można potrząsnąć, byle nie za mocno – ostrzegł Fuller. W dyplomacji pracował od niedawna, ale miał duży szacunek dla zasad i przepisów. – Dobrze. Coś jeszcze?

– Nie, panie ambasadorze – odrzekł Foley. – Powoli się adaptuję. Aha, przyszedł dziś do mnie rosyjski dziennikarz. Moim zdaniem facet jest z kontrwywiadu KGB. Chciał mnie sprawdzić. Nazywa się Kuricyn.

– O tak, to jeden z nich – zawyrokował natychmiast generał.

– Też tak myślę. Pewnie wypyta o mnie tego z „Timesa”.

– Zna go pan?

– Tak, nazywa się Anthony Price. I to mówi o nim prawie wszystko. Groton, Yale...

Wpadłem na niego kilka razy w Stanach, kiedy byłem jeszcze dziennikarzem. Jest bardzo bystry, ale nie tak bystry, jak myśli.

– Zna pan rosyjski?

– Mógłbym uchodzić za Rosjanina, za to moja żona za rosyjską poetkę. Jest naprawdę świetna. Aha, jeszcze jedno. Mamy sąsiadów. Haydockowie. Nigel i Penelopa Haydockowie.

Oni też są chyba...

– Oczywiście – potwierdził generał Dalton. – To całkowicie pewni ludzie.

Foley też tak uważał, ale nigdy nie zaszkodziło spytać. Wstał.

– Dobra, w takim razie biorę się do roboty.

– Witaj na pokładzie, Ed – rzucił ambasador. – Służba tu niezbyt ciężka, można przywyknąć. Ich MSZ załatwia nam bilety do teatru i na balet.

– Wolę hokej.

– Nie ma sprawy – odrzekł generał.

– Dobre miejsca?

– W pierwszym rzędzie.

Foley posłał mu uśmiech.

– Bomba.

Mary Pat wybrała się tymczasem na spacer z synem. Eddie był już za duży, żeby wozić go w wózku, czego bardzo żałowała. Z wózkiem byłoby łatwiej, bo Rosjanie niechętnie zaglądaliby pod kocyk czy do torby z pieluchami, zwłaszcza że zarówno dziecko, jak i jego matka mieli paszporty

dypłomatyczne. Ale nie, teraz po prostu szła, próbując przywyknąć do nowego otoczenia, do widoków i zapachów. Była w samym brzuchu bestii i czuła się jak wirus – miała nadzieję, że śmiertelny. Urodziła się jako Maria Kamiński i była wnuczką nadwornego koniuszego Romanowów. Dziadek Wania był najważniejszą postacią jej dzieciństwa. To właśnie on nauczył ją rosyjskiego, i to nie tego podstawowego i prymitywnego, jakim posługiwano się dzisiaj, ale tego eleganckiego, literackiego, dawno już zapomnianego.

Potrafiła czytać wiersze Puszkina i przy nich płakać, i pod tym względem była bardziej Rosjanką niż Amerykanką, ponieważ Rosjanie od stuleci wielbili swoich poetów, podczas gdy poetów amerykańskich zdegradowano do roli tekściarzy piszących słowa do muzyki pop.

Tak, tu, w Rosji, było co kochać i podziwiać.

100

Kochać i podziwiać wszystko z wyjątkiem rządu. Kiedy miała dwanaście lat i, jak każda nastolatka, z entuzjazmem spoglądała w przyszłość, dziadek Wania opowiedział jej o Aleksieju, księciu Rosji, chłopcu dobrym i grzecznym, lecz pechowym, gdyż chorym na hemofilię i tym samym niezwykle delikatnym. Pułkownik Iwan Borysowicz Kamiński, drobny szlachcic z Carskiej Gwardii Konnej, uczył go jeździć konno, ponieważ była to jedyna umiejętność, jakiej książę potrzebował w tym wieku. Iwan Borysowicz musiał być bardzo ostrożny –

Aleksieja często noszono, żeby chłopiec nie potknął się i nie upadł; miał nawet oficjalnego nosilszczyka, piastuna, marynarza carskiej floty wojennej – ale ku wdzięczności cara Mikołaja II i carycy Aleksandry dobrze wypełnił powierzone mu zadanie. Dziadek Wania i mały książę bardzo się przy okazji zaprzyjaźnili i mogliby uchodzić jeśli nie za ojca i syna, to na pewno za wuja i siostrzeńca. Dziadek poszedł na wojnę, żeby walczyć z Niemcami, ale zaraz na początku wojny, podczas bitwy pod Tannenbergiem, został wzięty do niewoli. I to wła-

śnie w obozie jenieckim doszła go wiadomość o rewolucji. Udało mu się wrócić do ojczyzny, żeby wraz z białogwardzistami wziąć udział w skazanym na porażkę zrywie kontrrewolucyjnym, lecz wkrótce dowiedział się, że bolszewicy wywieźli cara i jego rodzinę do Jekaterynburga i wszystkich wymordowali. Zdawał sobie sprawę, że wojna jest przegrana i udało mu się uciec do Ameryki, gdzie rozpoczął nowe życie, chociaż było to życie człowieka po-grążonego w wiecznej żałobie.

Mary Pat pamiętała, że opowiadał jej tę historię ze łzami w oczach i łzy te wzbudziły w niej fizyczny wstręt do bolszewików. Z czasem wstręt ten nieco osłabł. Nie była fanatyczką, ale ilekroć widziała rosyjskiego żołnierza w mundurze czy ważnego partyjniaka pędzącego zółtem na zebranie, stawało jej przed oczyma oblicze wroga, wroga, którego wolni ludzie musieli zniszczyć. To, że jej kraj musi walczyć z komunizmem, było dla niej oczywiste. Gdyby umiała podłożyć bombę pod ten ohydny system, podłożyłaby ją i bez wahania odpaliła.

Dlatego skierowanie na placówkę do Moskwy przyjęła z wielkim entuzjazmem jako spełnienie swych najskrytszych marzeń. Opowiadając tę starą, smutną historię, dziadek Wania nadał jej życiu cel i zaraził ją pasją, żeby cel ten mogła osiągnąć. Dlatego decyzja o wstą-

pieniu do CIA była dla niej czymś równie naturalnym, jak codzienne szczotkowanie włosów.

I teraz, spacerując po Moskwie, pierwszy raz w życiu naprawdę zrozumiała namiętną miłość dziadka do tego, co odeszło już w przeszłość. Wszystko tu było inne niż w Stanach, dosłownie wszystko, od kąta nachylenia dachów poczynając, na kolorze asfaltu i martwych twarzach ludzi kończąc. Zerkali na nią, bo w amerykańskim ubraniu wyróżniała się wśród nich jak paw wśród wron. Niektórzy uśmiechali się do małego Eddiego, bo choć z natury posepni, Rosjanie kochali dzieci. Dla zabawy spytała milicjanta o drogę. Był bardzo uprzejmy i taktownie ją poprawiał, gdy celowo kaleczyła wymowę nazw ulic. Świetnie. Zauważyła też, że ma ogon, agenta KGB, trzydziesto-, trzydziestopięcioletniego mężczyznę, który szedł

za nią w odległości pięćdziesięciu metrów i robił co mógł, żeby pozostać niewidzialnym. Ale popełnił błąd, gwałtownie odwracając wzrok, gdy na niego spojrzała. Najwyraźniej nie chciał, żeby zapamiętała jego twarz; pewnie tak go wyszkolono.

Jezdnie i chodniki były tu szerokie, ale niezbyt zatłoczone. O tej porze większość mieszkańców pracowała, a ktoś taki jak kobieta wolna – idąca na zakupy, na towarzyskie spotkanie czy jadąca na golfa – tu nie istniał, może z wyjątkiem żon ważnych członków partii. Jak bogaci próźniacy w Stanach, pomyślała Mary Pat, jeśli tacy jeszcze są. Jej mama zawsze pracowała, przynajmniej za jej pamięci, teraz zresztą też. Ale tu kobiety machały łopata, a męż-

101

czyźni jeździli wywrotkami. I ciągle łatali dziury w jezdniach, których nigdy tak do końca nie potrafili załatać. Jak w Waszyngtonie czy w Nowym Jorku.

Były tu też uliczne wózki z lodami, więc kupiła loda Eddiemu, który dosłownie pożerał

go wzrokiem. Miała wyrzuty sumienia, że wciągnęła w tę misję syna, ale skończył dopiero cztery lata i wiedziała, że doświadczenie to na pewno go czegoś nauczy. Przynajmniej będzie dwujęzyczny. Nauczy się też doceniać ten kraj bardziej niż jego amerykańscy rówieśnicy – to wielka korzyść. A więc ktoś za nią lał. Był dobry? Nadeszła pora to sprawdzić. Sięgnęła do torebki i ukradkiem wyjęła z niej kawałek papierowej taśmy samoprzylepnej, takiej czerwonej, jaskrawoczerwonej. Skręcając za róg, przykleiła ją do słupa latarni gestem pozornie niedbałym i tak szybkim, że prawie niezauważalnym. Pięćdziesiąt metrów dalej rozejrzała się niepewnie, jakby zabłądziła i... zobaczyła, jak tamten mija latarnię. A więc niczego nie zauważył. Gdyby zauważył, na pewno by chociaż przystanął, a poza nim nikt jej chyba nie śledził; szła przypadkowo wybraną trasą, więc to raczej niemożliwe, chyba że z jakichś powodów nasłali na nią kilkunastu agentów, co było z kolei mało

prawdopodobne. Jak dotąd jeszcze nigdy nie wpadła. Pamiętała każdą godzinę szkolenia na farmie w Tidewater w Wirginii. Zdała egzaminy z pierwszą lokatą i wiedziała, że jest dobra – co więcej, wiedziała też, że nawet najlepsi nie mogą zapominać o ostrożności. Ale ci ostrożni mogli osiąść każdego konia. A konno nauczył ją jeździć sam dziadek Wania.

Mały Eddie i ja przeżyjemy tu mnóstwo przygód, myślała. Odczeka, aż KGB zmęczy się nasyłaniem na nią cieni i wtedy zaszaleje. Będzie prowadziła miejscowych agentów i werbowała nowych. Ciekawe kogo uda jej się nakłonić do współpracy... Tak, była w samym brzuchu bestii i chciała, żeby to wstrętne bydlę nabawiło się przez nią wrzodów żołądka.

– No dobrze – mruknął Andropow. – Aleksieju Nikołajewiczu, znacie Gordienkę. Co mu mam powiedzieć?

To, że nie zamierzał łajać i przywołać do porządku rzymskiego rezydenta, było niewątpliwą oznaką jego inteligencji. Tylko głupiec podcina skrzydła podwładnym.

– Pułkownik Gordienko prosi o wskazówki, o dane dotyczące zakresu operacji, i tak dalej. Powinniśmy mu ich udzielić. Co z kolei prowadzi do pytania, co zamierzacie, towarzyszu przewodniczący. Czy już to przemyśleliście?

– Dobrze, Aleksieju Nikołajewiczu: co waszym zdaniem powinniśmy zrobić?

– Towarzyszu przewodniczący, w Ameryce nauczyłem się powiedzenia, które bardzo przypadło mi do gustu: za to mi nie płacą.

– Chcecie powiedzieć, że nie bawicie się czasem w przewodniczącego KGB? – spytał zjadliwie Jurij Władimirowicz.

– Szczerze mówiąc, nie. Ograniczam się tylko do tego, co rozumiem, do spraw technicz-no-operacyjnych. Rozważania nad skomplikowanymi zagadnieniami politycznymi przekraczają moje kompetencje.

Sprytna odpowiedź, pomyślał Andropow, choć nieprawdziwa. Ale Roźdiestwienski nie zdradziłby mu swoich myśli, ponieważ o sprawach tak wielkiego kalibru miał prawo dyskutować jedynie on, przewodniczący KGB. Oczywiście mógłby go przesłuchać ktoś z Komitetu Centralnego albo z Biura Politycznego, ale tego rodzaju polecenie musiałyby wyjść od same-102

go Breżniewa, co było mało prawdopodobne. A więc tak. Towarzysz pułkownik na pewno będzie o tym myślał, jak to podwładny, ale ponieważ jest zawodowcem i oficerem KGB, a nie partyjnym lizusem, zatrzyma te myśli wyłącznie dla siebie.

– Dobrze, zapomnijmy na chwilę o kwestiach politycznych. Potraktujcie to jako pytanie czysto teoretyczne: w jaki sposób można zlikwidować papieża?

Roźdiestwienski niepewnie przestąpił z nogi na nogę.

– Siadaj, Aleksieju. Planowałeś niejedną operację. Zastanów się. Pomyśl.

Roźdiestwienski usiadł.

– Towarzyszu przewodniczący, na waszym miejscu poprosiłbym o pomoc kogoś bardziej doświadczonego w tych sprawach. Mamy tu świetnych fachowców, ale skoro jest to pytanie czysto teoretyczne... – Zamilkł, powędrował wzrokiem w górę, potem w lewo. Za-czął mówić powoli i spokojnie.

– Po pierwsze, rzymską rezydenturę wykorzystałbym tylko do zbierania informacji, do rozpoznania celu, i tak dalej. Nie chciałbym, żeby aktywnie uczestniczyła w działaniach operacyjnych. Co więcej, radziłbym, żeby w ogóle nie uczestniczyli w nich Rosjanie.

– Dlaczego?

– Włoscy policjanci są dobrze wyszkoleni, a do śledztwa w tak ważnej sprawie ich zwierzchnicy rzuciliby najlepszych ludzi. Jak w każdym przypadku, tu też byłiby świadkowie. Każdy człowiek ma oczy i uszy. Niektórzy umieją inteligentnie myśleć. Takich rzeczy nie da się dokładnie przewidzieć. Gdybyśmy wysłali tam snajpera... Z jednej strony byłoby to rozwiązanie bardzo dla nas korzystne, z drugiej, wskazywałoby na operację szczebla pań-

stwowego. Człowiek ten musiałby być świetnie wyszkolony. Znaczy się żołnierz. Żołnierz znaczy się wojsko. Wojsko znaczy się państwo. A które państwo mogłoby chcieć zlikwidować papieża? Operacja, której organizatorów można namierzyć, to zła operacja.

Andropow zapalił papierosa i kiwnął głową. Dobrze wybrał. Pułkownik nie był głupcem.

– Mówcie dalej.

– Idealnym rozwiązaniem byłby zamachowiec bez żadnych powiązań ze Związkiem Radzieckim. Musielibyśmy być tego całkowicie pewni, bo niewykluczone, że człowiek ten zostałby zatrzymany i aresztowany. Jeśli aresztowany, to i przesłuchany. Na śledztwie większość ludzi pęka, czy to z powodów psychologicznych, czy fizycznych. – Roźdiestwienski wyjął z kieszeni papierosa. – Pamiętam, czytałem kiedyś o mafijnym zabójstwie w Ameryce... – Ponownie umilkł i ponownie utkwiał wzrok w ścianie, jakby szukał tam czegoś z przeszłości.

– Mówcie – ponaglił go Andropow.

– To było w Nowym Jorku. Jeden z mafijnych bossów zadarł z kolegami, a ci postanowili nie tylko go zabić, ale i upokorzyć. Na zamachowca wzięli Murzyna; dla członków mafii to bardzo hańbiące – wyjaśnił. – Tak czy inaczej, zaraz po wykonaniu zadania zamachowca też zabito. Zrobił to najprawdopodobniej członek mafii, któremu udało się zbiec, pewnie dzięki pomocy kolegów, co dowodzi, że była to operacja starannie przygotowana. I doskonała pod względem technicznym. Zlikwidowano zarówno cel, jak i zamachowca. Jej organizatorzy, ci, 103

którzy wszystko zaplanowali, osiągnęli to, co chcieli osiągnąć i zdobyli prestiż w organizacji.

Policja nie wpadła na ich trop. Nie zostali ukarani.

– Zwykli kryminaliści – prychnął Andropow.

– Tak, towarzyszu przewodniczący, mimo to każdą dobrze przeprowadzoną operację warto przeanalizować. Nie pasuje do tego, o czym mówimy, ponieważ miało to wyglądać na dobrze zaplanowane zabójstwo mafijne, ale zamachowiec zdołał podejść blisko ofiary tylko dlatego, że nikt nie wzięłyby go za członka mafii. Potem zaś nie mógł wskazać i pogrążyć swoich mocodawców. I właśnie takie rozwiązanie najbardziej by nam odpowiadało. Oczywiście nie możemy tej operacji skopiować ze wszystkimi szczegółami, ponieważ zdradziłoby nas choćby zlikwidowanie zamachowca. To nie może przypominać zabójstwa Lwa Trockiego, bo w jego przypadku nie zadbano o pełną anonimowość zleceniodawców. Podobnie jak tam, w Nowym Jorku, chodziło o coś w rodzaju publicznego obwieszczenia. – To, że mafijna wendeta i operacja, którą zamierzał przeprowadzić Jurij Andropow, są do siebie podobne, było dla Roźdiestwińskiego oczywiste, dlatego nie chciał się nad tym rozwodzić. Ale uwa-

żał też, że zabójstwo Trockiego i zabójstwo nowojorskiego bossa to przykład ciekawej zbieżności taktyki i celów.

– Towarzyszu przewodniczący, potrzebowalibyśmy trochę czasu, żeby to dokładniej przemyśleć.

– Daję wam dwie godziny – odrzekł wspaniałomyślnie Andropow.

Pułkownik stanął na baczność i przez szafę w ścianie wyszedł do sekretariatu.

Jego gabinet był oczywiście mniejszy, lecz zaciszny, poza tym mieścił się na tym samym piętrze co gabinet przewodniczącego. Okno wychodziło na ruchliwy plac Dzierżyńskiego i pomnik Żelaznego Feliksa. Fotel był wygodny, a na biurku stały aż trzy telefony, ponieważ Związek Radziecki nie dorobił się jakoś aparatów obsługujących kilka linii naraz. Roźdiestwiński miał też własną maszynę do pisania, ale rzadko jej używał, woląc dyktować sekretarce z zespołu sekretarek Centrali. Krążyły plotki, że Jurij Władimirowicz Andropow wykorzystywał je również do innych celów, ale on w to nie wierzył. Przewodniczący był za wielkim estetą. Rozwiązłość nie leżała w jego naturze, co bardzo się pułkownikowi podobało.

Trudno jest być lojalnym w stosunku do kogoś takiego jak Breżniew, myślał. Symboliczne znaczenie miecza i tarczy, widniejących w emblemacie KGB, traktował z wielką powagą.

Miał bronić swego kraju i narodu, a kraj i naród potrzebował obrony – czasami nawet przed członkami Biura Politycznego.

Ale dlaczego miałby bronić ich przed papieżem?

Pokręcił głową i zajął się powierzonym mu zadaniem. Myślał z otwartymi oczami, analizował myśli jak obrazy na niewidzialnym ekranie.

Po pierwsze, rodzaj i cechy charakterystyczne celu. Na zdjęciach papież robił wrażenie wysokiego i zwykle ubierał się na biało. Lepiej być nie mogło. Jeździł otwartym samochodem: znakomicie, ponieważ jeździł bardzo wolno, żeby wierni dobrze go widzieli.

Tylko kogo wybrać na zamachowca? Na pewno nie oficera KGB. Nawet nie obywatela Związku Radzieckiego. Rosyjskiego emigranta? Może. Na Zachodzie było ich dużo, w tym sporo „śpiochów”, agentów KGB żyjących własnym życiem i czekających na sygnał wzywający ich do rozpoczęcia działalności... Sęk w tym, że wielu z nich się znaturalizowało, ignorowało wezwania lub powiadamiało o nich służby kontrwywiadowcze swoich krajów. Roż-

104

diestwienski nie wierzył w skuteczność tego rodzaju działań. Nawet oficer KGB zbyt łatwo zapominał, kim jest i co miał robić.

Nie, zamachowiec musiał być człowiekiem z zewnątrz. Nie mógł być ani Rosjaninem, ani nawet obcokrajowcem wyszkolonym przez KGB. Najlepiej, żeby był zbuntowanym księ-

dzem albo zakonnica, ale tacy ludzie pojawiają się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki tylko w amerykańskich filmach szpiegowskich i w programach telewizyjnych. W prawdziwym wywiadzie było zupełnie inaczej.

A więc kto by się najbardziej nadał? Niechrześcijanin? Żyd? Muzułmanin? Ateistę skojarzono by natychmiast ze Związkiem Radzieckim, a więc nie, ateista odpadał. Namówić do tego Żyda – to by dopiero było! Przedstawiciela wybranego narodu. Najlepiej Izraelczyka. W

Izraelu mieszkało sporo fanatyków. To możliwe, lecz... mało prawdopodobne. KGB miało tam swoich agentów – wraz z radzieckimi obywatelami do Izraela wyemigrowało wielu

„śpiochów” – ale ichni kontrwywiad słynął ze skuteczności działania. Prawdopodobieństwo wpadki byłoby zbyt duże, a tej operacji – tej jednej, jedynej – nie mogli zawalić. Tak więc Żydzi definitywnie odpadali.

Może jakiś szaleniec z Irlandii Północnej. Tamtejsi protestanci nie znosili katolików, a jeden z ich przywódców – nie pamiętał jego nazwiska, ale brzmiało jak uosobienie męstwa i odwagi – powiedział nawet, że życzy papieżowi śmierci. A jest ponoć pastorem. Ale, co smutne, tacy jak oni jeszcze bardziej nienawidzili Związku Radzieckiego, ponieważ ci z IRA, ich przeciwnicy, twierdzili, że są marksistami, czego on, pułkownik Roźdiestwienski, za nic nie mógł zrozumieć. Gdyby byli prawdziwymi marksistami, mógłby zadziałać po linii partyjnej i kazać im kogoś znaleźć... ale nie. O ile znał irlandzkich terrorystów, a znał ich słabo, ponad dyscyplinę partyjną zawsze przedkładali

swoje poglądy etniczne, dlatego nie, nie warto nawet próbować. Pomysł, choć ciekawy, byłby zbyt trudny do zrealizowania.

Pozostawali więc muzułmanie. Wielu z nich było fanatykami, którzy z prawdziwymi wierzeniami religijnymi mieli tyle wspólnego co papież z Karolem Marksem. Islam był po prostu za bardzo rozduwany, cierpiał na gigantomanię. Ale gdyby chciał muzułmanina, to skąd by go wziął? KGB miało agentów w wielu krajach muzułmańskich, podobnie jak służby wywiadowcze innych krajów socjalistycznych. Inne kraje socjalistyczne... Hmm, dobry pomysł. Ich służby siedzą przecież w kieszeni KGB... Najlepsza byłaby enerdowska Stasi, wspaniale kierowana przez Markusa Wolfa. Ale NRD i muzułmanie? Polacy też byli nieźli, ale nigdy w życiu nie zleciłbym im takiej operacji. W ich bezpieczeństwo rościło się od katolików i przejrzeliby go na wylot, a skoro oni, to i Zachód, nie szkodzi, że po katolikach. Węgry? –

myślał. Nie. Węgrzy też są za bardzo katolicy, a jedynymi muzułmanami, jakich tam mają, są terroryści z ideologicznych obozów szkoleniowych. Nie, nie, tych lepiej zostawić w spokoju. Podobnie Czechów. Rumunia? Rumunii nie uważano za prawdziwego sojusznika. Ich przywódca, choć zagorzały komunista, zachowywał się jak cygański gangster. Pozostawała więc... Bułgaria. Oczywiście. Sąsiad Turcji, a Turcja to kraj muzułmański, ale o zsekularyzowanej kulturze, kraj, gdzie można znaleźć dobry materiał na zamachowca. Poza tym Bułgarzy prowadzili ożywiony handel przygraniczny i pod przemytniczą przykrywką często zdobywali ważne informacje o krajach należących do NATO – podobnie jak ludzie Gordienki w Rzymie.

A więc tak: wykorzystają sofijską rezydenturę i nakłonią Bułgarów do współpracy. Ostatecznie mieli u nich zadawniony dług. Centrala pomogła im zlikwidować niesforne dysy-105

denta, przeprowadzając zmyślną, świetnie zorganizowaną operację na moście Westminsterkim, którą co prawda częściowo skopali, ale tylko dlatego, że mieli wyjątkowego pecha.

Kolejna nauczka, myślał pułkownik Roźdiestwienski. Podobnie jak to mafijne zabójstwo w Nowym Jorku, akcja wymierzona w papieża nie mogła wskazywać na żadne powiązania z KGB. Nie, musiała wyglądać jak zwykłe gangsterskie zabójstwo. Ale nawet to było niebezpieczne. Rządy krajów zachodnich na pewno zaczną coś podejrzewać, lecz nie mając konkretnych, a nawet poszlakowych dowodów świadczących o zaangażowaniu KGB, czy odważą się mówić o tym publicznie...?

Czy to wystarczy?

Włosi, Amerykanie i Brytyjczycy będą się zastanawiać. Będą szeptać i szepty te mogą trafić do ich prasy. Czy miało to jakieś znaczenie?

Zależy od tego, jaką wagę przykładają do tej operacji Andropow i Biuro Polityczne. Bez ryzyka się nie obejdzie, ale w wielkiej polityce na jednej szali kładzie się ryzyko, a na drugiej znaczenie planowanej misji.

Tak więc rzymską rezydenturę wykorzystają jako bazę rozpoznawczą. Rezydentura w Sofii nakłoni

Bułgarów do współpracy, a ci znajdą zamachowca. Zamachowiec będzie strzelać z pistoletu. Zabójstwo z użyciem noża nie wchodziło w rachubę, gdyż musiałby podejść bardzo blisko celu, karabin zaś czy pistolet maszynowy był za trudny do ukrycia, chociaż do operacji takiej jak ta bardzo by się przydał. Zamachowiec nie będzie pochodził z kraju socjalistycznego. Nie, musi być obywatelem kraju należącego do NATO. Trochę to wszystko skomplikowane. Ale do przyjęcia.

Roźdiestwienski zapalił kolejnego papierosa i sprawdził poprawność swego rozumowania, szukając ewentualnych błędów i słabych punktów. Owszem, parę znalazł. Istniały w każdym, najlepszym nawet planie. Najtrudniejszym problemem będzie wyszukanie odpowiedniego Turka. W tej kwestii musieli zdać się na Bułgarów. Dobre mieli tam służby? Nigdy z nimi nie pracował, w każdym razie nie bezpośrednio, i znał ich tylko z reputacji, a ta nie była za dobra. Jaki rząd, taki wywiad, a rząd mieli tam bardziej toporny i bandycki niż Rosjanie, bynajmniej nie *kulturnyj*. Pod względem kulturalnym i politycznym Bułgaria była małym bratem Związku Radzieckiego, dlatego myślenie o niej w tych kategoriach było nie-uchronne. Musieli, po prostu musieli być na tyle dobrzy, żeby mieć jakieś kontakty w Turcji.

Kontakty i chociaż jednego dobrego oficera, najlepiej wyszkolonego w Moskwie. Tak, na pewno było ich sporo, ich dane przechowywano w akademii KGB. Niewykluczone, że sofijski rezydent będzie znał go osobiście...

Plan zaczyna nabierać rumieńców, pomyślał z dumą pułkownik. A więc jeszcze potrafił opracować schemat porządnej operacji, chociaż skazano go na pracę za biurkiem w Centrali.

Uśmiechnął się do siebie i zgasił papierosa. Podniósł słuchawkę białego telefonu i wykręcił sto jedenaście, numer gabinetu przewodniczącego.

Danie

– Dziękuję, Aleksieju Nikołajewiczu. To bardzo interesująca koncepcja. A więc co konkretnie radzicie?

– Towarzyszu przewodniczący, rzymska rezydentura będzie informowała nas na bieżą-

co o harmonogramie publicznych wystąpień papieża, jak najszczegółowiej i z jak największym wyprzedzeniem. Nie powiadomimy ich o naszych planach. Będą jedynie źródłem informacji. Niewykluczone, że kiedy nadejdzie pora, zaangażujemy jednego z tamtejszych funkcjonariuszy jako obserwatora, ale dla wszystkich zainteresowanych będzie dużo lepiej, jeśli pułkownik Gordienko o niczym się nie dowie.

– Nie ufacie mu?

– Nie, towarzyszu przewodniczący. Przepraszam, nie chciałem, żebyście odnieśli takie wrażenie, ale im mniej będzie wiedział, tym mniej będzie zadawał pytań, nam i swoim ludziom. Przez takie niewinne wypytywanie może się niechcący zdradzić. Rezydent zostaje rezydentem dlatego, że jest inteligentny i dostrzega rzeczy, których inni nie dostrzegają. Jeśli pułkownik Gordienko wyczuje, że coś się święci, jego zawodowe doświadczenie zmusi go co najmniej do wzmożenia czujności, a to może utrudnić nam działanie.

– Wolnomyśliciele – prychnął Andropow.

– Czyż może być inaczej? – spytał trzeźwo Roźdiestwienski. – To, że musimy zatrudniać inteligentnych fachowców, ma swoją cenę.

Andropow kiwnął głową. Nie był aż takim głupcem, żeby tego nie rozumieć.

– Dobra robota, pułkowniku. Co jeszcze?

– Niezwykle ważny jest czas, towarzyszu przewodniczący.

– Ile potrwałoby zorganizowanie takiej operacji?

– Co najmniej miesiąc, możliwe, że dłużej. Dopóki ludzie nie są rozstawieni, wszystko trwa dłużej, niżby się chciało.

– Mniej więcej tyle będę potrzebował, żeby przepchnąć sprawę przez Biuro Polityczne.

Ale będziemy kontynuować przygotowania operacyjne, żeby załatwić to, kiedy tylko uzyskam zgodę.

„Załatwić”, powtórzył w myśli Roźdiestwienski. Dobre słowo, choć nawet jemu zmrozi-

ło krew w żyłach. I powiedział „kiedy”. Nie, jeśli uzyskam zgodę”, tylko „kiedy uzyskam zgodę”. Cóż, Jurij Władimirowicz był ponoć najbardziej wpływowym członkiem Biura, co bardzo

pułkownikowi odpowiadało. To, co jest dobre dla KGB, myślał, jest dobre dla mnie, zwłaszcza teraz, w tej nowej pracy. Kto wie, może dostanę za to generalskie gwiazdki?

Awans jest zawsze miłą perspektywą.

– Od czego byście zaczęli? – spytał Andropow.

– Od telegramu do pułkownika Gordienki, towarzyszu przewodniczący. Trzeba ukoić jego obawy i powiedzieć mu, że jego zadaniem, przynajmniej na razie, jest zdobywanie informacji na temat harmonogramu podróży i publicznych wystąpień papieża. I od depeszy do Ilji Bubowoja. To nasz sofijski rezydent. Towarzysz przewodniczący go zna?

107

Andropow zmarszczył czoło.

– Poznałem go na jakimś przyjęciu... Taki tęgi, tak?

Roźdiestwienski pozwolił sobie na uśmiech.

– Tak, próbuje z tym walczyć, ale to dobry oficer. Siedzi tam już czwarty rok i ma dobre układy z Drżawną Sigurnością.

– Pewnie wąsy nawet zapuścił, co? – rzucił Andropow w rzadkim u niego przebłysku dobrego humoru. Rosjanie często rugali swoich sąsiadów za nadmierny zarost, który – jak się zdawało – był cechą narodową Bułgarów.

– Tego nie wiem – odrzekł pułkownik. Nie, nie był jeszcze aż takim służalcem, żeby obiecać to sprawdzić.

– Co napiszecie w depeszy?

– Że prosimy o dane operacyjne...

– Nie – przerwał mu przewodniczący. – Nic do niego nie piszcie. Ściągnijcie go tutaj.

Chcę, żebyście zastosowali maksymalne środki ostrożności, a to, że polata trochę tam i z powrotem, nikogo nie zdziwi.

– Rozkaz, towarzyszu przewodniczący. Ściągnąć go natychmiast?

– *Da*. Natychmiast.

Roźdiestwienski wstał.

– Rozkaz. Pozwólcie, że udam się teraz do centrum łączności. Przewodniczący odprowadził go wzrokiem. W KGB dobre jest to, myślał, że kiedy wydaje się komuś polecenie służbowe, polecenie to jest momentalnie wypełniane. Szkoda, że tylko tu, a nie na przykład w Sekretariacie.

Roźdiestwienski zjechał windą do podziemi. Kapitan Zajcew siedział już za biurkiem, przy papierkowej robocie – cóż innego mu pozostało? – i pułkownik ruszył prosto do niego.

– Mam dla was jeszcze dwie depesze.

– Tak jest, towarzyszu pułkowniku. – Oleg Iwanowicz wyciągnął rękę.

– Dopiero muszę je napisać – wyjaśnił Roźdiestwienski.

– Możecie skorzystać z tamtego biurka. Jednorazówki?

– Tak. Jedna do Rzymu, druga do rezydentury w Sofii. Obie pilne.

– Tak jest. – Zajcew podał mu czyste formularze i wrócił do swoich papierów z nadzieją, że depesze nie będą długie. Musiały dotyczyć czegoś ważnego, inaczej pułkownik najpierw by je napisał. Andropow musiał mieć robaki w tyłku. Roźdiestwienski robił za jego osobistego gońca. Dla kogoś o jego zdolnościach – dla kogoś, kto powinien być rezydentem w jakimś ciekawym kraju – było to pewnie poniżające. Ostatecznie podróże były jedną z największych korzyści, jakimi kusiała praca w KGB.

Nie, żeby Zajcew miał kiedykolwiek podróżować. Nie, Oleg Iwanowicz wiedział za du-

żo, żeby wypuszczono go na Zachód. Przecież mógłby nie wrócić – ci z wierchuszki zawsze 108

się tego bali. I pierwszy raz w życiu kapitan zastanowił się dlaczego. Widać, taki miał już dzień. Dlaczego KGB bało się, że wszyscy im pouciekają? Widywał depesze, w których otwarcie o tym mówiono, widywał oficerów, których wzywano do Centrali „na rozmowę” i którzy już nie wracali w teren. Dziwne, ale nigdy dotąd nie myślał o tym dłużej jak pół minuty.

Uciekali, bo... Bo co? Bo uważali, że państwo się czasem myli? I to wystarczyło, żeby po-pełnić zbrodnię tak straszną jak zdrada ojczyzny? Głęboka myśl, zrozumiał ponieważś Zajcew.

Ale czyż sam Komitet Bezpieczeństwa Państwowego nie karmił się zdradą? Czyż nie potwierdzały tego setki, a nawet tysiące depesz, które osobiście czytał? Wszyscy ci ludzie –

Amerykanie, Anglicy, Niemcy, Francuzi – agenci dostarczający KGB jakże cennych informacji: przecież wszyscy ci ludzie byli zdrajcami. Robili to głównie dla pieniędzy. Takie depesze też

widował, telegramy, w których rezydenci omawiali z Centralą wysokość wypłat. Wiedział, że KGB nie szasta pieniędzmi, ale nie było w tym nic dziwnego. Agenci żądali amerykańskich dolarów, angielskich funtów szterlingów, szwajcarskich franków. W gotówce, w prawdziwych pieniądzach: zawsze w gotówce. Nie chcieli ani rubli, ani nawet kupończyków. Widać, tylko takiej walucie ufali. Zradzali ojczyznę za pieniądze i tylko za takie, jakimi płaciło się w ich kraju. Niektórzy żądali milionów dolarów, nie, żeby kiedykolwiek taką su-mę dostali. Najwyższa zatwierdzona wypłata, jaką widział, opiewała na kwotę pięćdziesię-

ciu tysięcy funtów szterlingów, którą przekazano za informację o brytyjskich i amerykańskich maszynach szyfrujących, wykorzystywanych przez marynarkę wojenną. Ciekawe, ile też zapłaciliby za informacje, które mam w głowie...? – dumał leniwie Zajcew. Nie potrafiłby lepiej sformułować pytania, a już na pewno udzielić na nie odpowiedzi. Tak więc pytanie pozostało jedynie pytaniem.

– Proszę – rzucił Roźdiestwienski, podając mu formularze. – Wyślijcie natychmiast.

– Jak tylko zaszyfruję – obiecał Zajcew.

– Pamiętajcie: jednorazówki – dodał pułkownik.

– Tak jest. Ten sam numer referencyjny? Na obu?

– Tak. – Roźdiestwienski postukał palcem w prawy górny róg formularza, gdzie widniały trzy szóstki.

– Rozkaz, towarzyszu pułkowniku. Zaraz się tym zajmę.

– Zadzwońcie do mnie, kiedy pójdą.

– Rozkaz. Znam wasz numer.

To coś więcej niż słowa – Oleg Iwanowicz dobrze o tym wiedział. Poznał to po tonie jego głosu. Sprawą kierował sam przewodniczący, co automatycznie nadawało jej najwyższy priorytet. Nie, nie, tu nie chodziło o parę rajstop dla córeczki jakiegoś dygnitarza.

Poszedł do magazynu po książki kodowe Rzymu i Sofii, wyjął szyfrator i mozolnie zaszyfrował obie depesze. Summa summarum, zajęło mu to czterdzieści minut. Wiadomość do pułkownika Bubowoja była prosta: *Do Moskwy na konsultacje. Przylatujcie natychmiast.* Ciekawe, czy choć trochę zadrzą mu nogi. Bubowej oczywiście nie wiedział, co znaczą trzy szóstki. Wkrótce miał się dowiedzieć.

Pozostała część dnia upłynęła jak zwykle. Tuż przed szóstą kapitan Zajcew zamknął w szafie tajne dokumenty i poszedł do domu.

Przekąska w Century House była dobra, choć po angielsku ekscentryczna. Ploughman's lunch – ser, marynowane warzywa i chleb – smakował mu głównie ze względu na to ostatnie: na pyszny chleb.

– A więc twoja żona jest chirurgiem?

Jack kiwnął głową.

– Tak, rozpruwa ludziom oczy. Ostatnio zaczęła używać lasera. Chce zostać pionierką na tym polu.

– Lasera? – spytał Harding. – Do czego?

– To jakby spawanie. Używają lasera do zamykania dziurawych naczyń krwionośnych.

Jak u Susłowa. Krwawiły mu oczy, więc wywiercili mu w gałkach dziurę, wypompowali cały płyn – ciecz wodnistą, tak to się chyba nazywa – a potem zamknęli laserem przeciekają-

ce naczynia. Obrzydliwość, co?

Harding aż się wzdrygnął.

– Wolałbym już chyba oślepnąć.

– Dobrze cię rozumiem. Czuję się tak, kiedy operowali Sally. Myśl, że ktoś grzebie jej w brzuchu, niezbyt mnie zachwycała. – Tak naprawdę, czuł się wtedy koszmarnie. Córka wciąż miała blizny, choć zaczynały już blednąć.

– A ty? – spytał Simon. – Ciebie też krajali.

– Spałem, a operacji nie filmowano. Ale Cathy na pewno chciałaby ten film obejrzeć. Ten i dwa pozostałe.

– To w sumie aż trzy?

– Tak. Drugi raz trafiłem pod nóż w piechocie morskiej. Ustabilizowali mnie na okręcie i przewieźli samolotem do Bethesdy, na ciąg dalszy. Dzięki Bogu, prawie cały czas spałem, ale tamtejsi neurochirurdzy nie popisali się i zostawili mnie z krzywym kręgosłupem. Chodzi-

łem wtedy z Cathy... Nie, byliśmy już chyba zaręczeni. W każdym razie jedliśmy kiedyś kolację i ból omal nie zwałił mnie z nóg. Zawiozła mnie do swego szpitala i tam zbadał mnie Sam Rosen. To on mnie poskładał. Świetny facet i znakomity fachowiec. Wiesz, czasami dobrze jest być mężem lekarki. Cathy zna mnóstwo wspaniałych ludzi. – Ryan odgryzł kawa-

łek kanapki z indykiem. Smakowała lepiej niż hamburgery w barku CIA. – No i tak – zakończył.

– Przedstawiłem ci skróconą wersję trzyletniej przygody, która zaczęła się od tego przeklętego śmigłowca na Krecie, a skończyła małżeństwem, czyli w sumie happy endem.

Harding otworzył skórzany kapciuch, nabił swoją bruyerkę i zapalił.

– Jak tam twój raport na temat radzieckiej gospodarki?

Jack odstawił kufel.

– Wiesz, to niesamowite, że ludzie mogą być tak porąbani. Zwłaszcza jeśli porównasz ich dokumenty z danymi, które zdobywamy, badając ich sprzęt. Ich kontrola jakości to jedno 110

wielkie olewanie. W Langley widziałem wyposażenie kabiny radzieckiego myśliwca; Izraelczycy nam je podrzucają. Cholera, niektóre części zupełnie do siebie nie pasują! Oni nie umieją nawet równo przyciąć blach poszycia. Dzieciak z ogólniaka poradziłby sobie lepiej na zajęciach technicznych, inaczej wylaliby go ze szkoły. Mają dobrych inżynierów, zwłaszcza teoretyków i konstruktorów, ale wykonawstwo kompletnie leży. Jest tak prymitywne, że lepszego mógłbyś oczekiwać od trzecioklasisty.

– Nie wszędzie – zauważył Harding.

– Simon, niecały Pacyfik jest błękitny. Jasne, są tam wyspy i wulkany. Ale z reguły każdy ocean jest błękitny, a regułą dla Sowietów jest totalne partaczenie. Problemem ich gospodarki jest to, że gospodarka ta nie nagradza za dobrą pracę. W ekonomii jest takie powiedzenie:

„Zły pieniądz wypiera dobry”. Oznacza to, że jeśli praca jest źle zorganizowana, ludzie zaczynają knocić. W Związku Radzieckim praca jest w ogóle niezorganizowana, a dla gospodarki to tyle co rak: z jednej fabryki przerzuca się na wszystkie.

– Mimo to w niektórych dziedzinach są bardzo dobrzy – nie ustępował Harding.

– Simon, Bolszoi nie zaatakują Niemiec Zachodnich – odparował Jack. – Ani Bolszoi, ani ich ekipa olimpijska. Dowódców najwyższego szczebla mają dobrych, ale ich sprzęt to kompletny złom, a średni stopień dowodzenia praktycznie nie istnieje. Bez mojego sierżanta i dowódców drużyn nie poradziłbym sobie z plutonem, ale Armia Czerwona nie ma sierżantów, to jest, nie w naszym tego słowa rozumieniu. Mają kompetentnych oficerów – ich strażnicy to fachowcy światowej klasy, przynajmniej niektórzy – patriotycznych żołnierzy, ale bez odpowiedniego wyszkolenia na szczeblu taktycznym są jak piękny samochód z przebitymi oponami. Silnik warczy, lakier lśni, ale wóz nie ruszy z miejsca.

Zadumany Harding kilka razy pyknął z fajki.

– W takim razie czym my się tak przejmujemy?

Jack wzruszył ramionami.

– Jest ich od cholery, a ilość to specyficzny rodzaj jakości. Ale jeśli rozbudujemy nasz system obronny, nie mają z nami szans. Jeżeli dobrze wyszkolimy naszych chłopców, jeżeli da-my im nowoczesny sprzęt i dobrych dowódców, ich batalion czołgowy będzie tylko zbiorem luźnych celów. W każdym razie tak napiszę w raporcie.

– Trochę za wcześnie na wnioski – odrzekł Harding; jego amerykański kolega nie wiedział jeszcze, co to prawdziwa biurokracja.

– Simon, kiedyś robiłem w handlu. Jeśli chcesz odnieść sukces w tej branży, musisz my-

śleć szybciej niż twój rywal, co znaczy, że nie możesz czekać, aż podadzą ci na tacy wszy-

ściutkie informacje na temat tego czy innego przedsiębiorstwa. Z tego, co już wiem, doskonale widzę, dokąd to wszystko prowadzi. W Rosji dzieje się źle, z dnia na dzień coraz gorzej.

Ich armia jest odzwierciedleniem całego społeczeństwa, tego, co w nim złe, i tego, co dobre.

Popatrz tylko, jak marnie radzą sobie w Afganistanie. Nie znam waszych danych, ale nasze mówią, że fatalnie. Ich wojsko nie panuje nad sytuacją.

– Myślę, że w końcu zwyciężą.

– Możliwe, ale będzie to paskudne zwycięstwo. W Wietnamie poszło nam dużo lepiej. –

Jack zmrużył oczy. – Wy też nie macie dobrych wspomnień z Afganistanu, co?

111

– Mój stryjeczny dziadek służył tam w 1919. Mówił, że było gorzej niż nad Sommą. Ki-pling napisał wiersz, w którym sugeruje, że żołnierz powinien raczej palnąć sobie w łeb, niż się poddać. Boję się, że niektórzy Rosjanie też to zaliczyli: ku swej rozpaczy.

– Tak, Afgańczycy są odważni, choć nie do końca cywilizowani – zgodził się z nim Jack.

– Ale myślę, że to oni wygrają. Podobno mamy dać im stingery. Stingerami zneutralizowali-by rosyjskie śmigłowce, a bez śmigłowców Breżniew będzie miał kłopoty.

– Są aż tak dobre?

– Stingery? Nigdy ich nie odpalałem, ale ponoć są znakomite.

– A rosyjskie SAM-7?

– To oni wpadli na pomysł wyprodukowania przenośnej wyrzutni raketowej, prawda?

Ale w siedemdziesiątym trzecim Izraelczycy podrzucili nam kilka sztuk i nasi spece nie byli nimi zachwyceni. Znowu to samo: świetny pomysł, fatalne wykonanie. To ich przekleństwo.

– W takim razie, jak to jest z KGB? – prowokował Harding.

– Tak samo jak z baletem Bolszoi i z ich drużynami hokejowymi. Pakują w to masę pieniędzy, najzdolniejszych ludzi, no i mają względnie dobre rezultaty. Mimo to wielu agentów KGB zwiewa za granicę, prawda?

– Prawda – przyznał niechętnie Harding.

– Dlaczego? Dlatego, że wbija im się do głowy, jacy to jesteśmy zepsuci i skorumpowani, a kiedy tu przyjeżdżają, okazuje się, że wcale nie jest tak źle, prawda? Kurczę, w całych Stanach mamy domy, w których mieszkają byli agenci KGB. Siedzą tam i oglądają telewizję.

Nigdy z nimi nie rozmawiałem, ale czytałem sporo protokołów z przesłuchań i wiesz co?

Wszyscy mówią to samo. Nasz system jest lepszy, a oni są na tyle bystrzy, żeby to zauważyć.

– U nas też kilku mieszka – przyznał Harding. Oczywiście nie dodał, że w Związku Radzieckim mieszka sporo byłych agentów brytyjskich, na pewno nie tylu, ilu rosyjskich w Anglii, mimo to wystarczająco dużo, żeby wprawić w zażenowanie dyrekcję i pracowników Century House. – Trudny z ciebie adwersarz, Jack.

– Po prostu mówię prawdę. Po to tu chyba jesteśmy.

– Teoretycznie tak – przyznał Harding. Ten Ryan nigdy nie będzie biurokrata, myślał. To dobrze czy źle? Amerykanie patrzyli na te sprawy inaczej i kontrast między ich zapatrywaniami i zapatrywaniami Anglików był co najmniej zabawny. Jack musiał się jeszcze sporo nauczyć... ale i sporo można było nauczyć się od niego. – Jak twoja książka?

Ryan posmutniał.

– Ostatnio prawie nic nie zrobiłem. Podłączyłem komputer, i tyle. Po całym dniu pracy trudno się skupić, ale jeśli nie zdążę na czas, nigdy tego nie napiszę. W głębi ducha jestem leniwy.

– W takim razie jakim cudem zbiłeś tyle forsy? – spytał Harding. Na jego twarzy gościł szeroki uśmiech.

– Jestem leniwy, ale i chciwy. „Byłam bogata i byłam biedna. Lepiej jest być bogatą”.

Gertruda Stein. Prawdziwszych słów nigdy nie wypowiedziano.

– Kiedyś będę musiał sprawdzić to na własnej skórze.

112

Ups! – pomyślał Ryan. No i faux pas. Ale przecież to nie jego wina. Simon był inteligentny i też mógł zbić kupę forsy, ale należał do ludzi myślących innymi kategoriami. Zatrudnienie bystrego analityka miało sens, mimo że dla dobra kraju analityk ten musiał zrezygnować z zarabiania dużych pieniędzy. Ale tak, sens w tym był, i to wielki, i myśląc o tym, Ryan zdał sobie sprawę, że on też się w sumie poświęca. Z tym, że miał nad Simonem przewagę, bo on już pieniądze zarobił i gdyby tylko chciał, w każdej chwili mógłby uciec z CIA i zająć się czymś innym, choćby nauczaniem. Był to rodzaj niezależności, jakiej większość pracowników budżetówki nigdy nie zaznała i raczej nie zazna... I prawdopodobnie dlatego tak źle pracują, pomyślał.

Musiał przejść przez posterunki kontrolne. Niektórych pracowników obszukiwano, żeby sprawdzić, czy niczego nie wynoszą, ale wybierano ich na chybił trafił, poza tym Zajcew przeżył swoje i wiedział, że obszukiwano ich zbyt pobieżnie, żeby cokolwiek znaleźć. Ot, była to po prostu zwykła niedogodność, kłopot tak rzadki – przytrafiał się może raz na miesiąc – że w sumie niegroźny, poza tym jeśli obszukali cię jednego dnia, mogłeś być pewien, że co najmniej na cztery, pięć dni masz święty spokój, ponieważ wartownicy znali już twoją twarz, a nawet tu, w Centrali, istniało coś takiego jak międzyludzkie kontakty i przyjazne stosunki, zwłaszcza między pracownikami niższego szczebla, coś w rodzaju robotniczej – i jakże zaskakującej – solidarności. Tak czy inaczej, tego dnia nikt go nie zatrzymał. Kapitan Zajcew przeszedł przez plac i skręcił do stacji metra.

Mundur oficera KGB nosił bardzo rzadko – podobnie jak większość zatrudnionych w Centrali – jakby praca ta wypalała na czole hańbiące piętno. Ale on nigdy się z tym nie krył.

Jeżeli pytano go, gdzie pracuje, mówił prawdę i pytania zwykle ustawały, ponieważ ludzie wiedzieli, że o Komitet Bezpieczeństwa Państwowego wypytywać nie wolno. Od czasu do czasu kręcono filmy i robiono programy telewizyjne o KGB. Niektóre były w miarę uczciwe, chociaż przedstawiane w nich metody i sposoby działania radzieckiej agentury odbiegały od rzeczywistości. Nic dziwnego, ostatecznie wymyślali je scenarzyści. W Centrali było małe biuro, w którym takie rzeczy konsultowano. Pracujący w nim cenzorzy więcej wycinali, niż dodawali, gdyż wzbudzanie strachu i podtrzymywanie wrażenia nieprzystępności – zarówno wśród Rosjan, jak i obcokrajowców – leżało w interesie Komitetu. Ciekawe, ilu zwykłych obywateli jest naszymi informatorami i czerpie z tego dodatkowe dochody? – zastanawiał się kapitan. Informacji na ten temat na dole nie widywano. Po prostu nie przekazywano ich za granicę.

Ale te, które przekazywano, bardzo go denerwowały. Pułkownik Bubowoj miał przylecieć już nazajutrz; między Sofią i Moskwą regularnie kursowały maszyny Aeroflotu. Puł-

kownikowi Gordience polecono zamknąć gębę, usiąść na tyłku i wysyłać do Centrali meldunki na temat harmonogramu publicznych wystąpień papieża. Andropow wciąż się tym interesował.

A teraz wciągnęli w to jeszcze Bułgarów. Zajcewa to zaniepokoiło, choć nie zaskoczyło.

Widywał już takie szyfrówki. Bułgarska służba bezpieczeństwa była wiernym wasalem KGB. Zajcew dobrze o tym wiedział. Wysyłał do Sofii dziesiątki depeesz, czasem do Bubowoja, czasem bezpośrednio do nich, a czasami były to szyfrówki z rozkazem skrócenia komuś życia. Komitet już tego nie robił, ale Drżawna Sigurnost owszem, robiła. Pewnie mieli tam specjalny pododdział składający się z oficerów, którzy szkolili się, ćwiczyli i wykonywali tego rodzaju zadania. W nagłówku szyfrówki pułkownika Roźdiestwienskigo widniały trzy 113

szóstki, a więc wiadomość ta musiała dotyczyć tej samej sprawy co szyfrówka do Rzymu.

Machina wciąż pracowała.

Jego Komitet – jego kraj – chciał zabić polskiego papieża i Zajcew uważał, że to źle.

Wraz z tłumem ludzi zjechał ruchomymi schodami na peron. Tłum podtrzymywał go zwykle na duchu. Będąc w tłumie, był w swoim żywiole, wśród swoich ziomków, ludzi takich jak on, obywateli pomagających sobie nawzajem i służących państwu. Ale czy to prawda? Co ludzie ci pomyśleliby o planach Andropowa? Trudno powiedzieć. W wagonie było zwykle cicho i spokojnie. Ot, kolega gadał z kolegą, ale grupowe rozmowy należały do rzadkości, chyba że dotyczyły wyjątkowego wydarzenia sportowego, niesprawiedliwej decyzji sędziego piłkarskiego czy widowiskowego meczu hokejowego. Nie licząc takich przypadków, ludzie zazwyczaj milczeli, woląc po prostu spokojnie pomyśleć.

Nadjechał pociąg i, noga za nogą – ech, ten tłum – Zajcew powoli wsiadł. Jak zwykle nie było wolnych miejsc. Przytrzymał się zwisającego z góry uchwyty i znowu popadł w zadumę.

Czy jadący tym pociągiem pasażerowie też myślą? Jeśli tak, to o czym?

O pracy? O dzieciach? Żonach? Kochankach? O jedzeniu? Nie wiadomo. Nie wiedział

tego nawet on, choć jeżdżąc metrem, widywał tych ludzi – tych samych ludzi! – od wielu lat.

Kilku z nich znał z imienia podsłuchanego podczas rozmowy. Nie, nie. Rozpoznawał ich tylko po tym, że kibicowali tej czy innej drużynie...

I nagle uderzyło go to, że jest w tym społeczeństwie straszliwie samotny. Ilu ja mam przyjaciół? – myślał. Kilku. Szokujące. Owszem, w pracy gawędził z kolegami. Znał najin-tymniejsze szczegóły dotyczące ich żon i dzieci. Ale czy miał przyjaciół, którym mógłby zaufać, z którymi mógłby pogadać o czymś, co go dręczyło, których mógłby spytać o radę w kłopotliwej sytuacji? Nie, takich nie miał. Pewnie był wyjątkiem, przynajmniej tu, w Moskwie. Rosjanie często zadzierzgali głębokie przyjaźnie, uświęcając je najgłębszymi, czasem najmroczniejszymi tajemnicami i nie zważając na to,

że ten, któremu się zwierzyli, może być agentem KGB i wysłać ich do gułagu. Ale jemu uniemożliwiła to praca. Nigdy nie śmiałyby rozmawiać o tym, co robił w Centrali. Nie rozmawiałyby o tym nawet z najbliższym współ-

pracownikiem.

Nie, problem z szyfrówkami oznaczonymi numerem sześć-sześć-sześć musiał rozwiązać sam. Nie mogła wiedzieć o nich nawet Irina. Wychłapałaby coś koleżankom z GUM-u i skazałaby go tym samym na śmierć. Zajcew odetchnął i się rozejrzył...

Znowu ten Amerykanin, ten urzędnik z ambasady. Stał tam i pilnując własnego nosa, czytał „Sowietskij Sport”. Miał na sobie płaszcz przeciwdeszczowy – zapowiadali deszcz, ale nie padało – i był bez kapelusza. Płaszcz rozpięty, taki bez paska. Dzieliły ich ledwie dwa kroki...

Pod wpływem nagłego impulsu Zajcew przesunął się z jednej strony przejścia na drugą

– zmieniając uchwyty, jakby chciał rozprostować zeszywniałą rękę – i stanął tuż obok Amerykanina. Pod wpływem kolejnego impulsu włożył mu rękę do kieszeni płaszcza. Nic w niej nie było, ani kluczy, ani drobnych, nic, tylko zwykły materiał. Ale przekonał się przynajmniej, że może włożyć mu rękę do kieszeni i niezauważenie ją wyjąć. Cofnął się, omiatając wzrokiem ludzi, żeby sprawdzić, czy nikt tego nie widział, czy nikt nie patrzył w jego stronę.

Ale... nie, niemal na pewno nie. Nie zauważył tego nawet sam Amerykanin.

114

Foley czytał właśnie artykuł o hokeju i nie mrugnawszy okiem, doczytał go do samego końca. Gdyby był w Nowym Jorku czy dużym europejskim mieście, pomyślałby, że ktoś próbował go okraść. Dziwne, bo tutaj się tego nie spodziewał. Mieszkańcy Związku Radzieckiego nie mieli prawa posiadać zachodniej waluty, dlatego napad czy okradzenie Amerykanina na ulicy wpakowałoby ich tylko w kłopoty. Agenci KGB, którzy najpewniej wciąż siedzieli mu na karku, na pewno by czegoś takiego nie zrobili. Gdyby chcieli zwinąć mu portfel, nasłaliby na niego dwuosobowy zespół i zorganizowałiby to jak zawodowi kieszon-kowcy w Stanach: jeden odwróciłby jego uwagę, drugi by go okradł. Można tak załatwić niemal każdego, chyba że ofiara jest czujna, ale zachowanie czujności przez tak długi czas jest trudne nawet dla zawodowego agenta CIA. Dlatego stosuje się różne sposoby obrony biernej, jak choćby owijanie portfela gumową taśmą, a jeszcze lepiej dwiema. Proste i bardzo skuteczne. Poza tym stosując tę podstawową sztuczkę, nie ogłasza się wszem i wobec, że jest się szpiegiem – nauczyli go tego na Farmie. Nowojorska policja radziła, żeby postępować tak samo na ulicach Manhattanu, a przecież on miał wyglądać jak Amerykanin. Dyplomatyczny paszport, dobra – teoretycznie dobra – przykrywka „prawna” i nikt nie miał prawa go tknąć.

Przykrywka nie chroniła go oczywiście przed ulicznymi chuliganami, a zarówno KGB, jak i FBI nie gardziły wynajmowaniem dobrze wyszkolonych rzeźmieszków, żeby porachować komuś kości; ci robili to bardzo ostrożnie i wedle dokładnych wskazówek od zleceniodawców, chyba że sytuacja wymknęła się spod kontroli. W porównaniu z tym układy na dworze cesarza Bizancjum były bardzo proste, ale to nie Foley ustanawiał zasady tej gry.

A zasady te nie pozwalały mu teraz ani włożyć ręki do kieszeni, ani w jakikolwiek inny sposób pokazać po sobie, że wie, co się przed chwilą stało. Może ktoś podrzucił mu list, mo-

że nawet list, w którym wyraża chęć ucieczki na Zachód. Ale dlaczego wybrał akurat jego?

Jego przykrywka miała być mocna i pewna jak amerykańska waluta, chyba że taka nie była, chyba że jakiś bystry palant z ambasady rozgryzł go i coś komuś chlapanął... Ale nie, nawet wtedy ci z KGB by się tak szybko nie zdradzili. Najpierw śledziliby go, i to przez kilka tygodni, żeby sprawdzić, dokąd może ich zaprowadzić. Grali za dobrze, żeby coś takiego spieprzyć, a więc nie: ktoś, kto przeszukał mu kieszeń, raczej na pewno nie należał do drużyny Drugiego Zarządu Głównego KGB. Najpewniej też nie był kieszonkowcem. W takim razie kim? – zastanawiał się Foley. Żeby to sprawdzić, będzie musiał zachować cierpliwość, ale on umiał być cierpliwy. Ani drgnął, po prostu czytał gazetę. Jeśli ktoś chciał ubić z nim interes, po co go odstraszać? Niech facet przynajmniej pomyśli, że jest sprytny. To zawsze podbijało im bębenek i... popełniali kolejny błąd.

Wysiadł trzy przystanki dalej. Od samego początku wiedział, że dojeżdżanie do pracy metrem będzie o wiele produktywniejsze niż jazda samochodem. W takim miejscu jak to mercedes za bardzo rzucał się w oczy. Mercedes i prowadząca go Mary Pat, ale Mary Pat uważała, że tak jest dla niej korzystniej. Żona miała wspaniały instynkt i wycucie, o wiele lepsze od niego, ale jej śmiałość często go przerażała. Nie, żeby należała do ryzykantek. Ryzykował każdy pracownik wydziału operacyjnego. Martwiło go czasem to, że Mary Pat od-daje się tej grze z wyraźną przyjemnością. Dla niego gra z Rosjanami była częścią pracy.

Zwykłym interesem, jak powiedziałby Don Vito Corleone, interesem bez podtekstów osobistych. Tymczasem ona traktowała to jak sprawę osobistą, a wszystko przez jej dziadka.

Marzyła o pracy w CIA, jeszcze zanim poznali się na zebraniu w Związku Studentów w Fordham. Potem wpadli na siebie w biurze werbunkowym CIA i od tamtej chwili zaczęli ze 115

sobą romansować. Znała rosyjski i to tak dobrze, że mogła uchodzić za Rosjankę. Potrafiła zmieniać akcent i dostosowywać go do danego rejonu kraju. Mogłaby podawać się za wykładownicę literatury i poezji na Uniwersytecie Moskiewskim, no i była piękna, a piękne kobiety zawsze mają przewagę. Od zawsze wierzono, że ci ładni muszą być dobrzy, że ci brzydzy są źli, bo robią brzydkie rzeczy. Wdziękom pięknych kobiet ulegali zwłaszcza męż-

czyźni, inne kobiety mniej, ponieważ zazdrościły im wyglądu, ale nawet one instynktownie były dla nich miłe. Dlatego Mary Pat wiele rzeczy uchodziło na sucho: była po prostu piękną amerykańską dziewczyną, głupiutką blondynką, ponieważ nie ma blondynek mądrych –

uważano tak wszędzie, nawet tu, w Rosji, gdzie od blondynek aż się roiło. Ale te tutaj były prawdopodobnie naturalne, ponieważ rosyjski przemysł kosmetyczny dorównywał zaawansowaniem dwunastowiecznemu przemysłowi kosmetycznemu na Węgrzech i w moskiewskich drogeriach trudno było o Clairol Blond numer 100G. Nie, Związek Radziecki nie dbał o potrzeby kobiet, co prowadziło do kolejnego pytania: dlaczego Rosjanie poprzestali na jednej rewolucji? Gdyby w Stanach Zjednoczonych zabrakło ciuchów i kosmetyków dla kobiet, rząd drogo by za to zapłacił...

Pociąg się zatrzymał. Foley wysiadł i ruszył w stronę ruchomych schodów. W połowie drogi na górę zwyciężyła ciekawość. Potarł nos, jakby go nagle zaswędziało, i wyjął chustkę.

Wydmuchał nos i schował chustkę do kieszeni. Kieszeń była pusta. Więc o co tu chodziło?

Nie wiadomo. Kolejne przypadkowe zdarzenie w życiu pełnym przypadkowych zdarzeń?

Ale Edwarda Foleya uczono myśleć innymi kategoriami. Postanowił, że przez tydzień, może trochę dłużej, będzie jeździł zawsze o tej samej porze i zawsze tym samym pociągiem.

A nuż ktoś ponownie go zaczepi.

Profesor Albert Byrd robił wrażenie dobrego chirurga ocznego. Niższy i starszy od Jacka, miał czarną, siwiejącą już brodę. Cathy zauważyła, że nosi taką wielu Anglików. Zauwa-

żyła też sporo tatuaży. O wiele więcej, niż gdziekolwiek indziej. Byrd był doświadczonym klinicystą, niezwykle wprawnym operatorem i lekarzem, któremu ufali zarówno pacjenci, jak i pielęgniarki. Cathy wiedziała, że to dobry znak. Był też chyba niezłym nauczycielem, ale ona umiała już większość tego, czego chciał ją nauczyć, a znajomością laserów biła go na łeb. Ich laser argonowy był nowoczesny, ale nie tak nowoczesny jak laser w szpitalu Hopkinsa, a laser ksenonowy, o który zaciekle walczyła w imieniu Instytutu Okulistycznego Wilmera, mieli dostać dopiero za dwa tygodnie.

Zupełnie fatalne były za to panujące tu warunki. Za opiekę zdrowotną w Wielkiej Brytanii odpowiadał rząd. Wszystko było bezpłatne i, jak na całym świecie, cierpieli na tym pacjenci. Poczekałnie były o wiele bardziej zaniedbane niż te w Stanach i Cathy nie omieszkała o tym wspomnieć.

– Wiem – odrzekł profesor Byrd. – Są ważniejsze sprawy.

– Ten trzeci przypadek, który widziałam dziś rano, pani Dover. Od jedenastu miesięcy czekała na badanie katarakty, które zajęło mi dwadzieścia minut. Boże, Albercie, w Stanach zadzwoniłby do mnie jej lekarz domowy i przyjąłabym ją w ciągu trzech, czterech dni. Pracuję ciężko, ale nie aż tak ciężko.

– Ile byś sobie policzyła?

– Za to? Bo ja wiem... dwieście dolarów. W Instytucie Wilmera jestem profesorem, dlatego mam wyższe stawki niż rezydenci. – Nie dodała, że jest o wiele bystrzejsza niż przeciętny rezydent, bardziej doświadczona i dużo szybsza. – Pani Dover kwalifikuje się do operacji.

Chcesz, żebym się tym zajęła?

– To coś skomplikowanego?

Cathy pokręciła głową.

– Rutynowy zabieg. Zważywszy jej wiek, półtorej godziny pracy, ale nie sądzę, żeby do-szło do jakichś komplikacji.

– Będzie musiała poczekać na swoją kolej.

– Długo?

– To nic pilnego, więc... dziewięć do dziesięciu miesięcy.

– Żartujesz. Tak długo?

– Tyle się u nas czeka.

– Ale przez ten czas, przez dziewięć, dziesięć miesięcy, nie będzie mogła nawet prowadzić samochodu. Ona prawie nic nie widzi!

– Ale nie zobaczy też rachunku – zauważył Byrd.

– Dobrze. Przez dziesięć miesięcy nie przeczyta żadnej gazety. To straszne!

– Taki mamy tu system.

– Rozumiem – odrzekła Cathy. Tak naprawdę nic z tego nie rozumiała. Angielscy chirurdzy byli dobrzy, ale wykonywali ledwie połowę – może trochę więcej niż połowę – zabiegów, które ona i jej koledzy musieli przeprowadzić w szpitalu Hopkinsa. Przy czym nigdy nie czuła się tam przepracowana. Tak, oczywiście, pracowała ciężko. Ale wiedziała, że jest potrzebna, że jej zadaniem jest przywracanie i poprawianie wzroku ludziom potrzebują-

cym fachowej pomocy medycznej, a dla doktor Caroline Ryan, członkini Kolegium Amerykańskich Chirurgów, było to coś w rodzaju świętego powołania. Nie, żeby tutejsi lekarze się lenili. Po prostu panujący w Anglii system opieki zdrowotnej zachęcał do klasycznego lese-feryzmu. Przybyła do nowego świata i świat ten wcale nie był taki wspaniały.

Nie mieli nawet tomografu. Tomograf komputerowy wynalazła brytyjska EMI, ale jakiś rządowy liczykrupa – podobno ktoś z Home Office, ichniego Ministerstwa Spraw We-wnętrzných – doszedł do wniosku, że w Anglii potrzeba ich tylko kilka, skutkiem czego większość szpitali przegrała, jak na loterii. Tomografy weszły do użytku na krótko przed tym, gdy rozpoczęła studia na Akademii Medycznej imienia Johnsa Hopkinsa, ale w ciągu dziesięciu lat stały się równie powszechne jak stetoskop. W Stanach były prawie w każdym szpitalu. Kosztowały milion dolarów za sztukę, ale za badanie płacili pacjenci, tak że inwestycja szybko się zwracała. Ona korzystała z tomografu stosunkowo rzadko – na przykład do badania guzów wokół oka – ale kiedy już zaistniała taka potrzeba, musiała skorzystać z niego natychmiast!

Poza tym w szpitalu Hopkinsa codziennie zmywano podłogi.

Ale ludzie na całym świecie mieli takie same potrzeby, a ona była lekarzem, i tyle. Jej kolega ze studiów wyjechał do Pakistanu i wrócił z doświadczeniem, którego w amerykańskich 117

szpitalach nie zdobyłby przez całe życie. Oczywiście wrócił też z dyzenterią amebową, co skutecznie zniechęcało do zagranicznych wojaży. Ale tu czerwotka jej nie groziła. Chyba, że nabawi się jej w poczekalni dla pacjentów.

118

Rozdział 9

Duchy

Jak dotąd nie udało mu się złapać tego samego pociągu co żona i zawsze wracał do do-mu później niż ona. Ale dzięki temu mógł spokojnie pomyśleć o swojej książce. Była w siedemdziesięciu procentach ukończona, bo zdołał już zebrać wszystkie najważniejsze materia-

ły. Teraz musiał ją tylko napisać. Ludzie nie rozumieli, że pisanie jest w sumie najtrudniejsze, że szukanie materiałów to nic innego jak ustalanie i rejestrowanie faktów. Natomiast uszeregowanie i splatanie faktów w spójną opowieść było niezmiernie trudne, ponieważ życie nigdy nie jest spójne, zwłaszcza życie tak ostro pijącego wojownika jak William Frederick Halsey junior. Pisanie biografii przypominało wprawkę z amatorskiej psychiatrii. Chwytało się wydarzenia z na chybił trafił wybranych okresów życia, z różnych lat i różnych szkół, ale małe tajemnice, te, które miały na życie największy wpływ, pozostawały tajemnicami na wieki: bójka z kolegą w trzeciej klasie podstawówki, reprimenda od cioci Heleny, starej panny, której słowa pobrzmiwały mu w uszach do końca życia. Takie rzeczy męż-

czyźni zachowywali wyłącznie dla siebie. Ryan też. Niektóre wspomnienia powracały i znikwały nie wiadomo kiedy i dlaczego, jak na przykład wiadomość od siostry Marii Franciszki ze Szkoły imienia Świętego Mateusza: gdy ją sobie przypominał, poczuł się tak, jakby znowu miał siedem lat. Dobry biograf musiał umieć takie rzeczy stymulować, ale czasami sprowadzało się to do zwykłego zmyślenia, do nakładania własnych doświadczeń osobistych na osobiste doświadczenia innych. To było już fikcją, a historia fikcją być nie powinna. Tak sa-mo jak artykuł w gazecie, ale Ryan z własnego doświadczenia wiedział, jak tworzy się tak zwane „wiadomości”. Cóż, nikt nigdy nie twierdził, że pisanie biografii jest łatwe. Patrząc wstecz, pierwszą książkę, *Przeklęte orły*, pisało mu się dużo łatwiej. Admirał Bill Halsey fascynował go, odkąd jako mały chłopiec przeczytał jego autobiografię. Admirał dowodził

flotami, brał udział w bitwach morskich i chociaż dla dziesięcioletniego brzdąca był postacią budzącą podziw, mężczyznę trzydziestodwuletniego dosłownie przerażał, ponieważ dopiero teraz Ryan był w stanie zrozumieć rzeczy, o których Halsey tylko wspominał: te wszystkie niewiadome, to że musiał zaufać informacjom wywiadowczym, nie wiedząc, skąd tak naprawdę pochodziły, jak je zdobyto, w jaki sposób przeanalizowano i przekazano na okręt i czy po drodze nie przechwycił ich nieprzyjaciel. Jack był teraz w podobnej sytuacji i wiedział, że w tej pracy ryzykuje się własne życie, co śmiertelnie go przerażało. Co gorsza, ryzykował też życie innych, tych, których znał lub – o wiele częściej – ludzi zupełnie mu obcych.

Za oknem pociągu przesuwał się zielony angielski krajobraz, a jemu przypominał się dowcip, który swego czasu krążył wśród żołnierzy piechoty morskiej. Kreda amerykańskich służb wywiadowczych: „Ryzykujemy twoje życie”. Teraz w tych służbach pracował. I nara-

żał na niebezpieczeństwo innych. Teoretycznie rzecz biorąc, mógłby nawet sporządzić raport, który zagrozi bezpieczeństwu jego kraju. Opracowując dane, analityk musiał być straszliwie pewny i siebie, i tychże danych...

Co nie zawsze było możliwe. W Langley skrytykował wiele oficjalnych raportów i ocen CIA, ale

dużo łatwiej jest opluwać pracę innych, niż spłodzić samemu coś lepszego. W książ-

ce o Halseyu – nazwał ją *Walczący marynarz*, choć był to tylko tytuł roboczy – celowo zamierzał obalić wiele utartych „mądrości” i mitów. Uważał, że konwencjonalne podejście do niektórych spraw jest nie tylko nieprawidłowe, ale i zupełnie nieprawdziwe. Że w wielu przypadkach admirał Halsey postąpił słusznie, chociaż dzisiejsi wszechwiedzący krytycy zarzucali mu powzięcie wielu błędnych decyzji. To niesprawiedliwe. Halseya można było obciąż-

119

zać błędami wynikającymi tylko z tych informacji, którymi wtedy dysponował. Twierdzić inaczej to tak, jak krytykować lekarzy za to, że nie potrafią leczyć raka. Admirał i jego podwładni, ludzie bardzo inteligentni, robili co mogli, ale o pewnych rzeczach po prostu nie wiedzieli, bo najzwyczajniej w świecie nie mogli o nich wiedzieć. Wyciskali z siebie siódme poty, lecz nowych odkryć dokonywano wtedy powoli, podobnie zresztą jak dzisiaj. Jak zawsze. Dlatego Bill Halsey mógł wiedzieć tylko to, co wiedział, co względnie rozsądny człowiek o bogatym doświadczeniu życiowym i doskonałej znajomości psychologii przeciwnika mógł wydedukować z uzyskanych przez wywiad informacji. Ale przecież i tak wróg przyczynił się do jego klęski nie z własnej woli, prawda?

I właśnie na tym polega moja praca, myślał Ryan. Na poszukiwaniu Prawdy przed duże

„P”. Ale nie tylko; było w tym coś więcej. Musiał odtworzyć proces myślenia innych, przeanalizować go i wyjaśnić swoim przełożonym, żeby ci lepiej zrozumieli przeciwnika. Robił

za psychiatrę bez dyplomu. Co w sumie było dość zabawne. Mniej zabawne, jeśli zważyło się wagę zadania i potencjalne konsekwencje porażki. Trupy, stosy trupów: do tego się to sprowadzało. W szkółce Korpusu Piechoty Morskiej w Quantico ciągle wbijali im to do głowy. Spieprzysz coś jako dowódca plutonu i kilku twoich chłopców nie wróci do domu, do swoich matek i żon, a ty będziesz dźwigał ten ciężar do końca życia. Błąd popełniony przez żołnierza ma bardzo wysoką cenę. On nie służył w wojsku na tyle długo, żeby przekonać się o tym na własnej skórze, ale świadomość ta przerażała go w spokojne noce, kiedy okręt ko-

łysał się łagodnie na falach Atlantyku. Rozmawiał o tym ze swoim sierżantem – naonczas

„starszym” facetem w wieku trzydziestu czterech lat – ale Tate kazał mu tylko pamiętać o szkoleniu, zaufać instynktowi, pomyśleć – jeśli jest czas – zanim coś się zrobi i natychmiast dodał, że czas ten to na polu walki wielki luksus. Powiedział, że nie ma się czym martwić, bo jak na podporucznika, Ryan jest całkiem bystry, a przynajmniej na takiego wygląda. Jack nigdy tych słów nie zapomniał. Na szacunek sierżanta trzeba zasłużyć.

Tak więc umiał myśleć i sporządzać dobre analizy. Miał też odwagę, żeby się pod nimi podpisać, ale

zanim przekazał je wyżej, musiał mieć absolutną pewność, że są to analizy dokładne i prawdziwe. Przecież mógłby narazić na niebezpieczeństwo życie innych.

Pociąg zwolnił i stanął. Jack wszedł schodami na górę i zobaczył kilka taksówek. Taksia-rze musieli znać na pamięć cały rozkład jazdy.

– Dobry wieczór, sir John. – Ryan spojrział w lewo. Ed Beaverton, taksówkarz, który wiozł ich rano do pracy.

– Cześć, Ed – rzucił, siadając dla odmiany z przodu; więcej miejsca dla nóg. – Mam na imię Jack.

– Nie mogę tak się do pana zwracać – zaprotestował Beaverton. – Jest pan szlachcicem, rycerzem...

– Tylko honorowym, nie mam nawet miecza. Mam kordzik z korpusu, ale zostawiłem go w Stanach.

– Poza tym pan był porucznikiem, ja zwykłym kapralem.

– Ale ty skakałeś ze spadochronem. Prędzej bym umarł, niż zrobiłbym coś tak głupiego.

– Zaliczyłem tylko dwadzieścia osiem skoków. I nigdy sobie niczego nie złamałem – do-dał taksiarz, skręcając na wzgórze.

120

– Nawet nogi w kostce?

– Parę razy ją zwichnałem, wszystko przez niedobre buty.

– Nie lubię nawet latać. A wyskoczyć z samolotu? Po moim trupie. – Nie, nigdy w życiu nie wybrałby służby w rozpoznaniu powietrznym. Ci faceci są zwyczajnie porąbani. Jemu wystarczył ten koszmarny lot nad plażą. Ciągłe mu się śnił: nagłe wrażenie spadania, widok pędzącej ku niemu ziemi, ale tuż przed zderzeniem zwykle się budził. Budził się, gwałtownie siadał na łóżku i rozglądał się po ciemnej sypialni, żeby sprawdzić, czy to tylko sen, czy aby znowu nie siedzi w tym przeklętym CH-46 z zepsutym tylnym wirnikiem i nie spada wraz z nim na kreteńskie skały. To cud, że on i jego żołnierze uszli z tego z życiem. Ale tylko on został poważnie ranny. Pozostali chłopcy co najwyżej ponadwyręzali sobie ręce i nogi.

Cholera, dlaczego wciąż o tym myślę? Przecież od tamtej pory minęło już ponad osiem lat.

Grizedale Close. Zajeżdżali przed dom.

– Jesteśmy na miejscu, sir John.

Ryan dał mu suty napiwek.

– Jack, Eddie, Jack.

– Tak jest, sir. Do zobaczenia rano.

– Przyjąłem, odmeldowuję się. – Ryan odszedł, wiedząc, że tej bitwy nie wygra. Sally i Cathy pewnie już go zobaczyły, bo frontowe drzwi były szeroko otwarte. Wchodząc do kuchni, ściągnął krawat.

– Tatuś! – krzyknęła Sally, wpadając mu w ramiona. Jack podniósł ją i przytulił.

– Jak się miewa moja duża dziewczynka?

– Dobrze.

Cathy mieszała coś w garnku. Ryan podszedł bliżej, żeby ją pocałować.

– Jak to się dzieje – spytał – że zawsze wracasz pierwsza? W Stanach przyjeżdżasz po mnie.

– Związki zawodowe – odrzekła Cathy. – Wszyscy kończą punktualnie o czasie, a

„punktualnie o czasie” to znaczy bardzo wcześnie. Zupełnie inaczej jak u Hopkinsa. – Gdzie, czego nie dodała, lekarze pracowali do późna.

– Fajnie, jak w banku.

– Nawet ojciec nie wychodzi tak wcześnie z pracy, ale tu wszyscy wychodzą. A na lunch mają całą godzinę i mogą zjeść w mieście. Cóż – przyznała – lepsze to niż szpitalna kuchnia.

– À propos, co dzisiaj jemy?

– Spaghetti. – Na stole stał garnek pełen jej specjalnego sosu mięsnego. A na blacie leżała bagietka i francuski chleb.

– Gdzie nasz maluch?

– W salonie.

– Dobra. – Ryan ruszył do drzwi. Mały Jack był w kołysce. Niedawno opanował sztukę siadania, trochę za wcześnie, ale tatuś bardzo się z tego cieszył. Wokół niego walały się za-bawki, które po kolei pakował do buzi. Podniósł głowę i posłał mu bezzębny uśmiech.

Uśmiech zasługiwał na nagrodę, więc Ryan wziął go na ręce. Pieluszka? Sucha i świeża.

Pewnie Margaret zmieniała mu ją przed wyjściem do domu; zwykle wychodziła tuż przed jego powrotem z miasta. Pracowała dobrze. Sally lubiła ją, a to najważniejsze. Włożył synka do kołyski i mały Jack zajął się swymi plastikowymi grzechotkami i oglądaniem telewizji, zwłaszcza reklam. Ryan przebrał się w sypialni w wygodniejsze ubranie i wrócił do kuchni.

Wtedy, ku zaskoczeniu wszystkich, zadzwonił dzwonek u drzwi. Jack poszedł otworzyć.

– Doktor Ryan? – Amerykański akcent, mężczyzna jego wzrostu. W marynarce i w krawacie, pod pachą trzymał duże kartonowe pudełko.

– Tak.

– Przywiozłem STU. Jestem łącznościowcem z ambasady – wyjaśnił. – Pan Murray powiedział, żeby to panu dać.

Pudełko miało kształt sześcianu o boku długości siedemdziesięciu pięciu centymetrów i było nieoznakowane. Ryan wpuścił go i zaprowadził prosto do gabinetu. Wyjęcie wielkiego aparatu telefonicznego trwało trzy minuty. Ustawili go na biurku, tuż obok komputera.

– Pracuje pan w NSA? – spytał Jack.

– Tak, ale jestem cywilem. Przedtem służyłem w E-5, w Agencji Bezpieczeństwa Woj-skowego. Jako cywil dostałem podwyżkę. W Londynie siedzę już od dwóch lat. Tu jest karta szyfrowa. – Podał mu plastikowy kartonik. – Wie pan, jak to działa, tak?

– O tak – odrzekł Ryan. – Mam takie coś w Stanach.

– A więc zna pan zasady. Jeśli coś się zepsuje, dzwoni pan do mnie. – Podał mu swoją wizytówkę. – Poza mną i moimi ludźmi, nikt nie ma prawa tego otwierać i zaglądać do środka. Jeśli ktoś zajrzy, system autodestrukcyjny zniszczy urządzenie. Nie będzie pożaru ani nic, ale trochę zaśmierdzi, bo to plastik. To chyba wszystko. – Złożył pudełko.

– Napije się pan czegoś? Może coli?

– Nie, dzięki. Muszę pędzić do domu. – Co powiedziawszy, wyszedł i pomaszerował do samochodu.

– Jack?! – zawołała z kuchni Cathy. – Kto to był?

– Przysłali mi telefon – odrzekł Ryan, stając u boku żony. – Taki specjalny.

– Specjalny? Po co?

– Żebym mógł zadzwonić do Stanów i pogadać z szefem.

– Nie możesz zadzwonić z biura?

– Nie zapominaj o różnicy czasu, poza tym o pewnych sprawach nie mogę tam mówić.

– Szpiegowskie tajemnice – prychnęła.

– Właśnie. – Podobnie jak pistolet w jego szafie. Z obecnością remingtona pogodziła się w miarę łatwo – strzelba to polowania, a polowanie to ptaki, które można upiec i zjeść, poza tym remington był nienabity. Ale świadomość, że w szafie jest również pistolet, napawała ją 122

niepokojem. Dlatego, jak to w kulturalnych małżeństwach bywa, starali się o tym nie rozmawiać, oczywiście pod warunkiem, że broń była poza zasięgiem Sally, a Sally dobrze wiedziała, że szafy tatusia otwierać nie wolno. Ryan polubił swego automatycznego browninga hi-power kalibru 9 milimetrów. W przeciwieństwie do remingtona, browning był zawsze nabity. Czternaście nabojów ze spłaszczonymi i wydrążonymi pociskami, dwa zapasowe magazynki, muszka i szczerbinka z trytu, ręcznie pasowana rękojeść – gdyby kiedykolwiek miał ponownie użyć broni, bez wahania wybrałby tę. Będzie musiał znaleźć jakieś miejsce, żeby trochę poćwiczyć. W pobliskiej bazie marynarki wojennej musiała być strzelnica. Trzeba by poprosić sir Basila, on to załatwi. Jako honorowy rycerz królowej, nie miał co prawda miecza, miał za to jego współczesny odpowiednik, który bywał czasem wielce użyteczny.

Podobnie jak korkociąg.

– Chianti?

Cathy odwróciła głowę.

– Tak. Jutro nic nie mam.

– Cath, za Boga nie potrafię tego zrozumieć: jak dwa kieliszki wina wypitego dzisiaj mogłyby wpłynąć na jutrzejszy zabieg? Przecież operowałabyś dopiero za dziesięć, dwanaście godzin.

– Jack, zabiegów i alkoholu nie wolno ze sobą mieszać – tłumaczyła cierpliwie. – Jasne?

Pijesz i nie prowadzisz. Pijesz i nie bierzesz do ręki skalpela. Nigdy. Przenigdy.

– Tak jest, pani doktor. A więc jutro wystawiasz tylko recepty na okulary?

– Coś w tym rodzaju. Zwyczajny dzień. A ty?

– Też nie mam nic ważnego. Kolejny dzień, ta sama robota.

– Nie wiem, jak ty to znosisz.

– Bo to robota ciekawa, no i tajna. Trzeba być szpiegiem, żeby to zrozumieć.

– Na pewno. – Poląła makaron sosem. – Masz.

– Jeszcze nie otworzyłem wina.

– To się pośpiesz.

– Rozkaz, pani profesor, tak jest, lady Ryan. – Wziął talerz i postawił go na stole. Potem odkorkował butelkę.

Sally była już za duża na dziecięce krzeselko, lecz wciąż za mała na fotelik samochodowy, który własnoręcznie przytargała do stołu. Ponieważ na obiad było „pisghetti”, tata wetknął jej serwetkę za kołnierzyk. Sos pewnie i tak trafi na spodniki, ale córka dowie się przynajmniej, do czego są serwetki – Cathy uważała, że to ważne. Ryan rozlał wino. Oczywiście pominął Sally, ale tym razem nie zaprotestowała. Kiedyś ją poczęstował (mimo sprzeciwu żony) i na tym się skończyło. Piła colę.

Swietłana nareszcie usnęła. Wieczór w wieczór siedziała do późna – bardzo to lubiła, a przynajmniej na to wyglądało – aż w końcu przytuliła się do poduszki i zasypiała. Spała z uśmiechem na twarzy, jak mały aniołek, jeden z tych, które zdobiły włoskie katedry w książ-

123

kach podróźniczych. Grał telewizor. Sądząc po odgłosach, puszczał kolejny film o drugiej wojnie światowej. Wszystkie były takie same. Hitlerowcy bezlitośnie atakowali – czasami występował w nich Niemiec o cechach przypominających ludzkie, zwykle, jak okazywało się w połowie filmu, niemiecki komunista, rozdarty duchowo między lojalnością dla swojej klasy (robotniczej naturalnie) i wiernością dla kraju – a Rosjanie dzielnie stawiali im opór, początkowo okupiony wielkimi stratami, lecz wreszcie zwycięski, jak choćby na przedpolach Moskwy w grudniu czterdziestego pierwszego, w bitwie pod Stalingradem w styczniu czterdziestego trzeciego czy w bitwie pod Kurskiem latem czterdziestego trzeciego. Zawsze występował w nich też bohaterski oficer polityczny, odważny szeregowiec, mądry, stary sierżant i młody, inteligentny oficer. Do kolekcji trzeba jeszcze dorzucić siwowłosego genera-

ła, który opłakiwał w samotności śmierć podwładnych, a potem odkładał uczucia na bok, żeby dokończyć krwawego dzieła. Filmy kręcono według czterech, pięciu schematów, które tak naprawdę różniły się tylko tym, że w jednych przedstawiano Stalina jako mądrego, bogom podobnego przywódcę, a w innych w o ogóle o nim nie wspomniano. To z kolei zależa-

ło od tego, kiedy powstał film. W radzieckiej kinematografii Stalin wyszedł z mody po pięć-

dziesiątym szóstym, zaraz po tym, gdy Nikita Chruszczow wygłosił swój słynny referat, w którym wyjawiał narodowi, jakim to potworem był ich wielki wódz. Niektórzy wciąż nie mogli w to uwierzyć ani się z tym pogodzić, zwłaszcza taksówkarze. Prawda w tym kraju była towarem bardzo rzadko spotykanym i zawsze trudnym do przełknięcia.

Ale kapitan Zajcew filmu nie oglądał. Sączył wódkę i wbijał wzrok w ekran, nie widząc, co się na nim dzieje. Właśnie uderzyło go, że tego dnia zrobił w metrze olbrzymi krok. Wtedy wydawało mu się, że to tylko tak, dla hecy, że to taki dziecinny żart: włożyć komuś rękę do kieszeni i zobaczyć, czy tamten zauważy, czy się uda. I nie zauważył. Ani on, ani nikt inny. Zrobił to sprytnie i ostrożnie i gdyby Amerykanin coś poczuł, na pewno by zareagował.

Udowodnił sobie, że jest w stanie... No właśnie, że jestem w stanie zrobić... co? – myślał

Oleg Iwanowicz z zaskakującą intensywnością.

Co, do diabła, on w tym metrze zrobił? Co mu przyszło do głowy? Tak naprawdę to chyba nic, bo zupełnie wtedy nie myślał. To był jakiś... impuls. Impuls?

Potrząsnął głową i pociągnął łyk wódki. Był człowiekiem inteligentnym. Skończył uniwersytet. Znakomicie grał w szachy. Miał pracę upoważniającą go do wglądu w największe tajemnice państwowe, pracę dobrze płatną, dzięki której stanął na dolnym szczeblu nomenklatury. Był kimś ważnym. Może nie za bardzo, ale ważnym. KGB powierzało mu swoje sekrety. KGB mu ufało, ale...

Ale co? Co idzie po tym „ale”? Zabłądził, zawędrował w rejony, których nie potrafił ogarnąć ani wzrokiem, ani nawet myślą.

Tak, wszystko przez tego przeklętego papieża. Ktoś rzucił na niego urok? Zapanował nad jego ciałem?

Nie! To niemożliwe! Czary były tylko w starych baśniach, w opowieściach starych bab, które gadały – paplały! – o nich, mieszając w garach.

W takim razie dlaczego włożyłem mu rękę do kieszeni? – spytał siebie po raz setny i po raz setny nie uzyskał odpowiedzi.

124

Chcesz przyłożyć rękę do morderstwa? – spytał nieśmiało cichutki głos w jego głowie.

Do morderstwa niewinnego człowieka?

Czy papież jest niewinny? Zajcew wypił kolejny łyk wódki. Żadna depesza, która przeszła przez jego ręce, nie sugerowała, że Polak ma coś na sumieniu. Szczerze mówiąc, nie pa-miętał, żeby w ciągu ostatnich dwóch lat nazwisko Karola Wojtyły w ogóle się w nich pojawiło. Owszem, odnotowano jego pielgrzymkę do Polski zaraz po tym, jak został wybrany, ale który człowiek na jego miejscu nie

odwiedziłby przyjaciół, żeby sprawdzić, czy akceptują go w nowej roli?

Do partii też należeli ludzie. A ludzie popełniali błędy. Widział je codziennie: błędy popełniane przez doświadczonych, świetnie wyszkolonych oficerów KGB, których przełożeni karali, rugali albo upominali. Błędy popełniał sam Leonid Iljicz. Ludzie śmiali się z nich przy obiedzie czy kolacji – albo poszeptywali o tym, co wyczyniały jego pazerne dzieci, zwłaszcza córka. Córkę miał do cna zepsuta, lecz jeśli się o niej mówiło, to zwykle po cichu. Ale on, Zajcew, rozmyślał o szkodliwszym, o znacznie groźniejszym rodzaju zepsucia.

Kto upoważnia państwo do sprawowania władzy? Teoretycznie lud, naród, ale naród rosyjski nie miał w tych sprawach nic do powiedzenia. O wszystkim decydowała partia, lecz do partii należało niewielu, a z tych jedynie garstka dochodziła do prawdziwej władzy. Tak więc, z logicznego punktu widzenia, prawność działań jego państwa wspierała się na... fikcji?

Głęboka myśl. W innych krajach rządili dyktatorzy, często faszyci z politycznej prawicy. Lewica rządziła w niewielu. Najpotężniejszym i najgroźniejszym przedstawicielem prawicy był swego czasu Hitler, ale obalili go z jednej strony Związek Radziecki i Stalin, z drugiej Zachód. Wrogo do siebie nastawieni sojusznicy zwarli szyki, żeby raz na zawsze zniszczyć hitleryzm. I kimże ci sojusznicy byli? I jedni, i drudzy twierdzili, że w ich krajach panuje demokracja i chociaż Związek Radziecki uparcie Zachód oczerniał, odbywające się tam wybory były prawdziwe – musiały takie być, ponieważ państwo i Komitet Bezpieczeństwa Państwowego wydawały mnóstwo pieniędzy, żeby zdobyć, a przynajmniej spróbować zdobyć wpływ na ich rezultaty – a więc tam wola ludu miała realną moc, w przeciwnym razie Komitet by się tym nie interesował. Jak wielki to był wpływ i czy w ogóle był, tego Zajcew nie wiedział. Na podstawie dostępnych mu informacji niczego nie mógł wywnioskować, a nie chciał słuchać Głosu Ameryki czy innych tub propagandowych Zachodu.

Tak więc to nie lud chciał zamordować papieża. Chciał go zamordować Andropow, możliwe, że z poparciem Biura Politycznego. Ale nawet jego współpracownicy z Centrali nie mieli nic do Karola Wojtyły. Przecież nie mówiło się o jego wrogości do Związku Radzieckiego. Radio i telewizja nie nawoływały do klasowej nienawiści, jak zdarzało się to w stosunku do przywódców innych państw zachodnich. Nie oczerniała go „Prawda”. Owszem, od czasu do czasu zamieszczała wzmianki o przestojach produkcyjnych w Polsce, ale były to ot, zwykłe wzmianki, uwagi w rodzaju tych, jakie sąsiad rzuca sąsiadowi na temat jego nie-grzecznego dziecka.

Ale właśnie o to musiało chodzić. Karol Wojtyła był Polakiem, źródłem dumy całego narodu, a Polska przeżywała kłopoty w związku z przestojami w pracy. Wojtyła chciał wykorzystać swoją polityczną czy duchową władzę, żeby stanąć w obronie rodaków. To chyba zrozumiałe, prawda?

Ale czy zrozumiałe było to, że Andropow chciał go zabić?

Kto by wstał i powiedział: „Nie, nie możecie go zabić tylko dlatego, że nie podoba wam się jego polityka”? Członkowie Biura Politycznego? Nie, oni poparliby Andropowa. Był

oczywistym następcą Breżniewa. Kiedy Leonid Iljicz umrze, to on zajmie jego miejsce u szczytu stołu. Jeszcze jeden wierny członek partii. A kimże miałby być? Przecież powiadano, że partia jest duszą narodu. Dusza. Było to chyba jedyne dozwolone użycie tego słowa.

Czy naprawdę jakaś część człowieka żyje po jego śmierci? Podobno tak, ale tu duszą była partia, a partia to ludzie. Ludzie zepsuci i skorumpowani.

I ludzie ci chcieli zamordować papieża.

Widział szyfrówki. I na swój sposób on, Oleg Iwanowicz Zajcew, im w tym pomagał. I właśnie to go gryzło. Sumienie? Czy wolno mu było mieć sumienie? Ale sumienie to coś, co porównując fakty czy idee z innymi faktami czy ideami, jest z tego porównania zadowolone lub nie. Jeśli nie jest, jeśli dopatry się czegoś złego, zaczyna narzekać. Zaczyna szeptać. A teraz zmuszało go do myślenia, do analizowania, do poszukania czegoś, co by to zło powstrzymało, odwróciło, złagodziło...

Ale jak powstrzymać partię czy KGB?

Żeby to zrobić, trzeba by co najmniej udowodnić, że planowana operacja stoi w sprzeczności z obowiązującymi dogmatami albo miałyby negatywne konsekwencje polityczne, ponieważ polityka jest miarą wszelkiego dobra i zła. Ale czy polityka nie była na to zbyt ulotna? Czy „dobra” i „zła” nie powinno się mierzyć czymś konkretniejszym? Czy nie istniał

gdzieś system wartości wyższych? Ostatecznie polityka to tylko taktyka, prawda? I chociaż taktyka jest ważna, jeszcze ważniejsza jest strategia, ponieważ strategia jest miarą tego, do czego stosuje się taktykę. W tym przypadku to właśnie strategia powinna określić, co jest dobre: dobre transcendentalnie. Nie tylko dobre w tej chwili, ale i w ogóle, zawsze, tak żeby historycy badający tę sprawę za sto lub nawet za tysiąc lat mogli powiedzieć, że tak, postą-

piono słusznie.

Czy partia myślała tymi kategoriami? Dokładnie w jaki sposób Komunistyczna Partia Związku Radzieckiego podejmowała decyzje? Co było dobre dla narodu? Kto to ustalał?

Jednostki. Na przykład Breżniew, Andropow, Susłow i pełnoprawni członkowie Biura Politycznego, którym doradzali członkowie niepełnoprawni. Członkom niepełnoprawnym, tym którzy nie mieli prawa głosu, doradzali z kolei członkowie Rady Ministrów i członkowie Komitetu Centralnego, starsi przedstawiciele nomenklatury, ci, którym paryski rezydent KGB wysyłał perfumy i rajstopy pocztą dyplomatyczną. Zajcew widział mnóstwo takich telegramów. I słyszał mnóstwo opowieści. Byli to ludzie, którzy kupowali swoim dzieciom luksusowe prezenty, którzy załatwiali dla nich pracę na wysokich stanowiskach, ci, którzy mknęli środkowym pasem szerokich moskiewskich bulwarów: skorumpowani marksistów-scy książęta, rządzący tym krajem żelazną ręką.

Czy książęta ci zastanawiali się kiedyś, co jest dobre dla narodu – dla mas, jak nazywano naród – dla

niezliczonych rzesz robotników i chłopów, o których dobro powinni rzekomo dbać?

Pewnie mówili tak również i myśleli mniej ważni książęta za panowania Mikołaja Romanowa. A Lenin kazał ich wszystkich rozstrzelać jako wrogów ludu. Tak jak współczesne filmy przedstawiały Wielką Wojnę Ojczyźnianą, tak te dawniejsze, zwłaszcza te dla mniej wybrednej publiczności, przedstawiały ich jako zawistnych bufonów, niegroźnych przeciw-126

ników, których łatwo było znienawidzić i zabić, jako karykatury ludzi będących całkowitym zaprzeczeniem tych, którzy ich zastąpili...

Dawni książęta wjeżdżali na carski dwór konnymi trojkami po trupach chłopów, a dzisiaj milicjanci oczyszczali środkowy pas jezdni dla limuzyn nowych członków nomenklatury, którzy nie mieli czasu stać w korkach.

Nic się tak naprawdę nie zmieniło...

Z wyjątkiem tego, że carowie modlili się do wyższego autorytetu. Sfinansowali budowę Cerkwi Świętego Bazylego w Moskwie, a inni szlachcice budowę niezliczonych świątyń w mniejszych miastach kraju, ponieważ nawet Romanowowie wierzyli w istnienie władzy wyższego rzędu. Romanowowie tak, partia nie.

Partia mogła zabijać bez wyrzutów sumienia, ponieważ zabójstwo było często koniecznością polityczną, okazją do taktycznego zysku, którą należało wykorzystać zależnie od te-go, czy było to w danej chwili dogodne, czy nie.

A więc tylko o to chodzi? – myślał Zajcew. Chcą zamordować papieża tylko dlatego, że tak jest im wygodniej?

Oleg Iwanowicz sięgnął po butelkę, nalał sobie kolejny kieliszek wódki i wypił łyk.

W jego życiu było wiele niedogodności. W pracy miał za daleko do pojemnika z wodą.

Miał kolegów, których nie lubił, na przykład Stefana Jewgienijewicza Iwanowa, starszego majora łączności. Jakim cudem dostał cztery lata temu awans, tego nie wiedział nikt. Starsi stażem uważali go za gnidę, która nie potrafi zrobić nic pożytecznego. Pewnie w każdej pracy taki się znajdzie, taki, który przynosząc wstyd całej reszcie, nie da się wyrzucić, bo... bo po prostu tam siedzi, i już. Gdyby nie Iwanow, awansowałiby jego, Olega Iwanowicza, jeśli nie na wyższy stopień wojskowy, to na pewno na stanowisko kierownika sekcji. Każdy oddech Iwanowa był dla niego kolejną niedogodnością, ale to nie dawało mu jeszcze prawa do tego, żeby go zabić, prawda?

Nie, bo gdyby to zrobił, zostałby aresztowany, oskarżony i pewnie stracony za morderstwo. Bo morderstwo było zakazane. Bo morderstwo było złem. Tak mówiło obowiązujące prawo, tak mówiła partia, tak mówiło sumienie.

Ale Andropow chciał zabić papieża i sumienie mu tego nie wzbraniało. A sumienie ko-goś innego?

Wzbroniłoby? Jeszcze jeden łyk wódki. Jeszcze jedno prychnięcie. Biuro Polityczne i sumienie? Ha!

Nawet w KGB nie było zbędnego dumania. Żadnych rozmów. Żadnych dyskusji. Tylko rozkaz i meldunek o wypełnieniu bądź niewypełnieniu zadania. Tak, były różne analizy, rozpoznawcze oceny obcokrajowców, dyskusje o sposobach ich myślenia, o sposobach my-

ślenia agentów, tych, którzy mieli wpływy, słowem, tych „użytecznych”, jak nazywano ich w żargonie KGB. Żaden agent terenowy nigdy nie skrytykował rozkazu z Centrali i nie napisał: „Nie, towarzyszu, nie powinniśmy tego robić, bo to moralnie złe”. Gordienko był tego najbliższy, twierdząc, że zabójstwo papieża może mieć niekorzystny wpływ na działalność operacyjną rezydentury. Czy znaczyło to, że Rusłan Borysowicz też ma wyrzuty sumienia?

Nie. Pułkownik Gordienko miał trzech synów: jednego w marynarce wojennej, drugiego w akademii KGB, tej przy obwodnicy, trzeciego na moskiewskim uniwersytecie. Gdyby zadarł

z KGB, każdy jego ruch mógł oznaczać jeśli nie śmierć, to co najmniej poważne kłopoty dla dzieci. Niewielu zechciałoby tak ryzykować.

127

Więc co? Czyżby był jedynym pracownikiem KGB, który ma sumienie? Zajcew wypił, żeby to przemyśleć. Prawdopodobnie nie. W Centrali pracowało tysiące ludzi, tysiące pracowało w podległych KGB instytucjach i już z samych tylko praw statystyki wynikało, że ludzi „dobrych” (jakkolwiek tę „dobroć” definiować) musi być mnóstwo, tylko jak ich znaleźć? Poszukiwania oznaczały pewną śmierć albo wieloletni wyrok. Na tym właśnie polegał

podstawowy problem: Zajcew nie miał nikogo, komu mógłby zwierzyć się ze swoich wątpliwości. Nikogo, z kim mógłby porozmawiać o swoich niepokojach, ani lekarza, ani księ-

dza, ani nawet żony, bo z Iriną też nie mógł o tym gadać...

Nie, miał tylko butelkę wódki i chociaż pomagała mu myśleć, nie była dobrą towarzyszką. Rosjanie nie wstydzili się łez, ale łzy też by mu nie pomogły. Irina mogłaby spytać, dlaczego płacze, a on nie potrafiłby jej odpowiedzieć. Mógł tylko pójść spać. Ale był pewien, że sen też nie pomoże, i chyba miał rację.

Kolejna godzina i parę łyków wódki otępiły go w końcu do tego stopnia, że ogarnęła go senność. Żona drzemała przed telewizorem: Armia Czerwona znowu wygrała bitwę pod Kurskiem i film skończył się początkiem długiego marszu, który miał doprowadzić żołnierzy do berlińskiego Reichstagu, z nadzieją i entuzjazmem dla krwawego zadania, jakie ich czekało. Zajcew zachichotał. Tego było już za dużo. Zaniósł puste kieliszki do kuchni i przed pójściem do sypialni obudził żonę. Miał nadzieję, że szybko zaśnie. Cwiartka wódki powinna pomóc. I rzeczywiście pomogła.

- Wiesz, Arthurze, w sumie to mało o nim wiemy – powiedział Jim Greer.
- O Andropowie?
- Nie wiemy nawet, czy ten skurwiel jest żonaty.
- To twój wydział, Robercie – zauważył dyrektor CIA, zerkając na Boba Rittera.
- Naszym zdaniem jest, ale nigdy nie zabiera żony na oficjalne przyjęcia. A w taki sposób się tych rzeczy dowiadujemy – wyznał niechętnie zastępca dyrektora do spraw operacyjnych. – Ukrywają swoje rodziny jak mafijni bossowie, cholera. Wszystko tam utajniali, mają fioła na punkcie tajemnic. A tak w ogóle to nie grzebaliśmy w tym, ponieważ informacja nie jest ważna z punktu widzenia operacyjnego.
- To, w jaki sposób traktuje żonę i dzieci, jeśli je ma – zauważył Greer – może być istotne dla specjalistów od sporządzania portretów psychologicznych.
- Chcesz, żebym zlecił to Kardynałowi? Mógłby to sprawdzić, ale po co miałby tracić czas?
- Tracić czas? – nie ustępował zastępca dyrektora do spraw wywiadu. – Jeżeli Andropow maltretuje żonę, to już coś o nim mówi. Jeśli jest czułym tatusiem, mówi to o nim zupełnie coś innego.
- To bandzior – mruknął Ritter. – Wystarczy tylko spojrzeć na zdjęcie. I ci faceci z jego otoczenia. Sami sztywniacy, jak u Hitlera. – Przed kilkoma miesiącami grupa amerykańskich gubernatorów poleciała do Moskwy na tajne rozmowy dyplomatyczne. Gubernator Mary-landu, liberalny demokrat, opowiadał potem, że kiedy do sali wszedł Andropow, natychmiast pomyślał, że to typ spod ciemnej gwiazdy i dopiero po chwili powiedziano mu, że ma przyjemność z Jurijem Władimirowiczem, przewodniczącym Komitetu Bezpieczeństwa Pań-

stwowego. Gubernator umiał oceniać ludzi i jego spostrzeżenia trafiły do akt Andropowa w Langley.

- Marny byłby z niego sędzia – rzucił Arthur Moore; on też znał te akta. – A jako sędzia sądu odwoławczego? Zawaliby na całego. Za bardzo by chciał biedaka powiesić, choćby tylko po to, żeby sprawdzić, czy sznur się nie urwie. – Nie, żeby w dawnym Teksasie nie było takich sędziów, ale ostatnio wkroczyła tam cywilizacja. Poza tym mieli tam teraz mniej koni do kradzenia niż przestępców do stracenia. – No dobrze. Robercie, co można zrobić, żeby go trochę przeświecić? Ostatecznie wszystko wskazuje na to, że będzie kolejnym sekretarzem generalnym. To chyba niezły pomysł.

– Mógłbym popytać. Może poprosić sir Basila? W zdobywaniu informacji na gruncie to-warzyskim Anglicy są lepsi od nas, poza tym odciążylibyśmy trochę naszych ludzi.

– Lubię Basa, ale nie chciałbym zaciągać u niego tylu długów – odrzekł sędzia Moore.

– James, przecież jest tam twój protegowany. Niech się trochę rozejrzy. Wysłałeś mu STU?

– Tak, powinien je dzisiaj dostać.

– Więc zadzwoń do niego i niech ostrożnie popyta.

Greer spojrział na Moore'a.

– Co ty na to, Athurze?

– Zgoda. Ale bez wielkiego halo. Powiedz Ryanowi, żeby popytał ot tak, niby ze zwykłej ciekawości. Swojej, nie naszej.

Admirał spojrział na zegarek.

– Dobra. Zdążę przed wyjściem do domu.

– Bob – rzucił z rozbawieniem Moore na zakończenie odprawy. – Jak tam twoja „Maska”? – „Maska czerwonej śmierci”, program systematycznych badań nad słabymi punktami Rosjan i nad możliwościami skutecznego ich wykorzystania, był programem ciekawym, ale sędzia nie traktował go poważnie.

– Nie lekceważ tego, Arthurze. Jeśli zdobędziemy odpowiedni pocisk i wystrzelimy go z odpowiedniej broni, na pewno to poczują.

– Tylko nie mów tego na Kapitolu – ostrzegł go ze śmiechem Greer. – Narobią w spodnie. Mamy z nimi tylko pokojowo współistnieć, a nie wojować.

– Z Hitlerem to nie wyszło. Stalin i Chamberlain próbowali być dla sukinsyna mili, i co?

Dokąd ich to zaprowadziło? Oni są naszymi wrogami, panowie, i czy podoba nam się to, czy nie, trwało go pokoju i tak z nimi nie zawrzemy. Smutne to, lecz prawdziwe. Za bardzo się różnimy. – Podniósł do góry obie ręce. – Tak, tak, wiem, nie wolno nam tak myśleć, ale, i dzięki Bogu, myśli tak nasz prezydent, a my wciąż dla niego pracujemy.

Nie musieli tego komentować. Głosowali na niego – wszyscy trzej – mimo popularnego dowcipu, że w Langley można znaleźć wszystko, ale na pewno nie komunistów i... republikanów. Nie, nowy prezydent miał kark z żelaza i był przebiegły jak lis. Podobało się to zwłaszcza Ritterowi, najbardziej zadziornemu, jednocześnie najbardziej zgryźliwemu z całej trójki.

– Dobra – zakończył Moore. – Muszę jeszcze popracować nad budżetem. Pojutrze mam przesłuchanie w komisji.

Ryan siedział przy komputerze i właśnie rozmyślał o bitwie w zatoce Leyte, gdy zadzwonił telefon. Zadzwonił pierwszy raz i miał dziwnie donośny dzwonek. Jack wyjął z kieszeni plastikową kartę, wsunął ją do odpowiedniego otworu i podniósł słuchawkę.

Proszę czekać – wyrecytował elektroniczny głos – *synchronizuję linię. Proszę czekać, synchronizuję linię. Proszę czekać, synchronizuję linię. Linia zsynchronizowana i bezpieczna.*

– Halo? – rzucił do słuchawki Ryan, zastanawiając się, kto może mieć STU i dzwonić do niego o tak późnej porze. Okazało się, że odpowiedź jest prosta i oczywista.

– Cześć, Jack – powitał go znajomy głos. Tego rodzaju telefony miały jedną miłą cechę: dzięki technologii cyfrowej głos rozmówcy brzmiał tak, jakby facet siedział w sąsiednim pokoju.

Ryan zerknął na zegarek.

– W Stanach już chyba późno, panie admirale.

– Nie tak późno jak w starej, wesołej Anglii. Jak żona i dzieci?

– Dzieci już śpią. Cathy czyta pewnie czasopismo medyczne. – Na pewno tak było; wolała to niż oglądanie telewizji. – Co mogę dla pana zrobić, panie admirale?

– Mam dla ciebie pewne zadanko.

– Świetnie.

– Wypytaj tam, ale tak od niechcienia, o Jurija Andropowa. Nie wiemy o nim kilku rzeczy. Może Basil będzie wiedział...

– Ale konkretnie o co mam pytać, panie admirale?

– O to, czy jest żonaty i czy ma dzieci.

– Nie wiemy, czy Andropow jest żonaty? – Ryan zdał sobie sprawę, że nie widział tej informacji w jego dossier, ale założył, że na pewno jest gdzie indziej i nie zwrócił na to uwagi.

– Właśnie. Sędzia chce sprawdzić, czy Anglicy coś o tym wiedzą.

– Dobrze, mogę spytać Simona. Czy to bardzo ważne?

– Nie, już mówiłem. Zrób to tak, jakbyś pytał ze zwykłej ciekawości. A potem do mnie zadzwoń, to znaczy, do domu.

– Oczywiście. Wiemy, ile ma lat, kiedy obchodzi urodziny, gdzie studiował, i tak dalej, ale nie wiemy, czy jest żonaty i ma dzieci, tak?

– Czasami tak bywa.

– Tak jest, panie admirale. – I to zmusiło go do myślenia. O Breżniewie wiedzieli wszystko z wyjątkiem rozmiarów jego członka. Znali za to rozmiar sukienek jego córki, ponieważ ktoś uznał, że jest to informacja na tyle ważna, że warto wyciągnąć ją od belgijskiej modystki, która – za pośrednictwem rosyjskiego ambasadora – sprzedała troskliwemu tatu-siowi jedwabną suknię ślubną. A tu proszę: nie wiedzieli, czy przyszedł sekretarz generalny 130

Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego jest żonaty. Chryste, myślał, facet dobija sześćdziesiątki, a oni tego nie wiedzą? Co się, do diabła, dzieje? – Mogę spytać – powtórzył.

– To nie powinno być trudne.

– Jak tam Londyn?

– Podoba mi się. Cathy też, chociaż ma pewne wątpliwości co do tutejszego systemu opieki zdrowotnej.

– Że upaństwowiony? Wcale się jej nie dziwię. W Bethesda robią mi wszystkie badania, ale pewnie tylko dlatego, że mówią do mnie per „panie admirale”. Emerytowanego bosmana potraktowaliby inaczej.

– Na pewno. – Ryanowi pomogło z kolei to, że Cathy pracowała w szpitalu Hopkinsa.

Nie rozmawiał wtedy z nikim, kto nie nosiłby na fartuchu profesorskiego identyfikatora i dowiedział się przy okazji, że w medycynie – a więc zupełnie inaczej niż gdzie indziej – naj-inteligentniejszymi ludźmi są nauczyciele.

Zaczął śnić o północy, chociaż oczywiście nie mógł tego wiedzieć. Był letni, słoneczny dzień i przez plac Czerwony w Moskwie szedł ubrany na biało mężczyzna. W tle strzelała w niebo Cerkiew Świętego Bazylego, a on szedł pod prąd wzdłuż mauzoleum Lenina. Towarzyszyły mu dzieci: mężczyzna przemawiał do nich przyjaźnie, jak ulubiony wujek, a może jak... ksiądz. I nagle Oleg Iwanowicz domyślił się, kto to jest. Tak, to był ksiądz, ksiądz proboszcz. Tylko dlaczego ubrał się w białą sutannę? W dodatku ozdobioną złotym brokatem.

Dzieci, pięć dziewczynek i pięciu chłopców, trzymały go za ręce i spoglądały na niego z niewinnym uśmiechem. Oleg podniósł głowę. Na szczycie mauzoleum, skąd przyjmowano pierwszomajowe defilady, stali Breżniew, Susłow, Ustinow i Andropow. Andropow trzymał

karabin i celował w idącą przez plac grupkę. Na placu byli też inni ludzie, ludzie bez twarzy, krążący bez celu, dokądś spieszący. I raptem Oleg Iwanowicz znalazł się tuż obok Andropowa, raptem usłyszał jego słowa. Przewodniczący KGB mówił, że ma prawo zastrzelić ubranego na białą mężczyznę. „Tylko uważajcie na dzieci, Juriju Władimirowiczu” – ostrzegał go Susłow. „Tak, tak, uważajcie na dzieci” – poparł Susłowa Breżniew. Ustinow bez słowa wyciągnął rękę, żeby wyregulować celownik karabinu. Zajcew spoglądał to na jednego, to na drugiego, żeby zwrócić na siebie uwagę, ale oni traktowali go jak powietrze.

„Ale dlaczego? – pytał kapitan. – Dlaczego to robicie?”

„A to kto?” – rzucił do Andropowa Breżniew.

„Nieważne – warknął Susłow. – Zastrzel sukinsyna, i już”.

„Dobrze” – odrzekł Andropow. Starannie wycelował, a Zajcew nie mógł mu w tym przeszkodzić, chociaż stał tuż obok. Przewodniczący pociągnął za spust i...

Kapitan znalazł się z powrotem przed mauzoleum. Pierwsza kula trafiła dziecko, chłopca idącego po prawej stronie księdza. Chłopczyk upadł, nawet nie jęknąwszy.

„Nie w niego, idioto! – zawył Susłow jak wściekły pies. – Celuj w księdza!”

Andropow wymierzył ponownie i tym razem trafił w małą, jasnowłosą dziewczynkę, idącą po lewej stronie człowieka w bieli. Z jej główki buchnęła fontanna krwi. Zajcew nachy-131

lił się, żeby jej pomóc, ale dziewczynka powiedziała, że wszystko w porządku i wróciła do księdza.

„Uważajcie!”

„Na co, mój młody towarzyszu?” – spytał ciepło ksiądz i się odwrócił. – Chodźcie, dzieci. Idziemy na spotkanie z Bogiem.”

Andropow wypalił po raz trzeci i pocisk trafił go prosto w pierś. Na sutannie wykwitła plama wielkości i koloru szkarłatnej róży. Ksiądz wykrzywił twarz, ale szedł dalej, a za nim uśmiechnięte dzieci.

Kolejny wystrzał i obok pierwszej róży, na sutannie pojawiła się druga. Ksiądz wciąż szedł, chociaż wolniej.

„Jesteście ranni?” – spytał go Zajcew.

„To nic – odrzekł tamten. – Ale dlaczego go nie powstrzymaliście?”

„Próbowałem!” – wykrzyknął kapitan.

Książd przystanął i spojrzał mu prosto w oczy.

„Na pewno?”

I wtedy kula trafiła go w serce.

„Na pewno?” – powtórzył. Wszystkie dzieci patrzyły teraz nie na niego, tylko na Zajcewa.

Kapitan gwałtownie usiadł i się obudził. Dochodziła czwarta rano. Był zlany potem.

Mógł zrobić tylko jedno. Wstał i poszedł do łazienki. Oddał mocz, wypił szklankę wody i szurając nogami, poczłapał do kuchni. Usiadł przy zlewie i zapalił papierosa. Przed powrotem do sypialni chciał porządnie otrzeźwieć. Nie miał ochoty ponownie przeżywać tego snu.

Za oknem spała Moskwa. Na cichych ulicach nie było ani żywego ducha, ani jednego pi-jaczka wracającego zygżakiem do domu. I dobrze. O tej porze nie jeździły już windy. Nie jechał też ani jeden samochód, co było trochę dziwne, choć w wielkim mieście gdzieś na Zachodzie na pewno byłoby jeszcze dziwniejsze.

Papieros pomógł. Zajcew otrzeźwiał na tyle, że mógł spokojnie wracać do łóżka. Mimo to wiedział, że prędko o tym koszmarze nie zapomni. Większość snów z czasem bladła, rozmywała się jak dym z papierosa, ale ten się nie rozmyje. Kapitan był tego pewien.

Jak piorun z jasnego nieba

Musiał przemyśleć dużo spraw. Miał wrażenie, że decyzja podjęła się sama, jakby jego umysłem i ciałem zawładnęła obca moc, redukując go do roli postronnego obserwatora. Jak większość Rosjan, rano nie brał prysznic. Obmył sobie tylko twarz i ogolił się, zacinając się trzy razy. Trochę krwawiło, więc sięgnął po papier toaletowy. Ale papier zaleczył tylko symptomy, bo ich przyczyn zaleczyć nie mógł. Postacie ze snu paradowały mu przed oczami jak bohaterowie filmu wojennego albo jakiegoś programu telewizyjnego. Paradowały i podczas śniadania. Żona dostrzegła nieobecny wyraz jego twarzy, lecz tego nie skomentowała.

Wkrótce nadeszła pora: musiał iść do pracy. Szedł jak zdalnie sterowany robot. Bezwiednie skręcał to w prawo, to w lewo, a umysł miał spokojny i wściekle ożywiony zarazem, jakby nagle rozpadł się na dwie odrębne, choć luźno połączone ze sobą jednostki, które równoległymi do siebie drogami zmierzają do jakiegoś niewidocznego, zupełnie niepojętego celu.

Coś go do tego celu gnało, niosło, jak górski potok niesie kawał drewna, coś niosło go tam tak szybko, że skalne ściany, piętrzące się po lewej i prawej stronie, tylko migają mu przed oczyma. I nagle z zaskoczeniem stwierdził, że jedzie metrem, że pociąg pędzi mrocznymi tunelami, wydrążonymi przez politycznych więźniów Stalina pod nadzorem inżynierów Chruszczowa, że otaczają go znieruchomiałe, niemal odczłowieczone ciała radzieckich obywateli jadących do pracy, której nie kochali i którą wykonywali bez większego poczucia obowiązku. Mimo to pracowali, gdyż w ten sposób zarabiali na chleb dla swoich rodzin.

Szarzy i nijacy, byli maleńkimi trybikami gigantycznej maszyny, radzieckiego państwa, któremu niby służyli i które niby służyło im oraz ich rodzinom...

Przecież to kłamstwo, myślał Zajcew. Prawda? To kłamstwo. W jaki sposób śmierć papieża może przysłużyć się naszemu państwu? W jaki sposób skorzystają na tym ci wszyscy ludzie? Jak skorzysta na tym on, jego żona i mała córeczka? Dostaną dzięki temu więcej jedzenia? Dostaną kartę wstępu do sklepów za żółtymi firankami i prawo do zakupu rzeczy, o jakich inni pracownicy mogli jedynie marzyć?

Ale jemu wiodło się przecież dużo lepiej niż pozostałym pasażerom w tym wagonie.

Czyż nie powinien się z tego cieszyć? Czyż nie jadł lepszego jedzenia, nie pił lepszej kawy, nie miał lepszego telewizora, nie spał na lepszych prześcieradłach niż oni? Czyż nie miał

wygód, jakie ludzie ci chcieliby mieć? Więc czego ja jeszcze chcę? – myślał. Co mnie nagle napadło? Odpowiedź była tak prosta, że zanim ją w pełni zrozumiał, upłynęła prawie minuta. Miotał się tak dlatego, że jego pozycja zawodowa, dzięki której miał te wszystkie miłe wygody, dawała mu również wiedzę, a w tym przypadku, po raz pierwszy w jego życiu, wiedza ta była przekleństwem. Poznał myśli ludzi decydujących o kursie politycznym jego kraju i oświecony tą wiedzą, stwierdził, że jest to kurs błędny, kurs zły – w głowie miał swój własny, prywatny komitet i przeanalizowawszy tę wiedzę, komitet ów orzekł, że tak, że kapitan Zajcew ma rację. I wraz z tym orzeczeniem pojawiła

się potrzeba zrobienia czegoś, co by ten kurs zmieniło. Nie mógł zaprotestować i liczyć na to, że uda mu się zachować coś, co uchodziło w tym kraju za wolność. Nie było tu żadnej instytucji, za której pośrednictwem mógłby zapoznać ze swoim osądem innych, choć niewykluczone, że inni by się z nim zgodzili i wystąpili do rządu o rozpatrzenie ich skargi. Nie, w tym systemie nie mógł tego załatwić. Musiałby być kimś znaczniejszym, dużo ważniejszym, ale nawet gdyby kimś takim był, przed wyjawieniem swoich wątpliwości musiałby dobrze pomyśleć, inaczej mogliby pozbawić go wszystkich przywilejów: sumienie – a raczej jego resztki – nieustannie walczyło z 133

tchórzostwem wynikającym z tego, że miało się tyle do stracenia. Nigdy nie słyszał, żeby zareagował w ten sposób któryś ze znaczniejszych polityków radzieckich, żeby kierując się zasadami, oznajmił kolegom, że postępują źle. Nie, zapobiegał temu sam system, bo system takich ludzi eliminował. Skorumpowani otaczali się wyłącznie skorumpowanymi, w przeciwnym razie musieliby podważyć zasadność tego, co dawało im przywileje. Tak jak carscy książęta rzadko kiedy zastanawiali się, jaki wpływ wywierają ich rządy na sytuację chło-pów pańszczyźnianych, tak nowi książęta marksizmu nigdy nie kwestionowali podstaw systemu, który zapewniał im miejsce na świecie. Dlaczego? Dlatego, że świat ten nie zmienił

kształtu – tylko sam kolor, z carskiej bieli na komunistyczną czerwień – a nie zmieniając kształtu, nie zmienił i metod działania: kilka kropel dodatkowo rozlanej krwi trudno zauwa-

żyć.

Stacja. Zajcew stanął przed rozsuwanymi drzwiami, wyszedł na peron, skręcił w lewo do ruchomych schodów, wjechał na górę i w tłumie współpasażerów wyszedł na piękny, letni dzień. Tłum szybko się rozszedł, a on wraz ze sporą grupą ludzi ruszył równym krokiem w kierunku kamiennego gmachu Centrali, jej brązowych drzwi i pierwszego za tymi drzwiami posterunku. Wartownik obejrzał przepustkę, porównał zdjęcie z jego twarzą i ruchem głowy pozwolił mu wejść do wielkiego holu. Chłodno i bez emocji, jak co dzień, kapitan zszedł schodami do podziemi i zaliczywszy jeszcze jeden posterunek, stanął w progu centrum łączności.

Nocna zmiana właśnie kończyła pracę. Za jego biurkiem siedział Nikołaj Konstantinowicz Dobrik, który niedawno też awansował na kapitana-majora. Nikołaj Konstantinowicz miał służbę od północy do ósmej rano.

– Dzień dobry, Oleg – rzucił, przeciągając się w obrotowym fotelu.

– Dzień dobry, Kola. Jak służba?

– Kupa depech z Waszyngtonu. Ten wariat znowu nie wytrzymał. Wiesz, że jesteśmy

„ośrodkiem zła współczesnego świata”.

– Tak powiedział? – spytał z niedowierzaniem Zajcew.

Dobrik kiwnął głową.

– Tak. Waszyngtoński rezydent przysłał nam tekst jego przemówienia. Republikanie pewnie pili mu z ust, ale nawet dla nich zabrzmiało to groźnie. Myślę, że Ministerstwo Spraw Zagranicznych wystosuje protest za pośrednictwem naszego ambasadora, a i Biuro Polityczne na pewno coś powie. Ale miałem przynajmniej co czytać i się nie nudziłem!

– Przemówienie nadali jednorazówką? – Szyfrowanie i odszyfrowywanie tak długiego tekstu byłoby koszmarem dla każdego specjalisty od dekryptażu.

– Nie, i dzięki Bogu – odrzekł Dobrik. Nie powiedział tego ironicznie. Słyszało się to dość często nawet tu, w Centrali. – Nasi się teraz nad nim głowią. Ci z politycznego będą analizowali je godzinami, może nawet dniami, a z nimi psychiatrzy.

Zajcew zachichotał. Depesze krążące między lekarzami i agentami będą niewątpliwie ciekawą lekturą, a oni, jak na dobrych urzędników przystało, lubili czytać zabawne telegramy.

– I pomyśleć tylko, że ludzie tacy jak on rządzą mocarstwami – rzucił Dobrik, przypalając papierosa. – Jakim cudem?

134

– Mają tam coś, co nazywają procesami demokratycznymi – odrzekł Zajcew.

– W takim razie powinniśmy się cieszyć, że my mamy zbiorową wolę ludu i ukochaną partię, która jest jej wyrazem. – Mimo tych ironicznych uwag Dobrik był wiernym członkiem partii, jak wszyscy w tej sali, rzecz jasna.

– Słusznie, Kola, słusznie. – Zajcew spojrział na ścienny zegar. Przyszedł sześć minut za wcześnie. – Tak czy inaczej, przejmuję służbę, towarzyszu kapitanie.

– Dziękuję, towarzyszu kapitanie. – Dobrik ruszył do wyjścia. Zajcew usiadł we wciąż jeszcze ciepłym fotelu i wpisał do księgi czas przejęcia służby. Potem opróżnił popielniczkę –

Dobrik nigdy nie zawracał sobie tym sobie głowy – i tak rozpoczął się kolejny dzień w biurze. Służbę przejmował mechanicznie, jak automat, lecz było to nawet dość przyjemne. Dobrika znał tylko z porannych spotkań i zastanawiał się często, dlaczego kapitan-major prze-siaduje tu tylko nocami, w dodatku na ochotnika. Przynajmniej zawsze kończył swoją robotę i zostawił mu czyste biurko, dzięki czemu Zajcew miał kilka minut na zebranie myśli przed czekającym go dniem.

Jednakże tego dnia nie zdążył ich zebrać, ponieważ znowu stanęły mu przed oczami obrazy ze snu. Wyglądało na to, że nigdy nie dadzą mu spokoju, więc zapalił papierosa i zaczął

przekładać dokumenty na metalowym biurku, podczas gdy jego umysł robił coś, o czym on sam nie

chciał jeszcze wiedzieć. Dziesięć po ósmej przyszedł szyfrant z papierową teczką.

– Z waszyngtońskiej rezydentury, towarzyszu kapitanie.

Zajcew kiwnął głową.

– Dziękuję.

Otworzył teczkę i zaczął przeglądać depesze.

Aaaa... Kassjusz się odezwał. A więc polityka. Zajcew go nie znał, ani z twarzy, ani z nazwiska, ale podejrzewał, że jest to sekretarz ważnego parlamentarzysty, może nawet senatora. Dostarczał cennych informacji, które sugerowały, że ma dostęp do tajnych danych wywiadowczych. No i proszę: sekretarz wpływowego amerykańskiego polityka pracuje dla Związku Radzieckiego. Pracował za darmo, co oznaczało, że robi to z pobudek ideologicznych i jest najlepszym z możliwych informatorów.

Jeszcze raz przejrzał depesze i odszukał w pamięci nazwisko tego, komu powinien je przekazać. Tak, pułkownik Anatolij Gregorowicz Folkin z wydziału politycznego. Adres?

Pierwszy Zarząd Główny, zarząd informacji i wywiadu, wydział pierwszy, komórka waszyngtońska. Trzecie piętro.

Pułkownik Ilja Bubowoj wysiadł z samolotu. Żeby go złapać, musiał wstać o trzeciej ra-no i pojechać samochodem ambasady na lotnisko. Wezwanie przyszło od Aleksieja Roźdiestwienskigo, którego znał od wielu lat, i który oddał mu przysługę, dzwoniąc dzień przedtem i uprzedzając go, że nic się nie stało, że to tylko zwykłe wezwanie do Centrali. Bubowoj miał czyste sumienie, mimo to dobrze było o tym wiedzieć. Z KGB nigdy nic nie wiadomo.

Podobnie jak dzieci wzywane na dywanik do dyrektora szkoły, w drodze do Moskwy rezydentom często dokuczały nieprzyjemne skurcze żołądka. Tak czy inaczej, krawat miał dobrze zawiązany, a buty starannie wypucowane. Nie włożył munduru, ponieważ to, że był

sofijskim rezydentem KGB, było oficjalnie tajemnicą.

W sali odpraw czekał na niego sierżant Armii Czerwonej, który zaprowadził go do samochodu; tak naprawdę sierżant pracował w KGB, ale to też było tajemnicą, bo kto wie, czy CIA albo inne zachodnie agencje wywiadowcze nie miały na lotnisku swoich agentów. Po drodze Bubowoj kupił w kiosku „Sowietskij Sport”. Czekala go trzydziestopięciominutowa jazda. Przed paroma dniami

sofijska drużyna piłkarska pokonała Dynamo Moskwę trzy do dwóch. Pułkownik zastanawiał się, czy rosyjscy komentatorzy sportowi domagali się teraz głowy trenera i zawodników, w sposób zakamuflowany rzecz jasna, zaprawiony odpowiednią dawką marksistowskiej retoryki. Dobrzy komuniści zawsze wygrywali, ale gdy drużyna z jednego kraju socjalistycznego przegrywała z drużyną z innego kraju socjalistycznego, komentatorzy często wpadali w konsternację.

Ed Foley też jechał do pracy i tego dnia był trochę spóźniony. W nocy wysiadł prąd, brak prądu unieruchomił budzik, tak że zamiast budzika, obudziły go promienie słońca wpadają-

ce przez okno. Jak zwykle próbował się nie rozglądać, choć cały czas dyskretnie wypatrywał

tajemniczego właściciela ręki, która przeszukała mu kieszeń. Ale nie, nikt na niego nie patrzył. Na wszelki wypadek po południu spróbuje ponownie, w tym o siedemnastej czterdzieści jeden. Na wszelki wypadek? To znaczy na wypadek czego? Tego nie wiedział, ale była to jedna z tych ekscytujących rzeczy, w jakie obfitowała jego praca. Jeśli był to jedynie zwykły zbieg okoliczności, dobra, w porządku, ale i tak wiedział, że przez kilka najbliższych dni będzie jeździł tym samym pociągiem i tym samym wagonem, stojąc możliwie najbliżej tego samego miejsca. Jeżeli miał ogon, tamten tego nie odnotuje. Rosjanie lubili śledzić ludzi o starych nawykach – amerykańska spontaniczność ich rozpraszała. Dlatego jeśli będzie

„dobrym” Amerykaninem i da im to, czego chcieli, na pewno nie uznają tego za dziwne.

Szef moskiewskiej ekspozytury CIA z rozbawieniem pokręcił głową.

Wysiadł, wjechał schodami na górę i ruszył piechotą do ambasady mieszczącej się naprzeciwko Najjaśniejszej Panienci od Mikrochipów, tej największej na świecie kuchenki mi-krofalowej. Lubił widok amerykańskiej flagi powiewającej na maszcie i widok żołnierzy piechoty morskiej, którzy byli kolejnym dowodem na to, że trafił pod właściwy adres. Brązowe koszule, granatowe spodnie, pistolety w kaburze, białe czapki – tak, piechociarze zawsze wyglądali jak należy.

W gabinecie jak zwykle panował bałagan, gdyż bałaganiarstwo stanowiło część jego przykrywki.

Jednakże przykrywka ta nie obowiązywała w wydziale łączności. Po prostu nie mogła.

Szefem wydziału był Mike Russell, przedtem podpułkownik ASA, Wojskowej Agencji Bezpieczeństwa, a obecnie pracownik cywilny NSA, Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, któ-

ra robiła dla rządu to samo co ASA dla wojska. W Moskwie żyło mu się ciężko. Był nie tylko rozwodnikiem, ale i Murzynem i tutejsze dziewczyny od niego uciekały; Rosjanie nie przepadali za ludźmi o ciemnym kolorze skóry. Zawsze pukał do drzwi głośno i energicznie.

– Wchodź, Mike – powiedział Foley.

– Cześć, Ed. – Russell miał niecałe sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu i sądząc po jego brzuchu, powinien szybko przejść na dietę. Za to świetnie znał się na kodach, szyfrach i łączności i to na razie

wystarczało. – Spokojna noc.

– Tak?

136

– Przyszło tylko to. – Wyjął z kieszeni kopertę. – Chyba nic ważnego. – Zdążył już wszystko rozszyfrować. Nawet ambasador nie miał takich uprawnień jak szef wydziału łączności. Dobrze, że Rosjanie są rasistami, ucieszył się nagle Ed. Tym mniejsze prawdopodobieństwo, że go „obrócą”. Chryste, co za przerażająca myśl. Jako jedyny pracownik ambasady, Mike Russell wiedział dosłownie o wszystkim i właśnie dlatego agenci wywiadu zawsze próbowali zwerbować szyfrantów, tych nisko opłacanych i pogardzanych urzędasów, którzy mieli tak potężną władzę informacyjną.

Foley otworzył kopertę. Depesza była rutynowa, zupełnie nieistotna. Kolejny śmieć i kolejny dowód na to, że bez względu na wagę swojej pracy, CIA była tylko kolejną do cna zbiurokratyzowaną instytucją rządową. Pogardliwie prychnął i wrzucił kartkę do niszcarki, która pocięła ją na papierki wielkości dwóch centymetrów kwadratowych.

– Fajnie masz – zauważył ze śmiechem Russell. – Dziesięć sekund, i dzień z głowy.

– W Wietnamie było pewnie inaczej.

– Bo ja wiem... Pamiętam, jak kiedyś jeden z naszych chłopców namierzył północno-wietnamski nadajnik w Dowództwie Transportu Lotniczego. To dopiero była noc.

– Złapaliście operatora?

– Jasne. Miejscowi cholernie się wkurzyli. Podobno marnie skończył. – Russell był wtedy porucznikiem. Pochodził z Detroit. Podczas drugiej wojny światowej jego ojciec budował

bombowce B-24 i wbijał synowi do głowy, że jest to zajęcie o wiele bardziej satysfakcjonujące niż montowanie samochodów u Forda. Russell nienawidził Rosji (ci durnie nie lubili nawet muzyki soul!), ale wiedział, że premia za służbę w ciężkich warunkach – moskiewska placówka warunki te oficjalnie spełniała – umożliwi mu kiedyś kupno domku na Upper Peninsula, gdzie napoluje się wreszcie na ptaki i jelenie. – Masz coś do wysłania?

– Nie, przynajmniej na razie.

– Jasne. Miłego dnia. – Mike zniknął za drzwiami.

Praca agenta CIA częściej bywała nudna niż ciekawa – zupełnie inaczej niż w powie-

ściach szpiegowskich. Co najmniej dwie trzecie czasu zajmowało mu pisanie raportów, które ci z

Langley mogli, choć nie musieli przeczytać, i czekanie na spotkania, do których mogło, choć nie musiało dojść. Od ulicznej roboty miał podwładnych, ponieważ nie mógł ryzykować, że ktoś go zdekonspiruje; kiedyś będzie musiał zrobić żonie wykład na ten temat. Mary Pat za bardzo lubiła, gdy coś się działo. Trochę go to niepokoiło, chociaż fizyczne niebezpieczeństwo im raczej nie groziło. Oboje mieli immunitet dyplomatyczny, a ponieważ Rosjanie w większości przypadków go respektowali, nawet gdyby doszło do jakiejś przepychanki, na pewno by ich za mocno nie poturbowali. Przynajmniej taką miał nadzieję.

– Dzień dobry, pułkowniku – rzucił przyjaźnie Andropow, nie wstając z fotela.

– Dzień dobry, towarzyszu przewodniczący – odrzekł sofijski rezydent i z ulgą przełknął

ślinę. A więc Roźdiestwienski nie kłamał. Ale ostrożności, a może nawet paranoi, nigdy nie za wiele.

– Jak sprawy w Sofii? – Andropow wskazał mu skórzany fotel naprzeciwko wielkiego dębowego biurka.

137

– Dobrze, towarzyszu przewodniczący. Nasi socjalistyczni bracia chętnie z nami współ-

pracują, zwłaszcza w kwestiach dotyczących Turcji.

– To dobrze. Planujemy tu pewną operację i chcę zasięgnąć waszej opinii. – Andropow wciąż mówił spokojnym, przyjaznym głosem.

– Tak? Jaką operację?

Przewodniczący zapoznał go ze swymi planami, uważnie obserwując jego twarz. Ale Bubowej twarz miał jak z kamienia. Był zbyt doświadczony, żeby z czymkolwiek się zdradzić, poza tym wiedział, kto i jak na niego patrzy.

– Kiedy? – spytał.

– Jak szybko moglibyście to zorganizować?

– Będę musiał zapewnić sobie współpracę naszych bułgarskich przyjaciół. Wiem, do ko-go się zwrócić: do pułkownika Borysa Strokowa. To bardzo zdolny oficer. Działa na terenie Turcji, szmugiel i temu podobne, i ma kontakty z tamtejszym światem przestępczym. Takie kontakty to pożyteczna rzecz, zwłaszcza gdy chodzi o zabójstwo.

– Mówcie dalej – ponaglił go cicho Andropow.

– Towarzyszu przewodniczący, to nie będzie łatwa operacja. Brak możliwości przemycenia zamachowca do prywatnych apartamentów papieża oznacza, że akcję trzeba przeprowadzić w miejscu publicznym, w tłumie ludzi. Możemy obiecać zamachowcowi, że go stamtąd ewakuujemy, ale będzie to oczywiście kłamstwo. Z taktycznego punktu widzenia lepiej byłoby wysłać na miejsce człowieka uzbrojonego w pistolet z tłumikiem, który zlikwiduje go zaraz po zamachu. Dla tego drugiego ucieczka powinna być łatwiejsza, ponieważ ludzie rzucą się najpewniej na zamachowca. Wyeliminowalibyśmy tym samym możliwość, że zamachowiec zacznie sypać. Włoska policja nie ma dobrej reputacji, ale zupełnie niesłusznie.

Włosi są bardzo dobrzy. Rzymski rezydent może potwierdzić, że ich organy śledcze są świetnie zorganizowane i działają bardzo profesjonalnie. Dlatego natychmiastowe zlikwidowanie zamachowca leżałoby w naszym interesie.

– Ale czy nie będzie to wskazywało na zaangażowanie służb wywiadowczych – spytał

Andropow. – Czy to aby nie za eleganckie?

Bubowoj odchylił się do tyłu i przemówił z roztropnością starego wyjadacza. Wiedział, czego oczekuje Andropow i nie mógł go zawieść.

– Towarzyszu przewodniczący, trzeba dobrze zważyć ryzyko obu posunięć. Największym niebezpieczeństwem leży w tym, że zamachowiec zacznie sypać. A trup milczy, jak powiadają. Trup nic nikomu nie powie. Tamci mogą sobie spekulować do woli, ale będą to tylko spekulacje. Z naszej strony, za pośrednictwem kontrolowanych przez nas źródeł prasowych, moglibyśmy przemycić informację o muzułmańskiej niechęci do głowy Kościoła rzymskokatolickiego. Zachodnia prasa ją podchwyci i, jeśli tylko dobrze tym pokierujemy, przekaże światu odpowiednio ukształtowaną wersję tego, co tam zaszło. Jak wiecie, w Instytucie Amerykańsko-Kanadyjskim pracują świetni fachowcy, specjaliści od czarnej propagandy. Moglibyśmy ich do tego wykorzystać, a potem, za pośrednictwem ludzi z Pierwszego Zarządu Głównego, rozpowszechnić to, co zaproponują. Ta operacja nie jest pozbawiona ryzyka, ale, choć dość złożona, nie jest też trudna koncepcyjnie. Najwięcej problemów sprawi samo jej przeprowadzenie i zapewnienie bezpieczeństwa operacyjnego. Dlatego tak istot-

138
ne jest natychmiastowe zlikwidowanie zamachowca. I szczelna blokada informacyjna. Tamci mogą sobie spekulować ile wlezie, ale bez konkretnych informacji niczego nie wyspekulują.

Rozumiem, że ma to być przedsięwzięcie ściśle tajne...

– Na razie wie o nim najwyżej pięciu ludzi. – Rozeznanie i zimna krew Bubowoja zrobiły na Andropowie duże wrażenie. – Ilu jeszcze trzeba będzie wprowadzić?

– Co najmniej trzech Bułgarów, którzy wybiorą tego Turka. Bo to musi być Turek...

– Dlaczego? – przerwał mu przewodniczący, chociaż znał już odpowiedź.

– Turcja to muzułmański kraj, a ponieważ Kościół katolicki i islam od dawna nie pałają do siebie sympatią, dzięki tej operacji dojdzie między nimi do jeszcze większych niesnasek.

Powiedzmy, że będzie to nasza dodatkowa premia.

– Jak wybieriecie zamachowca?

– Pozostawię to pułkownikowi Strokowi. Nawiasem mówiąc, jest z pochodzenia Rosjaninem. Jego rodzina wyjechała do Sofii na przełomie wieków, ale on myśli jak jeden z nas.

Eto nasz człowiek, absolwent Akademii KGB i doświadczony agent terenowy.

– Ile to wszystko potrwa?

– Kwestia czasu bardziej zależy od Moskwy niż od Sofii. Strow musi mieć zgodę swego dowództwa, a to już sprawa polityczna, nie operacyjna. A kiedy dostanie rozkazy... Dwa tygodnie, najwyżej miesiąc.

– Szanse powodzenia?

– Myślę, że średnie do wysokich. Oficer Drżawnoj Sigurnosti zawiezie go na miejsce akcji, zastrzeli zaraz po zamachu i ucieknie. Niby łatwe to i proste, ale w sumie bardzo niebezpieczne. Zamachowiec dostanie najprawdopodobniej pistolet. Pistolet bez tłumika, żeby huk przyciągnął uwagę tłumu. Większość ludzi się cofnie, ale niektórzy się na niego rzucą.

Upadnie zabity kulą w plecy, ale to ludzi nie powstrzyma i dalej będą na niego napierać, podczas gdy nasz człowiek wycofa się stamtąd wraz z tymi, którzy ogarnięci paniką, zechcą uciec jak najdalej od miejsca zdarzenia. Jak fale na plaży. – Bubowoj już widział to oczyma wyobraźni. – Ale wystrzelić z pistoletu jest dużo trudniej niż na filmie. Pamiętajcie, towarzyszu, że na polu walki na każdego zabitego przypada średnio od dwóch do trzech postrzelonych, rannych, którzy z tego wyjdą. Nasz zamachowiec nie podejdzie do celu bliżej niż na cztery, pięć metrów. To wystarczająco blisko dla fachowca, ale on nie będzie fachowcem.

Poza tym trzeba pamiętać o jeszcze jednym czynniku, który może wszystko skomplikować: o lekarzach. Jeżeli kula nie utkwie w sercu czy w mózgu, dobry chirurg potrafi wyciągnąć rannego z grobu. Tak więc patrząc na to realistycznie, dałbym nam pięćdziesiąt procent szans.

Dlatego trzeba też rozważyć konsekwencje ewentualnej porażki, ale to już kwestia polityczna, towarzyszu przewodniczący – zakończył Bubowoj, dając do zrozumienia, że za politykę będzie odpowiadał tyłkiem, on, Andropow. Jednocześnie wiedział, że sukces operacji może przynieść mu generalskie gwiazdki, co było ryzykiem całkiem do przyjęcia, gdyż miało wię-

cej plusów niż minusów. Odwoływało się i do jego karierowiczostwa, i do patriotyzmu.

– Dobrze. Co trzeba zrobić?

– Po pierwsze, Drżawna Sigurnost to organizacja działająca pod nadzorem politycznym.

Wydział kierowany przez Strokowa nie prowadzi szczegółowej sprawozdawczości, ale jest dyskretnie kontrolowany przez bułgarskie Biuro Polityczne. Dlatego najpierw muszą to po-139

przeć towarzysze z Biura, co oznacza, że operacja musi też mieć poparcie naszego przywództwa. Bułgarzy nie pójdą na współpracę bez oficjalnej prośby ze strony naszego rządu.

Potem będzie już z górki.

– Rozumiem. – Andropow milczał dobre pół minuty. Pojutrze było zebranie Biura Politycznego. Ruszyć z tym? – myślał. Nie za wcześnie? Czy trudno mu będzie tę sprawę przepchnąć? Pokaże im „Warszawski list”, niech pokręcą nosem. Będzie musiał zinterpretować go w taki sposób, żeby zrozumieli, że sprawa jest bardzo pilna i żeby się... wystraszyli.

Wystraszą się? Cóż, zawsze mógł im w tym pomóc, prawda? Myślał jeszcze przez kilka sekund, wreszcie wyciągnął odpowiedni wniosek.

– Coś jeszcze, pułkowniku?

– Nie trzeba dodawać, że operacja musi być ściśle tajna. Watykan ma bardzo skutecznie działający wywiad. Niedocenianie go byłoby błędem. Dlatego zarówno Bułgarzy, jak i Biuro Polityczne musi wiedzieć, że ta sprawa nie może wyjść na zewnątrz. W naszym przypadku oznacza to, że nie ma prawa dowiedzieć się o niej nikt z Komitetu Centralnego ani z Sekretariatu partii. Dojdzie do najmniejszego przecieku i operacja upadnie. Z drugiej strony – kontynuował Bubowoj – wiele rzeczy działa na naszą korzyść. Papież nie może odizolować się od wiernych, nie można mu też zapewnić ochrony, jaką my czy każdy inny kraj zapewniłby głowie państwa, której grozi niebezpieczeństwo. W sensie operacyjnym jest łatwym celem, pod warunkiem, że znajdziemy zamachowca, który zechce zaryzykować życie, podchodząc do niego na tyle blisko, żeby oddać skuteczny strzał.

– Zakładając, że uda mi się zdobyć poparcie Biura Politycznego, że poprosimy o pomoc naszych bułgarskich braci i że ten Strokow dostanie odpowiednie rozkazy, ile czasu zajmie wam zapięcie wszystkiego na ostatni guzik?

– Myślę, że miesiąc, może dwa, ale nie dłużej. Będziemy potrzebowali pomocy rzymskiego rezydenta, ale tylko w drobnych kwestiach, jak choćby zgranie tego w czasie. Nasze ręce pozostaną zupełnie czyste, zwłaszcza jeśli Strokow wyeliminuje zamachowca zaraz po zakończeniu misji.

– Chcecie, żeby zrobił to osobiście?

– *Da.* – Bubowoj kiwnął głową. – Borys Andriejewicz się przed tym nie wzdraga. To dla niego nie pierwszozna.

– Dobrze. – Andropow spojrział na blat biurka. – Po tej operacji nie może pozostać żaden ślad na piśmie. Gdy uzyskam poparcie Biura Politycznego, otrzymacie polecenie z mojego gabinetu, ale

będzie zawierało tylko kod operacyjny, to znaczy, 15-8-82-666. Informacje bardziej złożone będziecie otrzymywali przez kuriera albo ustnie, w cztery oczy. Czy to jasne?

– Tak jest, towarzyszu przewodniczący. Na piśmie może pozostać tylko kod operacyjny, nic więcej. Nalatom się do Moskwy za wszystkie czasy, ale to nie problem.

– Czy Bułgarom można ufać? – spytał z nagłym niepokojem Andropow.

– Można, towarzyszu przewodniczący. Od dawna z nimi współpracujemy, są w tej dziedzinie ekspertami, lepszymi chyba od nas. Mają więcej wprawy. Kiedy ktoś musi umrzeć, często załatwiają to za nas.

140

– Tak, pułkownik Roźdiestwienski mi o tym wspominał. Po prostu nigdy dotąd nie miałem z nimi do czynienia, w każdym razie nie bezpośrednio.

– Oczywiście możecie się z nim w każdej chwili spotkać – zaproponował Bubowoj.

– Ze Strokowem? – Andropow pokręcił głową. – Nie, chyba lepiej nie.

– Jak sobie życzycie, towarzyszu przewodniczący. – Wszystko pasuje, pomyślał rezydent. Andropow to człowiek partii i nie przywykł do brudzenia sobie rąk. Wszyscy politycy są tacy sami: żądni krwi, ale zawsze czysti i wygodnicy, bo najpaskudniejszą robotę zrzucają na innych. Cóż, taką mam pracę... Ponieważ od polityków zależało to, co w społecznym ulu najlepsze, musiał im schlebiać, żeby wy dostać z ula trochę miodu dla siebie. A lubił sło-dycze jak każdy obywatel Związku Radzieckiego. Kto wie, może po zakończeniu misji przy-pną mu generalskie gwiazdki, może dostanie ładne mieszkanie w Moskwie, może nawet dachę na Leninowskich Wzgórzach. Chętnie wróciłby do Moskwy, jego żona też. I jeśli ceną za to miała być śmierć jakiegoś obcokrajowca politycznie niewygodnego dla kraju, trudno, jego strata. Powinien był uważać, z kim zadziera.

– Dziękuję, że zechcieliście przylecieć i podzielić się ze mną swoim doświadczeniem, towarzyszu pułkowniku. Wkrótce się z wami skontaktuję.

Bubowoj wstał.

– Służę Związkowi Radzieckiemu – powiedział i wyszedł przez ukryte drzwi.

W sekretariacie czekał na niego Roźdiestwienski.

– Jak poszło, Ilja?

- Nie wiem, czy wolno mi mówić – odrzekł ostrożnie Bubowoj.
- Jeżeli rozmawialiście o operacji sześć-sześć-sześć, to wolno. – Roźdiestwienski wyszedł z nim na korytarz.
- W takim razie spotkanie poszło dobrze, Aleksieju Nikołajewiczu. Bez zgody przewodniczącego nic więcej nie mogę powiedzieć. – Przyjaciel, nie przyjaciel, zawsze mogła to być próba szczelności systemu bezpieczeństwa operacyjnego.
- Powiedziałem mu, że można na tobie polegać, Ilja. Obaj możemy dobrze na tym wyjść.
- Służymy ojczyźnie, Aleksieju, jak wszyscy w tym gmachu.
- Odprowadzę cię do samochodu. Spokojnie zdążysz na lot o dwunastej. – Kilka minut później Roźdiestwienski wrócił do gabinetu Andropowa.
- No i? – zagadnął przewodniczący.
- Mówi, że spotkanie poszło dobrze i że bez waszej zgody nie może nic więcej powiedzieć. Ilja Fiodorowicz to poważny fachowiec, towarzyszu przewodniczący. Czy mam być waszym łącznikiem w tej sprawie?
- Tak – potwierdził Andropow. – Wyślę mu depezę. – Uważał, że nie musi kierować operacją osobiście. Miał umysł stratega, nie taktyka. – Aleksieju Nikołajewiczu, co wiecie o pułkowniku Borysie Strokowie?

141

- O tym Bułgarze? Znam to nazwisko. Starszy oficer wywiadu, specjalizował się kiedyś w organizowaniu i przeprowadzaniu zamachów. Ma bogate doświadczenie. Ilja musi go dobrze znać.
 - W przeprowadzaniu zamachów? – powtórzył Andropow. – Można się w tym specjalizować? – O ten aspekt pracy KGB nigdy dotąd go nie pytał.
 - Oficjalnie zajmuje się czym innym, to oczywiste, ale w Drżawnoj Sigurnosti działa grupa oficerów szczególnie do tego predestynowanych. On jest najbardziej doświadczony.
- Ma nienaganny przebieg służby. O ile dobrze pamiętam, osobiście zlikwidował siedmiu czy ośmiu ludzi, których wyeliminowanie było niezbędne. Myślę, że głównie Bułgarów, kilku Turków pewnie też, ale o ile wiem, nigdy dotąd nie zabił nikogo z Zachodu.
- To trudna praca? – spytał Jurij Władimirowicz.

– Nie mam na tym polu doświadczenia, towarzyszu przewodniczący – wyznał Roźdiestwienski; nie dodał, że wcale nie chce go mieć. – Ci, którzy mają, twierdzą, że najważniejsze jest nie tyle ukończenie misji, co jej wypełnienie, to znaczy uniknięcie późniejszego docho-dzenia. Dzisiejsza policja jest bardzo skuteczna, zwłaszcza w wykrywaniu sprawców najcięższych przestępstw. A w tym przypadku należy oczekiwać niezwykle intensywnego śledztwa.

– Bubowoj chce, żeby ten Stokow pojechał z zamachowcem na miejsce akcji i zaraz potem go zabił.

Roźdiestwienski w zamyśleniu skinął głową.

– Rozsądne posunięcie. O ile pamiętam, my też o tym rozmawialiśmy.

– Tak. – Andropow zacisnął powieki. I znowu stanął mu przed oczami ten obraz. Tak, posunięcie było rozsądne. Na pewno rozwiąże wiele problemów. – Teraz muszę przedstawić sprawę na posiedzeniu Biura i uzyskać ich poparcie.

– Kiedy, towarzyszu przewodniczący? – spytał pułkownik, nie mogąc opanować ciekawości.

– Myślę, że już jutro, po południu.

Nad świadomością znowu zapanowała rutyna szarego dnia. Nagle uderzyło go, jak bezmyślna jest jego praca. Chcieli, żeby wykonywała ją roboty i zrobili z niego robota.

Wszystko znał na pamięć, wiedział, który oficer prowadzący odpowiada za operację o takim to a takim numerze referencyjnym i czego ta operacja dotyczy. Bezwiednie wchłonał tyle informacji, że aż go to zdumiało. Wchłaniał je powoli, stopniowo, niezauważalnie. I dopiero teraz zdał sobie z tego sprawę.

Ale ostatnio cały czas myślał tylko o operacji „15-8-82-666”...

– Zajcew? – Kapitan odwrócił głowę. Pułkownik Roźdiestwienski.

– Tak, towarzyszu pułkowniku?

– Depesza do sofijskiego rezydenta. – Roźdiestwienski podał mu starannie wypełniony formularz.

– Maszynowo czy jednorazówką?

– Nie, jednorazówką.

– Jak sobie życzycie. Wyślemy ją w ciągu kilku minut.

– Dobrze. Kiedy Bubowej wróci, będzie już na niego czekała. – Powiedział to odruchowo, nie myśląc. Ludzie tak zawsze robią, bez względu na to, jak dobrze byli wyszkoleni.

A więc sofijski rezydent odwiedził Centralę? Zajcew nie musiał nawet o to pytać.

– Tak jest, towarzyszu pułkowniku. Czy mam zadzwonić do was z potwierdzeniem?

– Tak. Dziękuję, towarzyszu kapitanie.

– Służę Związkowo Radzieckiemu – odrzekł Zajcew. Roźdiestwienski wrócił na górę, tymczasem jego pochłonęła otępiająca procedura szyfrowania.

ŚCIŚLE TAJNE SPECJALNEGO PRZEZNACZENIA

PILNE

NADAWCA: GABINET PRZEWODNICZĄCEGO, CENTRALA, MOSKWA

ODBIORCA: REZYDENT, SOFIA

DOTYCZY: 15-8-82-666

ROZKAZEM PRZEWODNICZĄCEGO, WASZYM ŁĄCZNIKIEM OPERACYJNYM W TEJ SPRAWIE BĘDZIE PUŁKOWNIK ROŻDIESTWIENSKI.

Niby zwykła depesza administracyjna, choć opatrzona nagłówkiem: ŚCIŚLE TAJNE

SPECJALNEGO PRZEZNACZENIA. I PILNE. Oznaczało to, że wiadomość jest ważna dla przewodniczącego, że dotyczy konkretnej operacji i że nie jest to zwykła informacja dla rezydenta.

Oni naprawdę chcą to zrobić, rozumiał Zajcew.

I co teraz? Żaden z pracowników siedzących w tej sali – żaden z pracowników przebywających w tym gmachu – nie mógł ich powstrzymać. Ale ktoś spoza gmachu...

Zajcew zapalił papierosa. Do domu jak zwykle wróci metrem. Czy ten Amerykanin tam będzie?

Myślę o zdradzie... Przeszedł go zimny dreszcz. Słowo to brzmiało przerażająco, a czyn mógł mieć jeszcze bardziej przerażające konsekwencje.

Ale z drugiej strony co? Miał siedzieć tu i spokojnie czytać depesze, kiedy tamci mordowali niewinnego człowieka? Nie, nigdy.

Wyrwał czysty formularz z grubego na centymetr bloku. Położył go na biurku i miękkim ołówkiem numer jeden po angielsku napisał: Jeśli jesteście tym zainteresowani, niech pan włoży jutro zielony krawat. Tego popołudnia nie miał odwagi na nic więcej. Złożył formu-143

larz i wetknął go do paczki papierosów, starając się robić to powoli i spokojnie, ponieważ w tej sali na pewno zauważono by każdy podejrzany ruch. Potem naskrobał coś na innym czystym formularzu, zmiażdżył go, wrzucił do kosza na śmieci i ponownie zajął się pracą. Przez następne trzy godziny myślał o tym, ilekroć sięgał do kieszeni po papierosy. Za każdym razem miał ochotę wyjąć złożony formularz, podrzeć go na strzępy, strzępy cisnąć do kosza, a potem spalić. Ale za każdym razem pozostawiał go na miejscu, wmawiając sobie, że przecież nic jeszcze nie zrobił. Próbował o tym zapomnieć, uwolnić od tego umysł, zwyczajnie pracować, celowo przestawić się na ogłupiające niemyślenie i dotrwać do końca dnia. Wreszcie doszedł do wniosku, że jego los jest teraz w rękach innych. Że jeśli wróci do domu i nic się po drodze nie zdarzy, spali ten formularz w kuchni i będzie po sprawie. O czwartej po południu spojrzął na pokryty zaciekami sufit i cicho odmówił coś w

rodzaju modlitwy.

Dzień pracy powoli dobiegł końca. Hol, plac, metro, ruchome schody, peron – jak co dzień. Pociągi jeździły z regularnością szwajcarskiego zegarka i wkrótce, wraz z kilkuna-stoma innymi, wsiadł do wagonu.

Wsiadł i zamarło mu serce: Amerykanin stał dokładnie w tym samym miejscu i czytał

gazetę. Trzymał ją w prawej ręce, lewą przytrzymał się uchwyty, a z jego szczupłych ramion zwisał rozpięty płaszcz. Otwarta kieszeń wabiła go jak syreny wabiły Odyseusza.

Przeciskając się między pasażerami, dotarł do środka wagonu, sięgnął za pazuchę i wymacał

w kieszeni papierosy. Wsunął do paczki palce, wyjął formularz, ukrył go w zaciśniętej dłoni i odsuwając się od drzwi, żeby zrobić miejsce dla jakiegoś pasażera – właśnie dojeżdżali do stacji i pociąg zwolnił – niby to niechcący wpadł na Amerykanina. Poszło idealnie. Włożył

mu formularz do kieszeni i natychmiast się cofnął.

A potem wziął głęboki oddech. Stało się. Jego los był teraz rzeczywiście w rękach innych.

Czy to na pewno prawdziwy Amerykanin? – myślał. Czy może prowokator z Drugiego Zarządu Głównego?

Widział jego twarz?

Czy miało to jakieś znaczenie? A odciski palców? Nie zostawił ich na formularzu? Tego też nie wiedział. Z bloku wydzierał go ostrożnie i gdyby wzięli go na przesłuchanie, zawsze mógł powiedzieć, że blok leżał na biurku, że każdy mógł go wziąć. Mało tego, każdy mógł

go o formularz poprosić! Jeśli tylko będzie się tego trzymał, nic z niego nie wyciągną i zamkną dochodzenie... Wkrótce wysiadł i wyszedł na ulicę. Przypalał papierosa z nadzieją, że nikt nie widzi, jak bardzo trzęsą mu się ręce.

Doskonale wyćwiczone zmysły całkowicie go zawiodły. Stał w tłoku, czytał – rozpięty płaszcz zwisał mu z ramion jak z wieszaka – więc czuł jedynie, że ktoś na niego wpada, ktoś go potrąca, jak to w metrze – W Nowym Jorku byłoby tak samo. Ale wysiadając, włożył rękę do lewej kieszeni i coś w niej znalazł, choć wiedział, że nic tam nie wkładał. Zaskoczony uniósł brwi, ale wyszkolenie wzięło górę i szybko się opanował. Uległ pokusie i zerknął

przez ramię, żeby sprawdzić, czy nikt go nie śledzi, lecz natychmiast zdał sobie sprawę, że nawet jeśli tak, to tu, na ulicy, śledzić go będzie ktoś inny niż w metrze, człowiek albo – co bardziej prawdopodobne – kamery rozmieszczone na dachach okolicznych budynków; ta-144

śma filmowa była tu tania jak na całym świecie. Dlatego ruszył do domu jak co dzień, skinął głową strażnikowi przy bramie, wjechał windą na górę i stanął w progu mieszkania.

– Już jestem, kochanie. – Zamknął drzwi i dopiero wtedy wyjął papier z kieszeni. Był

niemal całkowicie pewny, że w mieszkaniu nie ma kamer – nawet amerykańska technologia nie była tak zaawansowana, a on widział w Moskwie wystarczająco dużo, żeby poznać nie-ciekawe przykłady rosyjskiej. Rozłożył formularz i zmartwiał.

– Co na obiad?

– Chodź i zobacz! – odkrzyknęła z kuchni Mary Pat.

Na patelni skwierczały hamburgery. Do tego ziemniaki puree i fasola w sosie pomido-rowym, słowem, jak w robotniczej rodzinie. Amerykańskiej, rzecz jasna, chociaż chleb był

rosyjski, całkiem smaczny. Mały Eddie siedział przed telewizorem i oglądał Transformerów na wideo, które na pewno zajmą go co najmniej przez dwadzieścia minut.

– Zdarzyło się coś ciekawego? – spytała znad patelni Mary Pat. Odwróciła się, żeby po-całować go na dzień dobry, a on odpowiedział ich tajnym kodem:

– Nic, a nic, skarbie. – To ją zaintrygowało, a gdy pokazał jej formularz, wytrzeszczyła oczy.

Ważna była nie tyle ręcznie napisana wiadomość, ile sam nagłówek: CENTRUM ŁĄCZ-NOŚCI KOMITETU BEZPIECZEŃSTWA PAŃSTWOWEGO.

„Jasny gwint...” – powiedziała Mary Pat, bezdźwięcznie poruszając wargami.

Foley w zamyśleniu skinął głową.

– Kochanie, przypilnuj hamburgerów, dobrze? Muszę coś przynieść.

Ed wziął łopatkę i odwrócił hamburgera na drugą stronę. Żona szybko wróciła. Z zielonym krawatem.

Rozdział 11

Język migowy

Oczywiście niewiele mogli zrobić, przynajmniej na razie. Obiad został podany i zjedzony, i mały Eddie wrócił do swoich kreskówek; czterolatków łatwo było zadowolić, nawet tu, w Moskwie. Natomiast jego rodzice zasiedli do rozmowy. Przed laty widzieli w telewizji *Cudotwórcę*, film, w którym Annie Sullivan (Anne Bancroft) uczyła Helen Keller (Patty Duke) języka migowego, i doszli do wniosku, że to bardzo pożyteczna umiejętność, że można się tym językiem porozumieć jeśli nie szybko, to na pewno po cichu.

„I co o tym myślisz?” – spytał Ed.

„To może być bomba”.

„Tak”.

„Ed, ten facet pracuje w rosyjskim odpowiedniku Merkurego! Jezu!”

„Bardziej prawdopodobne, że ma tylko dostęp do formularzy – odrzekł powściągliwie Foley. – Ale włożę zielony krawat i przez tydzień będę jeździł tym samym pociągiem”.

„Super, CP”. – CP było ich prywatnym skrótem na „Coś pięknego”.

„Mam nadzieję, że to nie pułapka ani nie prowokacja”.

„Ryzyko zawodowe, skarbie” – odrzekła Mary Pat. Myśl, że mogą ich zdemaskować, nie przerażała jej, ale wolałaby oszczędzić sobie towarzyszącego temu zażenowania. Do działania, do prawdziwej akcji ciągnęło ją bardziej niż męża. Mąż był ostrożniejszy, miał więcej wątpliwości. Ale, co dziwne, nie tym razem. Jeśli Rosjanie go rozgryźli, jeśli domyślili się, że jest szefem miejscowej ekspozytury CIA albo chociaż tylko zwykłym agentem terenowym –

mało prawdopodobne, pomyślał Ed – musieliby być kompletnymi idiotami, żeby zdekonspirować go tak szybko i tak po amatorsku. Chyba że chcieli coś zademonstrować, nadać temu jakieś znaczenie polityczne. Nie, przecież to zupełnie nielogiczne, tymczasem ci z Komitetu Bezpieczeństwa Państwowego byli bardziej wyrachowani i logiczniejsi niż profesor Einstein.

Nawet FBI nie zdecydowałoby się na tak głupią zagrywkę. Dlatego kontakt musiał być prawdziwy, chyba że Drugi Zarząd Główny potrząsał każdym pracownikiem ambasady, żeby sprawdzić, co może spaść z drzewa. Możliwe, ale cholernie mało prawdopodobne, dlatego warte ryzyka. Tak, włoży zielony krawat i zobaczy, co będzie. I musi uważnie przypatrzeć się twarzom wszystkich pasażerów w wagonie.

„Zawiadomimy Langley?” – zamigała Mary Pat.

Pokręcił głową.

„Za wcześniej”.

Kiwnęła głową, wyciągnęła przed siebie ręce, chwyciła wyimaginowane cugle i zaczęła podskakiwać jak w siodle. Oznaczało to, że ich ścigają, że nareszcie coś się dzieje. Jakby bała się,

że jeszcze trochę i zardzewieje, że wyjdzie z sprawy. Akurat, pomyślał Ed. Gotów był

się założyć, że podczas nauki w szkole parafialnej ani razu nie oberwała po łapach, bo siostry nie przyłapały jej nigdy na żadnym występku...

Cóż, jego chyba też nie.

146

„Tak czy inaczej, jutro będzie ciekawie” – powiedział, na co żona seksownie kiwnęła głową.

Najtrudniej było zapomnieć o tym do końca wieczoru. Mimo wykszolenia, ciągle powracali do tego myśla. Zwerbować agenta w Centrali KGB. Chryste, to jak uderzenie, które pozwala biegaczowi zaliczyć wszystkie bazy i zdobyć punkt w finale rozgrywek o Puchar Świata. Reggie Jackson Foley jako Mister Października.

Kurczę.

– Co my tak naprawdę o nim wiemy, Simon?

– O jego życiu osobistym raczej niewiele – przyznał Harding. – Po pierwsze, to człowiek partii, zawsze, wszędzie i do końca. Odkąd zasiadł w fotelu przewodniczącego KGB, na pewno myśli szerzej. Podobno woli zachodni alkohol od rosyjskiej wódki i lubi amerykański jazz, ale mogą to być zwykłe plotki, rozpuszczane przez tych z Centrali, żebyśmy mieli go za polityka otwartego na Zachód. Nie, moim skromnym zdaniem to mało prawdopodobne.

Andropow to zamordysta. Wystarczy przeczytać jego życiorys. W Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego awansuje się tylko siłą, częstokroć miażdżąc po drodze swoich men-torów. To organizacja, w której obowiązują prawa obłąkanego darwinizmu, Jack.

Najlepiej przystosowani przetrwają w niej tylko pod warunkiem, że zagryzą tych, którzy im zagrażają, albo udowodnią swoją bezwzględność w wybranej przez siebie dziedzinie, zagryzając byle kogo.

– Jest inteligentny? – spytał Ryan.

Harding pyknął z bruyerki.

– Nie jest głupcem. Jest dobrym znawcą ludzkiej natury i pewnie świetnym, jeśli nie błyskotliwym, psychologiem-amatorem.

– Ale nie porównujesz go jakoś do bohaterów Tolstoja i Czechowa – zauważył Jack; cóż, Harding robił dyplom z literatury.

Simon pokręcił głową.

– To byłoby za łatwe. Nie, bohaterowie tacy jak on nie występują na kartach powieści, ponieważ ich autorom brakuje odpowiedniej wyobraźni. Literatura niemiecka nie ostrzegła nas przed Hitlerem, Jack. Stalin najwyraźniej uważał się za drugiego Iwana Groźnego, a Ser-giusz Eisenstein ugruntował to przekonanie, kręcąc o nim epicki film, ale tego rodzaju rzeczy są jedynie dla tych, którym nie starcza wyobraźni, żeby widzieć ludzi takimi, jakimi naprawdę są, a nie takimi, jak ci, których zachowania rozumieją. Nie, Stalin był skomplikowanym i z gruntu niezgłębionym potworem, chyba że jesteś psychiatrą i potrafisz go rozgryźć.

Ja psychiatrą nie jestem. Żeby przewidzieć, jak zareagują, wcale nie trzeba ich dobrze rozumieć, ponieważ w świecie, którego kształt sami sobie nakreślili, tacy ludzie zachowują się bardzo racjonalnie. Wystarczy tylko zrozumieć ten świat, tak przynajmniej uważam.

– Czasami myślę, że powinienem wciągnąć do tej roboty żonę.

– Bo jest lekarką?

– Tak, dobrze zna się na ludziach. Dlatego wypytaliśmy o Susłowa tych lekarzy. A pa-miętaj, że żaden z nich nie jest ani psychiatrą, ani psychologiem.

147

– Tak więc, nie, Jack – westchnął Harding. – O życiu osobistym Andropowa wiemy bardzo mało. Nikt z nas nigdy się tym na poważnie nie zajmował. Jeśli wybiorą go na sekretarza generalnego, jego żona stanie się osobą na wpół publiczną, przynajmniej tak sędzę. Tak czy inaczej, nie ma podstaw, żeby przypuszczać, że jest na przykład homoseksualistą czy kimś takim. Oni nie tolerują tam tego rodzaju aberracji. Koledzy już dawno by to wykorzystali i na dobre zniszczyliby mu karierę. Nie, nie, homoseksualiści żyją tam w głębokim ukryciu. Lepszy jest już chyba celibat...

Dobra, pomyślał Ryan. Wieczorem zadzwonię do admirała i powiem mu, że Anglicy też nic nie wiedzą. Dziwnie go to rozczarowało, choć z drugiej strony mógł przewidzieć, że tak będzie. Mimo olbrzymich zasobów informacji, jakimi dysponowały służby wywiadowcze, dziury w ich wiedzy byłyby dla postronnego obserwatora czymś wielce zaskakującym. On był w tej grze zawodnikiem na tyle nowym, że zaskakiwało go to i poniekąd rozczarowywa-

ło. Jako człowiek żonaty, przywykł do kompromisów i niemal we wszystkim potulnie ustępował żonie, ponieważ – przynajmniej do pewnego stopnia – każdy mężczyzna jest uzależ-

niony od tego, co żona może mu dać – chyba że jest ostatnim prymitywem i zamordystą, a niewielu pasowało do tej kategorii. Prymitywni zamordysty nie awansują w hierarchii żadnej organizacji, ponieważ żadna organizacja nie będzie tolerowała człowieka nieznającego sztuki zawierania kompromisu. Taka była ludzka natura, a natury nie mogła zmienić nawet Komunistyczna Partia Związku Radzieckiego, mimo całej tej gadaniny o Nowym Radzieckim Człowieku, którego próbowano tam stworzyć. Tak, pomyślał Ryan, jasne.

– Cóż... – Harding spojrział na zegarek. – Chyba dość już nasłużyliśmy się Jej Królewskiej Mości.

– Czytasz w moich myślach. – Jack wstał i zdjął z wieszaka marynarkę. Metro, Victoria Station, pociąg: zaczynał wpadać w rutynę. Lepiej by było kupić dom w mieście i raz na zawsze skończyć z tymi dojazdami, ale tu, w Londynie, Sally bawiłaby się na dużo mniejszym trawniku, a Cathy obdarłaby go żywcem ze skóry. Kolejny dowód na to, że jestem uzależniony od jej... walorów, myślał w drodze do windy. Cóż, mogło być gorzej. Ostatecznie walory ma niepodważalne.

W drodze z lotniska do domu pułkownik Bubowoj wstąpił do ambasady. Czekala na niego depesza, którą szybko rozszyfrował: łącznikiem przewodniczącego w wiadomej sprawie mianowano pułkownika Roźdiestwienskigo. Co bynajmniej go nie zaskoczyło. Aleksiej Nikołajewicz był fagasem Andropowa. Świetna fucha. Wystarczy tylko uszczęśliwić szefa, a Jurij Władimirowicz nie należał pewnie do ludzi zbyt wymagających, a już na pewno nie do takich jak ten skurwiel Beria. Ci z partyjnej wierchuszki stawiali co prawda dokładnie –

aż zbyt dokładnie – sformułowane żądania, ale każdy, kto pracował w Sekretariacie, wiedział, jak z nimi pogrywać. Epoka Stalina już dawno minęła.

A więc wyglądało na to, że miał przygotować zamach. Ciekawe, jak zareaguje na to Borys Stokow. Stokow był profesjonalistą. Nie ulegał emocjom i nie miał sumienia, przynajmniej nie w sprawach zawodowych. Praca była dla niego tylko pracą. Jednakże waga i znaczenie tego zadania przekraczało wagę i znaczenie wszystkiego, z czym miał kiedykolwiek do czynienia, służąc w Drżawnoj Sigurnosti. Wystraszy go to czy podekscytuje? Ciekawe... Był człowiekiem niezwykle zimnym: ten chłód imponował, lecz i niepokoił. Za to umiejętności miał wielkie i bardzo przydatne. I jeśli Biuro Polityczne chciało zlikwidować 148

tego irytującego Polaka, Polak będzie musiał umrzeć. Szkoda, ale cóż, jeżeli to, w co wierzył, było prawdą, wyślą go prosto do nieba jako świętego męczennika. Na pewno marzył o tym skrycie każdy ksiądz.

Niepokoili go jedynie polityczne reperkusje. Wiedział, że mogą być katastrofalne, dlatego cieszył się, że jest jedynie pośrednikiem. Gdyby coś poszło nie tak, cóż, to nie jego wina. A Stokow będzie do tego najlepszy. Tak, zdecydowanie. Nie da się temu zaprzeczyć, nie zaprzeczyłaby temu żadna komisja śledcza, gdyby taką powołano. Wystarczy przeczytać jego życiorys.

Ostrzegł przewodniczącego, że strzał, nawet strzał z bliskiej odległości, nie musi być śmiertelny. Musiał tylko zaznaczyć to w raporcie, żeby w aktach operacji „15-8-82-666” znalazła się jego oficjalna ocena. Raport napisze sam, osobiście, i wyśle go do Centrali pocztą dyplomatyczną. A do sejfu włoży kopię. Tak na wszelki wypadek, żeby mieć podkładkę.

Teraz musiał czekać na zgodę Biura Politycznego. Czy te stare baby się zdecydują? Nie dałby za to głowy. Breżniew zupełnie zdziecinniał. Czy zdziecinniały Leonid Iljicz okaże się krwiożerczą bestią czy przesadnie ostrożnym staruszkiem? Trudne pytanie, nie sposób na nie odpowiedzieć. Powiadano, że jego następcą będzie Jurij Władimirowicz. Jeśli tak, Bubowej miał szansę zdobyć ostrogi.

– A więc jak, Michaiłe Jewgieniewiczu, poprzecie mnie jutro? – spytał Andropow. Siedzieli u niego i pili drogą, zagraniczną wódkę.

Aleksandrow, następca głównego ideologa Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego, zakręcił kieliszkiem.

– Susłowa jutro nie będzie. Mówią, że wysiadły mu nerki, że zostały mu najwyżej dwa tygodnie... A wy? Wy mnie poprzecie?

– Misza, czy musisz o to pytać? – odparł przewodniczący Komitetu Bezpieczeństwa Państwowego. – Oczywiście, że poprę.

– Dobrze. A ta wasza operacja? Jakie ma szanse powodzenia?

– Moi ludzie twierdzą, że pół na pół. Zorganizuje ją pewien Bułgar, ale ze względów bezpieczeństwa zamachu dokona Turek...

– Czarnuch? – spytał ostro Aleksandrow. – Muzułmanin?

– Misza, ten człowiek zostałby na pewno zatrzymany. Według naszych planów ma zginąć. Nie sposób oczekiwać, że zdoła zbiec, nie podczas akcji na taką skalę. Nie możemy wy-słać tam jednego z naszych. Charakter operacji wiąże nam ręce. Idealnym rozwiązaniem był-

by snajper, na przykład ze Specnazu. Strzeliliby z trzystu metrów i byłoby po sprawie, ale wskazywałoby to na operację kierowaną ze szczebla rządowego, państwowego. Nie, to musi wyglądać na czyn pojedynczego szaleńca, takiego, jakich mają w Ameryce. Ech, ci Amerykanie. Głupi są. Dysponowali tyloma dowodami, mimo to chcieli obarczyć nas winą za śmierć Kennedy’ego, nas i Fidela. Nie, ślady, które pozostawimy, muszą wyraźnie wskazywać, że nie mieliśmy z tym nic wspólnego. A to ogranicza metody operacyjne. Moim zdaniem wy-myśliliśmy najlepszy plan, jaki można było wymyślić.

Aleksandrow wypił łyk wódki.

– Dokładnie go przeanalizowaliście?

– Dokładnie i w ścisłej tajemnicy. W tym przypadku to konieczne. Bezpieczeństwo przede wszystkim, Michaile Jewgieniewiczu.

– Na pewno, Jurij, ale ewentualna porażka...

– Misza, ryzyko masz wszędzie, w każdym aspekcie życia. Najważniejsze jest to, żeby nikt nas sobie z tym nie skojarzył. I na pewno nie skojarzy. A jeśli ten Wojtyła zostanie cięż-

ko ranny, powstrzyma to chociaż jego zapędy, nie sądzisz?

– Powinno.

– Poza tym pięćdziesiąt procent szans na porażkę to również pięćdziesiąt procent szans na całkowity sukces, nieprawdaż?

– W takim razie tak, poprę was. Leonid Iljicz też. To o wszystkim przesądzi. A potem?

Kiedy się z tym uporacie?

– W miesiąc, może w półtora.

– Tak szybko? – Partyjne sprawy rzadko kiedy załatwiano tak błyskawicznie.

– Jaki sens podejmować tego rodzaju akcję – Amerykanie nazywają to chyba „realizacją decyzji wykonawczej”, prawda? – skoro przygotowania do niej trwają miesiącami? Jeśli już mamy to zrobić, zróbmy to szybko, żeby zapobiec jego dalszym intrygom.

– Kto go zastąpi?

– Pewnie jakiś Włoch. To, że go wybrali, było poważnym odstępstwem od reguły. Po jego śmierci Włosi chętniej powrócą do starych zwyczajów.

Aleksandrow wybuchł śmiechem.

– Tak, reakcję tych religijnych fanatyków łatwo przewidzieć...

– A więc poprzecie mnie na jutrzejszym posiedzeniu? – Andropow chciał mieć absolutną jasność sytuacji.

– Tak, Juriju Władimirowiczu, poprę. A wy poprzecie moją kandydaturę na stanowisko Susłowa.

– Już jutro, towarzyszu – obiecał przewodniczący KGB. – Już jutro.

Rozdział 12

Pomnik

Tym razem budzik zadziałał i obudził ich oboje. Ed Foley wstał, wszedł do łazienki, szybko ustąpił miejsca żonie i poczłapał obudzić małego Eddiego, tymczasem Mary Pat zaczęła przygotowywać śniadanie. Syn natychmiast włączył telewizor: akurat leciała poranna gimnastyka, którą prowadziła – jak na całym świecie – kobieta o imponującej budowie ciała, z tym że ta tutejsza z powodzeniem mogłaby porachować kości sierżantowi rangersów z Fort Benning w Georgii. Ponieważ Eddie oglądał w Stanach serial z Lyndą Carter, widząc tę krzepką rosyjską niewiastę, zawsze krzyczał: „Lobotniica”! Mary Pat uważała, że Robotnica rozjaśnia sobie włosy, a Ed krzywił się na jej widok, twierdząc, że od samego patrzenia na to, co baba wyczynia, bolą go wszystkie mięśnie. Ale nie mając porządnej gazety ani nawet wkładki poświęconej sportowi, nie miał również wyboru, dlatego siedział przed telewizorem jak senne warzywo, podczas gdy jego syn chichotał rozkosznie do końca programu.

Gimnastyka szła na żywo. Żeby zdążyć do studia, babsztyl musiał wstać o czwartej rano, więc dla niej też była to prawdziwa poranna zaprawa. Cóż, przynajmniej pogrywali uczciwie. Za męża ma pewnie czerwonoarmistę, myślał Foley, czekając na wiadomości. Komandosa, którego codziennie leje. Ot tak, dla wprawy.

Wiadomości nadawali o wpół do siódmej. Cała sztuka polegała na tym, żeby oglądając je, wykoncypować, co tak naprawdę dzieje się na świecie. Zupełnie jak w Stanach, mruknął

w duchu Ed; nie ma to jak poranny nastrój. Ale w ambasadzie czekał już na niego „Poranny Ptaszek”, który przylatywał faksem aż z Waszyngtonu. Życie w Moskwie było dla Amerykanina jak życie na bezludnej wyspie. Na dachu ambasady mieli przynajmniej talerz i mogli oglądać CNN oraz parę innych programów. Dzięki temu czuli się jak normalni ludzie – powiedzmy.

Śniadanie jak śniadanie. Mały Eddie jadł swoje płatki; mleko było fińskie, bo Mary Pat nie ufała miejscowym sklepom, poza tym do sklepu dla obcokrajowców mieli ledwie dwa kroki. Przy stole prawie nie rozmawiali ze względu na łązące po ścianach „pluskwy”. Zresztą w domu nigdy nie rozmawiali o poważnych sprawach – chyba że językiem migowym – a już na pewno nie przy synku, ponieważ małe dzieci nie są w stanie dochować żadnej tajemnicy. Ci z podsłuchu zdążyli się już pewnie nimi znudzić, na co Foleyowie ciężko pracowali, zachowując się spontanicznie na tyle często – choć nie za często – żeby uchodzić za typowych Amerykanów. Uważnie tę spontaniczność dawkowali. Zaplanowali ją starannie jeszcze w Langley, z pomocą radzieckiego zbiega, byłego pracownika Drugiego Zarządu Głównego KGB.

Mary Pat wyłożyła na łóżko jego ubranie. Leżał tam również zielony krawat do brązowego garnituru; uważała, że mężowi jest dobrze w brązowym, podobnie jak nowemu prezydentowi. Ed miał też włożyć ten sam luźny płaszcz i nie zapinać go w metrze na wypadek, gdyby doszło do kolejnego kontaktu, słowem, czekał go dzień celowo stępionych zmysłów.

– Co dzisiaj robisz? – spytał w salonie.

– To co zwykle. Może spotkam się z Penny, ale dopiero po lunchu.

– Z Penny? Pozdrów ją ode mnie. Może umówimy się z nimi na kolację pod koniec tygodnia?

– Dobry pomysł. Wy tłumaczą mi przy okazji, na czym polega rugby.

151

– Rugby? Rugby to taki pokręcony futbol, kochanie. No, idę uszczęśliwiać moich dziennikarzy.

– Właśnie! – wykrzyknęła ze śmiechem Mary Pat, obmacując wzrokiem ściany. – Wiesz, ten facet z „Boston Globe” to straszny głupek...

Ranek był miły, acz na tyle chłodny, że w powietrzu czuło się już nadchodzącą jesień.

Foley pomachał ręką wartownikowi przy bramie i ruszył w kierunku metra. Wartownik z porannej zmiany potrafił się czasem uśmiechnąć. Najwyraźniej miał za częste kontakty z obcokrajowcami albo tak wyszkolili go w KGB. Był w mundurze moskiewskiej milicji, lecz Foley uznał, że wygląda za inteligentnie jak na milicjanta. Moskwianie uważali, że w milicji służą prymitywne męty i on raczej by do nich nie trafił.

Spacerkiem do metra, tylko dwie ulice. Przechodzenie na drugą stronę jezdni było w Moskwie bezpieczne – o wiele bezpieczniejsze niż w Nowym Jorku – ponieważ prywatnych samochodów jeździło tu tyle, co kot napłakał. I dobrze, bo w porównaniu z rosyjskimi kierowcami ci włoścacy byli uosobieniem rozwagi i zdyscyplinowania. Natomiast sądząc po drogowych manierach kierowców wszechobecnym wywrotkom, ludzie ci musieli kiedyś prowadzić czołgi. Kupił w kiosku „Prawdę” i ruchomymi schodami zjechał na peron. Jako człowiek pedantyczny i skrupulatny, co rano przychodził na stację o tej samej godzinie, którą dla pewności sprawdzał na zwisającym z sufitu zegarze. Podziemne pociągi jeździły tu z nieludzką wprost punktualnością, więc wsiadł do wagonu dokładnie o siódmej czterdzieści trzy. Wsiadając, nie zerknął przez ramię. Siedział tu za długo, żeby rozglądać się na wszystkie strony jak ciekawski turysta, poza tym dzięki temu, że przestał się wreszcie rozglądać, śledzący go agenci KGB na pewno już zwątpili i uznali, że jest równie interesujący, jak kasza, którą jedli tu na śniadanie, zapijając paskudną kawą. Kontrolę jakości Rosjanie stosowali wyłącznie w produkcji broni nuklearnej i w programie badań kosmicznych, chociaż sądząc po tym, co do tej pory widział w mieście, gdzie porządnie funkcjonowało jedynie metro, miał wątpliwości i co do tego. Tu wszystko było dziwną kombinacją niemieckiej dokładności i klasycznej partaniny. Sprawność funkcjonowania urzędów czy instytucji można było ocenić na podstawie tego, do czego urządzenia te i instytucje służyły. Najwyższy priorytet miały oczywiście operacje wywiadowcze, ponieważ Rosjanie nie chcieli, żeby wrogowie Związku Radzieckiego dowiedzieli się... Nie, nie, nie tego, że Sowietci już coś mają, tylko te-go, że czegoś im jeszcze brakuje. Informacje o ich wojsku przekazywał mu Kardynał i koledzy z Langley. Zwykle były bardzo ciekawe i podnoszące na duchu, ponieważ im więcej ich dostawał, tym mniej się martwił. Nie, najbardziej liczył się tu jednak wywiad polityczny, bo choć zacofani, Rosjanie wciąż byli silni na tyle, żeby sprawić kłopoty, gdyby w porę się ich nie powstrzymało. Szefowie Langley bali się teraz o papieża. Najwyraźniej zrobił coś,

co postawiło Rosjan w krępującej sytuacji. A ruscy lubili to tak samo jak Amerykanie, z tym, że oni nie biegli do redakcji „Washington Post”, żeby wyrównać rachunki za pośrednictwem prasy.

Ritter i Moore niepokoiли się, że mogą coś zrobić, ale jeszcze bardziej martwiło ich to, co mo-

że zrobić Jurij Andropow. Foley nie potrafił go rozgryźć. Jak większość pracowników CIA, znał go jedynie z twarzy, nazwiska i z tego, że facet miał przezartą wątrobę. Skąd mieli tę ostatnią informację, tego nie wiedział. Może od Brytyjczyków... jeśli tylko można im ufać. A ufać im musiał, chociaż mieli w sobie coś, co przyprawiało go o nerwowe drżenie skóry na karku. Cóż, oni z kolei mieli pewnie wątpliwości co do CIA. Taka to zwariowana gra. Spojrzał na pierwszą stronę gazety. Nic ciekawego, nie licząc artykułu na temat Układu Warszawskiego. Ciągle mieli pietra przed NATO. Może naprawdę bali się, że któregoś dnia nie-152

miecka armia ponownie ruszy na wschód. Dręczyła ich taka paranoja, że... Paranoję wynaleziono najpewniej w Rosji. Może Freud przyjechał tu kiedyś na wycieczkę i po prostu ją odkrył, dumając Ed, dyskretnie zerkając wokoło, czy nikt go nie obserwuje. Nie, chyba jednak nie. Czy to możliwe, żeby KGB przestało mnie śledzić? Możliwe, ale mało prawdopodobne.

Jeśli posadzili mi kogoś na ogonie – agenta, może nawet cały zespół – facet na pewno jest zawodowcem, ekspertem, tylko... po cholerę mieliby nasyłać na mnie eksperta? Nasyłać eksperta na attaché prasowego ambasady amerykańskiej? Foley westchnął. Czy nie za bardzo się tym wszystkim przejmował? Może on też zaczynał wpadać w paranoję? Bo jak tu rozróż-

nić paranoję od zwykłego niepokoju? Dał się im podpuścić? I jeszcze ten zielony krawat.

Czyżby już go zdemaskowali? Skąd, u licha, miał wiedzieć?

Gdyby wpadł, wpadłaby również jego żona i byłby to koniec ich wielce obiecującej kariery w CIA. Byli ulubieńcami Boba Rittera, jego jasnowłosymi faworytami, przedstawicielami młodych zawodowców z Langley – budowali tę reputację długo i musieli jej pilnie strzec. Informację o ewentualnym werbunku przeczyta sam prezydent Stanów Zjednoczonych i niewykluczone, że w oparciu o ich raport podejmie szereg decyzji. Decyzji ważnych dla polityki całego kraju. Ciężka na nich olbrzymia odpowiedzialność. Taka odpowiedzialność mogła doprowadzić do szału, zmusić do nadmiernej ostrożności, do ostrożności tak dużej, że aż paraliżującej. Tak, największym problemem w tej branży było zachowanie równowagi między ostrożnością i efektywnością działania. Przechyliš się za mocno w jedną stronę, i nie zrobisz nic pożytecznego. Przechyliš się za mocno w drugą, i się spalisz, ty i twoi informatorzy, a w tym kraju oznaczało to pewną śmierć ludzi, za których odpowiada-

łeś. Taki dylemat może wpędzić człowieka w alkoholizm.

Pociąg stanął. Foley wysiadł i wjechał schodami na górę. Był niemal pewien, że nikt nie grzebał mu w kieszeni. Sprawdził to na ulicy. Nie, kieszeń była pusta. Tak więc albo facet jeździł tylko popołudniowym pociągiem, albo ci z KGB próbowali go wybadać. Wiedział, że nie da mu to

spokoju przez cały dzień.

– To dla was – powiedział Dobrik, podając mu depeszę. – Z Sofii.

– Tak?

– W spisie priorytetówek stoi, że ten numer obsługujecie tylko wy, Olegu Iwanowiczu.

Ale depesza jest przynajmniej krótka.

– Aha. – Zajcew zerknął na nagłówek formularza: 15-8-82-666. A więc uznali, że jeśli zamiast nazwiska napiszą sam numer, nagłówek nie trzeba szyfrować. Nie zareagował, niczego mu nie wyjaśnił. Taki obowiązywał tu zwyczaj. Kola dumiał pewnie i dumiał: co też to takiego jest? Takie dumanie, snucie domysłów na temat treści depeesz, których nie mogło się przeczytać, było tu swego rodzaju sportem. Ta przysłała czterdzieści minut po jego wyjściu. –

Początek służby i od razu robota... Coś jeszcze, Nikołaju Konstantinowiczu?

– Nie, zostawiam wam czyste biurko. – Dobrik był pracowitym urzędnikiem, bez wzglę-

du na swoje wady. – Depeszę oddałem, to i służbę przekazałem. W domu czeka na mnie pełna butelka wódki.

– Najpierw coś zjedz, Kola.

– Mówisz jak moja matka. Może zapiję śniadanko kanapką – zażartował.

153

– Śpijcie dobrze, towarzyszu kapitanie. Przejmuję służbę. – Zajcew usiadł. Dziesięć minut później depesza była już rozszyfrowana: łącznikiem operacji numer referencyjny 15-8-82-666 został pułkownik Roźdiestwienski i sofijski rezydent oficjalnie to potwierdzał. A więc postawili kropkę nad „i”. „15-8-82-666” była teraz operacją w pełnym toku. Włożył rozszyfrowaną depeszę do dużej, żółtej koperty, zakleił ją i zapieczętował gorącym woskiem.

Oni naprawdę chcą go zabić. Oleg Iwanowicz zmarszczył czoło. I co ja mam teraz zrobić?

Pracować jak co dzień, a potem poszukać w metrze zielonego krawatu. I co? Modlić się, żeby tam był? Czy żeby go nie było?

Zajcew potrząsnął głową, wezwał posłańca i kazał mu zanieść kopertę na górę. Chwilę później na

jego biurku wylądował kosz z depeszami do rozszyfrowania.

– Ups! – Wiadomość – bardzo długa – od Rittera i Moore’a, którzy przemawiali w imieniu samego prezydenta. Czekala go powazna robota.

Moskiewska ekspozytura CIA nie dysponowala lista agentow ani nawet lista ich kryptonimow: lista takiej nie bylo nawet w sluzbowym sejfie Foleya, ktory, oprócz skomplikowanego zamka z pokrętem do wprowadzania kombinacji, był wyposażony w dwufazowy alarm z jedną tablicą numeryczną na drzwiczkach i drugą w środku; kod dezaktywujący tę zewnętrzną różnił się od kodu tej wewnętrznej, a oba ustalał on, Ed Foley, i to osobiście. Na każdy alarm, strzegący ambasady żołnierze piechoty morskiej mieli obowiązek interweniować z dobytą bronią, ponieważ w sejfie tym spoczywały dokumenty najtajniejsze z tajnych.

Ale Ed znał na pamięć nie tylko nazwiska wszystkich Rosjan, którzy pracowali dla Agencji, ale i dziedziny w jakich się specjalizowali. Obecnie aktywnych było dwunastu. Na tydzień przed jego przyjazdem do Moskwy jednego stracili. Nikt nie widział, jak się spalił i Foley bał się, że mają w Langley „kreta”. Takie myślenie to czysta herezja, ale skoro CIA próbowała zinfiltrować KGB, dlaczego ci z KGB nie mieliby zinfiltrować CIA? W tej roz-grywce nie było sędziów, którzy powiadamialiby zawodników o wyniku meczu. Spalony agent miał kryptonim Sousa. Był podpułkownikiem GRU i pomógł im wykryć przecieki w niemieckim Ministerstwie Obrony oraz innych NATOwskich instytucjach, przecieki, dzięki którym KGB pozyskiwało ważne informacje polityczno-militarne. Ale Sousa już nie żył. Mo-

że jeszcze oddychał, ale już nie żył. Foley miał nadzieję, że nie wsadzili go żywcem do pieca, jak innego agenta pracującego w GRU w latach pięćdziesiątych. Dość okrutny sposób egzekucji, nawet jak na Rosjan za czasów Chruszczowa: Ed był pewien, że oficer, który tego nieszczęśnika prowadził, przez wiele nocy nie zmrużył oka.

Do tej sprawy będzie musiał przydzielić dwóch, może trzech agentów. Mieli niezłego w KGB i w Komitecie Centralnym. Może któryś z nich słyszał o operacji przeciwko papieżowi.

Cholera, myślał. Czyżby aż tak im odbiło? Żeby na coś takiego wpaść, trzeba mieć niezłą wyobraźnię. Jako Irlandczyk z pochodzenia, katolik z wykształcenia i wyznania, Ed Foley musiał odłożyć na bok wnioski osobiste. Tego rodzaju spisek był może obłąkany, ale on miał

do czynienia z ludźmi, którzy nie uznawali ograniczeń, a już na pewno ograniczeń narzuconych przez wrogą agencję wywiadowczą. Bogiem była dla nich polityka, a zagrożenie dla ich świata politycznego kimś w rodzaju Lucyfera próbującego zmienić porządek w niebie. Ale na tym podobieństwo się kończyło. Kimś w rodzaju Lucyfera? Raczej Archanioła Michała 154

próbującego poprzestawiać wszystko w piekle. Mary Pat nazywała to „brzuchem bestii”, a ta bestia była wyjątkowo, wprost kurewsko paskudna.

– Tatuś! – wykrzyknęła Sally, budząc się jak zwykle z uśmiechem. Zaprowadził ją do łazienki, a potem sprowadził na dół, gdzie czekała już owsianka. Sally miała na sobie śpioszki z króliczkiem, takie ze stopkami, na długi zamek błyskawiczny. Były żółte, największego rozmiaru, ale córka zaczynała z nich wyrastać. Wkrótce będzie musiała sypiać w piżamce albo koszuli, ale było to już zmartwienie Cathy.

Poranek zaliczyli rutynowo. W połowie karmienia małego Jacka Ryan odłożył gazetę i poszedł się ogolić. Zanim się ubrał, Cathy skończyła karmić synka i poszła umyć się i ubrać, podczas gdy on odbił Jacka i włożył mu ciepłe skarpetki, żeby maluch miał co ścierać z nóg, zanim sprawdzi, czy stopy smakują tak samo jak poprzedniego dnia; niedawno się tego nauczył.

Niebawem zadzwonił dzwonek u drzwi. Przyszła Margaret von der Beek, a zaraz po niej Ed Beaverton, dzięki czemu rodzice mogli uciec do pracy. Na Victoria Station Cathy pocałowała męża na do widzenia i pojechała metrem do Moorefields, a Jack, innym pociągiem, do Century House. Dzień rozpoczął się na dobre.

– Dzień dobry, sir Johnie.

– Cześć, Bert. – Ryan przystanął. Bert Canderton musiał być kiedyś żołnierzem, miał to wypisane na twarzy. – Bert, gdzie pan służył?

– Byłem starszym sierżantem sztabowym w Royal Green Jackets, sir.

– W piechocie?

– Tak jest.

– W Green Jackets? W zielonych? Myślałem, że nosicie czerwone.

– To poniekąd wasza wina, sir, to znaczy Jankesów. Podczas amerykańskiej wojny o nie-podległość wasi strzelcy zadali nam tak duże straty, że dowództwo pułku uznało, że bezpieczniejsze będą zielone. Tak jest po dziś dzień.

– Jak tu pan trafił?

– Czekam na miejsce w Tower, sir. Chcę służyć w królewskiej straży przybocznej. Podobno za parę miesięcy ma się tam coś zwolnić.

Jego policyjnopodobną bluzę zdobiły liczne baretki. Na pewno nie dostał ich w nagrodę za dobrze wymyte i wyczyszczone nicią zęby: brytyjski starszy sierżant sztabowy był w wojsku kimś, tak samo jak starszy sierżant sztabowy w amerykańskiej piechocie morskiej.

– Byłem tam, w ich klubie. To świetnie wyszkoleni chłopcy.

– Tak. Mam tam kumpla, Micka Truelove'a. Przedtem służył w Królewskim Pułku.

– Cóż, sierżancie. Pilnujcie, żeby nie wszedł tu żaden wróg. – Ryan włożył kartę do elektronicznego czytnika.

– Tak jest.

Harding siedział już za biurkiem. Jack powiesił marynarkę na wieszaku.

155

– Co tak wcześnie, Simon?

– Wczoraj wieczorem, a właściwie tuż po północy, Basil dostał faks od sędziego Moore’a.

Masz, zobacz. – Harding podał mu kartkę.

Ryan zmrużył oczy.

– Papież?

– Interesuje się tym wasz prezydent, nasza pani premier też. – Harding ponownie przypalił fajkę. – Basil wezwał nas z samego rana, żebyśmy przejrzeliby to, co mamy.

– Dobra, a mamy coś?

– Niewiele. Nie mogę mówić z tobą o naszych informatorach, ale...

– Simon, nie jestem głupi. Wiem, że kogoś tam macie. Kogoś, kto siedzi blisko tych z Biura Politycznego albo tych z Sekretariatu. I co? Facet milczy? – Ryan czytał bardzo interesujący raport, już tu, w Londynie, i wiedział, że sporządził go ktoś stamtąd, z tego wielkiego, czerwonego namiotu.

– Nie mogę potwierdzić twoich podejrzeń, ale żaden z naszych informatorów niczego nam jak dotąd nie przekazał. Nie wspomniał nawet o „Warszawskim liście”, chociaż list ten na pewno już tam dotarł.

– A więc nie wiemy nic? Nic a nic?

Simon posępnie skinął głową.

– Nic a nic.

– Jakże często się to zdarza. Zdumiewające.

– Taka praca.

– I co? Pani premier robi w majtki?

Harding aż zamrugał z wrażenia.

– Na to wygląda.

– Więc co jej mamy powiedzieć? Że nic nie wiemy? Na pewno się ucieszy.

– Nie, nasi politycy nie lubią wysłuchiwać takich rzeczy.

Nasi też nie, pomyślał Ryan.

– Basil będzie musiał trochę popływać. Umie?

– Nawet bardzo dobrze. W tym przypadku będzie mógł powiedzieć, że wy też nic nie wiecie.

– Może popytać tych z NATO?

Harding pokręcił głową.

– Nie. Gdyby doszło do przecieku, Moskwa dostałaby cynk, że się tym interesujemy i że nic nie wiemy.

– Dobrzy są?

156

– Ci z NATO? Zależy kto. Francuska SDECE miewa niezłe informacje, ale niechętnie się nimi dzieli. Tak samo jak Izraelczycy. Niemieckie służby wywiadowcze są do cna zinfiltrowane. Ten Markus Wolf z NRD to, cholera, geniusz. Jest chyba najlepszy w świecie i siedzi u ruskich w kieszeni. Włosi? Są utalentowani, ale też mają problemy z infiltracją. Wiesz, cał-

kiem możliwe, że najwięcej wie w tej chwili wywiad samego Watykanu, ale jeśli Rosjanie coś knują, robią to pod szczelną przykrywką. Są w tym bardzo dobrzy.

– Słyszałem. Kiedy Basil jedzie na Downing Street?

– Po lunchu. Ma tam być o trzeciej.

– I co mu powiemy?

– Boję się, że niewiele. Co gorsza, on chce, żebym też tam był.

– Bomba – mruknął Ryan. – Będziesz miał kupę zabawy. Znasz ją osobiście?

– Panią premier? Nie, ale czytała moje analizy i podobno chce mnie poznać. Tak przynajmniej twierdzi Basil. – Simon zadrżał. – Byłoby dużo lepiej, gdybym mógł powiedzieć jej coś konkretnego.

– Dobra, przeanalizujmy to, może coś wymyślimy. – Jack usiadł. – Co dokładnie wiemy?

Harding przesunął w jego stronę plik dokumentów. Ryan usiadł wygodniej i zaczął je przeglądać.

– Ten list dostaliście z Polski, tak?

Simon zawahał się, ale było oczywiste, że na to pytanie musi odpowiedzieć.

– Tak.

– A z Moskwy nie macie absolutnie nic?

Harding pokręcił głową.

– Nic. Wiemy, że list tam dotarł, ale to wszystko.

– W takim razie ciemno widzę, brachu. Przed wizytą u pani premier strzel sobie duże piwo.

Harding podniósł wzrok.

– Wielkie dzięki, Jack. Nie ma to jak odrobina otuchy.

Przez chwilę obaj milczeli.

– Lepiej pracuje mi się na komputerze – powiedział w końcu Ryan. – Trudno będzie ściągnąć tu komputer?

– Niełatwo. Najpierw musieliby go zabezpieczyć, żeby nikt spoza budynku nie mógł odczytać tekstu z uderzeń palców w klawisze. Spróbuj, zadzwoń do administracji.

Ale nie dzisiaj, pomyślał Ryan. Zdążył się już przekonać, że panująca w Century House biurokracja jest co najmniej równie koszmarna, jak ta w Langley i po kilku latach pracy w sektorze prywatnym mogła doprowadzić każdego do szału. Dobra. Postanowił coś wymy-

ślić, żeby szefostwo nie przyprawiło Simonowi drugiego tyłka. Pani premier była kobietą, ale stawiała podwładnym tak wysokie wymagania, że ojciec Tim z Georgetown był przy niej marnym chłystkiem.

Oleg Iwanowicz wrócił z lunchu i postanowił stawić czoło faktom. Wkrótce będzie musiał zdecydować, co i w jaki sposób powiedzieć Amerykaninowi.

Jeżeli jankes był zwykłym pracownikiem ambasady, na pewno przekazał jego list szefowi ekspozytury CIA; Zajcew wiedział, że na pewno kogoś takiego mają, kogoś w rodzaju rezydenta, który szpieguje w Związku Radzieckim, tak samo jak Rosjanie szpiegowali na całym świecie. Pytanie tylko, czy szpiegowali również jego, tego Amerykanina. Bo ci z Drugiego Zarządu Głównego, ludzie, przed którymi drżałby sam diabeł, mogli go już „obrócić”.

Ten pozornie amerykański Amerykanin mógł być również rosyjską przynętą.

Dlatego najpierw, myślał Zajcew, trzeba się na sto procent upewnić, czy to nie podpucha. Tylko jak to zrobić?

I nagle go olśniło. Tak, z taką sztuczką KGB na pewno sobie nie poradzi. To upewni go, że ma do czynienia z kimś, kto jest w stanie spełnić jego żądanie. A temu żądaniu sprostać mogli tylko Amerykanie. Żeby uczcić tę genialną myśl, kapitan zapalił kolejnego papierosa i zajął się porannymi depezzami z waszyngtońskiej rezydentury.

Tony’ego Prince’a, korespondenta „New York Timesa”, trudno było polubić. Rosjanie szanowali go i liczyli się z jego zdaniem i Ed Foley uważał, że już samo to świadczy o słabości jego charakteru.

– Jak ci się podoba nowa praca, Ed? – spytał Prince.

– Dopiero się wciągam. Ale tak, rozmowy z rosyjskimi dziennikarzami są nawet interesujące. To ludzie nieprzewidywalnie przewidywalni.

Korespondent wykrzywił usta w uśmiechu.

– Ed, jak można być nieprzewidywalnie przewidywalnym?

– Można. Po prostu wiesz, o co pytają, ale nie wiesz jak. – I jeśli jeszcze tego nie zauważyłeś, baranie, połowa z nich to agenci KGB.

Prince wybuchł sztucznym śmiechem. Nie ma to jak zdrowe poczucie wyższości. Foley zawalił jako reporter, podczas gdy on, dzięki swej politycznej mądrości i przebiegłości, dotarł na sam szczyt amerykańskiego dziennikarstwa. Miał dobre kontakty w rosyjskim rzą-

dzie i wytrwale je pielęgnował, współczując radzieckim towarzyszom niekulturalnego, wprost gburowatego zachowania waszyngtońskiego reżimu, którego decyzje czasami pró-

bował im wyjaśniać, wielokrotnie zaznaczając, że on na tego aktorzyne nie głosował, ani on, ani nikt

z jego nowojorskiej redakcji.

– Poznałeś już tego Aleksandrowa?

– Nie, ale słyszałem od znajomego, że to rozsądny gość, że opowiada się za pokojowym współistnieniem. Jest ponoć bardziej liberalny od Susłowa. Powiadają, że Susłow jest bardzo chory.

– Tak, podobno, ale nie wiem na co.

158

– Nie wiesz? – zdziwił się Prince. – Jest diabetykiem. Dlatego przylecieli tu nasi lekarze z Baltimore. Operowali mu oczy. Ma retynopatię cukrzycową. – Dwa ostatnie słowa wypowiedział powoli i wyraźnie, żeby Foley je zrozumiał.

– Będę musiał spytać naszego lekarza, co to znaczy. – Ed demonstracyjnie zapisał to w notatniku. – A więc myślisz, że ten Aleksandrow jest bardziej liberalny? – Prince najwyraź-

niej uważał, że „liberalny” znaczy tyle co „porządny”.

– Nie poznałem go osobiście, ale tak mówią moi informatorzy. Mówią też, że kiedy Su-słow pożegna się z tym światem, Aleksandrow zajmie jego miejsce.

– Naprawdę? Muszę powiedzieć to ambasadorowi.

– A szefowi rezydentury nie powiesz?

– Wiesz, kto nim jest? Bo ja nie.

Prince przewrócił oczami.

– Ron Fielding. Chryste, przecież wszyscy o tym wiedzą.

– Nieprawda – zaprotestował stanowczo Foley, wykorzystując cały swój aktorski talent.

– Ron Fielding jest starszym urzędnikiem konsularnym, nie agentem CIA.

Prince uśmiechnął się i pomyślał: ty nigdy nie grzeszyłeś bystrością, co? O Fieldingu wiedział od swoich rosyjskich przyjaciół, a oni by mu nie skłamali.

– Cóż, oczywiście to tylko domysły...

A gdybyś myślał, że szefem ekspozytury jestem ja, natychmiast byś to wszystkim wy-chlapał, co? Ty służalczy kutasie.

- Owszem, wprowadzono mnie w niektóre sprawy, ale nie w tę.
- Wiem, kogo wprowadzono na pewno – podpuszczał Prince.
- Też wiem, ale nie zamierzam o to pytać ambasadora. Urwałby mi łeb.
- Przecież to tylko funkcja polityczna, nic specjalnego. Na to stanowisko powinni wyznaczyć kogoś, kto zna się na dyplomacji, ale prezydent nie pytał mnie o radę.

I dzięki Bogu, pomyślał Foley.

- Fielding często się z nim spotyka, prawda? – ciągnął Prince.
- Konsul współpracuje bezpośrednio z ambasadorem, Tony. Dobrze o tym wiesz.
- Tak, bardzo wygodny układ, co? A ty? Często go widzisz?
- Szefa? Zwykle raz dziennie.
- A Fielding?
- Częściej. Dwa, może trzy razy dziennie.
- Sam widzisz! – Cóż za wspaniały popis dedukcji. – Łatwo na to wpaść.
- Czytałeś za dużo Bondów, Tony – zbył go lekceważąco Foley. – I powieściodeł z Mattem Helmem.
- Bądź realistą, Ed – obruszył się łagodnie Prince.

159

- Dobra. Jeśli Fielding jest szefem ekspozytury, to kto mu u nas podlega? Wiesz? Bo ja nie.
- Ci ludzie mają dobrą przykrywkę – przyznał Prince. – Nie, tego nie wiem.
- Szkoda. Który z nas jest szpiegiem: gramy w tę grę w ambasadzie.
- Niestety, tu ci chyba nie pomogę.
- Nieważne, nie muszę tego wiedzieć.

I przez ten głupi brak ciekawości nie zostałeś dobrym reporterem – pomyślał z miłym uśmiechem Prince.

- Dużo masz pracy?
- Od cholery. Posłuchaj, możemy zawrzeć mały układ?
- Jasne – odrzekł Prince. – Jaki?
- Jeśli dowiesz się czegoś interesującego, daj nam znać, co?
- Przeczytasz o tym w „Timesie”, na pierwszej stronie – dodał Prince, żeby nie ulegało wątpliwości, jak ważny jest on i jego wnikliwe analizy.
- Chodzi tylko o drobne sprawy. Ambasador nie lubi, jak go czymś zaskakują. Kazał mi cię poprosić, ale wiesz, tak nieoficjalnie...
- To kwestia etyki, Ed.
- Jeśli powiem to Erniemu, nie będzie szczęśliwy.
- Cóż, ty dla niego pracujesz, ja nie.
- Przecież jesteś Amerykaninem, prawda?
- Tylko nie wymachuj mi tą flagą, dobra? – mruknął ze znużeniem Prince. – Posłuchaj, jeśli dowiem się, że chcą odpalić swoje rakiety nuklearne, dam wam znać. Ale wygląda na to, że prędzej my je odpalimy, nie oni.
- Daj spokój, Tony.
- A ta głupia gadka o „imperium zła”? Wypisz wymaluj Abraham Lincoln, co?
- Chcesz powiedzieć, że prezydent nie ma racji? – odparł Foley, zastanawiając się, co jeszcze ten dupek wymyśli.
- Ja też słyszałem o gułagach, OK? Ale to już przeszłość. Od śmierci Stalina Rosjanie zła-godnieli, ale nasza nowa administracja jeszcze tego nie zauważyła.
- Posłuchaj, Tony, ja tu tylko pracuję. Ambasador prosi cię o zwykłą przysługę. Rozumiem, że odpowiedź brzmi „nie”.
- I dobrze rozumiesz.
- Cóż, w takim razie nie oczekuj, że Ernie Fuller przyśle ci kartkę na Boże Narodzenie.
- Ed, odpowiadam tylko przed redaktorami „New York Timesa” i przed czytelnikami.

Kropka.

– Dobra, fajnie. Musiałem, to spytałem. – Foley niczego innego się po tym kretynie nie spodziewał, mimo to zasugerował ambasadorowi, żeby go delikatnie wybadać i ten się na to zgodził.

– Jasne. – Prince zerknął na zegarek. – Cholera, mam spotkanie w centrum prasowym Komitetu Centralnego...

– Coś ciekawego?

– Już mówiłem: przeczytasz o tym w „Timesie”. Waszyngton nie przysłała wam „Porannego Ptaszka”?

– Tak, z czasem tu dociera. Z czasem.

– W takim razie pojutrze wszystkiego się dowiesz – rzucił Prince, wstając. – I uprzedź Erniego.

– Jasne. – Foley wyciągnął do niego rękę i nagle postanowił odprowadzić go do windy.

W drodze powrotnej wstąpił do toalety, umył ręce, po czym zajrzał do gabinetu ambasadora.

– Cześć, Ed. Gadałeś z tym Prince’em?

Foley kiwnął głową.

– Przed chwilą go spławiłem.

– Połknął haczyk?

– Nie. Wypluł.

Fuller uśmiechnął się krzywo.

– A nie mówiłem? Kiedy byłem w twoim wieku, bywali wśród nich prawdziwi patrioci, ale ostatnimi laty większość z nich z tego wyrosła.

– Nie dziwię się. Kiedy Tony zaczynał w Nowym Jorku, nie znosił glin, ale zawsze umiał skłonić ich do mówienia. Kiedy chce, potrafi być cholernie przekonujący.

– Próbował cię przydusić?

– Nie, panie ambasadorze. Dla niego jestem zwykłą płótką.

– Co sądzisz o tej depeszy z Waszyngtonu? – zmienił temat Fuller.

– Tej o papieżu? Posadzę do tego paru ludzi, ale...

– Wiem, wiem. Nie zamierzam cię wypytywać. Jeśli natrafisz na coś ciekawego, dasz mi przynajmniej znać?

– To zależy, panie ambasadorze. – Zabrzmiało to jak „raczej nie”.

Fuller kiwnął głową.

– Rozumiem. Słuchać coś jeszcze?

– Prince coś zwęszył. Mówi, żeby pojutrze zajrzeć do gazet. Pojechał teraz na jakieś spotkanie w Komitecie Centralnym. I potwierdził, że Aleksandrow ma zastąpić Susłowa. Jeśli tak mu powiedzieli, to pewnie prawda. Moim zdaniem możemy to kupić. Tony ma dobre kontakty, poza tym nasi też tak mówią.

– Nigdy tego Susłowa nie spotkałem. Co to za facet?

161

– Ostatni z prawdziwie wierzących. Tak jak Aleksandrow. Uważa, że jedynym Bogiem jest Marks, że Lenin jest jego prorokiem i że ich system polityczny naprawdę działa.

– Poważnie? Niektórzy nigdy niczego się nie uczą.

– Właśnie, to pewne jak w banku. Paru ich jeszcze zostało, ale Leonid Iljicz na pewno do nich nie należy, tak samo jak jego przyszły następca, Jurij Władimirowicz. Ale Aleksandrow jest jego sojusznikiem. Dziś po południu zbiera się Biuro Polityczne.

– Kiedy będziemy wiedzieli, nad czym radzili?

– Prawdopodobnie za dwa dni. – Ale w jaki sposób się tego dowiemy, to już nasza sprawa, panie ambasadorze. Foley oczywiście tego nie dodał.

I nie musiał. Ernie Fuller znał zasady gry. Każdy amerykański ambasador przechodził

szkolenie, podczas którego szczegółowo informowano go o miejscu przyszłej pracy. A żeby dostać się do ambasady moskiewskiej, trzeba było przejść dobrowolne pranie mózgu w Departamencie Stanu i w Langley. Tak naprawdę amerykański ambasador w Moskwie był

głównym szpiegiem Stanów Zjednoczonych w Związku Radzieckim, a wujek Ernie szpiegował znakomicie.

– Dobra, informuj mnie w miarę możliwości.

– Tak jest, panie ambasadorze.

162

Rozdział 13

Kolektyw

Posiedzenie miało rozpocząć się o pierwszej i Jurij Andropow przybył na Kreml kwadrans wcześniej, o dwunastej czterdzieści pięć. Pancerny ził wjechał Bramą Spasską na dziedziniec i skierował się w stronę wielkiego, ceglano-gmachu, mijając po drodze posterunki kontrolne oraz salutujących żołnierzy ze stacjonującej pod Moskwą Tamańskiej Dywizji Gwardyjskiej, którzy występowali głównie na defiladach i uroczystościach wymagających obecności wysokich, przystojnych chłopców w mundurach. Żołnierze salutowali przepięknie, lecz ludzie siedzący w ziele nie zwracali na nich uwagi. Do celu podróży mieli ledwie sto pięćdziesiąt metrów, a tam kolejny żołnierz otworzył dla nich drzwi. W odpowiedzi na jego salut Andropow lekko skinął głową, żeby starszy sierżant wiedział, że został zauważony, przekroczył próg żółtokremowego gmachu i zamiast wejść na pierwsze piętro schodami, skręcił w prawo, do windy. Tuż za nim szedł pułkownik Roźdiestwienski, dla którego wizyta na Kremlu miała być najbardziej interesującym, jednocześnie najbardziej przerażającym obowiązkiem służbowym od chwili, gdy wstąpił do KGB.

Środki bezpieczeństwa na piętrach były jeszcze ściślejsze: stali tam czerwonoarmiści z pistoletami w kaburach na wypadek kłopotów. Ale z przejęciem władzy kłopotów nie bę-

dzie, myślał Andropow. Przewrót pałacowy im nie groził. Towarzysze wybiorą go zgodnie z zasadami przekazywania władzy w Związku Radzieckim, tak jak zwykle, czyli topornie, niezdarnie, lecz zgodnie z przewidywaniami. Ich przywódcą zostanie ten, kto zbił największy kapitał polityczny, komu ostatecznie zaufają, uznawszy, że będzie rządził nie siłą woli, lecz kolektywnie, wraz z nimi. Żaden z nich nie chciał tu kolejnego Stalina, a nawet Chruszczowa, którzy mogliby wplątać ich w jakąś awanturę. Ci ludzie nie lubili awantur. Historia nauczyła ich, że hazard pociąga za sobą ryzyko przegranej, a oni nie zaszli tak daleko tylko po to, żeby teraz wszystko stracić. Jako królowie narodu szachistów uważali, że zwycięstwo jest efektem serii wyrafinowanych zagrywek, manewrów przeprowadzanych cierpliwie, konsekwentnie i przez wiele godzin. Ich decyzja była równie przewidywalna, jak codzienny zachód słońca.

I właśnie to jest jednym z problemów dnia dzisiejszego, pomyślał Andropow, siadając obok ministra obrony Ustinowa. Obaj zasiadali najbliżej szczytu stołu, na krzesłach zarezerwowanych dla członków Rady Obrony Narodowej, dla pięciu najważniejszych ludzi w radzieckim rządzie, w tym dla głównego ideologa partyjnego, Susłowa. Marszałek Związku Radzieckiego podniósł wzrok znad dokumentów.

– Witaj, Jurij – powiedział.

– Witaj, Dmitrij. – Andropow już się z nim dogadał. Nigdy nie blokował jego próśb o dodatkowe fundusze na rozdętą i źle dowodzoną armię, która dogorywała w Afganistanie jak wyrzucony na brzeg wieloryb. W końcu pewnie zwyciężą, przynajmniej tak powszechnie uważano. Ostatecznie Armia Czerwona nigdy nie poniosła klęski, chyba że ktoś pamiętał

jeszcze jej pierwszy atak na Polskę w 1919, inwazję zakończoną upokarzającym pogromem.

Nie, wszyscy woleli pamiętać klęskę Hitlera, kiedy to stojący na przedpolach Moskwy Niemcy –

podeszli tak blisko, że gołym okiem widzieli mury Kremla – zostali pokonani przez historycznie najwierniejszego sojusznika Rosjan, generała Zimę. Andropow nie należał

do militarystów, ale armia radziecka zawsze była gwarancją bezpieczeństwa dla pozostałych członków Biura, ponieważ tylko dzięki niej naród robił to, co mu kazano. Nie dlatego, że ją 163

kochał, o nie – dlatego, że miała dużo karabinów. Podobnie jak KGB i Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, które miały na nią oko. Nie, nie, nie było sensu podsuwać im głupich pomysłów. Na wszelki wypadek Komitet Bezpieczeństwa Państwowego powołał do życia Trzeci Zarząd Główny, który śledził poczynania dosłownie każdej kompanii piechoty Armii Czerwonej. W innych krajach nazywano to mechanizmem gwarantującym zachowanie równowagi politycznej. Tu był to mechanizm zachowania równowagi terroru.

Leonid Iljicz Breżniew przybył jako ostatni. Szedł jak stary wieśniak, a z jego męskiej niegdyś twarzy zwisały fałdy zwiotczalej skóry. Dobijał osiemdziesiątki, lecz sądząc po jego wyglądzie, nie miał raczej szans jej przekroczyć. Było to zarówno dobre, jak i złe. Nikt nie wiedział, jakie myśli krążą w jego zdziecinniałym już mózgu. Kiedyś miał potężną władzę, Andropow dobrze to pamiętał. Był człowiekiem pełnym wigoru, wielkim myśliwym, który lubił wyprawy na łosia, a nawet na niedźwiedzia. Kiedyś, ale nie teraz. Od lat niczego nie ustrzelił, może z wyjątkiem paru ludzi i, oczywiście, nie własnoręcznie. Jednakże z wiekiem bynajmniej nie złagodniał. Wprost przeciwnie. Jego brązowe oczy wciąż były chytre i przebiegłe, wciąż wypatrywały zdrajców, których czasami znajdowały tam, gdzie wcale ich nie było. Za Stalina oznaczało to pewną śmierć. Teraz już nie. Teraz zdrajcę łamano psychicznie, pozbawiając go władzy i relegując na prowincjonalne stanowisko, gdzie umierał z nudów.

– Dzień dobry, towarzysze. – Powiedział to na tyle miło, na ile pozwalał mu burkliwy głos.

Przynajmniej nie lizali mu już butów. Nie, komunistyczni dworacy nie walczyli już ze sobą o względy marksistowskiego imperatora. Przez tego rodzaju głupoty traciło się często połowę narady, a Andropow miał ważne sprawy do omówienia.

Leonid Iljicz został już uprzedzony, dlatego pociągnawszy łyk popołudniowej herbaty, spojrzął na przewodniczącego KGB i rzekł:

– Juriju Władimirownczu, chcieliście nam coś powiedzieć, prawda?

– Tak. Dziękuję, towarzyszu sekretarzu generalny. Towarzysze – zaczął Andropow –

niedawno zdarzyło się coś, co przykuło naszą uwagę. – Dał znak pułkownikowi Roźdiestwienskiemu, który szybko obszedł stół, rozdając zebrany kopię „Warszawskiego listu”.

– Macie przed sobą list, który w zeszłym tygodniu przysłał do Warszawy rzymski papież. – Każdy z członków Biura Politycznego otrzymał fotokopię oryginału – niektórzy z nich mówili po polsku – oraz uzupełnioną odnośnikami rosyjską wersję tekstu. – Uważam, że list ten jest dla nas politycznym

zagrożeniem.

– Ja już go widziałem – odezwał się Aleksandrow ze swego odległego „kandydackiego”

miejsca. W uznaniu starszeństwa i autorytetu ciężko chorego Michaiła Susłowa jego krzesło

– stało po lewej stronie Breżniewa, tuż obok Andropowa – było puste, chociaż, tak samo jak przed wszystkimi zebranymi, na stole leżał przed nim plik dokumentów. Kto wie, może Su-słow przeczyta je na łożu śmierci i gdy pochowają go już pod kremłowskim murem, ciśnie stamtąd swój ostatni grom.

– To skandal – rzucił natychmiast marszałek Ustinow; on też dobijał już siedemdziesiąt-ki. – Za kogo się ten księżyna uważa!

– Cóż, jest Polakiem – przypomniał kolegom Andropow. – Ma obowiązek zapewnić rodakom ochronę polityczną, tak zapewne myśli.

164

– Ochronę przed czym? – spytał minister spraw wewnętrznych. – Zagrożeniem dla Polski są jej własne siły kontrrewolucjonistyczne.

– A ten ich rząd nie ma odwagi się z nimi rozprawić – wpadł mu w słowo pierwszy sekretarz obwodu moskiewskiego. – Mówiłem wam już w zeszłym roku: powinniśmy tam wreszcie wkroczyć.

– A jeśli stawia nam opór? – spytał z końca stołu minister rolnictwa.

– Tego możecie być pewni – odparł minister spraw zagranicznych. – Stawia, przynajmniej polityczny.

– Co wy na to, Dmitriju Fiodorowiczu? – Aleksandrow skierował to pytanie do marszał-

ka Ustinowa, jednego z najinteligentniejszych ludzi w sali, który przybył na posiedzenie w galowym mundurze, ozdobionym metrem kwadratowym medali, w tym dwiema złotymi gwiazdami Bohatera Związku Radzieckiego. Dostał je za odwagę polityczną – nie na polu walki – jako komisarz ludowy do spraw uzbrojenia podczas Wielkiej Wojny Ojczyźnianej, a potem jako ten, który dopomógł wprowadzić Związek Radziecki w erę lotów kosmicznych.

Wszyscy domyślali się, co powie, lecz szanowali go za mądre i wyważone opinie.

– Towarzysze, najważniejszym pytaniem jest to, czy Polacy stawiliby nam opór zbrojny.

Taki opór nie stanowiłby dla nas zagrożenia militarnego, ale wywołałby duże poruszenie polityczne

zarówno w kraju, jak i za granicą. Nie powstrzymaliby naszej armii, lecz gdyby spróbowali, miałyby to poważne reperkusje polityczne. Dlatego popierałem zesłoroczny wniosek o wywarcie politycznego nacisku na Warszawę, co, o ile pamiętacie, przyniosło oczekiwane skutki. – Dmitrij Fiodorowicz miał siedemdziesiąt cztery lata i nauczył się już ostrożności, przynajmniej w polityce międzynarodowej. Kierował nim skrywany niepokój o to, jaki wpływ mógłby mieć taki opór na ewentualną reakcję Stanów Zjednoczonych, które lubiły wtykać nos w nie swoje sprawy.

– Mogłoby to również doprowadzić do nasilenia niepokojów politycznych w Polsce –

dodał Andropow. – Tak twierdzą moi analitycy.

W sali powiało chłodem.

– Co się tam właściwie dzieje, Juriju Władimirowiczu? – Breżniew niespokojnie poruszył krzaczastymi brwiami. – Na ile jest to poważne i jak poważne może się stać?

– Ze względu na uporczywe działania elementów kontrrewolucyjnych sytuacja w Polsce jest wciąż niestabilna. Burzą się zwłaszcza robotnicy. Mamy swoich ludzi w tej ich „Solidarności”. Mówią, że w kotle wciąż wrze. Problem polega na tym, że jeśli papież spełni swoją groźbę i wróci do kraju, Polacy się wokół niego skupią, a jeżeli skupi się ich dużo, mogą obalić rząd.

– To niedopuszczalne – powiedział cicho Leonid Iljicz. Jeśli ktoś przemawiał przy tym stole podniesionym głosem, oznaczało to, że chce sobie ulżyć. O wiele niebezpieczniejszy był

głos spokojny. – Jeżeli upadnie Polska, upadną i Niemcy... – A potem cały Układ Warszawski, co pozbawiłoby Związek Radziecki zachodniej strefy buforowej. NATO było silne i stawało się coraz silniejsze, ponieważ Ameryka konsekwentnie wzmacniała swój potencjał

obronny. Członkowie Biura Politycznego już o tym wiedzieli i bardzo ich to niepokoiło. Dlatego zdecydowali, że radzieckie jednostki liniowe zostaną wyposażone w nowe czołgi, które właśnie przygotowywano do wysłania na zachód. W nowe czołgi i samoloty. Ale najbardziej 165

przerazający był coraz intensywniejszy reżim szkoleniowy, jakiemu poddawano amerykańskich żołnierzy. Wyglądało to tak, jakby naprawdę szykowali się do uderzenia na Wschód.

Upadek Polski i Niemiec oznaczałby, że odległość między Związkiem Radzieckim i najbliższym państwem należącym do NATO zmniejszyłaby się o ponad tysiąc kilometrów, a przy tym stole nie było nikogo, kto nie pamiętałby ostatniego najazdu Niemiec na Rosję.

Mimo licznych oświadczeń i deklaracji, że NATO jest sojuszem obronnym, który zawiązano tylko po to, żeby Armia Czerwona nie urządziła sobie defilady na Champs Elysees, Pakt Północnoatlantycki i jego poplecznicy byli dla Moskwy olbrzymią pętlą, którą Zachód chciał

zadzierzgnąć im na szyi. Wielokrotnie się już nad tym zastanawiali. A teraz jeszcze ta niesta-bilność polityczna Polski. Mało mieli swoich własnych problemów? Komuniści – choć nie tak zagorzali jak Susłow czy jego następca Aleksandrow – bali się przede wszystkim tego, że lud odwróci się od wiary w ideę, czyli od źródła ich jakże wygodnej władzy osobistej. Zdobyli tę władzę dzięki chłopskiej rewolcie, która obaliła dynastię Romanowów – tak to przynajmniej sobie tłumaczyli, wbrew oczywistym faktom historycznym – i doskonale wiedzieli, czym taka rewolta mogłaby się skończyć dla nich. Breżniew poruszył się na krześle.

– A więc papież nam zagraża...

– Tak, towarzyszu sekretarzu generalny – odrzekł Andropow. – Ten list jest silnym cio-sem w stabilność polityczną Polski, a tym samym w stabilność polityczną całego Układu Warszawskiego. Kościół katolicki ma wielkie wpływy w Europie, w bratnich krajach socjalistycznych też. Rezygnacja Wojtyły z pontyfikatu i jego powrót do ojczyzny byłby wielce znaczącym gestem politycznym.

– Józef Wissarionowicz Stalin spytał kiedyś, ile papież ma dywizji. Oczywiście nie ma ani jednej, ale nie wolno nam lekceważyć jego wpływów. Moglibyśmy wykorzystać nasze kanały dyplomatyczne i spróbować go od tego odwieść...

– Całkowita strata czasu – odezwał się natychmiast minister spraw zagranicznych. – Kil-kakrotnie prowadziliśmy rozmowy w samym Watykanie. Grzecznie nas słuchają, mówią do rzeczy, a potem robią swoje. Nie, nie wywrzemy na niego żadnego wpływu, nawet groźbami na kościół jako instytucję. Groźba to dla nich wyzwanie.

Te słowa skonkretyzowały sprawę. Andropow był mu za nie wdzięczny; minister spraw zagranicznych, członek jego obozu, widział w nim przyszłego sekretarza generalnego. Ciekawe, myślał przewodniczący KGB, czy Breżniew wie, czy chociaż przeczuwa, co będzie po jego śmierci. I czy go to w ogóle obchodzi. Na pewno obchodził go los dzieci, ale to było do załatwienia. Oł, znajdzie dla nich wygodne posady i wreszcie skończą się przyjęcia ślubne, na których jadano na chińskiej porcelanie z Ermitażu.

– Juriju Władimirowiczu – spytał Breżniew – co może zrobić w tej sprawie KGB? – Jakże łatwo nim manipulować, pomyślał z radością Andropow.

– Niewykluczone, że moglibyśmy wyeliminować groźbę, eliminując człowieka, który tę groźbę stwarza – odparł spokojnym, pozbawionym emocji głosem.

– Wyeliminować, znaczy zabić? – To Ustinow.

– Tak, Dmitrij.

– Jakie pociągnęłoby to za sobą niebezpieczeństwa? – spytał natychmiast minister spraw zagranicznych. Dyplomaci zawsze się o to martwili.

– Nie sposób im całkowicie zapobiec, ale możemy je kontrolować. Moi ludzie opracowali plan operacyjny, który zakłada, że papież zostanie zastrzelony podczas jednego z wystąpień publicznych. Jest ze mną mój doradca, pułkownik Roźdiestwienski, który nam go przedstawi. Za waszym pozwoleniem, oczywiście... – Członkowie Biura Politycznego skinęli głowami. – Proszę, Aleksieju Nikołajewiczu.

– Towarzysze. – Roźdiestwienski wstał i z trudem panując nad drżącymi nogami, podszedł do mównicy. – Ze względów bezpieczeństwa operacja ta nie ma kryptonimu. Papież ukazuje się publicznie w każdą środę po południu. Zwykle objeżdża plac Świętego Piotra otwartym, niezabezpieczonym samochodem, zbliżając się na trzy, cztery metry do tłumu wiernych. – Pułkownik starannie dobierał słowa. Każdy z siedzących za stołem mężczyzn słyszał o Biblii i znał biblijną terminologię. Nawet tu, w Związku Radzieckim, nie można było dorosnąć bez zdobycia choćby podstawowej wiedzy o chrześcijaństwie, nawet jeśli chrześcijaństwem tym się pogardało.

– Dlatego najważniejsze pytanie brzmi: jak wprowadzić uzbrojonego w pistolet zamachowca do pierwszego szeregu widzów, tak żeby oddany przez niego strzał był strzałem jak najbardziej skutecznym?

– „Jak najbardziej skutecznym”? – powtórzył ostro minister spraw zagranicznych. – Nie „pewnym”?

Roźdiestwienski omal nie zemdlął.

– Towarzyszu ministrze, w tych kwestiach rzadko kiedy mamy do czynienia ze stuprocentową pewnością. Nawet dobrze wyszkolony strzelec nie zagwarantuje skutecznego wyeliminowania ruchomego celu, a taktyczne realia naszej operacji uniemożliwią zamachowcowi staranne wycelowanie broni. Będzie musiał wydobyć ją szybko z ukrycia i oddać strzał.

Najprawdopodobniej zdąży wystrzelić dwa, może nawet trzy razy, zanim rzuci się na niego tłum. Oficer uzbrojony w pistolet z tłumikiem zabije go wtedy strzałem w plecy i ucieknie z miejsca zdarzenia. Tym sposobem nie pozostanie przy życiu nikt, kto mógłby powiedzieć coś włoskiej policji. Pomogą nam w tym nasi bułgarscy przyjaciele. Wybiorą zamachowca, przemycą go na miejsce akcji, następnie zlikwidują.

– Jak w tych okolicznościach nasz bułgarski przyjaciel stamtąd ucieknie? – spytał Breżniew. Dzięki swej wiedzy o broni palnej mógł pominąć szczegóły techniczne.

– Jest bardzo prawdopodobne – wyjaśnił Roźdiestwienski – że tłum skoncentruje się na zamachowcu i nie zwróci uwagi na jego poczynania. Strzał będzie wytłumiony, a na placu wybuchnie krzyk i chaos. Człowiek ten po prostu wycofa się i zniknie. Oficer, którego chcemy tam wysłać, ma doświadczenie w takich operacjach.

- Wiecie już, kto to jest? – spytał Aleksandrow.
- Tak, towarzyszu. Mogę wam podać jego nazwisko, ale ze względów bezpieczeństwa...
- Słusznie, pułkowniku – przerwał mu Ustinow. – Nie musimy go znać, prawda, towarzysze? – Pozostali ponownie skinęli głowami. Potrzeba zachowania środków bezpieczeństwa była dla nich równie naturalna, jak oddawanie moczu.
- A więc nie snajper? – spytał minister spraw wewnętrznych.
- Nie, towarzyszu. Za duże ryzyko. Budynek wokół placu są patrolowane przez służbę bezpieczeństwa Watykanu, przez Szwajcarów i...

167

- Są aż tak dobrzy? – przerwał mu ktoś inny.
- Czy trzeba być dobrym, żeby zauważyć człowieka z karabinem i wszcząć alarm? – odparł trzeźwo Roźdiestwienski. – Towarzysze, planując taką operację, należy wziąć pod uwagę absolutnie wszystkie aspekty. Złożoność jest wrogiem każdego przedsięwzięcia. Według naszego planu, musimy jedynie wprowadzić dwóch ludzi do tysięcznego tłumu, tak żeby znaleźli się blisko celu. Potem to już tylko kwestia skuteczności strzału. Pistolet łatwo ukryć, zwłaszcza w luźnym ubraniu. Uczestniczących w audiencji wiernych nie przeszukuje się ani w żaden inny sposób nie sprawdza. Nie, towarzysze, ten plan jest najlepszy z możliwych, chyba że wyślemy do Watykanu pluton Specnazu. Operacja na pewno by się powiodła, ale trudno by było ukryć tożsamość jej pomysłodawców. Natomiast powodzenie tej misji, jeśli oczywiście misja ta dojdzie do skutku, zależałoby jedynie od dwóch ludzi, z których jeden przeżyje i niemal na pewno wyjdzie z tego cało.
- Czy ludzie ci są wiarygodni? – spytał przewodniczący Komisji Kontroli Partyjnej.
- Bułgarski oficer, któremu chcemy powierzyć to zadanie, osobiście zabił ośmiu ludzi i ma dobre kontakty z tureckim środowiskiem przestępczym. To właśnie z tego środowiska wybierze zamachowca.
- Turka? – spytał przewodniczący.
- Tak, muzułmanina – potwierdził Andropow. – Jeśli winę za śmierć papieża będzie można zrzucić na tureckiego wyznawcę Mahometa, tym lepiej dla nas. Prawda?
- Na pewno nam to nie zaszkodzi – odrzekł minister spraw zagranicznych. – Dzięki te-mu Zachód uzna, że islam jest religią jeszcze bardziej barbarzyńską. Stany Zjednoczone wzmocnią swoje

poparcie dla Izraela, co z kolei rozdrażni kraje muzułmańskie, gdzie Ameryka kupuje ropę naftową. Jest w tym pewna elegancja, Jurij. Bardzo mi się to podoba.

– Tak więc złożoność tej operacji – podsumował Ustinow – sprowadza się wyłącznie do jej konsekwencji, a nie do operacji jako takiej.

– Tak, Dmitrij – odrzekł Andropow.

– Jakie jest prawdopodobieństwo, że ktoś skojarzy ją z nami? – spytał sekretarz Komunistycznej Partii Ukrainy.

– Jeżeli jedynym jej śladem będzie martwy Turek, bardzo małe – odparł Andropow. –

Operacja nie ma kryptonimu. Wie o niej niecałe dwadzieścia osób, z których większość zasiada teraz w tej sali. Nie pozostawimy po sobie żadnych zapisków. Towarzysze, środki bezpieczeństwa towarzyszące temu przedsięwzięciu będą najściślej ze ściśłych. Dlatego muszę was prosić, żebyście z nikim o tym nie rozmawiali. Ani z żonami, ani z sekretarzami, ani z politycznymi doradcami. Dzięki temu unikniemy przecieków. Pamiętajmy, że zachodnie agencje wywiadowcze nie ustają w próbach wykradzenia naszych tajemnic. W tym przypadku nie możemy dopuścić, żeby do tego doszło.

– Powinniście byli przeprowadzić tę dyskusję tylko w gronie członków Rady Obrony Narodowej – odezwał się Breżniew.

– Tak, myślałem o tym, Leonidzie Iljiczu, ale moim zdaniem polityczne implikacje tej sprawy wymagają uwagi całego Biura Politycznego.

168

– Tak, rozumiem. – Breżniew kiwnął głową. Nie rozumiał jednak, że przewodniczący KGB zrobił to tylko po to, żeby nie wyjść na awanturnika w oczach tych, którzy powierzą mu kiedyś stanowisko sekretarza generalnego partii. – Dobrze, Jurij – dodał w zadumie Leonid Iljicz. – Nie mogę się temu sprzeciwić.

– Mimo wszystko uważam, że to zbyt niebezpieczne – powiedział sekretarz Rosyjskiej Federacyjnej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej. – Muszę przyznać, że czuję się z tym nieswojo.

– Grigoriju Wasiliewiczu – odparł szef Komunistycznej Partii Ukrainy. – Co do Polski: nie chciałbym mieć do czynienia z konsekwencjami upadku ich rządu. Wy też nie powinni-

ście tego pragnąć. Skutki powrotu papieża do kraju mogą być fatalne dla nas wszystkich.

– Rozumiem, ale mówimy tu o zamachu na głowę państwa i nie można tego traktować ot, tak. Moim

zdaniem powinniśmy go najpierw ostrzec, zwrócić jego uwagę. Są na to sposoby.

Minister spraw zagranicznych głośno westchnął.

– Już mówiłem: to strata czasu. Ludzie tacy jak on nie rozumieją, czym jest śmierć. Moglibyśmy zagrozić katolikom w całym Układzie Warszawskim, ale przyniosłoby to efekt wprost przeciwny do tego, jaki chcemy osiągnąć. Atak na Kościół katolicki kierowany przez Wojtyłę? Wyobrażacie sobie te konsekwencje? Koszmar. Nie. – Pokręcił głową. – Jeżeli w ogóle mamy to zrobić, trzeba to zrobić dobrze, zdecydowanie i szybko. Juriju Władimirowiczu, jak długo potrwałoby zorganizowanie tej operacji?

Andropow spojrział na Roźdiestwińskiego.

– Pułkowniku?

Ponownie skierowały – się na niego oczy wszystkich zebranych i Roźdiestwiński z trudem zapanował nad głosem. Jak na zwykłego pułkownika, zabrął na głębokie wody. Na jego barkach spoczywał ciężar całej operacji i dotarło to do niego dopiero w tej chwili. Ale cóż, jeśli miał dostać generalskie gwiazdki, musiał tę odpowiedzialność przyjąć, prawda?

– Towarzyszu ministrze, według moich szacunków, półtora miesiąca, pod warunkiem, że zatwierdzicie ją towarzysze jeszcze dzisiaj i że oficjalnie powiadomicie o tym bułgarskie Biuro Polityczne. Pozwolenie bułgarskich władz politycznych jest konieczne, ponieważ chcemy zaangażować funkcjonariusza ich tajnych służb.

– Andrieju Andriejewiczu – spytał Breżniew – czy Sofia chętnie pójdzie z nami na współpracę?

Minister spraw zagranicznych odpowiedział dopiero po krótkim namyśle:..

– To zależy, o co i jak ich poprosimy. Jeśli poznają cel operacji, mogą się ociągać.

– Nie możemy poprosić ich o współpracę, nie mówiąc, o co chodzi? – wtrącił Ustinow.

– Tak, chyba możemy – odrzekł minister spraw zagranicznych. – Podarujmy im sto nowych czołgów i kilka myśliwców. Ot, tak, w geście socjalistycznej solidarności. Wtedy chętnie się zgodzą.

– Nie skąpcie – rzucił Breżniew – bądźcie hojni. Jestem pewien, że zasypują nasze ministerstwo ciągłymi prośbami. Dobrze mówię, Dmitrij?

– Jak najbardziej – potwierdził marszałek Ustinow. – Nic, tylko czołgi i MIG-i, o nic innego nie proszą.

– W takim razie załadujcie je na pociąg i wyślijcie do Sofii – zdecydował sekretarz generalny. – Towarzysze, musimy to przegłosować. – Jedenastu członków Biura, tych z prawem głosu, poczuło się jak pod murem. Siedmiu członków-kandydatów prawa głosu nie miało. Ci siedzieli tylko, uważnie wszystko obserwowali i kiwali głowami.

Jak zwykle głosowano jednomyślnie. Nikt nie był przeciw. Ci, którzy mieli wątpliwości, zdławili je w milczeniu, ponieważ nikt z obecnych w tej sali nie chciał odejść za daleko od wszechmocnego ducha kolektywizmu. Ich władza miała swoje ograniczenia, tak samo jak władza przywódców innych krajów świata. Rzadko kiedy o tym myśleli i nigdy, przenigdy się tym nie kierowali.

– Dobrze. – Breżniew spojrział na Andropowa. – Stwierdzam, że Biuro Polityczne upoważniło Komitet Bezpieczeństwa Państwowego do przeprowadzenia wiadomej operacji, i niech Bóg się zlituje nad duszą tego Polaka. – Zabrzmiało to trochę niestosownie i niepoważnie, ale cóż, sekretarz generalny pochodził z chłopskiej rodziny. – Mamy jeszcze coś?

– Towarzyszu sekretarzu generalny, czy mogę? – spytał Andropow. Breżniew skinął

głową. – Po długiej i wiernej służbie dla umiłowanej partii, nasz brat i przyjaciel, Michaił

Andriejewicz Susłow, niebawem zgaśnie. Ciężko choruje i jego krzesło stoi już puste. Musimy znaleźć kogoś, kto godnie go zastąpi. Proponuję, żeby następcą Michaiła Andriejewicza Susłowa na stanowisku głównego ideologa naszej partii i pełnoprawnego członka Biura Politycznego został Michaił Jewgieniewicz Aleksandrow.

Aleksandrow zdołał się nawet zarumienić. Podniósł do góry obie ręce i przemówił z największą szczerością, na jaką było go stać:

– Towarzysze, mój... nasz przyjaciel wciąż żyje. Nie mogę zająć jego miejsca.

– To miło, że tak mówisz, Misza. – „Misza”: sekretarz generalny użył nawet czulego zdrobnienia. – Ale widzisz, Michaił Andriejewicz jest ciężko chory i długo już nie pożyje.

Proponuję, żeby wniosek Jurija tymczasem odłożyć. Oczywiście musi go też zatwierdzić Komitet Centralny... – Ale wszyscy wiedzieli, że to tylko zwykła formalność. Breżniew udzielił oficjalnego błogosławieństwa Aleksandrowowi, a ten niczego więcej nie potrzebował.

– Dziękuję, towarzyszu sekretarzu generalny – powiedział Michaił Jewgieniewicz. Teraz mógł patrzeć na puste krzesło po lewej stronie Breżniewa z pewnością, że za kilka tygodni oficjalnie na nim zasiądzie. Na pogrzebie Susłowa będzie płakał jak inni, jak inni będzie ronił

zimne, bezduszne łzy. Michaił Andriejewicz by to rozumiał. Musiał stawić czoło śmierci, tej największej tajemnicy życia, i zastanawiał się pewnie, co zastanie tam, po drugiej stronie.

Oni też będą musieli rozwiązać ten problem, ale dopiero za jakiś czas, nie teraz, bo teraz był

to problem zbyt odległy, żeby zawracać sobie nim głowę. I na tym właśnie polega różnica między nimi i papieżem, który wkrótce zginie z naszej ręki, pomyślał Andropow.

Posiedzenie dobiegło końca kilka minut po czwartej. Członkowie Biura Politycznego ro-zeszli się jak zwykle, wymieniając przyjacielskie słowa i uścisk ręki. Przewodniczący KGB

też ruszył do drzwi. Już wkrótce, gdy zostanie sekretarzem generalnym, będzie mógł wyjść z sali jako ostatni.

170

– Towarzyszu przewodniczący, za waszym pozwoleniem, ja tylko na chwilę. – Idący za nim pułkownik Roźdiestwienski skręcił do toalety. Półtorej minuty później wyszedł stamtąd znacznie raźniejszym krokiem.

– Dobrze się sprawiłeś, Aleksieju – rzekł Andropow. Tym razem skierował się w stronę schodów, zamiast do windy. – I jakie wrażenia?

– Towarzysz Breżniew jest dużo słabszy, niż myślałem.

– Tak. Rzucił palenie, ale niewiele mu to pomogło. – Przewodniczący wyjął z kieszeni paczkę marlboro; na posiedzeniach Biura wstrzymywano się od palenia ze względu na Leonida Iljicza i musiał wreszcie zapalić. – Co jeszcze?

– Są zdumiewająco zgodni. Myślałem, że dyskusja będzie burzliwsza, że dojdzie do różnicy zdań. – Dyskusje w gmachu na placu Dzierżyńskiego 2 były o wiele bardziej ożywione, zwłaszcza kiedy planowano jakąś operację.

– To ostrożni gracze, Aleksieju. Ludzie u władzy zawsze tacy są. I powinni być. Ale często wstrzymują się od działania ponieważ boją się zrobić coś nowego, coś innego niż zwykle.

– Andropow wiedział, że kraj potrzebuje zmian i zastanawiał się, jak trudno będzie ich do tych zmian przekonać.

– Towarzyszu przewodniczący, przecież ta operacja...

– To zupełnie co innego – przerwał mu Andropow. – Kiedy czują się zagrożeni, potrafią działać szybko i zdecydowanie. Boją się papieża. I chyba słusznie. Nie sądzisz?

– Towarzyszu przewodniczący, jestem tylko pułkownikiem. Ja służę, nie rządę.

– I tak trzymaj, Aleksieju. Tak jest bezpieczniej. – Andropow wszedł do samochodu i natychmiast pogrążył się w myślach.

Godzinę później, gdy po prawie skończonej służbie Zajcew czekał już na zmiennika, zupełnie nieoczekiwanie odwiedził go pułkownik Roźdiestwienski.

– Kapitanie, wyślijcie to natychmiast do Sofii – rozkazał. – Czy oprócz was ktoś widuje te depesze?

– Nie, towarzyszu pułkowniku. Zgodnie z rozkazem, ten numer referencyjny jest zastrzeżony wyłącznie dla mnie.

– To dobrze. Niech tak zostanie. – Podał mu depeszę.

– Według rozkazu, towarzyszu pułkowniku. – Zajcew odprowadził go wzrokiem i zabrał się do pracy. Zdążył tuż przed wyjściem.

ŚCIŚLE TAJNE SPECJALNEGO PRZEZNACZENIA

PILNE

NADAWCA: GABINET PRZEWODNICZĄCEGO, CENTRALA, MOSKWA

ODBIORCA: REZYDENT, SOFIA

171

DOTYCZY: 15-8-82-666

OPERACJA ZATWIERDZONA. KONIECZNA NATYCHMIASTOWA

AKCEPTACJA BUŁGARSKIEGO BIURA POLITYCZNEGO. OSTATECZNE ZATWIERDZENIE W CIĄGU DZIESIĘCIU DNI. KONTYNUOWAĆ

PLANOWANIE OPERACJI.

Dopilnował, żeby depezę natychmiast nadano i przez posłańca wysłał kopię na najwyższe piętro. Potem wyszedł, idąc nieco szybciej niż zwykle. Na ulicy wyjął papierosy i przed stacją metra wypalił truda. Na peronie spojrzął na zegar. Przyszedł za wcześnie, więc przepuścił pociąg, grzebiąc w paczce papierosów na wypadek, gdyby ktoś go śledził. Tak, ale gdyby ktoś go śledził, byłoby już po nim. Na tę myśl zatrzęsły mu się ręce, lecz było już za późno. Następny pociąg wyjechał z tunelu dokładnie o czasie. Zajcew wsiadł do odpowiedniego wagonu wraz z grupą czternastu, piętnastu pasażerów i...

Był tam. Czytał gazetę. W rozpiętym płaszczu, jedną ręką przytrzymywał się chromowanego uchwyty.

Kapitan powoli ruszył w jego stronę. W prawej ręce ścisnął kartkę, którą wyjął z paczki papierosów. Tak, dopiero teraz zauważył, że tamten jest w jaskrawozielonym krawacie, któ-

ry przypiął do koszuli złotą spinką. Czysta, biała i pewnie kosztowna koszula, brązowy garnitur, skupiony na gazecie wzrok: Amerykanin ani drgnął, nawet się nie rozejrzał. Zajcew podszedł jeszcze bliżej.

Na Farmie nauczyli go między innymi, jak poszerzyć sobie pole widzenia. Oczy człowieka odpowiednio wyszkolonego i wytrenowanego widzą więcej, niż można by przypuszczać. Na obozie CIA uczył się tego, idąc ulicą i odczytując numery domów bez odwracania głowy. Gdy już się tę

umiejętność posiadało, nie zapominało się jej do końca życia. Jak z jazdą na rowerze: wystarczy odrobina koncentracji, i już. Dlatego teraz zauważył, że podchodzi do niego jakiś mężczyzna. Biały, metr siedemdziesiąt trzy wzrostu, średnia budowa ciała, brą-

zowe oczy, brązowe włosy, ciemnobrązowe ubranie; facet powinien pójść do fryzjera. Twarz widział niedokładnie i chyba nie rozpoznałby jej w tłumie czy na identyfikacji. Ot, zwykła słowiańska twarz, taka bez wyrazu. Ale oczy na pewno patrzyły na niego. Nad oddechem zdołał zapanować, lecz serce trochę przyspieszyło.

No chodź, myślał. Przecież mam ten pieprzony krawat. Facet wsiadł na właściwym przystanku. Centrala KGB mieściła się ledwie ulicę dalej. Tak, pewnie tam pracuje. I nie, chyba nie robi za przynętę. Ci z Drugiego Zarządu Głównego zorganizowaliby to inaczej. Ta zagrywka była zbyt oczywista, zbyt amatorska, nie pasowała do scenariusza. Poza tym na pewno zrobiliby to na innym przystanku...

No nie, pomyślał, ja chyba śnię. Próbował zachować zimną krew, co nie było łatwe nawet dla tak doświadczonego agenta terenowego jak on. Niezauważalnie wziął głębszy oddech i czekał, aż zakończenia nerwów w skórze przekażą do mózgu informację, że zwisający mu z ramion płaszcz leciutko drgnął...

172

Zajcew rozejrzał się po wagonie najswobodniej, jak tylko umiał. Nikt na niego nie patrzył, nikt nie patrzył nawet w jego stronę. Prawa ręka. Wsunął ją do otwartej kieszeni płaszcza ruchem szybkim, lecz spokojnym. A potem ją wyjął.

Tak! – wykrzyknął w duchu Foley i na sekundę zamarło mu serce. Dobra, brachu, co napisałeś tym razem?

Nie, nie: cierpliwości. Nie było sensu skazywać faceta na pewną śmierć. Jeśli naprawdę pracował w Centrali, rzecz mogła być tak ważna, że aż trudno to sobie wyobrazić. Poczul się jak na rybach, jak na morzu. Pierwsze szarpnięcie wędzidła: czy to marlin, rekin czy stary but? Jeśli piękny, błękitny marlin, to jak duży? Tymczasem on nie mógł nawet go podciąć, żeby ryba nie wypłuła haczyka. Nie, na to przyjdzie czas później, jeśli w ogóle. Faza wer-bunkowa – nakłonienie niewinnego radzieckiego obywatela do tego, żeby zechciał zostać ich agentem, informatorem CIA, czyli zwykłym szpiegiem – było trudniejsze niż zarwanie i przerznięcie towaru na potańcówce Organizacji Młodzieży Katolickiej. Cała sztuka polegała na tym, żeby dziewczyna nie zaszła w ciążę – i żeby przyszły informator przeżył. Nie, najpierw trzeba było poprosić ją do tańca, potem do pierwszego wolnego tańca, potem ją poca-

łować, jeszcze potem trochę pomacać i dopiero wtedy, jeśli miało się trochę fartu, rozpiąć jej bluzkę, żeby...

Pociąg stanął. Foley otrząsnął się z zamyślenia, puścił uchwyt i się rozejrzał.

Facet wciąż tam był. Patrzył na niego i jego twarz natychmiast trafiła do pamięciowego albumu fotograficznego Eda.

Kiepsko cię wyszkolili, brachu. Możesz przez to zginąć. W miejscu publicznym nigdy nie patrz na prowadzącego. Musnąwszy go wzrokiem, z kamienną twarzą ruszył do wyjścia, celowo wybierając jak najdłuższą drogę.

Zajcew był pod wrażeniem. Amerykanin popatrzył na niego, ale tak, jakby na niego nie popatrzył, jakby zobaczył coś za nim, na drugim końcu wagonu. A potem przeszedł tuż obok niego i szybko wysiadł. Mam nadzieję, że jesteś tym, kim jesteś, pomyślał Oleg Iwanowicz, ale tak nieśmiało, że ledwo tę myśl usłyszał.

Szedł już ulicą, pięćdziesiąt metrów od stacji, mimo to nie śmiał włożyć ręki do kieszeni.

Był absolutnie pewny, że Rosjanin rękę tam włożył. Czuł to, wyraźnie to czuł. I nie zrobił tego, żeby podebrać mu drobne.

Brama, strażnik, winda. Klucz, zamek, drzwi. Dopiero gdy je za sobą zamknął, szybko wsadził rękę do kieszeni.

Mary Pat uważnie obserwowała jego twarz. Jest. Znajomy wyraz napięcia i... ulgi.

Ed wyjął kartkę. Taki sam formularz, ten sam charakter pisma. Foley przeczytał wiadomość raz, potem drugi raz i wreszcie, przeczytawszy ją po raz trzeci, podał formularz żonie.

Jej też zaświeciły się oczy.

A jednak ryba, pomyślał Ed. Może nawet duża. I żądał konkretnej rzeczy. Kimkolwiek był, nie był głupi. Trudno to będzie załatwić, ale on załatwi to na pewno. Najwyżej zdener-173

wuje sierżanta. Zdenerwuje? Nie, sierżant się wkurzy. Co więcej, wszyscy to zobaczą, bo ambasada była pod stałą obserwacją. Tego rodzaju numer nie mógł sprawiać wrażenia celowego, specjalnie wyreżyserowanego, ale nie musiał też być odegrany z mistrzostwem godnym Oscara. Był pewien, że piechociarze z ambasady sobie poradzą. Mary Pat wzięła go za rękę.

– Cześć, kochanie – rzucił do tych, którzy ich podśluchiwali.

– Cześć, Ed.

„To nie podpucha” – powiedziała jego ręka.

„Jutro rano?”

Kiwnął głową.

– Cholera, muszę wrócić do ambasady. Zostawiłem coś na biurku.

Mary Pat pokazała mu podniesiony do góry kciuk.

– Tylko nie siedź tam za długo. Obiad prawie gotowy. Fińska pieczeń, pieczone ziemniaki i kukurydza.

– Bomba. Będę góra za pół godziny.

– Nie spóźnij się.

– Gdzie kluczyki?

– W kuchni. – Ruszyli do drzwi.

– Mamjechać bez całuska? – spytał głosem wyposzczonego męża.

– Całuska też dostaniesz – odrzekła wesoło. – Jak tam w pracy? Coś ciekawego?

– Nie, tylko ten Prince z „Timesa”.

– Żałosny dupek.

– Mnie to mówisz? Na razie, kochanie. – Wyszedł. Nawet nie zdążył zdjąć płaszcza.

Jak na dobrego aktora przystało, sfrustrowany wykrzywił twarz i pomachał strażnikowi.

Znowu wychodził i strażnik pewnie to odnotuje, może nawet gdzieś zadzwoni. Ci z Drugiego Zarządu Głównego odsłuchają taśmy i, przy odrobinie szczęścia, rutynowo odhaczają jego wyjście na formularzu inwigilacyjnym, uznawszy, że Ed Foley naprawdę czegoś zapomniał i popędził z powrotem do ambasady. Musiał tylko pamiętać, żeby wziąć z biura jakąś kopertę i rzucić ją na przedni fotel mercedesa. Agenci wywiadu zarabiali na życie głównie tym, że o wszystkim pamiętali i o niczym nie zapominali.

O tej porze dnia jazda samochodem do ambasady trwała krócej niż jazda metrem, ale, jak wszystko inne, to też było wkalkulowane w rutynę jego dnia. Kilka minut później minął

posterunek przy bramie, zaparkował na miejscu dla gości i zaliczywszy kilka posterunków

kontrolnych, wpadł do swego gabinetu. Podniósł słuchawkę, wybrał numer, zadzwonił i czekając, włożył do koperty leżącą na biurku gazetę, „International Herald Tribune”.

– Ed? – Do gabinetu wszedł Dominic Corso, jeden z jego agentów terenowych. Starszy od Foleya, oficjalnie był attaché handlowym. Pracował w Moskwie od trzech lat i Ed bardzo go szanował. On też pochodził z Nowego Jorku, z Richmond – Staten Island – i był synem policyjnego detektywa. Wyglądał jak typowy nowojorczyk – ot, takie kwaśne jabłko – ale 174

wbrew twierdzeniom etnicznych bigotów, Bóg obdarzył go inteligencją. Miał zagadkowe oczy starego, rudego lisa i się z tą inteligencją nie obnosił.

– Musisz coś dla mnie zrobić.

– Wal.

Foley wypowiedział tylko jedno krótkie zdanie.

– Ty poważnie? – Prośba nie należała do codziennych.

– Jak najbardziej.

– Dobra, powiem sierżantowi. Ale na pewno spyta po co. – Starszy sierżant sztabowy Tom Drake, podoficer piechoty morskiej z oddziału przydzielonego do ochrony ambasady, wiedział, dla kogo Corso pracuje.

– Powiedz mu, że to kawał, ale cholernie ważny kawał.

– Dobra. Nic więcej mi nie powiesz?

– Na razie nie mogę.

Corso szybko zamrugał. Oho, delikatna sprawa: szef nabrał wody w usta. Z drugiej strony, albo to pierwszy raz? Pracując w CIA, często nie wiedziało się nawet, co robi reszta zespołu. Foleya za dobrze nie znał, ale miał dla niego dużo szacunku.

– Dobra, już do niego idę.

– Dzięki.

– Jak twój syn? – spytał Corso, ruszając do drzwi. – Podoba mu się w Moskwie?

– Powoli się adaptuje. Będzie lepiej, kiedy zacznie jeździć na łyżwach. Uwielbia hokej.

– To Moskwa, lepiej nie mógł trafić.

– Fakt. – Ed wziął kopertę i wstał. – Załatwisz to, Dom?

– Już lecę. Do jutra.

175

Rozdział 14

Znak ostrzegawczy

Jeśli w szpiegowskiej branży istnieje coś stałego i nieodłącznie z tą branżą związanego, jest tym na pewno nieustanny brak snu. Brak snu to rezultat ciągłego stresu, a stres jest najwierniejszą służebnicą każdego szpiega. Gdy sen nie nadchodził, Foleyowie mogli przynajmniej poleżeć i porozmawiać, a raczej pomigać.

„Kurczę, on na poważnie” – zaczął Ed.

„Zwerbowałeś kiedyś faceta aż stamtąd? – spytała Mary Pat.

„Coś ty”.

„Ci z Langley się przekręca”.

„Na pewno” – odrzekł Ed. Koniec dziewiątej rundy. Wszystkie bazy obstawione, dwa auty, narzucający posyła mu szybką podkręconą, a on pośle ją zaraz aż za tablicę wyników.

Zakładając, pomyślał, że wszystkiego nie spieprzymy.

„Chcesz, żebym w to weszła?”

„Poczekamy, zobaczymy”.

Mary Pat ciężko westchnęła: „Tak, wiem”. Nawet oni z trudem zachowywali cierpliwość. Piłka pędziła prosto na niego, mniej więcej na wysokości pasa, a on zacisnął ręce na uchwycie ciężkiego kija: patrzył na nią tak intensywnie, że widział, jak się obraca, że widział

każdy jej szew. Zaraz w nią przyrznie, zaraz wyśle ją, kurwa, za miasto. Reggie Jackson?

Pokaże mu, kto rządzi na tym boisku...

Tak, jeśli tylko niczego nie spieprzymy. Ale prowadził już podobną operację, kiedyś, w Teheranie. Zwerbował agenta, miejscowego rewolucjonistę, i jako jedyny z tamtejszej ekspozytury wiedział, jak paskudnie musi czuć się szach. Dzięki swoim raportom został nową gwiazdą Langley i trafił do pierwszej reprezentacji Boba Rittera.

Teraz też skoczy na głęboką wodę.

Centrala Merkury była w Langley jedynym miejscem, którego się powszechnie bano.

Bano się dlatego, gdyż wystarczyło, żeby ci z KGB kogoś stamtąd zwerbowali – jednego, jedniutkiego pracownika! – i cały gmach runąłby jak domek z kart. Dlatego dwa razy do ro-ku wszyscy przechodzili badania na poligrafie, na wykrywaczu kłamstw. Badania prowadzili agenci FBI, ponieważ szefostwo CIA nie ufało nawet własnym specom. Zły agent terenowy czy marny analityk mógł spalić informatora i zawalić misję, ale wprowadzić „kreta” do Merkurego to tak, jak

„obrócić” agentkę KGB i wypuścić ją na Piątą Aleję ze złotą kartą kredytową w rękę. Mogłaby kupować, co by tylko chciała. Cholera, za takiego „kreta” KGB zapłaci-

łoby nawet milion dolarów. Ich księgowy wykitowałby na atak serca, ale sprzedaliby jedno ze złotych jaj Fabergégo, tych, które zamówił u niego car Mikołaj II, i jeszcze by się cieszyli.

Wszyscy wiedzieli, że w KGB musi istnieć odpowiednik Merkurego, ale jak dotąd nikogo stamtąd nie zwerbowano.

Ciekawe, jak to tam u nich wygląda. Merkury mieścił się w sali wielkości olbrzymiego podziemnego garażu, takiej bez wewnętrznych ścian i przepierzeń, żeby wszyscy wszystkich widzieli. Pośrodku stało siedem potężnych bębnow z kasetami, które na cześć Disneya nazwano siedmioma krasnoludkami; fachmani od ochrony zainstalowali w nich kamery –

176

tak, tak, w środku każdego bębna! – na wypadek, gdyby jakiś szaleniec próbował do nich wejść, chociaż gdyby tam wszedł, zabiłoby go pewnie ramię automatycznego podajnika, urządzenia, które włączało się bez uprzedzenia i miało siłę słonia. Poza tym tylko komputery – w tym te najszybsze i najpotężniejsze, jak choćby Cray – wiedziały, w której przegródce spoczywa kaseca z tymi czy innymi danymi. Tak więc zabezpieczenia były zupełnie nie-prawdopodobne, wielowarstwowe i codziennie – jeśli nie co godzina – dokładnie sprawdzane. Za pracującymi tam ludźmi od czasu do czasu chodzili agenci FBI, którzy byli w te klocki całkiem dobrzy, przynajmniej jak na tajniaków. Męczące to i przytłaczające, ale jeśli któryś z nich się na to skarżył, skargi te do niego nie docierały. Żołnierze piechoty morskiej musieli codziennie przebiegać pięć kilometrów, a pracownicy CIA pogodzić się z wszechogarniającą paranoją instytucjonalną: tak po prostu było i już. Szczególnie doskwierały im badania na poligrafie, a CIA zatrudniała nawet psychiatrów, którzy uczyli ich, jak to bydlę przechytrzyć. Oni też przeszli takie szkolenie, mimo to co najmniej raz w roku „podłączano ich do pudła” albo po to, żeby zmierzyć ich lojalność wobec kraju, albo po to, żeby sprawdzić, czy pamiętają jeszcze to, czego ich nauczono. Któż to wie.

Czy w KGB też tak robili? Musieli, bo tylko szaleńcy by to sobie odpuścili, ale czy mieli tam poligraf? Może, a może i nie. Tylu rzeczy o nich nie wiedzieli. W Langley często bawiono się w głupie zgadywanki. Gustowali w nich szczególnie ci, którzy mówili: „Skoro my tak robimy, robią tak i oni”. Gówno prawda. Dwoje ludzi, tym bardziej dwa kraje, nigdy nie zrobią niczego dokładnie w taki sam sposób i właśnie dlatego Ed Foley uważał się za najlepszego w tym zwariowanym interesie. On wiedział lepiej. Nieustannie się rozglądał. Nigdy nie robił tego samego dwa razy, chyba że chciał kogoś zmylić, zwłaszcza Rosjan, którzy prawdopodobnie (niemal na pewno) cierpieli na tę samą biurokratyczną chorobę, co pracujący w CIA Amerykanie.

„A jeśli facet zażąda biletu na Zachód?” – spytała Mary Pat.

„Damy mu pierwszą klasę w Pan American” – odrzekł Ed tak szybko, jak szybko mógł poruszać palcami. „I najładniejszą stewardesę do przerznięcia”.

„Jesteś okropny”. Mary Pat z trudem stłumiła chichot. Ale wiedziała, że mąż ma rację.

Jeśli facet chciał zabawić się w szpiega, bezpieczniej było ewakuować go z kraju, przewieźć do Waszyngtonu i dać mu dożywotnią przepustkę do Disney Worldu. W Czarodziejskiej Górce, nie wspominając już o nowo otwartym Epcot Center, każdy Rosjanin doznałby szoku z nadmiaru wrażeń. Wychodząc z Kosmicznej Góry, Ed zażartował, że CIA powinna wynająć ją na cały dzień, zaprowadzić tam członków radzieckiego Biura Politycznego, a kiedy zaliczyliby już wszystkie jazdy, objedli się hamburgerami i opili colą, trzeba by zebrać ich do kupy i powiedzieć: „To robią Amerykanie, żeby się zabawić. Niestety, nie możemy wam pokazać, co robimy, kiedy jesteśmy poważni”. I jeśli to nie napędziłoby im strachu, nie napędziłoby im strachu nic – Foleyowie byli co do tego absolutnie zgodni. Nawet najważniejsi z nich – ci z dostępem do informacji, które KGB wykradło „głównemu przeciwnikowi” –

nawet oni byli ludźmi zaściankowymi i prowincjonalnymi. Większość z nich naprawdę wierzyła propagandzie, ponieważ nie mogli tej propagandy porównać z zachodnią rzeczywisto-

ścią, ponieważ tak samo jak biedni, głupi chłopci, robotnicy i kierowcy wywrotek byli ofiarami systemu.

Ale Foleyowie nie żyli w świecie fantazji.

„Dobra. Zrobimy, co zechce i co potem?”

177

„Wszystko po kolei, krok po kroku” – odrzekł i żona kiwnęła w ciemności głową. Podobnie jak z rodzeniem, tu też nie można było niczego przyspieszać – chyba że chciało się mieć dziwnie wyglądające dziecko. A więc Ed jeszcze nie stetryczał, pomyślała Mary Pat i nagrodziła go za to pocałunkiem.

Zajcew nie odzywał się do żony. Nie mógł spać, nie pomogło mu nawet pół litra wódki.

Przekazał swoje żądanie. Dopiero nazajutrz dowie się na pewno, czy ma do czynienia z kimś, kto jest w stanie mu pomóc. Żądanie było w sumie dość nierozsądne, ale on nie miał

czasu na rozsądek. Wiedział, że KGB nie da rady tego zainscenizować i to mu na razie wystarczyło. Tak, mogli namówić do tego Polaków, Rumunów albo ambasadora jakiegoś innego kraju

socjalistycznego, ale nie Amerykanów. Nawet Komitet Bezpieczeństwa Państwowego miał swoje ograniczenia.

Tak więc znowu musiał czekać, a sen wciąż nie nadchodził. Nazajutrz będzie kompletnie wypłuty. Zaczynał dopadać go kac, bo czuł, że czaszkę rozsadza mu małe trzęsienie ziemi.

– I jak poszło? – spytał Ryan.

– Mogło być gorzej – odrzekł Harding. – Głowy mi nie urwała. Powiedziałem jej, że mamy tylko to, co mamy, a Basil mnie poparł. Ale ona chce więcej. Podkreśliła to w mojej obecności.

– Dziwisz się jej? Słyszałeś o szefie rządu, który chciałby mniej informacji?

– Chyba nie – przyznał Harding. Widać było, że jest koszmarnie zestresowany. Nabił fajkę, zapalił i głęboko zaciągnął się dymem.

– Jeśli cię to pocieszy, Langley wie niewiele więcej od was.

– To samo powiedział jej Basil, bo spytała. Pewnie przed wyjazdem rozmawiał z Moore'em.

– My nic nie wiemy, wy nic nie wiecie, czyli nie wiemy nic razem.

– Cholernie pocieszające – prychnął Harding.

Już od dawna powinni byli siedzieć w domu. Ryan czekał na niego, żeby dowiedzieć się czegoś o spotkaniu na Downing Street, ponieważ miał – między innymi – zbierać informacje na temat brytyjskich służb wywiadowczych. Na pewno by go zrozumieli, bo tak się w tę grę grało. Zerknął na zegarek.

– Muszę lecieć. Do jutra.

– Śpij dobrze. – Jack wiedział, że Harding dobrze spać nie będzie. Wiedział też, ile zarabia jako urzędnik średniego szczebla i – jak na tak stresującą pracę – z pewnością zarabiał za mało. Ale cóż, pomyślał na ulicy. Takie jest życie w wielkim mieście.

– Co powiedziałaś swoim ludziom, Bob? – spytał sędzia.

– To, co kazałeś. Że prezydent chce wiedzieć. Ale jak na razie nic nie mamy. Szef będzie musiał zachować cierpliwość.

– Tak mu powiedziałem – odrzekł Moore. – Ale nie był zachwycony.

– Cóż, Wysoki Sądzie, deszczu nie powstrzymasz. Na wiele rzeczy nie mamy wpływu, a to jest właśnie taka rzecz. To duży chłopiec, na pewno nas zrozumie, prawda?

– Tak, Robercie, ale prezydent lubi dostawać to, czego chce. Jest bardzo zaniepokojony, bo Jego Świątobliwość wdepnął w mrowisko i...

– Tak, prawdopodobnie wdepnął, ale niewykluczone, że Rosjanie będą na tyle mądrzy, żeby załatwić tę sprawę kanałami dyplomatycznymi. Może poradzą mu, żeby trochę ochłoniął, wypracują jakieś rozwiązanie...

– Bob, to by nie wypaliło – wtrącił admirał Greer. – Prawniczą gadką go nie odstraszysz, nie człowieka takiego jak on.

– Fakt – przyznał Ritter. Nie, ten papież nie pójdzie na kompromis w kwestiach wielkiej wagi. Przeżył same najgorsze rzeczy, od hitlerowców poczynając, na stalinowcach z NKWD

kończąc. Dzięki niemu polski kościół zwarł szyki, jak zwierali je osadnicy ze starych westernów, walcząc z atakującymi Indianami. Gdyby ustępował i szedł na kompromis, kościół by nie przeżył. A konsekwentnie obstając przy swoim, stał się moralną i polityczną potęgą, któ-

ra mogła zagrozić nawet światowym supermocarstwom. Nie, ten człowiek się nie ugnie, nie ustąpi.

Większość ludzi boi się śmierci i unicestwienia. Ale on się nie bał. Rosjanie nigdy nie rozumieją dlaczego, lecz na pewno rozumieją, że zaskarbił tym sobie wielki szacunek. Do Boba Rittera i jego kolegów zaczynało powoli docierać, że jedynym rozwiązaniem, które miałyby dla radzieckiego Biura Politycznego jakikolwiek sens, jest zorganizowanie zamachu.

A Biuro Polityczne już się zebrało, chociaż to, nad czym debatowało i jakie podjęło uchwały, było frustrującą niewiadomą.

– Bob, czy mamy kogoś, kto mógłby zbadać, o czym dyskutowano na Kremlu?

– Niewielu, ale mamy – odrzekł Ritter. – W ciągu dwóch dni postawimy ich w stan pogotowia. Jeśli wpadną na coś ważnego, na pewno nas powiadomią. A jeśli zwęszą coś tego kalibru, gwarantuję, że przekażą nam informację własnymi kanałami. Arthurze, myślisz, że lubię siedzieć tak i czekać? Nie lubię, tak samo jak ty, ale musimy tę sprawę pozostawić swojemu biegowi. Dobrze wiesz, co groziłoby naszym agentom, gdybyśmy przyparli ich do muru.

Wszyscy trzej byli tego aż nadto świadomi. Właśnie tak zginął Oleg Pieńkowski. Informacje, które wykradł, uchroniły ich pewnie od wojny nuklearnej – i dopomogły w zwerbowaniu najdłużej działającego „kreta”, czyli Kardynała – chociaż sam Pieńkowski niewiele na tym skorzystał. Kiedy

wpadł, nie kto inny jak sam Chruszczow zażądał jego głowy. I ją dostał.

– Tak – zgodził się z nim Greer. – Poza tym, biorąc pod uwagę sytuację ogólną, nie jest to aż tak ważne, prawda?

– Nie. – Sędzia Moore musiał przyznać mu rację, chociaż wolałby nie wyjaśniać tego prezydentowi. Ale nie, gdy wytłumaczyło się sprawę jasno i dokładnie, nowy szef chwycił

wszystko w lot. Najbardziej przerażające było to, co może zrobić, jeśli papież nieoczekiwanie umrze. On też był człowiekiem z zasadami, choć łatwo ulegał emocjom. Śmierć papieża rozwścieczyłaby go jak byka, któremu pomachano przed nosem radziecką flagą. Ludzie u 179

władzy nie mogą ulegać emocjom. Jeśli im ulegają, emocje się tylko potęgują i wówczas czę-

sto bywa tak, że naród musi opłakiwać nowych zmarłych. A cuda współczesnej techniki i technologii służą tylko temu, żeby ich liczba nieustannie rosła... Dyrektor CIA zganił siebie za tę myśl. Nie, nowy prezydent był człowiekiem rozsądnym. Emocje zawsze podporządkowywał intelektowi, a intelekt miał dużo większy, niż uważali ci z prasy, ze środków masowego przekazu, którzy dostrzegali tylko jego uśmiech i teatralną osobowość. Ale środki masowego przekazu, podobnie jak wielu polityków, lepiej czuły się, mając do czynienia z pozorami niż z rzeczywistością. Cóż, ostatecznie wymagało to mniejszego zaangażowania intelektualnego...

Sędzia popatrzył na swoich najbliższych współpracowników.

– Dobrze, ale pamiętajmy, że każdy, kto przychodzi do Gabinetu Owalnego z pustymi rękami, czuje się tam bardzo samotny.

– Na pewno, Arthurze – odrzekł ze współczuciem Ritter.

Jeszcze mogę zawrócić, pomyślał. Sen wciąż nie nadchodził. Dobiegał go cichy, spokojny oddech Iriny. Spała snem sprawiedliwego. Zdrajcy nie spali. Zdrajców dręczyła bezsenność.

Musiał tylko z tym skończyć. To wszystko. Zrobił dwa małe kroki, i już, i to wystarczy.

Amerykanin widział jego twarz, ale co z tego? Zawsze można wsiąść do innego pociągu, do innego wagonu. Już nigdy więcej by go nie zobaczył. Kontakt urwałby się jak przecięty sznurek, życie wróciłoby do normy, a sumienie...

Przestałoby go dręczyć? Zajcew pogardliwie prychnął. To właśnie przez sumienie w to wszystko wdepnął. Nie, sumienie nie da mu spokoju. Nigdy.

Ale po drugiej stronie barykady czyhał nieustanny niepokój, bezsenność i strach. Prawdziwego strachu jeszcze nie zaznał. Ale zazna, był tego pewien. Zdradę karano tylko w jeden sposób: samego

zdrajcę zabijano, a jego rodzinę skazywano na powolne unicestwienie. Najczęściej zsyłano ją na Syberię, drzewa liczyć – to oczywiście żartobliwy eufemizm. Nie, Syberia była radzieckim piekłem, miejscem wiecznego potępienia, z którego wybawić mogła tylko śmierć.

Długo bił się z myślami i w końcu, powoli zapadając w sen, przegrał, zdając sobie sprawę, że jeśli teraz zrezygnuje, zginie tak czy inaczej, bo zabije go sumienie.

Zdawało mu się, że budzik zadzwonił już sekundę później. Przynajmniej nie męczyły go koszmarne sny. Tego ranka była to jedyna dobra wiadomość. Głowa pękała mu z bólu, mózg wypychał oczy z orbit. Wszedł chwiejnie do łazienki, ochlapał twarz wodą i wziął trzy aspiryny, łudząc się nadzieją, że za kilka godzin kac nieco złagodnieje.

Ponieważ miał podrażniony żołądek i nie mógł patrzeć na kiełbasę, zjadł trochę kaszy z mlekiem i kromkę chleba z masłem. Chciał napić się kawy, ale doszedł do wniosku, że mleko będzie lepsze.

– Za dużo wczoraj wypiteś – powiedziała Irina.

– Tak, kochanie, teraz o tym wiem – odrzekł łagodnie. To nie przez nią się schlał. Była dobrą żoną i dobrą matką dla Swietłany, dla jego małego *zajczika*. Wiedział, że jakoś ten 180

dzień przeżyje. Z trudem, ale przeżyje. Najgorsze było to, że musiał wcześniej wyjść. Ogolił

się szybko i byle jak, ale włożywszy świeżą koszulę i krawat, uznał, że wygląda całkiem zno-

śnie. Schował do kieszeni cztery aspiryny i żeby się rozruszać, zszedł schodami, zamiast wsiąść do windy. Ranek był chłodny i chłód pomógł mu trochę w drodze do metra. Kupił

„Izwestia”, wypalił papierosa i poczuł się nieco lepiej.

Czy ktoś mógł go rozpoznać? Niewielu. Wsiadł do innego wagonu, jechał innym pocią-

giem. Zwykle przychodził na stację kwadrans później. Nie. Był tłumem. Był anonimową twarzą w morzu anonimowych twarzy.

Dlatego nikt nie zauważył, że tego dnia wysiadł nie na swoim przystanku.

A amerykańska ambasada była ledwie parę ulic dalej i spojrzawszy na zegarek, ruszył w tamtą stronę.

Wiedział, o której to robią, ponieważ jako kadet Akademii KGB pojechał tam – kiedyś autobusem wraz z czterdziestoma pięcioma kolegami z grupy. Wszyscy wbili się w wyj-

ściowe mundury, pewnie po to, żeby pokazać tamtym, kim są i czym się kiedyś będą zajmować. Już wtedy uważali, że to czysta strata czasu, ale ówczesnym komendantem akademii był twardogłowy

komunista, którego dzisiejsza wyprawa Zajcewa doprowadziłaby do szału. Gmach ambasady. Kapitan zapalił kolejnego papierosa i ponownie zerknął na zegarek.

Punktualnie o siódmej trzydzieści tamci wciągali flagę na maszt. Przed dziesięcioma laty komendant akademii pokazał im ją i powiedział: „Popatrzcie, towarzysze. Oto wróg! Mieszka w naszej pięknej Moskwie i ma tu swoją siedzibę. W tym gmachu roi się od szpiegów, których wy, objąwszy służbę w Drugim Zarządzie Głównym, będziecie tępić i usuwać z naszego kraju. W tym gmachu mieszkają ci, którzy nas szpiegują, nas i naszą ojczyznę. A to jest ich flaga. Zawsze o tym pamiętajcie”. Dokładnie w tym momencie na biały maszt z brązowym orłem na czubku wpełzła amerykańska flaga, którą wciągali żołnierze Korpusu Piechoty Morskiej Stanów Zjednoczonych. Zajcew po raz kolejny spojrzął na zegarek. Powinni już zaraz, już za chwilę... Teraz.

Zabrzmiała trąbka, ale nie znał tej melodii. Widział tylko białe czapki żołnierzy ukrytych za kamiennym murkiem na płaskim dachu ambasady. Stał po drugiej stronie ulicy, tuż przy starym kościele, który KGB naszpikowało elektroniką.

Już, pomyślał wraz z garstką gapiów czekających na popękany cementowy chodni-ku.

Tak, już. Białoczerwone pasy! Same poziome, białoczerwone pasy u góry, zamiast bia-

łych gwiazd na niebieskim tle! Wciągali ją do góry nogami, odwrotnie! I wciągnęli aż na czubek masztu.

Zrobili to, czego chciałem. Zajcew szybko doszedł do rogu ulicy, skręcił w prawo, potem jeszcze raz w prawo, wrócił na stację, zapłacił pięć kopiejek, wsiadł do pociągu i pojechał na plac Dzierżyńskiego.

Kac minął jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, przestała go boleć głowa. Prawie nie zauważył, kiedy wjechał schodami na ulicę.

Amerykanie chcą mi pomóc. I pomogą. Może uda mi się jednak ocalić życie temu Pola-kowi. Do Centrali wchodził sprężystym krokiem.

181

– Co to, kurwa, było? – warknął Drake. Właśnie wciągnęli flagę, tym razem prawidłowo.

– Sierzancie, nie mogę... Nie mogę powiedzieć – wykrztusił Corso, mówiąc mu oczami trochę więcej.

– Tak jest. Tylko jak mam to odnotować?

– Nijak. Po prostu tego nie odnotujecie. Ktoś się głupio pomylił, a wyście ten błąd na-prawili.

– Skoro tak pan mówi... – Sierżant będzie musiał wyjaśnić to żołnierzom, ale wyjaśni im to tak, jak wyjaśniono to jemu, może tylko nieco ostrzejszymi słowami. A jeśli spyta go o tę sprawę ktoś z dowództwa, powie, że dostał rozkaz z ambasady i niech się tym martwi puł-

kownik d'Amici. Kurczę, zawsze może go odesłać do Dominica Corso. To makaroniarze, na pewno się dogadają. Ale jeśli nie, pułkownik d'Amici dorwie jego żołnierzy i każdemu z nich wywierci w dupie drugą dziurę. Jemu też.

Zajcew przejął służbę od Dobrika i usiadł. Tego ranka korespondencji było trochę mniej niż zwykle i wkrótce pochłonęła go codzienna rutyna. Czterdzieści minut później rutynę szlag trafił.

– Towarzyszu kapitanie. – Znajomy głos. Pułkownik Roźdiestwienski.

– Dzień dobry, towarzyszu pułkowniku. Macie coś dla mnie?

– Tak, to. – Roźdiestwienski podał mu depeszę. – Wyślijcie natychmiast, jednorazówką.

– Rozkaz. Kopię odesłać do was?

– Tak.

– Czy mogę podzucić ją przez posłańca?

– Możecie.

– Wyślę ją w ciągu kilku minut.

– Dobrze. – Roźdiestwienski wyszedł.

Zajcew spojrział na depeszę. Na szczęście była krótka. Jej zaszyfrowanie i wysłanie trwało ledwie kwadrans.

ŚCIŚLE TAJNE SPECJALNEGO PRZEZNACZENIA

PILNE

NADAWCA: GABINET PRZEWODNICZĄCEGO, CENTRALA, MOSKWA

ODBIORCA: REZYDENT, SOFIA

DOTYCZY: 15-8-82-666

ZATWIERDZENIE OPERACJI SPODZIEWANE JESZCZE DZISIAJ.

OCZEKIWAĆ KANAŁAMI USTALONYMI PODCZAS SPOTKANIA.

MELDUJCIE O NAWIĄZANIU ODPOWIEDNICH KONTAKTÓW.

182

Oznaczało to, że operacja „666” już trwa. Jeszcze poprzedniego dnia przeszedłby go zimny dreszcz – poprzedniego, ale nie tego. Dziś wiedział już, że robi coś, żeby ją zastopować. Że jeśli coś pójdzie nie tak, będzie to wina Amerykanów. To wielka różnica. Teraz musiał tylko wymyślić, jak nawiązać z nimi regularny kontakt...

Tymczasem Andropow przyjmował ministra spraw zagranicznych.

– Więc jak to załatwimy, Andrieju?

– W normalnych okolicznościach nasz ambasador spotkałby się z ich pierwszym sekretarzem, ale ze względu na tajność operacji, moglibyśmy spróbować inaczej.

– Jaką władzę ma ich pierwszy sekretarz? – spytał przewodniczący.

– Mniej więcej taką jak przed trzydziestu laty nasz Koba. Bułgarzy rządzą twardą ręką.

W skład ich Biura Politycznego wchodzi przedstawiciele wielu okręgowych organizacji partyjnych, ale tylko pierwszy sekretarz ma władzę wykonawczą.

– Aha. – To była dobra wiadomość. Jurij Władimirowicz podniósł słuchawkę telefonu. –

Dajcie tu pułkownika Roźdiestwienskigo.

Dwie minuty później pułkownik wszedł do gabinetu ukrytymi w szafie drzwiami.

- Tak, towarzyszu przewodniczący?
- Andriej, to jest pułkownik Roźdiestwienski, mój asystent i doradca. Pułkowniku, czy nasz sofijski rezydent utrzymuje bezpośredni kontakt z szefem bułgarskiego rządu?
- Raczej nie, towarzyszu przewodniczący, ale owszem, bywało, że zwracał się do niego z pominięciem protokołu dyplomatycznego. – Roźdiestwienski był zaskoczony, że Andropow tego nie wie, ale cóż, przewodniczący dopiero się uczył. Przynajmniej był na tyle rozsądny, że nie wstydził się spytać.
- Dobrze. Ze względów bezpieczeństwa nie chcielibyśmy, żeby o operacji „666” wiedziało ich Biuro Polityczne. Myślicie, że pułkownik Bubowoj mógłby zapoznać z planem pierwszego sekretarza i uzyskać jego zgodę w rozmowie w cztery oczy?
- Sądzę, że tak, ale żeby taką zgodę uzyskać, potrzebny byłby list podpisany przez towarzysza Breżniewa – odrzekł Roźdiestwienski.
- Słusznie – zgodził się z nim natychmiast minister spraw zagranicznych. – Tak byłoby najlepiej. Dobry pomysł, pułkowniku.
- Świetnie. Załatwimy to jeszcze dzisiaj. Andriej, czy Leonid Iljicz będzie dzisiaj u siebie?
- Tak. Zadzwońię do niego i uprzedzę, o co chodzi. Jeśli chcesz, mogę napisać list w ministerstwie. Czy wolisz tutaj?
- Z twoim pozwoleniem – odrzekł układnie Andropow – byłoby lepiej, gdybyśmy zrobili to tutaj. A jutro, najdalej pojutrze wyślemy go kurierem do Sofii.
- Dajmy Bułgarom parę dni czasu, Jurij. Są naszymi sojusznikami, ale cóż, ostatecznie to niezawisły kraj.

- Słusznie, Andrieju, słusznie... – Każdy kraj hodzi swoją własną biurokracją, której jedynym celem jest opóźnianie realizacji tego co najważniejsze.
- Poza tym po co świat ma wiedzieć, że nasz rezydent składa ważną wizytę ich pierwszemu sekretarzowi? – Brawo, pomyślał Roźdiestwienski. Minister spraw zagranicznych udzielił przewodniczącemu małej lekcji na temat konieczności zachowania maksymalnych środków ostrożności.
- A potem, Aleksieju Nikołajewiczu? – spytał Andropow. – Długo to jeszcze potrwa?

- Kilka tygodni. – Pułkownik dostrzegł rozdrażnienie w jego oczach i postanowił rzecz rozwinąć: – Towarzyszu przewodniczący, żeby wybrać odpowiedniego zamachowca, nie wystarczy podnieść słuchawkę telefonu i wykręcić numer. Stokow musi zachować bardzo dużą ostrożność. Ludzie to nie maszyny, trudno przewidzieć ich reakcję. To najistotniejszy, najdelikatniejszy aspekt naszej operacji.
- Tak, chyba macie rację... Cóż, dobrze. Zawiadomcie Bubowoja, że kurier jest w drodze.
- Już teraz, towarzyszu przewodniczący, czy dopiero wtedy, kiedy list będzie podpisany i gotowy do wysłania? – Roźdiestwienski zareagował jak wytrawny biurokrata, taktownie podsuwając Andropowowi najlepszy sposób postępowania.

Ten pułkownik daleko zajdzie, pomyślał minister spraw zagranicznych, po raz pierwszy odnotowując w pamięci jego nazwisko.

- Słuszna uwaga. Dobrze, zawiadomimy was, kiedy list będzie gotowy.
- Rozkaz, towarzyszu przewodniczący. Czy będziecie mnie jeszcze potrzebowali?
- Nie, na razie to wszystko. – Roźdiestwienski wyszedł.
- Macie dobrego doradcę, Juriju Władimirowiczu – zauważył minister.
- Tak, dużo się jeszcze muszę nauczyć – przyznał Andropow. – A od niego uczę się codziennie.
- Macie szczęście. W KGB jest tylu dobrych fachowców...
- To prawda, Andrieju Andriejewiczu, to prawda.

W gabinecie Roźdiestwienski napisał krótką depezę do Bubowoja. Szybko to idzie, myślał. Szybko, ale nie dla przewodniczącego. On naprawdę chce go zabić, i to bardzo... Biuro bało się politycznego trzęsienia ziemi, ale pułkownik wątpił, czy do niego dojdzie. Ostatecznie papież to tylko człowiek, jeden człowiek, a on, jak na dobrego urzędnika przystało, powiedział szefowi to, co szef chciał usłyszeć, podsuwając mu jednocześnie kilka niezbędnych wskazówek. Jako doradca Andropowa miał w sumie dużą władzę. Mógł zniszczyć karierę urzędnikom, których nie lubił, mógł też w znacznym stopniu wpływać na kształt planowanych przez KGB operacji. Gdyby kiedykolwiek zwerbowała go CIA, byłby bardzo cennym nabytkiem. Ale w żyłach pułkownika Roźdiestwienskiego płynęła krew rosyjskich patriotów, poza tym Amerykanie prawdopodobnie nie mieli zielonego pojęcia, kim tak naprawdę był i czym się zajmował. CIA bano się bardziej, niż na to zasługiwała. Jankesi nie mieli smykałki do szpiegowania. W przeciwieństwie do Anglików, chociaż Komitetowi

Bezwzględności Państwowego i jego poprzedniczkom Anglików też udało się kilkakrotnie zinfiltrować.

Kiedyś, bo dzisiaj sukcesów było jakby mniej. Młodzi komuniści z Cambridge, ci z lat trzy-184

dziestych, zdążyli się już zestarzeć albo w brytyjskich więzieniach, albo na rządowej pensyj-ce, albo dożywając swych lat w Moskwie, jak choćby Kim Philby, którego nawet moskwianie uważali za pijaka. Pił pewnie dlatego, że tęsknił za ojczyzną, za miejscami, w których dorastał, za jedzeniem, za meczami piłki nożnej, za gazetami, z którymi filozoficznie się nie zgadzał, tęskniąc za nimi mimo to. Być zdrajcą i zbiegiem, pomyślał Roźdiestwienski. Jakże to musi być straszne.

I co ja teraz zrobię? Czego zażądam?

Pieniądzy? Powiadano, że CIA płaci szpiegom kupę forsy: dostałby więcej, niż mógłby wydać. Te przechodzące wyobrażenia luksusu, te... magnetowidy! Dostępne w Związku Radzieckim magnetowidy produkowano na Węgrzech, na wzór tych zachodnich. Ale największym problemem było zdobycie dobrych kaset: szczególnym wzięciem cieszyły się pornograficzne. Jego koledzy czasem o nich mówili. Zajcew jeszcze takich nie widział, ale bardzo go ciekawiły, jak każdego mężczyznę. Związkiem Radzieckim rządzą potworni konserwatyści. Może członkowie Biura Politycznego byli po prostu za starzy na seks i nie widzieli potrzeby, żeby lubili go inni, zwłaszcza młodszy od nich.

Kapitan pokręcił głową. Dość, wystarczy. Musiał zdecydować, co powiedzieć Amerykaninowi. Przeżuł ten problem wraz z ziemniakami w stołówce KGB.

185

Rozdział 15

Miejsce spotkania

Dla zachowania pozorów Mary Pat miała wpadać do ambasady, a to żeby porozmawiać z mężem w sprawach rodzinnych, a to żeby kupić coś w sklepie. Przed wizytą zawsze się malowała, elegancko ubierała – o wiele ładniej niż przed zwykłym wyjściem do miasta –

starannie szczotkowała włosy, upinała je i obwiązywała dziewczęcą opaską, tak więc wychodząc z domu na parking, wyglądała jak typowa amerykańska blondynka o ptasim mózdzku. Uśmiechnęła się do siebie. Lubiła być naturalną blondynką. Lubiła wszystko to, dzięki czemu mogła uchodzić za głupiutką.

Zwiewnie wpłynęła drzwiami do środka, nonszalancko pomachała zawsze uprzejmym żołnierzom piechoty morskiej i wsiadła do windy. Męża zastała w gabinecie.

– Cześć, skarbie. – Ed wstał, pocałował ją i cofnął się o krok, żeby ocenić jej wygląd. –

Ładnie.

– Działa bez pudła. – Działało też w Iranie, zwłaszcza że była wtedy w ciąży. Kobiet nie traktowano tam najlepiej, ale tuż przed wyjazdem zdążyła jeszcze stwierdzić, że na te w ciąż-

ży patrzono nieco przychylniej. Tak czy inaczej, irańska placówka była jedyną, za którą ani trochę nie tęskniła.

– Jasne. Kupić ci tylko deskę surfingową i możesz iść na plażę, najlepiej na Banzai Beach.

– Och, Ed, byłoby... szalowo. Ale Banzai Beach jest na Hawajach, głupku. – Szybka zmiana biegów.

– Wciągnęli flagę?

– Tak. Żaden z przechodniów nie zwrócił na nią szczególnej uwagi, a przynajmniej nie wychwyciły tego nasze kamery. Ale widać ją aż z sąsiedniej ulicy, a kamery nie mają takiego zasięgu. Zobaczymy, czy nasz przyjaciel podrzuci mi dzisiaj coś do kieszeni.

– Co na to żołnierze?

– Pytali dlaczego, ale Dom nic im nie powiedział. Zresztą on nic nie wie.

– Dominic jest niezły – stwierdziła Mary Pat.

– Ritter go lubi. Aha, zaczekaj. – Foley wyjął z szuflady depeszę i podał ją żonie.

– O cholera... – tchnęła Mary Pat. – Papieża? Te skurwysyny chcą zabić papieża? – Nie zawsze mówiła językiem kalifornijskich blondynek.

– Nie mamy informacji, która definitywnie by to sugerowała, ale jeśli szefostwo chce, cóż, musimy to sprawdzić.

– Robota dla Drwala. – Drwal był ich wtyczką w Sekretariacie.

– Może dla Kardynała?

– Jeszcze nie nawiązaliśmy z nim kontaktu – przypomniała mu Mary Pat. Oboje wiedzieli, że wkrótce będą musieli. Co wieczór obserwowali jego mieszkanie, wypatrując świetlnych kombinacji w przesłoniętych żaluzjami oknach salonu. Na szczęście mieszkał stosunkowo niedaleko, a sygnały mieli już ustalone: kawałek samoprzylepnej taśmy na słupie latarni, i tak dalej. Ich kodyfikowanie należało do zadań Mary Pat. Spacerowała tamtędy z małym Eddiem, jak dotąd sześć razy. – Myślisz, że to robota dla niego?

186

– Prezydent chce wiedzieć – odrzekł Foley.

– Taaa... – Sęk w tym, że Kardynał był ich najcenniejszym agentem i mieli go aktywować tylko w sytuacji krytycznej. Poza tym gdyby się o czymś takim dowiedział, na pewno dałby im znać, nie czekając na kontakt z ich strony. – Ja bym się wstrzymała, chyba że Ritter nam każe.

– Dobra. – Jeśli Mary Pat doradzała ostrożność, ostrożność była konieczna. Ostatecznie to ona lubiała ryzykować, rzucając na szalę swoje umiejętności i grając o najwyższe stawki. Co wcale nie oznaczało, że była lekkomyślnym graczem. – Na razie się wstrzymamy.

– Ciekawe, co teraz zrobi twój znajomy z metra.

– Też chciałbym wiedzieć, ptaszku. Chcesz poznać ambasadora?

– Chyba już czas.

– Jak tam po wczorajszym? Żyjesz? – spytał Ryan, który pierwszy raz przyszedł do biura wcześniej od Hardinga.

– Chyba żyję – odrzekł Simon.

– Nie wiem, czy to cię pocieszy, ale ja prezydenta nie znam, to znaczy, nie osobiście. I niespecjalnie chcę go poznać. To tak jak z tym facetem, którego wysmarowali smołą i wyta-rzali w pierzu. Mark Twain napisał, że gdyby nie związany z tym zaszczyt, chętnie by tę imprezę sobie odpuścił.

Harding zachichotał.

– Właśnie. Człowiekowi nogi miękną w kolanach.

– Jest aż tak twarda, jak powiadają?

– Nie chciałbym grać z nią w rugby. Poza tym jest bardzo, ale to bardzo inteligentna. Nic nie ujdzie jej uwagi i zadaje piekielnie rzeczowe pytania.

– Cóż, a my musimy na nie odpowiadać, za to nam płacą. – Nie było sensu bać się ludzi, którzy, podobnie jak oni, wykonywali tylko swoją pracę i potrzebowali informacji, żeby wykonać ją dobrze.

– Jej też. Za odpowiadanie na pytania w parlamencie.

– Wypytyują ją o takie rzeczy? – spytał zaskoczony Jack.

– Nie, o takie nie. Od czasu do czasu dyskutujemy o tym z opozycją, ale z zachowaniem określonych, bardzo surowych reguł.

– Boicie się przecieków? – W Stanach mieli od tego specjalne komisje; ich członków dokładnie informowano o tym, co mogą, a czego nie mogą mówić. Owszem, Agencja też się o nie martwiła – ostatecznie ludzie ci byli tylko politykami – ale jak dotąd do poważniejszych przecieków nie doszło. Przynajmniej nie na Kapitolu, za to zdarzały się przecieki w samej Agencji, głównie na szóstym piętrze, oraz w zachodnim skrzydle... Białego Domu. Nie oznaczało to jednak, że CIA je toleruje czy lubi, o nie. Przecieki z Langley i z Białego Domu były najczęściej ściśle kontrolowane, odgórnie zatwierdzone i miały podłoże polityczne. Tu było 187

pewnie tak samo albo podobnie, zwłaszcza że brytyjskie media działały pod kontrolą, która redaktorów amerykańskiego „New York Timesa” doprowadziłaby do szału.

– Ostrożności nigdy nie za wiele, Jack – odrzekł Harding. – Przyszło coś nowego?

– O papieżu nic. Nasi natrafili na mur. Uaktywnicie swoich?

– Tak, pani premier wyraziła się bardzo jasno: chce więcej informacji. Jeśli Jego Świątobliwości coś się przydarzy...

– Pani premier dostanie piany na ustach, co?

– Wy, Amerykanie, nie przebieracie w słowach. A wasz prezydent?

– Ostro się wkurzy. Jego ojciec był katolikiem i chociaż matka wychowała go na protestanta, wpadłby w furję, gdyby papież choćby się przeziębził.

– Ale wiesz, nawet gdybyśmy się czegoś dowiedzieli, wcale nie jest pewne, że moglibyśmy to jakoś wykorzystać.

– Tak, też o tym myślałem, ale zawiadomilibyśmy chociaż jego ochronę. Może zmieniłby swój

harmonogram albo... Nie, niczego by nie zmienił. Wolałby już raczej oberwać kulę, jak mężczyzna. Ale może zdołalibyśmy popsuć im szyki. Dopóki nie zna się choćby paru konkretnych faktów, trudno cokolwiek wymyślić. Ale to już chyba nie nasza sprawa, prawda?

Harding pokręcił głową i zamieszał poranną herbatę.

– Nie. Informacji dostarczają nam agenci terenowi, a my próbujemy ustalić, co te informacje znaczą.

– Dość frustrujące, co? – spytał Ryan; Simon siedział w tej robocie znacznie dłużej od niego.

– Owszem. Wiem, że harują w pocie czoła, że dla tych, którzy nie mają dobrej przykrywki prawnej, jest to praca bardzo niebezpieczna w sensie fizycznym, ale my, użytkownicy informacji, nie zawsze jesteśmy w stanie wczuć się w ich skórę. Skutek jest taki, że agenci operacyjni nie doceniają nas tak, jak my doceniamy ich. Z biegiem lat poznałem kilku osobi-

ście. Są świetni, ale cóż, to zderzenie dwóch różnych kultur, Jack.

Agenci operacyjni są pewnie znakomitymi analitykami. Ciekawe, czy analitycy o tym wiedzą: Ryan skrzętnie odnotował to w pamięci. Centralna Agencja Wywiadowcza miała być ostatecznie jedną wielką, szczęśliwą rodziną. Oczywiście nie była i dotyczyło to nawet pracowników z szóstego piętra.

– No dobrze. – Podał Hardingowi teczkę. – Z NRD. W zeszłym tygodniu doszło tam do jakiś przetasowań w hierarchii politycznej.

– Przekłęci Prusacy... – mruknął Simon, spoglądając na pierwszą stronę.

– Uśmiechnij się, stary. Rosjanie też ich nie lubią.

– Wcale im się nie dziwię.

Zajcew intensywnie myślał: jego mózg pracował jak sterowany autopilotem. Będzie musiał spotkać się ze swoim nowym amerykańskim przyjacielem. To niebezpieczne, chyba że znajdą pewne, gwarantujące anonimowość miejsce. Takich miejsc było w Moskwie bardzo 188

dużo – to dobrze. Dobrze, ale i źle, bo ci z Drugiego Zarządu Głównego na pewno je znali.

Cóż, jeśli tylko będzie tam dużo ludzi, nie powinno to mieć większego znaczenia.

Tylko co mu powie?

Czego zażąda?

Co proponuje?

Dobre pytania. Niebezpieczeństwo jeszcze bardziej wzrośnie. Najlepsze rozwiązanie to wyjazd z kraju. Tak, na stałe. Muszą wyjechać, on, jego żona i córka.

I tego właśnie zażąda, a jeśli Amerykanie odmówią, wtopi się ponownie w szarą rzeczywistość, wiedząc, że przynajmniej próbował. Ma dla nich coś ważnego, coś, co na pewno chcieliby zdobyć i da im wyraźnie do zrozumienia, że ceną za te informacje jest ich ucieczka.

Życie na Zachodzie... Ten cały dekadentyzm, który wyklinała prasa, radio i telewizja, te wszystkie straszne rzeczy, które wbijano im do głowy. Sposób, w jaki Amerykanie traktowali mniejszości narodowe. Pokazywali nawet ich slumsy, ale pokazywali też... samochody.

Skoro Ameryka tak bardzo prześladowała czarnych, dlaczego pozwalała im kupować tyle samochodów? Dlaczego pozwalała na te wszystkie zamieszki? Gdyby coś takiego zdarzyło się w Związku Radzieckim, rząd wezwałby uzbrojone wojsko. A więc jednak nie, to tylko zwykła propaganda. Poza tym on był biały, nie czarny, prawda? Co obchodzili go niezadowoleni Murzyni, którzy mogli kupić sobie każdy samochód, jaki tylko zechcieli? Podobnie jak większość Rosjan, widywał ich rzadko i kiedyś zastanawiał się nawet, czy to w ogóle możliwe, żeby istnieli ludzie o czekoladowym kolorze skóry. Ale tak, istnieli. Komitet organizował operacje w Afryce. Jednakże zaraz potem pomyślał: czy w którejś z przeprowadzonych tam operacji wziął udział czarny agent? Niewielu, najwyżej paru, ale obaj byli amerykańskimi sierżantami. Skoro Murzynów tak bardzo prześladowano, jakim cudem dochrapali się stopnia sierżanta? Do szkół podoficerskich Armii Czerwonej trafiali wyłącznie kandydaci pewni politycznie. A więc kolejne kłamstwo, które odkrył tylko dlatego, że pracował w KGB.

A ilu kłamstw jeszcze nie odkrył? Dlaczego nie miałby wyjechać? Dlaczego nie miałby zażądać od Amerykanów biletu w jedną stronę?

Tylko czy mu go kupią?

Na pewno. Opowie im o operacjach KGB na Zachodzie. Znał nazwiska oficerów prowadzących i kryptonimy informatorów, zdrajców, którzy sprzedawali tajemnice swojej ojczyzny, ludzi, których tamci na pewno zechcieliby wyeliminować.

Czy przyłoży w ten sposób rękę do morderstwa?

Nie. Ci ludzie byli przecież zdrajcami. A zdrajca to zdrajca...

No, a ty, Olegu Iwanowiczu? – spytał cichutki głosik tylko po to, żeby go jeszcze bardziej dobić.

Miał wystarczająco dużo siły, żeby zagłuszyć go energicznym potrząśnięciem głowy. On zdrajcą? Nie. On chciał zapobiec morderstwu, to nie dyshonor. Wprost przeciwnie, to gest człowieka honoru.

No tak, ale nie wybrał jeszcze miejsca. Musiał spotkać się z Amerykaninem i powiedzieć mu, czego chce.

W jakimś zatłoczonym miejscu. W miejscu, gdzie ludzie mogą na siebie wpaść w sposób tak naturalny, że nawet kontrwywiadowcy z Drugiego Zarządu Głównego nie zauważą, co się dzieje ani ich nie podsłuchają.

I nagle go olśniło: właśnie w takim miejscu pracowała jego żona!

Tak, napisze wiadomość na formularzu i przekaże ją w metrze w taki sam sposób jak dwie poprzednie. Dopiero wtedy zobaczy, czy Amerykanie zechcą zagrać w jego grę, czy nie. Siedział teraz w fotelu przewodniczącego. Miał coś, co tamci bardzo chcieli zdobyć: ustanowi zasady, a oni będą musieli je przyjąć. Jakie to proste.

Tak, bardzo.

Proste i niesamowite. Robił coś, o czym zawsze marzyło całe KGB: dyktował warunki Centralnej Agencji Wywiadowczej!

Przewodniczący, pomyślał. Choć tylko na jeden dzień, ale zawsze przewodniczący.

Smakowite słowa.

Cathy obserwowała pracę dwóch miejscowych chirurgów operujących niejakiego Ronald Smithsona, murarza z guzem pod prawą gałką oczną. Prześwietlenie wykazało obecność zbitej masy wielkości piłki golfowej, co zaniepokoiło badających do tego stopnia, że pan Smithson czekał na zabieg ledwie pięć tygodni. W szpitalu Hopkinsa czekałby trzydzieści trzy dni krócej, mimo to, jak na Anglię, do operacji doszło bardzo szybko.

Kroili go Clive Hood i Geoffrey Phillips, doświadczeni starsi rezydenci. Zabieg był stosunkowo prosty, rutynowy. Pobrano wycinek, zamrożono go i wysłano na patologię; dyżurował tam dobry histopatolog, który miał ustalić, czy guz jest złośliwy, czy nie. Oby nie, ponieważ złośliwa narośl mogła oznaczać poważne kłopoty. Ale według Cathy, pacjent miał

bardzo duże szanse. Na pierwszy rzut oka, guz nie był zbyt agresywny, a oko miała w osiemdziesięciu pięciu procentach celne. Wiedziała, że takie podejście do medycyny nie jest podejściem naukowym, że przypomina raczej wiarę w gusła, ale chirurdzy, podobnie jak baseballiści, byli ludźmi przesądnymi. Właśnie dlatego zawsze tak samo wkładali skarpety –

w jej przypadku rajstopy – ponieważ i skarpety, i rajstopy stanowiły część ich życia, a jako ludzie

nawyku uważali, że wszystkie te głupie przyzwyczajenia mają wpływ na ostateczny przebieg operacji. Tak więc po wysłaniu wycinka na patologię, cała reszta sprowadzała się już tylko do usunięcia szaro-różowej masy z oczodołu.

– Która godzina? – spytał nagle doktor Hood.

– Za piętnaście pierwsza – zameldował doktor Phillips, zerknąwszy na ścienny zegar.

– Już? Może zrobimy sobie przerwę na lunch?

– Jasne, zjadłbym coś – odezwał się doktor Ellis, pracujący z nimi anestezjolog. – Będę musiał ściągnąć kogoś na zastępstwo.

– Może Owena? – zasugerował Hood.

– Już się robi. – Ellis wstał i podszedł do telefonu. Wrócił kilka sekund później. – Będzie za dwie minuty.

– Znakomicie – powiedział Hood. – Gdzie pójdziemy?

190

– Może do Frog and Toad? Dają tam świetny bekon, sałatę i pomidory z frytkami.

– Bosko.

Stojąca za Phillipsem Cathy milczała, wytrzeszczając swoje niebieskie oczy. Chryste, chcieli zostawić nieprzytomnego pacjenta i pójść na lunch? Kim oni byli? Szamanami?

Przyszedł Owen, już w fartuchu i w masce.

– Dobra, co tu mamy?

– Nic, rutynowy zabieg – odrzekł Ellis. Popatrzyli na monitory. Wszystkie wskazania były w normie, mimo to...

Wyszli do szatni, gdzie zrzucili zielone fartuchy i chwycili płaszcze. Korytarz, schody na ulicę – nie wiedząc, co robić, Cathy poszła za nimi.

– Więc jak wam się podoba w Londynie, Caroline? – spytał układnie Hood.

– Bardzo – odrzekła, wciąż nieco wstrząśnięta.

– A dzieciom?

– Mamy bardzo miłą nianię, młodą dziewczynę z Afryki Południowej.

– To jeden z naszych bardziej cywilizowanych zwyczajów – pochwalił ją Phillips.

Pub mieścił się ledwie ulicę dalej, tuż przy City Road. Szybko znaleźli wolny stolik. Hood natychmiast wyjął papierosy, zapalił i... pochwycił jej wymowne spojrzenie.

– Wiem, wiem. To niezdrowe i niegodne lekarza, ale wszyscy mamy prawo chociaż do jednej ludzkiej słabostki, prawda?

– U mnie nie znajdzie pan aprobaty – odparła.

– Cóż, będę wydmuchiwał dym w drugą stronę. – Hood zachichotał i akurat wtedy nadszedł kelner. – Jakiego piwa się pani napije?

Dobrze że pali, pomyślała Cathy. Z dwoma szokami naraz by sobie nie poradziła, a tak wiedziała przynajmniej, czego oczekiwać. Hood i Phillips wzięli Johna Courage'a. Ellis wolał

tetleya. Ona wybrała colę. Tamci rozmawiali głównie o pracy, jak to lekarze.

Ona zaś siedziała na drewnianym krześle, obserwując dwóch chirurgów i anestezjologa, którzy pili piwo i palili – nie, palił tylko jeden z nich – podczas gdy w sali operacyjnej numer 3 leżał nieprzytomny – i na szczęście niczego nieświadomy – pacjent, któremu pompowano do płuc podtlenek azotu.

– Jak pani widzi tutejszych lekarzy? – spytał Hood, gasząc papierosa. – Pracujemy inaczej niż w Stanach?

Omam się nie zakrztusiła, ale postanowiła nie wygłaszać komentarzy, które cisnęły się jej na usta.

– Cóż, chirurgia to chirurgia. Dziwię się tylko, że macie tak mało tomografów, MRI i skanerów pozytronowych. Jak wy się bez nich obyciecie? W Stanach nie śmiałybym rozpocząć operacji bez dokładnej analizy guza.

191

– Wiecie co? – odrzekł po krótkim namyśle Hood. – Caroline ma rację. Gdybyśmy mieli lepsze rozeznanie co do szybkości przyrostu masy guza, nasz murarz mógłby poczekać kilka miesięcy dłużej.

– Boże – nie wytrzymała Cathy. – W Stanach wycinamy je natychmiast. – Nie musiała dodawać, że taki guz po prostu boli, rozsadza czaszkę, wypycha oko. Człowiek zaczyna widzieć podwójnie i

właśnie dlatego Smithson poszedł do okulisty. Narzekał również na potworne bóle głowy, które doprowadzały go do szaleństwa, dopóki nie dostał środków przeciwbólowych opartych na kodeinie.

– Cóż, u nas działa to trochę inaczej.

Jasne. Dobrze jest leczyć na godziny, zamiast dbać o dobro pacjenta. Podano lunch. Kanapka była dobra – lepsza niż te, które jadała w szpitalnych stołówkach – mimo to Cathy wciąż nie mogła uwierzyć, że tamci żłopią piwo! Tutejsze było dwa razy mocniejsze od amerykańskiego, a oni zamówili po dużym kuflu. Duże piwo w Stanach to zero, czterdzieści siedem setnych litra, natomiast tutaj to o jedną dziesiątą litra więcej: zamierzali wychlać ponad pół litra piwa na łeb, a potem operować! Co to, do diabła, jest?

– Keczupu, Cathy? – Ellis podał jej butelkę. – A może raczej lady Caroline? Podobno Jego Wysokość jest ojcem chrzestnym waszego syna, tak?

– Coś w tym rodzaju. Zgodził się. Jack poprosił go o to pod wpływem chwili w szpitalu marynarki wojennej. Prawdziwymi rodzicami chrzestnymi są Robby i Sissy Jackson. Robby jest pilotem. Sissy pianistką.

– To ten Murzyn, o którym pisano w gazetach?

– Tak. Jack poznał go, kiedy uczyli w akademii. Są bliskimi przyjaciółmi.

– Tak... A więc gazety nie kłamały. To znaczy...

– Próbuję o tym nie myśleć. Jedyna dobra rzecz, która zdarzyła się tamtej nocy, to narodziny naszego syna.

– Rozumiem – wymlaskał Ellis, przeżuwając kęs kanapki. – Sądząc po tym, co pisali, musieliście przeżyć potworne chwile.

– Cóż, wesoło nie było. – Cathy zdołała się nawet uśmiechnąć. – W porównaniu z tym bóle porodowe i sam poród to czysta przyjemność.

Anglicy wybuchnęli śmiechem. Wszyscy trzej mieli dzieci, wszyscy trzej odbierali porody, które dla Angielek były na pewno równie zabawne, jak dla Amerykanek. Pół godziny później ruszyli z powrotem do szpitala. Hood wypalił po drodze papierosa, chociaż był na tyle uprzejmy, że cały czas szedł tak, aby dym nie leciał w jej stronę. Kolejne dziesięć minut i wreszcie weszli do sali operacyjnej. Owen zameldował, że podczas ich nieobecności nie zaszło nic godnego uwagi, więc podjęli zabieg.

– Może teraz ja poasystuję? – spytała z nadzieją Cathy.

– Nie, nie, dzięki – odrzekł Hood. – Panujemy nad sytuacją – dodał, pochylając się nad pacjentem, który, będąc nieprzytomnym, nie czuł na szczęście jego załatwiającego piwem oddechu.

Doktor Caroline Ryan, członkini Kolegium Amerykańskich Chirurgów, pogratulowała sobie w duchu

za to, że nie zaczęła na nich wrzeszczeć, mimo to trzymała się jak najbliżej 192

stołu, żeby tamci czegoś nie sknócili i przez pomyłkę nie usunęli pacjentowi ucha, zamiast guza. Może po alkoholu nie trzęsą im się ręce? – myślała, z trudem panując nad drżeniem swoich

Crown and Cushion, pub Pod Koroną i Poduszką, był typowo londyńskim pubem.

Smaczna kanapka, do kanapki duży kufel dobrego piwa – John Smith Ale – i rozmowa o pracy z Simonem. Pomyślał, że w kantynie CIA też mogliby podawać piwo, ale nie, coś takiego nigdy by nie przeszło. Dowiedziałby się o tym jakiś kongresman i rozpętałby piekło.

Przed obiektywami kamer, naturalnie, po kieliszku przedniego węgierskiego wina do lunchu i po szklaneczce czegoś mocniejszego w swoim gabinecie. Cóż, różnice kulturowe, i *vive la difference*, dumał, idąc mostem Westminsterским w stronę Big Bena – dzwonu, nie wieży, gdyż wbrew mylnemu przekonaniu większości turystów, ten słynny dzwon wisiał w St. Ma-ry's Bell Tower, w dzwonnicy Świętej Marii. Był pewien, że brytyjscy parlamentarzyści mają u siebie ze trzy, cztery puby. I na pewno nie upijali się w nich bardziej niż ich amerykańscy koledzy.

– Wiesz, chyba wszyscy się tym martwią – powiedział.

– Szkoda, że wysłał ten list, co?

– A mógłby go nie wysłać? Przecież to jego rodacy. Jego ojczyzna. Rosjanie chcą zniszczyć mu parafię.

– Tak, masz rację – odrzekł Harding. – Ale Rosjanie się nie zmieniają. No i mamy impas.

Ryan kiwnął głową.

– Fakt. Jest jakaś szansa, że się z tego wycofają?

– Nie licząc tego, że z oczywistych powodów powinni, prawie żadna. Wasz prezydent spróbuje ich jakoś odstraszyć?

– Nie zrobiłby tego, nawet gdyby mógł. Nie zainterweniuje, nie w takiej sprawie.

– A więc dotarliśmy do rozstaju dróg. Z jednej strony powinniśmy podjąć moralnie uzasadnione kroki, z drugiej powstrzymuje nas konieczność polityczna, strach przed brakiem działania. Impas, cholera, głupi impas.

– Ojciec Tim, ten z Georgetown, mawiał, że każdą wojnę wszczynają ludzie ogarnięci strachem. Boją się jej następstw, ale jeszcze bardziej boją się następstw tego, że wojny nie wywołają. Ten świat jest kompletnie porąbany, Simon. – Ryan otworzył mu drzwi.

– Modelowym przykładem był sierpień tysiąc dziewięćset czternastego.

– Tak, ale tamci wierzyli przynajmniej w Boga. W trzydziestym dziewiątym było już trochę inaczej, bo ci źli nie mieli takich ograniczeń. Nie ma ich też Moskwa. Ale ograniczenia powinny istnieć, bo jeśli znikną, zmienimy się w bestie.

– Powiedz to tym z Biura Politycznego – rzucił lekko Harding.

– Jasne. – Ryan skręcił do toalety, żeby zrzucić trochę płynnego balastu.

193

Obie strony nie mogły doczekać się wieczoru. Ed Foley myślał, zastanawiał się, co teraz.

Nie było żadnej gwarancji, że facet dokończy to, co zaczął. Zawsze mógł stchórzyć i tchórzac, postąpiłby bardzo rozsądnie: zdrada to niebezpieczna rzecz. Foley wciąż nosił zielony krawat, ten drugi, bo miał tylko dwa. Nosił go na szczęście, ponieważ dotarli do punktu, gdzie szczęście bardzo się liczyło. Kimkolwiek ten facet był, oby tylko nie stchórzył.

Chodź, Wania – powtarzał sobie w duchu, próbując zmusić go do tego siłą woli. Chodź, dostaniesz skręta. Dostaniesz dożywotni bilet do Disney Worldu, na wszystkie mecze futbolowe, jakie tylko zdołasz obejrzeć. Oleg Pieńkowski marzył o spotkaniu z Kennedym, więc jeśli tylko zechcesz, załatwimy ci rozmowę z nowym prezydentem. Kurczę, dorzucimy ci jeszcze film w jego prywatnym kinie. W Białym Domu rzecz jasna...

Mary Pat myślała dokładnie o tym samym. Wiedziała, że jeszcze tylko jeden krok i zagra w pierwszych scenach dramatu. Jeśli ten Rosjanin naprawdę pracował w Centrali KGB i jeśli naprawdę chciał uciec na Zachód, ona i Ed będą musieli się tym zająć. Owszem, istniały na to sposoby i wielokrotnie je wykorzystywano, lecz nie były to sposoby rutynowe. Radzieckie granice nie należały do najszczelniejszych, jednak były szczelne na tyle, żeby porządnie się na nich spocić i chociaż w poważnej grze często pomagał jej wygląd, podczas ewakuacji czu-

ła się dość nieswojo. Dlatego kręcąc się po domu – mały Eddie ucinął sobie popołudniową drzemkę – rozważała pomysł za pomysłem. Sekunda wlokła się za sekundą, godzina za godziną.

Ed Foley jeszcze ich nie zawiadomił. Za wcześnie. Nie miał do zameldowania niczego konkretnego i nie było sensu, żeby Bob Ritter ekscytował się czymś, co na dobre nie istniało.

Podobne sytuacje bynajmniej nie należały do rzadkości: ludzie nawiązywali kontakt, wpadali w panikę i się wycofywali. Nie można było ich ścigać. Często nie znało się nawet ich nazwiska, a zrezygnowawszy z dalszej gry, robili jedyną rozsądną rzecz, jaką mogli zrobić: składali meldunek w KGB. Dzięki takiemu meldunkowi ci z Drugiego Zarządu Głównego dowiadywali się, że ten i ten jest amerykańskim agentem – co powodowało, że jego wartość dla kraju spadała praktycznie do zera – a donosiciel chronił swój tyłek jako lojalny i czujny obywatel Związku Radzieckiego, który spełnił swój obowiązek wobec ojczyzny.

Ludzie nie zdawali sobie sprawy, że agenci CIA prawie nigdy nie werbowali informatorów. Nie, to informatorzy nawiązywali kontakt z agentami. Czasem robili to sprytnie, czasem nie, co wystawiało agenta na niebezpieczeństwo podpuchy. Celowało w tym zwłaszcza amerykańskie Federalne Biuro Śledcze, chociaż Drugi Zarząd Główny też stosował tę zagrywkę, żeby zidentyfikować agentów CIA w tej czy innej ambasadzie. Była to bardzo opłacalna taktyka, ponieważ gdy już takiego agenta wykryli, szli za nim do martwej skrzynki kontaktowej i zalegali w pobliżu, żeby sprawdzić, kto odbierze przesyłkę. Tym sposobem mieli już swego zdrajcę, ten zaś prowadził ich do innych zdrajców, tak że przy odrobinie szczęścia mogli zwinąć całą siatkę i dostać za to złotą – nie, chyba jednak czerwoną, za to ładną – gwiazdkę w upominku. Oficerowie kontrwywiadu mogli zrobić na takiej sprawie wielką karierę, zarówno tu, w Związku Radzieckim, jak i w Stanach Zjednoczonych, dlatego bardzo się starali. Drugi Zarząd Główny zatrudniał mnóstwo ludzi – podobno pracowała tam połowa wszystkich funkcjonariuszy KGB – i byli to ludzie naprawdę inteligentni, zawodowcy z dostępem do wszelkiego rodzaju środków, myśliwi o cierpliwości arizońskich sę-

194

pów, które krążąc nad pustynią, próbują wywęszyć w powietrzu zapach martwego królika, po czym pikują w dół, żeby nazreć się padliny.

Ale ci z KGB byli niebezpieczniejsi od sępów. Sępy nie polują. Ed Foley nigdy nie miał

pewności, czy jeżdżąc po Moskwie, nie wlecze za sobą ogona. Tak, oczywiście, mógł go zauważyć, ale skąd pewność, że tamci celowo nie przydzielili mu fajtlapy – czytaj: kogoś niezwykle sprytnego – żeby sprawdzić, czy nie spróbuje go zgubić. Oficerów wywiadu szkolono zarówno w technikach inwigilacyjnych, jak i kontrinwigilacyjnych, a ponieważ techniki te były powszechnie znane i powszechnie rozpoznawalne, Foley ich nie stosował. Nigdy. Przenigdy. Nie zastosował ich ani razu. Spryt był w tej grze zbyt niebezpieczny, bo sprytu nigdy nie dość. W razie konieczności istniały inne sposoby, jak choćby przesyłka „na mijankę”, znana każdemu agentowi na świecie, lecz ze względu na swoją prostotę, bardzo trudna do zauważenia. Nie, jeśli już nie wypalała, to wyłącznie dlatego, że informatorowi puściły nerwy. O wiele trudniej było być informatorem niż agentem operacyjnym. Foley miał przykrywkę dyplomatyczną. Ruscy mogli zdobyć film, na którym rżnie ulubionego kozła Jurija Andropowa, i nie mogliby mu nic zrobić. Technicznie rzecz biorąc, był dyplomatą i chroniła go Konwencja Genewska, dzięki której tamci nie mieli prawa go tknąć nawet podczas wojny, chociaż wtedy byłoby zapewne trochę ostrzej. Ale Ed uważał, że to nie problem. Gdyby wybuchła wojna,

usmażyłby się na ulicy wraz z innymi moskwianami, trafiłby tam, gdzie trafiali po śmierci wszyscy szpiedzy i chyba nie czułby się samotny.

Z trudem odpędził od siebie te nieistotne, acz zajmujące myśli. Wszystko sprowadzało się zatem do jednego pytania: czy jego nowy przyjaciel Wania zrobi następny krok, czy też zniknie w tłumie, zadowolony, że pewnego chłodnego moskiewskiego poranka ambasada Stanów Zjednoczonych zatańczyła tak, jak jej zagrał? Żeby się o tym przekonać, Foley musiał

zajrzeć do kart. I co tam zobaczy? Oczko czy tylko parę czwórek?

Właśnie dlatego wylądowałeś w tej branży – pomyślał. Bo masz tu swój dreszczyk, dreszczyk emocji towarzyszący każdemu pościgowi. Przechodził człowieka nawet wtedy, gdy zwierzyna zniknęła w zamglonym lesie. O wiele przyjemniej jest odzierać niedźwiedzia ze skóry, niż sprawdzać, jak ten niedźwiedź pachnie.

Dlaczego on to robi? Dla pieniędzy? Z powodów ideologicznych? Miał wyrzuty sumienia? Ego mu kazało? To cztery najbardziej typowe przyczyny. Niektórzy żądali po prostu słoika po majonezie, wypełnionego studolarowymi banknotami. Inni z gorliwością nowo nawróconych wierzyli w politykę kraju, który go zwerbował. Jeszcze innymi targały we-wnętrzne konflikty, ponieważ ich ojczyzna zrobiła coś, z czym nie mogli się pogodzić. Byli też tacy, którzy uważali, że są lepsi od swoich wrednych szefów i chcieli się w ten sposób na nich zemścić.

Historycznie rzecz biorąc, „szpiedzy ideologiczni” byli najbardziej produktywni. Dla swoich przekonań chętnie ryzykowali życie, dlatego wojny religijne bywały tak krwawe.

Foley wolał tych, którzy robili to dla pieniędzy. Zawsze postępowali bardzo racjonalnie i chętnie ryzykowali, bo im większe ryzyko, tym większy szmal. Ci z ego byli nadwrażliwi i kłopotliwi. Zemsta nie jest motywacją zbyt szlachetną, dlatego kierujący się nią zdrajcy byli zwykle rozchwiani emocjonalnie. Sumienie jest niemal równie dobre jak ideologia. Ci, któ-

rym kazało działać, mieli przynajmniej jakieś zasady. Ale cała prawda sprowadzała się do tego, że CIA nie szczydziła pieniędzy dla informatorów – choćby dlatego, żeby grać z nimi w ducha fair play – poza tym chciała, żeby wiadomość o jej hojności dotarła do jak największej liczby potencjalnych klientów. Szefostwo uważało, że to nie zaszkodzi. I słusznie. Świado-195

mość, że czeka ich odpowiednia rekompensata, wielokrotnie bywała decydującym czynnikiem dla tych, którzy wciąż się wahali. Bo bez względu na główną motywację, pieniądze zawsze były potrzebne. Ideolodzy też musieli jeść. I ci, których dręczyło sumienie. A ci z rozbuchanym ego przekonywali się, że wygodne życie jest dobrą formą zemsty.

A co kieruje tobą, Wania? – myślał Foley. Co pchnęło cię do zdrady kraju? Rosjanie byli zagorzałymi patriotami. Stephen Decatur powiedział: „Dobry czy zły, to nasz kraj”, i równie dobrze mógłby przemawiać wtedy jako Rosjanin. Z tym, że ten kraj był źle rządzony, rzą-

dzony wręcz fatalnie. Rosja musiała być chyba najbardziej pechowym ze wszystkich krajów świata. Najpierw była zbyt wielka, żeby skutecznie nią władać, potem przejęli ją beznadziejnie nieporadni Romanowowie, a potem, kiedy nawet oni nie potrafili już zapanować nad żywotnością narodu, została wrzucona w krwawą paszczę pierwszej wojny światowej i poniosła tak ciężkie straty, że Włodzimierz Uljanow – Lenin – mógł przeprowadzić rewolucję i ustanowić reżim polityczny, obliczony na samozniszczenie; w końcu wpadła w ręce największego psychopaty od czasów Kaliguli, czyli Józefa Stalina. Nawarstwiające się od wieków skutki tej zwyrodniałej szarpaniny zaczynały podważać wiarę mieszkających tu ludzi...

O czym ty myślisz, Foley? Dokąd zawędrowałeś? Jeszcze tylko pół godziny. Wyjdzie z ambasady jak zwykle o czasie, wsiądzie do metra w luźnym, rozpiętym płaszczu i zobaczy, co będzie. Ale teraz poszedł do toalety. Jego pęcherz wpadał w ekscytację równie często jak intelekt.

Zajcew się nie spieszył. Wiedział, że będzie mógł wykorzystać tylko jeden formularz.

Wyrzucanie zużytych formularzy na widoku było zbyt niebezpieczne, torbie na papiery przeznaczone do spalania nie ufał, nie mógł też spalić formularza w popielniczce, dlatego ułożył wiadomość w głowie, dokładnie ją przeanalizował, przemyślał i rozważył. A potem powtórzył to wszystko od samego początku.

Zajęło mu to pełną godzinę i dopiero wtedy napisał ją ukradkiem, złożył formularz i ukrył go wśród papierosów.

Mały Eddie puścił swoich ulubionych *Transformerów* i całkowicie pochłonięty filmem, znieruchomiał przed telewizorem w salonie. Mary Pat gapiła się tępo w ekran. I nagle ją olśniło.

To przecież ja – pomyślała. Jestem taką transformerką: z głupiutkiej blondynki zmieniam się w agentkę CIA. I robię to bezbłędnie. Niezłe. Bardzo dobre. Dzięki niej rosyjski niedź-

wiedź nabawi się wrzodu żołądka, oby krwawiącego, takiego, którego nie da się uleczyć ani pićm mleka, ani tabletkami. Jeszcze tylko czterdzieści minut i Ed dowie się, czy jego nowy przyjaciel chce grać dalej. Jeśli tak, będzie musiała go poprowadzić. Wziąć go za rękę, odpowiednio nim pokierować, wydostać z niego informacje i przekazać je do Langley.

Ciekawe co nam sprzeda? Coś mocnego? Zabójczo interesującego? Pracuje w centrum łączności czy ma tylko dostęp do czystych formularzy? W Centrali musi być ich pełno... Nie, nie wiadomo.

Wszystko zależy od środków ostrożności, jakie tam stosują. A te są pewnie bardzo ściśle. KGB powierza swoje tajemnice tylko garstce wybrańców...

A każdy z nich jest jak robak na haczyku, pomyślała obserwując dieslowski traktor Kenwortha transformujący się w dwunogiego robota. Kupi takiego Eddiemu na gwiazdkę.

Ciekawe, czy da radę przetransformować go sam.

Nadeszła pora. Wyjdzie punktualnie, co na pewno uspokoi tego, kto go śledził, jeżeli w ogóle ktoś go śledził. Jeśli tak, na pewno znowu zauważy ładny, zielony krawat i dojdzie do wniosku, że ten poprzedni nic nie znaczył, że to tylko przypadek, a nie znak dla ewentualnego informatora. Nawet ci z Komitetu Bezpieczeństwa Państwowego nie mogli zakładać, że wszyscy pracownicy ambasady amerykańskiej są szpiegami CIA. Mimo powszechnej tu paranoi, nawet oni znali zasady gry, poza tym jego przyjaciel z „New York Timesa” prawdopodobnie doniósł gdzie trzeba, że Foley to ostatni przygłup, który w Nowym Jorku nie radził sobie nawet z kawałkami policyjnymi, równie trudnymi do napisania, jak oglądanie telewizji w wolny weekend. Tak, najlepszą przykrywką jest głupota, a któż mógłby zrobić z niego większego głupka niż ten arogancki kutas, Anthony – Anthony, nigdy „Tony”! – Prince.

Chłodne powietrze pachniało nadchodzącą jesienią. Zastanawiał się, czy rosyjska zima jest naprawdę tak sroga, jak powiadano. Jeśli tak, zawsze można ubrać się ciepiej. Wolał

mróz niż upał. Upałów nie znosił, chociaż pamiętał czasy, gdy grał w baseball na ulicy, w fontannach tryskającej z hydrantów wody. Niewinna młodość już dawno minęła. Oj dawno, cholernie dawno, pomyślał zerkając na zegarek. Tak jak poprzednio, punktualność tutejszych pociągów podziałała na jego korzyść. Wsiadł do tego samego wagonu.

Jest, pomyślał Zajcew, powoli sunąc w jego stronę. Amerykanin robił dokładnie to samo co wtedy: czytał gazetę z prawą ręką na zwisającym z sufitu uchwycie. I tak samo jak wtedy, był w luźnym, rozpiętym płaszczu. Jeszcze chwila, jeszcze sekunda i kapitan znalazł się tuż przy nim.

Poszerzyć pole widzenia – na szczęście wciąż to potrafił. Był tam: ta sama sylwetka, to samo ubranie. Dobra, Wania, daj mi to. Tylko ostrożnie, chłopie, bardzo ostrożnie... Nie, to zbyt niebezpieczne. Będą musieli ustalić dogodniejsze miejsce, założyć skrzynkę kontaktową. Ale najpierw spotkanie. Z Mary Pat. Mary Pat lepiej wtapiała się w tłum...

Zajcew odczekał, aż pociąg wyhamuje. Gdy pasażerowie zachwiali się i zatoczyli, szybko włożył i wyjął rękę z kieszeni płaszcza. Potem odwrócił się, powoli, żeby nie zwrócić na siebie uwagi, w naturalnym odruchu, który łatwo było wytłumaczyć rozkołysaniem wagonu metra.

Tak! Dobra robota, Wania. Chciałby na niego chociaż zerknąć, nakazywał mu to każdy nerw jego ciała, ale musiał przestrzegać zasad gry. Gdyby ktoś go śledził, na pewno by to zauważył, a on miał być przecież kimś, kto nie rzuca się w oczy. Dlatego cierpliwie zaczekał, aż pociąg stanie, a wtedy skręcił w prawo i minawszy Rosjanina, wysiadł na peron. Z peronu wyszedł na rześki chłód ulicy.

197

Nie włożył ręki do kieszeni. Wracał do domu jakby nigdy nic, zachowując się spokojnie i przewidywalnie jak słońce zachodzące po pięknym, bezchmurnym dniu. W windzie też nie sięgnął do kieszeni, bo w suficie mogła być kamera.

Zrobił to dopiero za drzwiami mieszkania. Tym razem blankiet nie był czysty, wprost przeciwnie: był zapisany, w dodatku po angielsku, jak poprzednio. Wania jest wykształcony, pomyślał. To bardzo dobrze.

– Cześć, Ed. – Pocałunek pod mikrofony. – Co w pracy? Coś ciekawego?

– Nuda, jak zwykle. A co na obiad?

– Ryba. – Nie odrywając wzroku od formularza, Mary Pat podniosła do góry oba kciuki.

Strzał w dziesiątkę! Mieli nowego informatora. Faceta stamtąd, z KGB. I facet ten pracował dla nich.

198

Rozdział 16

Czapka

- Co takiego? – spytał Ryan.
 - W połowie zabiegu zrobili sobie przerwę na lunch i poszli do pubu na piwo! – powtórzyła Cathy.
 - Też poszedłem.
 - Ale ty nie operowałeś!
 - Co by się stało, gdyby zrobili to w Stanach?
 - W Stanach? Nic. Pewnie pozbawiliby ich prawa do wykonywania zawodu, ale przedtem Bernie wzięłby, kurwa, piłę i amputowałby im obie ręce!
- To przykuło jego uwagę. Żona nigdy nie przeklinała.
- Poważnie?
 - Jadłam kanapkę, sałatę, bekon i chipsy; dla nas, dla tych głupich kolonialistów, to po prostu fryty. Aha, i zamiast piwa, piłam colę.
 - Miło to słyszeć, pani doktor. – Jack podszedł bliżej, żeby ją pocałować. Chyba tego potrzebowała.
 - Kurwa! Nigdy czegoś takiego nie widziałam, nigdy w życiu! Chryste, może robią tak na jakimś zadupiu w Montanie, ale nie w prawdziwym szpitalu!
 - Uspokój się, klniesz jak szewc.
 - Nie, jak żona byłego żołnierza piechoty morskiej. – W końcu wykrzesła z siebie lekki uśmiech. – Jack, niczego im nie powiedziałam. Nie wiedziałam co. Są starsi ode mnie, mają wyższą pozycję zawodową, ale gdyby zrobili coś takiego w Stanach, byłiby skończeni. Nie pozwoliliby im nawet operować psów.
 - A ten pacjent? Przeżył?
 - Przeżył. Odesłali nam wycinek – to był zwykły guz, nic złośliwego – usunęliśmy na-rośl, i już. Nic mu nie będzie, za cztery, pięć dni dojdzie do siebie. Nie straci wzroku, przestanie boleć go głowa... Ale ci dwaj operowali go, zjeżdżając piwskim!
 - Faul to faul, ważne, że zawodnik wstał – zrymował nieśmiało Ryan.
 - Jack, tak nie powinno być.

- To pójdź z tym do Byrda.
- Powinnam. Naprawdę powinnam.
- Co by zrobił? Ponownie się nabuzowała.
- Nie wiem.
- Podebrałabyś ludziom chleb i uznaliby cię za wichrzycielkę.
- Jack, w moim szpitalu natychmiast poszłabym z tym do dyrekcji i rozpętałabym piekło, ale tutaj, tutaj jestem tylko gościem.
- I zwyczaje tu inne.

199

– Nie tak bardzo. To, co zrobili, jest wysoce nieprofesjonalne. I potencjalnie szkodliwe dla pacjenta, a tej granicy nigdy nie wolno przekraczać. W Stanach, jeśli mam pacjenta w sali pooperacyjnej albo jeśli nazajutrz czeka mnie zabieg, nie piję do kolacji wina, tak? Nie piję dlatego, że najważniejsze jest jego dobro. Tak, jasne, jeżeli wracasz z przyjęcia do domu i widzisz na poboczu rannego, zatrzymujesz się i jeśli w pobliżu nie ma nikogo innego, robisz, co możesz, żeby mu pomóc. Albo wieziesz go do najbliższego lekarza i mówisz mu, że zanim faceta zobaczyłeś, wypięś parę głębszych. Zgoda, na stażu zmuszali nas do pracy przez czterdzieści osiem godzin na dobę, żebyśmy nauczyli się podejmować decyzje w stresie, ale zawsze, zawsze był wtedy z nami ktoś wypoczęty i trzeźwo myślący, a my musieliśmy wyczuć, kiedy zaczyna odbierać nam rozum. Dotarło? Raz przeżyłam coś takiego na pediatrii.

Omam nie umarłam z przerażenia, kiedy ten chłopczyk przestał nagle oddychać, ale była ze mną dobra pielęgniarka, która momentalnie ściągnęła na dół rezydenta i, dzięki Bogu, wspólnymi siłami wyprowadziliśmy go z bezdechu bez trwałego uszczerbku dla zdrowia.

Ale, Jack, takich sytuacji się nie prowokuje. Takich sytuacji się nie szuka. W porządku, kiedy do nich dojdzie, trzeba sobie radzić, ale nigdy, przenigdy nie robi się tego celowo. Prawda?

- Dobra, ale co chcesz teraz zrobić?
- Nie wiem. A Stanach poszłabym od razu do Berniego, ale nie jesteśmy w Stanach...
- I chcesz, żebym ci doradził?

Skupiła na nim wzrok.

– Tak. Co o tym myślisz?

To, co myślał, nie miało żadnego znaczenia. Chodziło tylko o to, żeby pomógł jej podjąć decyzję.

– Jeśli nic nie zrobisz, jak będziesz się czuła w przyszłym tygodniu?

– Okropnie. Jack, widziałam coś, czego...

– Cathy. – Objął ją i przytulił. – Nie potrzebujesz mojej rady. Idź i zrób to, co uważasz za słuszne, bo zeżrą cię nerwy. I nie powinno ci być przykro, bez względu na konsekwencje.

Prawo moralne jest tylko jedno, lady Ryan.

– Właśnie, „lady Ryan”. Oni też tak mówili. Czuję się głupio, bo...

– Tak, wiem. W pracy często mówią do mnie „sir”. Po prostu przełknij to, i już. Oni nie chcą cię obrazić.

– A wiesz, jak mówią na chirurgów? Pan Jones i pani Jones. Nie doktor Jones, tylko pan Jones. O co tu, do diabła, chodzi?

– Tutejszy zwyczaj, jeszcze z czasów osiemnastowiecznej marynarki wojennej. Lekarzem okrętowym był zazwyczaj młody podporucznik, a na pokładzie zwracają się do takich per

„panie”. Panie Smith, zamiast panie poruczniku. Z czasem zaczęto tak mówić w cywilnych szpitalach.

– Skąd ty to wiesz?

– Cathy, jesteś doktorem medycyny. Zapomniałaś, że ja zrobiłem doktorat z historii? Na medycynie też się znam, a jakże. Umiem na przykład zdezynfekować ranę merthiolatem i zakleić ją plastrem, ale na tym moja wiedza się kończy. Uczyli nas trochę w piechocie, ale nie sądzę, żebym miał jutro zszywać ranę postrzałową. To twoja działka. Umiąabyś?

200

– Rok temu pozszywałam cię.

– Czy już ci za to dziękowałem? – Pocałował ją. – Dzięki, skarbie.

– Będę musiała porozmawiać z profesorem Byrdem.

– Kochanie, kiedy masz wątpliwości, rób to, co uważasz za słuszne. Po to mamy sumienie: żeby przypominało nam, co jest dobre, a co nie.

– Nie polubią mnie za to.

– No i co z tego? Cathy, to ty masz lubić siebie, nikt inny. Ty i oczywiście ja.

– A lubisz?

Posłał jej podtrzymujący na duchu uśmiech.

– Lady Ryan, ja panią ubóstwiam. Panią i pani brudne reformy. Nareszcie się odprężyła.

– Och, dziękuję, sir Johnie.

– Jaśnie pani wybaczy, ale muszę się przebrać. – Przystanął w drzwiach. – Czy do kolacji mam nosić miecz galowy, czy zwykły?

– Nie, wystarczy zwykły. – Ona też się uśmiechnęła. – Co w pracy?

– Mnóstwo nauki. Próbujemy poznać rzeczy, których nie znamy.

– Szukacie czegoś?

– Nie, ale znajdujemy coraz więcej czegoś, o czym nie mamy zielonego pojęcia. I tak bez końca.

– Nie zadręczaj się. W mojej branży jest tak samo.

W tym momencie Jack zrozumiał, na czym polega podobieństwo między medycyną i wywiadem: jeśli się coś sknociło, i tu, i tam umierali ludzie. Co wcale nie było zabawne.

Gdy wrócił do kuchni, Cathy karmiła już małego Jacka. Sally oglądała telewizję – wspaniały wynalazek, nie dorówna mu najlepszy smoczek – chociaż tym razem wybrała angielski program rozrywkowy, zamiast taśmy ze Strusiem Pędziwiatrem. Na kuchence coś skwierczało. To, dlaczego profesor Ryan upierała się, żeby gotować mu obiady, jakby była żoną kierowcy ciężarówki, zawsze go zdumiewało, ale nie protestował: była w tym świetna.

Czyżby zaliczyła na studiach kurs kucharski? Przysunął sobie krzesło i sięgnął po butelkę wina.

– Pani profesor pozwoli?

– Jutro nie operujesz?

– Nie, lady Ryan.

– W takim razie możesz. – Cathy przytuliła Jacka do ramienia i chłopak głośno beknął.

– Kurczę, stary! Tata jest pod wrażeniem. Mama otarła mu usta rogiem tetrowej pieluszki.

– Może jeszcze raz?

– Ale właściwie czego nie wiecie? – Cathy zdążyła już trochę ochłonać. – Ciągłe niepokoi was żona tego... jak mu tam...

– Na tym froncie bez zmian – przyznał Jack. – Ale tak, martwimy się, że tamci mogą coś zrobić.

– I pewnie nie możesz powiedzieć co, tak?

– Zgadłś, nie mogę. Rosjanie, jak mawia mój kumpel Simon, to dziwni ludzie.

– Anglicy też – zauważyła Cathy.

– Boże święty, ożeniłem się z Carrie Nation. – Jack wypił łyk wina, znakomitego włoskiego Pinot Grigio, które można było dostać w tutejszych sklepach.

– Carrie Nation jestem tylko wtedy, kiedy kogoś kroję. – Lubiła tak mówić, bo przechodził go wtedy zimny dreszcz.

Podniósł kieliszek.

– Chcesz?

– Może kiedy skończę. – Zmarszczyła czoło. – I naprawdę nie możesz o tym mówić?

– Przykro mi, skarbie. Takie zasady.

– Nigdy ich nie łamiesz?

– To zły nawyk. Lepiej nie zaczynać.

– Nawet wtedy, kiedy zwerbujecie jakiegoś Rosjanina?

– To co innego. Taki Rosjanin pracowałby dla Prawdy i Piękna na świecie; powiedziałem to przez duże „P”. Bo my – dodał z naciskiem – mamy dobre serca.

– A oni?

– Oni myślą o sobie to samo. Ale myślał tak również niejaki Adolf, a jemu Bernie na pewno by się nie spodobał.

– Adolf już dawno nie żyje.

– Ale jemu podobni wciąż żyją, skarbie. Wierz mi.

– Coś cię gryzie, Jack. Widzę to. I nie możesz mówić, hę?

– Tak, gryzie. Nie, nie mogę.

– Dobra. – Cathy kiwnęła głową. Informacje wywiadowcze interesowały ją tylko dlatego, że zawsze trawiło ją abstrakcyjne pragnienie poznania świata. Ale będąc lekarką, doskonale zdawała sobie sprawę, że istnieje wiele rzeczy, które chciałaby poznać – jak choćby lekarstwo na raka – i których poznać raczej nie może. Niechętnie, bo niechętnie, ale musiała się z tym pogodzić. Jednakże medycyna nie ukrywała swoich tajemnic. Kiedy lekarz odkrywał

coś, co mogło pomóc chorym, pisał o tym w swoim ulubionym czasopiśmie medycznym, żeby natychmiast dowiedział się o tym cały świat. Kto jak kto, ale Centralna Agencja Wywiadowcza na pewno tego nie robiła, a przynajmniej nie za często, i bardzo ją to mierzilo.

Dobrze. Może z innej beczki.

– Co się dzieje, kiedy dowiadujecie się czegoś naprawdę ważnego?

202

– Przesyłamy to wyżej. Tutaj do sir Basila, w Stanach do admirała Greera. Zwykle przez telefon.

– Taki jak ten na górze?

– Tak. Potem wysyłamy dokumenty faksem, a jeśli sprawa jest superważna i mamy podejrzenia, że przeciwnik rozgryzł nasz system kryptograficzny, wiezie je kurier z ambasady.

– Często się to zdarza?

– Odkąd tu pracuję ani razu, ale to nie ja podejmuję decyzje. Poczta dyplomatyczna dociera na miejsce w ciągu ilu? Ośmiu, dziewięciu godzin, tak? O wiele szybciej niż kiedyś.

– Myślałam, że ten telefon jest całkowicie bezpieczny.

– Tobie też wyjdzie czasem zabieg idealny, prawda? Mimo to, kolejny przeprowadzasz nie mniej ostrożnie niż poprzedni. U nas jest podobnie.

– To znaczy? Tak teoretycznie... – Uśmiechnęła się. Sprytna bestia.

– Dziecinko, twoje pytania są zabójcze. Dobra. Powiedzmy, że coś zdobyliśmy. Na przykład coś na temat ich arsenału nuklearnego. Że przekazał nam to dobrze ustawiony informator, że materiał jest

bombowy i że jeśli go stracimy, informator wpadnie. I właśnie takie rzeczy przewozi się pocztą dyplomatyczną. Najważniejsze to chronić informatora.

– Bo jeśli wpadnie...

– To umrze, w dodatku w bardzo nieprzyjemny sposób. Podobno kiedyś wsadzili takiego do pieca i odkręcili gaz. Spalili go żywcem i wszystko to sfilmowali, *pour encourager les autres*, jak napisał Wolter.

– Niemożliwe – zaprotestowała natychmiast Cathy. – Już się tego nie robi!

– W Langley jest facet, który twierdzi, że widział ten film. A ten rosyjski nieszczęśnik nazywał się Popow. Był naszym agentem w GRU. Szefostwo musiało być z niego bardzo niezadowolone.

– Mówisz poważnie?

– Jak bum-bum. Podobno pokazywali ten film w akademii GRU, jako ostrzeżenie. Według mnie, to kiepski chwyt, ale cóż, jak ci mówiłem, znam faceta, który go widział. Tak czy inaczej, to jeden z powodów, dla których chronimy naszych informatorów.

– Trochę trudno w to uwierzyć...

– Coś ty. Naprawdę? Tak samo jak w to, że są chirurdzy, którzy zostawiają pacjenta na stole i idą na piwo?

– No... tak.

– Żyjemy w niedoskonałym świecie, dziecinko. – Dał temu spokój. Będzie miała cały weekend, żeby to przemyśleć, a on popracuje sobie nad książką o Halseyu.

Tymczasem w Moskwie śmigały ręce.

„Jak zawiadomisz Langley?” – spytała.

„Nie wiem” – odrzekł.

203

„Przez kuriera. To gorąca sprawa”.

Foley kiwnął głową.

„Ritter nie zaśnie”.

„Na pewno. Chcesz, żebym poszła na spotkanie?”

„Świetnie mówisz po rosyjsku”.

Tym razem ona kiwnęła głową. Mówiła eleganckim językiem literackim, językiem ludzi wykształconych. Przeciętny Rosjanin nie wierzył, żeby ktoś mógł tak dobrze go opanować.

Ale na ulicy czy w rozmowie ze sprzedawcą nigdy go nie używała, celowo utykając w skomplikowanych strukturach gramatycznych. W przeciwnym razie natychmiast by ją zauważono, dlatego umiejętne kaleczenie języka było istotnym elementem jej przykrywki, ważniejszym nawet od blond włosów i amerykańskiego zdziwienia. Używając języka literackiego, od razu by wpadła.

„Kiedy?”

„Wania chce jutro. Dasz radę?”

Z wesołym uśmiechem poklepała go po pośladku, co oznaczało: „Bo zaraz cię kopnę!”

Foley kochał żonę miłością, na jaką stać było każdego głęboko kochającego mężczyznę, a kochał ją między innymi dlatego, że ona kochała grę, w którą oboje grali. Lepszej żony nie znalazłby dla niego wydział castingowy Paramount Pictures. Tego wieczoru będą się kochali.

Boksyerska zasada głosiła: żadnego seksu przed walką, ale Mary Pat stosowała zasadę do-kładnie odwrotną. A że tamci podsłuchiwali? Pieprzyć ich, pomyślał Ed z chytrym uśmieszkiem na ustach.

– Kiedy wyjeżdżasz? – spytał Greer.

– W niedzielę – odrzekł Ritter. – Lecę do Tokio, a stamtąd do Seulu.

– Dobrze, że to nie ja – mruknął admirał. – Nie znoszę długich lotów.

– Naucz się spać w samolocie. – Ritter był w tym dobry. Leciał na konferencję zorganizowaną przez KCIA, Koreańską Centralną Agencję Wywiadowczą, w celu omówienia kwestii dotyczących Korei Północnej i Chin, które niepokoiły go równie mocno, jak samych Koreańczyków. – Zresztą i tak nic się u mnie nie dzieje.

– Uciekasz w chwili, kiedy prezydent dobiera mi się do tyłka w sprawie papieża – rzucił sędzia Moore. – Sprytne.

– Przykro mi, Arthurze – odparł Ritter z ironicznym uśmieszkiem. – Zastąpi mnie Mike Bostock. – Bostock, doświadczony agent operacyjny, sowietolog i ekspert od spraw Europy Środkowej, miał w sobie za dużo z kowboja i ci z Kapitolu mu nie ufali. Moore, Ritter i Greer bardzo go lubili i

uważali, że to szkoda. Kowboje się przydawali. Ot, choćby taka Mary Pat.

– Jak tam posiedzenia Biura Politycznego? Przyszło coś?

– Jak dotąd nic. Może omawiali rutynowe sprawy. Myślisz, że na każdym posiedzeniu planują wojnę nuklearną?

– Nie. – Greer zachichotał. – Ale myślą, że my tak. Jezu, co za paranoicy...

204

– Pamiętajcie, co powiedział Henry – przypomniał im Ritter. – „Nawet paranoicy mają wrogów”. Zresztą cóż, ostatecznie takie przydzielono nam zadanie.

– Wciąż rozmyślasz nad „Maską czerwonej śmierci”, Robercie?

– Jak dotąd nic konkretnego nie wymyśliłem. Ci moi fachowcy, niech ich szlag. Każesz im myśleć niekonwencjonalnie, a oni co? Myślą trzy razy konwencjonalniej niż przedtem!

– Pomysłowych i przedsiębiorczych tu niewielu – zauważył sędzia Moore. – Nie zapominaj, że to agencja rządowa. Ograniczenia płacowe nie sprzyjają twórczemu myśleniu. Od twórczego myślenia jesteśmy tylko my. Jak to zmienić?

– Nie, nie, przecież mamy paru normalnych. Jeden z nich jest nawet u mnie. Konwencjonalne myślenie to dla niego czysta abstrakcja.

– Ryan? – spytał Ritter.

– Właśnie. – Greer kiwnął głową.

– On do nas nie pasuje – zaprotestował natychmiast zastępca dyrektora do spraw operacyjnych.

– Bob, albo rybka, albo pipka – warknął zastępca dyrektora do spraw wywiadu. – Albo chcesz faceta, który myśli jak twoje urzędasy, albo faceta, który potrafi myśleć twórczo. Ryan zna zasady, jest byłym oficerem piechoty morskiej, umie szybko podejmować decyzje i wkrótce będzie naszym najlepszym analitykiem. – Greer głośno sapnął. – Od wielu lat nie poznałem tak dobrego oficera i doprawdy nie rozumiem, co ty do niego masz.

– Basilowi też się podoba – wtrącił Moore. – A jego trudno oszukać.

– Przy najbliższej okazji chciałbym zapoznać go z waszym planem.

– Z „Maską”? – spytał Moore. – To wykracza poza jego widełki płacowe.

– Arthurze, Ryan zna się na ekonomii lepiej niż moi najlepsi eksperci. Nie przydzieliłem go do wydziału ekonomicznego tylko dlatego, że jest za inteligentny i szkoda go usadzać.

Bob, jeśli chcemy zniszczyć Związek Radziecki bez wojny, możemy to zrobić tylko w jeden sposób: podkopać ich gospodarkę. Ryan zarobił kupę pieniędzy, bo się na tym zna. Mówię ci, ten chłopak potrafi oddzielić ziarno od plew. Może będzie wiedział, jak spalić pole pszenicy. Zresztą, co to komu szkodzi? Projekt jest czysto teoretyczny, tak?

– Co ty na to? – spytał sędzia Rittera. Ostatecznie Greer miał rację.

– A co tam, zapoznaj go – odparł dyrektor do spraw operacyjnych. – Tylko żeby nie poleciał z tym do prasy. Nie wolno tego wywlekać. Kongres i media dostałyby apopleksji.

– Jack do prasy? – powtórzył Greer. – Mało prawdopodobne. On nie potrzebuje niczyjej łaski, nawet naszej. To jedyny człowiek, któremu możemy zaufać. Całe KGB nie ma tyle pieniędzy, żeby go kupić. Na mnie pewnie by im starczyło.

– Zapamiętam to sobie, James – powiedział Ritter, rozciągając usta w cienkim uśmiešku. Na tego rodzaju żarty pozwalali sobie tylko tu, na szóstym piętrze Langley.

Domy towarowe są takie same na całym świecie, a moskiewski GUM miał być odpowiednikiem nowojorskiego Macy's. Teoretycznie, pomyślał Foley, wchodząc do środka 205

głównym wejściem. Tak samo jak Związek Radziecki jest teoretycznie dobrowolnym związkiem republik i ma konstytucję, która dominuje i góruje nad wolą Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego. I tak samo jak teoretycznie istnieją wielkanocne króliczki.

Ruchomymi schodami wjechali na pierwsze piętro. Schody były stare, takie z grubymi, drewnianymi poręczami, zamiast metalowych, które już dawno temu zagościły na Zachodzie. Dział futrzarski znajdował się po prawej stronie, na końcu sali, i na pierwszy rzut oka wystawione tam ubrania były całkiem przyzwoite.

Podobnie jak ubranie Wani, który miał na sobie to samo co w metrze. Może to jego wyjściowe? – pomyślał Ed. Jeśli tak, powinien jak najszybciej wziąć dupę w garść i zwiać za granicę.

Nie licząc co najwyżej średniej jakości towarów, dom towarowy to po prostu zwykły dom towarowy, chociaż wyglądało na to, że tutejsze są raczej skupiskiem na wpół niezależ-

nych sklepów. Ale ich Wania był sprytny: zaproponował spotkanie w miejscu obfitującym w towary wysokiej jakości. Rosja zawsze słynęła z mroźnych zim. Przed tysiącami lat nawet słonie chodziły tu w futrach, a ponieważ dwadzieścia pięć procent krążącej w człowieku krwi zaopatruje mózg, mężczyźni potrzebowali czapek. Porządne futrzane czapki, zwane tu szapkami, wyglądały jak

obrzynek rury i chociaż nie miały zbyt eleganckiego kształtu, speł-

niały swoje zadanie, utrzymując mózg w ciepłe. Te naprawdę dobre robiono z piżmaków; norki i sobole sprzedawano wyłącznie w najdroższych sklepach i kupowały je głównie za-możne klientki, żony lub kochanki partyjnych bossów. Lecz szlachetny piżmak, ten zalatują-

cy bagnem szczur – zapach usuwano podczas obróbki skóry, w przeciwnym razie właściciela czapki brano by za kupę cuchnących morskich wodorostów – miał piękne futerko, sierść czy jak się to tam nazywało, i futro to było dobrym izolatorem. A że piżmak to szczur? Może i szczur, ale taki przez duże „S”. Nie to było najważniejsze.

Ed i Mary Pat potrafili również porozumiewać się wzrokiem, chociaż zakres tego rodzaju komunikacji nie należał do najszerszych. Pomogła im pora dnia. Czapki niedawno wystawiono na sprzedaż, a stosunkowo ciepła jesień nie zachęcała do pospiesznego nabywania nowych. Przy półkach stał tylko jeden mężczyzna w brązowej kurtce i Mary Pat ruszyła w jego stronę, odpędziwszy męża pod pretekstem, że chce mu zrobić niespodziankę.

Mężczyzna przyszedł tu na zakupy, tak samo jak ona. Kimkolwiek był, na pewno nie był głupi.

– Przepraszam pana... – zaczęła po rosyjsku.

– Tak? – Odwrócił głowę. Miał pewnie trzydzieści kilka lat, lecz wyglądał starzej, bo życie w tym kraju postarzało ludzi jeszcze bardziej niż życie w Nowym Jorku. Brązowe włosy, brązowe oczy – brązowe i chyba inteligentne. To dobrze.

– Zgodnie z pańską sugestią, którą poczynił pan w metrze, kupuję mężowi czapkę – do-kończyła swoją najlepszą ruszczyzną.

Natychmiast zauważyła, że nie spodziewał się spotkać kobiety. Szybko zamrugał i utkwiał w niej wzrok, próbując pogodzić jej doskonałą wymowę i płynność językową z faktem, że musiała być Amerykanką.

– W metrze?

206

– Tak. Mąż uznał, że lepiej będzie, jeśli na spotkanie przyjdę ja. A więc... – Wzięła z półki pierwszą lepszą czapkę, przesunęła ręką po futrze i odwróciła się do niego, jakby chciała, żeby jej doradził. – Dlaczego pan się do nas zwrócił?

– Jak to? – wykrztusił.

– Nawiazał pan kontakt z moim mężem i prosił pan o spotkanie. Zechciałby pan mi po-móc? – dodała spokojnie. – Nie wiem, którą mu kupić.

– Pani jest z CIA? – Z trudem zdołał zebrać myśli i chyba zaczął nad nimi panować.

– Mój mąż i ja pracujemy dla rządu Stanów Zjednoczonych, tak. A pan pracuje w KGB.

– Tak, w Centrali, w wydziale łączności.

– Doprawdy? – Mary Pat zdjęła z półki kolejną czapkę. O cholera, pomyślała. Tylko czy facet nie łże. Może po prostu chce, żebyśmy zafundowali mu bilet do Nowego Jorku. – Skąd mam wiedzieć, że pan nie kłamie?

– Bo nie kłamie – odparł zaskoczony i lekko poirytowany tym, że ktoś śmie podważać jego prawdomówność. Czy ta baba myślała, że chciałby ryzykować życie dla jakiegoś wy-głupu? – Dlaczego przyszła pani na spotkanie?

– Moją uwagę przykuły formularze, które przekazał pan mężowi w metrze. – Oglądając brązową, zmarszczyła czoło, jakby czapka była za ciemna.

– Proszę pani, pracuję w Ósmym Zarządzie Głównym...

– W którym zarządzie?

– W łączności. Nie jestem kryptografem i nie mam nic wspólnego z inwigilacją. Jestem oficerem łącznościowym. Szyfruję i wysyłam depesze do naszych rezydentur, odbieram depesze od nich i przekazuję je odpowiednim adresatom. Jak sama pani widzi, przez moje ręce przechodzi mnóstwo danych operacyjnych. Czy to wystarczy? – Przynajmniej starał się grać, to już coś: popatrzył na czapkę, pokręcił głową i wskazał inną, jasnobrązową, niemal beżo-wą.

– Przypuszczam, że tak. Czego pan od nas żąda?

– Jestem w posiadaniu bardzo ważnej informacji, niezwykle ważnej informacji. W zamian za nią chcę, żebyście wywieźli na Zachód mnie, moją żonę i córeczkę.

– Ile lat ma pańska córka?

– Trzy lata i siedem miesięcy. Możecie to załatwić?

To pytanie podziało na Mary Pat jak silny zastrzyk adrenaliny. Będzie musiała podjąć decyzję już tu i teraz, decyzję, która puści w ruch całą maszynę, potężną maszynę CIA. Ewa-kuacja trojga ludzi ze Związku Radzieckiego to nie przelewki.

Ale ten facet pracuje w Centrali! Zna tajemnice, do których dostępu nie miałoby nawet stu dobrze umiejscowionych agentów. Jest strażnikiem rosyjskich klejnotów koronnych, skarbów cenniejszych niż jaja samego Breżniewa, dlatego...

– Tak, możemy wy dostać stąd pana i pańską rodzinę. Kiedy?

207

– Sprawa, której dotyczy ta informacja, jest bardzo pilna, a więc jak najszybciej. Przekażę ją wam dopiero wtedy, kiedy znajdziemy się na Zachodzie, ale powtarzam: to rzecz niezwykle ważna. Na tyle ważna, że pchnęła mnie do tego czynu – dodał dla większego efektu.

Nie przeginaj, Wania, pomyślała Mary Pat. Informator z rozbuchanym ego powiedział-

by, że zna kody nuklearne Rosyjskich Strategicznych Sił Raketowych, podczas gdy tak naprawdę znalazłby tylko przepis matki na rosyjski barszcz, i ewakuowanie sukinsyna byłoby jedynie stratą czasu i środków, które należało wykorzystywać z największą ostrożnością. Ale od czego miała oczy? Zajrzała nimi w jego duszę i bez względu na to, co tam dostrzegła, nie dostrzegła tam kłamstwa.

– Tak, w razie konieczności możemy zorganizować to bardzo szybko. Musimy ustalić, gdzie i jak się spotkamy, trzeba omówić szczegóły. Tu nie możemy dłużej rozmawiać. A więc?

– To proste – odrzekł Zajcew i zaproponował spotkanie już nazajutrz rano.

Spieszno ci, Wania.

– Jak mam się do pana zwracać? – spytała, gdy skończył mówić.

– Oleg Iwanowicz – rzucił odruchowo i w tym samym momencie zdał sobie sprawę, że powiedział prawdę w sytuacji, w której bardziej posłużyłoby mu kłamstwo.

– Świetnie. Ja mam na imię Maria. A więc, którą czapkę by pan wybrał?

– Dla pani męża? Też, bez dwóch zdań. – Podał jej beżową.

– W takim razie ją kupię. Dziękuję, towarzyszu. – Jeszcze raz obejrzała czapkę i zerknąwszy na metkę – prezent kosztował sto osiemdziesiąt rubli, więcej niż miesięczna pensja moskiewskiego robotnika – ruszyła w stronę lady. Podała czapkę sprzedawczyni, podeszła do kasy, zapłaciła gotówką – Rosjanie nie odkryli jeszcze kart kredytowych – i z kwitkiem w ręku wróciła do sprzedawczyni, która podała jej zakup.

A więc to jednak prawda: Rosjanie byli jeszcze bardziej nieudolni niż amerykański rząd.

Zdumiewające, ale zobaczyć, to uwierzyć, pomyślała, ściskając w ręku brązową torbę. Odszukała męża i szybko wyszli ze sklepu.

– Co mi kupiłaś?

– Coś, co ci się spodoba. – Pokazała mu torbę, lecz jej skrzące się błękitem oczy mówiły wszystko. Spojrzała na zegarek. W Waszyngtonie dochodziła trzecia rano i nie mogli przekazać tego telefonicznie. Nie, ta sprawa nie była sprawą dla nocnej ekipy z Merkurego, nawet dla ludzi najbardziej zaufanych z zaufanych. Przed chwilą się o tym przekonała. Nie, trzeba to wszystko spisać, zaszyfrować i przesłać pocztą dyplomatyczną.

Poprzedniego dnia mechanik z ambasady „odpluskwił” ich samochód; rutynowo „odpluskwił” samochody wszystkich pracowników, żeby przypadkowo nie wpadli. Dyskretne znaki na drzwiczkach i masce były nienaruszone, poza tym ich mercedesa wyposażono w wyrafinowany alarm. Ed włączył odtwarzacz, taśmę Bee Geesów, którzy zagłuszyliby każdy podsłuch, i przy których mogli w miarę swobodnie rozmawiać. Mary Pat tańczyła do muzyki jak porządna kalifornijska dziewczyna.

208

– Nasz przyjaciel chce, żebyśmy go podrzucili – powiedziała na tyle głośno, że mąż bez trudu ją usłyszał. – Jego, jego żonę i córeczkę w wieku trzech i pół roku.

– Kiedy?

– Jak najszybciej.

– Jak?

– Zależy od nas.

– To poważny facet? – spytał Ed; chodziło mu o to, czy sprawa jest warta zachodu.

– Raczej tak.

Całkowitej pewności nigdy nie było, ale Mary Pat znała się na ludziach i wszystko wskazywało na to, że chce zaryzykować. Kiwnął głową.

– Dobra.

– Mamy towarzystwo?

Ed nieustannie spoglądał to przed siebie, to w lusterka. Na ogonie mógł siedzieć im tylko Niewidzialny Człowiek.

– Nie.

– To dobrze. – Mary Pat przyciszyła Bee Geesów. – Też ich lubię, ale tak jest za głośno.

– Świetnie. Kochanie, po południu muszę wrócić do biura.

– Po co? – spytała lekko poirytowanym głosem, który znają wszyscy mężowie na świecie.

– Zostało mi trochę roboty z wczoraj...

– I chcesz sprawdzić wyniki tych swoich rozgrywek – prychnęła. – Ed, dlaczego nie możemy zainstalować talerza na dachu?

– Nasi próbują to załatwić, ale Rosjanie robią problemy. Boją się, że to jakieś urządzenie szpiegowskie – dodał zde gustowany.

– Jasne – mruknęła – pewnie. Daj spokój. – Na wszelki wypadek KGB wystawiło na parking sprytnego stróża, który laził tam przez całą noc. FBI na pewno zdołałaby to jakoś zorganizować, bo kogo jak kogo, ale ich by raczej nie przechytrzył. Poza tym tamci mieli za du-

że nadajniki. Mimo to, tak. Reagowali paranoicznie, ale czy paranoja aby na pewno wystarczyła?

Cathy wyprowadziła na spacer Sally i małego Jacka. Ledwie ulicę dalej, tuż koło Fristow Way, był park, a w parku huśtawki dla Sally i zielona trawa, którą Jack wrywał i próbował

jeść. Niedawno odkrył, po co ma ręce, więc zaczął ich używać, co prawda źle i nieporadnie, ale wszystko to, co trafiało do jego piąstek, natychmiast lądowało w buzi – zna to z autopsji każdy rodzic na świecie. Ale była to okazja, żeby dzieci złapały trochę słońca – zimowe wieczory są w Anglii długie i ciemne – a Jack spokojnie popracował nad swoją książką.

Wziął już jeden z jej podręczników, *Podstawy medycyny wewnętrznej*, żeby poczytać o półpaścu, chorobie skóry, która zaatakowała Halseya w najbardziej nieodpowiednim mo-209

mencie. Sądząc po opisie jej przebiegu – okazało się, że półpasiec jest spokrewniony z ospą wietrzną – starszy już wtedy admirał musiał przechodzić prawdziwe tortury, tym bardziej, że jego ukochana grupa bojowa, lotniskowce „Enterprise” i „Yorktown”, musiały wyruszyć na bitwę bez niego. Ale przyjął to jak mężczyzna – William Frederick Halsey Junior przyjmował tak wszystko – i na swego zastępcę zarekomendował Raymonda Spruance’a. Trudno o bardziej przeciwstawne charaktery. Stary profan Halsey, pijak, palacz i były futbolista. I niepalący tudzież niepijący Spruance, intelektualista, który ani razu nie podniósł głosu w gniewie. Mimo to zostali najbliższymi przyjaciółmi i po rozpoczęciu działań wojennych na przemian obejmowali dowództwo floty Pacyfiku, zmieniając jej nazwę z Trzeciej na Piątą i odwrotnie, w zależności od tego, który z nich aktualnie dowodził. Oto najbardziej oczywisty dowód, myślał Ryan, że Halsey też był intelektualistą, a nie chępliwym zabijaką. Intelektualista Spruance nie zaprzyjaźniłby się z bandziorem. Ale ich

sztaby cały czas prychały na siebie jak kocury walczące o kocicę w rui, co było pewnie wojskowym odpowiednikiem przepychanek z cyklu „mój tata wleje twojemu tacie”, jakie uprawiają siedmiolatki – odpowiednikiem godnym takiego samego szacunku intelektualnego.

Wiedział, co Halsey mówił o swojej chorobie, lecz jego słowa zostały pewnie złagodzone przez wydawcę czy współautora autobiografii, ponieważ admirał miał niewyparzony język i klął jak starszy bosman po paru głębszych. Pewnie dlatego tak bardzo lubili go dziennikarze.

O kimś takim świetnie się pisze.

Obok komputera leżał stos dokumentów źródłowych. Jack używał WordStara. Był to edytor dość skomplikowany, ale pisało się w nim o niebo lepiej niż na maszynie. Zastanawiał się, do którego wydawcy z tym pójść. Ponownie wydzwaniali do niego ci z Naval Institute Press, ale rozważał, czy nie przenieść się do kogoś z pierwszej ligi. Jasne, tylko najpierw musiał skończyć książkę. Tak więc hop!, z powrotem do skomplikowanego umysłu Halseya.

Ale tego dnia jakby się wahał. To dość niezwykle. Pisał – trzy palce i kciuk (dobrego dnia dwa kciuki) – wciąż tak samo, ale nie mógł się odpowiednio skoncentrować, jakby pod-

świadomie myślał o czymś innym. Było to przekleństwo, które od czasu do czasu dopadało każdego analityka. Pewnych spraw po prostu nie dawało się od siebie odsunąć: zmuszały umysł do wielokrotnego analizowania tego samego problemu, dopóki nie znalazł odpowiedzi na pytanie, które – jako takie i samo w sobie – często nie miało sensu. Zdarzało mu się to w Merrill Lynch, gdy badał rynek, szukając ukrytych plusów i niebezpiecznych minusów operacji giełdowych i finansów tej czy innej spółki. Posprzeczał się przez to ze swymi nowo-jorskimi szefami, ale nigdy nie należał do ludzi, którzy robią coś tylko dlatego, że tak każe przełożony. Samodzielnego myślenia oczekiwano nawet od najmłodszych oficerów Korpusu Piechoty Morskiej, a makler miał dbać o pieniądze klienta jak o własne. W większości przypadków Ryan robił to skutecznie. Gdy zainwestował w Chicago i North Western Railroad, przełożeni chcieli mu urwać łeb, ale wytrzymał i klienci, którzy mu zaufali, zgarnęli sporo pieniędzy, co przysporzyło mu naturalnie kolejnych klientów. Tym sposobem nauczył się ufać instynktowi i drapać się tam, gdzie jeszcze go nie swędziało i gdzie nie było żadnej wysypki. I właśnie teraz przeżywał jedną z takich chwil. Tak, chodziło o sprawę papieża. Na podstawie informacji, którymi dysponował, nie mógł stworzyć kompletnego obrazu sytuacji, ale zdążył do tego przywyknąć. Na giełdzie inwestował, wiedząc jeszcze mniej i na dziesięć przypadków, dziewięć razy trafiał bez pudła.

210

Ale na temat papieża nie miał dosłownie nic. Coś się działo. A on nie wiedział co. Widział jedynie kopię listu wysłanego do Warszawy i przesłanego stamtąd do Moskwy, gdzie grupa starców na pewno uzna go za poważne zagrożenie.

To niewiele, za mało, żeby coś wywnioskować. Zateśknił za papierosem. Papieros czasami pomagał w myśleniu, ale gdyby Cathy wyczuła w domu dym, urządziłaby mu piekło.

Guma, czy nawet balonówka, to jednak nie to.

Brakowało mu też Jima Greera. Admirał traktował go jak przybranego syna – jego własny, porucznik marynarki wojennej, zginął w Wietnamie – i od czasu do czasu omawiał z nim ten czy inny problem. Z sir Basilem Charlestonem nie łączyły go tak bliskie stosunki, a Simon był w jego wieku, choć na pewno przewyższał go doświadczeniem. Wyglądało na to, że będzie musiał uporać się z tym sam. Żałował, że nie może pogadać z żoną – lekarze są piekielnie inteligentni – ale przecież nie mógł. Zresztą Cathy nie знаła sytuacji na tyle dobrze, żeby zrozumieć wszystkie wynikające z niej zagrożenia. Nie, dorastała w uprzywilejowanym środowisku. Jako córka milionera, mieszkała w apartamencie przy Piątej Alei, chodziła do najlepszych szkół, na szesnaste urodziny dostała samochód, chowano ją pod kłosem. W przeciwieństwie do niego. Jego ojciec był gliniarzem, śledczym w wydziale zabójstw, i chociaż w domu nigdy o pracy nie mówił, Jack zadawał mu tyle pytań, że szybko zrozumiał, iż prawdziwy świat jest miejscem nieprzewidywalnych niebezpieczeństw i że niektórzy nie myślą jak prawdziwi ludzie. Nazywano ich „złymi” i rzeczywiście, mogli być bardzo źli. On sam nie potrafiłby żyć bez sumienia. Nie wiedział, gdzie się tego nauczył, czy w dzieciństwie, w katolickich szkołach, czy miał to po prostu w genach. Wiedział za to, że łamanie zasad rzadko kiedy prowadzi do czegoś dobrego, lecz wiedział też, że zasady te są produktem rozsądku, że rozsądek jest czymś nadrzędnym: wynikało z tego, że zasady moż-

na łamać, jeśli ma się ku temu dobry – cholernie dobry – powód. Nazywało się to osądem, oceną sytuacji i żołnierze piechoty morskiej pielęgowali ten piękny kwiat jak żaden inny.

Oceniali sytuację, opracowywali plan działania i wkraczali do akcji. Czasami musieli robić to w wielkim pośpiechu i właśnie dlatego oficerom płacono znacznie więcej niż sierżantom, chociaż rad sierżanta zawsze warto posłuchać, pod warunkiem że jest na to czas.

Sęk w tym, że on sierżanta tu nie miał. Ani sierżanta, ani admirała – kiepska nowina. Na horyzoncie nie czaiło się żadne namacalne niebezpieczeństwo i była to nowina dobra. Problem w tym, że pracował teraz w środowisku, w którym niebezpieczeństwa nie zawsze były widoczne, a jego praca polegała na wykrywaniu ich poprzez segregowanie i kojarzenie dostępnych informacji. Z tym, że informacji też nie miał, w każdym razie niewiele. Mógł jedynie zapoznać ze swymi podejrzeniami ludzi, których nie znał i których prawdopodobnie nigdy nie pozna, a jeśli pozna, to tylko z dokumentów napisanych przez innych ludzi, któ-

rych też nie znał. Przypominało to sytuację nawigatora jednego z żaglowców małej floty Krzysztofa Kolumba: najbliższy ląd mógł być tam lub tam lub jeszcze gdzie indziej, lecz on nie miał pojęcia, gdzie owo „tam” jest, kiedy wreszcie tam dotrą, i w swej niewiedzy modlił

się do Boga, żeby nie dopłynęli do lądu nocą czy podczas sztormu i żeby ląd ten nie okazał

się rafą koralową, która rozpruje dno okrętu. Życiu Ryana niebezpieczeństwo nie groziło, ale tak jak etyka zawodowa kazała mu dbać o pieniądze klientów jak o swoje, tak życie człowieka, któremu groziło niebezpieczeństwo, miało dla niego wartość życia jego własnego dziecka.

I właśnie stąd te przeczucia. Mógłby zadzwonić do admirała Greera, ale w Waszyngtonie nie było jeszcze siódmej i na pewno nie zrobiłby mu przysługi, budząc go donośnym 211

dzwonkiem STU. Zwłaszcza że nie miał mu nic do powiedzenia, chciał go raczej o coś spytać. Dlatego odchylił się w fotelu i wbił wzrok w zielony ekran monitora, szukając czegoś, czego tam nie było.

212

Rozdział 17

Błyskawica

W biurze Ed Foley napisał:

PRIORYTET: DEPEZA BŁYSKAWICZNA

ODBIORCA: ZASTĘPCA DYREKTORA DO SPRAW OPERACYJNYCH/CIA

DO WIADOMOŚCI: DYREKTORA CIA I ZASTĘPCY DYREKTORA DO

SPRAW WYWIADU

NADAWCA: SZEFEKSPOZYTURY, MOSKWA

TEMAT: KRÓLIK

TREŚĆ:

ZŁAPALIŚMY KRÓLIKA, DOBRZE USTAWIONEGO „PRZYCHOD—

NIA”. TWIERDZI, ŻE PRACUJE W CENTRUM ŁĄCZNOŚCI CENTRALI KGB I JEST W POSIADANIU INFORMACJI WAŻNYCH DLA RZĄDU

USA. OCENA SZACUNKOWA: 5/5.

PROŚBA O PILNE ZATWIERDZENIE NATYCHMIASTOWEJ EWAKUACJI. SKŁAD PRZESYŁKI: KRÓLIK, ŻONA, CÓRKA (3).

POŻĄDANY PRIORYTET: 5/5.

No i już, pomyślał. Krótkie i treściwe. Im krótsze, tym lepsze, bo przeciwnik ma mniejsze szanse na przechwycenie i rozszyfrowanie depezy.

Ale nie, jedynymi rękami, które kiedykolwiek dotkną tej, będą ręce pracowników CIA.

Dużo się po niej spodziewał. Ocena 5/5 oznaczała, że szacowana waga informacji będących w posiadaniu Królika, jej dokładność oraz proponowany priorytet ewentualnych działań powinien zostać zaszeregowany do klasy piątej, a więc najwyższej. Podobną ocenę przyznał

wiarygodności Królika. Cztery asy: nie co dzień wysyłało się takie depezy. Tak wysoką ocenę szacunkową przyznałby na przykład Olegowi Pieńkowskiemu czy Kardynałowi, a byli to informatorzy najlepsi z najlepszych. Zastanawiał się przez chwilę, czy nie przesadził, ale z biegiem lat nauczył się ufać przeczuciom. Porównał też te przeczucia z przeczuciami żony, a żona miała świetnie wykształcony instynkt. Ich Królik – artystyczny epitet, którym w CIA określano osobę proszącą o jak najszybszą ewakuację z miejsca zagrożenia – twierdził, że dużo wie, ale wszystko wskazywało na to, że rzeczywiście tak jest, że wszedł w posiadanie niezwykle istotnej informacji. Jeśli tak, do zdrady pchnęło go sumienie, co oznaczało, że jest też bardzo wiarygodny. Gdyby go podstawili, gdyby robił za przynętę, zażądałby pieniędzy, ponieważ wierchuszka KGB uważała, że tego właśnie żądają wszyscy uciekinierzy – a CIA bynajmniej nie próbowała wyprowadzać Rosjan z błędu.

Tak, po prostu czuło się, że gość jest w porządku, chociaż tekstów w rodzaju: „Mam wrażenie, że facet jest OK” nie przesyłało się pocztą dyplomatyczną na szóste piętro w Lan-213

gley. Szefostwo będzie musiało na to pójść. Będzie musiało mu zaufać. Był szefem moskiewskiej ekspozytury, piastował najwyższą funkcję w terenie, a z tą funkcją wiązał się wielki kredyt zaufania. Rozważą to, przeanalizują wszystkie plusy i minusy i na pewno się zgodzą.

Gdyby planowano kolejne spotkanie na szczycie, może by go usadzili, ale ani prezydent, ani Departament Stanu nie miał takich planów. Tak więc nic nie stało na przeszkodzie, żeby Langley zatwierdziło propozycję – pod warunkiem, że mu uwierzą...

Nie wiedział, skąd te wszystkie wątpliwości. Przecież był ich człowiekiem w Moskwie: na miłość boską, to chyba wystarczy! Podniósł słuchawkę telefonu i wystukał trzycyfrowy numer.

– Russell.

– Mike, mówi Ed. Możesz wpaść?

– Już idę.

Przyszedł półtorej minuty później.

– Tak?

– Mam coś do dyplomatycznej.

Russell zerknął na zegarek.

– Trochę mało czasu.

– Krótka depesza. Będę musiał z tobą pójść.

– W takim razie chodźmy. – Ruszył do drzwi, za nim Foley. Na szczęście korytarz był pusty, a do jego biura mieli niedaleko.

Russell usiadł w obrotowym fotelu i włączył maszynę szyfrującą. Ed podał mu formularz. Russell przypiął ją do deski z klipsem nad klawiaturą.

– Fakt, krótka – rzucił i zaczął pisać. Biegłością pisania dorównywał sekretarce ambasadora, więc skończył w minutę. Jeszcze tylko szesnaście nazwisk z praskiej książki telefonicznej, tak dla zmyłki, i maszyna wypuła gotowy tekst. Foley złożył kartkę na pół, włożył ją do dużej żółtej koperty, kopertę zakleił, zapieczętował gorącym woskiem i podał ją Russellowi.

– Wracam za pięć minut. – Russell wyszedł i zjechał windą na parter. Czekał tam kurier dyplomatyczny. Nazywał się Tommy Cox i był kiedyś podoficerem, pilotem śmigłowca.

Służył w Pierwszej Dywizji Kawalerii Powietrznej w Wietnamie, a ponieważ czterokrotnie go zestrzelono, wszystkich wrogów swego kraju darzył wyłącznie negatywnymi uczuciami.

Torba z pocztą dyplomatyczną była zwykłą płócienną torbą, którą przed wyjściem z gmachu ambasady miał przypiąć sobie kajdankami do nadgarstka i zdjąć dopiero u celu podróży.

Leciał liniami Pan Am, boeingiem 747, bezpośrednio na międzynarodowe lotnisko Kennedy'ego w Nowym Jorku: czekało go jedenaście godzin na pokładzie samolotu, bez picia i bez spania; dobrze chociaż, że wolno mu było czytać: w kieszeniach miał trzy kryminały. Za dziesięć minut kierowca ambasady miał odwieźć go na lotnisko, a ponieważ przysługiwał

mu status dyplomaty, Rosjanie nie będą go ani zatrzymywali, ani tym bardziej rewidowali.

Nie, w stosunku do dyptomatów zachowywali się całkiem serdecznie, chociaż kusilo ich – aż się na tę myśl ślinili! – żeby do takiej torby zajrzeć. Bo czego jak czego, ale rosyjskich perfum i rajstop dla swoich nowojorskich czy waszyngtońskich przyjaciółek Amerykanie na pewno w niej nie przewozili.

– Miłego lotu, Tommy.

Cox kiwnął głową.

– Bywaj, Mike.

Russell wrócił na górę i wszedł do gabinetu Foleya.

– Dobra, koperta w torbie. Samolot startuje za godzinę i dziesięć minut.

– Dobra.

– Czy ten Królik to to, co myślę?

– Nie mogę nic mówić, Mike.

– Tak, wiem. Przepraszam, że spytałem. – Russell nie należał do ludzi łamiących obowiązujące zasady, chociaż, jak każdego, trawiła go ciekawość. I oczywiście wiedział, co znaczy „Królik”. Pełniąc różne funkcje, spędził w tym światku całe życie, poza tym szpiegowski żargon był łatwy do podchwycenia. Ale światek CIA otaczały grube mury i właśnie się na taki natknął.

Foley wziął kopię depezy, schował ją do sejf, ustawił obie kombinacje i włączył alarm.

Potem zszedł do barku, gdzie grał telewizor. Z ESPN-u dowiedział się, że w turnieju o porzecz Jankesi przetrzęli trzeci raz z rzędu. Chryste, czy na świecie nie ma już sprawiedliwości?

Mary Pat sprzątała, co było zajęciem nudnym, choć mogła wtedy całkowicie wyłączyć mózg i puścić wodze wyobraźni. Dobra, wkrótce dojdzie do ponownego spotkania z Ole-giem Iwanowiczem. Sposób bezpiecznego wywiezienia przesyłki z kraju – „przesyłka” to kolejny artystyczny epitet, którym w CIA określano osobę lub osoby przeznaczone do ewakuacji – zależał od niej. Istniało na to wiele sposobów. Wszystkie były niebezpieczne, ale ją, Eda i pozostałych agentów CIA przygotowano do radzenia sobie w niebezpiecznych sytuacjach. W Moskwie mieszkali miliony ludzi: w tak wielkim mieście mężczyzna, kobieta i małe dziecko byli jak szum elektronicznego tła, jak pojedynczy liść spadający w jesiennym lesie, jak nadprogramowy bizon w stadzie żerującym w parku narodowym Yellowstone, jak jeszcze jeden samochód na zakorkowanej autostradzie w Los Angeles. W tak wielkim mie-

ście to chyba nic trudnego, prawda?

A jednak. W Związku Radzieckim każdy aspekt życia osobistego podlegał kontroli. W

Ameryce tak, trzyosobowa przesyłka byłaby tylko kolejnym samochodem na ruchliwej autostradzie, ale żeby dojechać do Los Angeles, trzeba przekroczyć granicę państwa, a żeby przekroczyć granicę

państwa, trzeba mieć do tego konkretny powód. W tym kraju nic nie było łatwe w takim sensie, w jakim łatwe było w Stanach. No i jeszcze coś...

Lepiej by było, myślała Mary Pat, gdyby Rosjanie nie dowiedzieli się, że przesyłka zagięła. Kiedy nie ma trupa, nie ma morderstwa i nikt nie wie, że ktoś umarł. Nie ma też ucieczki, chyba że obywatel Związku Radzieckiego pojawi się nagle zupełnie gdzie indziej, tam, gdzie nie powinien. Tak byłoby o wiele lepiej... Czy to w ogóle możliwe?

Kurczę, ale byłby odłot! Tylko jak to załatwić? Myślała o tym, odkurzając dywan w salonie. I... A propos: ryk odkurzacza skutecznie zagłuszał wszystkie „pluskwy”, które Rosjanie zainstalowali w ścianach. Nagle znieruchomiała. Po co marnować taką okazję? Porozumie-215

wali się z Edem rękami, ale ich rozmowa płynęła jak syrop klonowy w styczniu. Ciekawe, czy Ed na to pójdzie. Możliwe, pomyślała. On by raczej na to nie wpadł. Mimo swych umiejętności, nie miał duszy prawdziwego kowboja. Owszem, był utalentowany, i to bardzo, ale gdyby miał kiedykolwiek latać, latałby jako pilot bombowca, nie myśliwca. Tymczasem ona myślała jak Chuck Yeager w X-1, jak Pete Conrad w module księżycowym. Po prostu myśla-

ła szybciej.

Pomysł miał też implikacje strategiczne. Gdyby zdołali ewakuować Królika bez wiedzy tamtych, mogliby w nieskończoność wykorzystywać to, co by z niego wyciągnęli, a taka perspektywa – pod warunkiem, że wszystko by wypaliło – była niezwykle podniecająca i kusząca. Niełatwo to będzie załatwić – ostatecznie to dodatkowa komplikacja, ale cóż, dodatki są po to, żeby w razie czego z nich zrezygnować – lecz sprawę tego kalibru warto dogłębnie przemyśleć, zwłaszcza jeśli zdoła przekonać do niej Eda. Potrzebowała jego talentów plani-stycznych, jego trzeźwego spojrzenia na świat, ale sama myśl, myśl jako taka, zawróciła jej w głowie. Wszystko będzie zależało od dostępnych środków... To najtrudniejsza przeszkoda.

Ale „trudne” nie znaczy „niemożliwe”. A dla Mary Pat „niemożliwe” też nie było niemożliwe, prawda?

Jasne, że nie.

Boeing 747 linii Pan Am pokołował na start o czasie, podskakując na wyboistych pasach dojazdowych Szeremietiewa, które słynęło z nich na całym świecie. Często porównywano je do toru przeszkód, ale główne pasy startowe były w porządku: olbrzymie silniki JT-9D Pratt-a i Whitneya nabrały obrotów i maszyna wystartowała. Tommy Cox – miał miejsce numer 3A – odnotował z uśmiechem tę samą co zwykle reakcję pasażerów: ilekroć amerykański samolot odlatywał z Moskwy, wszyscy wesoło krzyczeli lub klaskali. Nikt ich do tego nie zmuszał, załoga bynajmniej nie zachęcała. Pełny spontan: oto jakie wrażenie wywierała na Amerykanach rosyjska gościnność. Jemu, Cokowski, człowiekowi nienawidzącemu ludzi, którzy dostarczyli Wietnamczykom broni tylko po to, żeby ci

czterokrotnie go z niej zestrze- lili, bardzo się to podobało; nawiasem mówiąc, za te przymusowe lądowania dostał trzy Szkarłatne Serca i dwie Srebrne Gwiazdy, których miniaturki nosił w klapach wszystkich garniturów. Popatrzył w okno, na uciekającą spod skrzydeł ziemię i gdy w głośnikach zabrzmiało wytęsknione Ding!, wyjął winstony i zapalniczkę. Szkoda, że nie mógł ani spać, ani pić, ale – co dziwne – podczas lotu mieli puścić film, którego jeszcze nie widział. W tej pracy nauczył się cenić drobne radości. Dwanaście godzin non stop, ale lepsze już to niż przesiad-ka we Frankfurcie czy na Heathrow. Na lotniskach tranzytowych dostawał kurwicy, bo ilekroć na nich lądował, mógł tylko taszczyć tę pieprzoną torbę – czasami nawet bez wózka – i czekać. Cóż, miał pełną paczkę papierosów, a pokładowe menu wyglądało całkiem nieźle.

To niesamowite, ale rząd naprawdę płacił mu za siedzenie na tyłku przez dwanaście godzin i niańczenie tej głupiej płóciennej torby. Lepsze to niż latanie hueyem w Wietnamie. Już dawno temu przestało go ciekawić, co właściwie przewozi. Jeśli to kogoś interesowało, to jego problem.

Ryan napisał trzy strony – marny dzień, nie ma co wmawiać sobie, że artyzm jego prozy wymaga powolnego pisania. Pisał językiem literackim – gramatyki nauczył się jeszcze w podstawówce, od księży i zakonnic, a styl miał chyba niezły – choć nieszczególnie elegancki.

216

Ku jego wielkiej, acz pokornie stłumionej wściekłości, redaktorzy jego pierwszej książki, *Przeklętych orłów*, powycinali z niej wszystkie artystyczne kawałki. Dlatego garstka krytyków, którzy przeczytali i skomentowali jego epickie dzieło, chwaliła – choć umiarkowanie –

wnikliwość analizy historycznej, lapidarnie zauważając, że książka byłaby dobrym podręcznikiem dla studentów, a nie czymś, na co przypadkowy klient zechciałby wyrzucić pienią-

dze. Wydawnictwo sprzedało siedem tysięcy osiemset sześćdziesiąt pięć egzemplarzy –

niewiele jak na dwa i pół roku pracy, ale on wciąż powtarzał sobie, że pierwsze koty za pło-ty, że nowy wydawca załatwi mu redaktora, który potraktuje go bardziej jak przyjaciela niż jak wroga.

Sęk w tym, że to cholerstwo nie zamierzało napisać się samo, a trzy strony to piekielnie mało jak na cały dzień siedzenia w gabinecie. Jego umysł myślał o dwóch rzeczach naraz, a rozdwojony umysł nie jest najlepszym narzędziem pracy.

– Jak ci poszło? – spytała Cathy, stając nagle u jego boku.

– Nieźle – zełgał.

– Gdzie jesteś?

- W maju. Halsey walczy z półpaścem.
- Miał półpaśca? Półpasiec bywa niemiły nawet dzisiaj, może doprowadzić pacjenta do szału.
- Od kiedy to jesteś dermatologiem?
- Jestem doktorem medycyny, zapomniałeś? Dużo wiem. Może nie wszystko, ale dużo.
- Nie ma to jak skromność i pokora. – Jack zrobił minę.
- Kiedy jesteś przeziębiony, dobrze o ciebie dbam, prawda?
- Chyba tak. – I dbała. – Jak dzieci?
- Świetnie. Sally pohuśtała się trochę i poznała nowego przyjaciela, Geoffreya Froggatta. Jego ojciec jest adwokatem.
- Bomba. Czy tu mieszkają sami prawnicy?
- Nie, mieszka też pewna lekarka i pewien szpieg. Kłopot w tym, że nie mogę o tym nikomu powiedzieć.
- Co im właściwie mówisz?
- Że pracujesz w ambasadzie. – Ciepło, bardzo ciepło.
- Kolejny urzędas – mruknął.
- A co? Chcesz wrócić do Merrill Lynch?
- Nie. Po moim trupie.
- Niektórzy lubią zarabiać tony pieniędzy.
- To tylko hobby, złotko. – Gdyby wrócił na giełdę i do handlu, jej ojciec chętnieby się tym przez rok. Odpada, po jego trupie. Już odsłużył swoje, jak na dobrego żołnierza przysta-
ło. – Mam ważniejsze rzeczy do zrobienia.
- Na przykład?

– Tajemnica.

– Wiem – odrzekła z wesołym uśmiechem. – Przynajmniej nie handlujesz informacjami.

Handlował, handlował, i to najpaskudniejszymi. Tysiące ludzi pracowało codziennie, żeby zdobyć informacje, których nie powinni znać, i podjąć działania, których nie powinni podejmować.

Ale w tę grę grały obie strony – i to z wielkim zaangażowaniem – ponieważ nie chodziło w niej o pieniądze. Chodziło o życie i śmierć, a takie gry są naprawdę ohydne. Jednakże Cathy nie przejmowała się zrakowaciami tkankami, które skazywała na spalenie w szpitalnej spalarni, chociaż było całkiem prawdopodobne, że tkanki te też chciały żyć. Cóż, miały po prostu pecha.

Pułkownik Bubowoj usiadł za biurkiem i przeczytał depeszę. Ręce mu się nie trzęsły, ale zapalił papierosa, żeby spokojniej pomyśleć. A więc Biuro Polityczne to zatwierdziło. Sam Leonid Iljicz napisał list do przewodniczącego bułgarskiej partii. W poniedziałek rano zadzwoni do ambasadora, żeby załatwił mu spotkanie. Nie powinien czekać zbyt długo. Buł-

garzy byli ich pieskami pokojowymi, ale trzeba przyznać, że pieskami pożytecznymi, przynajmniej od czasu do czasu. Rosjanie pomogli im zamordować Georgija Markowa na moście Westminsterkim w Londynie: KGB dostarczyło broń, jeśli bronią można nazwać parasol z ostrym szpicem, którym wprowadzono do jego ciała zabójczą dawkę ryecyny. Gadał w tej BBC i gadał, no i się nagadał. Od tamtej pory minęło już trochę czasu, ale tego rodzaju długi nie ulegają przedawnieniu. Nie na tym szczeblu. A więc Moskwa zażąda spłaty długu. Poza tym istniał układ z 1964, na podstawie którego Drżawna Sigurnost zobowiązywała się do załatwiania za KGB mokrej roboty na Zachodzie. A Leonid Iljicz obiecywał im w dodatku cały batalion unowocześnieionych czołgów T-72 – taki podarunek to dla szefa każdego komunistycznego państwa gwarancja bezpieczeństwa politycznego. No i czołgi były tańsze od MiG-ów-29, o które prosili Bułgarzy. Jakby bułgarscy piloci potrafili nimi latać; Rosjanie żartowali, że przed zamknięciem przesłony musieli wepchnąć do hełmu swoje wielkie wąsy.

Wąsy, nie wąsy, Bułgarów uważano za małe dzieci, i tak już od carów. I w większości przypadków byli jak dzieci posłuszni i podobnie jak dzieci, odróżniali dobro od zła dopiero wtedy, gdy przyłapano ich na złym uczynku. Tak więc okaże należny szacunek szefowi państwa i zostanie serdecznie powitany jako wysłannik wielkiego mocarstwa. Przewodniczący będzie trochę nudził, narzekał i kwękał, wreszcie się zgodzi. Jak w stylizowanym tańcu baletmistrza Aleksandra Gudonowa – z równie przewidywalnym końcowym pas.

Potem spotka się z Borysem Strokowem, żeby zbadać, jak szybko da się to wszystko zorganizować. Borys Andriejewicz się ucieszy. Będzie to misja jego życia, występ w olimpijskich finałach, występ nie tyle tremujący, co podniecający, poza tym po wypełnieniu zadania czekał go awans, nowy samochód czy ładna dacza pod Sofią, może nawet to i to. A co czeka mnie? – pomyślał Bubowoj. Awans na pewno. Generalskie gwiazdki, powrót do Moskwy, elegancki gabinet w Centrali, ładne mieszkanie na Kutuzowskim Prospekcie. Taka perspektywa bardzo mu odpowiadała, bo spędził za granicą wiele lat. Oj tak, wiele. Aż za wiele...

– Gdzie jest teraz kurier? – spytała Mary Pat, odkurzając dywan w salonie.

– Chyba gdzieś nad Norwegią – odrzekł Foley.

218

– Mam pomysł.

– Tak? – spytał z trwogą Ed.

– A gdybyśmy ewakuowali Królika w taki sposób, żeby tamci o niczym się nie dowiedzieli?

– Ale jak? – Chryste, co ona znowu wymyśliła? – I bez tego nie będzie łatwo.

Zapoznała go z pomysłem, który załagał się w jej małej, sprytniej główce, i był to pomysł wielce oryginalny.

Cała ty, pomyślał z obojętnym wyrazem twarzy. Wiedziałem, że na coś takiego wpadniesz. Lecz pomyślał raz jeszcze i...

– Skomplikowane – rzucił.

– Ale do zrobienia – odparowała.

– Skarbie, to duża rzecz. – Ale po jego oczach poznała, że już o tej rzeczy myśli.

– Ale gdyby wypaliło, wiesz jaka byłaby bomba? – Wjechała odkurzaczem pod sofę i mały Eddie przysunął się bliżej telewizora, żeby słyszeć, o czym rozmawiają transformery.

Dobry znak. Skoro on nie słyszał mamy i taty, na pewno nie usłyszą ich mikrofony KGB.

– Warte przemyślenia – przyznał Ed. – Ale przeprowadzić coś takiego... Cholera.

– Płacą nam za kreatywność, prawda?

– Takiego numeru nigdy tu nie wykręcimy. – Nie bez olbrzymich środków, z których część mogła być niedostępna, czego najbardziej się bali i na co nie było żadnej rady. Właśnie, to jeden z problemów tej branży. Kiedy funkcjonariusze kontrwywiadu KGB zidentyfikowali kogoś z ich agentów, często pogrywali z nim bardzo sprytnie. Mogli na przykład odbyć z nim małą pogawędkę i kazać mu działać dalej, obiecując, że jeśli się zgodzi, dożyje końca roku. W razie niebezpieczeństwa agenci mieli wysłać umówiony sygnał ostrzegawczy, ale kto powiedział, że na pewno go wyślą? Takie coś

wymagało dużego poświęcenia. Więcej niż dużego, wielkiego, takiego, na jakie nie było ich pewnie stać.

– Są jeszcze inne miejsca – powiedziała Mary Pat. – Na przykład Europa Wschodnia.

Wydostańmy ich tamtędy.

– To chyba możliwe. – Ed ponownie uległ. – Ale nasze zadanie polega na tym, żeby ich ewakuować, a nie na tym, żeby zdobywać punkty za styl u enerdowskiego sędziego.

– Wiem, ale pomyśl. Gdyby udało się nam wywieźć go z Moskwy, mielibyśmy więcej możliwości, prawda?

– Tak, skarbie, i większe problemy z transportem. – A to z kolei pociągało za sobą ryzyko, że wszystko mogą spieprzyć. „Im prościej, tym lepiej, głupku” – ta zasada stanowiła taką samą część etosu CIA jak trenz i filcowy kapelusz z kiepskich filmów szpiegowskich. Gdzie kucharek sześć, tam nie ma co jeść.

Z drugiej strony to, co zaproponowała, było cholernie sensowne. Ewakuowanie Królika w taki sposób, żeby Rosjanie uznali go za zmarłego, oznaczało, że nie przedsięwzięliby żadnych środków ostrożności. To tak jak wysłać kapitana Kirka do kwatery głównej KGB niewidzialnym transporterem i bez wiedzy tamtych ściągnąć go z powrotem wraz z tonami informacji. Numer doskonały, najdoskonalszy ze wszystkich, jakie kiedykolwiek przepro-219

wadzono. Kurczę, pomyślał, tak doskonały, że aż niewiarygodny. Jak to dobrze, że Bóg pobłogosławił go żoną równie twórczą w pracy, jak w łóżku.

A w łóżku była piekielnie twórcza.

Mary Pat widziała jego twarz i umiała w niej czytać. Był ostrożny, lecz nacisnęła odpowiedni guzik i skłoniła go do myślenia. Wiedział już, że pomysł ma wielkie plusy. Wiązały się z nim dodatkowe komplikacje... ale być może nie aż tak duże. Zdawał sobie sprawę, że nawet przy bardzo sprzyjających okolicznościach wysłanie przesyłki z Moskwy nie będzie miłym spacerkiem po parku. Zwłaszcza przekroczenie fińskiej granicy, najtrudniejsza faza operacji. Zawsze ewakuowali uciekinierów tamtędy, przez Finlandię, i wszyscy o tym wiedzieli. Istniały na to różne sposoby, ale najczęściej wykorzystywali skrytkę w samochodzie.

Rosjanie nie mogli temu procederowi skutecznie zaradzić, ponieważ kierowca samochodu miał status dyplomaty i międzynarodowe konwencje ograniczały ich pole działania. Dyplomata, który chciał się szybko wzbogacić, mógł zgarnąć kupę pieniędzy, szmuglując narkotyki – Mary Pat była pewna, że niektórzy to robili, bo kilku dało się nawet złapać. Z paszportem, który był przepustką z każdego więzienia, można dużo osiągnąć. Ale nawet paszport dyplomatyczny nie załatwiał wszystkiego. Gdyby Rosjanie dowiedzieli się, że Królik zniknął, mogliby złamać międzynarodowe postanowienia ze względu na wartość informacji, które wywoził w głowie za granicę. Rezultatem naruszenia

obowiązującego prawa był zwykle oficjalny protest strony amerykańskiej, przytłumiony oficjalnym komunikatem strony radzieckiej, głoszącym, że dyplomata był szpiegiem, a jeśli w konsekwencji tegoż strona amerykańska dobrała się do skóry kilku radzieckim dyplomatom, cóż, Rosjanie są znani z tego, że dla celów politycznych potrafią poświęcić miliony ludzi, traktując to jak zwykłe koszty uboczne. Za informacje będące w posiadaniu Królika chętnie przelaliby krew, w tym swoją. Mary Pat zastanawiała się, czy Oleg Iwanowicz rozumie niebezpieczeństwo, jakie mu grozi, czy zdaje sobie sprawę, jak straszliwe siły na niego czyhają. Wszystko sprowadzało się do tego, czy Rosjanie wiedzą, że coś się święci. Jeśli nie, CIA była w stanie przewidzieć ich wszystkie pociągnięcia inwigilacyjne, bez względu na to jak bardzo skomplikowane. Ale jeżeli coś zwęszyli, mogli obstawić i zablokować całą Moskwę.

Jednakże wszystko to, co robiono w wydziale tajnych operacji CIA, robiono niezwykle starannie, poza tym zawsze istniały procedury awaryjne na wypadek, gdyby coś poszło nie tak. Niektóre były desperackie, ale – jak okazywało się w praktyce – całkiem skuteczne, chociaż starano się ich unikać.

– Kończę – ostrzegła.

– Dobra, dałaś mi do myślenia. – Jego potężny umysł przystąpił do działania. Czasami trzeba go było pchnąć, ale kiedy już ruszył w dobrym kierunku, parł naprzód jak George Patton z wędzidłem w pysku. Mary Pat zastanawiała się, czy w ogóle dzisiaj zaśnie, a jeśli tak, jak długo pośpi. Cóż, kto jak kto, ale ona na pewno będzie miała okazję to sprawdzić.

– Basil cię lubi – powiedział Murray. Kobiety były w kuchni, a on i Jack w ogrodzie.

Udawali, że oglądają róże.

– Tak?

– Bardzo.

– Za cholerę nie wiem dlaczego. Niewiele dla nich zrobiłem.

220

– Twój kumpel z pokoju codziennie składa mu raport. Simon Harding to ich gwiazdor.

Nikt ci o tym nie powiedział? Dlatego przeszedł z Basilem do Dziesiątki.

– Dan, myślałem, że pracujesz w FBI, a nie w CIA – odrzekł Ryan, zastanawiając się, kim ten Murray naprawdę jest.

– Ci stamtąd to moi kumple, ale znam też paru miejscowych. – „Ci stamtąd” to CIA.

Chryste, gdzie ten facet właściwie pracuje? Wyglądał na gliniarza, to pewne. Czy to też kolejna maska? Nie, niemożliwe. Kiedyś sprawiał masę kłopotów Emilowi Jacobsowi, spokoj-nemu, kompetentnemu dyrektorowi FBI, a taka przykrywka byłaby zbyt wyrafinowana jak na przykrywkę rządową. Poza tym Murray nie prowadził chyba agentów w Londynie.

Nie? Pozory mylą. Ryan nienawidził tego aspektu pracy w CIA, ale musiał przyznać, że zachowywał dzięki temu większą czujność. Nawet pijąc piwo we własnym ogródku.

– To miło...

– Basilowi trudno zaimponować, chłopcze. Ale on i sędzia Moore też bardzo się lubią.

No i Greer. Basil uwielbia go za zdolności analityczne.

– Fakt, Greer jest bystry – przyznał Jack. – Dużo się od niego nauczyłem.

– Chce zrobić z ciebie gwiazdora.

– Tak? – Nic na to nie wskazywało.

– Nie zauważyłeś, jak szybko pcha cię do góry? Jakbyś był profesorem Harvardu albo co.

– Ukończyłem Boston College i Georgetown.

– Wiem. Cóż, my, jezuici, rządymy światem, tylko się z tym nie obnosimy. Na Harvar-dzie nie uczą pokory.

I na pewno nie zachęcają też swoich absolwentów do podejmowania równie plebejskiej pracy jak praca w policji, pomyślał Ryan. Pamiętał studentów z Bostonu, z których wielu uważało, że należy do nich cały świat – tylko dlatego, że kupił go im tatuś. On wolał kupować wszystko sam, pewnie dlatego, że pochodził z robotniczej rodziny. Ale w czepku uro-dzona Cathy też nie była snobką. Oczywiście żadna córka czy syn nie przyniesie ujmy rodzinie tym, że został lekarzem, a już na pewno nie tym, że ukończył Johnsa Hopkinsa. Może Joe Muller nie jest w końcu taki zły? Ostatecznie wychował dobrą córkę. Szkoda tylko, że w stosunku do zięcia zachowywał się jak apodyktyczny dupek.

– Jak ci się podoba w Century House?

– Bardziej niż w Langley. Tam jest jak w klasztorze. Tu mieszkasz w mieście. Po pracy można pójść na piwo czy na zakupy.

– Szkoda tylko, że sam budynek się sypie. Mieli już takie kłopoty z innymi. Tynk, zaprawa czy jak jej tam, jest wadliwa. No i odłazi cała fasada. Trochę wstyd, ale główny wyko-nawca już dawno nie żyje. Trupa do sądu nie pozwiesz.

– A ty? – rzucił lekko Jack. – Nigdy żadnego nie pozwalałeś?

Murray pokręcił głową.

221

– Nie, nigdy do nikogo nie strzelałem. Raz mało brakowało, ale w ostatniej chwili coś mnie tknęło. I dobrze, bo okazało się, że ten dureń był nieuzbrojony. – Pociągnął łyk piwa. –

Głupio by było tłumaczyć się przed sędzią.

– Jak radzi sobie tutejsza policja? – Ostatecznie Murray ponoć się wśród nich kręcił.

– Nieźle. Są dobrze zorganizowani, mają dobrych śledczych. I niewiele przestępstw.

– Nie to, co w Nowym Jorku albo w Waszyngtonie.

– Nie ma porównania... No i co powiesz, Jack? Dzieje się coś ciekawego?

– U mnie? Niewiele. Przeglądam stare dokumenty, sprawdzam stare analizy i porównuję je z nowymi danymi. Nic, o czym warto by było pisać do Stanów. Ale i tak muszę. Admirał trzyma mnie na długiej smyczy, ale jednak na smyczy.

– A co myślisz o naszych kuzynach?

– Basil jest bardzo inteligentny. I ostrożny w tym, co mi pokazuje. Ale to chyba w porządku. Wie, że piszę raporty do Langley, poza tym naprawdę nie muszę znać ich informatorów... Chociaż zawsze można trochę pozgadywać. Szóstka musi mieć niezłych ludzi w Moskwie. – Pokręcił głową. – W życiu nie chciałbym się w to bawić. Nasze więzienia są paskudne. Nie chcę nawet sobie wyobrazić, jak wyglądają rosyjskie.

– Nie zdążyłbyś ich zobaczyć, brachu, nie dożyłbyś tej chwili. Rosjanie niechętnie wybaczą, zwłaszcza szpiegom. Bezpieczniej jest zaprawić kichą milicjanta przed posterunkiem, niż bawić się w szpiega.

– A u nas?

– To niesamowite, jak patriotyczni są skazańcy. Szpiegdy mają u nas ciężko. Oni i pedofi-le. Koledzy poświęcają im wiele uwagi. Wiesz, ci uczciwi przestępcy.

– Tak, ojciec czasem mi o tym opowiadał. O hierarchii więziennej i o tym, że nie warto być na jej dole.

– Lepiej narzucać, niż łapać, co? – Murray wybuchnął śmiechem. Nadeszła pora na pytanie dnia:

– Dan, więc jak to z tobą jest? Co cię właściwie łączy z chłopakami z wywiadu?

Murray powiódł wzrokiem po horyzoncie.

– Cóż, jakoś się nam układa. – Tyle. Kropka.

– Wiesz, jeśli w ogóle się czegoś boję, to niedomówień. To mu się spodobało.

– W takim razie źle trafiłeś, synu. Tu wszyscy tak mówią.

– Tak, zwłaszcza agenci.

– Gdybyśmy mówili jak cała reszta, zniknąłby nimb tajemniczości i ludzie zobaczyliby, jakie to wszystko porąbane. – Murray wypił kolejny łyk piwa i posłał mu szeroki uśmiech. –

Przestaliby nam ufać. Tak samo jest z lekarzami i maklerami.

– Co branża, to żargon... – Żargon miał ponoć ułatwiać i przyspieszać porozumienie między tymi, którzy w tej branży robili, ale tak naprawdę używano go po to, żeby zablokować dostęp do informacji ludziom z zewnątrz. Ale jeśli było się jednym z tych pierwszych, sprawa nie miała żadnego znaczenia.

222

Zła wiadomość nadeszła z Budapesztu. Ot, zwyczajny pech, nic więcej. Sam agent nie był aż taki ważny. Dostarczał informacji na temat węgierskich sił lotniczych, których nikt nie brał na poważnie, tak samo jak całej reszty węgierskiego wojska, które w przeszłości rzadko kiedy dawało dowody męstwa na polu walki. Chociaż marksizm i leninizm nie zapuściły tu korzeni, państwo zatrudniało wielu pracowitych, acz niezbyt kompetentnych agentów wywiadu i kontrwywiadu, a nie każdy z nich był kompletnym durniem. Niektórych przeszko-lono nawet w KGB, a jeśli Rosjanie w ogóle się na czymś znali, to na pewno na wywiadzie i kontrwywiadzie. I właśnie jeden z tychże agentów, niejaki Andreas Morrisay, siedział sobie w kawiarni przy Andrassy Utca, pijąc poranną kawę, gdy zobaczył, jak ktoś popełnia błąd.

Nie zauważyłby tego, gdyby nie znudziła go lektura gazety, ale tak, to był ewidentny błąd.

Jakiś Węgier – rozpoznał to po ubraniu – upuścił coś wielkości blaszanego pudełeczka na tabakę. Upuścił, szybko podniósł, a potem – i właśnie to przykuło uwagę Morrisaya – przytknął pudełeczko do blatu stolika. Przytknął je od spodu, ale pudełeczko nie odpadło. Musia-

ło się jakoś przykleić. Było to tym bardziej niezwykłe, że w Akademii KGB pod Moskwą pokazywano mu film szkoleniowy z identyczną sceną. Martwa skrzynka kontaktowa. Przestarały, choć wciąż skuteczny sposób przekazywania materiałów szpiegowskich wrogowi.

Morrisay poczuł się nagle tak, jakby wszedł do sali kinowej, usiadł i zaczął oglądać szpiegowski film, instynktownie przewidując kolejne sekwencje scen. Natychmiast wstał i poszedł do toalety, gdzie były automaty telefoniczne. Wykręcił numer swego biura i odbył

krótką, najwyżej trzydziestosekundową rozmowę. Potem skorzystał z toalety, ponieważ rzecz mogła trochę potrwać, a on się nagle podekscytował. Ale to nic. Kwatera główna mie-

ściła się ledwie sześć ulic dalej, tak więc już wkrótce do kawiarni weszło dwóch mężczyzn, którzy usiedli i prowadząc ożywioną rozmowę, zamówili kawę. Andreas był w sumie żółtodziobem – pracował w tej branży dopiero od dwóch lat – i jak dotąd nikogo jeszcze – na niczym nie przyłapał. Ale nie ulegało wątpliwości, że dziś jest jego wielki dzień. Miał przed sobą prawdziwego szpiega. Rodowitego Węgra, który pracował dla obcego mocarstwa, i nawet jeśli przekazywał informacje rosyjskiemu KGB, popełniał przestępstwo, za które mogli go aresztować; oczywiście w tym przypadku natychmiast zainterweniowałyby ich oficer łącznikowy i musieliby pechowca wypuścić. Dziesięć minut później Węgier wstał i wyszedł, a za nim wyszli dwaj wezwani przez Andreama mężczyźni.

Potem nie działo się nic, i to przez ponad godzinę. Andreas zamówił szarlotkę. Była równie smaczna, jak te z leżącego trzysta kilometrów dalej Wiednia, i to mimo panującego tu komunizmu: Węgrzy lubili dobrze zjeść, a Węgry miały wydajne rolnictwo, mimo rozdzielczo-nakazowej gospodarki, którą uraczono wszystkich rolników zza żelaznej kurtyny. Palił

papierosa za papierosem, czytał gazetę i czekał, aż coś się zacznie dziać.

W końcu się zaczęło. Przy wiadomym stoliku usiadł mężczyzna ubrany za dobrze jak na Węgra. Usiadł, zapalił i też rozłożył gazetę.

Andreas był krótkowidzem, co wielokrotnie działało na jego korzyść. Nosił tak grube okulary, że nigdy nie było wiadomo, gdzie patrzy, a podczas szkolenia nauczono go, że spojrzenie, zatrzymanie wzroku na obiekcie, nie może trwać dłużej niż kilka krótkich sekund.

Postronny obserwator stwierdziłby, że Andreas po prostu czyta, podobnie jak sześciu czy siedmiu innych gości tej małej, eleganckiej kawiarenki, która jakimś cudem przetrwała drugą wojnę światową. Obserwował Amerykanina – wbił sobie do głowy, że to musi być Amery-223

kanin – pił kawę i czytał gazetę, dopóki tamten nie odstawił filiżanki na spodeczek, nie sięgnął do kieszeni po chustkę, nie wytarł nosa, nie schował chustki z powrotem do kieszeni...

I nie podebrał przy okazji blaszanego pudełka spod blatu. Zrobił to tak zręcznie, że zauważyłby to tylko wyszkolony oficer kontrwywiadu, a rzecz jasna Andreas takim oficerem był. Ogarnięty dumą,

popęłił pierwszy i najbardziej kosztowny błąd tego dnia.

Amerykanin dopił kawę i wyszedł, a on puścił się za nim. Obcokrajowiec skręcił w kierunku stacji metra ulicę dalej i prawie udało mu się tam dojść. Prawie. Czując na ramieniu ciężki dotyk czyjejś ręki, przystanął i odwrócił głowę.

– Czy mogę zobaczyć blaszaną tabakierkę, którą wyjął pan spod blatu stolika w kawiarni? – Andreas poprosił go o to bardzo grzecznie, ponieważ zakładał, że Amerykanin jest, technicznie mówiąc, dyplomatą.

– Słucham? – Tak jest, sądząc po akcencie, był albo Anglikiem, albo Amerykaninem.

– Tę, którą ma pan w kieszeni – wyjaśnił Andreas.

– Nie wiem, o czym pan mówi i bardzo się spieszę. – Mężczyzna ruszył schodami w dół.

Daleko nie zaszedł. Andreas wyjął pistolet. Czeski agrozet model 50 skutecznie uciął rozmowę. Choć nie całkiem.

– Co to? Kim pan jest?

– Dokumenty. – Andreas wyciągnął rękę, trzymając pistolet tuż przy biodrze. – Mamy już pańskiego informatora. Jest pan aresztowany.

Na filmie Amerykanin dobyłby broni i spróbowałby zbiec, pokonując dwadzieścia osiem stopni dzielących go od peronu prastarego budapesztańskiego metra. Sęk w tym, że bał się, iż facet, który go zatrzymał, też oglądał takie filmy i że w zdenerwowaniu może pociągnąć za spust tej gównianej czeskiej pukawki. Dlatego włożył rękę do kieszeni – bardzo powoli i ostrożnie, żeby idiota się nie wystraszył – i wyjął paszport. Paszport był czarny, taki, jakie wydają dyplomatom, więc ten głupi, pieprzony farciarz powinien go momentalnie rozpoznać. Amerykanin nazywał się James Szell i był z pochodzenia Węgrem, przedstawicielem jednej z licznych grup mniejszości narodowych, które Stany Zjednoczone powitały w minionym stuleciu.

– Jestem amerykańskim dyplomatą i mam ważną akredytację. Proszę mnie natychmiast odprowadzić do ambasady – Szell kipiał wściekłością. Oczywiście twarz miał jak z kamienia, ale doskonale zdawał sobie sprawę, że pięć lat służby w terenie właśnie dobiegło zgrzytliwego końca. A wszystko przez tego żółtodzioba, tego zasranego, pozał się Boże agenta, któ-

ry dostarczał mu drugorzędnych informacji o komunistycznych siłach powietrznych. Niech to szlag!

– Najpierw pójdzie pan ze mną – odrzekł Andreas i machnął pistoletem. – Tędy.

Wiały korzystne wiatry i boeing 747 linii Pan Am wylądował na lotnisku Kennedy'ego pół godziny wcześniej. Cox schował kryminały i dzięki stewardesie wysiadł z samolotu jako pierwszy. Szybko

przeszedł przez odprawę paszportową – wszyscy widzieli jego torbę, wszyscy wiedzieli, kim jest – przesiadł się na samolot do Waszyngtonu i półtorej godziny później siedział już w taksówce jadącej do Foggy Bottom. W przestronnym gmachu Depar-224

tamentu Stanu jego torba została otwarta, a jej zawartość posegregowana. Kopertę Foleya wręczono kurierowi, który autostradą George’a Waszyngtona pojechał do Langley, a w Langley sprawy potoczyły się już w miarę szybko.

Depeszę dostarczono ręcznie do Merkurego. Tam ją rozszyfrowano i wydrukowano, następnie zanesiono na szóste piętro gmachu. Jej oryginał poszedł do spalenia. Nie zrobiono ani jednej kopii, chociaż kopię elektroniczną zapisano na kasecie VHS, a kasetę oddano na przechowanie siedmiu krasnoludkom.

Mike Bostock zobaczył kopertę z Moskwy i doszedł do wniosku, że cała reszta może poczekać. Przeczytał meldunek i natychmiast stwierdził, że miał rację, ale zerknąwszy na zegarek, stwierdził też, że Bob Ritter jest właśnie gdzieś nad wschodnim Ohio, lecąc do Seulu boeingiem 747 japońskich Ali Nippon Airlines. Zadzwoił więc do domu sędziego Moore’a.

Moore burknął, że już jedzie i kazał mu zawiadomić Jima Greera. Na szczęście obaj mieszkali niedaleko, tak że jeden wysiadł z windy osiem minut po drugim.

– Co się dzieje, Mike? – rzucił na powitanie sędzia.

– Od Foleya. Wygląda na coś interesującego. – Kowboj, nie kowboj, Bostock chwycił takie rzeczy w lot.

– Niech to szlag – wysapał dyrektor. – A Boba już nie ma.

– Nie ma, panie dyrektorze. Wyjechał godzinę temu.

– Co się stało, Arthurze? – Admirał przyszedł na spotkanie w tanim golfie.

– Mamy Królika. – Moore podał mu depeszę. Greer uważnie ją przeczytał.

– To może być coś bardzo ciekawego – orzekł po chwili namysłu.

– Tak, może. – Moore spojrzał na Bostocka. – Mów coś, Mike.

– Foley uważa, że to bomba. Jest dobrym agentem, Mary Pat też. Chce jak najszybciej ewakuować Królika i jego rodzinę. Musimy zawierzyć jego przeczuciom, panie dyrektorze.

– Problemy?

– Pytanie, jak to przeprowadzić. Zazwyczaj zostawiamy to ludziom z terenu, chyba że chcą zrobić coś szalonego, ale Ed i Mary są na to za inteligentni. – Bostock wziął głęboki oddech i spojrzał w

wielkie okno wychodzące na dolinę Potomacu i na parking dla VIP-ów. –

Panie dyrektorze, Ed najwyraźniej uważa, że facet ma dla nas cenne informacje. Nie możemy kwestionować jego opinii. Wynika z tego, że Królik siedzi cholernie głęboko i chce stamtąd zwać. Żona i córka to poważna komplikacja. Ale i tu powinniśmy zaufać Foleyowi. Byłoby miło, gdyby Królik został na miejscu i gdyśmy mogli zrobić z niego agenta, który dostarczał-

by nam informacji na bieżąco, ale albo z jakichś powodów jest to niemożliwe, albo Ed uważa, że facet wie już wystarczająco dużo.

– Dlaczego napisał tak krótko? – mruknął Greer z depeszą w ręku.

– Może się spieszył, żeby zdążyć przed wysłaniem poczty dyplomatycznej albo nie ufa kurierom i boi się, że gdyby tamci przechwycili pełniejszą informację, mogliby zidentyfikować Królika. Kimkolwiek ten człowiek jest, Ed wolał zrezygnować z tradycyjnych systemów łączności i skorzystać z poczty, a to mówi już samo za siebie.

– A więc chcesz to zatwierdzić? – spytał sędzia.

225

– Moim zdaniem nie mamy innego wyboru. – Rzecz była oczywista.

– Dobrze, zatwierdzam to – powiedział oficjalnie Moore. – Zawiadam Foleya. Natychmiast.

– Tak jest. – Bostock wyszedł.

Greer zachichotał.

– Bob się wkurzy.

– Co może być na tyle ważne, że Foley chce to przeprowadzić tak nagle i tak szybko? – myślał głośno Moore.

– Zobaczymy. Trzeba poczekać.

– Pewnie wiesz, że nie grzeszę cierpliwością.

– Potraktuj to jak okazję do zdobycia kolejnej cnoty, Arthurze.

– Świetnie. – Sędzia wstał. Mógł już wracać do domu, by nudzić i zrzędzić przez cały dzień jak dziecko, które zastanawia się, co dostanie pod choinkę – pod warunkiem, że tego roku w ogóle będą

święta.

226

Rozdział 18

Muzyka klasyczna

Depesza zwrotna przyszła do Moskwy o północy. Oficer pełniący nocną służbę wydrukował ją, zaniósł do gabinetu Eda Foleya, położył na biurku i szybko o niej zapomniał. Ze względu na ośmiogodzinną różnicę czasu między stolicą Związku Radzieckiego i stolicą Stanów Zjednoczonych, o tej właśnie porze przychodziło najwięcej depeesz, a ta była dla niego tylko kolejnym papierkiem, zapisanym bezsensownym tekstem, którego nie miał prawa rozszyfrowywać.

Jak się tego spodziewała, tej nocy Ed prawie nie spał, ale robił, co mógł, żeby za bardzo się nie przewracać i nie zakłócać jej snu. Wątpliwości to nieodłączna część pracy każdego agenta zaangażowanego w tę grę. Czy Oleg Iwanowicz był prowokatorem, przynętą, którą on, Ed, połknął za szybko? Czy Rosjanie zarzucili wędkę na chybił trafił i za pierwszym podejściem złapali wielkiego, błękitnego marlina? Czy Komitet Bezpieczeństwa Państwowego w ogóle grywał w takie gry? Na szkoleniu w Langley mówili mu, że nie. Owszem, w przeszłości tak, ale ich celem było zdemaskowanie konkretnych ludzi, ludzi, o których wiedzieli, że są agentami, i którzy – zgłaszając się po przesyłkę do tej czy innej martwej skrzynki kontaktowej – mogli ich doprowadzić do innych agentów czy informatorów...

Ale takie coś rozgrywało się zupełnie inaczej. Żądać ewakuacji już na pierwszym spotkaniu? Nigdy, chyba że tamci chcieli osiągnąć coś konkretnego, na przykład zneutralizować konkretny cel, ale nie, to nie mógł być ten przypadek. Przecież on i Mary Pat nie zdążyli jeszcze nic zrobić. Poza tym, cholera, ledwie garstka ludzi wiedziała, kim jest i czym się zajmuje. Nie zdążył jeszcze zwerbować ani jednego agenta, nie zdążył nawet nawiązać kontaktu z już działającymi. Zresztą nie należało to do jego zadań. Szef ekspozytury nie pracował w terenie. Miał jedynie nadzorować innych, tych, którzy w terenie pracowali, jak choćby Doma Corsa, Mary Pat i pozostałych członków swego małego, lecz fachowego zespołu.

I skoro Rosjanie go rozpracowali, dlaczego mieliby się z tym tak szybko zdradzić? Przecież CIA dowiedziałyby się dzięki temu więcej, niż mogłaby się dowiedzieć. Nie tak bawiło się w szpiegów.

No dobrze, a jeśli Królik był przynętą? Jeśli miał go zdemaskować i przekazać mu potem zupełnie bezużyteczne informacje? A jeśli celem całej tej afery było jedynie zdekonspirowanie szefa moskiewskiej ekspozytury? Ale nie mogliby tego zrobić, nie podejrzewając, kim naprawdę jest. Nawet KGB nie miało tak wielkich środków, żeby przeprowadzić gigantyczną akcję wymierzoną przeciwko wszystkim pracownikom ambasady. Tego rodzaju przedsięwzięciem trudno by było sprawnie pokierować i Amerykanie na pewno zorientowaliby się, że tamci szykują coś dziwnego.

Nie, specjaliści z Komitetu Bezpieczeństwa Państwowego byli na to zbyt profesjonalni.

Tak więc nie mogli go namierzyć, nie wiedząc, kim jest, a gdyby wiedzieli, zatrzymaliby tę wiadomość dla siebie, w przeciwnym wypadku zdradziliby CIA nową taktykę operacyjną, którą bardziej opłacało się zachować dla siebie.

Dlatego nie, Oleg Iwanowicz nie mógł być przynętą, i kropka.

Skoro nie, musiał być prawdziwym Królikiem. Prawda?

227

Mimo całej wiedzy i doświadczenia, Ed Foley nie potrafił znaleźć niczego, co podważyłoby jego wiarygodność. Sęk w tym, że wszystko to razem nie miało zbyt wielkiego sensu.

Ale czy w tej branży cokolwiek miało sens?

Jak najbardziej sensowne było natomiast to, żeby jak najszybciej go stąd ewakuować.

Mieli Królika, a Królik chciał uciec przed niedźwiedziem.

– Nie możesz powiedzieć, co cię gryzie? – spytała Cathy.

– Nie.

– Ale to coś ważnego, tak?

– Tak. – Ryan kiwnął głową. – Tak, ale problem w tym, że nie wiemy jak bardzo.

– Mam zacząć się martwić?

– Nie. Trzecia wojna światowa nam nie grozi, nic z tych rzeczy. Ale naprawdę nie mogę o tym mówić.

– Dlaczego?

– Wiesz dlaczego: to tajemnica. Nie opowiadasz mi o swoich pacjentach, prawda? Nie robisz tego, ponieważ macie swoje zasady, swoją etykę, natomiast mnie obowiązuje zasada przestrzegania tajemnicy służbowej. – Cathy była bystrą dziewczyną, ale tego nie zdołała jak dotąd zrozumieć.

– Mogę ci jakoś pomóc?

– Kochanie, gdyby szefostwo CIA wtajemniczyło cię w te sprawy, możliwe, że mogłabyś zaproponować coś ciekawego. Ale tylko możliwe, pewności nie ma. Nie jesteś psychiatrą, a tu potrzeba psychiatry, który powiedziałby mi, jak ludzie reagują na zagrożenie, jakimi kierują się motywami, jak postrzegają rzeczywistość, jak spostrzeżenia te wpływają na ich decyzje. Próbuję przeniknąć do umysłu ludzi, których nie znam, i odgadnąć, co mogą zrobić.

Zajmowałem się tym jeszcze przed wstąpieniem do Agencji, ale sama wiesz...

– Tak, przeniknąć do czyjegoś umysłu jest trudno. I wiesz co?

– No?

– Trudniej jest przewidzieć reakcje człowieka zdrowego psychicznie niż człowieka obłąkanego. Ludzie potrafią myśleć racjonalnie, mimo to czasami postępują jak szaleńcy.

– Dlatego, że postrzegają świat tak, a nie inaczej?

– Częściowo, a częściowo dlatego, że postanowili uwierzyć w coś zupełnie fałszywego.

Robią to z powodów jak najbardziej racjonalnych, ale rzeczy, w które wierzą, są fałszywe.

To go zaintrygowało.

– Dobrze, w takim razie weźmy na przykład takiego... Stalina. Zamordował mnóstwo ludzi. Dlaczego?

– I znowu: częściowo z powodów racjonalnych, częściowo dlatego, że był paranoikiem.

Widząc zagrożenie, reagował szybko i zdecydowanie. Ale widywał też zagrożenia tam, gdzie ich nie było, a jeśli nawet były, nie wymagały użycia tak drastycznych środków. Żył na 228

granicy normalności i obłądzenia. Rzucił się to w jedną, to w drugą stronę jak stojący na moście człowiek, który nie może się zdecydować, na którym brzegu rzeki mieszka. W sprawach międzynarodowych był ponoć racjonalny, jak każdy polityk, choć był też bezwzględny, dlatego nikt nie śmiał mu odmówić. Jeden z naszych lekarzy napisał o nim książkę. Czytałam ją na studiach.

– Ciekawa?

Cathy wzruszyła ramionami.

– Powiedzmy, że nie całkiem satysfakcjonująca. Obecnie panuje przekonanie, że choroba umysłowa jest wynikiem braku równowagi chemicznej w mózgu, a nie tego, czy w dzieciń-

stwie dziecko obrywało od ojca, czy tego, że zobaczyło matkę z kozłem w łóżku. Ale teraz nie zbadamy przecież jego krwi, prawda?

– Raczej nie. Chyba go w końcu skremowali i pochowali... Nie pamiętam gdzie. – Pod murem kremlowskim? A może zamiast kremować, pogrzebali go w zwykłej sosnowej trumnie. Nawet nie warto tego sprawdzać.

– To zabawne. Mnóstwo postaci historycznych robiło to, co robiło, tylko dlatego, że byli psychicznie rozchwiani. Dzisiaj moglibyśmy wyleczyć ich litem czy innymi środkami, które, nawiasem mówiąc, odkryto dopiero w ciągu ostatnich trzydziestu lat, ale wtedy mieli do dyspozycji tylko alkohol i jodynę. No i może egzorcyzmy – dodała, zastanawiając się, czy naprawdę skutkowały.

– Rasputinowi też dokuczał brak równowagi chemicznej w mózgu? – zastanawiał się na głos Jack.

– Możliwe. Wiem o nim tylko tyle, że był księdzem, obłąkanym księdzem. Tak?

– Nie, nie księdzem. Kimś w rodzaju mistyka. Dzisiaj byłby pewnie kaznodzieją telewizyjnym. Tak czy inaczej, doprowadził do upadku Romanowów, którzy byli zresztą kompletnie beznadziejni.

– I na tronie zasiadł Stalin?

– Najpierw Lenin, potem Stalin. Włodzimierz Iljicz wykorkował na udar.

– Może był nadwrażliwy. A może cholesterol zatkał mu żyły w mózgu... Stalin był jeszcze gorszy, tak?

– Lenin nie należał do przyjemniaczków, ale Stalin... Był Tamerlanem XX wieku, a może którymś z cesarów... Wiesz, że kiedy Rzymianie odbijali zbuntowane miasto, zabijali absolutnie wszystkich, łącznie z psami?

– Naprawdę?

– Tak, ale Brytyjczycy zawsze psy oszczędzali. Darzyli je zbyt wielkim sentymentem.

– Sally tęskni za Erniem. – Typowo kobieca reakcja: komentarz niby na temat, choć nie na temat. Ernie był ich psem.

– Ja też, ale tej jesieni będzie miał kupę radochy: niedługo sezon. Będzie mógł wyławiać z wody wszystkie kaczkę.

Cathy zadrżała. Najbardziej żywą rzeczą, na jaką kiedykolwiek zapolowała, był hamburger w sklepie spożywczym – z drugiej zaś strony kroić ludzi nożem. Paranoja, pomyślał

Ryan z krzywym uśmiechem. Ale cóż, tym światem nie kierowały żadne logiczne reguły, przynajmniej nie wtedy, kiedy sprawdzał to ostatnio.

– Nie martw się, skarbie. Nic mu nie będzie. Wierz mi.

– Tak, jasne.

– Uwielbia pływać... – dodał uspokajająco. – Masz w tym tygodniu coś ciekawego? Jakiś interesujący przypadek?

– Nie, sama rutyna. Badanie oczu, przypisywanie recept, i tak przez cały tydzień.

– Żadnych przyjemności? Nie przetniesz jakiemuś biedakowi lewego oka na pół, żeby potem je zszyć?

– Nie tak się to robi.

– Skarbie, gdybym musiał przeciąć komuś oko, natychmiast bym zwymiotował albo zemdłał. – Na samą myśl o nożu w czyimś oku przeszedł go zimny dreszcz.

– Mięczak. – No i tyle. Nie rozumiała, że w szkole Korpusu Piechoty Morskiej w Quantico w Wirginii po prostu ich tego nie uczyli.

Mary Pat czuła, że mąż wciąż nie śpi, ale nie była to pora na rozmowy, nawet w ich prywatnym języku migowym. Myślała o czekającej ich operacji: jak wywieźć z Rosji przesył-

kę. Z Moskwy byłoby trudno. Z innych części Związku Radzieckiego bynajmniej nie łatwiej, ponieważ moskiewska ekspozytura nie miała tylu środków, żeby móc je rozproszyć po tak olbrzymim kraju – operacje wywiadowcze koncentrowały się zwykle w stolicach, ponieważ można tam było wysłać „dyplomatów”, te wilki w owczej skórze. Oczywistym następstwem powyższego byłoby wykorzystywanie stolic wyłącznie jako centrów administracyjnych i usunięcie z nich wszystkich instytucji wojskowych tudzież wywiadowczych, ale nikt nie chciał tego zrobić z tej prostej przyczyny, że rządowe grube ryby chciały mieć podwładnych w zasięgu ręki, żeby móc cieszyć się władzą. Przecież tylko po to żyli, czy to w Moskwie, czy w hitlerowskim Berlinie, czy w Waszyngtonie.

Jeśli więc nie z Moskwy, to skąd? Królik mógł pojechać tylko tam, dokąd by go puścili.

Na pewno nie za druty, jak Mary Pat myślała o żelaznej kurtynie, którą przedzielono Europę w czterdziestym piątym. Miejsce, dokąd mógłby wyjechać bez najmniejszych podejrzeń, i z których CIA mogłaby go wygodnie ewakuować, było niewiele... Plaże w Soczi? Marynarka Wojenna mogłaby teoretycznie wysłać tam okręt podwodny i jakoś faceta przechwycić, ale okręt podwodny nie wypłyne na gwizdek, poza tym tego rodzaju prośba przyprawiłaby admirałów o apopleksję.

Pozostawały zatem bratnie kraje socjalistyczne Europy Wschodniej, miejsca równie interesujące turystycznie jak środkowa część stanu Missisipi latem, dobra dla tych, którzy mieli dość upału i harówki na plantacji bawełny, ale dla innych? Polska odpadała. Warszawę od-budowano po reurbanizacji a la Wermacht, ale ze względu na wewnętrzne kłopoty polityczne Polska nie wchodziła teraz w rachubę, a Gdańsk, najbezpieczniejszy punkt przerzutowo-ewakuacyjny, był obecnie strzeżony równie dobrze, jak granica rosyjsko-polska. To, że Anglicy przeszmyglowali tamtędy

najnowszy rosyjski T-72, też im nie pomogło. Mary Pat miała nadzieję, że skradziony czołg komuś się przydał, chodziło jednak o to, że jakiś idiota z Londynu pochwalił się tym prasie. Skutek? Co najmniej na kilka lat mogli spokojnie o Gdańsku 230

zapomnieć. NRD? Rosjanie mieli Niemców w dupie, poza tym niewiele było tam miejsc, które chcieliby obejrzeć. Czechosłowacja? Praga? Podobno bardzo interesujące miasto. Imperialna architektura, bogate życie kulturalne: ich orkiestry symfoniczne i balet nie ustępowały orkiestrom i baletowi rosyjskiemu, a galerie sztuki były podobno przebogate. Fajnie – gdyby tylko nie pilnie strzeżona granica czesko-austriacka.

Pozostawały zatem... Węgry.

Węgry, pomyślała. Budapeszt to też stare cesarskie miasto, niegdyś rządzone ciężką ręką Habsburgów, po długiej, ciężkiej bitwie z oddziałami SS zdobyte przez Rosjan w 1945, następnie odbudowane i przywrócone do świetności, jaką cieszyło się sto lat przedtem. Nie należało do miast palających entuzjazmem do komunizmu, co udowodniło powstaniem w pięćdziesiątym szóstym, okrutnie stłumionym na osobisty rozkaz Chruszczowa; za panowania Jurija Andropowa, który rządził tam jako ambasador Związku Radzieckiego, odnowiono socjalistycznie szczęśliwe braterstwo, choć po tej krótkiej, krwawo stłumionej rebelii nastąpił

tam czas odwilży i mniejszego zamordyzmu. Wszystkich buntowników powieszono, rozstrzelano lub pozbito się w inny sposób. Wielkoduszność nie była cnotą marksistów.

Ale do Budapesztu jeździło pociągiem wielu Rosjan. Węgry graniczyły z Jugosławią, tym komunistycznym San Francisco, dokąd obywatele ZSRR nie mogli wyjeżdżać bez pozwolenia, ale prowadziły z Jugosławią wolny handel, tak że rosyjscy turyści mogli kupować tam magnetowidy, reeboki i fogale; jeździli najczęściej z jedną walizką pełną i trzema pustymi, żeby zrobić zakupy dla wszystkich przyjaciół.

Mogli podróżować bez większych przeszkód, ponieważ mieli ruble transferowe, które –

na rozkaz Wielkiego Brata – musiały honorować wszystkie kraje socjalistyczne bratniego obozu. Budapeszt był butikiem Bloku Wschodniego. Można tam było nawet dostać kasety pornograficzne do węgierskich magnetowidów, urządzeń perfidnie zerzniętych od Japoń-

czyków i produkowanych w socjalistycznych fabrykach. Kasety szmuglowano z Jugosławii i kopiowano, wszędzie i wszystkie, od *Dźwięków muzyki* poczynając, na *Debbie zalicza Dallas* kończąc. W Budapeszcie były też przyzwoite galerie sztuki, zabytki historyczne, dobre orkiestry symfoniczne i podobno niezłe jedzenie. I najważniejsze: było to również miejsce, do-kaąd Królik mógłby wyjechać z pozorną intencją powrotu do ukochanej *rodiny*.

No i jest początek planu, pomyślała Mary Pat. Początek planu i nieprzespana noc. Dość tego. Wystarczy.

– Co się stało? – spytał ambasador.

– Informator zostawił wiadomość w kawiarni, a przy sąsiednim stoliku siedział facet z AVH – wyjaśnił Szell. Gabinet ambasadora mieścił się w narożniku najwyższego piętra gmachu; nawiasem mówiąc, podczas swego długiego przymusowego pobytu w ambasadzie mieszkał tu Józef kardynał Mindszenty. Uwielbiany zarówno przez personel, jak i przez wszystkich Węgrów, uwięziony przez hitlerowców i oswobodzony przez Armię Czerwoną, został szybko uwięziony ponownie za to, że nie wykazywał zbytniego entuzjazmu perspektywą szerzenia nowej rosyjskiej wiary, choć technicznie rzecz biorąc, trafił do więzienia pod zarzutem propagowania zagorzałego rojalizmu i chęci przywrócenia na tron Habsburgów.

Cóż, węgierscy komuniści nie grzeszyli literacką wena. Już na przełomie wieków Habsburgowie byli w Budapeszcie równie popularni, jak roznoszące dżumę szczury.

231

– Ale dlaczego akurat ty? – spytał ambasador Peter „Spike” Ericsson. Czekala go robota.

Będzie musiał spłodzić odpowiedź na długą, zjadliwą, acz zgodną z przewidywaniami notę protestacyjną, którą przyniósł mu szef ekspozytury. Nota spoczywała teraz dokładnie pośrodku biurka.

– Żona Boba Tylora jest w ciąży, pamięta pan? Miała jakieś problemy, więc Bob polecił z nią na badania do szpitala Drugiej Armii w Kaiserslauten.

– Zapomniałem – mruknął Ericsson.

– Tak czy inaczej, zawałem. – Szell nie lubił zmyślać ani się wykręcać. Wpadka odbije się czkawką na jego karierze, ale nic nie mógł na to poradzić. O wiele gorzej miał teraz ten biedny kutas, informator, który spieprzył sprawę w kawiarni. Funkcjonariusze Węgierskiego Urzędu Bezpieczeństwa Państwowego – Allavedelmi Hatosag, AVH – którzy go przesłuchiwali, najwyraźniej od dłuższego już czasu nie mieli żadnego powodu do triumfu, bo nie omieszkali mu powiedzieć, jak łatwo dał się złapać. Pieprzeni amatorzy, kipiał wściekłością Szell. Gra dobiegła końca i węgierski rząd uznał go za PNG, persona non grata, a jako persona non grata miał czterdzieści osiem godzin na opuszczenie kraju, najlepiej z podwiniętym ogonem.

– Przykro mi, Bob, ale nic nie mogę w tej sprawie zrobić.

– Wiem. Poza tym chłopcy i tak nie mieliby ze mnie pożytku. – Sfrustrowany Szell gło-

śno wypuścił powietrze. Siedział na Węgrzech na tyle długo, że zdążył zorganizować małą siatkę, która dostarczała informacji politycznych i wojskowych. Nie, żeby bardzo ważnych, bo Węgry nie były zbyt ważnym krajem, ale coś interesującego mogło wyskoczyć nawet w Lesoto – gdzie równie dobrze mogą mnie teraz wysłać, pomyślał. Będzie musiał kupić sobie krem z filtrem uv, ładną kurtkę myśliwską... Cóż, przynajmniej zdąży do Stanów na rozgrywki o puchar świata.

Budapeszteńska ekspozytura była na razie spalona. Ale pocieszał się w duchu, że tym z Langley na pewno nie będzie jej brakowało.

Depesza z wiadomością na ten temat trafi do Departamentu Stanu za pośrednictwem teleksu ambasady i będzie oczywiście zaszyfrowana. Ambasador Ericsson przygotował już roboczą wersję odpowiedzi dla węgierskiego ministerstwa spraw zagranicznych, w której z miejsca odrzucał absurdalny zarzut, że James Szell, drugi sekretarz ambasady Stanów Zjednoczonych Ameryki, zrobił coś sprzecznego ze statusem dyplomatycznym i zapowiadał, że złoży oficjalny protest w imieniu Departamentu Stanu. Niewykluczone, że za tydzień czy dziesięć dni Waszyngton wydali ze Stanów jakiegoś węgierskiego dyplomatę, ale czy będzie to mała owieczka, czy dorodny baran, o tym zadecydują już oni. Ericsson przypuszczał, że jednak owieczka. Ostatecznie po co się zdradzać, że FBI namierzyła barana? Lepiej niech się spokojnie pasie – oczywiście pod ścisłą obserwacją – bez względu na to, do czyjego wlaźł

ogródka. I tak toczyła się ta gra. Ambasador uważał, że jest głupia, mimo to cały podlegający mu personel grał w nią z mniejszym lub większym entuzjazmem.

Wiadomość o wpadce Szella była na tyle mało istotna, że kiedy trafiła do kwatery głównej CIA, zakwalifikowano ją jako depeszę rutynową, którą nie warto niepokoić sędziego w weekend. Oczywiście dyrektor Moore dostawał codziennie wyciąg z najważniejszych wiadomości, więc ta, jak wspólnie zdecydowali pracownicy centrum łączności, może spokojnie 232

zaczekać do ósmej rano w niedzielę: Sędzia, jak wszyscy sędziowie na świecie, lubił uporządkowane życie. Poza tym biorąc pod uwagę wielki plan rzeczy, wsypa w budapeszteńskiej ekspozyturze nie była aż tak ważna. Prawda?

Niedzielny poranek w Moskwie nie różnił się niczym od niedzielnych poranków w innych częściach świata, nie licząc tego, że do kościoła chodziło tu znacznie mniej ludzi niż gdzie indziej. Zaliczali się do nich Ed i Mary Pat Foleyowie. Co niedziela katolicki ksiądz odprawiał w ambasadzie nabożeństwo, ale jak dotąd ani razu nie zdążyli się na nie wybrać.

Byli na tyle katolikami, że oboje głęboko żalowali swych grzesznych występków, lecz wma-wiali sobie, że wszystkie winy na pewno zostaną im odpuszczone, ponieważ kontynuowali Boże dzieło w

samym sercu pogańskiego kraju. W tę niedzielę mały Eddie miał pójść na spacer do parku i pobawić się z dziećmi; takie przynajmniej wyznaczili mu zadanie. Ed wstał i poszedł do łazienki; po nim weszła tam żona, po niej zaś Eddie. W niedzielę nie ukazywały się gazety, a niedzielny program telewizyjny był równie podły, jak w pozostałe dni tygodnia, dlatego przy śniadaniu musieli rozmawiać, co dla wielu Amerykanów jest czymś niebywale trudnym. Ich syn był wciąż na tyle mały i naiwny, że życie w Moskwie bardzo mu się podobało, chociaż przyjaźnił się tu niemal wyłącznie z Anglikami i Amerykanami, mieszkańcami getta dla obcokrajowców, strzeżonego przez KGB albo przez milicję – tu opinie były podzie-lone, ale wszyscy wiedzieli, że to prawie to samo.

Mieli się spotkać o jedenastej. Mary Pat wiedziała, że Oleg Iwanowicz będzie tam jak na widelcu. Ona też. Jak paw między wronami, mawiał jej mąż, chociaż paw jest tak naprawdę ptakiem płci męskiej, samczykiem. Tego dnia postanowiła się nie stroić. Żadnego makijażu, niedbale uczesane włosy, dzinsy i pulower. Figury zmienić nie mogła: tutejsi esteci woleli kobiety co najmniej dziesięć kilogramów cięższe. Pewnie taka dieta, tłuste jedzenie. A może kiedy w wielkim, wygłodniałym kraju dostaje się coś do jedzenia, to się po prostu to zjada.

Może dzięki grubej warstwie tłuszczu zimą jest cieplej? Tak czy inaczej, przeciętna Rosjanka nosiła się jak bohaterka filmu *Dead End Kids*. Żony ważnych osobistości rozpoznawało się po tym, że ich ubranie przypominało ubranie przedstawicielek klasy średniej, w przeciwień-

stwie do ubrania całej reszty, które wyglądało jak łachmany mieszkanek Appalachów. Nie, zdecydowała Mary Pat. To niesprawiedliwe w stosunku do tych ostatnich.

– Idziesz z nami, Ed? – spytała po śniadaniu.

– Nie, skarbeńku. Posprzątam w kuchni i zacznę czytać tę nową książkę, którą dostałem w zeszłym tygodniu.

– Powiem ci kto zabił: kierowca ciężarówki. Już to czytałem.

– Wielkie dzięki – mruknął Foley.

Mary Pat zerknęła na zegarek i wyszła. Park był trzy ulice na wschód od domu. Jak zwykle pomachała strażnikowi przy bramie – na pewno KGB, pomyślała – i z małym Eddiem za rączkę, skręciła w lewo. Według amerykańskich standardów ruch uliczny był

prawie żaden, poza tym wyraźnie pochłodniało. Cieszyła się, że ubrała synka w koszulę z długimi rękawami. Jedno spojrzenie w jego stronę i wiedziała już, że nikt za nimi nie idzie.

Oczywiście mogli ich śledzić przez lornetkę, z domów po drugiej stronie ulicy, ale jakoś w to nie wierzyła. Była głupiutką amerykańską blondynką i niemal wszyscy tę przykrywkę kupili.

Dziennikarze, z którymi spotykał się Ed, uważali, że jest jeszcze głupsza od niego – a on 233

uchodził w ich oczach za ostatniego idiotę – co bardzo jej odpowiadało. Byli jak papugi: po-wtarzali i rozpowiadali naokoło dosłownie każde słowo, jakie między nimi padło, tak że z czasem słowa te

docierały niemal wszędzie, rozkładając się jak równa warstwa lukru na jej ciasteczkach. Błyskawicznie – w tym środowisku niemal z prędkością światła, ponieważ ka-zirodtwo intelektualne jest dla dziennikarzy jedynym źródłem utrzymania – jak każda plotka, docierały też do KGB, a Rosjanie kolekcjonowali je starannie, umieszczali w swoim pojemnym dossier, aż ze słów powstawała wiadomość z cyklu „przecież wszyscy o tym wiedzą”. Dobry oficer operacyjny zawsze wykorzystywał innych do komponowania przykrywki. Tego rodzaju „legenda” była zupełnie przypadkowa – prawdziwe życie też składa się z przypadków – dzięki czemu kupić ją mógł nawet zawodowy szpieg.

Park był równie szary jak cała Moskwa. Kilka drzew, mocno zdeptana trawa. Jakby KGB

celowo go przerzedziło, żeby utrudnić nawiązanie kontaktu. Ograniczało to również liczbę miejsc, gdzie młodzi moskwianie mogli się swobodnie całować, ale tego rodzaju sprawy na pewno nie zakłócały snu pracownikom Centrali, którzy mieli sumienie Poncjusza Piłata w refleksyjny dzień.

Królik już na nią czekał, w dobrym miejscu, jakieś sto metrów dalej, tuż koło drabinek i huśtawek, które przypadłyby do gustu każdej trzylatce i... każdemu czterolatekowi. Podchodząc bliżej, ponownie stwierdziła, że Rosjanie bardzo dbają o swoje dzieci; ten dbał pewnie jeszcze bardziej: pracował w KGB, miał dostęp do lepszych dóbr niż przeciętny obywatel Związku Radzieckiego, więc jak każdy dobry rodzic rozpuszczał swoją małą córeczkę. Mary Pat uznała, że cecha ta dobrze świadczy o jego charakterze. Kto wie, może nawet go polubi: dla każdego agenta terenowego to prawdziwy dar z niebios. Informatorzy byli w większości ludźmi równie pokręconymi psychicznie, jak uliczny bandzior z południowego Bronksu.

Pozornie nie zwrócił na nich uwagi, ot, rozejrzał się tylko jak znudzony tatuś na spacerze z dzieckiem. Mary Pat i mały Eddie szli w jego stronę niby zupełnie przypadkowo. Cóż, ostatecznie siedział tuż koło huśtawek.

– Zobacz, Eddie, jest tu jakaś dziewczynka. Idź się z nią przywitać. I wypróbuj swój rosyjski.

– Dobrze! – odrzekł Eddie i, jak to czterolatek, natychmiast do niej pobiegł. – Cześć.

– Cześć.

– Mam na imię Eddie.

– A ja Swietłana Olegowna. Gdzie mieszkasz?

– Tam. – Eddie pokazał palcem w kierunku osiedla dla obcokrajowców.

– To pani syn? – spytał Królik.

– Tak, Eddie junior, Edward Edwardowicz.

– On też pracuje w CIA? – spytał ponuro Oleg Iwanowicz.

– Niezupełnie. – Niemal teatralnym gestem Mary Pat wyciągnęła do niego rękę. Musiała go jakoś

kryć na wypadek, gdyby obserwowały ich obiektywy aparatów fotograficznych. –

Mary Patricia Foley.

– Aha. Mąż zadowolony z czapki?

– Tak, bardzo. Ma pan dobry gust.

234

– Jak wielu innych Rosjan. – Zmienił temat. Pora przystąpić do interesów. – I co postanowiliście? Możecie mi pomóc czy nie?

– Tak, możemy. Pańska córeczka jest urocza. Ma na imię Swietłana? Zajcew kiwnął głową.

– Tak, to mój mały *zajczik*.

Cóż za niesamowita ironia. Królik nazywał ją swoim króliczkiem. Królik i Króliczek: Mary Pat uśmiechnęła się promiennie.

– A więc Olegu Iwanowiczu, jak was stąd wydostaniemy?

– Mnie pani pyta? – spytał z niedowierzaniem Zajcew.

– Potrzebujemy paru informacji. Na przykład pańskie hobby, zainteresowania, pańskie i pańskiej żony.

– Gram w szachy. Lubię czytać książki o dawnych meczach szachowych. Moja żona ma upodobania bardziej humanistyczne. Uwielbia muzykę, muzykę klasyczną, nie to barachło, które komponujecie w Ameryce.

– Ma jakichś ulubionych kompozytorów?

Zajcew pokręcił głową.

– Lubi wszystkich. Bacha, Mozarta, Brahmsa, i tak dalej. Nie pamiętam nazwisk. To jej pasja. Jako dziecko uczyła się gry na pianinie, ale grała za słabo, żeby dostać się do szkoły muzycznej. Bardzo tego żałuje, a nie mamy nawet pianina, żeby mogła poćwiczyć. – Wiedział, że musi te informacje podać, że tego rodzaju drobiazgi mogą pomóc w uratowaniu jego i jego rodziny. – Co jeszcze?

– Czy pan, pańska żona i córeczka macie jakieś problemy zdrowotne? Czy bierzecie jakieś lekarstwa? – Rozmawiali po rosyjsku i Zajcew po raz kolejny zauważył, że Mary Pat używa niezwykle eleganckiego języka.

- Nie, jesteśmy zdrowi. Swietłana przeszła wszystkie choroby wieku dziecięcego, ale bez komplikacji.
- Świetnie. – To upraszczało wiele rzeczy. – Śliczna dziewczynka. Musi pan być z niej bardzo dumny.
- Ale czy spodoba się jej na Zachodzie? – odrzekł z z troskaniem Zajcew.
- Olegu Iwanowiczu, żadne dziecko nigdy nie narzekało na życie w Ameryce.
- A jak małemu Edwardowi podoba się w Związku Radzieckim?
- Oczywiście tęskni za swymi przyjaciółmi, ale tuż przed wyjazdem zabraliśmy go do Disney Worldu. Wciąż to wspomina...
- Do Disney Worldu? – powtórzył z zaskoczeniem Zajcew. – Co to takiego?
- Wielki kompleks rozrywkowy dla dzieci. I dla dorosłych, którzy pamiętają dzieciństwo. Na Florydzie – dodała.
- Nigdy o czymś takim nie słyszałem.

235

- To naprawdę coś niezwykłego i przyjemnego, przekona się pan. A zwłaszcza pańska córeczka. – Przekrzywiła głowę. – A żona? Co myśli o pańskich planach?
- Irina nic nie wie.
- Mary Pat była tak zaskoczona, że omal nie spadła z ławki.
- Co pan powiedział? – Człowieku, pomyślała, czyś ty, kurwa, zwariował?
- Irina jest dobrą żoną. Zrobi, co jej każe. – Męski szowinizm w rosyjskim wykonaniu miał dość agresywną formę.
- Olegu Iwanowiczu, to dla was bardzo niebezpieczne. Musi pan zdawać sobie z tego sprawę.
- Niebezpieczne jest to, że może mnie złapać KGB. Jeśli do tego dojdzie, będzie po mnie i po mojej rodzinie – dodał dla większego efektu.
- Dlaczego chce pan wyjechać? Co pana do tego skłoniło? – Mary Pat musiała o to spytać.

– KGB chce zabić człowieka, który nie zasługuje na śmierć.

– Kogo? – O to też musiała spytać.

– Powiem wam, kiedy znajdziemy się na Zachodzie.

– W porządku. – Nieufni jesteśmy, co?

– Jeszcze jedno...

– Tak?

– Uważajcie, co przekazujecie waszej centrali. Są powody, żeby podejrzewać, że nasi ludzie rozpracowali wasz system łączności. Powinniście używać jednorazówek, kluczy kodowych jednorazowego użytku, jak robimy to w Centrali. Jednorazówek: rozumie pani, o czym mówię?

– Wszystkie depesze dotyczące pana są szyfrowane i przesyłane do Waszyngtonu pocztą dyplomatyczną. – Gdy to powiedziała, zobaczyła na jego twarzy szczerą ulgę, chociaż pró-

bował ją ukryć. Królik powiedział jej coś niesłychanie ważnego. – Czy to znaczy, że nas zinfiltrowano?

– O tym też porozmawiamy dopiero na Zachodzie.

O cholera, pomyślała Mary Pat. Mają gdzieś „kreta”. Może nawet w Ogrodzie Różanym Białego Domu, a my gównem o nim wiemy. O cholera...

– Dobrze, w pańskiej sprawie zastosujemy specjalne środki ostrożności – obiecała. Sęk w tym, że oznaczało to co najmniej dwudniową wymianę depesz. Będą musieli cofnąć się do poziomu technicznego z pierwszej wojny światowej. Ritter oszaleje z radości. – Może mi pan powiedzieć, jakie metody byłyby najbezpieczniejsze?

– Cztery miesiące temu Brytyjczycy wymienili swoje maszyny szyfrowe. Jak dotąd nie udało się nam rozgryźć sposobu ich działania. Dokładnie które z waszych systemów telekomunikacyjnych zostały rozpracowane, tego nie wiem, ale wiem na pewno, że zostały. Proszę mieć to na uwadze.

– Oczywiście, Olegu Iwanowiczu. – Facet był w posiadaniu informacji, których CIA potrzebowała już zaraz, teraz, natychmiast. Rozszyfrowany system komunikacyjny to najgorsza rzecz, jaka może przydarzyć się tajnej agencji wywiadowczej. Przez takie coś przegrywano wojny. Rosjanie nie dorównywali Amerykanom w technologii komputerowej, ale mieli u siebie najlepszych matematyków w świecie, a znajdujący się między uszami człowieka mózg jest najbardziej niebezpiecznym

narzędziem z możliwych, w dodatku o sto tysięcy razy sprawniejszym niż te, które stały na biurku czy na podłodze. Czy Mike Russell miał

jeszcze jednorazówki? CIA kiedyś ich używała, lecz były tak nieporęczne, że już dawno te-mu przestała. Agencja Bezpieczeństwa Narodowego wmawiała wszystkim – a przynajmniej tym, którzy chcieli ich wysłuchać – że nawet gdyby ci Seymour Cray naszpikowali swój najnowszy superkomputer CRY-2 amfetaminą, to i tak nie byłoby w stanie złamać ich szyfrów.

Gdyby się mylili, Ameryka poniosłaby trudne do wyobrażenia straty. Ale istniało wiele systemów szyfrowania i ci, którzy złamali jeden, niekoniecznie musieli złamać drugi. Tak przynajmniej mówiono... Mary Pat nie znała się na telekomunikacji. Nawet ona raz na jakiś czas musiała komuś zaufać. Ale teraz poczuła się jak sprinterka, której starter strzelił z pistoletu w plecy i kazał biec do mety. Niech to szlag.

– To przysporzy nam trochę kłopotów, ale zrobimy wszystko, żeby was ochronić. Chce pan wyjechać jak najszybciej...

– Najlepiej by było jeszcze w tym tygodniu i nie chodzi tu o mnie, tylko o człowieka, którego chcą zabić.

– Rozumiem. – Rozumiała, choć nie do końca. Facet mógł zmyślać, ale nawet jeśli zmyślał, robił to jak zawodowiec, a zawodowca w nim nie wyczuwała. Nie, zupełnie. Owszem, był graczem, ale graczem z innej drużyny.

– Dobrze. Jutro złożę pan w pracy meldunek o nawiązaniu kontaktu z obcokrajowcem.

Tym ponownie go zaskoczyła.

– Pani mówi poważnie?

– Naturalnie. Niech pan zamelduje przełożonym, że poznał pan Amerykankę, żonę pracownika amerykańskiej ambasady. Proszę opisać im mnie, mojego syna...

– I powiedzieć, że jest pani ładną, ale płytką kobietą, że ma pani ładnego, grzecznego synka i że pani rosyjski wymaga lekkiego szlif, tak?

– Szybko się pan uczy, Olegu Iwanowiczu. Założę się, że jest pan dobrym szachistą.

– Niezbyt. Arcymistrzem już nie zostanę.

– Nikt nie jest bez wad, ale jak sam pan zobaczy, w Stanach Zjednoczonych wady te do-skwierają znacznie mniej niż w Związku Radzieckim.

– Pod koniec tygodnia?

– Kiedy zobaczy pan mojego męża w jaskrawoczerwonym krawacie, ustalicie miejsce i czas spotkania. Możliwe, że włoży ten krawat już jutro po południu, a wówczas wszystko ustalimy.

– W takim razie cóż, do widzenia. Gdzie uczyła się pani rosyjskiego?

– Od mojego dziadka. Uczył jeździć konno Aleksieja Nikołajewicza Romanowa. Kiedy byłam małą, opowiadał mi o nim i o jego przedwczesnej śmierci.

237

– Widzę, że pani nienawiść do Związku Radzieckiego jest głęboko zakorzeniona.

– Tylko nienawiść do waszego rządu, Olegu Iwanowiczu. Nie do ludzi. Chciałabym, że-byście byli wolni.

– Może kiedyś, ale chyba nieprędko.

– Historię tworzy nie kilka wydarzeń wielkiej wagi, tylko mnóstwo wydarzeń pozornie bez znaczenia. – Mary Pat mocno w to wierzyła. Ponownie – pod obiektywy ewentualnych kamer czy aparatów fotograficznych – uścisnęła mu rękę i zawołała syna. Przez godzinę spa-cerowali po parku, a potem poszli na lunch.

Ale zamiast zjeść w domu, pojechali do ambasady, nie rozmawiając po drodze o niczym ważniejszym niż o wyjątkowo pięknej pogodzie. Gdy najedli się już hot dogów i gdy mały Eddie zniknął w pomieszczeniach opieki dziennej dla dzieci, poszli do gabinetu Eda.

– Co takiego? – warknął szef moskiewskiej ekspozytury.

– Powiedział, że żona, ma na imię Irina, nic nie wie o jego planach – powtórzyła Mary Pat.

– A to sukinsyn! – rzucił Ed.

– Cóż, przynajmniej ryzyko jest mniejsze, bo nic niechcący nie wygada. – Mary Pat zawsze była optymistką.

– Jasne, mniejsze do chwili, gdy spróbujemy ich stąd wyciągnąć, a ona powie, że nigdzie nie jedzie.

– Królik twierdzi, że żona robi to, co mu każe. Tutejsi mężowie lubią rządzić.

– Z tobą by im nie wyszło – odparł Foley. I to z kilku powodów, z których bynajmniej nie najmniej ważny był ten, że Mary Pat była po prostu babą z jajami.

– Nie jestem Rosjanką, Eddie.

- Dobra, co jeszcze powiedział?
- Że nie ufa naszym systemom łączności. Że niektóre z nich zostały rozpracowane.
- Jezu Chryste! Masz jakieś dobre wiadomości?
- Postanowił uciec, bo KGB chce zabić kogoś, kto, cytuję, „nie zasługuje na śmierć”.
- Powiedział kogo?
- Powie dopiero wtedy, kiedy odetchnie wolnym powietrzem. Ale tak, mam dobrą wiadomość. Jego żona jest wielbicielek muzyki klasycznej. Musimy znaleźć dobrego dyrygenta na Węgrzech.
- Na Węgrzech?
- Myślałam o tym dziś w nocy. To najlepsze miejsce. Jimmy Szell tam siedzi, prawda?
- Tak. – Oboje znali Jimmy’ego jeszcze ze szkolenia na Farmie, szkoły CIA w Todewater w Wirginii, kilkanaście kilometrów za Colonial Williamsburgiem międzystanówką numer 64. – Zawsze uważałem, że zasługuje na coś lepszego. – Ed myślał chwilę. – A więc na Wę-
- gry, a z Węgier przez Jugosławię, tak?
- Zawsze wiedziałam, że jesteś inteligentny.

238

- Dobra... – Utkwił wzrok w ścianie. Jego mózg intensywnie pracował. – Dobra, możemy to załatwić.
- Twoim znakiem na dzisiaj jest czerwony krawat. Ustalimy miejsce spotkania i Królik wyjedzie razem z panią Królikową i małym Króliczkiem. Ach, zapomniałam ci powiedzieć! Wiesz, jak on nazywa swoją córeczkę? *Zajczik!*
- Piłeczka, Kuleczka i Puszysty Ogonek? – rzucił Ed, ćwicząc swoje poczucie humoru.
- Świetne, prawda? Nazwijmy to operacją „Beatrix” – zaproponowała. Oboje czytali *Królika Piotrusia*. Kto nie czytał?
- Nie wiadomo, czy Langley to wszystko kupi. Jeśli nie będziemy mogli używać normalnych kanałów telekomunikacyjnych, zanim to skoordynujemy, dostaniemy świra.
- Nikt nigdy nie twierdził, że to łatwa praca. Pamiętasz, co powtarzał nam na Farmie John Clark?

Bądźcie elastyczni.

– Tak, jak łazanki. – Foley głęboko odetchnął. – Biorąc pod uwagę ograniczenia w łączności, całą operację będziemy musieli zaplanować i skoordynować tutaj, w ambasadzie, bez pomocy Langley.

– Ed, przecież zawsze tak jest. Langley robi tylko jedno: mówi, czego nam nie wolno. –

W sumie taka była rola dyrekcji każdej firmy na świecie.

– Czym środkiem łączności możemy zaufać?

– Królik twierdzi, że Brytyjczycy wprowadzili nowy system, którego spece z KGB nie rozpracowali, przynajmniej na razie. Mamy tu jeszcze jednorazówki? No wiesz, klucze jednorazowego użytku.

Foley pokręcił głową.

– Nie wiem. – Podniósł słuchawkę telefonu i wystukał numer. – Mike? Jesteś dzisiaj?

Mógłbyś wpaść? Dzięki.

Russell przyszedł dwie minuty później.

– Cześć, Ed. Cześć, Mary. Co wy tu dzisiaj robicie?

– Mam pytanie.

– Wal.

– Zostały nam jeszcze jednorazówki?

– Te klucze? Bo?

– Chcielibyśmy się dodatkowo zabezpieczyć – wyjaśniła Mary Pat. Wystudiowana, obojętna odpowiedź nie poskutkowała.

– Chcecie powiedzieć, że w systemie są dziury? – spytał Russell z dobrze maskowanym niepokojem.

– Istnieją powody, żeby przypuszczać, że niektóre z naszych systemów kryptograficznych nie są stuprocentowo bezpieczne – odrzekł Ed.

– O kurwa... – zaklął cicho Mike i zażenowany ugryzł się w język. – Przepraszam, Mary.

– Nie szkodzi – odrzekła z uśmiechem Mary Pat. – Nie wiem, co to słowo znaczy, ale już je słyszałam.

Ten żart wcale go nie rozbawił. Rewelacje Foleya odebrały mu poczucie humoru.

– I nie możecie powiedzieć nic więcej?

– Nie, Mike, ani słowa – odparł Ed.

– Ale to pewne?

– Niestety.

– Dobra. W sejfie mam kilka starych bloczków sprzed ośmiu czy dziewięciu lat. Nie wiem, dlaczego ich nie wyrzuciłem. Nigdy nie wiadomo, co?

– Michael, dobry z ciebie człowiek – pochwalił go Foley.

– Wystarczą na dziesięć depeesz po sto słów każda, zakładając, że ci z Fort Meade mają jeszcze stare deszyfratory. Ale oni nigdy niczego nie wyrzucają. Na pewno je skądś wygrzebią.

– Są trudne w użyciu?

– Nie znoszę tego świństwa. Wiecie dlaczego. Cholera jasna STRIPE jest u nas ledwie od roku. Brytyjczycy wzorowali się na nim, tworząc swój system. Znam ludzi z wydziału „Z”, którzy nad nim pracowali. Cholera, przecież toto chodzi na stu dwudziestu ośmiu bitach, a każda maszyna ma indywidualny klucz szyfrujący. Nie sposób go złamać.

– Chyba, że mają „kreta” w Fort Meade – zauważył Ed.

– Dajcie tu tego skurwysyna, a wezmę nóż i obedrę go żywcem ze skóry. – Już na samą myśl o nożu ciśnienie podskoczyło mu na tyle, że nie przeprosił damy za kolejne przekleń-

stwo. Obdarł ze skóry sporo jeleni, ale wciąż marzył mu się niedźwiedzi futrzak na podłodze, a wielki rosyjski miś doskonale się do tego celu nadawał. – Dobra. Mogę uprzedzić chłopaków z Fort Meade?

– Nie – odrzekł Foley. – Pamiętaj, że STRIPE odpada.

– OK. Jeśli dotrze tu z Zachodu dziki wrzask, będziecie wiedzieli, co to jest.

– Lepiej z nikim o tym nie rozmawiaj – dodała Mary Pat. – Nasi wkrótce się dowiedzą, innymi kanałami.

Russell domyślił się, że depesza, którą wysłał poprzedniego dnia, dotyczyła kogoś, kogo chcieli szybko ewakuować i wiedział już teraz dlaczego. Królik musiał być specjalistą od telekomunikacji, a jeśli złapało się kogoś takiego, trzeba było wywieźć go z miasta pierwszym pociągiem. „Wkrótce”

oznaczało „zaraz”, „natychmiast” tak szybko, jak to tylko moż-

liwe.

– Dobra. Napisz depeszę. Przepuszczę ją przez STRIPE-a, a potem dodatkowo zaszyfruję na jednorazówce. Jeśli rozpracowali nasz system... – Mike aż zadrżał. – Myślisz, że dadzą radę to odczytać?

– Nie wiem – odparł Ed. – Ty mi powiedz.

Russell myślał i myślał, wreszcie pokręcił głową.

240

– Nie, nie powinni. Nawet jeśli złamiesz czyjś kod, odczytasz najwyżej jedną trzecią przechwyconych depesz. Dzisiejsze systemy kryptologiczne są cholernie skomplikowane...

Chyba, że w Fort Meade siedzi „kret” i spokojnie czyta to, co kumple rozszyfrują. Przed tym nie ma obrony, przynajmniej tak myślę.

Kolejna przerażająca myśl. Ostatecznie wszyscy w to grali, wszyscy chcieli osiągnąć ten sam cel: dotrzeć do jaskini lwa i umieścić tam kogoś, kto przekazywałby im najtajniejsze informacje. Kogoś takiego jak na przykład Kardynał, którego kryptonimu nigdy nie wymawia-li na głos. Cóż, taką wybrali grę i chociaż wiedzieli, że przeciwnik jest niezły, uważali, że oni są lepsi. I tak musieli trzymać.

– Dobra – odrzekł Ed. – Nasz przyjaciel uważa, że jednorazówki są skuteczne.

– Pewnie tak, ale jego kumple muszą dostawać szalu, szyfrując każdą depeszę literka po literce.

– Robiłeś kiedyś w infiltracji? – spytał Foley.

Russell pokręcił głową.

– Za głupi jestem. Ale nie narzekam. Wielu z tych facetów skończyło w pokoju o gumo-wych ścianach, wycinając papierowe laleczki tępyimi nożyczkami. Ale znam ludzi z Zetki.

Nie tak dawno temu kalifornijska politechnika proponowała ich szefowi katedrę matematyki, a on kazał im się wypchać. Piekielnie bystry gość, nie umyłam mu się do pięt. Ojciec Eda Popadopolousa – facet ma greckie nazwisko – prowadził kiedyś restaurację w Bostonie. Proponował mi robotę...

– I powiedziałaś: „nie”.

- Nie wziąłbym jej, nawet gdyby dorzucił mi premię, ot, taką Pat Cleveland na przykład.
- Piękna kobieta, Foley dobrze o tym wiedział. Mike musiał być cholernie wyposzczony...
- Dobra. Za godzinę dam ci depeszę.
- Super. – Russell wyszedł.
- Porządnie nim wstrząsnęło – rzuciła Mary Pat.
- Admirał Bennett z Fort Meade też się nie ucieszy. Muszę to napisać...
- Pisz. Pójdę zobaczyć, jak Eddie radzi sobie z kredkami. – Mary Patricia Kaminsky Foley zamknęła za sobą drzwi.

Briefing odbywał się zazwyczaj o siódmej trzydzieści rano, z wyjątkiem niedziel, kiedy to sędzia Moore lubił sobie pospać prawie do dziewiątej. Gdy ktoś zapukał do drzwi, jego żona wiedziała już, że to znowu kurier z Langley. W niedzielę przyjeżdżał do Great Falls i zamykał się z sędzią w gabinecie, co tydzień „odpluskwianym” przez najlepszego specjalistę w Agencji.

W nocy nie działo się na świecie nic ważnego – objąwszy stanowisko dyrektora CIA, Moore dowiedział się, że w weekend odpoczywają nawet komuniści.

- Coś jeszcze, Tommy? – spytał.

241

– Złe nowiny z Budapesztu. James Szell, szef tamtejszej ekspozytury wpadł przy odbiorze przesyłki. Brak szczegółów, ale węgierski rząd uznał go za persona non grata. Jego zastępca, Robert Taylor, wyjechał z kraju w sprawach osobistych. Ekspozytura w Budapeszcie jest chwilowo spalona.

- Konsekwencje?

– Prawie żadne, to nie tragedia. Na Węgrzech niewiele się dzieje. Ich armia odgrywa w Układzie Warszawskim bardzo małą rolę, a nie licząc układów z najbliższymi sąsiadami, ich polityka zagraniczna jest odbiciem polityki moskiewskiej. Dostawaliśmy od nich sporo informacji o charakterze militarnym, ale Pentagon się tym nie martwi. Ich wojsko za mało ćwiczy, żeby stanowić poważniejsze zagrożenie, a Rosjanie im nie ufają.

- Czy Szell to facet, który może coś spieprzyć? – Sędzia poznał Jamesa na jakimś agencyjnym przyjęciu, ale słabo go pamiętał.

– Nie, ma bardzo dobrą opinię. Jak już mówiłem, nie znamy jeszcze szczegółów. Pod koniec tygodnia wróci pewnie do Stanów.

– Dobrze. To wszystko?

– Tak, panie dyrektorze.

– Nic nowego na temat papieża?

– Ani słowa, ale zanim nasi potrząsną wszystkimi drzewami, trochę to potrwa.

– Wszystkimi drzewami... Mówisz jak Ritter.

Napisanie depezy zajęło Foleyowi prawie godzinę. Musiała być krótka, lecz zrozumiała, a to poddało próbie jego umiejętności pisarskie. Zaniósł ją do gabinetu Mike'a Russella, usiadł i patrzył, jak ten, zręcząc i psiocząc, szyfruje każdą literkę jednorazowym kluczem, dopisuje do tekstu kilkanaście czeskich nazwisk i przepuszcza to wszystko przez STRIPE'a.

Potem tekst został zaszyfrowany po raz trzeci, w „bezpiecznym” faksie, lecz było to szyfrowanie stosunkowo proste, graficzne, nie alfanumeryczne. Przeciwnik, który – jak zakładano

– monitorował wszystkie przekazy satelitarne wychodzące i przychodzące do ambasady, miał z tym jednak trochę kłopotów, ponieważ nie wiedząc, czy jest to kodowanie tekstowe czy graficzne, musiał poświęcić trochę czasu i na to. Zaszyfrowany sygnał poszybował do satelity geostacjonarnego, a stamtąd do kilku miejsc naraz: do Fort Belvoir w Wirginii, do Sunnyvale w Kalifornii i oczywiście do Fort Meade w Marylandzie, gdzie za pośrednictwem łączy światłowodowych trafiały przekazy ze wszystkich pozostałych ekspozytur.

Łącznościowcami w Fort Meade byli umundurowani podoficerowie i kiedy jeden z nich, Air Force E-5, przepuścił depezę przez deszyfrator, z zaskoczeniem zobaczył dopisek z informacją, że jest to tekst dodatkowo zaszyfrowany kluczem jednorazowego użytku NHG-1329.

– Co to, do diabła, jest? – spytał przełożonego, starszego bosmana sztabowego marynarki wojennej.

– Kurczę – odrzekł tamten – nie widziałem tego od lat... – Musiał przejrzeć cały skoroszyt, zanim znalazł rubrykę z wpisem, że stare jednorazówki leżą w takim to a w takim pu-dełku w wielkim sejfie w kącie sali. Strzegł go żołnierz piechoty morskiej, sierżant sztabowy, 242

którego poczucie humoru – podobnie jak poczucie humoru wszystkich służących tu piechociarzy – zostało chirurgicznie usunięte w Centrum Medycznym Marynarki Wojennej w Bethesda, zanim podjął pracę w Fort Meade.

– Muszę stamtąd coś wziąć, sierżancie – rzucił bosman.

– Najpierw trzeba do majora – odparł tamten. Bosman poszedł więc do majora Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych, który siedział za biurkiem, czytając poranną gazetę.

– Dzień dobry, panie majorze. Muszę wziąć coś z sejfu.

– Tak? A co?

– Jednorazówkę NHG-1329.

– To one jeszcze tam są? – spytał zdziwiony major.

– Jeśli nie, można tym podpalić grilla. – Bosman podał mu depeşe. Major obejrzał ją i rzucił:

– Tak, chyba tak. – Podpisał zezwolenie i dodał: – Dajcie mu to.

– Aye, aye, sir. – Bosman odszedł, a major pomyślał: czemu ci wodniacy tak dziwnie mówią?

– Masz, stary – powiedział bosman, podając zezwolenie piechociarzowi.

Ten otworzył drzwi sejfu i marynarz wszedł do środka. Pudełko, w którym leżały jednorazówki, było otwarte, pewnie dlatego, że każdy, kto dotarł aż tutaj, musiał być równie godny zaufania, jak żona prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Bosman wziął jednorazówkę, potwierdził jej odbiór i wrócił do biurka. Tam dołączył do niego sierżant lotnictwa i po wspólnej mordędze wreszcie to cholerstwo rozszyfrowali.

– O żesz ty... – szepnął sierżant, gdy mieli za sobą mniej więcej dwie trzecie tekstu. –

Meldujemy?

– Nie nasza sprawa, synu – odrzekł bosman. – Dyrektor powiadomi kogo trzeba. Lepiej zapomnij, żeś w ogóle to widział. – Jednakże dobrze wiedzieli, że nie zapomną, ani jeden, ani drugi. Przy obowiązujących tu zabezpieczeniach, myśl, że system łączności może być nieszczelny, miała siłę rażenia wiadomości, że ich matki sprzedają się na rogu Szesnastej w Waszyngtonie.

– Jasne – odrzekł młody lotnik. – Jak ją dostarczymy?

– Chyba przez kuriera, synu. Gwizdniesz na któregoś?

– Tak jest. – Sierżant uśmiechnął się i odszedł.

Kurier, sierżant sztabowy Amerykańskich Sił Lądowych, wziął zapieczętowaną kopertę, schował ją do dyplomatki, dyplomatkę położył na przednim siedzeniu swego plymoutha, autostradą Baltimore-Waszyngton dojechał do obwodnicy, skręcił na zachód, potem w pierwszy zjazd z autostrady George'a Waszyngtona i był już w Langley. Nie wiedział, co wiezie i miał to gdzieś, wiedział tylko, że tu kończy się jego odpowiedzialność za przesyłkę.

Depesza trafiła na szóste piętro, zgodnie z adresem. Podobnie jak w wielu innych agencjach rządowych, w CIA też nie wiadano, co znaczy sen. Na najwyższym piętrze czuwał

Tom Ridley z Krajowej Agencji Wywiadowczej, ten sam, który streszczał sędziemu Mo-243

ore'owi wydarzenia poprzedniego dnia. Wystarczyły mu trzy sekundy, by stwierdzić, że ta depesza musi natychmiast trafić do rąk dyrektora. Podniósł słuchawkę STU i wykręcił numer.

– Arthur Moore, słucham.

– Panie dyrektorze, mówi Tom Ridley. Właśnie coś przyszło. – „Coś” oznaczało, że przyszło naprawdę coś.

– Teraz?

– Tak.

– Możesz do mnie wpaść?

– Tak, panie dyrektorze.

– Jim Greer też niech przyjedzie.

– Tak jest, i chyba pan Bostock... A więc wszyscy: to ciekawe.

– Dobrze, zadzwoń do nich i przyjeżdżaj. – Niech to szlag! Czy ja nigdy nie mogę mieć wolnego dnia? – tak to mniej więcej zabrzmiało. Ridley załatwił dwa telefony, skserował

depeszę w trzech kopiach i dwie minuty później wybiegł na parking.

W Great Falls była pora lunchu. Pani Moore, gospodyni doskonała, przygotowała tacę z wędlinami i napoje dla nieoczekiwanych gości, po czym zniknęła w buduarze na pięterku.

– Co się stało, Tommy? – spytał Moore. Lubił swego nowego analityka. Ridley ukończył

sowietologię na Marquette University i zanim objął obecne stanowisko, był jednym z gwiazdorów Greera, a za jakiś czas będzie pewnie towarzyszył prezydentowi na pokładzie Air Force One.

– Przyszło rano z Fort Meade – odrzekł, rozdając im kopię depeszy.

Mike Bostock czytał najszybciej.

– O Chryste.

– Chip Bennett się ucieszy – mruknął James Greer.

– Tak, jak z wizyty u dentysty... – Sędzia jak zwykle skończył czytać jako ostatni. – Dobrze, panowie: co z tego wynika?

Na pierwszy ogień poszedł Bostock.

– To, że chcemy go stamtąd jak najszybciej wyciągnąć.

– Przez Budapeszt? – wtrącił Moore, przypomniawszy sobie wiadomość z porannego briefingu.

– O cholera... – mruknął Bostock.

– Dobrze. – Sędzia pochylił się do przodu. – Pomyślmy w sposób zorganizowany. Po pierwsze, jaką wagę ma ta informacja?

Odpowiedział Greer:

244

– Królik twierdzi, że KGB chce zabić kogoś, kto na to nie zasługuje. To sugerowałoby papieża, prawda?

– Co ważniejsze, twierdzi również, że tamci mogli rozpracować nasz system łączności – zauważył Bostock. – Według mnie, to jest istotniejsze.

– Tak czy inaczej, chcemy go mieć po naszej stronie. Chcemy?

– Może pan postawić na to swój sędziowski młotek, panie sędzio – odrzekł Bostock. –

Oby znalazł się tu jak najszybciej.

– Damy radę przeprowadzić to własnymi środkami? – spytał Moore.

– Nie będzie łatwo. Budapeszt się spalił.

– Czy wpływa to jakoś na konieczność ewakuowania naszego uroczego, puszystego króliczka? – spytał Greer.

– Nie. – Bostock pokręcił głową.

– Dobrze. Skoro nie damy rady zrobić tego sami, kogo poprosimy o pomoc? Proponuję Londyn.

– Brytyjczyków? – To Greer.

– Już nam pomagali – przypomniał mu Moore. – Mamy z nimi dobre układy, a Basil lubi, kiedy zaciągamy u niego długi. Mike, przeżyjesz to?

Bostock zdecydowanie kiwnął głową.

– Tak jest. Ale byłoby miło, gdyby któryś z naszych chłopców miał na nich oko. Basil się temu nie sprzeciwi.

– Dobrze – rzucił Moore. – Musimy postanowić, kogo tam wysłać i kiedy...

– A co byś powiedział, gdybyśmy już kogoś tam mieli? – spytał Greer ku rozbawieniu zebranych. – Z tego, co tu widzę, Foley chciałby poprowadzić tę operację z Moskwy. Bardzo się do niej zapalił. To dobry chłopak. Moim zdaniem, powinniśmy dać mu wolną rękę. A Budapeszt jest niezłym punktem ewakuacyjnym.

– Popieram – powiedział Mike Bostock. – Oficer KGB może pojechać tam na urlop i po prostu zniknąć.

– Szybko się o tym dowiedzą – myślał na głos Moore.

– Kiedy zwiął Arkady Szewczenko, też się dowiedzieli – zauważył Bostock. – I co z tego?

Przekazał nam informacje? Przekazał. Pomógł nam przeprowadzić operację, którą firmowało nowojorskie FBI.

– Dobrze. Co wyślemy Foleyowi? – spytał sędzia.

– Jedno słowo: „Zatwierdzone”. – Bostock zawsze popierał swoich ludzi.

Moore popatrzył po twarzach zebranych.

– Ktoś jest przeciw? Nikt? – Tamci tylko pokręcili głowami.

– Tommy, wracaj do Langley i zawiadom Foleya.

245

– Tak jest. – Ridley wstał i wyszedł. Sędzia miał miłą cechę: kiedy komuś zależało na szybkiej decyzji, decyzja mogła mu się nie spodobać, ale było pewne, że Moore ją podejmie.

Rozdział 19

Zielone światło

Foley zdawał sobie sprawę, że największą niedogodnością pracy w moskiewskiej ekspozycji jest różnica czasu. Gdyby czekał na odpowiedź w ambasadzie, mógłby stracić wiele godzin bez gwarancji, że by się doczekał. Dlatego nadawszy depezę, zebrał swoją rodzinę i wyszedł na parking z małym Eddiem, który w drodze do samochodu ukradkiem dojadł

kolejnego hot doga, i z nowojorskim numerem „Daily News” w rękę. Od dawna uważał, że

„Daily News” ma najlepsze wiadomości sportowe, jeśli przymknąć oko na trochę zbyt krzykliwe nagłówki. Mike Lupica znał się na baseballu lepiej niż reszta tych wszystkich niespeł-

nionych baseballistów i Ed zawsze cenił go za trafność analiz. Gdyby Lupica chciał zrobić w życiu coś pożyteczniejszego, byłby z niego niezły agent. Teraz już rozumiał, dlaczego Jankesi dali dupy w tym sezonie. Wyglądało na to, że proporzec zdobędą Oriolesi, a dla nowojorskiej nadwrażliwości Foleya była to zbrodnia jeszcze gorsza od tej, którą przed rokiem popełnili Rangersi.

– Chciałbyś już pojeździć na łyżwach, Eddie? – spytał, przypinając go pasem na tylnym siedzeniu.

– Tak! – odpowiedział natychmiast junior. Moja krew, pomyślał Ed. Kto wie, może tutaj naprawdę nauczy się grać. W szafie czekały najlepsze hokejówki, jakie tylko mógł kupić, a obok nich para nieco większych, które Eddie miał włożyć, gdy urosną mu stopy. Mary Pat wypytała już kogo trzeba o miejscową ligę juniorów, a na wschód od Kanady nie było juniorów lepszych niż rosyjscy.

W sumie szkoda, że nie miał w domu STU. Z drugiej strony Królik mówił, że STU nie są całkowicie bezpieczne, poza tym Rosjanie zwęszyliby natychmiast, że Foley nie jest zwykłym attaché od niańczenia dziennikarzy.

Weekendy były dla nich najnudniejsze. Oczywiście żadne z nich nie miało nic przeciwko spędzaniu czasu z synkiem, ale mogli to robić w swoim wynajętym teraz domu w Wirginii.

Przyjechali do Moskwy pracować, a praca była dla nich pasją, czymś, co ich syn na pewno kiedyś zrozumie. Na razie tatuś czytał z nim książeczki. Chłopak chwycił już alfabet i zaczynał czytać, chociaż litery były dla niego głównie symbolami graficznymi, a nie konstruktami.

Ojcu sprawiało to wielką przyjemność, ale mama miała co do tego małe wątpliwości. Po pół-

godzinnej lekturze Eddie – ku swojej wielkiej satysfakcji i nie mniejszemu zdeprymowaniu taty – zabrał go na półgodzinną wycieczkę po kasetach z *Transformerami*.

Foley myślał oczywiście o Króliku i po raz kolejny powrócił do sugestii żony: wywieźć przesyłkę w

taki sposób, żeby KGB nie dowiedziało się, że zniknęła. I właśnie teraz, przy kolejnej kasie z *Transformerami*, ponownie się tym zajął. Nie ma trupa, nie ma morderstwa, ale jeśli trup jest, jest i morderstwo. Ale gdyby tak nie był to trup... Królika.

Doug Henning mówił kiedyś, że kwintesencją magii jest umiejętne sterowanie percepcją widzów. Jeżeli uda się ustalić, co widzą, można również narzucić im to, co zobaczą tylko pozornie, co z tego zapamiętają i powtórzą innym. Cała sztuka polegała na tym, żeby pokazać im coś, co spodziewają się zobaczyć, nawet jeśli jest to coś niewiarygodnego. Ludzie – w tym ludzie inteligentni – wierzą w mnóstwo niewiarygodnych rzeczy. Tym bardziej tu, w Moskwie: włodarze tego olbrzymiego i potężnego kraju wierzyli w filozofię polityczną równie przystającą do współczesnej rzeczywistości, jak przekonanie, że królewska władza po-247

chodzi od Boga. Co więcej, doskonale wiedzieli, że jest to filozofia fałszywa, mimo to wierzyli w nią, jakby była Pismem Świętym, spisany złotym atramentem przez samego Boga. A więc można ich jednak oszukać. Ostatecznie bardzo ciężko pracowali, żeby oszukać samych siebie.

Dobra, ale jak? Pokazać facetowi coś, czego ten będzie oczekiwał, a wówczas zobaczy to, chociaż tak naprawdę będzie widział zupełnie co innego. Chcieli, żeby Rosjanie uwierzyli, że Królik i jego rodzina nie tyle wyjechali, co... umarli?

Kapitan Kidd mawiał ponoć, że umarli milczą. Ale milczą również ci, którzy umarli dla, a raczej za kogoś.

Brytyjczycy wykręcili podobny numer podczas drugiej wojny światowej. Wykręcili czy nie? Tak. Czytał o tym jeszcze w ogólniaku i już wtedy operacja ta, sama jej koncepcja, wywarła na nim wielkie wrażenie. Miała kryptonim „Mincemeat”. I bardzo elegancką formę, ponieważ natchnęła wroga przekonaniem, że jest inteligentny, a ludzie kochają uchodzić za inteligentnych...

Zwłaszcza głupcy. A hitlerowskie służby wywiadowcze nie były warte prochu zużytego po to, żeby wystrzelić je do piekła. Były tak nieudolne, że Niemcy lepiej poradziliby sobie bez nich. Z powodzeniem – i o wiele mniejszym kosztem – mógłby zstąpić je prywatny astrolog Hitlera.

Sęk w tym, że Rosjanie byli piekielnie bystrzy, bystrzy na tyle, że prowadzenie z nimi wszelkiego rodzaju gier umysłowych wymagało wielkiego skupienia. Ale czy wykazaliby się taką samą bystrością, gdyby znaleźli coś, co spodziewali się znaleźć? Czy nie wrzuciliby tego do kosza i nie wyruszyli na poszukiwania czegoś, co przykułoby ich uwagę jako coś, czego znaleźć się nie spodziewali? Nie, natura ludzka jest tylko naturą ludzką i ulegał jej nawet Nowy Radziecki Człowiek, mimo że radziecki rząd próbował ją z niego wyrugować.

A więc jak byśmy się do tego zabrali? – zastanawiał się spokojnie, podczas gdy traktor zmieniał się na ekranie w dwunogiego robota, żeby skuteczniej zwalczać bliżej nieokreślone siły zła...

Tak, to przecież oczywiste. Wystarczy tylko udowodnić, że Królik i jego rodzina nie żyją, dać im to, co pozostawiają po sobie wszyscy zmarli. Byłaby to olbrzymia komplikacja, jednak nie tak

olbrzymia, żeby z nią sobie nie poradzić. Problem w tym, że potrzebowaliby pomocy... Od razu poczuł się nieswojo. W tej branży najbardziej ufało się samemu sobie, a dopiero potem kolegom z agencji, choć im było ich mniej, tym lepiej. Na samym końcu – i tylko w razie absolutnej konieczności – zaciskało się zęby i zawierzało ludziom z innych organizacji. Tak, oczywiście, podczas instruktażu w Langley mówiono mu, że Nigelowi Haydockowi można zaufać, że to ugodowy, bardzo zdolny Anglik, dobry agent operacyjny, z którym da się współpracować, i tak, jasne, obejrzał sobie faceta i tak, oczywiście, na pewno przypadliby sobie do gustu. Ale, cholera jasna, Nigel nie był pracownikiem Agencji! Z drugiej strony Ritter mówił, że można na nim polegać, że w razie czego na pewno nie zawiedzie, Królik zaś twierdził, że Rosjanie nie rozpracowali jeszcze brytyjskich kanałów telekomunikacyjnych: komu jak komu, ale akurat jemu Foley ufał. Jego życie od tego nie zależało, ale kariera na pewno.

Dobra, ale co – nie, jak – to przeprowadzić? Nigel był attaché handlowym ambasady brytyjskiej i pracował dokładnie naprzeciwko Kremla, na drugim brzegu rzeki, w budynku, 248

który Anglicy zajmowali już za cara; powiadano, że powiewająca na jego dachu flaga straszliwie wkurzała Stalina, bo widział ją co rano z okna swego gabinetu. Poza tym Brytyjczycy pomogli zwerbować pułkownika GRU, Olega Pieńkowskiego, agenta, który zapobiegł wybuchowi trzeciej wojny światowej i po drodze zwerbował Kardynała, najjaśniejszy klejnot koronny CIA. A więc skoro musiał już komuś zaufać, zaufa pewnie Nigelowi. Konieczność jest matką wielu rzeczy i gdyby Królik wpadł, wiedzieliby już, że wywiad brytyjski został

zinfiltrowany. Boże, znowu. Skąd te durne myśli? Powinien Nigela za nie przeprosić, ale cóż, chodziło o sprawy służbowe, bynajmniej nie osobiste.

Eddie, to czysta paranoja, pomyślał. Nie możesz wszystkich podejrzewać.

Jak to nie? Jasne, że mogę!

Wiedział, że Nigel Haydock ma prawdopodobnie identyczne odczucia w stosunku do niego. Ale co mógł na to poradzić? Tak się w tę grę grało, i już.

Gdyby natomiast ewakuowali Królika, zyskaliby dowód, że Haydock jest czysty. Bo ko-go jak kogo, ale tego króliczka Rosjanie na pewno by nie wypuścili: za dużo wiedział.

Czy Zajcew zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakie mu groziło? Zaufał CIA, uwierzył, że wydostaną go stąd żywego, jego i jego rodzinę...

Ale czy mając informacje, które miał, nie dokonał przypadkiem świadomego wyboru?

Chryste, było w tym tyle splatających się ze sobą kół, że można by założyć fabrykę rowerów.

Kaseta się skończyła. Wielki Robot – czy jak tam się naprawdę nazywał – przetransformował się z powrotem w ciężarówkę i odjechał w siną dal przy dźwiękach tytułowej pio-senki: *Transformery, oko w to nie uwierzy...* Słowa pasowały do nastroju chwili i bardzo się to Eddiemu spodobało.

Spędził pożytecznie czas z synem, a przy okazji trochę pomyślał. Ogólnie rzecz biorąc, udany niedzielny wieczór.

– Więc jaki mamy plan gry, Arthurze? – spytał Greer.

– Dobre pytanie, James – odrzekł sędzia Moore. – Bardzo dobre pytanie. – Oglądali telewizję w jego gabinecie, Oriolesów, którzy grali w Baltimore z White Soksami. Narzucił Mike Flanagan i wyglądało na to, że jest na najlepszej drodze do zdobycia nagrody Cy Younga, a młody zawodnik grający na polu wewnętrznym między drugą i trzecią bazą – Oriolesi niedawno go zwerbowali – miał przed sobą wielką karierę. Moore i Greer pili piwo i jedli pre-celki jak normalni ludzie, oddający się ulubionej niedzielnej rozrywce większości Amerykanów. Po części była to prawda.

– Basil nam pomoże – dodał admirał Greer. – Można mu zaufać.

– Zgoda. Kiedyś mieliśmy z nimi kłopoty, ale to już przeszłość. Basil zastosuje takie środki bezpieczeństwa, jakby przewoził szkatułkę z klejnotami Jej Królewskiej Mości. Ale musi wziąć w tym udział ktoś od nas.

– To znaczy kto?

– Na pewno nie szef londyńskiej ekspozytury. Wszyscy wiedzą, kim jest, nawet taksówkarze. – Ta sprawa nie podlegała dyskusji. Szef londyńskiej ekspozytury pracował w tej branży od bardzo dawna i był już bardziej administratorem niż aktywnym agentem opera-249

cyjnym. To samo odnosiło się do większości jego podwładnych, dla których synekura w Londynie była głównie miłą posadką przed przejściem na emeryturę: choć znakomici w swym fachu, chcieli już odwiesić kolce na kołek. – Ten, kogo wybierzemy, będzie musiał

pojechać do Budapesztu i pozostać niewidzialnym.

– A więc musi to być ktoś, kogo tamci nie znają.

– Tak. – Moore kiwnął głową, odgryzł kęs kanapki i sięgnął po chipsy. – Nie będzie miał dużo roboty. Anglicy muszą po prostu wiedzieć, że tam jest. Że patrzy im na ręce.

– Basil zechce go przepytąć.

– To nie do uniknięcia. On też ma prawo zakisić ogórek. – Podchwycił to określenie jeszcze jako czynny sędzia, podczas jednego z procesów apelacyjnych w sprawie o przynależ-

ność do zorganizowanej grupy przestępczej. On i jego kolega po fachu z Austin w Teksasie śmiali się z tego przez wiele tygodni, odrzuciwszy apelację stosunkiem głosów pięć do zera.

- My też powinniśmy tam kogoś wysłać.
- Oczywiście – zgodził się z nim ponownie Moore.
- Może Ryana? – zaproponował Greer. – Jego praktycznie nie ma. Nikt go nie zna, nikt nie wie, kim jest. Cóż, ostatecznie to mój człowiek. On nawet nie wygląda na agenta.
- Jego zdjęcie było w gazetach – zaproponował Moore.
- Myślisz, że ci z KGB czytają rubryki towarzyskie? Nawet jeśli tak, to uważają go za aspirującego pisarza, a jego akta – jeżeli w ogóle założyli mu teczkę – leżą na samym dnie najgłębszej piwnicy w Centrali. To nie problem.
- Myślisz? – rzucił w zadumie sędzia Moore. Ritter dostałby bólu brzucha, to pewne. Ale pomysł nie był w sumie zły. Bobowi marzyło się przejęcie wszystkich operacji CIA, ale chociaż dobry był z niego człowiek, nie miał szans zostać dyrektorem naczelnym, choćby dlatego, że Kongres nie lubił szpiegów z kompleksem napoleońskim. – Da radę?
- Ten chłopak służył w piechocie morskiej i umie szybko myśleć.
- Owszem, spełnił swoją powinność. Nie siusia na siedząco, to fakt.
- Musiałby tylko mieć na oku naszych przyjaciół, a nie bawić się w szpiega na wrogiej ziemi.
- Bob dostanie szafu...
- Bob powinien znać swoje miejsce i jeśli mu je wskażesz, zaszkodzić nam, nie zaszkodzi i dobrze na tym wyjdzie. – Zwłaszcza, czego oczywiście Greer nie dodał, jeśli cała sprawa wypali. A wypalić powinna. Poza granicami Moskwy operacja na pewno przebiegnie rutynowo. Nerwowo, lecz rutynowo.
- A jeśli zawali?
- Arthurze, Jimmy Szell dał plamę w Budapeszcie, a jest doświadczonym agentem operacyjnym. Wiem, to najpewniej nie jego wina, to najpewniej zwykły pech: co dowodzi, że mam rację. W tej branży dużo zależy od zwykłego szczęścia. Właściwą robotę odwalą Anglicy i jestem pewien, że Basil wybierze dobrych ludzi.

Moore rozważał to bez słowa. Ryan był w CIA nowy, ale był też ich wschodzącą gwiazdą. Na pewno pomogła mu ta przygoda, ta sprzed niecałego roku, kiedy to dwukrotnie zaglądał w lufy nabitych pistoletów i świetnie sobie poradził. W Korpusie Piechoty Morskiej dobre było to, że nie

tolerowali tam mięczaków. Ryan rzeczywiście potrafił szybko myśleć i działać, a takiego człowieka dobrze jest mieć po swojej stronie. Co więcej, podobał się też Brytyjczykom. Sędzia widział uwagi sir Basila Charlestona na temat jego stażu w Century House i wynikało z nich, że Basil zaczyna go lubić. Nadarzała się okazja do rozwinięcia kolejnego talentu i chociaż Jack nie zaliczył kursu na Farmie, nie znaczyło to, że zabłądzi jak dziecko w lesie. Ostatecznie już w tym lesie był i zabił tam parę wilków. Prawda?

– James, to trochę nietypowe, ale to jeszcze nie powód, żebym powiedział „nie”. Dobra, spuść go ze smyczy. Mam nadzieję, że nie posusia się w spodnie.

– Jak Foley nazwał tę operację?

– „Beatrix”. Wiesz, *Królik Piotruś*, i tak dalej.

– Ten Foley daleko zajdzie. A jego żona, Mary Patricia, to prawdziwa artystka.

– W tym punkcie absolutnie się z tobą zgadzam. Mary Pat świetnie poradziłaby sobie na rodeo i byłaby znakomitym szeryfem na zachód od Pecos. – Moore lubił śledzić karierę młodych talentów z CIA. Skąd się u nich brali? Ano cóż, przychodzili z różnych miejsc, ale w ich sercach płonął taki sam ogień, jaki przed trzydziestu laty, kiedy to pracował z Hansem To-fte'em, płonął w nim. Nie różnili się tak bardzo od Tekszańskich Rangersów, a tych podziwiał

już jako mały chłopiec. Byli po prostu twardymi, inteligentnymi ludźmi, którzy wiedzieli, co trzeba zrobić.

– Jak zawiadomimy Basila?

– Wczoraj wieczorem dzwoniłem do Chipa Bennetta i kazałem mu wytrzasnąć kilka jednorazówek. Powinniśmy je mieć jeszcze dzisiaj. Wieczorem wyślemy je do Londynu, a stamtąd do Moskwy. Będziemy mogli komunikować się bezpiecznie, choć niezbyt wygodnie.

A przygotowania do nawiązania tejże komunikacji już trwały. System komputerów, zaprogramowanych do odczytywania kropek i kresek międzynarodowego alfabetu Morse'a, został podłączony do czułego odbiornika, dostrojonego do częstotliwości nieużywanej przez żadną agencję ludzkiego pochodzenia i przekształcającego szum kosmicznego tła na litery alfabetu łacińskiego. Jeden z techników z Fort Meade zauważył, że ów międzygalaktyczny szum, który mieli rejestrować, jest pozostałością po Wielkim Wybuchu – odkryli ją Penzias i Miller i odkrywszy, zgarnęli za to Nagrodę Nobla – pozostałością tak nieskończenie nikłą i losowo rozproszoną, że gdyby ktoś zdołał ją rozszyfrować, poznałby myśli samego Boga –

tego nie potrafili nawet specjaliści z wydziału „Z” Agencji Bezpieczeństwa Narodowego.

Drukarka matrycowa drukowała przez kalkę, po trzy kopie w zestawie: oryginał dla pomysłodawców, kopia dla CIA i kopia dla ABN. Wszystkie zawierały tyle liter, że można by przepisać nimi jedną trzecią Biblii, a każda strona i linijka były oznakowane alfanumerycznie, żeby umożliwić ich rozszyfrowanie. Trzech ludzi rozdzielało kopie, sprawdzało, czy zestawy są dobrze

ułożone, następnie wkładało je do segregatorów, żeby były wygodniejsze w użyciu. Dwa segregatory zostały przekazane oficerowi lotnictwa, który zawiózł je do Langley. Główny technik zastanawiał się, co może być aż tak cholernie ważnego, że wymaga aż tylu jednorazówek, o których Agencja Bezpieczeństwa Narodowego, ulegając instytucjonal-251

nej nabożności dla elektroniki, już dawno zapomniała. Ale cóż, dociekanie dlaczego i po co nie należało do niego. Nie tu, nie w Fort Meade. Tu na pewno nie.

Ryan oglądał telewizję, próbując przywyknąć do brytyjskich sitcomów. Lubił angielskie poczucie humoru – ostatecznie Benny Hill był Anglikiem. Żeby robić rzeczy, które robił, musiał być trochę upośledzony umysłowo, ale pełne zrozumienie cotygodniowych seriali wymagało trochę czasu. Po prostu inaczej odbierał napływające z ekranu sygnały i chociaż mó-

wił po angielsku, jak każdy Amerykanin, brytyjskie niuanse – w telewizji oczywiście celowo przejawione – przybierały subtelne wymiary, które od czasu do czasu mu umykały. Nie umykały za to jego żonie. Z dowcipów, które ledwie rozumiał, śmiała się do rozpuku, omal się przy tym nie dławiając. W pewnej chwili dobiegł go z góry przenikliwy dźwięk dzwonka STU. Potruchtał odebrać. To na pewno nie pomyłka. Ten, kto przydzielił mu numer – pracownik British Telecom, na wpół prywatnej korporacji, która robiła dokładnie to, co polecił

jej rząd – sięgnął tak daleko poza logiczny łańcuch numeryczny, że tylko małe dziecko mogło wybrać go przez pomyłkę.

– Ryan – rzucił do słuchawki, gdy telefony nawiązały łączność.

– Jack? Mówi Greer. Jak upływa niedziela w starej, wesołej Anglii?

– Dzisiaj padało. Nie kosiłem trawy. – Czego wcale mu nie brakowało. Nie znosił kosić trawy, bo już w dzieciństwie odkrył, że bez względu na to, jak intensywnie się ją kosiło, po kilku dniach znowu wyglądała paskudnie jak przedtem.

– A tutaj, po sześciu rundach, Oriolesi prowadzą z White Soksami pięć do dwóch. Twoja drużyna ma szansę na porzecz.

– A kto awansuje do krajowej?

– Gdybym miał obstawiać, powiedziałbym, że filadelfijczycy.

– A ja postawię dolara, że nie ma pan racji, panie admirale. Nawet stąd widać, że przejdą Oriolesi.

– Ale stamtąd, cholera, widać by było sto razy lepiej! Straciwszy serce do coltów, przeniósł całą sympatię na baseball. Baseball był bardziej interesujący z taktycznego punktu widzenia, chociaż brakowało mu męskiej waleczności futbolu. – A w Waszyngtonie? – spytał. – Dzieje się coś ciekawego?

– Dzwonię, żeby cię uprzedzić. W drodze do Londynu jest coś, co dotyczy i ciebie. Małe zadanie. Zajmie ci to trzy, może cztery dni.

– Dobrze. – To Ryana zaintrygowało, ale doszedł do wniosku, że zamiast się ekscytować, powinien najpierw zobaczyć, co to takiego. Pewnie chcieli wlepić mu nową analizę. Analizy były zwykle ekonomiczne, ponieważ admirał lubił gry liczbowe. – Czy to coś ważnego?

– Po prostu ciekawi nas, jak sobie poradzisz.

Ten facet musi uczyć lisy, jak przechytrzyć psy i konie, pomyślał Jack. Dobrze, że nie jest Anglikiem. Gonitwy straciłyby sens i tutejsi arystokraci by go rozstrzelali.

– Dobrze, panie dyrektorze, będę czekał. Mógłbym mieć do pana prośbę o krótki komentarz na żywo?

– Mamy dwa auty i końcówkę siódmej zmiany. Ten nowy, Ripken, tak?, biegnie po lewej linii pola wewnętrznego i właśnie zdobywa szósty punkt.

252

– Wielkie dzięki. To dziesięć razy lepsze niż *Hotel Zacisze*.

– Co do, do diabła, jest?

– Tu nazywają to komedią, panie admirale. Jest zabawna pod warunkiem, że wszystko się rozumie.

– Opowiesz mi następnym razem.

– Tak jest.

– Rodzina w porządku?

– Tak, dziękuję.

– Dobrze. W takim razie miłego dnia. Do usłyszenia.

– Kto dzwonił? – spytała Cathy, gdy zszedł do salonu.

– Szef. Chce mi dać coś do roboty.

– A dokładnie? – Cathy nigdy nie przestawała drążyć.

– Nie powiedział. Wspomniał tylko, że przyśle mi nową zabawkę.

– I nie powiedział jaką?

– Admirał lubi robić niespodzianki.

– Hmm. – I tyle.

Kurier zajął miejsce w przedziale pierwszej klasy. Wepchnął paczkę pod fotel i wyjął czasopisma. Ponieważ podróżował jako cywil, a nie oficjalny kurier dyplomatyczny, udawał zwykłego pasażera – mógł go udawać do chwili lądowania na Heathrow, gdzie miał czekać na niego samochód z ambasady. Przed powrotem do Stanów półtora dnia później chciał przede wszystkim pójść do jakiegoś miłego pubu i napić się angielskiego piwa. Tego rodzaju wyprawa była dla młodego, świeżo wyklutego agenta operacyjnego stratą talentu i nabytego na Farmie doświadczenia, ale cóż, musieli przez to przejść wszyscy nowicjusze. Pocięszał się jedynie tym, że to, co wiozł, musiało być ważne. Jasne, Wilbur. Gdyby było ważne, siedziałbyś teraz w concordzie.

Ed Foley spał snem sprawiedliwego. Nazajutrz będzie musiał znaleźć jakąś wymówkę, żeby pojechać do ambasady brytyjskiej na rozmowę z Nigelem Haydockiem. Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, włoży swój najczerwieńszy krawat, odbierze wiadomość od Olega Iwanowicza, ustali miejsce kolejnego spotkania i ruszy z operacją. Kogo KGB chce zabić? – myślał.

Papieża? Bob Ritter nie mógł przez to spać. Czy kogoś innego? Z ludźmi nielubianymi Komitet Bezpieczeństwa Państwowego rozprawiał się bardzo bezpośrednio. CIA nie. Nie zabili nikogo od lat pięćdziesiątych, kiedy to prezydent Eisenhower wykorzystał Centralną Agencję Wywiadowczą – bardzo sprytnie zresztą – zamiast organizować tajną operację z użyciem zwykłych żołnierzy. Tego sprytu i zręczności nie odziedziczyła administracja Kennedy’ego, która spieprzyła prawie wszystko, co mogła. Pewnie czytali za dużo Bondów. Życie jest w powieściach dużo prostsze niż w rzeczywistości, nawet w powieściach byłego szpiega. W

świecie rzeczywistym trudno jest czasem zapiąć rozporek.

Tymczasem on planował skomplikowaną operację i wmawiał sobie, że nie jest aż tak bardzo skomplikowana. Popelniał błąd? Świadomość spała, umysł błędził. Myślał o tym nawet we śnie. We śnie widział króliczki skaczące po zielonej łące, na której skraju czaiły się lisy i niedźwiedzie. Drapieżniki nie atakowały, może dlatego, że ofiary były za szybkie, a może dlatego, że kicały za

blisko nor i szkoda było marnować czas. Ale co by się stało, gdyby króliczki odeszły za daleko? Lisy mogłyby je zagryźć, a niedźwiedzie połknąć ot tak, w cało-

ści... A on miał tych króliczków bronić, prawda?

Mimo to, w jego śnie lisy i niedźwiedzie po prostu stały tam i obserwowały, podczas gdy on, orzeł, krążył wysoko i spoglądał w dół. Orzeł zaniechał króliczków, za to lis owszem, mógłby być całkiem niezłym kaskiem, gdyby tylko szpony ugrzęzły w ciele tuż za łbem i natychmiast skrzyły mu kark, gdyby tylko orzeł pozostawił padlinę niedźwiedziom, bo niedźwiedziom jest wszystko jedno, co zeżrą. Tak, pan Miś miał to gdzieś. Był wielkim, starym niedźwiedziem o wielkim, pustym brzuchu. Gdyby mógł, pożarłby nawet orła, ale szlachetny orzeł był na to zbyt zwinny i zbyt inteligentny. Inteligentny i zwinny dopóty, dopóki miał szeroko otwarte oczy: mimo doskonałego wzroku i wielkich umiejętności, nawet on musiał zachować ostrożność. Dlatego szybował wysoko na prądach wznoszących i obserwował. Nie mógł wtrącać się do walki. Mógł co najwyżej zapikować w dół i ostrzec małe, urocze króliczki przed niebezpieczeństwem, sęk w tym, że króliczki były jedynie głupimi króliczkami, że żując trawę, nie patrzyły tam gdzie trzeba. To moje zadanie, powtarzał

sobie szlachetny orzeł: muszę wykorzystać mój wspaniały wzrok, żeby zobaczyć to, co powinienem. Zadaniem króliczków zaś było uciekać: z pomocą orła dotrzeć na łąkę bez czyhających lisów i niedźwiedzi, wychować tam stadko ślicznych, młodziutkich króliczątek, żyć długo i szczęśliwie. Jak Kuleczka, Piłeczka i Puszysty Ogonek Beartix Potter.

Foley przewrócił się na drugi bok i sen się urwał: orzeł dalej wypatrywał niebezpieczeństwa, króliczki dalej skubały trawę, a lisy i niedźwiedzie dalej je obserwowały, nie wiedząc, który z nich oddali się za daleko od bezpiecznej norki.

Irytujący jazgot dzwonka – irytujący jak najbardziej celowo – kazał mu otworzyć oczy, przetoczyć się na bok i czym prędzej wyłączyć budzik. Szarpnął się, wstał i poszedł do łazienki. Nagle zatęsknił za domem w Wirginii. Mieli tam dwie, a właściwie dwie i pół łazienki, co pozwalało na pewną elastyczność w sytuacji awaryjnej. Potem obudził małego Eddiego, który natychmiast usiadł na podłodze przed telewizorem i krzyknął: „Lobotnica!”

Uśmiechnęła się mama, uśmiechnął tatuś. Zachichotali pewnie podsłuchujący ich dyżurni z KGB.

– Masz dzisiaj coś ważnego? – spytała w kuchni Mary Pat.

– To samo co pod koniec każdego tygodnia: Waszyngton się kłania. Przed lunchem muszę wpaść do Anglików.

– Do ambasady? Po co?

– Chcę pogadać o czymś z Nigelem Haydockiem. – Mary Pat rzuciła boczek na patelnię.

W ważnych dniach zawsze robiła jajka na boczku. Ciekawe, czy ci z nasłuchu zdążyli na to wpaść.

Pewnie nie. Nikt nie był aż tak przenikliwy, a amerykańskie zwyczaje kulinarne interesowały ich tylko dlatego, że obcokrajowcy zwykle jadali lepiej niż Rosjanie.

– Pozdrów go ode mnie.

254

– Jasne. – Foley ziewnął i wypił łyk kawy.

– Musimy ich zaprosić. Może w przyszłym tygodniu?

– Dobrze. Jak zwykle pieczeń, i tak dalej?

– Tak, spróbuję dostać mrożoną kukurydzę w kolbach. – Rosjanie hodowali kukurydzę i można ją było kupić na targu, ale choć niezła, nie umywała się do Silver Queen z ich rodzinnej Wirginii. Dlatego woleli raczej mrożoną, którą samoloty Amerykańskich Sił Powietrznych przywoziły z Rhein-Main, a także chicagowskie hot dogi z chili, które serwowano w stołówce ambasady, i wszystkie pozostałe domowe smaki tak ważne na placówce takiej jak ta. W Paryżu też byłyby ważne, pomyślał Ed. Śniadanie szybko zjedzono i pół godziny póź-

niej był już prawie ubrany.

– Jaki dzisiaj włożyć krawat, kochanie?

– Skoro jesteśmy w Związku Radzieckim, raz na jakiś czas powinienes włożyć czerwony.

– Puściła do niego oko, podała mu krawat i srebrną spinkę na szczęście.

– Słusznie... – Spojrzał w lustro i wetknął krawat pod kołnierzyk. – No i proszę: Edward Foley senior, attaché prasowy ambasady amerykańskiej w Moskwie.

– Do twarzy ci w czerwonym. – Cmoknęła go w policzek; trochę za głośno, tak pod mikrofony.

– Cześć, tato – powiedział Eddie, gdy Foley ruszył do drzwi. Miał już pięć lat, więc zamiast całusa, przybili piątkę. Pocałunek. Też coś. Był już za stary na takie głupoty.

Pozostała część drogi upłynęła pod znakiem ogłupiającej rutyny. Dojść do metra. Kupić w kiosku gazetę, wyjąć dokładnie pięć kopiejek na bilet i złapać dokładnie ten sam pociąg do pracy, ponieważ skoro zawsze wracał tym samym pociągiem do domu – żeby ci z KGB

uwierzyli w jego pedantyczne nawyki – z rana musiał też małpować sam siebie. W ambasadzie wszedł do gabinetu i zaczekał, aż Mike Russell przyniesie poranne depesze. Przerzucając kartki, natychmiast stwierdził, że jest ich więcej niż zwykle.

- Coś na temat tego, o czym rozmawialiśmy? – spytał Russell, zwlekając z wyjściem.
- Chyba nie – odrzekł Foley. – Bo co? Nosi cię?
- Ed, wysyłanie i odbieranie tajnych depech to moja praca.
- Spójrz na to z mojej strony. Jeśli mnie namierzą, będę bezużyteczny jak cycki na wie-przu. Nie wspominając już o facetach, którzy przeze mnie zginą.
- Wiem, rozumiem. – Mike potarł czoło. – Po prostu nie mogę uwierzyć, że są w stanie rozpracować mój system. Jak mówiłeś, tracilibyśmy ludzi na prawo i lewo.
- Chciałbym się z tobą zgodzić, ale ostrożności nigdy nie za wiele.
- Racja. Jak złapię w centrali kogoś niepowołanego, facet nie dożyje przesłuchania w FBI
- rzucił posępnie.
- Spokojnie, nie trać głowy...
- Ed, nieszczęlny system łączności zabił w Wietnamie masę ludzi. Sam wiesz, jakie to ważne.
- Mike, jeśli czegoś się dowiem, na pewno dam ci znać.

255

- Dobra. – Russell wyszedł. Cały dym, który bił mu dotąd z uszu, został w gabinecie.

Foley posegregował depeche – były oczywiście adresowane do szefa ekspozytury, nie na czyjeś nazwisko – i zaczął je czytać. Waszyngton wciąż niepokoił się o papieża, ale oprócz wiadomości o Króliku, Ed nie miał im do przekazania nic więcej, a jego przekonanie, że Kró-

lik wie coś na ten temat, wypływało jedynie ze zwykłej nadziei. Wielkie zainteresowanie ostatnim posiedzeniem Biura Politycznego – niestety, będą musieli poczekać, aż odezwą się jego agenci. Pytania o zdrowie Leonida Breżniewa, ale chociaż znali nazwiska jego lekarzy –

całego zespołu! – żaden z nich nie współpracował z CIA. Jasne, było pewne, że Leonid Iljicz nie wystartuje w przyszłorocznym maratonie olimpijskim – wystarczyło spojrzeć na ekran telewizora. Ale ludzie tacy jak on mogli żyć i żyć przez wiele lat, co było i dobre, i złe. Nie ulegało wątpliwości, że Breżniew nie zrobi czegoś nowego czy innego niż dotąd, problem w tym, że rozumował coraz bardziej irracjonalnie i nie można było przewidzieć, jaką jeszcze wymyśli głupotę. Na pewno nie zamierzał wycofać się z Afganistanu. Słyszał już, jak do jego drzwi puka śmierć i miał gdzieś życie młodych rosyjskich żołnierzy. Owszem, CIA interesowała się sukcesją tronu, lecz było prawie

pewne, że jego następcą zostanie Jurij Władimirowicz Andropow, chyba że nagle umrze czy popełni fatalny błąd polityczny. Ale nie, na błąd Andropow był za sprytny. Nie ulegało wątpliwości, że jest carewiczem i kiedyś zostanie carem. Oby tylko nie rządził zbyt energicznie – i pewnie nie będzie, jeśli tylko potwierdzą się plotki o jego stanie zdrowia. Oglądając go w telewizji, Foley za każdym razem wypatrywał

charakterystycznego żółtego odcienia skóry, symptomu wskazującego na chorobę wątroby.

Z drugiej strony, jeżeli nakładali im makijaż, łatwo to było zakamuflować... Hmm, jak by coś takiego sprawdzić? Może poprosić o pomoc kolegów z wydziału nauki i technologii w Langley?

Zajcew przejął służbę od Dobrika, usiadł i przejrzał poranne depesze. Postanowił jak najwięcej zapamiętać, dlatego rozesłanie rozszyfrowanych materiałów zajęło mu więcej czasu niż zwykle. Kolejna depesza od Kassjusza, dla tych z wywiadu politycznego na górze, a także depesza z Instytutu Amerykańsko-Kanadyjskiego, ściśle współpracującego z moskiewską Centralą. Depesza od Neptuna: żądał pieniędzy dla agenta dostarczającego cennych informacji na temat zachodnich systemów łączności. Neptun: kryptonim sugerował coś zwią-

zanego z morzem. Zajcew sięgnął pamięcią wstecz, w poszukiwaniu innych depesz z tego samego źródła. Tak, Neptun dostarczał informacji o amerykańskiej marynarce wojennej. I to właśnie z jego powodu Zajcew martwił się o szczelność amerykańskiego systemu telekomunikacyjnego. KGB płaciło mu na pewno olbrzymie sumy, setki tysięcy dolarów w gotówce i zaczynało mieć z tym problemy – Związkowi Radzieckiemu o wiele łatwiej byłoby płacić diamentami, ponieważ wydobywano je we wschodniej Syberii. Kilku Amerykanom nimi zapłacono, ale zatrzymało ich czujne FBI, a KGB nie próbowało nawet negocjować ich zwolnienia. Ot, i cała lojalność. Amerykanie owszem, próbowali, ale w większości przypadków za późno, bo ich agentów już stracono. Zajcew zmartwiał. Straszna myśl.

Ale teraz nie było już odwrotu, a CIA wielokrotnie wykazywała się fachowością na tyle dużą, że Komitet się jej bał. Czyż nie oznaczało to, że jest w dobrych rękach?

Nagle przypomniał sobie, że musi coś zrobić. W szufladzie leżał bloczek formularzy kontaktowych. Mary radziła mu sporządzić meldunek o ich spotkaniu, więc go sporządził.

Opisał ją jako ładną Amerykankę tuż przed lub tuż po trzydziestce, matkę miłego synka, kobietę niezbyt rozgarniętą – „bardzo amerykańska w manierach” – mówiącą po rosyjsku z 256

dość bogatym słownictwem, acz niegrammatycznie i z kiepską wymową. Nie ocenił prawdopodobieństwa tego, że może być oficerem amerykańskiego wywiadu – uznał, że to mądre posunięcie. Spisanie meldunku zajęło mu piętnaście minut. Skończywszy, zaniósł go wydziałowemu oficerowi do spraw bezpieczeństwa, kapitanowi, którego dwukrotnie pominię-

to w kolejce do awansu.

– To była czysta strata czasu – powiedział, wręczając mu formularz.

– Gdzieście ją poznali? – spytał kapitan, pobieżnie przejrząwszy meldunek.

– Tu jest napisane. – Zajcew wskazał odpowiedni fragment. – Byłem w parku na spacerze z córką, a ona przyszła z synkiem. Eddie, Edward Edwardowicz albo Edward junior, jak mówią Amerykanie, ma cztery lata i jest sympatycznym chłopcem. Rozmawialiśmy przez chwilę, a potem poszli.

– Wasze wrażenia?

– À propos tej kobiety? – odparł Zajcew. – Jeśli jest szpiegiem, socjalizm na pewno zwycięży. Jest dość ładna, ale o wiele za chuda i niezbyt bystra. Typowa amerykańska gospodyni domowa.

– Coś jeszcze?

– Wszystko tu napisałem. Zajęło mi to więcej czasu niż rozmowa w parku.

– Wasza czujność została odnotowana, towarzyszu kapitanie.

– Służę Związkowi Radzieckiemu. – Zajcew wrócił do swego biurka. Tak, Mary miała dobry pomysł, zadbała o szczegóły. Ostatecznie mógł ją ktoś śledzić, a nawet jeśli nie, w jej aktach znajdzie się nowy meldunek sporządzony przez oficera KGB, wpis potwierdzający, że pani Foley nie stanowi zagrożenia dla socjalizmu.

Usiadłszy, ponownie zajął się tym, czym przedtem: zapamiętywaniem. Wiedział, że im więcej informacji przekaże CIA, tym więcej mu zapłacą. Może zabierze córeczkę do tego Disney Worldu, może się jej tam spodoba. Znał informatorów KGB w wielu innych krajach, próbował więc zapamiętać ich kryptonimy. Szczególnie interesujący był niejaki Minister.

Najprawdopodobniej pracował w angielskim Ministerstwie Spraw Zagranicznych i dostarczał znakomitych informacji polityczno-dyplomatycznych, które ci z wierchuszki wprost uwielbiali.

Foley pojechał do Anglików służbowym samochodem. Gdy się wylegitymował, byli nawet serdeczni i już po chwili do wielkiego holu – wielkiego i naprawdę wspaniałego –

zszedł Nigel.

– Witaj, Ed! – zawołał z uśmiechem i mocno uściśnął mu rękę. – Chodź. – Marmurowymi schodami zaprowadził go na górę, do swego gabinetu. Zamknął drzwi i wskazał mu skórzaną fotel. – Co cię tu sprowadza?

– Mamy Królika – wypalił bez wstępów Ed.

To mówiło wszystko. Haydock wiedział, że Foley pracuje w CIA, że – w terminologii brytyjskiej – jest jego „kuzynem”.

– Dobra, ale dlaczego mi o tym mówisz?

257

– Będziemy potrzebowali pomocy, żeby go stąd wydostać. Chcemy zrobić to przez Budapeszt, ale nasza budapeszteńska placówka właśnie się spaliła. Jak tam stoicie?

– Hmm... Szefem ekspozytury jest Andy Hudson, były komandos, bardzo zdolny facet.

Ale chciałbym znać więcej szczegółów, Edwardzie. Co mi możesz powiedzieć? Dlaczego to takie ważne?

– Wy nazwalibyście go pewnie „przychodniem”. To łącznościowiec, prawdziwy dynamit. Poprosiłem Langley o pozwolenie na natychmiastową ewakuację i dali mi zielone światło. Nigel, ten facet ma dwie piątki...

– Najwyższy priorytet i najwyższa wiarygodność? Foley przekrzywił głowę.

– Chcesz usłyszeć coś miłego?

– No?

– On twierdzi, że Rosjanie rozpracowali nasz system łączności. Waszego jeszcze nie.

– Bomba. A więc ja mogę spokojnie gadać, a ty nie, tak?

– Otóż to. Rano dostałem wiadomość, że coś nam wysłali. Nie wiem, może wytrzasnęli skądś plik starych jednorazówek. Dowiem się jeszcze dzisiaj.

Haydock odchylił się w fotelu i zapalił silk cuta o niskiej zawartości nikotyny; przestawił się na nie, żeby zrobić przyjemność żonie.

– Macie już jakiś plan?

– Facet pojedzie pociągiem do Budapesztu. Co do reszty, cóż... – Foley przedstawił mu zarysy pomysłu Mary Pat.

– Twórcze – dumiał na głos Haydock. – Naprawdę bardzo twórcze... Kiedy czytałeś o operacji „Mincemeat”? My analizujemy ją w akademii, to część programu nauczania.

- Czytałem o niej jeszcze jako chłopak. Zawsze uważałem, że sprytnie to wtedy rozegra-licie.
- Cóż, teoretycznie rzecz biorąc, pomysł nie jest zły, ale rzeczy, których byście potrzebowali, żeby go zrealizować, nie kupisz w pierwszym lepszym sklepie żelaznym.
- Wiem, dlatego jeśli chcemy w to zagrać, powinniśmy się pospieszyć.
- Zgoda. – Haydock zmarszczył czoło. – Sęk w tym, że Basil spyta mnie o szczegóły...
- Powinien już dostać odręczny list od sędziego. Mogę tylko powtórzyć to, co już powiedziałem: moim zdaniem ten facet to prawdziwy dynamit.
- Łącznościowiec... Z Centrali, tak?
- Tak.
- Rzeczywiście, bardzo cenny nabytek. A gdyby tak jeszcze był urzędnikiem odpowiedzialnym za segregowanie i rozprowadzanie depesz... – „Urzędnik” to po angielsku clerk i Haydock – jak na Brytyjczyka przystało – wymówił to słowo jako: klaaak, a właśnie tak nazywał się jeden ze szkoleniowców Foleya. Ed omal się nie uśmiechnął. Omal.

Spojrzał Nigełowi w oczy i powoli skinął głową.

- Moim zdaniem, tym się właśnie zajmuje.

258

Haydock nareszcie wszystko zrozumiał.

- O cholera... – sapnął. – I powiadasz, że sam do was przyszedł?
- Mniej więcej.
- Jesteś pewny, że to nie pułapka? Że was nie podpuszcza?
- Myślałem o tym, ale przecież to nie miałyby żadnego sensu. – Haydock wiedział, że Ed pracuje w CIA, ale nie wiedział, że jest szefem placówki. – Gdyby mnie rozpracowali, po co mieliby się tak szybko z tym zdradzać?
- Słusznie, tak głupi to oni nie są... A więc chcesz ewakuować go z Budapesztu, tak? Łatwiej z Budapesztu niż z Moskwy, to fakt...
- Ale są i złe nowiny. – Foley musiał mu o tym powiedzieć. – Królik nie wprowadził w to żony.

– Żartujesz.

– Chciałbym.

– Cóż, czymże byłoby życie bez komplikacji... – Haydock ciężko westchnął. – Jak chciałbyś go stamtąd wydostać? – spytał, nie zdradzając, o czym myśli. – Masz jakieś sugestie?

– O tym zdecyduje twój Hudson. Nie znam terenu, nie mam prawa nic mu narzucać.

Nigel tylko skinął głową. Chociaż była to rzecz oczywista, musieli o niej wspomnieć.

– Kiedy?

– Szybko, jak najszybciej. Szefostwo zapaliło się do tego tak samo jak ja. – Ed nie dodał, że dzięki ewentualnemu powodzeniu przedsięwzięcia odniósłby szybszy sukces jako nowy szef moskiewskiej placówki.

– Myślisz o Rzymie? Sir Basil ciągle mnie o to wypytuje.

– Pani premier jest tym aż tak zainteresowana?

– Przypuszczam, że wasz prezydent też. Nic nie zmąciłoby wody bardziej niż to.

– Fakt. Tak czy inaczej, chciałem cię tylko uprzedzić. Myślę, że sir Basil da ci znać jeszcze dzisiaj.

– Rozumiem. Gdy tylko dostanę wiadomość, natychmiast przystąpię do działania. –

Haydock spojrział na zegarek. Nie, było za wcześnie, żeby zaproponować gościowi piwo w pubie ambasady. Szkoda.

– Zadzwoń do mnie, dobra?

– Jasne. Załatwimy to, Ed. Andy Hudson jest dobrym fachowcem i świetnie tam sobie radzi.

– Ekstra. – Foley wstał.

– Może umówimy się kiedyś na kolację? – zaproponował Haydock.

– Jeśli już, to chyba szybko. Penny niedługo urodzi. Kiedy zabierasz ją do Londynu?

– Za dwa tygodnie. Maluch przewraca się i kopie jak szalony.

– Dobry znak.

- Gdyby urodził się za wcześnie, mamy tu dobrego lekarza. – Problem w tym, że facet nie chciał odbierać porodów. Ci z ambasad nigdy nie chcieli.
- Jeśli to będzie chłopak, mały Eddie pożyczy ci *Transformerów*.
- *Transformerów?* Co to takiego?
- Dowiesz się – zapewnił go Foley. – Na pewno się dowiesz.

260

Rozdział 20

Inscenizacja

Kurier z Langley wylądował na Heathrow o czasie i kilka minut przed siódmą był już w terminalu numer cztery. Błyskawicznie przeszedłszy przez odprawę celną i paszportową, znalazł się w hali przylotów, gdzie zobaczył kierowcę z tabliczką z nazwiskiem. Nazwisko było oczywiście fałszywe, ponieważ agenci CIA używali prawdziwych tylko wtedy, gdy musieli. Kierowca z kolei nazywał się Leonard Watts. Jeździł jaguarem z ambasady, a ponieważ miał dyplomatyczny paszport i dyplomatyczne tablice rejestracyjne, nie musiał

przejmować się ograniczeniami prędkości.

– Jak minął lot?

– Dobrze. Prawie cały czas spałem.

– Witamy w terenie. Im dłużej pośpisz, tym lepiej dla ciebie.

– Pewnie tak. – Dla kuriera było to pierwsze zagraniczne zadanie, w dodatku zadanie niezbyt trudne. – Przywiozłem coś, i tyle. – Jego statusu nie podnosił również fakt, że podró-

żował jedynie z przesyłką i małą torbą – zawierała czystą koszulę, bieliznę i przybory do golenia – która spędziła lot w bagażniku nad jego głową.

– Mam na imię Len – rzucił kierowca.

– Pete Gatewood.

– Pierwszy raz w Londynie?

– Tak – odrzekł Gatewood, próbując przywyknąć do tego, że siedzi po lewej stronie, nie mając przed sobą kierownicy i że jaguara prowadzi niespełniony rajdowiec. – To daleko?

– Do ambasady? Pół godziny jazdy. – Watts wbił wzrok w przednią szybę. – Co pan wiezie?

– Wiem tylko tyle, że coś dla szefa placówki.

– To trochę nietypowe, obudzili mnie...

– Gdzie pan przedtem pracował? – zmienił temat Gatewood z nadzieją, że ten maniak wreszcie zwolni.

– Różnie, tu i tam. W Bonn, w Berlinie, w Pradze... Niedługo chcę przejść na emeryturę i wrócić do Indiany. Mamy tam teraz niezłą drużynę...

– No i te wszystkie pola... – Gatewood nigdy nie był w Indianie i bynajmniej nie zamierzał zwiedzać tego rolniczego stanu, lecz przypomniał sobie, że rzeczywiście, mieli tam niezłych baseballistów.

Niebawem minęli wielki zielony park po lewej stronie i kilka ulic dalej otworzył się przed nimi zielony prostokąt Grosvenor Square. Watts zatrzymał samochód i Gatewood wysiadł. Obszedł „kwietniki”, które urządzono tam, żeby zamachowcy nie mogli podjechać wyładowaną dynamitem ciężarówką zbyt blisko betonowego muru otaczającego przygnę-

biająco brzydki budynek ambasady, i wszedł do holu. Żołnierz piechoty morskiej sprawdził

jego dokumenty i zadzwonił na górę. Wkrótce zeszła do niego kobieta w średnim wieku, która zawiozła go windą na drugie piętro, gdzie – tuż po sąsiedzku – stacjonowała grupa techników współpracujących z GCHQ, Główną Kwaterą Łączności Rządowej w Cheltenham.

261

Gatewood wszedł do narożnego gabinetu i zobaczył mężczyznę siedzącego za dębowym biurkiem.

– Gatewood?

– Tak. Pan...?

– Randy Silvestrini, szef placówki. Ma pan dla mnie przesyłkę.

– Tak jest. – Gatewood otworzył torbę, wyjął dużą, żółtą kopertę i podał ją Silvestrinie-mu.

– Ciekawi pana, co w niej jest? – spytał tamten, taksując go wzrokiem.

– Jeśli sprawa dotyczy mnie, przypuszczam, że mi pan powie.

Silvestrini z aprobatą skinął głową.

– Bardzo dobrze. Jeśli pan chce, Annie zaprowadzi pana na dół na śniadanie albo może złapać pan taksówkę do hotelu. Ma pan angielskie pieniądze?

– Sto funtów, w dziesiątkach i dwudziestkach.

– To powinno wystarczyć. Na razie dziękuję, to wszystko.

– Tak jest. – Gatewood wyszedł.

Sprawdziwszy pieczęć, Silvestrini rozerwał kopertę. Płaski segregator, w segregatorze czterdzieści, pięćdziesiąt kartek, na wpół pustych, na wpół zadrukowanych niezrozumiały-mi ciągami liter. Jednorazówki. Według napisu na okładce, przeznaczone dla placówki w Moskwie. Będzie musiał je tam wysłać, i to jak najszybciej, najlepiej południowym samolotem British Airways. I dwa listy. Jeden do sir Basila z zastrzeżeniem, że ma być doręczony osobiście; czekała go przejażdżka do

Century House. I drugi, do tego młodego Ryana, ulubieńca Jima Greera, również z zastrzeżeniem, że ma być doręczony osobiście za pośrednictwem pracownika wydziału kierowanego przez Charlestona. Rzadko to praktykowano. A więc coś się kroilo. Ciekawe co. Podniósł słuchawkę telefonu i stuknął w klawisz oznaczony numerem pięć.

– Basil Charleston.

– Basil? Mówi Randy. Coś do ciebie przyszło. Mógłbym wpaść? Szelest papierów. Basil wiedział, że to ważne.

– Powiedzmy o... dziesiątej?

– Dobra. Na razie. – Silvestrini sączył kawę, obliczając, ile zostało mu czasu. Najwyżej pół godziny. Wcisnął guzik interkomu.

– Tak, panie dyrektorze?

– Annie, mam przesyłkę do Moskwy. Jest tam gdzieś kurier?

– Tak, panie dyrektorze.

– Mogłabyś mu to zanieść?

– Tak, panie dyrektorze. – Sekretarkom CIA nie płacono za wielomówność.

– To dobrze. Dzięki. – Silvestrini się rozłączył.

262

Przejeżdżali właśnie przez Elephant and Castle; Słoń i Zamek – Jack uświadomił sobie, że wciąż nie wie, skąd wzięła się ta dziwna nazwa. Niebo wyglądało groźnie. Burze nie mogą tu trwać długo, pomyślał. Anglia jako wyspa jest na to za wąska. Może to tylko deszczowe chmury znad Atlantyku? Tak czy inaczej, w ciągu minionej doby osobiście stwierdził, że okres dobrej pogody już się skończył. Szkoda.

– W tym tygodniu też same okulary?

Cathy jak zwykle czytała czasopismo medyczne.

– Tak. – Podniosła wzrok. – Owszem, to mniej ekscytujące niż zabiegi, ale bardzo ważne.

– Wierzę. Czy robiłabyś coś nieważnego?

– A ty oczywiście nie możesz powiedzieć, co będziesz robił?

– Bo nie wiem. Dowiem się dopiero w biurze. – Ale zdawał sobie sprawę, że nawet po wyjściu z pracy będzie musiał trzymać język za zębami. Szefostwo coś dla niego miało. Musieli to przysłać nocą, zaszyfrowanym faksem, chyba że rzecz była na tyle ważna, że przywiózł ją kurier. Dzięki różnicy czasu nie przysparzało to większych kłopotów. Najwcześniejszy boeing 747 z lotniska Dullesa lądował na Heathrow między szóstą i siódmą rano i już czterdzieści minut później przesyłka była na jego biurku. Rząd pracował szybciej i efektywniej niż Federal Express, pod warunkiem, że chciał. Jeszcze kwadrans lektury „Daily Telegraph”, jeszcze kwadrans lektury zawilności medycznych, i się rozstali, jak zwykle na Victoria Station. Cathy perwersyjnie pojechała dalej metrem. On wolał taksówkę. Śmignęli przed pa-

łacem Westminsterem i przeskoczyli na drugą stronę Tamizy. Zapłacił cztery funty, pięćdziesiąt szylingów i dołożył suty napiwek. Dziesięć sekund później był już na miejscu.

– Dzień dobry, sir John! – zawołał na powitanie Bert Canderton.

– Witam, sierżancie. – Ryan prześlizgnął się przez bramkę, wsiadł do windy i pojechał na górę.

Simon przeglądał już poranne depesze. Podniósł wzrok i rzucił:

– Się masz, Jack.

– Hej, cześć. Jak minął weekend?

– Miałem popracować w ogródku, ale nic z tego. Przeklęty deszcz.

– Przyszło coś ciekawego? – Ryan nalał sobie kawy. Herbata Simona – pijał English Breakfast Tea – była niezła jak na herbatę, ale on wolał kawę, przynajmniej rano. W dodatku zapomniał kupić po drodze croissanta.

– Jeszcze nie, ale ma: od was.

– Od nas? Co?

– Basil nie powiedział, ale jeśli w poniedziałek rano przysyłają coś kurierem, rzecz musi być interesująca. Na pewno dotyczy Rosji. Basil kazał mi czekać.

– W sumie czemu by nie zacząć tygodnia od czegoś ciekawego... – Ryan wypił łyk kawy.

Nie była tak dobra jak ta, którą parzyła Cathy, ale zawsze to lepsze niż herbata. – Kiedy ma tu dotrzeć?

– Przesyłka? Koło dziesiątej. Przywiezie ją Silvestrini, szef waszej placówki.

Ryan rozmawiał z nim tylko raz. Facet wyglądał na dobrego fachowca, ale szef placówki

– nawet placówki dla emerytów – musiał być dobrym fachowcem.

– A z Moskwy? Wciąż nic?

– Tylko pogłoski o stanie zdrowia Breżniewa. Rzucił palenie, ale niewiele mu to dało. –

Harding pyknął z fajki. – Wredny sukinsyn.

– A co w Afganistanie?

– Rosjanie są coraz sprytniejsi, a ich śmigłowce coraz skuteczniejsze. Złe nowiny dla Afgańczyków.

– Jak twoim zdaniem to rozegrają?

– Rosjanie? – Harding wzruszył ramionami. – Zależy od tego, ilu ludzi zechcą poświęcić.

Mają tak dużą przewagę ogniową, że reszta jest tylko kwestią woli politycznej. Niestety, mudżahedini mają pecha, bo Moskwa nie zawraca sobie głowy stratami wojennymi.

– Chyba że coś tę równowagę zaburzy – myślał na głos Ryan.

– Zaburzy? Na przykład co?

– Na przykład skuteczny pocisk klasy ziemia-powietrze, który zneutralizuje ich śmigłowce. Mamy stingery. To ponoć bardzo dobra broń.

– Pytanie tylko, czy banda półdzikich analfabetów potrafi się nią posługiwać. Nowoczesnym karabinem? Tak. Karabinem maszynowym? Jak najbardziej. Ale pociskiem rakietowym?

– Stingery to w zamyśle broń odporna na każdego żołnierza, Simon. Wystarczająco prosta w obsłudze, żeby strzelać z niej, kiedy wokoło świszczą kule. Kiedy świszczą kule, nie ma czasu na filozofowanie, bo myślisz wtedy tylko o jednym: o tym, jak tych kul uniknąć.

Stingera nie odpalałem, odpaliłem za to kilka pocisków przeciwpancernych i wiem, że to bardzo proste.

– Wasz rząd będzie musiał zdecydować, przekazać im te rakiety czy nie. Ale jak dotąd nie zdecydował, dlatego myśl ta wcale mnie nie kręci. Tak, Afgańczycy zabijają Rosjan i to chyba dobrze, co nie zmienia faktu, że banda z nich dzikusów.

Kiedyś te same dzikusy zabijali was, pomyślał Ryan, a wasza pamięć jest równie dobra, jak pamięć

każdego innego narodu. Była jeszcze kwestia tego, że stingery mogą wpaść w ręce Rosjan i tego, że dowództwo Amerykańskich Sił Powietrznych nie skakałoby wtedy z radości. Ale myślenie o takich sprawach wykraczało poza jego obowiązki. Coś w tym jednak musiało być, bo z Kongresu co i raz dochodziły groźne pomruki na ten temat.

Jack usiadł wygodniej i pijąc kawę, przejrzał poranne depesze. Potem zajął się swoją prawdziwą pracą, to znaczy analizowaniem stanu radzieckiej gospodarki. Przypominało to wytyczanie mapy drogowej w talerzu spaghetti.

To, czym Silvestrini zajmował się w Londynie, nie było tajemnicą. Pracował w wywiadzie zbyt długo i chociaż, per se, nigdy nie wpadł, agentury wywiadowcze bloku wschodniego domyśliły się, dla kogo pracuje już pod koniec jego kadencji w Warszawie, gdzie zało-264

zył siatkę, dzięki której zdobył wiele cennych informacji politycznych. Londyńska placówka miała być jego ostatnią – podobnie jak dla jego podwładnych – a ponieważ cieszył się szacunkiem sojusznicznych służb wywiadowczych, wziął na swoje barki współpracę z Secret Intelligence Service, Brytyjską Tajną Służbą Wywiadu. Dlatego też wsiadł do służbowego daimlera i kazał kierowcy wieźć się na drugi brzeg rzeki.

Nie musiał nawet przechodzić przez posterunki kontrolne. Przed wejściem czekał na niego sam sir Basil, który serdecznie uścisnął mu dłoń.

– Co słyhać, Randy?

– Mam przesyłkę dla ciebie i dla tego Ryana – odrzekł Silvestrini.

– No proszę. Mam go wezwać?

Szef londyńskiej placówki CIA znał zawartość kopert.

– Jasne. Jeśli chcesz, Hardinga też.

Charleston podniósł słuchawkę telefonu. Analitycy zjawili się w jego gabinecie niecałe dwie minuty później. Obydwaj znali Silvestriniego. Simon lepiej, Ryan gorzej, bo jak dotąd rozmawiał z nim tylko raz. Sir Basil wskazał im fotele. Zdażył już otworzyć swoją kopertę.

Silvestrini podał kopertę Jackowi.

Jack przez cały czas gorączkowo myślał: cholera. Jasna cholera. Coś wisiało w powietrzu, a on nie miał zaufania do nowego i nieoczekiwanego – nauczył się tego w CIA.

– Ciekawe... – rzucił Charleston.

– Mam to otworzyć? – spytał Ryan. – Teraz?

Silvestrini skinął głową. Jack wyjął szwajcarski scyzoryk i rozciął grubą żółtą kopertę.

Zawierała tylko trzy kartki, osobiście podpisane przez admirała Greera.

Królik. Znał ten żargon. Ktoś chciał dać nogę z... Moskwy. Ucieczkę organizowała CIA, przy pomocy wywiadu brytyjskiego, ponieważ jej budapeszteńska placówka była chwilowo nieczynna.

– Randy, przekaz Arthurowi, że z przyjemnością wam pomożemy. Rozumiem, że zanim go zabierzecie, będziemy mogli z nim porozmawiać...

– Oczywiście, jak najbardziej – odrzekł Silvestrini. – Jak myślisz, trudno go będzie ewakuować?

– Z Budapesztu? – Charleston potarł w zadumie czoło. – Nie, nie przypuszczam. Mają tam dość wredną bezpiekę, ale Węgrzy jako naród nie przepadają za marksizmem... Królik twierdzi, że KGB rozszyfrowało wasz system łączności. A więc o to chodzi, to tym się tak ekscytujecie...

– Ano tym. Jeśli w rurze zrobi się dziura, trzeba ją jak najszybciej zatkać.

– Ten facet pracuje w Centrali? – wykrztusił Ryan. – Jezu Chryste...

– W Centrali, synu, w samej Centrali – odrzekł Silvestrini.

– Ale ja? – spytał Jack. – Przecież nie jestem agentem. Po co mam tam jechać?

– Żeby wszystkiego dopilnować.

265

– To oczywiste – rzucił Charleston, nie podnosząc głowy znad dokumentów. – I zapewne chcielibyście wysłać tam kogoś, kogo tamci nie znają.

– Właśnie.

– Ale dlaczego akurat mnie?

– Jack – odrzekł uspokajająco sir Basil. – Pojedzie pan tam pro forma, jako zwykły obserwator.

– A moja przykrywka?

– Damy panu nowy paszport dyplomatyczny – odparł Silvestrini. – Będzie pan całkowicie bezpieczny. Konwencja Genewska, i tak dalej.

- Przecież... przecież to zwykła mistyfikacja.
- Tak, drogi chłopcze, ale oni o tym nie wiedzą.
- A mój akcent? – Było boleśnie oczywiste, że mówi z akcentem amerykańskim, nie brytyjskim.
- Akcent na Węgrzech? – rzucił z uśmiechem Silvestrini.
- Jack – wtrącił sir Basil. – Oni mówią tak koszmarnym językiem, że na pewno nie zauważą żadnej różnicy, a jeśli nawet, dzięki nowym dokumentom nie będą mogli pana tknąć.
- Spokojnie, chłopcze – zapewniał Silvestrini. – Będzie pan bezpieczniejszy niż pluszowy miś pańskiej córeczki. Proszę mi zaufać.
- Poza tym przez cały czas będą przy panu nasi ludzie – dodał Charleston.
- Ryan musiał odchylić się w fotelu i wziąć głęboki oddech. Nie mógł wypaść na mięczaka. Nie przed tymi ludźmi, nie przed admirałem Greerem.
- Przepraszam. Po prostu nigdy dotąd nie pracowałem w terenie, to dla mnie... nowość – wyjaśnił z nadzieją, że zabrzmiało to przekonywająco. – Co dokładnie mam robić? Jak się do tego przygotować?
- Poleci pan do Budapesztu. Nasi ludzie odbiorą pana na lotnisku i zawiozą do ambasady. Trochę pan tam posiedzi, przypuszczam, że co najmniej dwa dni, a potem poobserwuje pan, jak Andy ewakuuje Królika. Randy, jak długo to potrwa?
- Rozkręcenie tej imprezy? Myślę, że zaczniemy pod koniec tygodnia, może dzień, dwa dni później. Królik wsiądzie do samolotu albo do pociągu, przyjedzie do Budapesztu, a twój Andy pomyśli, jak go stamtąd wy dostać.
- Zajmie mu to pewnie dwa, trzy dni – spekulował sir Basil. – Nie wolno się za bardzo spieszyć.
- A więc w sumie nie będzie mnie w domu przez cztery dni – obliczył Ryan. – Co powiem...
- Żonie? – wpadł mu w słowo Charleston. – Hmm... Że musi pan wyjechać do Bonn, w sprawach natowskich. Na jak długo? Tego niech pan lepiej nie precyzuje – dodał. Boże, niewinny Amerykanin za granicą. Że też musiał wyjaśniać mu takie sprawy.
- Dobrze – odrzekł Ryan i pomyślał: A mam jakiś wybór?

Wróciwszy do ambasady, Foley wpadł do biura Mike'a Barnes'a. Barnes, attaché kulturalny, był ich oficjalnym znawcą sztuki. Takie przydzielono mu zadanie. Dlaczego? Dlatego, że w Związku Radzieckim kwitło życie kulturalne. Reżim komunistyczny zupełnie nie przejmował się tym, że rozkwitło już przed laty, i to wyłącznie dzięki carom: wszyscy wiecy Rosjanie chcieli uchodzić za kulturowych, lepszych od tych z Zachodu, zwłaszcza od Amerykanów, których „kultura” była dużo młodsza i dużo bardziej prostacka niż kultura ojczyzny Borodina i Rimskiego-Korsakowa. Barnes ukończył Juilliard School i Cornell i uwielbiał rosyjską muzykę.

– Cześć, Mike – rzucił na powitanie Foley.

– Hej, Ed. Jak tam twoi dziennikarze? Szczęśliwi?

– Pewnie tak. Mam pytanie.

– Wal.

– Chcemy z żoną trochę popodróżować. Wiesz, Praga, i tak dalej. Jest tam czego posłuchać?

– Praska orkiestra symfoniczna jeszcze nie rozpoczęła sezonu. Ale w Berlinie występuje teraz Jozsef Rozsa. Potem ma koncerty w Budapeszcie.

Foley drgnął. Serce omal nie wyskoczyło mu z piersi.

– Rozsa? Nie znam. Kto to jest?

– Węgier, kuzyn Mikłosa Rozsy, tego hollywoodzkiego kompozytora, tego od *Ben Hura*.

Widać muzyczna z nich rodzina. Podobno jest świetny. Pewnie w to nie uwierzysz, ale Wę-

gierskie Koleje Państwowe mają orkiestrę symfoniczną i Rozsa będzie nią dyrygował. Możecie tam polecieć albo pojechać pociągiem, zależy, ile macie czasu.

– Hmm, brzmi interesująco... – myślał na głos Foley. Brzmi fascynująco! – krzychał w duchu.

– Na początku przyszłego miesiąca możecie pójść na koncert Moskiewskiej Orkiestry Państwowej. Otwierają sezon z nowym dyrygentem. Anatolij Szejmow. Jeszcze go nie widziałem, ale mówią, że jest bardzo dobry. Mogę załatwić wam bilety, to żaden problem. Rosjanie lubią chwalić się przed cudzoziemcami, no i cudownie grają.

– Dzięki. Zastanowię się. Na razie. – Foley wyszedł.

I uśmiechał się przez całą drogę do gabinetu.

– O żesz ty... – mruknął sir Basil, czytając najświeższą depeszę z Moskwy. – Jaki geniusz to wymyślił? – Zmrużył oczy. Aha, no tak. Ten Amerykanin, Edward Foley. Tylko jak to, do diabła, załatwić?

Miał zaraz wyjść na lunch do pałacu Westminsterskiego i za nic nie mógł się z tego wy-kręcić. Cóż, będzie musiał przemyśleć sprawę przy pieczeni wołowej i puddingu.

– Szczęściarz ze mnie, co? – rzucił Ryan, wróciwszy do gabinetu.

267

– Jack, to bezpieczniejsze niż przejście na drugą stronę ulicy... – Przejście przez ulicę mogło być w Londynie bardzo ożywczym ćwiczeniem.

– Nie o to chodzi. Dam sobie radę, ale jeśli zawalę, oberwie ktoś inny.

– Nie, ty za to nie odpowiadasz. Masz być tylko obserwatorem. Nie znam Andy’ego Hudsona, ale wiem, że ma znakomitą reputację.

– Cudownie – mruknął Ryan. – Pora na lunch. Mam ochotę na piwo.

– Pewnie. To co? Duke of Clarence?

– Duke of Clarence? Czy to nie ten, który utopił się w beczce z winem?

– Są gorsze sposoby śmierci, drogi sir Johnie.

– To była madera?

– Tak, rodzaj madery, mocnej i słodkiej. Ciągłe ją tam wytwarzają. Na Maderze.

No i proszę, pomyślał Ryan, sięgając po płaszcz. Kolejny drobiazg do kolekcji.

Przysługiwało mu dwanaście dni urlopu, sprawdził to w kadrach. Latem nie załapał się z rodziną na Soczi – KGB wyczerpało swój limit miejsc – więc po prostu nigdzie nie wyjechali. Jak w każdym kraju, tu też łatwiej było zaplanować urlop z dzieckiem w wieku przed-szkolnym. Ot, wsiadało się do pociągu i uciekało z miasta. Kierowniczką przedszkola na pewno nie zaprotestuje. Kilka dni bez klocków i kredek? Przecież to nic takiego. Gdyby Swietłana chodziła do podstawówki, byłoby dużo gorzej, bo uczniów niechętnie zwalniano ze szkoły aż na dwa tygodnie.

Pułkownik Roźdiestwienski czytał depezę od pułkownika Bubowoja, którą właśnie przywiózł kurier. A więc tak... Bułgarski premier spełnił prośbę Moskwy, zachowując stosowny takt i nie zadając irytujących pytań. Bułgarzy znali swoje miejsce. A szef ich ponoć niezawisłego państwa umiał przyjmować rozkazy od miejscowego przedstawiciela Komitetu Bezpieczeństwa Państwowego. I tak powinno być, pomyślał Roźdiestwienski. Pułkownik Strokow z Drżawnoj Sigurnosti wybierze teraz zamachowca, bez wątpienia Turka, i operacja

„666” nareszcie ruszy z miejsca. Tak, trzeba zameldować o tym przewodniczącemu Andropowowi...

– Trzy ludzkie... ciała? – powtórzył zaskoczony Kingshot. Był najstarszym agentem terenowym sir Basila, doświadczonym fachowcem, który pracował w każdym większym europejskim mieście, najpierw jako „legalniak”, potem jako konsultant i łącznik londyńskiej kwatery głównej. W sumie miał za sobą trzydzieści siedem lat służby dla królowej i kraju. – Robimy jakąś podmiankę?

– Tak – odrzekł Basil Charleston. – Człowiek, który to wymyślił, musiał czytać o operacji

„Mincemeat”. I najwyraźniej bardzo mu się spodobała.

Operacja „Mincemeat” to jedna z legend drugiej wojny światowej. Opracowano ją po to, żeby Niemcy nabrali przekonania, że kolejną wielką aliancką operacją militarną nie będzie

„Husky”, czyli atak na Sycylię, tylko inwazja na Korsykę. Żeby to zrobić, podrzuciono Niem-268

com zwłoki alkoholika – zmarł z przepicia – z którego po śmierci zrobiono majora Królewskiej Piechoty Morskiej, oficera sztabowego i planistę fikcyjnej inwazji na Korsykę. Marynarsze okrętu podwodnego HMS „Seraph” wyrzucili jego ciało u wybrzeży Hiszpanii. Zostało znalezione na plaży, skwapliwie odwiezione na posterunek policji i zbadane, natomiast teczkę, przykutą łańcuchem do nadgarstka nieboszczyka, przekazano miejscowemu oficerowi Abwehry, który natychmiast wysłał jej zawartość do Berlina. Poskutkowało: Niemcy przerzucili kilka dywizji na wyspę, której jedynym znaczeniem strategicznym był fakt, że urodził się tam Napoleon. „Człowiek, którego nie było”, tak tę historię nazwano. Napisano o niej książkę, nakręcono film, a wszystko po to, żeby po raz kolejny udowodnić, iż niemiecki wywiad był na tyle do niczego, że nie potrafił odróżnić zwłok pospolitego pijaczyny od zwłok zawodowego żołnierza.

– Co jeszcze wiemy? – spytał Kingshot. – W jakim mają być wieku, jakiej płci...

– Jaki kolor włosów, i tak dalej, i tak dalej. Ważne będzie również to, jak umarli... Cóż, na razie nie znamy szczegółów. Spróbujmy zatem odpowiedzieć na pytanie ogólne: czy to wykonalne?

– Teoretycznie tak, ale bez szczegółów nie da rady. Wzrost, waga, kolor oczu, włosów, no i na pewno płeć. Bez tego ani rusz.

– Pomyśl o tym, Alan. Do jutra w południe dostarcz mi specyfikację.

– Gdzie to ma być?

– W Budapeszcie.

– To już coś... – Kingshot wyszedł.

– Makabra – wymamrotał sir Basil. – Co za makabra...

Andy Hudson siedział w gabinecie, odpoczywając po lunchu w pubie ambasady i po kuflu dobrego piwa. Mężczyzna krzepki, acz niewysoki, miał na koncie osiemdziesiąt dwa skoki spadochronowe i pokierosowane kolana na dowód, że naprawdę je oddał. Przed ośmioma laty odszedł z czynnej służby, ale ponieważ lubił życie pełne podnieć, wstąpił do wywiadu i dzięki swym wybitnym zdolnościom językowym zrobił tam szybką karierę. Tu, w Budapeszcie, zdolności te bardzo mu się przydały. Język węgierski należy do grupy języków ugrofińskich. Jego najbliższym lingwistycznym sąsiadem jest fiński, a potem mongolski.

Nie jest spokrewniony z żadnym europejskim językiem, nie licząc kilku swojsko brzmiących imion, które przyswoił, gdy Węgrzy przyjęli chrześcijaństwo, wybiwszy uprzednio tylu misjonarzy, że w końcu im się to znudziło. Gdzieś po drodze zagubili również swój żołnierski etos i byli teraz najmniej wojowniczym narodem na kontynencie.

Umieli za to spiskować i, jak każde społeczeństwo, mieli swój element przestępczy, z tym że element ten niemal w całości wstąpił do partii i zasiadał teraz w organach władzy państwowej. Ich tajna policja, Allavedelmi Hatóság, potrafiła być równie wredna jak Czeka za rządów Żelaznego Feliksa. Ale wredna nie znaczy skuteczna. Wrodzoną niewydolność jej funkcjonariusze odbijali sobie sadystycznym traktowaniem tych, których niechcący zdołali dopaść. Policjantów też mieli beznadziejnie głupich; „Głupi jak sześć par policyjnych buciorów”: takie krążyło tu powiedzenie, powiedzenie bardzo prawdziwe, o czym Hudson prze-269

konał się na własnej skórze. Do policji londyńskiej się nie umywali, ale cóż, Budapeszt to nie Londyn.

Szczerze mówiąc, przyjemnie mu się tu żyło. Budapeszt był zaskakująco pięknym miastem, bardzo francuskim pod względem architektonicznym i, jak na stolicę komunistycznego państwa, zaskakująco luzackim. Jedzenie też mieli wyborne, nawet w tanich państwowych barach, które widziało się tu na każdym rogu ulicy, i w których potrawy nie były może zbyt wyszukane, ale bardzo smaczne. Transport miejski jak najbardziej odpowiadał jego celom, a te sprowadzały się głównie do zbierania informacji politycznych. Miał informatora, pracownika Ministerstwa Spraw Zagranicznych, który dostarczał mu bardzo cennych materiałów na temat polityki Układu Warszawskiego i krajów Bloku Wschodniego w ogólności.

Facet robił to oczywiście za gotówkę, ale miał tak małe oczekiwania, że była to gotówka bardzo niewielka.

Podobnie jak reszta Europy Środkowej, Budapeszt wyprzedzał Londyn dokładnie o godzinę. Do drzwi zapukał goniec. Zapukał, zajrzał do gabinetu i rzucił mu na biurko kopertę.

Hudson odłożył cygaretkę. Przesyłka z Londynu. Od samego sir Basila...

O cholera. Zanosiło się na coś interesującego.

Więcej szczegółów wkrótce – tak kończył się list. Święta prawda. Szczegóły poznawało się zwykle tuż przed wkroczeniem do akcji. Sir Basil był niezłym szefem, ale, jak większość szefów, uwielbiał demonstrować swoją bystrość tudzież inteligencję, za czym agenci nie przepadali, zwłaszcza ci harujący w terenie, gdzie pszczołki musiały uważać na osy. Zespół

Hudsona liczył trzech ludzi – trzech łącznie z nim. Budapeszt nie był dużą placówką, a on traktował ją jak przystanek w podróży do znacznie ciekawszych krajów. Był młody jak na szefa ekspozytury. Sir Basil dał mu szansę. I dobrze. Większość szefów placówek siedziało w gabinecie niczym pajak na pajęczynie, co – choć wyglądało dramatycznie – było w sumie nudne, gdyż polegało na pisaniu niekończących się raportów. Dlatego niektóre operacje prowadził osobiście. Co z kolei pociągało za sobą ryzyko wpadki. Niedawno wpadł Jim Szell

– informator o kryptonimie Boot, agent AVH, doniósł mu, że był to po prostu głupi pech, nic więcej. Ale cóż, na niebezpieczeństwie polegał urok tej pracy. Była na pewno bezpieczniejsza niż skok z ładowni Lockheeda Herculesa z bronią, racjami żywnościowymi i sprzętem o wadze dwudziestu siedmiu kilogramów na karku. Bezpieczniejsza niż patrolowanie ulic w Bel-faście. Ale to właśnie na ulicach Ulsteru nauczył się tego, dzięki czemu był teraz dobrym agentem. Nie ma słodczy bez goryczy, jak to w życiu. Z tym, że on wolał gorycz piwną, taką mierzoną na kufle.

A więc miał ewakuować Królika. Zadanie nie powinno być trudne, chociaż facet musiał

być kimś ważnym, ponieważ CIA poprosiła o pomoc „Szóstkę”, co nie zdarzało się codziennie. Zdarza się tylko wtedy, kiedy jankesi coś spieprzą, pomyślał. A więc jednak często.

Na razie nie miał nic do roboty. Musiał poczekać na szczegóły, chociaż owszem, wiedział

już, jak taką operację przeprowadzić. W sumie to nic trudnego. Węgry nie należeli do wymagających przeciwników. Jak mogli nimi być, skoro wierzyli w cały ten marksizm tak samo jak on? Dlatego wysławszy do Century House depeszę potwierdzającą otrzymanie przesyłki, spokojnie oczekiwał dalszego rozwoju wypadków.

W południe poleciał do Moskwy dwusilnikowy boeing 737 British Airways. Lot trwał

zwykle około czterech godzin, zależnie od wiatrów, które tego dnia były w miarę spokojne.

Na lotnisku Szeremietiewo kurier błyskawicznie zaliczył wszystkie odprawy – nie ma to jak charakterystyczny płócienny worek i dyplomatyczny paszport – po czym wsiadł do czekają-

cego nań samochodu. Bywał w Moskwie na tyle często, że zarówno kierowca, jak i wartownicy znali go z widzenia, a on z kolei nie musiał pytać już o drogę w gmachu ambasady. Oddawszy przesyłkę, poszedł do stołówki na hot doga i piwo, po czym usiadł w fotelu z naj-nowszym kryminałem w rękę. Czytając, pomyślał, że powinien chyba trochę poćwiczyć, bo nic tylko ciągle siedzi, albo w samolocie, albo w samochodzie. Że to chyba niezdrowo.

Mike Russell spojrział na blok jednorazówek z nadzieją, że nie będzie musiał zużyć ich wszystkich jednego dnia. Czysty obłąd. Już sama myśl o mozolnym zamienianiu jednej literki na drugą doprowadzała go do szaleństwa. Przecież musiał istnieć inny sposób, sposób łatwiejszy. Po to właśnie zbudowano maszynę szyfrującą KH-7, ale Foley twierdził, że nie jest w pełni bezpieczna, co rozwścieczyło go jako zawodowca. KH-7 była najbardziej wyrafinowaną maszyną szyfrującą, jaką kiedykolwiek skonstruowano, łatwą w użyciu i zupełnie niemożliwą – tak dotąd myślał – do rozpracowania. Znał matematyków, którzy wymyślili te cholerne algorytmy. Zastosowane w nich formuły algebraiczne były tak piekielnie skomplikowane, że aż niezrozumiałe... Sęk w tym, że to, co jeden matematyk wyduma, drugi szybko skuma. A Rosjanie mieli dobrych matematyków. Stąd właśnie ten koszmar: system łączności, szyfry, których miał strzec, zostały złamane przez przeciwnika.

On, Mike Russell, nie mógł się z tym pogodzić.

Dlatego bez względu na niewygodę, do szyfrowania superważnych depeesz musiał używać tych upiornych jednorazówek. Nie, żeby prowadził w Moskwie bujne życie towarzyskie. Przeciętny Rosjanin uważał, że ciemna skóra jest oznaką spokrewnienia z nadrzewną małpą afrykańską, co dla Russella było na tyle obraźliwe, że po prostu z nikim o tym nie rozmawiał, gromadząc w sercu kipiący gniew, gniew porównywalny z tym, jaki odczuwał

do członków Ku-Klux-Klanu, zanim FBI nie wykluczyło tych kutasów z gry. Może wciąż go nienawidzili, ale baran może pożądać wielu owiec i wcale ich nie zerznąć: podobnie było z nimi, z tymi bigotami, z kretynami, którzy zapomnieli, że jak by na to patrzeć, Ulysses Simpson Grant pokonał Bobby'ego Lee. Mogli go nienawidzić ile dusza zapagnie, ale perspektywa więzienia stanowego w Leavenworth skutecznie zatrzymywała tych durniów w małych, ciemnych, zarobaczonych norach. Ruscy są tacy sami, myślał. Rasiści. I ostatnie chamy. Ale co tam. Miał swoje książki, taśmy z dobrym jazzem i premię za pracę w trudnych warunkach terenowych. A tymczasem pokaże tym czerwonym sukinsynom depeesz nie do rozszyfrowania. Foley ewakuuje stąd swego Królika. Na sto procent. Podniósł słuchawkę telefonu i wybrał odpowiedni numer.

– Foley.

– Hej, mówi Mike. Mógłbyś do mnie wpaść?

– Już idę. – Cztery minuty później: – No?

Russell pokazał mu jednorazówki.

271

– Tylko trzy bloczki. Jeden dla nas, drugi dla Langley, trzeci dla Fort Meade. Chciałeś pełnego bezpieczeństwa, będziesz je miał. Tylko pisz krótko, dobra? Bo jak patrzę na to gówno, od razu skacze mi ciśnienie.

– Jasne. Szkoda, że nie ma lepszego sposobu.

– Może kiedyś... Cholera, nie wierzę, żeby nie można było zrobić tego na komputerze.

Wiesz, przekopiować toto na flopasa czy na coś... Może napiszę o tym do Fort Meade. Od tego tu dostanę zeza...

Lepiej ty niż ja, pomyślał Foley.

– Dobra. Po południu będę coś dla ciebie miał.

– Ok – Russell kiwnął głową. Nie musiał dodawać, że depeza zostanie zaszyfrowana na KH-7, a potem zaszyfrowana ponownie, na jednorazówce. Miał nadzieję, że ruscy przechwycą sygnał i dadzą swoim kryptoanalitykom do wiwatu. Myśl, że próbując złamać nowy kod, te sukinsyny będą wrywać sobie włosy ze łba, niezmiennie wywoływała uśmiech na jego twarzy. Świetnie, chcecie, to macie. Niech wasze matematyczne asy doszczętnie zgłupieją.

Ale z komuchami nigdy nic nie wiadomo. Jeśli KGB zdołało zainstalować w gmachu

„pluskwę”, nie będzie zasilala jej bateria, tylko promieniowanie mikrofalowe z Najjaśniejszej Paniienki od Mikrochipów po drugiej stronie ulicy. Dwóch ludzi z podległego mu personelu regularnie sprawdzało każdą dziurę w poszukiwaniu niewyjaśnionych sygnałów radiowych. Bywało, że znajdowali „pluskwę” i wydłubywali ją ze ściany, ale ostatnią znaleźli prawie przed dwoma laty. Teraz twierdzili, że gmach jest czysty, ale nikt w to nie wierzył.

Ruscy byli na to za sprytni, i tyle. Zastanawiał się, jak Foley utrzymuje w tajemnicy swoją prawdziwą tożsamość, ale był to problem Foleya, nie jego. Jemu wystarczyło to, że pilnował szczelności systemów komunikacyjnych.

Ed napisał depeszę do Langley, starając się – ze względu na Russella – pisać jak najkró-

cej. Ci z szóstego piętra powinni wreszcie przejrzeć na oczy. Miał nadzieję, że Anglicy niczego im jeszcze nie sprzedali. Popęniliby cholernie niestosowną gafę, a niestosownych gaf nie lubił żaden wysoki urzędnik. Problem w tym, że czasami nie starczało czasu na wysłanie wiadomości zwykłymi kanałami, a od niego, szefa ekspozytury, oczekiwano, żeby choć raz wykazał się inicjatywą.

Inicjatywą i odrobiną polotu.

Zerknął na zegarek. Tego dnia włożył swój najczerwieńszy krawat: za pięćdziesiąt minut miał wsiąść do metra i Królik musiał go w nim zobaczyć. Cichutki głosik w jego głowie powtarzał nieustannie, że operację „Beatrix” należy rozpocząć jak najszybciej. Nie wiedział, czy będzie to niebezpieczne dla Królika, czy dla kogoś innego, ale zawsze ufał instynktowi.

272

Rozdział 21

Urlop

Łapać zawsze ten sam pociąg – w sumie to nie takie łatwe. Zarówno Królik, jak i Foley wykorzystywali do tego celu nieludzką wprost efektywność jedyne go aspektu życia, który w Związku Radzieckim funkcjonował zupełnie normalnie. To zadziwiające, lecz aspektem tym były pociągi kursujące z regularnością zachodów słońca, z tym że o wiele częściej. Ed oddał

depeszę Russellowi, włożył płaszcz, wyszedł z ambasady dokładnie wtedy, kiedy było trzeba, ruszył przed siebie tym samym co zawsze krokiem, znalazł się na peronie dokładnie o czasie, po czym zadarł głowę, żeby sprawdzić to na zwisającym z sufitu zegarze. Tak, udało się, kolejny już raz. Jeden pociąg odjechał, drugi przyjechał: Foley wszedł – do tego samego wagonu co zwykle – odwrócił się i... Jest! Rozłożył gazetę. Rozpiął płaszcz, który zwisnął mu z ramion jak z wieszaka.

Zajcew był zaskoczony, widząc czerwony krawat, lecz bynajmniej nie zamierzał narzekać. Powolutku, jak zwykle, ruszył w odpowiednim kierunku...

To już niemal rutyna, pomyślał Ed. Poczł, jak ręka Rosjanina wsuwa się ukradkiem do kieszeni płaszcza i jak z niej umyka. Wyostrzone zmysły podpowiedziały mu po chwili, że Królik się cofnął. Miał nadzieję, że już nie będą musieli tego robić. Kontakt „na kieszeń” był

bezpieczny dla niego, lecz zdecydowanie niebezpieczny dla Zajcewa, bez względu na to, do jakiej doszedł w tym wprawy. Wśród pasażerów wagonu – wśród twarzy, które zaczynał już rozpoznawać – mogli być pracownicy Drugiego Zarządu Głównego. Mogli go obserwować, na zmianę, grupkami. Tak byłoby sensownie, bo wtedy pewnie by ich nie zauważył.

Tak jak co dzień, pociąg zatrzymał się na przystanku i Foley wysiadł. Za kilka tygodni będzie musiał ocieplić płaszcz podpinką, może nawet włożyć futrzaną czapkę od Mary Pat.

Będzie musiał też pomyśleć o tym, co zrobi po ewakuacji Królika. Wiedział, że jeśli „Beatrix”

wypali, nie pozostanie mu nic innego jak robić dalej to, co dotąd robił, przynajmniej przez jakiś czas. Może tylko przetrzeć się na samochód. Odstępstwo od rutyny, ale Rosjanie uznają to za coś normalnego. Ostatecznie był Amerykaninem, a Amerykanie słynęli z tego, że wszędzie jeżdżą samochodem. Metro zaczynało go nużyć. Wagony były zbyt zatłoczone, często ludźmi, którzy nie wiedzieli, do czego służy przysznic. Boże, czego nie robi się dla kraju, pomyślał. Nie, poprawił się w duchu. Czego nie robi się, żeby pokonać wroga. A pokona-nie wroga było warte każdego poświęcenia. Przyprawić starego niedźwiedzia o ból brzucha, dumał, wchodząc do mieszkania. Może nawet zarazić go rakiem żołądka...

– Tak? – rzucił Charleston, podnosząc wzrok znad papierów.

– Rozumiem, że to duża operacja – zaczął Kingshot.

– Duża i poważna, jeśli chodzi o sam cel, ale rutynowa pod względem technicznym. W

Budapeszcie mamy tylko trzech ludzi i wysłanie tam bandy zbirów nie byłoby posunięciem zbyt błyskotliwym.

– Jedzie z nami ktoś jeszcze?

– Jack Ryan, ten Amerykanin.

– On nie jest agentem – zaprotestował natychmiast Kingshot.

273

– Alan, zasadniczo rzecz biorąc, jest to operacja amerykańska. Amerykanie zażądali, i doskonale ich rozumiem, żeby uczestniczył w niej obserwator z ramienia CIA. W zamian za to dadzą nam dzień, dwa dni czasu na przesłuchanie Królika. Nie ulega wątpliwości, że ten człowiek dostarczy nam bardzo cennych informacji, poza tym porozmawiamy z nim jako pierwsi.

– Cóż, mam tylko nadzieję, że ten Ryan niczego nie spieprzy.

– Udowodnił już, że w sytuacji krytycznej potrafi zachować zimną krew, prawda? – spytał trzeźwo sir Basil.

– Pewnie dlatego, że służył w piechocie morskiej – przyznał niechętnie Kingshot.

– I jest bardzo inteligentny. Jego analizy gospodarcze są naprawdę znakomite.

– Skoro tak pan mówi... Żeby wytrzasnąć te zwłoki, będę potrzebował pomocy kogoś z wydziału specjalnego. Potem pozostanie mi tylko paść na kolana i prosić Boga o coś potwor-nego

– To znaczy?

Kingshot przedstawił mu koncepcję planu operacyjnego. Fakt, innym sposobem nie da-

łoby się tego załatwić. I, jak zauważył wcześniej sir Basil, był to sposób równie makabryczny, jak sekcja zwłok.

– Często się to zdarza?

– Nie wiem – odparł Kingshot. – Muszę pogadać o tym z kimś z policji.

– Masz tam kogoś?

– Komisarza Patricka Nolana. Zna go pan. Charleston zamknął oczy.

- Wielki, krzepki facet, który w ramach lekkich ćwiczeń fizycznych aresztuje naszych najlepszych rugbystów?
- Zgadza się. Maleńki. Tak go nazywają. Na śniadanie jada pewnie owsiankę i zagryza ją hantlami. Mogę powiedzieć mu o tej operacji?
- Tak, ale tylko to, co musi wiedzieć, nic więcej.
- Oczywiście. – Kingshot wyszedł.
- Że co? – spytał znad kufla Nolan. Było kilka minut po czwartej i siedzieli w pubie niedaleko nowej siedziby Scotland Yardu.
- To, co mówię – odparł Kingshot. Zapalił papierosa, żeby nie wyróżniać się w tłumie gości.
- Służąc w policji, słyszałem dużo dziwnych rzeczy, ale to... – Nolan mierzył metr dziewięćdziesiąt, ważył sto cztery kilogramy i nie miał na ciele prawie ani grama zbędnego tłuszczu. Trzy razy w tygodniu ćwiczył przez godzinę w policyjnej siłowni. Na służbie rzadko kiedy nosił broń. Po co mu była broń, skoro każdy przestępca natychmiast dostrzegał
- bezsens stawiania jakiegokolwiek oporu? – Możesz powiedzieć po co?
- Przykro mi, ale nie. Ale mogę cię zapewnić, że to bardzo ważne. Nolan pociągnął długi łyk piwa.

274

- Wiesz, nie trzymamy takich... rzeczy w chłodni.
- A wypadki drogowe? Przecież wypadki są codziennie.
- Tak, ale trzyosobowa rodzina? Mało prawdopodobne.
- Ale prawdopodobne. Bardzo?
- Bo ja wiem... W ciągu roku mamy najwyżej dwadzieścia takich... No wiesz, takich po-trójnych. Brak w tym jakiegokolwiek regularności. I gwarancji, że w tym czy innym tygodniu znajdziemy trzy trupy naraz.
- Hmm, w takim razie musimy liczyć na fart. A jeśli się nam nie poszczęści... Cóż, trudno. – Kiepska sprawa. Może lepiej by było zwrócić się o pomoc do Amerykanów. Ostatecznie rok w rok na ich drogach ginęło co najmniej pięćdziesiąt tysięcy ludzi. Kingshot postanowił

zasugerować to sir Basilowi.

- Na fart? – mruknął Nolan. – Nie wiem, czy to dobre słowo.
- Przestań. Przecież wiesz, o co mi chodzi Mogę tylko powtórzyć, że to cholernie ważne.
- No dobra, załóżmy, że mamy wypadek. Co wtedy?
- Zabieramy zwłoki i...
- A rodzina ofiar?
- Wpakujemy do toreb coś ciężkiego. Trumny? Ze względu na stan zwłok nie będzie można ich otworzyć.
- A potem?
- Potem zajmą się nimi nasi ludzie. Nie musisz znać szczegółów. – Wywiad i policja utrzymywały bliskie, a nawet serdeczne stosunki, ale na tym się kończyło.

Nolan dopił piwo.

- Fakt – odchrząknął. – Nocne koszmary zostawiam tobie. – Jakimś cudem udało mu się nie wzdrygnąć. – Rozumiem, że mam zacząć od zaraz, tak?
- Tak, natychmiast.
- I mieć oko na różne wypadki, nie tylko... trzyosobowe.
- Oczywiście. – Kingshot kiwnął głową. – Jeszcze po jednym?
- Dobry pomysł. Wiesz, chciałbym się kiedyś dowiedzieć, do czego mnie wykorzystuje-cie.

Kingshot przywołał kelnera.

- Na pewno się dowiesz. Przejdziemy na emeryturę, a wtedy wszystko ci opowiem. Będziesz z siebie dumny, zobaczysz. Mogę ci to obiecać.
- Skoro tak mówisz... – Nolan przestał drażnić temat. Przynajmniej na razie.
- Co to, do diabła, jest? – rzucił sędzia Moore, przeczytawszy najświeższą depezę z Moskwy. Podał ją Greerowi, a ten Bostockowi.
- Ten twój Foley ma bujną wyobraźnię – zauważył admirał.

– Moim zdaniem to pomysł Mary Pat. Niezły z niej kowboj, a raczej kowbojka. Bardzo oryginalne...

– Oryginalne? – Moore przewrócił oczami. – To chyba złe określenie. Dobra. Oryginalne czy nie, najważniejsze, czy wykonalne. Mike?

– Teoretycznie tak – odrzekł Bostock. – Podoba mi się sama koncepcja. Ewakuować Kró-

lika w taki sposób, żeby Rosjanie nic o tym nie wiedzieli. To ma styl, panowie – zauważył z podziwem. – Najbardziej makabryczne jest to, że potrzebowalibyśmy trzech zwłok, w tym zwłok dziecka.

Ani jeden z nich nie zadrżał na tę myśl. Najzimniejszą krew zachował sędzia Moore, któ-

ry napatrzył się na takie rzeczy już przed trzydziestoma laty. Ale przed trzydziestoma laty trwała wojna i zasady gry były dużo luźniejsze. Chociaż nie na tyle luźne, żeby nie miał wyrzutów sumienia. To właśnie dlatego na powrót zajął się prawem. Nie mógł już naprawić zła, które wyrządził, mógł jedynie złu zapobiegać. Coś w tym rodzaju, myślał. Coś w tym rodzaju...

– Ale dlaczego akurat wypadek? – spytał. – Dlaczego nie pożar? Pożar odpowiadałby bardziej naszym założeniom taktycznym, prawda?

– Celna uwaga – zgodził się z nim Bostock. – Mniej urazów fizycznych.

– Przekażę to Basilowi. – Sędzia zdał sobie sprawę, że nawet najbardziej światli ludzie są do pewnego stopnia ograniczeni. Cóż, właśnie dlatego powtarzał podwładnym, żeby starali się myśleć niekonwencjonalnie. I od czasu do czasu któryś z nich myślał. Ale tylko od czasu do czasu.

– Panowie – rzekł po dłuższym namyśle Bostock. – Jeśli nam się uda, będzie to prawdziwa bomba.

– „Jeśli” to bardzo pojemne słowo, Mike – zauważył Greer.

– Cóż, może tym razem butelka jest w połowie pełna... Dobrze. Głównym celem misji jest ewakuowanie Królika, ale gąsce przydałaby się czasem odrobina sosu.

– Hmm... – burknął Greer.

– Zadzwońię do FBI – powiedział Moore – do Emila. W sumie to jego działka.

– Arthurze, a jeśli przyczepi się do tego jakiś adwokat? Co wtedy?

– James, na adwokatów są sposoby.

Na przykład spluwa, pomyślał Greer i kiwnął głową. Krok po kroku. To dobra zasada, zwłaszcza w tej zwariowanej pracy.

– Jak ci dzisiaj poszło, kochanie? – spytała Mary Pat.

– Nijak, jak zwykle – odrzekł Foley pod mikrofonową publiczkę. O wiele istotniejsze by-

ło to, że pokazał jej uniesiony kciuk i wyjętą z kieszeni karteczkę. Byli umówieni, w konkretnym miejscu, o konkretnej godzinie. Miała się tym zająć Mary Pat. Przeczytała wiadomość i kiwnęła głową. Zabierze małego Eddiego na spacer, na kolejne spotkanie ze Swietlaną. Reszta będzie stosunkowo prosta. Królik wyjedzie, a ponieważ pracował w KGB, nie powinien

mieć z tym większych kłopotów. Ostatecznie Centrala to Centrala. Ewakuowali nie byle ko-go, szlachcica, a nie zwykłego robola z fabryki metalowych wihajstrów.

Na obiad był stek, pewnie dlatego, że Mary Pat chciała to uczcić. Napaliła się tak samo jak on, może nawet bardziej. Przy odrobinie szczęścia, dzięki operacji „Beatrix” wyrobią sobie znakomitą reputację, a oboje bardzo tego pragnęli.

Ryan wrócił do Chatham jak co dzień, tym samym pociągiem. Żona znowu go wyprze-dziła, ale miała pewnie normalny dzień i wyszła wcześniej z pracy, jak wszyscy lekarze, z którymi pracowała. Zastanawiał się, czy nie wejdzie jej to w krew, czy nie będzie wracała przed nim w Stanach. Nie, pewnie nie. Bernie Katz nie znosił zaległych spraw i niezbadanych pacjentów, a tutejsze zwyczaje doprowadzały żonę do pijaństwa. Dobrze w tym było tylko to, że ponieważ w tym tygodniu też nie miała żadnych zabiegów, do kolacji będą mogli napić się wina.

Zastanawiał się też, na jak długo go tam wyślą. Nie przywykł do wyjazdów. Jednym z plusów bycia analitykiem było to, że pracował w biurze, a potem wracał do domu. Zawsze sypiali razem, w jednym łóżku: w ich związku była to niemal święta zasada. Budząc się o trzeciej nad ranem, lubił ją całować i patrzeć, jak uśmiecha się przez sen. Cathy była jego życiową kotwicą, ośrodkiem jego wszechświata. A teraz będzie musiał ją zostawić i wcale mu się to nie podobało. Nie podobało mu się również to, że znowu będzie musiał wsiąść do samolotu, polecieć do tych przeklętych komuchów z fałszywymi dokumentami w kieszeni i nadzorować tam tajną operację wywiadowczą. Ni cholery się na tym nie znał, a o tego rodzaju akcjach słyszał tylko od agentów terenowych w Langley. Fakt, przeżył swoje. Tu, w Londynie, i w Chesapeake, gdy Sean Miller wpadł do jego domu z bandą terrorystów i z pluja-

cymi ogniem pistoletami. Bardzo próbował o tym zapomnieć. Pewnie byłoby inaczej, gdyby został w piechocie, ale wtedy otaczaliby go bracia żołnierze. Pławiłby się w ich szacunku, wspominałby swoje wyczyny, dumny, że zrobił, co trzeba, opowiadałby o nich przy piwie, przekazywałby kolegom

nabyte w walce doświadczenia taktyczne, a nawet śmiałyby się z czegoś, z czego ludzie zwykle się nie śmieją. Ale odszedł z piechoty z przetrąconym kręgo-słupem i musiał walczyć jak wystraszony cywil. Ale ktoś powiedział mu kiedyś, że odwaga to świadomość, że jest się jedynym, który wie, jak wielkie ogarnia cię przerażenie. I tak, kiedy było trzeba, wykazał się odwagą. A na Węgrzech będzie musiał tylko obserwować, a potem – co ważniejsze – przysłuchiwać się rozmowom Anglików z Królikiem, zanim Amerykanie nie zawiozą go na lotnisko RAF-u w Bentwaters i nie wsadzą go na pokład KC-135, zaopatrzonego w dobre jedzenie i wodę, żeby lot przebiegał milej.

Wysiadł, wszedł schodami na górę i złapał taksówkę. W domu stwierdził, że Cathy odesłała już Margaret i że jest w kuchni, w towarzystwie Sally.

– Cześć, skarbie. – Cmok, cmok. Wziął córkę na ręce i przytulił. Małe dziewczynki cudownie się przytulają.

– No i? – zaczęła Cathy. – Co z tą ważną wiadomością?

– E tam, nic takiego. W sumie jestem chyba rozczarowany...

Spojrzała mu w oczy. Jack nie umiał kłamać. Między innymi dlatego go lubiła.

– Aha.

277

– Jak Bożę kocham. – Znał to spojrzenie i wiedział, że coraz bardziej się przed nią po-grąza. – Ani mnie nie postrzelili, ani nic.

– Dobrze. – odparła, co znaczyło: Pogadamy potem. Znowu spieprzyłem, pomyślał Ry-an.

– Jak tam twoje okulary?

– Przyjęłam sześciu pacjentów. Starczyłoby mi czasu na ośmiu czy dziewięciu, ale tylko tylu miałam na liście.

– Powiedziałaś Berniemu, co się u was dzieje?

– Dzwoniłam do niego wczoraj, zaraz po powrocie do domu. Obsmiał się i kazał mi cieszyć się urlopem.

– Wspomniałaś o tym facecie, którego operowali po piwie? Żona przestała mieszać w garnku.

– Tak. Powiedział, cytuję: „Jack pracuje w CIA. Niech tych sukinsynów zastrzeli”. Koniec cytatu. – Wróciła do gotowania.

– Musisz mi powiedzieć, że tego nie robimy. – Jack zdołał wykrzesać z siebie słaby uśmiech. Tu przynajmniej nie skłamał i miał nadzieję, że Cathy to wyczuje.

– Wiem. Zagryzłoby cię sumienie.

– Jest za bardzo katolickie.

– To dobrze. Przynajmniej mnie nie zdradzasz.

– Niechaj Bóg pokarze mnie rakiem, gdybym cię zdradził. – Było to jedyne zastosowanie słowa „rak”, które akceptowała w takich rozmowach.

– Nie będziesz miał powodu. – Fakt. Nie lubiła broni, nie lubiła rozlewu krwi, ale naprawdę go kochała. To mu wystarczało.

Kolacja, zwykłe wieczorne zajęcia, wreszcie nadeszła pora, żeby ich czterolatka włożyła żółte śpioszki i zaległa w swoim dorosłym łóżku.

Ponieważ mały Jack też już podsypiał, włączyli telewizor, żeby jak co dzień pogapić się bezmyślnie w ekran. To znaczy, miał nadzieję, że się pogapią, dopóki...

– No dobrze. Powiedz, co się stało.

– Nic takiego. – Zdawał sobie sprawę, że gorzej odpowiedzieć nie mógł. Cathy za dobrze czytała w jego myślach.

– To znaczy?

– Muszę wyjechać do Bonn. – Jack przypomniał sobie radę sir Basila. – Wlepili mi pewną sprawę, coś z NATO.

– Jaką sprawę?

– To tajemnica, kotku.

– Na długo?

278

– Na trzy, cztery dni. Z jakiegoś durnego powodu uważają, że jestem jedynym, który się do tego nadaje.

– Aha. – Jego połowiczna prawdomówność skołowała ją na tyle, że choć raz nie potrafiła zgadnąć, o

czym myśli.

– Ale jedziesz bez broni, tak?

– Skarbie, jestem analitykiem, a nie agentem. Nie mam z bronią nic wspólnego. Poza tym myślę, że nawet agenci jej nie noszą. Gdyby ktoś coś zauważył, musieliby się gęsto tłumaczyć.

– Ale...

– James Bond występuje tylko w filmach, kotku.

Wbił wzrok w ekran telewizora. Na ITV ponownie leciał *Danger-UXB* i zastanawiał się przez chwilę, czy saper Brian przeżyje sto kolejnych bomb, żeby po powrocie do cywila oże-nić się z Suzy. Saper. To jest dopiero koszmarnie zajęcie. Ale jeśli saper popełni błąd, przynajmniej go długo nie boli.

– Są jakieś wiadomości od Boba? – spytał Greer.

Sędzia Moore wstał ze swego luksusowego fotela i się przeciągnął. Za dużo siedział, za mało się ruszał. W Teksasie miał małe ranczo. Ranczo nazywało się ranczem, bo trzymał na nim trzy konie rasy Appaloosa; konia trzymał każdy szanujący się Teksaszczyk, inaczej nie byłby prawdziwym Teksaszczykiem. Trzy, cztery razy w tygodniu siodłał któregoś z nich i jechał na godzinną przejażdżkę, głównie po to, żeby oczyścić głowę ze starych myśli i pomy-

śleć na świeżo. Bo najlepiej myślało mu się poza biurem. Pewnie dlatego był w Langley tak mało twórczy. Gabinet nie jest najlepszym miejscem do myślenia, chociaż każdy dyrektor na świecie udawał, że jest. Bóg wie dlaczego. Tak, w Langley przydałaby się stajnia. Mieli tu dużo miejsca, pięć razy więcej niż on w Teksasie. Ale gdyby sprowadził tu konie, buchnęły-by plotki: dyrektor Centralnej Agencji Wywiadowczej lubi jeździć konno. Wkłada czarny kapelusz kowbojski – kapelusz był nieodzowny – przypina do pasa colta – colt był nieobo-wiązkowy – i cwałuje po Langley. Nie, nie. Fotoreporterzy z ekip telewizyjnych, którzy prę-

dzej czy później przyczailiby się za płotem ze swoimi minikamerami, uznaliby, że nie licuje to z jego stanowiskiem. I tak oto osobista próżność odbierała mu możliwość twórczego my-

ślenia. Żeby takie coś miało wpływać na wydajność jego pracy! Czysty obłąd. Basil uganiał

się w Anglii za lisami na grzbiecie dorodnego huntera, i czy kogoś to obchodziło? Nikogo.

Tam by go za to podziwiano, w najgorszym wypadku uważano by, że jest troszkę ekscentryczny, i to w kraju, gdzie ekscentryczność była cechą godną pozazdroszczenia. Ale tu, w Kraju Ludzi Wolnych, musiał oddać się w niewolę zwyczajom narzuconym przez dziennikarzy i demokratycznie wybranych urzędasów, którzy rznąli swoje sekretarki. Cóż, kto powiedział, że światem kierują sensowne zasady?

– W sumie żadnych. Przysłał telegram, w którym pisze, że spotkania z Koreańczykami przebiegają bardzo dobrze.

– Wiesz, ci ludzie mnie trochę przerażają – wyznał Greer. Nie musiał tłumaczyć dlaczego. Agenci Koreańskiej Centralnej Agencji Wywiadowczej rozprawiali się trochę nazbyt brutalnie z pracownikami rządu drugiej Korei. Obowiązywały tam inne reguły gry. Korea Pół-

279

nocna i Południowa były w stanie wojny, a w stanie wojny ginęli ludzie. CIA nie robiła czegoś takiego od niemal trzydziestu lat. Azjaci nie przyswoili sobie wartości ludzkiego życia i rozumieli tę wartość zupełnie inaczej niż mieszkańcy Zachodu. Może dlatego, że oba kraje były bardzo przeludnione. Może dlatego, że mieli inne przekonania religijne. Może jeszcze coś innego, ale bez względu na przyczynę, uważali, że w swej działalności podlegają dużo mniejszym restrykcjom operacyjnym – dużo mniejszym albo żadnym.

– To nasze najlepsze oczy i uszy na Koreę Północną i Chiny, James – przypomniał mu sędzia. – I bardzo wierni sojusznicy.

– Wiem, Arthurze. – Miło było usłyszeć coś o Chińskiej Republice Ludowej, przynajmniej od czasu do czasu. Spenetrowanie tego kraju należało do najcięższych zadań i największych wyzwań CIA. – Wolałbym tylko, żeby nie mordowali ludzi, a jeśli już, to nie z taką kawaleryjską fantazją.

– Pracują w ramach dość ścisłych reguł i wygląda na to, że stosują się do nich obie strony.

Zarówno w Korei Północnej, jak i Południowej zabójstwa były zatwierdzane na najwyż-

szym szczeblu; nie, żeby robiło to zasadniczą różnicę dla nieboszczyka. „Mokre” operacje przeszkadzały w realizacji zadania głównego, czyli w zbieraniu informacji. Było to coś, o czym zwykli ludzie często zapominali, jednocześnie coś, co CIA i KGB dobrze rozumiały, i między innymi właśnie dlatego obie agencje próbowały tego unikać.

Ale kiedy taka czy inna informacja przerażała lub choćby denerwowała człowieka nadzorującego pracę służb wywiadowczych, jego agenci otrzymywali rozkaz zrobienia czegoś, czego woleliby raczej nie robić, dlatego też organizowali akcję za pośrednictwem pospolitych zbirów czy najemników...

– Arthurze, założywszy, że Andropow chce zabić papieża, jak by się do tego zabrał?

– Wynająłby kogoś obcego, na pewno nie Rosjanina – myślał na głos Moore. – Rosjanin byłby zbyt niebezpieczny. Gdyby wpadł, doszłoby do politycznej katastrofy, przez Kreml przetoczyłoby się tornado. Zrujnowałoby karierę Jurijowi Władimirowiczowi, a według mnie ten człowiek nie należy

do tych, którzy zaryzykowałiby dla jakiegokolwiek sprawy.

Władza jest dla nich zbyt ważna.

Greer skinął głową.

– To prawda. Moim zdaniem, Andropow wkrótce złoży rezygnację. Musi. Nie pozwoliliby mu przeskoczyć ze stanowiska przewodniczącego KGB na stanowisko sekretarza generalnego. To za bardzo złowieszcze nawet dla nich. Wciąż pamiętają Berię. Jeśli nie wszyscy, to przynajmniej ci, którzy zasiadają przy kremlowskim stole.

– Celne spostrzeżenie, James. – Moore odwrócił się od okna. – Ciekawe, ile jeszcze zostało naszemu Leonidowi... – Ocena stanu zdrowia Breżniewa należała do stałych zainteresowań CIA. Diabła tam: należała do stałych zainteresowań wszystkich urzędników w Waszyngtonie.

– Najlepszym wskaźnikiem jest Andropow. Będzie następcą Breżniewa, to pewne. Kiedy Leonid Iljicz wbiegnie na ostatnią prostą, Jurij Władimirowicz zmieni pracę.

– Celna uwaga, James. Przekażę ją Departamentowi Stanu i Białemu Domowi.

280

Admirał Greer skinął głową.

– Za to nam płacą. Wróćmy do sprawy papieża.

– Prezydent wciąż mnie o to pyta.

– Cokolwiek zrobią, to na pewno nie będzie Rosjanin. Za dużo ryzyko, zwłaszcza polityczne.

– Fakt, zgoda. Ale co z tego wynika?

– Mokłą robotę odwalają za nich Bułgarzy – przypomniał mu Greer.

– A więc mamy szukać bułgarskiego zamachowca?

– Jak myślisz, ilu Bułgarów pielgrzymuje do Rzymu?

– Przecież nie możemy prosić Włochów, żeby to sprawdzili, prawda? Natychmiast do-szłoby do przecieku, a tego nie chcemy. Poza tym, wypadlibyśmy głupio w prasie. Nie, James, tylko nie to.

Greer wziął głęboki wdech i powoli wypuścił powietrze.

– Wiem. Ale bez czegoś konkretnego ani rusz.

– Bez czegoś, co jest konkretniejsze niż to, co mamy teraz, a teraz mamy tylko... tylko powietrze, cholera, czyste powietrze. – Gdyby tak CIA była równie potężna jak w filmach czy jak w opinii naszych krytyków, pomyślał sędzia. Nie zawsze. Wystarczyłoby raz na jakiś czas. Ale cóż, nie była, i tyle.

Dzień zaczął się w Moskwie wcześniej niż gdziekolwiek indziej. Zajcew obudził się na dźwięk mechanicznego budzika, mruknął, zaklął jak każdy człowiek pracy, wstał i ruszył

chwycenie do łazienki. Dziesięć minut później pił poranną herbatę i jadł czarny chleb z ma-słem.

Półtora kilometra dalej rodzina Foleyów robiła mniej więcej to samo. Ed jadł bułeczkę z winogronowym dżemem i pił dla odmiany kawę, siedząc przy stole z małym Eddiem, który tego poranka odpuścił sobie Lobotnicę i *Transformerów*. Chciałby już pójść do przedszkola, które otwarto dla dzieci obcokrajowców – tu, na miejscu, w ich osiedlu – i dać popis swych umiejętności rysowniczych. Chciał też pojeździć na nowych trójkołowych rowerkach, które dopiero co sprowadzono, a także zostać mistrzem ciuciubabki.

Foley postanowił, że tego dnia odpręży się i zrelaksuje. Wieczorem czekało ich spotkanie, ale miała pójść na nie Mary Pat. Za mniej więcej tydzień... Tak, za tydzień „Beatrix” dobiegnie końca i będzie mógł wreszcie odpocząć, spokojnie popatrzeć, jak po brzydkich ulicach tego przeklętego miasta uganiają się jego agenci. A Oriolesi byli w barażach. Szli łeb w łeb z filadelfijczykami, ponownie wypierając Bombersów z ligi. Co robią ci nowi właściciele, do cholery? Jak można być tak głupim?

I nadal będzie jeździł metrem. Gdyby śledzili go agenci KGB, na pewno – na pewno? –

zauważyliby, że zawsze wsiada do tego samego pociągu. Właśnie, w tym cały problem. Bo gdyby łączyło go z kimś, ten drugi zostałby na peronie i spisał godzinę odjazdu z tamtej-szego zegara. Spisywanie godziny z innego nie miałoby sensu, ponieważ to właśnie zegary w metrze regulowały ruch wszystkich podziemnych pociągów. Czy agenci KGB, choć do-281

kładni i bardzo profesjonalni, byliby aż tak dobrzy i przemyślni? Tego rodzaju precyzja pasowałaby raczej do Niemców, ale skoro potrafili sprawić, że pociągi kursowały tak, jak kursowały, prawdopodobnie to zauważyli, a przecież to tylko dzięki idealnemu zgraniu w czasie mógł nawiązać kontakt z Królikiem.

Niech szlag trafi takie życie, zaklął wściekle w duchu. Cóż, na długo przed objęciem placówki wiedział, że czekają go tu ekscytujące przeżycia. Jasne, ekscytujące jak cholera. Lu-dwik XVI też był podekscytowany, kiedy wieźli go na ścięcie.

Pewnego dnia wygłosi na ten temat odczyt na Farmie. Miał nadzieję, że koledzy docenią trud, jaki włożył w przygotowanie operacji „Beatrix”. Może nawet trochę im zaimponuje.

Czterdzieści minut później kupił „Izwestia” i niekończącymi się schodami zjechał na peron, jak zwykle nie zwracając uwagi na ukradkowe spojrzenia Rosjan, którzy patrzyli na prawdziwego, żywego Amerykanina jak na małpę w zoo. W Stanach nikt by tak na nich nie patrzył, a już na pewno nie w Nowym Jorku, gdzie można było spotkać przedstawicieli wszystkich grup etnicznych, zwłaszcza za kierownicą taksówki.

Poranna rutyna stwardniała jak beton. Do domu wchodziła panna Margaret, przed domem czekał Eddie Beaverton. Rodzice ściskali i całowali dzieci, po czym wybywali do pracy.

Ryan nienawidził rutyny. Gdyby zdołał namówić Cathy na kupno mieszkania w Londynie, ich dzień pracy byłby dobre dwie godziny krótszy. Ale nie, Cathy uważała, że dzieci muszą mieć wokół zieleni, że bez zieleni ani rusz. Tymczasem już wkrótce słońce zacznie wschodzić w chwili, gdy będą dojeżdżali do miasta, a potem jeszcze później.

Znowu siedzieli w przedziale pierwszej klasy, jadąc do Londynu. Cathy czytała swoje czasopismo medyczne, on „Daily Telegraph”. W gazecie był artykuł na temat Polski i Ryan natychmiast zauważył, że napisał go ktoś bardzo dobrze poinformowany. Artykuły w tutejszej prasie były krótsze i mniej nudne niż w „Washington Post” i Jack po raz pierwszy żałował, że takie są. Albo facet dostał od kogoś cynk, albo był znakomitym analitykiem. Polski rząd utknął między młotem i kowadłem. Krążyły plotki, że papież coraz częściej wspomina o krzywdzie, jaka spotkała jego ojczyznę i rodaków, a to, zdaniem dziennikarza, mogło mieć nieprzewidywalne konsekwencje.

Co prawda, to prawda, pomyślał Jack. Fatalne było to, że sprawa wyszła na jaw. Kto dał mu cynk? Kto zaczął gadać? Znał nazwisko dziennikarza. Facet specjalizował się w sprawach zagranicznych, głównie europejskich. A więc kto dał mu cynk? Ktoś z ministerstwa?

Pracujący tam urzędnicy nie byli głupi, ale, tak samo jak ich amerykańscy koledzy, od czasu do czasu mówili bezmyślnie, a tutaj, w Anglii, mogli tak mówić przy kuflu piwa w jednym z tysięcy przytulnych pubów, w zacisznej, odseparowanej od reszty lokalu niszy, choćby po to, żeby spłacić dług albo chcąc się po prostu popisać i wypaść w prasie na tęgiego bystrzaka. Poleci za to czyjaś głowa? – pomyślał Jack. Będzie musiał pogadać o tym z Simonem.

Chyba, że to Simon dał mu cynk. Był wysokim urzędnikiem, ulubieńcem szefa. A może sir Basil ten przeciek zatwierdził? Może obydwoj znali kogoś z Whitehall i namówili go na kufel piwa z zaprzyjaźnionym dziennikarzem z Fleet Street.

A może dziennikarz ten był na tyle inteligentny, że doszedł do tego sam. Nie wszyscy geniusze pracowali w Century House. Nie wszyscy geniusze pracowali w Langley. Ogólnie rzecz biorąc, ci najbardziej utalentowani szli za pieniędzmi, ponieważ tak samo jak wszyscy 282

normalni ludzie chcieli mieszkać w dużym domu i jeździć na egzotyczne wakacje. Ci, którzy zdecydowali się na rządową posadę, wiedzieli, że stać ich będzie na życie dostatnie, lecz nie luksusowe. Ale większość z nich wiedziała również, że mają do wypełnienia misję, dlatego tylu dobrych, porządnych ludzi nosiło mundur, broń i służbową odznakę. Jemu powiodło się w handlu i na giełdzie, ale w końcu doszedł do wniosku, że to jednak nie to. Tak więc nie wszyscy utalentowani pragnęli wyłącznie pieniędzy. Niektórzy szukali jakiegoś celu.

Ty też szukasz, Jack? – Pociąg wjechał na Victoria Station.

– O czym ty tak myślisz? – spytała Cathy.

– Co?

– Znam cię i widzę. Coś cię gryzie.

– Cathy, jesteś okulistką czy psychoanalitykiem?

– Przy tobie zawsze psychoanalitykiem – odrzekła z wesołym uśmiechem żona.

Jack wstał i otworzył drzwi.

– Dobrze, moja damo. Ty masz kilka par oczu do zbadania, jak kilka tajemnic do rozgryzienia. – Przepuścił ją przodem. – I jakież to nowiny wyczytałaś w tym twoim mądrym czasopiśmie?

– I tak byś nie zrozumiał.

– Pewnie nie. – Skręcili na postój taksówek. Tym razem wybrali błękitną, zamiast jak zwykle czarnej.

– Szpital Hammersmitha – rzucił Ryan. – A potem Westminster Bridge Road numer 100.

– MI-6? – spytał kierowca.

– Słucham? – odrzekł niewinnie Ryan.

– Universal Exports, proszę szanownego pana. James Bond tam pracował. – Kierowca zachichotał i ruszyli.

Cóż, pomyślał Jack. Przy zjeździe do Langley, tym z George Washington Parkway, nie stoi już tablica z napisem: *Krajowy Zarząd Dróg i Autostrad*. Cathy uważała, że to bardzo śmieszne. Przed londyńskimi taksiarzami nic się nie ukryje, absolutnie nic. Wysiadła pod dużym wiaduktem przed szpitalem. Kierowca zawrócił i niebawem byli już na miejscu. Ryan wszedł, pozdrowił sierżanta Candertona i wjechał windą na górę.

Drzwi, biuro, Simon – nie zdejmując płaszcza, rzucił mu na biurko gazetę.

– Już to widziałem, Jack.

– Kto puścił farbę?

– Nie wiem. Pewnie ktoś z MSZ. Trochę o tym wiedzieli. A może ktoś z gabinetu pani premier. Sir Basil jest bardzo zdenerwowany.

– Nikt do nich nie dzwonił?

– Nie. Dowiedzieliśmy się o tym dopiero teraz.

– Myślałem, że wasze gazety utrzymują serdeczniejsze stosunki z rządem.

283

– Zwykle tak, co skłania do podejrzeń, że do przecieku doszło w gabinecie pani premier.

– Harding miał niewinną minę, mimo to Ryan przyłapał się na tym, że próbuje czytać w jego myślach. Niestety, Cathy była w tym dużo lepsza. Miał uczucie, że Simon nie mówi całej prawdy, ale czy mógł coś na to poradzić?

– Przyszło coś ciekawego?

Harding pokręcił głową.

– Nic godnego uwagi. O „Beatrix” też milczą. Uprzedziłeś żonę o wyjeździe?

– Tak, ale zapomniałem ci powiedzieć, że ona znakomicie czyta w moich myślach.

– Jak większość żon, Jack. – Simon wybuchł śmiechem.

Zajcew jak zwykle znalazł na biurku stertę depeesz. Różniły się szczegółami, ale w sumie zawsze zawierały to samo: meldunki od agentów z terenu, którzy przekazywali do Centrali materiały zdobyte od informatorów.

Zapamiętał setki nazw, setki kryptonimów. Zapchał umysł tysiącami szczegółów, łącznie z prawdziwymi nazwiskami niektórych agentów i kryptonimami wielu, wielu innych.

Podobnie jak w poprzednie dni, czytał depeesz powoli, niespiesznie, wierząc, że jego wyćwiczona pamięć wchłonie najważniejsze dane.

Niektóre zawierały informacje zakamuflowane, sprytnie ukryte. Mieli na przykład agenta w CIA, ale on znał jedynie jego kryptonim: Trąbka. Przysyłał depeesz wielokrotnie szyfrowane, w tym na

jednorazówce. Ale jego meldunki szły do pułkownika z piątego piętra, który specjalizował się w sprawach CIA i ściśle współpracował z Drugim Zarządem Głównym, tak więc nasuwał się oczywisty wniosek, że agent o kryptonimie Trąbka przekazywał

KGB materiały, którymi Zarząd ten się interesował, co z kolei oznaczało, że dotyczą agentów CIA pracujących w Moskwie. Na myśl o tym zawsze przechodził go zimny dreszcz, ale była jeszcze Amerykanka, z którą rozmawiał: ostrzegł ją, że KGB rozpracowało ich system łączności, a ona obiecała, że depesze na jego temat dotrą tylko do garstki ludzi. Wiedział również, że KGB płaci Trąbce mnóstwo pieniędzy, co oznaczało, że człowiek ten nie jest prawdopodobnie wysokim urzędnikiem CIA, bo jako wysoki urzędnik – tak przypuszczał – miał

by piekielnie wysoką pensję. Niepokoiłby się jeszcze bardziej, gdyby Trąbka działał z pobudek ideologicznych, lecz agentów ideologicznych w Ameryce nie było. Przynajmniej o takich nie słyszał, a usłyszeć, na pewno by usłyszał, prawda?

Za tydzień, może już za cztery, pięć dni, będzie na Zachodzie. Będzie wolny i bezpieczny. Miał nadzieję, że żona nie wpadnie w amok, dowiedziawszy się o jego planach, ale nie, nie powinna. Jej matka zmarła przed rokiem. Irina nie miała ani braci, ani sióstr, ani bliskich krewnych, a praca w do cna skorumpowanym GUM-ie bynajmniej jej nie cieszyła. Obieca jej pianino, które tak bardzo pragnęła mieć, a którego nie mógł jej kupić nawet dzięki znajomo-

ściom w KGB, tak mało było ich na rynku.

Tak więc przekładał dokumenty powoli, ale nie za powoli. Nawet w KGB niewielu pracowało w pocie czoła. Tu też znano to cyniczne powiedzenie: „Oni udają, że nam płacą, my udajemy, że pracujemy”. Miało zastosowanie również i tutaj, w Centrali. Jeśli przekroczyło się wyznaczony limit, w następnym roku natychmiast go podwyższano, nie podwyższając 284

pensji, dlatego bardzo niewielu harowało ciężko na tyle, żeby zasłużyć na tytuł Bohatera Związku Radzieckiego.

Tuż po jedenastej do sali wszedł pułkownik Roźdiestwienski. Zajcew przechwycił jego wzrok i pomachał mu ręką.

– Tak?

– Towarzyszu pułkowniku – zaczął cicho Zajcew. – Zauważyłem brak depesz w sprawie operacji sześć-sześć-sześć. Czy coś się stało?

Zaskoczony Roźdiestwienski aż drgnął.

– Dlaczego pytaacie?

– Towarzyszu pułkowniku – wyjaśnił pokornie Zajcew. – O ile dobrze zrozumiałem,

„666” jest operacją priorytetową, którą miałem obsługiwać wyłącznie ja. Czy popełniłem jakiś błąd?

– Aaaa... – Pułkownik wyraźnie się odprężył. – Nie, towarzyszu kapitanie, nie było na was żadnych skarg. W sprawie operacji „666” kontaktujemy się już innymi kanałami.

– Rozumiem. Dziękuję, towarzyszu pułkowniku.

– Wyglądacie na zmęczonego, kapitanie. Coś się stało?

– Nie, towarzyszu pułkowniku. Myślę, że przydałby mi się urlop. W zeszłym roku nigdzie nie wyjeżdżałem. Zanim nadciągnie zima, dwa tygodnie wolnego dobrze by mi zrobiło.

– Oczywiście, jak najbardziej. Jeśli będziecie mieli jakieś trudności, dajcie mi znać. Spróbuję wam to załatwić.

Zajcew uśmiechnął się z wdzięcznością.

– Bardzo dziękuję, towarzyszu pułkowniku.

– Wiem, że dobrze tu pracujecie. Każdy ma prawo do odpoczynku, nawet oficerowie Komitetu Bezpieczeństwa Państwowego.

– Jeszcze raz dziękuję, towarzyszu pułkowniku. Służę Związkowi Radzieckiemu.

Rozdiestwienski kiwnął głową i odszedł. Gdy zniknął za drzwiami, Zajcew wziął głęboki oddech i na powrót zajął się pracą... z tym, że nie była to praca dla dobra Związku Radzieckiego. A więc depesze w sprawie „666”, myślał, przewożą teraz kurierzy. Nie wiedział

nic więcej, wiedział jednak, że operacji nadano najwyższą rangę i priorytet. Cholera, oni naprawdę chcą to zrobić. Ciekawe, czy Amerykanie ewakuują go na tyle szybko, żeby zapobiec tragedii. On dysponował jedynie informacją, niczym więcej. Był jak Kasandra, córka trojań-

skiego króla Priama, która znając przyszłość, nie mogła zrobić nic, żeby ją odmienić. Rozzło-

ściła bogów, a ci rzucili na nią klątwę – ale czym zasłużył na klątwę on? Powolność CIA nagle go rozsierdziła. Ale cóż, przecież nie mógł pojechać na Szeremietiewo i wsiąść na pokład pierwszego lepszego samolotu linii Pan American. Prawda?

Przygotowania

Do drugiego spotkania twarzą w twarz doszło w GUM-ie, ponieważ pewien mały Króliczek potrzebował paltka na zimę. Tatuś Królik postanowił je kupić, co bardzo – i mile – zaskoczyło panią Królikową, czyli Irinę Bogdanową. Mary Pat, rodzinny ekspert od zakupów, która też krążyła po sklepie, ze zdumieniem stwierdziła, że nie wszystkie towary są do niczego. Niektóre były nawet atrakcyjne, choć nie na tyle, żeby je nabyć. Ponownie zawędrowała do działu futrzarskiego: rosyjskie futra sprzedawałyby się nieźle nawet w Nowym Jorku, chociaż nie umywały się do Fendiego. W Rosji brakowało włoskich projektantów, i tyle. Ale ich jakość – to znaczy jakość samych skór – była całkiem dobra. Rosjanie nie umieli ich po prostu zszywać. Szkoda, pomyślała. Szkoda. Najsmutniejsze jednak było to, że rząd tego wielkiego, szarego kraju uniemożliwiał ludziom osiągnięcie jakiegokolwiek celu. Nie widziało się tu praktycznie żadnej oryginalności. Najlepszymi rzeczami do kupienia były przedrewolucyjne dzieła sztuki, zwykle małe, niemal zawsze o charakterze religijnym, świę-

te obrazy, które ludzie sprzedawali na pchlim targu, żeby zdobyć pieniądze dla rodziny.

Kupiła już kilka ikon, próbując nie czuć się przy tym jak złodziejka. Żeby uspokoić sumienie, nigdy nie wyklócała się o cenę i zamiast coś utargować, zawsze płaciła tyle, ile żądano.

Uważała, że targowanie się byłoby rozbojem w biały dzień, tymczasem głęboko wierzyła w to, że jej głównym zadaniem w Moskwie jest tym ludziom pomagać, chociaż pomagała im w sposób, którego nigdy nie byliby w stanie pojąć ani zaakceptować. Większości moskwian podobał się jej amerykański uśmiech i przyjacielskość. A już na pewno podobały im się ku-pończyki, za które mogli kupić sobie coś luksusowego – kupić lub wymienić je na ruble w stosunku trzy, a nawet cztery do jednego.

Chodziła po sklepie przez pół godziny i wreszcie, w dziale z ubraniami, dostrzegła Kró-

lika. Oglądając po drodze palta i sweterki, powoli ruszyła w tamtą stronę i wreszcie stanęła tuż za nim.

– Dobry wieczór, Olegu Iwanowiczu – powiedziała cicho, zdejmując z wieszaka parkę dla dziewczynki w wieku trzech, czterech lat.

– Mary?

– Tak, to ja. Proszę mi powiedzieć, czy przysługuje panu urlop?

– Tak. Dwa tygodnie.

– Mówił pan, że pańska żona lubi muzykę klasyczną, prawda?

– Tak.

– Jest pewien świetny dyrygent. Jozsef Rozsa. W niedzielę wieczorem wystąpi w największej sali

koncertowej w Budapeszcie. Najlepiej by było, gdyby zarezerwował pan sobie pokój w hotelu Astoria. Zatrzymuje się tam wielu Rosjan, poza tym to niedaleko od stacji.

Proszę opowiedzieć przyjaciołom o swoich planach. Niech dadzą panu listę zakupów. Proszę robić to, co robiłby na pańskim miejscu każdy Rosjanin. Resztą zajmiemy się my.

– Ale pojedziemy wszyscy, tak? Ja, żona i córka.

– Oczywiście. Pański *zajczik* zobaczy w Ameryce wiele cudownych rzeczy, a zimy nie są tam tak surowe jak tutaj.

286

– My lubimy nasze zimy – odrzekł. Nie ma to jak odrobina miłości własnej.

– W takim razie zamieszkacie gdzieś, gdzie panują temperatury podobne do moskiewskich. A jeśli zapragniecie w lutym upału, pojedziecie lub polecicie na Florydę, żeby wygrzać się na plaży.

– Czyżby była pani agentką biura podróży, Mary?

– Dla pana nie jestem nikim innym. Czy odpowiada panu sposób, w jaki przekazuje pan informacje mojemu mężowi?

– Tak.

A nie powinien, pomyślała Mary Pat. Nie powinien.

– Jak wygląda pański najlepszy krawat?

– Jest niebieski, w czerwone paski.

– Proszę włożyć go na dwa dni przed wyjazdem. W metrze niech pan przypadkowo wpadnie na mojego męża i go przeprosi. Na dwa dni przed wyjazdem z Moskwy – powtó-

rzyła – niech pan włoży niebieski krawat w czerwone paski i wpadnie na niego w metrze. –

Tylko ostrożnie. Ludzie popełniają błędy w najprostszycy sprawach, zwłaszcza kiedy od tych spraw zależy ich życie. Dlatego staram ci się to jak najbardziej ułatwić. Tylko jedna rzecz do zapamiętania. Tylko jedna rzecz do zrobienia...

– *Da*, nie ma problemu.

Optymista z ciebie, co?

– Znakomicie. Niech pan będzie bardzo ostrożny, Olegu Iwanowiczu. – Z tymi słowami odeszła. Odeszła, ale pięć, sześć metrów dalej przystanęła i odwróciła się. W torebce miała ukrytego minoksa. Zrobiła pięć zdjęć i zniknęła za półkami.

– No i? – spytał Foley, gdy wsiedli do mercedesa. – Nic nie kupiłaś?

– Nie było co. Nie, na zimowe zakupy ubraniowe powinniśmy pojechać do Helsinek.

Najlepiej pociągiem, byłoby fajnie. Eddie miałby frajdę.

Foley uniósł brew. Fakt, pomyślał, pociągiem byłoby prawdopodobnie lepiej. Spokojnie i bez pośpiechu. Z mnóstwem waliz, w tym waliz pustych, żeby w Budapeszcie wypchać je towarami za te kupończyki. Facet wyjeżdża i już nie wraca. I jeśli nasi, i Anglicy wezmą się w garść, może uda nam się zdobyć pełny punkt...

– Do domu, kochanie? – spytał. Byłby niezły ubaw, gdyby nie mieli w samochodzie żadnej „pluskwy” i wygłupiali się tak bez powodu. Cóż, przynajmniej mogli trochę poćwiczyć, a to już coś.

– Tak, na dzisiaj mam dość.

– O zesz ty... – sapnął Basil Charleston. Podniósł słuchawkę telefonu i wcisnął trzy klawisze.

– Tak, panie dyrektorze? – Do gabinetu wszedł Kingshot.

– Czytaj. – Sir Basil podał mu depezę.

287

– O cholera...

Charleston zdobył się na słaby uśmiech.

– Zawsze chodzi o rzeczy najprostsze i najbardziej oczywiste, prawda?

– Tak jest... Mimo to, niedobrze mi się robi. Pożar. Pasuje lepiej niż tamto.

– Ot, i kolejna nauczka... Alan, ile pożarów wybucha w Londynie?

– Nie mam zielonego pojęcia, panie dyrektorze – wyznał najbardziej doświadczony agent angielskiego wywiadu. – Ale się dowiem.

– Przekaż to swemu przyjacielowi Nolanowi.

– Tak jest, jutro z samego rana. Teraz mamy większe szanse. CIA też nad tym pracuje?

– Tak.

Pracowało nad tym i Federalne Biuro Śledcze. W trakcie swej dyrektorskiej kariery Emil Jacobs miał wiele dziwnych prośb od „tych zza rzeki”, jak w Waszyngtonie nazywano CIA.

Ale ta była wyjątkowo makabryczna. Podniósł słuchawkę telefonu i wybrał numer sędziego.

– Wierzę, że są ku temu naprawdę ważne powody, Arthurze – rzucił bez wstępów.

– Nie przez telefon, Emilu, ale tak, są.

– Trzech białych. – Jacobs zerknął na list, który dostarczył mu kurier z Langley. – Męż-

czyzna, trzydzieści kilka lat, kobieta w tym samym wieku i trzy-, czteroletnia dziewczynka.

Moi agenci pomyślą, że zwariowałem. Lepiej by było, gdybyśmy poprosili o pomoc policję...

– Ale...

– Wiem, za szybko doszłoby do przecieku. Dobra, mogę zawiadomić moich ludzi i kazać im przejrzeć poranne gazety, ale i tak niełatwo będzie utrzymać to w tajemnicy.

– Rozumiem. Poprosiliśmy też o pomoc Brytyjczyków. To oczywiste, że nie można załatwić tego na gwizdek. Mogę tylko powiedzieć, że to bardzo ważne, Emilu.

– Kiedy będziesz na Kapitolu?

– Jutro o dziesiątej mam posiedzenie komisji do spraw wywiadu. Budżet, i tak dalej. –

Kongres zawsze interesował się tym, ile wydają i Moore musiał zawsze bronić się przed ludźmi, którzy chętnie podcięliby Agencji nogi, naturalnie tylko po to, żeby móc potem narzekać na jej „wywiadowcze porażki”.

– Mógłbyś przedtem do mnie wpaść? Muszę usłyszeć tę bajeczkę.

– Za dwadzieścia dziewięć?

– Dobra, pasuje.

– W takim razie do zobaczenia, Emilu.

Funkcjonariusze Federalnego Biura Śledczego mieli bawić się w hieny cmentarne. Dyrektor Jacobs odłożył słuchawkę, zastanawiając się dlaczego. Co mogło być aż tak cholernie ważne, że sędzia go o to prosił.

Kupiwszy dla córeczki palto, Zajcew wsiadł z nią do metra, by w drodze do domu jeszcze raz przemyśleć strategię działania. Kiedy powiedzieć Irinie o nieplanowanym wyjeź-

dzie? Gdyby ją tym zaskoczył, wynikłby pewien problem: żona zaczęłaby martwić się o nieobecność w pracy, ale z tego, co wiedział, w księgowości GUM-u panowało takie rozprężenie, że gdyby pewnego dnia po prostu nie przyszła, nikt by tego nie zauważył. Gdyby z kolei uprzedził ją już teraz, jak każda żona na świecie zaczęłaby wszystko organizować, uznawszy, że mąż się do tego nie nadaje. Zabawne, pomyślała Oleg Iwanowicz. Zważywszy okoliczności, przezabawne.

Dlatego nie, nie uprzedzi jej. Zrobi żonie niespodziankę i zaprosi ją na koncert tego węgierskiego dyrygenta. Ale największa niespodzianka czekała ją potem, już w Budapeszcie.

Ciekawe, jak Irina zareaguje. Całkiem możliwe, że nie za dobrze, ale była rosyjską żoną, wyszkoloną i nawykłą do posłuchu – Rosjanie, to znaczy rosyjscy mężczyźni, nie wyobrażali sobie, żeby mogło być inaczej.

Swietłana uwielbiała jeździć metrem. Dzieci są niesamowite. Wszystko jest dla nich jedną wielką przygodą, cudownym obrazem, który chłoną swymi wielkimi, dziecięcymi oczyma, nawet coś tak monotonnego jak jazda podziemnym pociągiem. Swietłana nie chodziła ani nie biegała. Podskakiwała jak mały szczeniaczek – albo jak króliczek, pomyślał z uśmiechem Zajcew, spoglądając na nią z góry. Czy na Zachodzie czekają ją ciekawsze przygody?

Pewnie tak, pod warunkiem, że wywiozę ją stąd żywą... Ucieczka była niebezpieczna, ale nie wiedzieć czemu, nie bał się o siebie, tylko o nią. Dziwne. Dziwne? Sam już nie wiedział. Wiedział natomiast, że ma do spełnienia swego rodzaju misję i poza tą misją nic innego nie widział. Reszta była jedynie przystankami na długiej drodze, lecz na końcu tej drogi dostrzegał jasne, błyszczące światełko, dlatego uporczywie wbijał w nie wzrok. Odkąd nabrał wątpliwości co do sensu operacji „666”, światełko pojaśniało, powiększyło się do tego stopnia, że przesłaniało wszystko inne. Jak zahipnotyzowana ćma, krążył wokół niego coraz bliżej i bliżej z nadzieją, że światło to nie okaże się płomieniem, który go spali.

– Tatusiu, wsiadamy! – Swietłana rozpoznała ich przystanek, wzięła go za rękę i pocią-

gnęła do rozsuwanych drzwi. Minutę później, podekscytowana kolejną przejażdżką, wskoczyła na stopień ruchomych schodów. Zachowywała się jak dorosła Amerykanka z wyobra-

żeń większości Rosjan: wszędzie widziała okazję do kolejnej zabawy, zamiast niebezpieczeństw i gróźb, które dostrzegał wokoło każdy ostrożny, trzeźwo myślący Rosjanin. Ale jeśli Amerykanie byli tacy głupi, dlaczego Rosjanie nieustannie – i bezskutecznie – próbowali ich dogonić? Czyżby naprawdę Ameryka zawsze miała rację, a Związek Radziecki nie? Głę-

bokie pytanie, pytanie, nad którym rzadko kiedy się zastanawiał. Stany Zjednoczone znał

jedynie z propagandy, z wieczornej telewizji i z oficjalnych gazet rządowych. Zdawał sobie sprawę, że coś jest nie tak, ale ponieważ nie dysponował prawdziwymi informacjami, jego wiedza była jednostronna. Dlatego ucieczka na Zachód przypominała skok w przepaść: skok na wiarę. Jeżeli Związek Radziecki tak bardzo się mylił, Stany Zjednoczone musiały mieć rację. Tak, to długi i głęboki skok, myślał, idąc chodnikiem z córką za rączkę. Powinien chyba bardziej się bać.

Ale na strach było już za późno, a odwrotem wyrzuciłby sobie taką samą krzywdę jak ucieczką. Ciekawe, co by go zabiło, gdyby nie zdołał doprowadzić misji do końca: jego kraj czy on sam? Z drugiej strony, czy Ameryka wynagrodzi go za próbę zrobienia czegoś, co uważał za słuszne? Był teraz jak Lenin czy inni bohaterowie wielkiej rewolucji: dostrzegał

coś, co było oczywistym złem i próbował temu zapobiec. Dlaczego? Bo musiał. Musiał wie-289

rzyć w to, że tak samo jak on, wrogowie jego kraju odróżnią, dobro od zła. Odróżnią? Czy nie? Chociaż amerykański prezydent zarzucił Związkowi Radzieckiemu, że jest ośrodkiem wszelkiego zła, Związek Radziecki zarzucał to samo Ameryce. Więc kto miał rację? Kto jej nie miał? Ale to jego kraj, to jego urząd chciał zamordować niewinnego człowieka. To mu wystarczyło. Głębiej nie musiał tego analizować.

Skręcając ze Swietlaną w stronę domu, po raz kolejny uświadomił sobie, że kurs jest już ustalony. Że nie może go zmienić, że może jedynie rzucić kośćmi i sprawdzić wynik.

Gdzie dorosnie jego córeczka? To też zależało od kości.

Zaczęło się w Yorku, w największym mieście północnej Anglii. Strażacy zawsze powtarzają, że w pożarach najmniej ważne jest to, co je wywołuje, ponieważ zawsze wybuchają z tych samych przyczyn. Skutków tego pożaru woleliby raczej nie odkrywać. Podczas wesołego wieczoru w swoim ulubionym pubie Pod Brązowym Lwem Owen Williams wypił ponad trzy litry ciemnego piwa. Owen miał za sobą ciężki dzień – pracował jako cieśla – i piwo jeszcze bardziej go zmęczyło, dlatego kiedy dotarł do swego mieszkania na drugim piętrze, poczuł się senny, choć nie na tyle, żeby nie włączyć telewizora w sypialni i nie zapalić ostatniego w tym dniu papierosa. Z głową wspartą na pulchnej poduszce, sztachnął się kilka razy, po czym zmożony alkoholem i zmęczeniem, spokojnie zasnął. Ręka, w której trzymał

papierosa, zwiotczała i papieros upadł na materac. Tlił się tam przez dziesięć minut, wreszcie od żaru zajęło się białe prześcieradło. Ponieważ Williams był rozwiedziony – żona odeszła od niego przed rokiem – nikt nie poczuł ostrego, gryzącego i złowieszczonego zapachu: pełznący żar pochłonął prześcieradło, przerzucił się na materac i pod sufitem zaczął zbierać się dym.

Ludzie rzadko kiedy giną od ognia, od ognia nie zginął też Owen Williams. Zatrął się dymem. Dym – strażacy często nazywają go „gazem ogniowym” – składa się głównie z go-rącego powietrza, tlenu węgla i cząsteczek sadzy, czyli z resztek niespalonego paliwa. Naj-niebezpieczniejszym składnikiem jest tlenek węgla, ponieważ wiąże się z czerwonymi ciał-

kami krwi. Związek ten jest silniejszy niż związek, jaki tworzy hemoglobina z wolnym tlenem, w który krew zaopatruje wszystkie organy ludzkiego ciała. Efekt, jaki wywiera to na świadomość, przypomina stan upojenia alkoholowego: człowiek wpada w euforię, jak na przyjemnym rauszu, potem traci przytomność, a jeśli przebywa w dymie za długo, jak na przykład Owen Williams, jego mózg umiera z niedotlenienia. Tak więc, mimo pełzającego wokoło pożaru, Williams nie obudził się, tylko zapadając w coraz głębszy sen, w wieku trzydziestu dwóch lat spokojnie przeniósł się do wieczności.

Trzy godziny później, mieszkający na tym samym piętrze robotnik, który właśnie wrócił

z pracy, poczuł dym na korytarzu i natychmiast włączył swój prywatny alarm. Załomotał do drzwi Williamsa, a ponieważ nikt mu nie otworzył, pobiegł do siebie i wykręcił trzy dziewiątki.

Remiza mieściła się ledwie sześć ulic dalej. Otrzymawszy zawiadomienie, pełniący w niej dyżur strażacy zareagowali jak wszyscy strażacy na świecie: zerwali się z prycz, włożyli buty i kurtki, zjechali po słupie na dół, wskoczyli do wozów, wcisnęli guzik otwierający drzwi garażu i wyruszyli na akcję. Znali miasto równie dobrze jak taksówkarze, więc przy akompaniamencie jazgoczących dzwonek już dziesięć minut później zajechali przed dom Williamsa. Załoga gaśnicza wyskoczyła z wozu i dwóch strażaków rozciągnęło węże, 290

wprawnie podłączając je do ulicznych hydrantów. Załoga wozu ratowniczego, której głównym zadaniem było przeszukiwanie zagrożonego terenu, wpadła do domu, by stwierdzić, że zaniepokojony lokator, który do nich zadzwonił, zdążył już obudzić wszystkich mieszkańców drugiego piętra. Wskazał strażakom narożne drzwi i jeden z nich roztrzaskał je dwoma potężnymi uderzeniami topora. W progu powitał go kłęb czarnego, gęstego dymu, którego odór wyczuł nawet pod maską. Znał ten zapach, wiedział, co to jest: materace. Od-mówił szybką modlitwę, prosząc Boga, żeby zdążyli na czas, a potem, nie wiedząc czemu, nabrał przekonania, że przybyli za późno. Wszystko sprzysięgło się przeciwko nim, łącznie z ciemnością i porą dnia, wczesnym rankiem. Wpadł do sypialni, wybił toporem okno, żeby przewietrzyć mieszkanie, a potem odwrócił się, by ujrzeć to, co w swej karierze widział już ponad trzydzieści razy: nieruchomą sylwetkę człowieka spowitą dymem. W tej samej chwili do pokoju wbiegli jego koledzy i wywlekli Williamsa na korytarz.

– Cholera jasna! – Starszy sanitariusz, członek załogi, przytknął maskę do jego bladej jak kreda twarzy i zaczął pompować tlen, jego pomocnik zaś tłuc Owena w pierś, żeby przywró-

cić akcję serca. Jeden z pompiarzy wciągnął do mieszkania ponad sześciocentymetrowej średnicy wąż i puścił wodę.

W sumie było to szkolne ćwiczenie. Ogień ugaszono w niecałe trzy minuty. Wkrótce potem dym

uleciał przez okno i strażacy mogli zdjąć maski. Ale leżący na korytarzu Owen Williams nie wykazywał żadnych oznak życia. Ponieważ zasada głosi, że zmarły jest zmarłym dopiero wtedy, gdy powie tak lekarz, strażacy dźwignęli Owena i jak ciężki, namokły dywan znieśli go do czekającej na ulicy karetki pogotowia. Załoga karetki znała swoje obowiązki i wypełniła je co do joty: położyli ciało na wózku, sprawdzili źrenice, potem drogi oddechowe – były czyste – wpompowali Owenowi do płuc jeszcze więcej tlenu i spróbowali przywrócić do życia serce. Oparzenia musiały zaczekać, najważniejsze było serce i płuca.

Kierowca odpalił silnik i karetka popędziła ciemnymi ulicami w kierunku odległego o niecałe dwa kilometry Szpitala imienia Królowej Wiktorii.

Ale zanim tam dojechała, sanitariusze wiedzieli już, że ratowanie Owena jest stratą ich cennego czasu. Na oddziale nagłych przypadków już na nich czekali. Kierowca zawrócił, podjechał tyłem, otwarto drzwi i w obecności młodego lekarza, który na razie tylko obserwował, niczego nie dotykając, wyciągnięto wózek.

– Nawdychał się dymu – rzucił sanitariusz, przepychając wózek przez wahadłowe drzwi. – Ostre zatrucie tlenkiem węgla. – Rozległe, lecz głównie powierzchniowe oparzenia mogły na razie poczekać.

– Długo tam leżał?

– Nie wiem. Kiepsko to wygląda. Zaczadzenie. Źrenice rozszerzone i nieruchome, pa-znokcie czerwone, jak dotąd brak reakcji na reanimację.

Lekarze dali z siebie wszystko. Trudno spasować, gdy walczy się o życie ledwie trzydziestoletniego człowieka, ale godzinę później stało się oczywiste, że Owen Williams już nigdy nie otworzy swych błękitnych oczu. Na polecenie lekarza dyżurnego zaniechano dalszych zabiegów, ogłoszono godzinę śmierci i wpisano ją do aktu zgonu. W szpitalu była również policja. Mundurowi stali tam i głównie gawędzili ze strażakami, dopóki oficjalnie nie ustalono przyczyny śmierci. Pobrano próbkę krwi – żeby sprawdzić jej skład pod kątem obecności gazów – i kwadrans później technik z laboratorium zameldował, że krew zawiera trzydzieści dziewięć procent tlenu węgla. Trzydzieści dziewięć procent to zabójcza dawka: 291

Owen Williams zmarł, zanim zbudzeni ze snu strażacy zerwali się ze swoich prycz. I tak to wyglądało.

Potem sprawą zajęli się policjanci. W pożarze zginął człowiek, więc musieli zameldować o tym przełożonym.

Droga służbowa kończyła się w Londynie, w stalowo-szklanym gmachu nowego Scotland Yardu, przed którym obracał się charakterystyczny trójkątny znak; na jego widok tury-

ści nabierali przekonania, że Scotland Yard to nazwa londyńskiej policji, tymczasem była to nazwa

ulicy, przy której przed wieloma laty mieściła się stara kwatera londyńskich stróżów prawa i porządku. Przyklejona to teleksu karteczka informowała, że o wszystkich ofiarach wypadków i pożarów należy natychmiast powiadomić komisarza Nolana z wydziału specjalnego, dlatego operator teleksu podniósł słuchawkę i wybrał odpowiedni numer.

Był to numer oficera dyżurnego wydziału specjalnego, który zadał mu kilka pytań, po czym zadzwonił do Yorku po więcej szczegółów. Następnie – dochodziła już czwarta rano –

musiał obudzić komisarza Nolana, czyli Maleńkiego.

– Dobra – odparł Nolan, pozbierawszy myśli. – Powiedz im, żeby nie robili nic ze zwłokami. Absolutnie nic. Jasne? Powtórz im to trzy razy.

– Rozkaz, panie komisarzu – odrzekł sierżant. – Zaraz im to przekażę.

Patrick Nolan ponownie zasnął, a właściwie próbował zasnąć, starając się nie myśleć, po co tym z wywiadu pieczone ludzkie zwłoki. Na pewno potrzebowali ich do czegoś ciekawego, mimo to, jak dla niego, zbyt odrażającego – odrażającego na tyle, że zapadł w sen dopiero dwadzieścia minut później.

Przez całą noc nad Atlantykiem i Europą Wschodnią śmigały depesze. Wszystkie były szyfrowane przez łącznościowców i kryptografów z ambasad, przez tych słabo opłacanych i przepracowanych urzędników, którzy jako jedyni mieli prawo przekazywać najtajniejsze informacje, i jako jedyni – nie licząc nadawców i odbiorców – znali ich treść. Byli również tymi, których nieprzyjaciel tak bardzo próbował przekupić i zwerbować, dlatego nieustannie

– i bacznie – ich obserwowano, czy to w kwaterze głównej, czy to w ambasadach. Chociaż władze nie okazywały im specjalnej troski za związane z tym niedogodności, to właśnie dzięki nim, tym często niedocenianym, lecz jakże niezbędnym ludziom depesze trafiały na odpowiednie biurka.

Jedno z tych biurka należało do Nolana Haydocka – stało w gabinecie attaché handlowego ambasady Jej Królewskiej Mości na wschodnim brzegu rzeki Moskwy – i tego ranka to właśnie on był odbiorcą wszystkich najważniejszych depesz, bowiem tylko on znał pełny zakres operacji „Beatrix”

Śniadanie zwykle jadał w pracy. Ponieważ żona była w zaawansowanej ciąży, uważał, że nie powinna mu go przyrządzać, poza tym dużo ostatnio spała, wiedząc, że niedługo, kiedy urodzi się dziecko, nie będzie spała wcale. Tak więc siedział przy biurku, pijąc poranną herbatę i jedząc bułeczkę z masłem, gdy dostał depeszę z Londynu.

– Jasny gwint... – zaklął pod nosem i się zamyślił. Ten amerykański plan, wzorowany na operacji „Mincemeat”, był wprost genialny, makabryczny, lecz genialny. I wyglądało na to, że sir Basil go zaakceptował. A to szczywany lis. Podobały mu się takie sztuczki. Był zwolen-292

nikiem starej, dobrej szkoły i uwielbiał zawiłe operacje. Zbytnią przebiegłość mogła przy- czynić się do jego upadku, ale fakt pozostawał faktem: gość miał rzadko spotykany polot. A więc cóż. Pozostawało im tylko przewieźć Królika do Budapesztu i ewakuować go stamtąd na Zachód...

Andy Hudson wolał na śniadanie kawę, jajka na bekonie, smażone pomidory i grzanki.

– Niesamowite... – wymruczał. Zuchwałość operacji odpowiadała jego awanturniczej naturze. A więc będą musieli wywieźć z Węgier trzy osoby: dorosłego mężczyznę, dorosłą kobietę i małą dziewczynkę. Zadanie niezbyt trudne, mimo to postanowił rozejrzeć się w terenie; tej operacji nie mógł spieprzyć, zwłaszcza jeśli liczył na awans. Wywiad brytyjski był

agencją nader wyjątkową pod tym względem, że chociaż w miarę sprawiedliwie nagradzał

sukcesy, wyjątkowo dobrze pamiętał wszystkie porażki i nigdy ich nie wybaczał – w Century House nie było związków zawodowych, które broniłyby zaharowanych jak pszczoły pracowników. Ale Hudson wiedział o tym, zanim wstąpił na służbę. Wiedział również i o tym, że w żadnym wypadku nie będą mieli prawa pozbawić go emerytury, naturalnie pod warunkiem, że zdąży się jej dosłużyć. I chociaż operacja, którą mu właśnie zlecono, nie przypominała finałowego meczu o Puchar Świata, była jak zdobycie zwycięskiego gola dla Arsenalu w meczu z Manchester United na Wembley.

Jako pierwsze zadanie dnia wyznaczył sobie sprawdzenie kontaktów na przejściach granicznych. Mógł na nich polegać. Długo je nawiązywał, starannie podtrzymywał i wielokrotnie sprawdzał. Mimo to sprawdzi jeszcze raz. Tak, na pewno. Wypyta również swego człowieka w AVH... Wypytać go czy nie? Co by mu to dało? Dowiedziałby się, czy węgierska tajna policja jest w stanie podwyższonej gotowości, czy kogoś szuka, ale gdyby kogoś szuka-

ła, Królik nie wyjechałby z Moskwy. Facet musiał mieć cholernie cenne informacje: operację prowadziła CIA we współpracy z wywiadem brytyjskim, a Komitet Bezpieczeństwa Pań-

stwowego był urzędem zbyt ostrożnym i konserwatywnym, żeby z kimś takim ryzykować.

W tej branży reakcja przeciwnika była nie do przewidzenia. Po prostu zbyt wielu ludzi miało zbyt różne pomysły, żeby działać zgodnie. Tak więc nie, ci z węgierskiej bezpieki wiedzieliby niewiele, jeśli w ogóle cokolwiek. KGB nikomu nie ufało, chyba że klientowi, którego trzymali na muszce.

A więc pozostawało mu jedynie sprawdzić procedury ewakuacyjne – sprawdzić pobież-

nie – a potem czekać na tego Ryana, który miał patrzeć mu na rękę. Ryan z CIA... Ten sam Ryan, który... Nie, to niemożliwe. To tylko zbieg okoliczności. Na pewno. Tamten Ryan był...

Nie, nie, wykluczone.

Tym razem pamiętał o croissantach i wraz z kawą przywiózł je taksówką do Century House. Płaszcz

Simona wisiał na wieszaku, lecz Simona w pokoju nie było. Pewnie jest u sir Basila, pomyślał, siadając za biurkiem, żeby przejrzeć stos nocnych depeesz. Croissanty – za-szalał i kupił aż trzy, do tego masło i winogronowy dżem w plastikowych pojemniczkach –

były tak kruche, że zamiast jeść, głównie je z siebie strzepywał, ale kawę dało się pić. Postanowił napisać do tych od Starbucksa i zasugerować, żeby otworzyli w Londynie swoje przedstawicielstwo. Bez dobrej kawy Anglicy nigdy nie zrezygnują z tej przeklętej herbaty i zakładając, że ci z Seattle dobrze wyszkolą speców od parzenia, sukces rynkowy mieli za-gwarantowany. Otworzyły się drzwi i Ryan podniósł wzrok.

293

– Dzień dobry, Jack.

– Hej. Jak tam sir Basil?

– Uważa, że najnowsze modyfikacje planu operacji „Beatrix” są bardzo, ale to bardzo zmyślne. Nawiasem mówiąc, pierwsza z nich weszła już w życie. Weszła, a raczej zesłała...

– Możesz mi powiedzieć, co się dzieje?

Harding w zamyśleniu potarł czoło i pokrótce wyjaśnił mu o co dokładnie chodzi.

– Czy ktoś tu zwariował? – warknął Ryan.

– Zgadzam się, Jack: to bardzo twórcze. W dodatku nie przysporzy nam specjalnych trudności.

– Chyba, że się porzygam – rzucił ponuro Jack.

– Weź plastikową torebkę – zaproponował Simon. – Najlepiej taką z samolotu.

– Bardzo śmieszne – mruknął Ryan. – Co to ma być? Jakaś inicjacja czy co?

– Nie, nie, my takich rzeczy nie robimy. Koncepcja operacyjna pochodzi od was, a z prośbą zwrócił się do nas sam sędzia Moore.

– Cholera! Chcą, żebym utyłał się gównem, tak?

– Jack, mamy nie tylko ewakuować Królika: mamy ewakuować go w taki sposób, żeby Rosjanie uwierzyli w jego śmierć, żeby nie domyślili się, że wraz z żoną i córką zwiął za granicę.

Ryana najbardziej niepokoiły zwłoki. Co może być bardziej odrażającego niż ludzkie zwłoki? Biedak, pomyślał Harding, zadowolony, że udało mu się przez to przejść. Nie zna jeszcze

najkoszmarniejszych szczegółów...

Zajcew wszedł do administracji na pierwszym piętrze Centrali. Pokazał legitymację sekretarce i po chwili poproszono go do gabinetu kierownika.

Kierownik ledwie raczył podnieść wzrok.

– Tak?

– Chcę wziąć urlop i pojechać z żoną do Budapesztu. Występuje tam dyrygent, którego chciałyby zobaczyć. I wolę jechać pociągiem. Nie lubię samolotów.

– Kiedy?

– W ciągu najbliższych kilku dni, jak najszybciej.

– Rozumiem... – Biuro podróży KGB zajmowało się wieloma rzeczami, zwykle nudnymi i żmudnymi. Prowadzący je agent – czyż można nazwać go inaczej, pomyślał Zajcew – wciąż nie raczył podnieść głowy. – Muszę sprawdzić, czy są jeszcze bilety na pociąg.

– Chcę pojechać klasą międzynarodową, w osobnym przedziale z kuzetkami. Mam dziecko.

– To nie będzie łatwe...

294

– Towarzyszu – odrzekł łagodnie Zajcew. – Jeśli napotkacie jakieś trudności, skontaktuj-cie się z pułkownikiem Roźdiestwienskim.

Kierownik wreszcie podniósł wzrok: na to nazwisko zareagował. Pytanie tylko, zadzwoni czy nie. Przeciętny urzędnik wolał nie rzucać się zwierzchnikom w oczy i, jak wszyscy pracownicy Centrali, bał się tych z góry. Z jednej strony, mógłby chcieć sprawdzić, czy ktoś nie powołuje się na pułkownika bezprawnie. Z drugiej zaś, co? On, mały, nadgorliwy robaczek miałby zwrócić na siebie uwagę starszego oficera? Mogłoby mu to bardzo zaszkodzić. Tak więc patrzył na Zajcewa, zastanawiając się, czy ten nie kłamie.

– Zobaczą, co się da zrobić, towarzyszu kapitanie – obiecał w końcu.

– Kiedy mogę przyjść?

– Po południu.

– Dziękuję, towarzyszu. – Zajcew wyszedł na korytarz i skręcił do wind. Jedną rzecz z głowy, dzięki wstawiennictwu pułkownika z wierchuszki. Żeby wszystko grało, miał w kieszeni płaszczka niebieski krawat w czerwone paski. Usiadłszy za biurkiem, ponownie zajął się zapamiętywaniem treści rutynowych depeesz. Szkoda, że nie mógł przepisać czegoś z jednorazówek, ale to nie wchodziło w rachubę, natomiast zapamiętanie tych wszystkich bezsensownych cyfr i literek było czystą niemożliwością nawet dla jego wyćwiczonego umysłu.

Depesza z Londynu zawierała tylko dwa słowa: *W toku*. A więc machina ruszyła. To dobrze. Szefostwo napaliło się na tę operację jak cholera, pewnie dlatego, że Królik ostrzegł ich przed nieszczelnością w systemie łączności, a tego rodzaju ostrzeżenie to jedyna rzecz, która mogła zagwarantować totalną panikę na szóstym piętrze w Langley. Tylko czy system, był

rzeczywiście nieszczelny? Nie. Mike Russell w to nie wierzył, bo, jak słusznie zauważył, gdyby Rosjanie naprawdę go rozpracowali, agentów CIA zmiotano by z ulicy jak confetti po wielkiej paradzie... Chyba, że KGB było cholernie sprytnie i ich „obróciło”. Ale on, Russell, chyba by to wykrył. Wykryłby czy nie? Prawdopodobnie tak, pomyślał Foley. Przecież tamci nie mogli „obrócić” wszystkich. Niektórych rzeczy po prostu nie dawało się ukryć, chyba że Drugi Zarząd Główny KGB prowadził najbardziej wyrafinowaną operację w historii wywiadu i choć to teoretycznie możliwe, byłaby to operacja najtrudniejsza z trudnych, przedsię-

wzięcie, którego Rosjanie woleliby raczej uniknąć, żeby nie płacić za nie informacjami zbyt wartościowymi, by dobrowolnie je zdradzać.

Jednakże nie mógł tej możliwości całkowicie wykluczyć. Było oczywiste, że Agencja Bezpieczeństwa Narodowego dokładnie sprawdzi KH-7 i pozostałe maszyny szyfrujące. W

Fort Meade aktywnie pracował Red Team, Czerwony Zespół, którego jedynym zadaniem było łamanie swoich własnych systemów kodowych, i chociaż rosyjscy matematycy należeli do najlepszych w świecie – i w przeszłości, i teraz – nie wzięli się przecież z kosmosu... Chyba, że tamci mieli swego agenta w samym Fort Meade, co byłoby prawdziwym koszmarem.

Ciekawe, ile by ruscy takiemu zapłacili? Pewnie miliony. Ale nie, tyle pieniędzy nie mieli.

KGB słynęło nie tylko ze skąpstwa, ale i z braku lojalności w stosunku do swoich ludzi, któ-

rych w takich przypadkach uważało za rzecz spisana na straty. Tak, oczywiście, ewakuowali Kima Philby’ego i urządzili go w Moskwie. Zachodnie agencje wywiadowcze wiedziały, gdzie facet mieszka, a nawet go obfotografowały. Wiedziały też, że sukinsyn pije, i to dużo, nawet według tutejszych standardów. Ale kiedy Rosjanie tracili agenta, na przykład na sku-295

tek wpadki, czy kiedykolwiek próbowali go odzyskać, wymienić na agenta pochwyconego w Związku Radzieckim? Nie. Ostatni raz zrobili to w 1961, wymieniając Francisa Gary’ego Powersa,

pechowego pilota U-2, zestrzelonego nad terytorium ZSRR, na Rudolfa Abela, z tym że Abel był ich oficerem, bardzo dobrym oficerem, pułkownikiem działającym w Nowym Jorku. Tego rodzaju postawa to znakomity środek odstrasżający dla każdego amerykańskiego szpiega, który łudził się, że Matka Rosja uczyni go bogaczem. A to, że zdrajcy mieli w więzieniu piekielnie ciężko, musiało odstraszać ich jeszcze bardziej.

Ale zdrajcy wciąż istnieli, bez względu na to, jak bardzo zbłąkanymi byli zdrajcami. Dobrze przynajmniej, że skończył się wiek zdrajców ideologicznych. W czasach, kiedy ludzie naprawdę wierzyli, że komunizm jest ostatecznym celem ludzkiej ewolucji, ci ideologiczni byli najbardziej produktywni i oddani sprawie. Problem w tym, że nawet Rosjanie nie wierzyli już w marksizm i leninizm, może nie licząc Susłowa – który leżał na łożu śmierci – i jego następcy Aleksandrowa. A więc nie, prawie wszyscy działający na Zachodzie agenci KGB byli najemnikami, przekupnymi sukinsynami. Najemnikami, a nie walczącymi o wolność bojownikami, którzy biegali ulicami Moskwy. Iluzja ta była drogą sercu wszystkich pracowników CIA, nawet sercu żony Foleya.

A Królik? Był na coś wściekły. Mówił coś o morderstwie, o jakimś zabójstwie. O czymś, co uraziło go jako człowieka porządnego i honorowego. A więc honor. Skoro kierował się honorem, był dla CIA nabytkiem godnym uwagi i szczególnej troski...

Jezu, pomyślał, te wszystkie maski, które trzeba wkładać, pracując w tej pieprzonej branży. Musieli być psychiatrami, kochającymi matkami, surowymi ojcami, bliskimi przyjaciółmi i spowiednikami tych idealistycznych, zagubionych, złych czy najzwyczajniej w świecie chciwych osobników, którzy postanowili zdradzić swój kraj. Jedni za dużo pili, inni byli tak wściekli, że narażali się na niebezpieczeństwo, podejmując surrealistycznie groteskowe ryzyko. Jeszcze inni byli po prostu źli, rozsierdzeni, obłąkani albo rozchwiani psychicznie.

Kilku stało się seksualnymi zбочeńcami i z czasem upadło jeszcze niżej. A on, Ed Foley, musiał odgrywać rolę pracownika socjalnego, co było pracą dość dziwną jak dla kogoś, kto uważał się za wojownika walczącego z wielkim wrednym niedźwiedziem. Cóż, powtarzał

sobie, jedna rzecz naraz. Świadomie wybrał zawód z ledwie adekwatną płacą, zawód nie-przynoszący dosłownie żadnych zaszczytów czy choćby uznania za narażanie się na niebezpieczeństwo fizyczne i psychiczne. Wieczny brak szacunku ze strony milionów ludzi, któ-

rych pomagał bronić i chronić, wieczna pogarda ze strony prasy – w tym przypadku uczucie było jak najbardziej odwzajemnione – niemożność wyjawienia prawdy na temat tego, co zrobił i robił: koszmar, nie życie.

Ale bywało, że w koszmarze tym znajdował drobne satysfakcje. Ot, choćby ewakuowanie Królika. Czyż to nie satysfakcja?

Pod warunkiem, że niczego nie zawałą i operacja „Beatrix” zakończy się sukcesem.

Wiedział już – uczucie to ogarniało go nie pierwszy raz – jak musi czuć się zawodnik występujący w finałach Pucharu Świata.

Istvan Kovacs mieszkał kilka ulic od gmachu węgierskiego parlamentu, bogato zdobionego pałacu, który pod względem architektonicznym przypominał trochę pałac Westminsterski. Hudson wysiadł z metra przed parlamentem i resztę drogi przeszedł piechotą, 296

upewniając się, czy nikt za nim nie idzie. Umówili się telefonicznie i Kovacs miał na niego czekać. To niesamowite, ale budapeszteńskie linie telefoniczne były czyste, pewnie dlatego, że stare i niewydajne.

Istvan mieszkał na drugim piętrze kamienicy z przełomu wieków, takiej z czterema wychodkami na szarym, ponurym podwórzu. Był typowym Węgrem, Węgrem tak typowym, że jego podobizna mogłaby zdobić okładkę nieistniejących broszur turystycznych: miał

okrągłą twarz, brązowe oczy, czarne włosy i sto siedemdziesiąt centymetrów wzrostu. Ale ubierał się lepiej niż jego rodacy, a to dzięki swej profesji. Kovacs zajmował się przemytem.

Zawód przemytnika był w tym kraju zawodem niemal szanowanym, zwłaszcza że Istvan handlował z Jugosławią, a Jugosłavia, choć oficjalnie marksistowska, miała granice otwarte na tyle, że człowiek z głową na karku mógł nabywać tam zachodnie towary i sprzedawać je z zyskiem na Węgrzech czy w innych krajach socjalistycznych. Kontrola celna i paszportowa na przejściach granicznych była dość luźna i pobieżna, szczególnie w przypadku tych, któ-

rzy utrzymywali dobre kontakty z celnikami. Kovacs nigdy na te kontakty nie narzekał.

– Witaj, Istvan – powiedział z uśmiechem Hudson. – „Istvan” to „Stefan”, a „Kovacs” to po prostu „Kowalski”.

– Witaj, Andy. Miło, że wpadłeś. – Kovacs otworzył butelkę złocistego tokaju, miejscowego trunku z winogron niepoddawanych sortowaniu. Hudson polubił go, bo tokaj przypominał sherry. Miał może trochę inny smak, lecz służył identycznym celom.

– Dzięki. – Hudson wypił łyk. Pycha. Na naklejce widniało sześć winogron, znak, że trunek to najprzedniejszy. – Jak interesy, Istvan?

– Znakomicie. Nasze magnetowidy idą w Jugosławii jak woda, a kasety, które od nich kupuję, idą jak woda wszędzie. Kurczę, mieć takiego kutasa jak ci aktorzy! – Wybuchnął

śmiechem.

– Kubitki też są niezłe – zauważył Hudson; naoglądał się tych kaset za wszystkie czasy.

– Jak to możliwe, że kurwy są takie piękne?

– Amerykanie płacą im pewnie więcej niż Europejczycy. Ale wiesz, one są bez serca, nie umieją

kochać. – Hudson nigdy w życiu nie płacił za seks, przynajmniej nie z góry.

– Po diabła mi ich serce? – odparł ze śmiechem Kovacs. Pił i wyglądało na to, że tego dnia nie ma żadnego kursu. Cóż, każdy kiedyś musi odpocząć.

– Niewykluczone, że będę miał dla ciebie robotę.

– Coś przywozimy?

– Nie, wywozimy.

– To proste. Gorzej jest z przywozem, ale da się załatwić. – Kovacs potarł palcem wskazującym o kciuk, dając mu do zrozumienia, czego chcieli celnicy: pieniędzy albo czegoś w zamian, czegoś do uzgodnienia.

– Ale ta przesyłka będzie dość duża – ostrzegł go Hudson.

– Jak duża? Ty co? Chcesz wywieźć stąd czołg? – Węgierskie wojsko właśnie otrzymało nowe T-72; mówiono o tym w telewizji, pewnie po to, żeby podnieść ducha bojowego żołnierzy. Czysta strata czasu, pomyślał Hudson. – To byłoby trudne, ale za odpowiednią cenę... –

297

Problem w tym, że identyczny czołg przekazali już wywiadowi angielskiemu Polacy i wszyscy o tym dobrze wiedzieli.

– Nie, Istvan, nie czołg. Przesyłka będzie mniej więcej mojej wielkości... razy trzy.

– Trzech ludzi? – Hudson przesłał mu w odpowiedzi nieprzeniknione spojrzenie. – Rozumiem. Prosta sprawa, *baszd meg!* – orzekł, pieprzyć to.

– Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć – powiedział z uśmiechem Hudson. – Ile?

– Za trzech ludzi do Jugosławii... – Kovacs myślał chwilę. – Niedużo: pięć tysięcy marek.

– *Ez kurva drága* – zaprotestował dla pozorów Hudson. Pięć tysięcy zachodniemieckich marek to tanio, niecałe tysiąc funtów. – No dobrze, złodzieju! Zapłacę, bo jesteś moim przyjacielem. Ale zapłacę tylko tym razem. – Dopił tokaj. – Wiesz, ostatecznie mógłbym przerzucić ich samolotem...

– Ale lotnisko to jedyne miejsce, gdzie *határ rség* są zawsze czujni – zauważył Kovacs. – Z

nimi nic nie zdziałasz, bo ciągle kręcą się tam ich przełożeni. Nie miałbyś szans na żadne...

negocjacje.

– Pewnie masz rację. Cóż, dobrze. Zadzwoń i się umówimy.

– Świetnie. Wiesz, gdzie mnie szukać.

Hudson wstał.

– Dziękuję za poczęstunek, przyjacielu.

– Dobry trunek, dobry interes. – Kovacs otworzył drzwi. Za pięć tysięcy marek ureguluje swoje zobowiązania, a za resztę – pokaźną resztę – zakupi towary i sprzedaje z zyskiem w Budapeszcie.

298

Rozdział 23

Wszyscy na pokład

Zajcew zajrzał do biura podróży już o wpół do czwartej. Miał nadzieję, że ta niecierpliwość go nie zdradzi, ale z drugiej strony było to zainteresowanie jak najbardziej naturalne: przecież chodziło o urlop, jego i jego rodziny.

– Towarzyszu kapitanie, zarezerwowałem dla was bilety. Wyjeżdżacie pojutrze, o trzynastej z dworca Kijowskiego. Do Budapesztu przybędziecie dwa dni później, o czternastej.

Macie miejsca w wagonie 906, w przedziałach A i B. Zarezerwowałem również hotel, na jedenaście dni. Zamieszkacie w Astorii, w pokoju numer 307, dokładnie naprzeciwko Domu Przyjaźni Węgiersko-Rosyjskiej. Jest tam biuro naszego łącznika. To na wypadek, gdybyście potrzebowali pomocy.

– Świetnie. Bardzo wam dziękuję. – Zajcew pochylił głowę. – Jadę do Budapesztu, więc...

Może czegoś potrzebujecie?

– Och, to bardzo miło z waszej strony... – odrzekł tamten wyraźnie ożywionym głosem.

– Może... może by tak rajstopy dla żony.

– Jakiego rozmiaru?

– Cóż, żona jest typową Rosjanką... – Co oznaczało, że na pewno nie jest anorektyczką.

– Nie ma problemu. Na pewno coś znaję. Sam albo żona mi pomoże.

– Znakomicie. Szczęśliwej podróży. I dobrze się bawcie.

– Dziękuję, towarzyszu. – Załatwiwszy sprawę, Oleg Iwanowicz poszedł do przełożonego, żeby powiadomić go o swoich planach na najbliższe dwa tygodnie.

– Ale zaraz – odrzekł podpułkownik. – Nie prowadzicie przypadkiem czegoś dla tych z góry?

– Tak, ale pytałem już pułkownika Roźdiestwienskigo i powiedział, żeby się tym nie przejmować. Możecie do niego zadzwonić.

I pułkownik zadzwonił, w jego obecności. Zadał pytanie, słuchał chwilę, podziękował i spojrzał na podwładnego.

– Dobrze, Olegu Iwanowiczu. Poczynając od dzisiejszego wieczoru, zwalniam was z obowiązków. A propos. Kiedy będziecie w Budapeszcie...

– Oczywiście, Andrieju Wasiliewiczu. Zwróćcie mi pieniądze, kiedy wrócę. – Andriej był przyzwoitym szefem. Nigdy nie wrzeszczał, nie krzyczał, zawsze starał się pomóc.

Szkoda, że pracował w urzędzie, który mordował niewinnych ludzi.

Teraz pozostało mu tylko uporządkować biurko, co nie było trudne. Obowiązujące w KGB przepisy mówiły, że wszystkie biurka muszą wyglądać identycznie, żeby z jednego można było w każdej chwili przesiąść się do innego, a biurko Zajcewa spełniało absolutnie wszystkie wymogi. Zatemperował ołówki, odpowiednio je ułożył, uzupełnił wpisy w dzienniku, poukładał książki, wyrzucił śmieci i podszedł do toalety. Zamknąwszy drzwi do kabiny, zdjął brązowy krawat i włożył ten w paski. Zerknął na zegarek: wyrobił się trochę przed czasem, dlatego zwolnił, lekko przyhamował. Zamiast jednego papierosa, wypalił dwa i przespacerował się słoneczną ulicą, przystając po drodze, żeby kupić gazetę i sześć paczek 299

krasnopriesieńskich, ulubionych papierosów Leonida Breżniewa. Przynajmniej będzie miał

co palić w pociągu, poza tym czemu miałby oszczędzać? Teraz? Tam, dokąd jechał, ruble były bezwartościowymi papierkami. Na stacji metra spojrzał na zwisający z sufitu zegar.

Pociąg nadjechał jak zwykle o czasie.

Foley znowu był w tym samym miejscu i dokładnie o tym samym czasie robił to, co robił

każdego popołudnia, ale gdy pociąg przystanął na stacji, z trudem zapanował nad gonitwą myśli. Czuł lekkie wibracje podłogi – wsiadali nowi pasażerowie – słyszał pomruki wpadających na siebie

ludzi. Wyprostował się i otworzył gazetę na nowej stronie. Maszynista, mo-torniczy, czy jak się tam, do diabła, nazywał, miał ciężką nogę – albo rękę – i nie umiał ani łagodnie ruszać, ani łagodnie hamować. Chwilę później po swojej lewej stronie wyczuł czyjąś obecność i gdy pociąg zwolnił przed następną stacją, ten ktoś na niego wpadł. Foley od-wrócił głowę.

– Przepraszam, towarzyszu – powiedział Królik. Był w krawacie: w niebieskim krawacie w czerwone paski.

– Nie szkodzi – odrzekł obojętnie Foley, chociaż serce podjechało mu niemal do gardła.

A więc za dwa dni. Dworzec Kijowski, pociąg do Budapesztu. Królik się cofnął i na tym się skończyło. Sygnał został przekazany.

A teraz fajerwerki, pomyślał Foley. Złożył gazetę, ruszył do drzwi, wysiadł i jak co dzień poszedł piechotą do domu. Mary Pat gotowała obiad.

– Podoba ci się mój krawat? Rano nic nie mówiłaś.

Rozbłysły jej oczy. A więc już pojutrze, pomyślała. Będą musieli zawiadomić Langley, ale to zwykła rutyna. Miała nadzieję, że szefowie są już gotowi. Operacja „Beatrix” nabrała ostrego tempa, ale niby po co mieli zwlekać?

– Co dziś na obiad?

– Chciałam zrobić stek, ale będziesz musiał zjeść pieczonego kurczaka.

– Pycha. Gdzie Eddie?

– Jak to gdzie? Ogląda *Transformersów*. – Machnęła ręką w stronę drzwi do salonu.

– Zuch chłopak – rzucił z uśmiechem Foley. – Wie, co dobre i ważne... – Czule pocałował żonę.

– Potem, tygrysie – szepnęła Mary Pat. Ale sukces trzeba było dyskretnie uczcić. Może jeszcze nie sukces, ale prawie: ich pierwsza udana operacja w Moskwie. – Masz zdjęcia? –

szepnęła.

Sięgnął do kieszeni. Na okładkę czasopisma się nie nadawały, ale najważniejsze, że wi-dać na nich było Królika i jego córeczkę. Nie wiedzieli jeszcze, jak wygląda pani Królikowa, ale na razie musiało wystarczyć im to. Przekazą je Nigelowi i Penny. Anglicy obstawią dworzec, żeby sprawdzić, czy wszystko gra.

– Aha, Ed, prysznic znowu nawala. Coś z sitkiem.

– Zajrzę do Nigela, może ma narzędzia. – Foley wyszedł na korytarz. Kilka minut póź-

niej wrócił z Haydockiem, który dźwigał pudło z narzędziami.

300

– Cześć, Mary. – Nigel pomachał jej ręką i wszedł do łazienki. Tam otworzył pudło, głośno trzasnął wieczkiem, puścił wodę i zagłuszywszy mikrofony KGB, spojrzał na Foleya.

– Dobra. Co jest?

Ed podał mu zdjęcia.

– Królik z Króliczatką. Pani Królikowej jeszcze nie mamy. Pojutrze o trzynastej jadą do Budapesztu.

– Z Kijowskiego. – Nigel kiwnął głową. – I chcesz, żebym sfotografował panią Królikową, tak?

– Tak.

– Dobra, nie ma sprawy. – Koła natychmiast poszły w ruch. Jako attaché kulturalny ambasady Nigel mógł wymyślić dowolną bzdurę, żeby znaleźć się na dworcu. I zabrać ze sobą jakiegoś reportera, żeby wszystko wyglądało wiarygodnie. Może coś na temat... turystyki?

Paul Matthews z „Timesa” chętnie z nim pojedzie. Łatwizna. Tak, każe mu ściągnąć fotografa z redakcji. Londyn i Langley dostaną wreszcie porządne zdjęcia całej Króliczej rodziny.

Rosjanie nie powinni niczego podejrzewać. Bez względu na to, jak ważne informacje posiadał, Królik był tylko łącznościowcem, szyfrantem, jednym z tysięcy pracowników KGB. A więc jutro. Tak, jutro zadzwoni do kierownictwa Rosyjskich Kolei Państwowych i powie, że koleje brytyjskie – też zresztą państwowe – interesują się pracą kolegów po fachu... Tak, to powinno zadziałać. Rosjanie lubili się chwalić, zwłaszcza swoim wspaniałym systemem spo-

łącznym. Takie coś dobrze robiło na ego. Nigel zakręcił wodę.

– No, teraz chyba lepiej. Naprawione.

– Dzięki. Znasz tu jakiś dobry sklep z narzędziami?

– Nie. Te dostałem jeszcze jako młody chłopak. Od ojca.

Foley dobrze pamiętał, co się z nim stało. Tak, Nigel pragnął, żeby operacja „Beatrix” zakończyła się sukcesem. Chciał wykorzystać każdą sposobność, żeby kopnąć niedźwiedzia w tę wielką, włochatą dupę.

– Jak tam Penny?

– Płód jeszcze nie opadł. Pewnie za tydzień, może za dwa. Teoretycznie powinna urodzić za trzy, ale...

– Ale lekarze nigdy tego nie wiedzą, stary. Nigdy. Najlepsza rada, to trzymać się blisko szpitala. Kiedy lecicie?

– Lekarz z ambasady mówi, że wystarczy za dziesięć dni. Ostatecznie to tylko dwie godziny lotu.

– Za dziesięć dni? Optymista. Te rzeczy nigdy nie idą według planu. Chcecie, żeby wasz mały Anglik urodził się w Moskwie?

– Nie, raczej nie.

– W takim razie nie wpuszczaj Penny na trampolinę. – Foley puścił do niego oko.

– Jasne. – Amerykanie mają prostackie poczucie humoru, stwierdził w duchu Haydock.

301

To może być ciekawe, dumiał Foley, odprowadzając go do drzwi. Zawsze myślał, że Anglicy rodzą się w wieku pięciu lat i są natychmiast odsyłani do szkoły z internatem. Czy wychowywano ich tak samo jak w Stanach? Cóż, trzeba poczekać i zobaczyć.

Zwłok Owena Williamsa nie odebrano – okazało się, że nie ma rodziny, a jego żona się nim nie interesowała, zwłaszcza że już nie żył. Na przesłany teleksem rozkaz komisarza Patricka Nolana policjanci włożyli ciało do aluminiowej trumny, trumnę załadowali do furgonetki i wyruszyli na południe, do Londynu. Ale tam nie dojechali. W umówionym miejscu trumnę przeniesiono do innej, nieoznakowanej furgonetki i po krótkiej podróży zwłoki Williamsa trafiły do kostnicy w Swiss Cottage na północ od Londynu.

Były w kiepskim stanie, ponieważ nie oglądał ich jeszcze żaden specjalista od konserwacji. Plecy – niepoparzone – nabrały czerwonosinej barwy. Kiedy serce przestaje bić, siła cięż-

kości ściąga krew w dolne rejony ciała, a ponieważ w krwi nie ma tlenu, rejony te sinieją, górne zaś nabierają nieprzyjemnego koloru kości słoniowej. Specjalistą od konserwacji zwłok w tej kostnicy był cywil, który od czasu do czasu współpracował z brytyjskim wywiadem i który teraz, wraz z patologiem sądowym, badał zwłoki w poszukiwaniu znaków szczególnych. Najgorszy był odór spalonego ludzkiego mięsa i żeby go wyeliminować, włożyli maski chirurgiczne.

– Tatuaż na spodzie przedramienia. Częściowo spalony, ale widoczny.

– Tak, już. – Patolog zapalił palnik gazowy i przesunął płomieniem po przedramieniu. –

Coś jeszcze? – spytał dwie minuty później.

– Nie, chyba już nic. Górna część ciała jest dobrze zwęglona. Włosy spalone – smród spalonych włosów jest szczególnie odrażający – jedno ucho też... Przypuszczam, że zmarł, zanim dopadł go ogień.

– Tak – odrzekł patolog. – We krwi miał tyle tlenu węgla, że musiał. Pewnie nic nie poczuł.

Potem nadpalili mu czubki palców – żeby nikt nie mógł sprawdzić odcisków – i zrobili to w taki sposób, że oparzenia sprawiały wrażenie przypadkowych.

– No i już – rzucił w końcu patolog. – Nie wiem, jak mogliby go teraz zidentyfikować.

– Do zamrażarki z nim?

– Nie, chyba nie. Tylko go ochłodzimy do dwóch, trzech stopni Celsjusza. To powinno powstrzymać rozkład.

– A więc suchy lód.

– Tak. Trumna jest izolowana i hermetyczna, a suchy lód się nie topi. Ze stanu stałego od razu przechodzi w gazowy. Ale musimy go jeszcze ubrać... – Mieli przygotowaną bieliznę, oczywiście nie angielską i porządnie nadpaloną. W sumie była to paskudna robota, ale cóż, już dawno do niej przywykli. W każdej pracy myśli się po prostu inaczej, i tyle. Ale to zadanie było wyjątkowo makabryczne. Obaj czuli, że przed pójściem spać nie obejdzie się bez kieliszka czegoś mocniejszego. Gdy skończyli, aluminiową trumnę ponownie załadowano na furgonetkę i odwieziono do Century House. Rano na biurku sir Basila będzie czekała wiadomość, że „Królik A” jest gotowy do swego ostatniego lotu.

302

Tego samego wieczoru prawie pięć tysięcy kilometrów dalej, bo aż w Bostonie, w jedno-piętrowym domu z widokiem na port wybuchł gaz. W chwili eksplozji przebywało w nim troje ludzi. Dorośli – konkubent i konkubina – byli pijani, a czteroletnia córka konkubiny –

niespokrewniona z jej partnerem – już spała. Pożar rozprzestrzenił się szybko, zbyt szybko, żeby odurzeni alkoholem lokatorzy mogli jakkolwiek zareagować. Wkrótce wszyscy troje zmarli na skutek zaccadzenia. Bostońska straż pożarna przyjechała już po dziesięciu minu-tach. Załoga ratowniczo-

poszukiwawcza przebiła się przez ogień pod osłoną kurtyny wodnej z dwóch sikawek, znalazła ciała i wywlokła je na zewnątrz. Ale było już za późno. Kapitan jednostki niemal natychmiast domyślił się, co zaszło. Gaz ulatniał się z nieszczelnych przewodów starej kuchni gazowej, której właściciel domu nie chciał wymienić, tak więc troje ludzi zginęło na skutek jego skąpstwa. (Pieniądze z polisy ubezpieczeniowej? Jak najbardziej, chętnie je odbierze, mówiąc, jak bardzo mu przykro z powodu tej tragedii). Nie pierwszy to wypadek tego rodzaju i na pewno nie ostatni. Kapitan i jego ludzie znowu będą mieli nocne koszmary, zwłaszcza że w ogniu zginęła mała dziewczynka. Ale koszmary były nieodłączną częścią ich pracy.

Do wybuchu i pożaru doszło na tyle wcześnie, że wiadomość trafiła do wieczornego dziennika telewizyjnego, tego o jedenastej, zgodnie z zasadą, że im więcej krwi, tym lepsza oglądalność. Jeden z agentów specjalnych z bostońskiej FBI, szef tamtejszej placówki, czekał

właśnie na wiadomości sportowe – był na uroczystej kolacji i nie zdążył na bezpośrednią transmisję z meczu baseballowego na NBC – i oglądając reportaż, natychmiast przypomniał

sobie o tym obłąkanym teleksie, który dostali po południu. Mruknął, zaklął i podniósł słuchawkę telefonu.

– Słucham, FBI.

– Obudź Johnny’ego. Na Hester Street zginęła w pożarze cała rodzina. Johnny wie, co robić. W razie czego, niech zadzwoni do mnie do domu.

– Tak jest. – I na tym się właściwie skończyło. Dla wszystkich, ale nie dla Johna Tylera, który w tym samym czasie czytał w łóżku książkę; pochodził z Karoliny Południowej i od baseballu zdecydowanie wolał futbol. Odebrał telefon, zaklął, wstał, wszedł do łazienki, po czym wziął broń i kluczyki samochodowe. On też widział teleks z Waszyngtonu i w drodze na parking po raz kolejny stwierdził, że Emil Jacobs, ich naczelny, musi brać jakieś prochy.

Ale dlaczego i jakie, to już nie była jego sprawa.

Wkrótce potem – z tym, że pięć stref czasowych na wschód dalej – Jack Ryan wstał z łóżka, wziął gazetę i włączył telewizor. CNN też nadawało reportaż z Bostonu – w nocy niewiele się w Stanach działo – więc odmówiwszy szybką modlitwę za ofiary pożaru, pomy-

ślał o przewodach gazowych w ich własnym domu. Ale nie, ich dom był znacznie nowszy, nowocześniejszy, ten w Bostonie zaś przypominał drewniany barak. Takie budy płonęły jak pochodnia. Puff! i po zabawie. Troje ludzi. Najwyraźniej nie zdążyli uciec... Jego ojciec darzył

strażaków wielkim szacunkiem. I słusznie: byli ludźmi, którzy wbiegali do płonącego budynku, zamiast z niego uciekać. Najgorsze jednak musiało być to, co w tym budynku znajdowali... Ryan pokręcił głową, otworzył poranną gazetę i sięgnął po kawę. Jego żona widzia-

ła samą końcówkę reportażu i natychmiast przypomniał jej się trzeci rok studiów w Akademii

ca od ran. Straszliwie cierpieli i nic nie można było na to poradzić. Ale ci z Bostonu już nie żyli. Szkoda, lecz Cathy widziała śmierć nie pierwszy raz, bo śmierć często z nimi wygrywała. Taki los. Były to niezbyt przyjemne myśli, zwłaszcza dla matki dziecka w wieku dziewczynki, która zginęła w Bostonie i która już nigdy nie dorośnie. Cathy ciężko westchnęła.

Rano czekało ją kilka zabiegów. Przynajmniej podreperuje komuś zdrowie, a to już coś.

Sir Basil Charleston mieszkał w kosztownym domu w eleganckiej dzielnicy Belgravia na południe od Knightsbridge. Jako wdowiec – dorosłe dzieci już dawno się wyprowadziły –

przywykł do samotności, chociaż w pobliżu stale czuwała jego dyskretna obstawa. Trzy razy w tygodniu przychodziła sprzątaczką, ale ściąganiem kucharki nie zawracał sobie głowy, woląc zjeść coś na mieście albo upitrasić skromny posiłek samemu. Oczywiście jak na króla szpiegów przystało, miał w domu luksusowy sprzęt szpiegowski: trzy bezpieczne – „czyste”

– telefony, trzy bezpieczne teleksy i nowy bezpieczny faks. Stałej sekretarki nie miał, ale gdy wzmagał się ruch i nie było go w biurze, specjalny kurier z Century House zaopatrywał go na bieżąco we wszystkie niezbędne materiały. Zakładał – musiał zakładać – że „opozycja”

obserwuje jego dom, dlatego uważał, iż w sytuacji kryzysowej lepiej jest w nim pozostać, żeby zmylić przeciwnika pozornym spokojem i opanowaniem. Zresztą nie miało to w sumie żadnego znaczenia. Z Century House i całym brytyjskim wywiadem łączyła go trwała elek-troniczna pępowina.

Podobnie było tego ranka. Ktoś z Century House uznał za stosowne powiadomić go, że znaleziono zwłoki mężczyzny nadające się do wykorzystania w operacji „Beatrix”. Sir Basil aż się wzdrygnął: świetna wiadomość, zwłaszcza że przeczytał ją podczas śniadania. Sęk w tym, że potrzebowali trzech zwłok, w tym zwłok małej dziewczynki, ale o tym naprawdę wolał nie myśleć przy owsiance i herbacie.

Jednakże trudno było się tą operacją nie ekscytować. Jeżeli Królik nie kłamał – niektóre Króliki kłamały – facet musiał mieć w głowie niezwykle cenne informacje. Najcenniejsze bę-

dą oczywiście dotyczyć radzieckich agentów w rządzie Jej Królewskiej Mości. Agentami powinna zajmować się służba bezpieczeństwa – błędnie zwana MI-5 – ale obie agencje współpracowały ze sobą ściślej niż CIA z FBI, tak przynajmniej uważał. On i jego ludzie od dawna podejrzewali, że w

Ministerstwie Spraw Zagranicznych, a więc na bardzo wysokim szczeblu, istnieje przeciek, problem w tym, że jak dotąd nie zdołali go wykryć. Gdyby więc zdołali ewakuować Królika – „gdyby”, bo operacja jeszcze się nie skończyła – na pewno wywieźliby go do domu pod Taunton, żeby wypytać go o to wśród falujących wzgórz Somerset.

– Nie idziesz dzisiaj do pracy? – spytała Irina. Mąż powinien był już dawno wyjść.

– Nie – odrzekł Oleg Iwanowicz. – Mam dla ciebie niespodziankę.

– Jaką?

– Jutro jedziemy do Budapesztu.

Żona gwałtownie odwróciła głowę.

– Co takiego?

304

– Wziąłem urlop, a w Budapeszcie występuje Jozsef Rozsa, ten węgierski dyrygent.

Wiem, że lubisz muzykę klasyczną, więc pojedziemy. Ty, ja i Swietłana.

– Ale... – Irina zaniemówiła. – Ale... co z moją pracą?

– Nie możesz się zwolnić?

– Chyba mogę... Ale dlaczego akurat do Budapesztu?

– Żeby posłuchać muzyki i zrobić zakupy. Koledzy z Centrali dali mi całą listę.

– No tak... I moglibyśmy kupić coś dla Swietłany – myślała na głos Irina. Jako pracowni-ca GUM-u dobrze wiedziała, że na Węgrzech można dostać rzeczy niedostępne nawet w moskiewskich sklepach za złotymi firankami. – Ale kto to jest ten Rozsa?

– Młody węgierski dyrygent, objeżdża Europę. Podobno znakomity. W programie ma Brahmsa i Bacha. Będzie dyrygował jedną z tamtejszych orkiestr. No i pomyśl tylko o zakupach, kochanie... – Wiedział, że takiej propozycji nie oprze się żadna kobieta, choć wiedział

też, że to jeszcze nie koniec obiekcji. Siedział i cierpliwie czekał na kolejną.

– Nie mam co na siebie włożyć.

- Moja droga, właśnie dlatego jedziemy do Budapesztu. Kupisz sobie, co zechcesz.
- Ale...
- Tylko spakuj rzeczy do jednej torby. Weźmiemy kilka pustych, na rzeczy dla nas i naszych przyjaciół.
- No, ale...
- Irino, Budapeszt jest jak wielki, jak olbrzymi sklep. Węgierskie magnetowidy, zachodnie dzinsy i rajstopy, prawdziwe perfumy. W GUM-ie wszyscy ci będą zazdrościć.
- Cóż...
- Właśnie. Kochanie, jedziemy na urlop! – podkreślił z odrobiną męskiej władczości w głosie.
- Skoro tak mówisz... – szepnęła z chciwym uśmiechem. – Zadzwoń do biura. Pewnie nie zauważą nawet, że mnie nie ma...
- Moja droga, jedynymi ludźmi w Moskwie, których nieobecność zwraca uwagę, są członkowie Biura Politycznego, ale trwa to dzień, najwyżej półtora. Potem wybierają nowych i wszystko wraca do normy.

A więc załatwione. Jechali pociągiem na Węgry. Irina już myślała o pakowaniu. Oleg Iwanowicz nie przeszkadzał jej w tym. Za tydzień, za dziesięć dni, będą mieli o wiele lepsze ubrania. A za dwa miesiące pojedą do Disney Worldu na Florydzie...

Zastanawiał się, czy agenci CIA zdają sobie sprawę, jak wielkie zaufanie w nich pokłada, i modlił się – jak na oficera KGB, rzecz to niezwykła – żeby dotrzymali umowy.

- Dzień dobry, Jack.
- Hej, Simon. Co nowego? – Ryan postawił kawę na biurku i zdjął płaszcz.
- Dziś w nocy zmarł Susłow. Ich prasa poda to dopiero po południu.

– Umarł? Jaka szkoda. Cóż, kolejny nietoperz pofrunął do piekła. – Dzięki Berniemu Katzowi i jego kolegom ze szpitala Hopkinsa, umierając, miał przynajmniej dobry wzrok. –

Komplikacje cukrzycowe?

Harding wzruszył ramionami.

– Pewnie to i starość. Nasi mówią, że zmarł na atak serca. To zadziwiające, że ten sukinsyn w ogóle miał serce. Tak czy inaczej, jego następcą zostanie Michaił Jewgieniewicz Aleksandrow.

– Też niezły ptaszek. Kiedy pogrzeb?

– Był jednym z najbardziej wpływowych członków Biura Politycznego. Czeka nas wielka pompa, defilada, i tak dalej. Potem go skremują i pochowają w kremlofskim murze.

– Wiesz, zawsze się zastanawiałem, o czym myśli prawdziwy komunista, wiedząc, że umiera. Pewnie o tym, że to wszystko razem było jedną wielką bzdurą.

– Nie mam pojęcia. Ale Susłow należał chyba do wyjątków, bo naprawdę w to wierzył.

Dlatego przed śmiercią myślał prawdopodobnie o tym, ile zrobił w życiu dobrego, wiedząc ludzkość ku „promiennej przyszłości”, o której tak lubią mówić.

Niemożliwe, nikt nie jest aż tak głupi: słowa te cisnęły się na usta, ale Simon miał chyba rację. W pamięć zapadają najbardziej rzeczy złe i umierając, Czerwony Mike musiał chować je na samym dnie serca, jeśli w ogóle je miał. Ale najlepszy scenariusz na życie pozagrobowe komunisty odpowiadał najgorszemu scenariuszowi na życie pozagrobowe Ryana i jeśli komunista się mylił, czekało go – dosłownie – piekło. Pech, Miszka, cholerny pech. Nie zapomnij zabrać kremu do opalania.

– Dobra. Co mamy na dzisiaj?

– Pani premier chce wiedzieć, jak śmierć Susłowa wpłynie na ich politykę.

– Powiedz jej, że nie wpłynie. Pod względem poglądów politycznych Aleksandrow mógłby być jego bliźniaczym bratem. Marks jest według niego Bogiem, Lenin jego prorokiem, a Stalin w sumie się nie mylił i wcielając w życie swoją filozofię polityczną, był tylko trochę niekultuwny. Pozostali członkowie Biura już w to wszystko nie wierzą, ale muszą udawać, że wierzą. Aleksandrow to nowy dyrygent ideologicznej orkiestry symfonicznej.

Muzyka, którą grają, przestała im odpowiadać, ale wciąż do niej tańczą, bo innego tańca po prostu nie znają. Dlatego nie, nie sędzę, żeby pojawienie się Aleksandrowa zmieniło sposób podejmowania decyzji politycznych. Będą go słuchali, ale to, co powie, wpadnie im jednym uchem i wypadnie drugim. Będą udawali, że go szanują, ale to tylko jedno wielkie udawanie.

– Moim zdaniem sprawa jest trochę bardziej złożona, ale tak, masz rację, do tego się to sprowadza. Sęk w tym, że ty podsumowałeś ją paroma zdaniami, a ja muszę napisać aż dziesięć stron.

– Tak, wiem, nie ma to jak język biurokratyczny. – Ryan nie zdołał go jak dotąd opanować i był to jeden z powodów, dla których admirał Greer tak bardzo go lubił.

– Obowiązują nas określone procedury, Jack, a pani premier, jak chyba wszyscy premie-rzy, lubi czytać to, co rozumie.

– Dałbym głowę, że Żelazna Dama doskonale opanowała język waszych dokerów.

306

– Ale używa go tylko wtedy, kiedy ma na to ochotę, sir Johnie.

– Pewnie tak. – Ryan musiał się z tym zgodzić. – Dobra. Jakich dokumentów potrzebu-jemy?

– Mamy sporo materiałów na temat Aleksandrowa. Zaraz je nam podeślą.

A więc ten dzień zejdzie na pisaniu, pomyślał Jack. Wolałby zająć się rosyjską gospodarką, ale cóż, musiał pomóc Simonowi napisać analityczny nekrolog człowieka, którego nikt nie lubił, i który umarł nie pozostawivszy testamentu.

Poszło łatwiej, niż przypuszczał. Wiedział, że Rosjanie będą zadowoleni i oczywiście by-li: wystarczył jeden telefon do Ministerstwa Transportu. Nazajutrz o dziesiątej rano on, Paul Matthews i fotograf z „Timesa” mieli pojechać na dworzec Kijowski i nakręcić reportaż o radzieckich kolejach państwowych, porównując je z kolejami brytyjskimi, które – według większości wyspiarzy – wymagały modernizacji, zwłaszcza na szczeblu kierowniczym.

Matthews musiał podejrzewać, że Haydock jest z „Szóstki”, ale nigdy się z tym nie zdradził, pewnie dlatego, że Nigel chętnie dostarczał mu przeróżnych informacji i cynków.

Tak zdobywało się przyjaźń dziennikarzy – uczono ich tego nawet w akademii wywiadu –

tyczasem amerykańska CIA tego rodzaju praktyk zabraniała. Kongres Stanów Zjednoczonych wydaje najbardziej niezwykle i najbardziej absurdalne prawa, żeby spętać swoje służby wywiadowcze, pomyślał Haydock, chociaż był pewien, że agenci prawa te codziennie łamią.

On też kilka takich praw złamał. Oczywiście nigdy go na tym nie przyłapano, tak samo jak nie przyłapano go na tym, co tak naprawdę robił w Moskwie...

– Cześć, Tony. – Ed Foley przyjacielskim gestem wyciągnął rękę do moskiewskiego korespondenta „New York Timesa”. Ciekawe, pomyślał, czy on wie, jak bardzo nim pogar-dzam. Hmm, cóż, on pogardza pewnie mną... – Co słysząc?

– Susłow umarł. Potrzebne mi oświadczenie ambasadora.

Foley parsknął śmiechem.

– Ambasador wyraża głębokie zadowolenie, że ten stary skurwiel wreszcie wykitował.

Pasuje?

– Mogę to zacytować? – Prince otworzył notatnik.

Pora się wycofać.

– Niezupełnie. Nie dostałem w tej sprawie żadnych instrukcji, a szef jest teraz zajęty. Boję się, że będzie mógł cię przyjąć dopiero po południu.

– Ed, muszę coś napisać.

– „Michaił Susłow był wpływowym członkiem Biura Politycznego i ważną siłą ideologiczną Związku Radzieckiego. Wyrażamy głęboki żal z powodu jego śmierci”. Wystarczy?

– Pierwszy cytat był lepszy i bardziej prawdziwy – odrzekł korespondent „Timesa”.

– Znałeś go osobiście? Prince kiwnął głową.

– Spotkałem go dwa razy, zanim nasi zoperowali mu oczy...

307

– A więc to prawda? – przerwał mu Foley z udawanym zainteresowaniem. – Słyszałem coś o tym, ale myślałem, że...

Prince ponownie skinął głową.

– Prawda. Nosił okulary, grube jak dno butelki. Miły, sympatyczny człowiek. Dobre maniery, i tak dalej, ale w sumie konserwa. Papież komunizmu...

– Tak? Złożył ślub ubóstwa, czystości i posłuszeństwa?

– Miał w sobie coś z estety – odrzekł po chwili zastanowienia Prince. – Jakby naprawdę był swego rodzaju duchownym.

– Myślisz?

– Tak, jakby pochodził nie z tego świata i widział rzeczy, których my nie widzimy. Jak jakiś ksiądz...

Na pewno wierzył w komunizm. I bynajmniej nie zamierzał nikogo za to prze-praszać.

– Stalinista?

– Nie, ale trzydzieści lat temu, kto wie, pewnie by nim był. Bez trudu mogę wyobrazić sobie, jak podpisuje czyjś wyrok śmierci. A potem spokojnie idzie spać.

– Kto go zastąpi?

– Nie jestem pewien. Ci, do których mam dojście, nie wiedzą.

– Myślałem, że był bliskim kumplem drugiego Michaiła, tego jak mu tam, Aleksandrowa

– podpowiedział mu Foley, dochodząc do wniosku, że Prince ma jednak kiepskie kontakty.

Radzieckie przywództwo grało z zachodnimi dziennikarzami w ciuciubabkę. W Waszyngtonie było inaczej, bo tam dziennikarze mieli nad politykami pewną władzę. Tu nie. Członkowie Biura Politycznego nie okazywali przed prasą żadnego strachu, wprost przeciwnie.

Prince i jego dojścia. Ha!

– Może, ale nie wiem. A co mówią w ambasadzie?

– Jeszcze nie byłem na lunchu – odparował Foley. Myślałeś, że coś ci podsunę, Tony? Ja tobie? – Nie słyszałem plotek, jeśli w ogóle jakieś krążą.

– Nic to. Jutro albo pojutrze się dowiemy...

Ale byłoby wspaniale, gdybyś przepowiedział to jako pierwszy, co? I szukasz u mnie pomocy. Po moim trupie! Ale nie, zaraz, myślał Ed. Prince nie jest szczególnie cenną znajomością, ale niewykluczone, że okaże się znajomością użyteczną. Nie warto robić sobie wrogów ot tak, dla zabawy. Z drugiej strony, jeśli mu pomogę, może dojść do wniosku, że albo jestem z CIA, albo wiem, kto w CIA pracuje, a ponieważ lubi gadać i przechwalać się, jaki to jest bystry... Nie, lepiej niech ma mnie za głupka. Lepiej niech rozpowiada, jaki to jestem tę-

py, a on mądry.

Na Farmie nauczyli go, że to najlepsza przykrywka i chociaż źle wpływała na ego, bardzo pomagała w pracy, a Ed Foley kochał swoją pracę. Dlatego... do diabła z Prince'em i z tym, co sobie o mnie pomyśli. To ja się tu liczę, nie on.

– Dobra, Tony, popytam.

– Super. – Nie, żebym spodziewał się usłyszeć od ciebie coś ciekawego, mruknął w duchu reporter.

Nie umie ukrywać swoich uczuć, stwierdził Foley, odprowadzając go do drzwi. Myśli, że umie, ale nie umie. Marny byłby z niego pokerzysta. Zerknął na zegarek. Pora na lunch.

Jak większość europejskich dworców, dworzec Kijowski, niegdyś królewski pałac, był

żółtawy, jakby początek XIX wieku był epoką nadmiaru musztardy i jakby jakiś król czy car kazał pomalować nią elewacje wszystkich ważniejszych rezydencji. W Anglii nie do pomy-

ślenia, skonstatował Haydock. I dzięki Bogu. Sufit zrobiono ze szkła, osadzonego w żelaznych ramach, ale tak samo jak w Londynie, szkła chyba nigdy nie czyszczono, tak że pokrywała je warstwa sadzy z dawno zapomnianych parowozów i podgrzewanych węglem kotłów.

Ale Rosjanie się nie zmienili i wciąż byli Rosjanami. Wchodzili na peron ze swoimi tanimi walizkami i nawet jeśli wyjeżdżał tylko jeden z nich, prawie zawsze towarzyszyła mu cała rodzina, żeby się odpowiednio pożegnać, wymienić pocałunki, mężczyzna z kobietą i mężczyzna z mężczyzną, co Anglicy zawsze uważali za dość osobliwe. Ale taki był miejscowy zwyczaj, a wszystkie miejscowe zwyczaje są dla obcych dziwne. Pociąg do Kijowa, Belgradu i Budapesztu miał odjechać dokładnie o trzynastej, a radzieckie koleje państwowe, podobnie jak moskiewskie metro, słynęły z punktualności.

Kilka metrów dalej Paul Matthews rozmawiał z przedstawicielem Ministerstwa Transportu; gawędzili o napędzie lokomotyw, a wszystkie lokomotywy były oczywiście elektryczne, bo towarzysz Lenin postanowił zelektryfikować cały kraj i wytępić w nim wszystkie wszy; to dziwne, ale to pierwsze okazało się łatwiejsze niż to drugie.

Na torze trzecim stała wielka lokomotywa VL80T – dwieście ton stali – a za nią trzy wagony z kuszetkami, wagon restauracyjny, sześć międzynarodowych wagonów sypialnych, a tuż za lokomotywą trzy wagony pocztowe. Po peronie kręcili się konduktorzy i stewardzi.

Sprawiali wrażenie gburowatych i opryskliwych, jak wszyscy Rosjanie na służbie.

Haydock znał zdjęcia Królika na pamięć i cały czas się rozglądał dookoła. Dworcowy zegar wskazywał dwunastą piętnaście, jego zegarek też. Czy Królik przyjdzie? Bojąc się spóźnić na pociąg, on sam zawsze przychodził na stację dużo przed czasem; pewnie pozostało mu to z dzieciństwa. Tak czy inaczej, gdyby wyjeżdżał o pierwszej, do tej pory na pewno by już tu był. Ale jego żona na przykład nie: ona nigdy się nie spieszyła. Jak tak dalej pójdzie, myślał, urodzi w samochodzie, w drodze do szpitala. Boże, narozrabiałaby, że hej. Paul Matthews wciąż rozmawiał z Rosjaninem o kolejach państwowych, fotograf wciąż pstrykał

zdjęcia i wreszcie...

Tak, jest Królik, pani Królikowa i Króliczátko. Nigel klepnął fotografa w ramię.

– Popatrz na tę rodzinę – rzucił na wypadek, gdyby ktoś ich podsłuchiwał. – Jaka śliczna dziewczynka...

Fotograf natychmiast zrobił im dziesięć zdjęć, zmienił aparat i zrobił dziesięć kolejnych.

Świetnie, pomyślał Haydock. Każe je wywołać przed zamknięciem ambasady i wyśle... Nie, część dostarczy osobiście Foleyowi, a część przekaże posłańcowi królewskiemu – taki oto dostoyny tytuł nosił w Anglii zwykły kurier dyplomatyczny – żeby trafiły do rąk sir Basila, zanim ten pójdzie spać. Ciekawiło go, jak zamierzają ukryć fakt, że Królik zwiął. Będą musie-309

li wytrzasnąć skądś ludzkie zwłoki. Odrażające to, lecz możliwe. Dobrze, że nie znał wszystkich szczegółów...

Królicza rodzina przeszła trzy metry od nich. Nic nie mówili, ale dziewczynka – jak to mała, ciekawska dziewczynka – koniecznie musiała na niego popatrzeć. Puścił do niej oko i dostał w zamian uśmiech. Jeszcze kilka kroków i z biletami w ręku podeszli do konduktora.

Matthews wciąż pytał, a uśmiechnięty przedstawiciel kolei grzecznie odpowiadał.

Na trzydzieści sekund przed odjazdem konduktor – mimo niechlujnego munduru wyglądał na konduktora – przeszedł wzdłuż pociągu, sprawdzając, czy wszystkie drzwi są dobrze zamknięte. Potem zagwizdał gwizdkiem i podniósł do góry wielki lizak, dając znak maszyniście. Punktualnie o trzynastej ryknął bucdek i pociąg ruszył, powoli nabierając prędkości. Przez wielką rozjezdnię z dziesiątkami torów, na zachód, w kierunku Kijowa, Belgradu i Budapesztu.

310

Rozdział 24

Falujące wzgórza

Największą frajdę miała Swietłana, ale oni chyba też, bo nigdy dotąd nie jechali międzynarodowym pociągiem. Moskiewski węzeł kolejowy wyglądał jak każdy inny węzeł kolejowy w świecie: kilometry równoległych i przecinających się ze sobą torów, po których sunęły wagony towarowe, wioząc Bóg wie co i Bóg wie dokąd. Dzięki nierówności szyn zdawało się, że pociąg jedzie szybciej, niż jechał. Oleg i Irina zapalili papierosa i bez większego zainteresowania spojrzeli w duże, choć brudne okno. Siedzenia były nawet wygodne, „zadaszo-ne” składanymi łózkami.

W sumie mieli dwa przedziały z łączącymi je drzwiami. Wykładane boazerią, sądząc z wyglądu,

chyba brzożową, były wyposażone w dwie toalety, tak że Króliczek pierwszy raz w życiu mógł cieszyć się pełną niezależnością, czego na razie nie jeszcze nie doceniał.

Pięć minut po odjeździe do przedziału wszedł konduktor, żeby sprawdzić bilety.

– Pracujecie w Komitecie Bezpieczeństwa Państwowego? – spytał grzecznie. A więc KGB

ich uprzedziło, pomyślał Zajcew. Świetnie. Widocznie urzędasowi z biura podróży bardzo zależało na rajstopach dla żony...

– Nie wolno mi o tym mówić – odparł, posyłając mu twarde spojrzenie. A co. Niech wie, kto tu jest ważny. Będzie dla nich bardziej uprzejmy. Oficer KGB to nie to samo co członek Biura Politycznego, ale dyrektor fabryki to przy nim nikt. Nie, żeby ludzie tak bardzo się ich bali: po prostu nie chcieli im podpaść, i tyle.

– Oczywiście, towarzyszu. Gdybyście czegoś potrzebowali, dajcie znać. Kolację podaje-my o osiemnastej, a wagon restauracyjny jest zaraz za waszym.

– Dobre macie tu jedzenie? – odważyła się spytać Irina. Bycie żoną oficera KGB miało swoje plusy...

– Całkiem niezłe – odrzekł usłużnie konduktor. – Sam tu jem. – To już coś, pomyśleli Oleg i Irina.

– Dziękuję, towarzyszu.

– Życzę wam udanej podróży. – Konduktor wyszedł.

Oleg i Irina wyjęli książki. Swietłana przycisnęła nos do szyby i patrzyła na przesuwa-jący się za oknem świat. Tak rozpoczęli podróż, której ostateczny cel znało tylko jedno z nich. W przeciwieństwie do Kansasu czy wschodniego Kolorado, zachodnia Rosja to w większości falujące wzgórza i bezkresne równiny. Dla Zajcewów były to widoki dość nudne, ale dla ich małego *zajczika* wprost przeciwnie. Szczególnie podobały się jej pasące się na pa-stwiskach krowy. Krówki są ekstra, myślała.

Nigel podziękował urzędnikowi z Ministerstwa Transportu za bardzo wydajną pomoc i wraz z Paulem Matthewsem i fotografem pojechali do ambasady. Fotograf poszedł prosto do ciemni fotograficznej, natomiast Haydock z Matthewsem do gabinetu.

– No i jak? Zrobisz coś z tego?

– Czemu nie, pytanie tylko, czy to aż takie ważne.

– Ważne o tyle, że dzięki mnie Rosjanie mogą pochwalić się światu swoim wspaniałym krajem – odrzekł ze śmiechem Nigel.

Ty naprawdę robisz w „Szóstce”, co? – pomyślał Matthews.

– Hmm, mógłbym coś napisać. Brytyjskie koleje to dno dna, i wszyscy o tym wiedzą.

Może ci z Ministerstwa Skarbu zwiększą im wreszcie budżet...

– Właśnie, niezły pomysł. – Haydock zdawał sobie sprawę, że jego gość podejrzewa go o współpracę z wywiadem. Paul był jednak na tyle taktowny, że z niczym się nie zdradził. Ale pewnie się zdradzi, gdy tylko Nigel wróci do Century House, a on wyląduje z kumplami w pubie przy Fleet Street.

– Chcesz obejrzeć zdjęcia?

– Miałbyś coś przeciwko temu?

– Coś ty. Większość z nich i tak wyrzucamy.

– Świetnie. – Haydock otworzył kredens za biurkiem. – Napijesz się czegoś?

– Chętnie. Sherry, jeśli można.

Dwa kieliszki później przyszedł fotograf ze zdjęciami. Haydock je przejrzał.

– Znakomite. Ja też mam nikona, ale nigdy nie mogę złapać takiego światła... – Jest.

Piękne ujęcie Królika i, co ważniejsze, pani Królikowej. Wybrał trzy zdjęcia, jedno lepsze od drugiego. Schował je do szuflady, a resztę oddał Matthewsowi. Paul wstał.

– Lecę. Muszę napisać ten artykuł. Dzięki za cynk, Nigel.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Trafisz do drzwi?

– Jasne. – Matthews z kolegą fotografem zniknęli w korytarzu. Haydock wyjął zdjęcia.

Pani Królikowa była typową Rosjanką o okrągłej, słowiańskiej twarzy – w Związku Radzieckim mogłaby mieć milion identycznych sióstr. Na Zachodzie powinna zrzucić kilka kilogramów i zacząć się malować... jeśli tylko na ten Zachód trafią. Metr sześćdziesiąt wzrostu, sześćdziesiąt cztery kilo wagi – całkiem sympatyczna. Za to dziewczynka... Urocza. Miała żywe, niebieskie oczy, roześmianą twarzyczkę i była za młoda, żeby ukrywać uczucia, jak dorośli. Nie, wszystkie dzieci były takie same, niewinne i pełne niezaspokojonej ciekawości.

Ale najważniejsze, że mieli wreszcie fotografię całej Króliczej rodziny.

Kurier stacjonował na górze, tuż koło gabinetu ambasadora, sir Johna Kenny'ego, i Haydock wręczył mu dużą, żółtą kopertę, zaklejoną, zapieczetowaną woskiem i zamkniętą na metalowy zatrzask. Adres? Whitehall, skrytka pocztowa Ministerstwa Spraw Zagranicznych: stamtąd list miał trafić na drugi brzeg Tamizy, do Century House. Torba kuriera, bardzo elegancka dyplomatka z kosztownej skóry, miała z obu stron emblemat Królewskiego Domu Windsorów oraz – wbrew surowym zasadom konwencji wiedeńskiej – kajdanki na uchwycie. Na dole czekał już samochód: kurier miał pojechać nim na międzynarodowe lotnisko Szeremietiewo i popołudniowym samolotem Brytyjskich Linii Lotniczych polecieć do Londynu. Zdjęcia trafią do rąk sir Basila przed jego wyjściem z pracy, a wieczorem na pewno zasiądą do nich eksperci od fotografii, żeby oficjalnie sprawdzić, czy nikt się pod Królika nie podszywa. Jego twarz zostanie porównana z twarzami znanych oficerów KGB, agentów terenowych i tych ze służby bezpieczeństwa, i jeśli znajdą wśród nich podobną, Ed i Mary Foleyowie będą mieli koszmarne kłopoty. Ale Haydock nie sądził, żeby do tego doszło. Zga-312

dzał się ze swymi kolegami z CIA. Ten Królik nie wyglądał na podstawionego – to się po prostu czuło. Ale z drugiej strony agenci z Drugiego Zarządu Głównego też robili wrażenie prawdziwych...

Nigel wstąpił jeszcze do centrali, żeby wysłać do kwatery głównej wiadomość, że kurier wiezie do nich ważną wiadomość dotyczącą operacji „Beatrix”. Wiedział, że to postawi ich na nogi i że na kopertę czekał będzie w Whitehall specjalny posłaniec z Century House. Nasza biurokracja jest potwornie opieszła, to fakt, pomyślał. Ale kiedy ma się do załatwienia coś naprawdę ważnego, potrafi działać szybko. Przynajmniej nasz wywiad.

Lot trwał dwie godziny i dwadzieścia minut; trochę dłużej niż zwykle, ze względu na przeciwne wiatry. W terminalu numer trzy czekał na kuriera przedstawiciel Ministerstwa Spraw Zagranicznych, który wsadził go do czarnego jaguara i zawiózł do miasta. Kurier przekazał mu kopertę, wysiadł przed swoim biurem i zanim zdążył się w nim na dobre rozgościć, koperta była już na drugim brzegu Tamizy.

– Masz? – rzucił sir Basil.

– Tak jest, panie dyrektorze. – Posłaniec podał mu przesyłkę. Charleston sprawdził pieczęć, rozciął kopertę nożem do papieru i po raz pierwszy zobaczył Królika. Trzy minuty później do jego gabinetu wszedł Alan Kingshot. Sir Basil podał mu zdjęcia.

Kingshot wziął pierwsze z wierzchu i długo się mu przyglądał.

– A więc to on, tak?

– Tak.

– Wygląda całkiem zwyczajnie. Żona też. A dziewczynka jest śliczna. Już jadą?

– Od pięciu i pół godziny.

– Szybki jest ten Nigel... – Kingshot wbił wzrok w twarz Zajcewa, zastanawiając się, jakie informacje ten człowiek ukrywa i czy kiedykolwiek im je przekaze. – A więc ruszyliśmy.

Mamy zwłoki?

– Te z Yorku pasują. Trzeba tylko spalić mu twarz – odrzekł z niesmakiem sir Basil.

– To oczywiste. A pozostałe dwa?

– Znaleźli coś w Stanach. Matka i córka, zginęły w pożarze, w Bostonie. FBI już nad nimi pracuje. Musimy przesłać im zdjęcia, żeby je jakoś... dopasowali.

– Zajmę się tym.

– Tak, bądź tak dobry.

Kolorowy faks na dole był podobny do tych, jakich używają w redakcjach gazet, względnie nowy i – wedle zapewnień operatora – łatwy w obsłudze. Operator zerknął na zdjęcie i włożył je do maszyny. Niecałe dwie minuty później fotografia Królika i jego rodziny dotarła do Langley. Kingshot zabrał zdjęcie i wrócił do gabinetu sir Basila.

– Załatwione – powiedział.

313

Charleston spojrział na zegarek. Odczekał pięć minut – kwatera główna CIA to olbrzymi gmach, a centrum telekomunikacyjne mieściło się w podziemiach – po czym zadzwonił do sędziego Moore’a.

– Witaj, Basil.

– Witaj, Arthurze. Dostałeś zdjęcie?

– Przed chwilą. Miła rodzinka. Zrobiliście na dworcu?

– Tak, są już w drodze. Przyjadą do Budapesztu za mniej więcej dwadzieścia... Nie, za dziewiętnaście godzin.

– Dobrze. Jesteście gotowi?

– Niedługo będziemy. Chodzi o tych nieszczęśników z Bostonu. Mamy zwłoki mężczyzny. Po pierwszych oględzinach wszystko wskazuje na to, że się nadają.

– Rozumiem – odrzekł Moore. – Ponaglę FBI. – Będzie musiał jak najszybciej przesłać zdjęcie do

gmachu Hoovera. A co tam, pomyślał. Niech Emil też się tym upapra.

– Świetnie. Będziemy w kontakcie.

– Oczywiście. Do usłyszenia, Bas.

– Znakomicie. – Charleston odłożył słuchawkę i spojrzał na Kings-hota. – Każ swoim ludziom przygotować zwłoki do transportu.

– Na kiedy?

– Mniej więcej za trzy dni.

– Tak jest. – Kingshot wyszedł.

Sir Basil pomyślał chwilę i doszedł do wniosku, że najwyższa pora ostrzec Amerykanina. Ponownie podniósł słuchawkę i wybrał numer. Półtorej minuty później do gabinetu wszedł Ryan.

– Tak, panie dyrektorze?

– Wyjeżdża pan za trzy dni. Może za cztery, ale raczej za trzy.

– Skąd wyjeżdżam?

– Z Heathrow odlatuje rano samolot British Airways. Może pan wyjechać stąd albo zła-pać taksówkę z Victoria Station. Będzie panu towarzyszył jeden z naszych ludzi, a w Budapeszcie pozna pan Andy’ego Hudsona, szefa naszej ekspozytury. Hudson jest dobry. Świetnie tam sobie radzi.

– Tak jest – odparł Ryan, nie mając pojęcia, co mówią w takiej sytuacji agenci wyruszający na misję. Nadeszła pora na pytanie. – Czy wiadomo już, jak to... załatwimy?

– Nie jestem pewien, ale Andy ma dobre znajomości wśród tamtejszych przemytników.

Myślę, że przeprowadzi was do Jugosławii i wsadzi na samolot do Anglii.

Do diabła, pomyślał Ryan. Znowu te samoloty. Nie moglibyśmy pojechać pociągiem?

Ale niejako były żołnierz piechoty morskiej nie miał prawa okazywać strachu.

– Dobrze, oczywiście.

– Może pan porozmawiać z Królikiem. Tylko dyskretnie – przestrzegł go Charleston. –

Może pan również uczestniczyć we wstępnych przesłuchaniach w Somerset. I o ile wiem, będzie pan eskortował go do Stanów. Waszym transportem, rzecz jasna.

Coraz lepiej, pomyślał Jack. Coraz lepiej. Będzie musiał przewyciężyć tę cholerną nienawiść do latania. Wiedział o tym, dobrze to rozumiał, problem w tym, że jeszcze jej nie przewyciężył. Dobrze przynajmniej, że nie każą mu lecieć śmigłowcem z zepsutym wirnikiem. Nie, do śmigłowca nigdy by nie wsiadł. Wykluczone.

– Jak długo nie będzie mnie w domu? – Czyli: jak długo będę musiał spać bez żony u boku?

– Od czterech do siedmiu dni – odrzekł sir Basil. – Zależy, jak potoczą się sprawy w Budapeszcie. Trudno to przewidzieć.

Żadne z nich nigdy nie jadło śniadania, pędząc z prędkością prawie stu kilometrów na godzinę. Co za przygoda – zwłaszcza dla ich małej córeczki. Wołowina była dobra, lepsza niż ta ze sklepu. Mile się rozczarowali: wołowiną, ziemniakami, zielonym groszkiem i karafką gatunkowej wódki – żeby lepiej im się jechało. A jechali prosto w zachodzące słońce, przez bezkresne pola. Irina nachyliła się nad stołem, żeby pokroić mięso dla *zajczika*. Swietłana jadła jak duża dziewczynka – już od dawna za taką się uważała – i zapijała mięso zimnym mlekiem.

– Cieszysz się, miła? – spytał Oleg.

– Tak – odrzekła Irina. – Zwłaszcza z zakupów.

Oleg Iwanowicz był w sumie spokojny – szczerze mówiąc, nie był tak spokojny od wielu tygodni. Stało się. Jego zdrada – podświadomie wciąż tak o tym myślał – już się dokonała.

Ciekawe ilu jego rodaków – ilu kolegów z Centrali – miałoby odwagę tak zaryzykować? Nie wiadomo. Mieszkał w kraju i pracował w urzędzie, w którym wszyscy ukrywali swoje myśli.

A w urzędzie tym nie przyjął się rosyjski zwyczaj uświęcania bliskiej przyjaźni mówieniem rzeczy, za które można było wylądować w więzieniu – nie, oficer KGB tego nie robił. Komitet Bezpieczeństwa Państwowego funkcjonował na zasadzie dychotomicznej równowagi między lojalnością i zdradą. Między lojalnością wobec państwa i jego zasad ustrojowych i zdradą tych, którzy je pogwałcali. Ale ponieważ on już w te zasady nie wierzył, wybrał zdradę, żeby ratować swoją duszę.

A zdrada już się dokonała. Gdyby Drugi Zarząd Główny znał jego plany, musieliby być obłąkani, żeby pozwolić mu wyjechać z Moskwy. Przecież mógł wysiąść na każdym przystanku – albo wyskoczyć, gdy pociąg zwolni przed stacją – i oddać się w ręce zachodnich agentów, którzy już by go tam wypatrywali. A więc nie, na razie był bezpieczny. Na razie mógł być spokojny. Nie pozostawało mu nic innego, jak czekać. Wciąż powtarzał sobie, że robi dobrze i ze świadomości tej

wypływało poczucie bezpieczeństwa, jakkolwiek iluzoryczne czy z gruntu fałszywe. Bo wiedział, że jeśli Bóg istnieje, na pewno obroni kogoś, kto ucieka przed złem.

Na obiad znowu było spaghetti. Cathy miała znakomity przepis na sos – od swojej ma-my, w której żyłach nie płynęła ani kropla włoskiej krwi – a on ten sos uwielbiał, zwłaszcza z 315

dobrym włoskim chlebem; żona kupowała go w Chatham. Nazajutrz nie miała zabiegów, więc mogli napić się wina. Nadeszła pora, żeby jej powiedzieć.

– Kochanie, za kilka dni będę musiał wyjechać.

– NATO?

– Niestety. Na trzy, cztery dni, może na trochę dłużej.

– I nie możesz powiedzieć, o co chodzi?

– Nie, nie mogę.

– Znowu bawisz się w szpiega?

– Taka praca. – Tyle wolno mu było powiedzieć.

– Kto to jest szpieg? – spytała Sally.

– Tatuś – odrzekła, nie myśląc Cathy.

– Jak ten z Oz?

– Co? – nie zrozumiał Jack.

– W *Czarnoksiężniku* Tchórzliwy Lew mówi, że ktoś ich szpieguje, nie pamiętasz?

– Aaa, w *Czarnoksiężniku* z Krainy Oz... – Był to jej ulubiony film, przynajmniej w tym roku.

– Przecież mówiłam. – Jejku, czemu tatuś jest taki głupi?

– Nie, tatuś nikogo nie szpieguje – zapewnił ją Jack.

– To dlaczego mamusia mówi, że jesteś szpiegiem? – drażyła Sally. Ma zadatki na dobrą agentkę FBI, pomyślał Ryan.

Pałeczkę przejęła Cathy:

– Mamusia żartowała.

– Aha. – Sally zajęła się swoim pisghetti. Jack posłała żonie wymowne spojrzenie. Nie mogli rozmawiać o tym przy córce. Nigdy. Przenigdy. Małe dzieci potrafią dochować tajemnicy najwyżej przez pięć minut. Jeśli nie chcieli, żeby nazajutrz cytowano ich na pierwszej stronie „Washington Post”, musieli uważać na to, co mówią. Wszyscy sąsiedzi myśleli, że John Patrick Ryan pracuje w amerykańskiej ambasadzie i ma szczęście być mężem okulistki, a właściwie chirurga. Nie musieli wiedzieć, że jest analitykiem Centralnej Agencji Wywiadowczej. Po co? Żeby zżarła ich ciekawość? Żeby zaczęli z niego żartować?

– Trzy, cztery dni? – spytała Cathy.

– Tak mi powiedzieli. Może trochę dłużej, ale niewiele.

– To ważne? – Sally była piekielnie ciekawska. Odziedziczyła to po matce, a może i po nim.

– Na tyle, że znowu każą mi wsiąść do samolotu. – To podziałało. Cathy wiedziała, że mąż nie znosi latać.

– Masz receptę na valium. Dać ci coś mocniejszego?

– Nie, kochanie, dzięki.

316

– Gdybyś w powietrzu chorował, łatwiej byłoby postawić diagnozę. – No i leczyć, to oczywiste.

– Skarbie, byłaś ze mną, kiedy wysiadł mi kręgosłup, pamiętasz? Samoloty źle mi się kojarzą, mam przykre wspomnienia. Może kiedy wrócimy do Stanów, wynajmiemy jacht –

dodał z odrobiną nadziei w głosie. Ale nie, takie coś nigdy nie wypalało. Nie w prawdziwym świecie.

– Przecież latanie jest fajne – zaprotestowała Sally. Miała to po matce. Na sto procent.

Każda podróż w końcu męczy, dlatego Zajcewowie byli mile zaskoczeni, gdy wróciwszy z kolacji, zobaczyli posłane łóżka. Irina przebrała córeczkę w żółtą koszulkę w kwiatki. Swietłana pocałowała ich na dobranoc, weszła po drabince na górę – uparła się, że zrobi to sama –

i okryła się kocem. Ale zamiast spać, patrzyła w okno, za którym majaczył ciemny krajobraz.

Od czasu do czasu w ciemności tej mrugały światelka graniczących z torami kołchozów, co bardzo ją fascynowało.

Rodzice zostawili uchylone drzwi na wypadek, gdyby dręczyły ją nocne koszmary i gdyby dla nabrania otuchy chciała się do nich przytulić. Przed pójściem spać spojrzała w dół, żeby sprawdzić, czy pod łóżkiem nie czai się wielki, czarny niedźwiedź, ale nie, na niedź-

wiedzia nie starczyłoby tam miejsca. Oleg i Irina otworzyli książki i wkrótce usnęli, ukołysani rytmicznym stukotem kół pociągu.

– „Beatrix” ruszyła na dobre – powiedział Moore. – Królik i jego rodzina są już w pociągu. W tej chwili powinni wjeżdżać na Ukrainę.

– Nie znoszę tak czekać – mruknął admirał Greer. Łatwiej mu było do tego się przyznać, ponieważ nigdy nie brał udziału w akcji. Nie, zawsze siedział za biurkiem, segregując ważne informacje. W takich chwilach wspominał proste przyjemności, jakich doświadczał, stojąc na mostku, głównie na mostku łodzi podwodnej: ten wiatr, te fale, ta świadomość, że zamiast biernie czekać na to, co zrobi ocean czy czający się w oddali wróg, ledwie kilkoma słowami może zmienić kurs i prędkość okrętu. Miał wtedy złudzenie, że jest panem swego losu.

– Cierpliwość to najzaciejsza cnota, James, najtrudniejsza do zdobycia. A im wyższe i odpowiedzialniejsze stanowisko, tym bardziej jej brakuje. Czuję się teraz tak, jakbym czekał, aż ci przekłeci adwokaci przejdą wreszcie do rzeczy. Może to trwać i trwać, zwłaszcza kiedy potrafisz przewidzieć, co ci głupcy powiedzą. – Moore swoje przeżył, wiedział, co znaczy brać udział w akcji. Ale teraz jego praca polegała głównie na czekaniu, podobnie jak praca Greera. Nikt nie jest panem swego losu: świadomość ta przychodzi z wiekiem. Człowiek próbuje przepełznąć z punktu do punktu, robiąc przy tym jak najmniej błędów. I tyle.

– Powiesz o tym prezydentowi?

Sędzia pokręcił głową.

– Za wcześnie, nie ma sensu. Po co ma się niepotrzebnie denerwować. Gdyby informacje tego człowieka okazały się niewypałem, byłby rozczarowany. Znowu. Za często go rozczarowujemy.

– Arthurze, informacji jest zawsze za mało. Im ich więcej, tym więcej niewiadomych.

– James, mój chłopcze, nie jesteśmy filozofami, ani ty, ani ja.

- Mądrość przychodzi wraz z siwizną. Wszedł Mike Bostock.
- Jeszcze dwa dni i operacja „Beatrix” przejdzie do historii – oznajmił.
- Mike, gdzieś ty się nauczył wierzyć w Świętego Mikołaja? – spytał Greer.
- Jest tak: mamy Królika, który właśnie ucieka. Mamy zespół dobrych fachowców, którzy mu pomagają. Jeśli wysyła się do boju żołnierzy, trzeba wierzyć, że nie zawiodą.
- Problem w tym, że nie są to tylko nasi żołnierze – zauważył Greer.
- Basil to świetny organizator, panie admirale.
- Tak, to prawda.
- A więc co chciałbyś znaleźć pod choinką, Mike? – spytał Moore.
- Wysłałem do Mikołaja list, a Mikołaj zawsze spełnia nasze prośby. – Bostock promieniał. – Co z nim zrobimy, kiedy już przyjedzie?
- Z Królikiem? – myślał na głos Moore. – Pewnie wyślemy go na farmę do Winchesteru.

Żeby odpoczął, spuścił parę, trochę popodróżował...

- Dużo dostanie? – wtrącił Greer.
- Pieniądzy? – To sędzia sprawował pieczę nad nieoficjalnym, „lewym” budżetem CIA.
- Zależy od tego, co nam sprzeda... Nie wiem, może nawet milion. Do tego ładny dom, praca...
- Gdzie? – spytał Bostock.
- Sam zdecyduje.

Sprawa była prosta i skomplikowana zarazem. Królik i jego rodzina będą musieli nauczyć się angielskiego. Będą musieli dostać nową tożsamość, nowe nazwisko; pewnie zostaną „norweskimi imigrantami”, żeby wyjaśnić jakoś ten obcy akcent. CIA miała prawo przyjąć rocznie stu nowych obywateli i ani razu tego limitu nie wyczerpała. Nazwisko, numery ubezpieczenia społecznego i prawo jazdy – przedtem będą musieli pójść na kurs, a już na pewno jego żona. Jak zwykle załatwią to w Wirginii (Agencja utrzymywała z tym stanem wyjątkowo serdeczne stosunki, bo ci z Richmond nigdy nie zadawali zbyt wielu pytań).

Trzeba też było pomyśleć o pomocy psychologa dla ludzi, którzy pozostawiwszy za sobą wszystko to, co dotąd znali, musieli odnaleźć się na nowo w zupełnie obcym kraju; CIA zatrudniała w tym celu jednego z profesorów z Columbia University. Potem na pewno zorganizują im spotkanie z innymi uciekinierami, z tymi, którzy zdążyli się już tu zadomowić. Ci też im pomogą, poprowadzą ich za rękę

jak małe dzieci. Zadanie to trudne i skomplikowane.

Dla Rosjan Ameryka była jak sklep z zabawkami dla dziecka, które nie wiedziało, że takie sklepy w ogóle istnieją. Ponieważ nie mieli absolutnie żadnych punktów odniesienia – jakby nagle znaleźli się na obcej planecie – Stany wywierały na nich druzgoczące wrażenie. Dlatego pracownicy CIA musieli zrobić wszystko, żeby ułatwić Królikowi aklimatyzację. Po pierwsze, wyciągnąć z niego informacje, po drugie, sprawić, żeby ani on, ani jego rodzina nie chcieli wrócić do domu. Dla niego oznaczało to pewną śmierć, ale takie przypadki już się zdarzały, tak silna była tęsknota za ojczyzną.

318

– Jeżeli lubi zimny klimat, wyślijcie go do Minneapolis – Saint Paul – zasugerował Greer.

– Ale panowie, nie uprzedzajmy wypadków.

– Jak zawsze przemawiasz głosem człowieka trzeźwego i rozsądnego – zauważył z uśmiechem Moore.

– Ktoś musi. Piskłeta policzymy dopiero wtedy, gdy się wykluje.

A jeśli ten człowiek nic nie wie? – dumał sędzia. Jeśli nas nabrał? Cholera, niech szlag trafi tę pracę!

– Basil jest z nami w stałym kontakcie, poza tym mamy przecież jeszcze Ryana...

– Cudownie – wtrącił Bostock. – Basil żłapie piwo i pęka ze śmiechu.

– Ryan to dobry chłopak – odparł Greer. – Nie doceniasz go, Mike. Tak samo jak ci, którzy siedzą teraz w więzieniu stanowym w Marylandzie, czekając na apelację.

– Cóż, służył kiedyś w piechocie morskiej, to fakt – przyznał mu rację Bostock. – Co mam powiedzieć Bobowi, kiedy zadzwoni?

– Nic – odrzekł szybko Moore. – Dopóki nie dowiemy się od Królika, co Rosjanie zrobili z naszym systemem łączności, trzeba uważać na to, co się mówi. Jasne?

Bostock kiwnął głową jak potulny pierwszoklasista.

– Tak jest.

– Każę sprawdzić nasze linie telefoniczne. Podobno są czyste. Ale Chip Bennett wciąż szaleje i biega w kółko po całym Fort Meade. – Sędzia nie musiał dodawać, że wiadomość, którą Królik przekazał Mary Pat Foley, była dla Waszyngtonu najbardziej wstrząsającą rewelacją od czasów Pearl Harbor.

Ale może uda im się wykorzystać ją przeciwko Rosjanom. W

Langley, podobnie jak wszędzie indziej, było wieczne źródło nadziei. Było mało prawdopodobne, żeby Komitet Bezpieczeństwa Państwowego wiedział o czymś, o czym nie wiedzieli chłopcy z wydziału nauki i technologii, ale żeby obejrzeć karty, trzeba najpierw wyło-

żyć forszę.

Ryan powoli się pakował. Cathy robiła to lepiej, problem w tym, że nie bardzo wiedział, czego będzie potrzebował jako tajny agent. Chryste, co taki agent ze sobą zabierał? Służbowy garnitur. Stary mundur polowy z piechoty morskiej? (Wciąż go miał, z belką na kołnierzyku, i tak dalej). Ładne, skórzane buty? Adidasy? Adidasy na pewno, tak przynajmniej uważał.

Ostatecznie wybrał coś pośredniego: codzienny garnitur i dwie pary butów, eleganckie i zwykłe. A wszystko to musiało zmieścić się do jednej torby; akurat taką miał, dużą, płócienną, łatwą do noszenia i nierzucającą się w oczy. Paszport zostawił w górnej szufladzie biurka. Od sir Basila miał dostać nowy, brytyjski, dyplomatyczny – paszport z cyklu „odpierdol się, koleś”. No i oczywiście nowe nazwisko. Cholera. Będzie musiał nauczyć się na nie reagować. Przywykł do tego, że ma tylko jedno.

Praca w Merrill Lynch miała jeden wielki plus: człowiek zawsze wiedział, kim, do diabła, jest. Jasne, myślał. Niechaj cały świat gada, że jesteś przydupasem Joego Mullera. Po moim trupie. Szmiał mógł tłuc każdy zadufany w sobie dupiek, a jego teść takim dupkiem był.

– Skończyłeś? – spytała Cathy, wyrastając za nim jak spod ziemi.

319

– Prawie.

– Ale powiedz, to nie jest niebezpieczne...

– Nie, skarbie, myślę, że nie. – Nie umiał kłamać, lecz wystarczyła sama niepewność, z jaką to powiedział.

– Dokąd jedziesz?

– Już ci mówiłem, do Niemiec. – Oho! Znowu mnie przyłapała.

– Te natowskie sprawy?

– Tak, podobno.

– Co ty właściwie robisz w Londynie? Century House to kwatery główna wywiadu i...

– Cathy, już o tym rozmawialiśmy. Jestem analitykiem. Analizuję informacje z różnych źródeł, próbuję coś z nich zrozumieć, a potem streszczam je dla innych. Mniej więcej to samo robiłem w Merrill Lynch. Moja praca polega na odgadywaniu prawdziwego znaczenia różnych informacji. Szefowie uważają, że jestem w tym dobry.

– Ale nie masz nic wspólnego z bronią, tak? – Na wpół pytanie, na wpół twierdzenie.

Wyniosła to pewnie z dyżurów w izbie przyjęć w szpitalu Hopkinsa. Lekarze jako grupa zawodowa nie przepadali za bronią palną, może z wyjątkiem tych, którzy jesienią polowali na ptaki. Cathy nie zносиła widoku nienabitego remingtona w szafie, a z jeszcze większym trudem zносиła widok zawsze nabitego browninga hi-power na półce w sypialni.

– Nie, kochanie, absolutnie nie. Jestem szpiegiem, ale innego rodzaju.

– Dobrze. – Na wpół ustąpiła. Wierzyła mu, choć nie do końca, lecz wiedziała, że tak jak ona nie ma prawa omawiać z nim spraw dotyczących pacjentów, tak on nie może opowiadać jej o swojej pracy. I właśnie stąd brała się cała frustracja. – Tylko, żebyś szybko wrócił.

– Skarbie, wiesz, że nie znoszę się z tobą rozstawać. Nie mogę nawet spać, kiedy cię przy mnie nie ma.

– To może mnie ze sobą zabierzesz?

– Na zakupy do Niemiec? Chcesz kupić Sally bawarską spódnicę?

– Filmy z Heidi bardzo się jej podobają... – Słabiutki argument.

– Dobry strzał, skarbie. Chciałbym, ale naprawdę nie mogę.

– Cholera – mruknęła lady Ryan.

– Żyjemy w niedoskonałym świecie, Cathy.

Niedoskonały świat – nie zносиła tego powiedzonka, dlatego tylko zaklęła. Ale w sumie cóż innego mogła zrobić.

Kilka minut później, już leżąc w łóżku, Jack zastanawiał się, w co znowu wdepnął. Rozsądek mówił mu, że z wyjątkiem miejsca, zadanie będzie pod każdym względem rutynowe.

Ale nie licząc pewnej małej drobnostki, sztuka w teatrze Forda też się bardzo Lincolnowi podobała. Wysyłają go do obcego kraju – nie, do wrogiego kraju. Ale przecież tu też był obcy kraj, mimo przyjaznych, sympatycznych Anglików. Tylko własny dom jest prawdziwym domem. Anglicy go

lubili. Węgrzy raczej nie polubią. Może nie będą do niego strzelać, ale na pewno nie wręczą mu kluczy do miasta. Co będzie, jeśli odkryją, że podróżuje z fałszywym 320

paszportem? Co mówiła na ten temat Konwencja Wiedeńska? Ale cholera, przecież nie mógł

teraz wymięknąć. Służył w piechocie morskiej. Miał być nieustraszony. Tak, jasne. Gdy banda Seana Millera wpadła do ich domu i gdy Miller przystawił mu lufę pistoletu do głowy, nie posikał się w spodnie tylko dlatego, że był kompletnie zaskoczony. Jakoś sobie z nimi poradził, ale bynajmniej nie czuł się bohaterem. Zdołał przeżyć, zdołał nawet zabić faceta z uzi, ale zadowolony był tylko z tego, że nie zabił samego Millera. Nie, tym sukinsynem zajmowały się teraz władze stanu Maryland – chyba że ponownie wtrąci się do tego Sąd Najwyższy, co zważywszy liczbę agentów, którzy zginęli podczas akcji – było bardzo mało prawdopodobne. Martwy policjant, to martwy policjant i sądy zawsze brały to pod uwagę.

Ale co będzie działo się na Węgrzech? Miał być obserwatorem, na wpół oficjalnym przedstawicielem CIA i doglądać ewakuacji jakiegoś głupiego Rosjanina, który postanowił

zwiąć z Moskwy. Cholera, dlaczego akurat ja? Dlaczego zawsze ja? Jak na diabelskiej loterii: wciąż wygrywał jego numer. Czy się to wreszcie skończy? Płacono mu za spoglądanie w przyszłość i wróżenie z fusów, ale w głębi serca czuł, że to guzik, że bez innych nie dałby sobie rady. Ktoś mówił mu, co się dzieje, on porównywał to z tym, co już się kiedyś stało – i o czym wszyscy dobrze wiedzieli – po czym wyciągał wnioski, to znaczy strzelał, twierdząc, że ten czy tamten może zrobić to albo to. Tak, oczywiście, na giełdzie jakoś mu szło, ale na giełdzie nie mordowano dla kilku zwykłych akcji. A teraz może oberwać w tyłek.

Świetnie, kurwa. Po prostu znakomicie. Wbił wzrok w sufit. Dlaczego sufity są zawsze białe?

Przy czarnym lepiej by się zasypiało. Biały widać nawet w ciemnym pokoju. Więc dlaczego malują je na białe?

I dlaczego nie mógł zasnąć? Dlaczego zadreślał się pytaniami bez odpowiedzi? Bez względu na to, co będzie, on niemal na pewno wyjdzie z tego cało. Sir Basil nie dopuści do tego, żeby ktoś zrobił mu krzywdę. Źle by to odebrano, zwłaszcza w Langley. Brytyjczycy nie mogli sobie na to pozwolić, bo znaleźliby się w cholernie kłopotliwej sytuacji. Sędzia Moore nigdy by im tego nie zapomniał: sprawa Ryana trafiłaby do instytucjonalnej pamięci CIA i odgrzebywano by ją przez najbliższe dziesięć lat, może nawet dłużej. Tak więc nie, Anglicy na pewno się nim zaopiekują.

Ale podobnie jak w baseballu, na Węgrzech zagrają dwie drużyny. Dwie, niejedna, i obydwie będą chciały wygrać. Dobrze narzucona piłka leci z prędkością stu pięćdziesięciu dwóch kilometrów na godzinę i trzeba nie lada wyczucia, żeby posłać ją na trybuny.

Kurczę, nie możesz wymięknąć, Jack. Wprawilby we wstyd ludzi, których zdanie bardzo sobie cenił, co gorsza, wstydziliby się sam za siebie. Dlatego, czy chciał tego, czy nie, musiał

wyjść na boisko z nadzieją, że nie upuści tej przeklętej piłki.

Wyjść na boisko albo wrócić do Merrill Lynch. Nie, absolutnie, wolał już stawić czoło bagnatom. Tak, naprawdę bym wolał, stwierdził zdumiony. Czy to znaczy, że jestem od-ważny, czy trzeźwo myślący? Oto jest pytanie. Ale odpowiedzieć na nie musiał ktoś inny.

Ktoś, kto widział jedynie część tego równania. Bo zawsze widać tylko to, co na zewnątrz: sam owoc, fizyczny produkt pozostającej w ukryciu myśli. To za mało, żeby cokolwiek osą-

dzić, chociaż dziennikarze i historycy próbowali w ten sposób kształtować rzeczywistość.

Tak, jasne. Jakby naprawdę te rzeczy rozumieli, zwłaszcza z perspektywy kilometrów i lat.

Tak czy inaczej, torbę już spakował, a najgorszym etapem jego wyprawy miała być po-dróż samolotem. Nie znosił latania, ale tak, wiedział, co go czeka. Chyba, że w czasie lotu nagle odpadną skrzydła.

321

– O co tu, kurwa, chodzi? – mruknął John Tyler. Teleks zawierał jedynie suche rozkazy, nie wyjaśniał po co i dlaczego.

Zwłoki zostały przewiezione do miejskiego koronera z poleceniem, żeby nic z nimi nie robić. Tyler myślał przez chwilę, sięgnął po słuchawkę i zadzwonił do zastępcy prokuratora, z którym zwykle współpracował.

– Że co? – spytał ten z niedowierzaniem. Przed trzema laty ukończył prawo na Harvar-dzie i robił błyskotliwą karierę. Nazywał się Max Mayfair.

– To, co słyszałeś.

– Ale o co tu chodzi?

– Nie wiem. Wiem tylko, że to rozkaz Emila. Podejrzewam, że to robota tych zza rzeki, ale z teleksu nic nie wynika.

– Gdzie są te zwłoki?

– Chyba u koronera, matka i córka. Piszą tu, żeby ich nie dotykać, więc włożyli je pewnie do chłodni.

– I chcesz zabrać je w takim stanie? Takie... świeże?

– Zamrożone, ale tak, świeże. – Chryste, co za określenie, pomyślał Tyler.

– A rodzina?

– Policja wciąż szuka.

– I oby nie znalazła. Jeśli nikogo nie znajdą, uznamy ich za ubogich i koroner wyda zwłoki federalnym. Wiesz, jak martwego pijaka z ulicy. Wkładają takich do taniej trumny i grzebią w Potter's Field. Dokąd ich zabieracie?

– Nie wiem. Wyślę teleks do Emila, pewnie mi powie.

– To pilne? – spytał Mayfair, zastanawiając się, jaki nadać sprawie priorytet.

– Cholernie. Sprawa na przedwczoraj.

– Dobra. Jak chcesz, mogę zaraz podjechać do koronera.

– Dzięki, Max. Spotkamy się na miejscu.

– Wisisz mi piwo i kolację w Legal Seafood.

– Załatwione. – Tyler wiedział, że tym razem będzie musiał dotrzymać słowa.

322

Rozdział 25

Podmiana

Zwłoki zostały włożone do tanich, aluminiowych trumien, takich, w jakich przewozi się zmarłych samolotem, następnie załadowane do furgonetki FBI i przewiezione na międzynarodowe lotnisko Logana. Agent specjalny Tyler zadzwonił do Waszyngtonu z pytaniem, co dalej; na szczęście jego policyjne radio było wyposażone w szyfrator.

Okazało się, że dyrektor Emil Jacobs też nie przemyślał sprawy do końca, dlatego musiał

zatelefonować do sędziego Moore'a. W kwaterze głównej CIA odtąńczono szybki taniec i wreszcie postanowiono załadować zwłoki na pokład boeinga 747 British Airways, który odlatywał z Bostonu do Londynu, gdzie mieli czekać na nie ludzie sir Basila. Rzecz załatwiono szybko i sprawnie, ponieważ Brytyjskie Linie Lotnicze chętnie współpracowały z amerykań-

skimi agencjami policyjnymi. O ósmej dziesięć boeing 747 – lot numer 214 – pokołował na start i wkrótce potem oderwał się od ziemi. Miał do przebycia prawie pięć tysięcy kilometrów.

Obudził się o piątej rano. Ot tak, bez powodu. Przewrócił się na bok i spojrzał w okno: pociąg stał na stacji. Nie wiedział na jakiej – nie znał rozkładu – i raptem przeszedł go zimny dreszcz. A jeśli do wagonu wsiadali właśnie funkcjonariusze Drugiego Zarządu Głównego?

Za dnia może zdołałby ich zgubić, ale KGB znane było z tego, że przeprowadza aresztowania w środku nocy, kiedy oszołomieni snem ludzie stawiają słabszy opór. Strach. Znowu ten strach. I odgłos kroków na korytarzu. Ale nie, kroki umilkły i chwilę później pociąg ruszył.

Drewniany budynek stacji uciekł do tyłu i za oknem ponownie zapadła ciemność. Dlaczego tak się przestraszyłem? Dlaczego akurat teraz? Czyż nie jestem już bezpieczny? A przynajmniej prawie bezpieczny? Nie. Niebezpieczeństwo groziło mu dopóty, dopóki nie stanie na obcej ziemi. Na ziemi niesocjalistycznej. A do tej ziemi jeszcze nie dotarł. Z tą niespokojną myślą przewrócił się na drugi bok i zamknął oczy. Monotonny stukot kół w końcu go uśpił, lecz sny, które śnił, bynajmniej nie podniosły go na duchu.

Brytyjski boeing 747 też leciał w ciemności. Większość pasażerów spała. Członkowie za-

łogi czuwali przy instrumentach pokładowych, pili kawę, patrzyli na gwiazdy i wypatrywali na horyzoncie pierwszych oznak świtu. Te pojawiały się zwykle nad zachodnim wybrzeżem Irlandii.

Ryan obudził się wcześniej niż zwykle. Ostrożnie wstał – tuż obok spała Cathy – ubrał

się i wyszedł na dwór. Przed dom zajeżdżała właśnie furgonetka mleczarza. Mleczarz wysiadł i

ruszył do drzwi, niosąc bochenek chleba i dwie litrowe butelki tłustego mleka, które maluchy Ryana żłopały niczym odrzutowe silniki firmy Pratt & Whitney. Zauważył swego klienta dopiero w połowie ścieżki.

– Czy coś się stało? – O tej porze wstawali nieliczni i pomyślał, że Ryan czymś się denerwuje, że może któreś z dzieci zachorowało.

– Nie. Po prostu trochę wcześniej wstałem. – Jack ziewnął.

– Potrzebuje pan czego?

323

– Chyba tylko papierosa – odrzekł bez zastanowienia Ryan. Pod żelaznymi rządami Cathy, od przyjazdu do Anglii nie zapalił ani jednego.

– Proszę. – Mleczarz wytrząsnął z paczki papierosa.

Już dawno nic nie zaskoczyło Ryana tak bardzo jak to.

– Dzięki. – Mleczarz pstryknął gazową zapalniczką. – Wielkie dzięki... – Jack zaciągnął

się i zakaszłał, lecz kaszel szybko minął. Czuł się cudownie – ta przyjacielska atmosfera, ten nieruchomy, stężały przedświt – a złe nawyki mają do siebie to, że błyskawicznie wracają.

Niesamowite. Papieros był mocny, tak jak marlboro, które zaczął popalać przed maturą, w 1960 na znak, że wkroczył już w wiek męski. Mleczarz powinien rzucić to w cholerę, pomy-

ślał. Ale on nie ma pewnie żony lekarki.

I pewnie nieczęsto trafiała mu się okazja do pogawędki z klientem.

– Podoba się panu u nas?

– Tak. Anglicy są bardzo przyjacielscy.

– Staramy się. Miłego dnia życzę.

– Dzięki, wzajemnie. – Mężczyzna ruszył w stronę furgonetki. W Stanach mleczarze niemalże wyginęli, padłszy ofiarą supermarketów 7-Eleven. Szkoda. Jako mały chłopiec uwielbiał pszenny chleb Petera Wheata i maczane w miodzie pączki – do dziś pamiętał ich smak. I nagle – musiał być wtedy w siódmej klasie – pączki zniknęły. Tak po prostu. Zupeł-

nie tego nie zauważył. Nie ma to jak obudzić się w porannej ciszy i zapalić papierosa. Cisza.

Nie dochodził go żaden dźwięk. Nawet ptaki jeszcze spały. Zadarł głowę i hen, wysoko na niebie, zobaczył światełka samolotu. Sądząc po kursie, leciał najprawdopodobniej do Skandynawii, pewnie z Heathrow. Biedni ci pasażerowie. Zrywać się tak wcześnie, żeby zdążyć na jakieś spotkanie... Dopalił papierosa i pstryknął niedopałkiem na trawnik, zastanawiając się, czy Cathy go tam zauważy. Cóż, zawsze mógł rzucić winę na kogoś innego. Szkoda, że nie ma jeszcze gazeciarza... Wrócił do domu, wszedł do kuchni, włączył telewizor i złapał

sport na CNN. Oriolesi znowu wygrali i w dalszych rozgrywkach o Puchar Świata mieli zmierzyć się z filadelfijczykami. Dobra wiadomość, choć nie do końca. Gdyby byli teraz w Stanach, kupiłby bilety na dwa, trzy mecze na Memorial Stadium, a pozostałe obejrzałby w telewizji. Ale w tym roku nici z tego. W ich kablówce nie było dosłownie ani jednego kanału z baseballem, chociaż Anglicy zaczęli już transmitować rozgrywki amerykańskiej ligi futbolowej. Nic z tej gry nie rozumieli, ale nie wiedzieć czemu lubili te mecze oglądać. Lepsze to niż tutejsza telewizja. Cathy uwielbiała ich komedie, ale jemu jakoś nie pasowały. Za to programy informacyjne mieli niezłe. To pewnie tylko kwestia smaku. Non est disputandum, jak mawiali Rzymianie... Tuż nad wschodnim horyzontem dostrzegł skrawek bledziutkiej łuny.

Świtało. Prawdziwy poranek miał wstać dopiero za godzinę, ale nieuchronnie się zbliżał i nie powstrzymałoby go nawet największe pragnienie snu.

Postanowił zrobić kawę, to znaczy pstryknąć włącznikiem ekspresu, który kupił Cathy na urodziny. Jakiś czas później usłyszał pacnięcie gazety na progu, więc po nią poszedł.

– Tak wcześnie wstałeś? – spytała Cathy, gdy wrócił do kuchni.

– Tak. Nie było sensu ponownie się kłaść. – Pocałował ją na dzień dobry. Zrobiła dziwną minę, ale tylko potrząsnęła głową. Jej wrażliwy na dym nos przekazał do mózgu słaby bo-dziec, lecz zdrowy rozsądek odrzucił go jako rzecz zbyt nieprawdopodobną.

324

– Wstawiłeś kawę?

– Pstryknąłem przełącznikiem. Resztę zostawiam tobie.

– Co chcesz na śniadanie?

– To mam jakiś wybór? – spytał, nie wierząc własnym uszom. Cathy znowu zwariowała na punkcie zdrowej żywności. Koniec z pączkami.

– Dzień dobry, *zajcziku* – powiedział Oleg.

– Tatuś! – Swietłana wyciągnęła do niego rączki z uśmiechem, jakim uśmiechają się po przebudzeniu wszystkie małe dzieci. Było to coś, co zdumiewało wszystkich rodziców na całym świecie i coś, co dzieci traciły na długo przed wejściem w dorosłość. Oleg wziął córkę na ręce i mocno ją przytulił. Swietłana postawiła bose nóżki na dywaniku i poszła do swojej prywatnej toalety. Irina przyniosła jej świeże ubranie, po czym oboje wrócili do swojej części przedziału. Niecałe dziesięć minut później szli już do wagonu restauracyjnego. Oleg zerknął

przez ramię i zobaczył, jak korytarzem spieszy sprzątaczką, żeby zacząć pracę od ich przedziału. Tak, bycie oficerem KGB miało swoje plusy, nawet jeśli miało się nim być jeszcze tylko przez kilka dni.

W nocy pociąg musiał przejeżdżać przez teren jakiegoś kołchozu, bo mieli świeże mleko, które Swietłana uwielbiała pić na śniadanie. Jej rodzice pili kawę, co najwyżej taką sobie, i jedli chleb z masłem. (W kuchni zabrakło jaj). Ale chleb i masło były dobre, smaczne. Przy drzwiach leżały gazety. Oleg Iwanowicz wziął „Prawdę” i usiadł, żeby ją przeczytać. Kłamstwa. Wciąż te same kłamstwa. Każdy pracownik KGB wiedział, że gazety łąą. „Izwestia”

publikowały przynajmniej reportaże – niektórzy z ich bohaterów naprawdę istnieli, to już coś – ale radzieckie pociągi międzynarodowe zaopatrywano wyłącznie w prasę poprawną politycznie, a do takiej właśnie należała „Prawda”. Zajcew aż prychnął.

Na wypadek nieprzewidzianej i nagłej potrzeby Ryan miał dwa komplety do golenia.

Jego torba wisiała za mosiężną rączkę w szafie, w każdej chwili gotowa do użytku. Jack patrzył na nią, wiążąc krawat i zastanawiając się, kiedy sir Basil wyśle go do Budapesztu. Potem do łazienki znowu weszła Cathy, tym razem po to, żeby się ubrać. Swój lekarski fartuch wieszła pewnie na drzwiach gabinetu. Fartuch, a raczej dwa fartuchy, ten z Hammersmitha i ten z Moorefield, oba z odpowiednimi identyfikatorami.

– Cath?

– Tak?

– Czy masz na fartuchu stary identyfikator, czy dali ci nowy? – Nigdy jej o to nie pytał.

– Nowy. Musiałabym się tłumaczyć przed każdym pacjentem, nie daliby mi żyć. – Ale i tak niektórzy pytali ją o amerykański akcent i o jej nazwisko: lady Caroline Ryan. Słowo „la-dy” mile łechtalo jej kobiecą próżność. Teraz szcotokowała włosy. Jack lubił wtedy na nią patrzeć. Z trochę dłuższymi wyglądałaby absolutnie zabójczo, ale nigdy ich nie zapuszczała, twierdząc, że lekarski czepek zrujnowałby każdą fryzurę. Ale już wkrótce będzie musiała jakąś sobie zrobić. Byli zaproszeni na uroczystą kolację. Ponieważ królowa lubiła ich nie mniej niż księżę Walii, figurowali na czymś w rodzaju listy gości szczególnie mile widzia-325

nych. Takich zaproszeń się nie odrzucało, chociaż gdyby nazajutrz Cathy operowała, miała-by dobrą wymówkę. Natomiast zwykli szpiedzy musieli udawać, że są zachwyceni, chociaż pociągało to za sobą trzy godziny snu mniej.

– Co masz dzisiaj w planie?

– Wykład na temat laserów ksenonowych. Chcą taki kupić, a oprócz mnie nie ma w Londynie nikogo, kto wiedziałby, jak się nim posługiwać.

– Moja żona laserowym disc jockeyem.

– Przynajmniej mogę o tym otwarcie mówić, mój tajny agencie.

– Tak, kochanie... – westchnął Ryan. Może wetknę za pasek browninga, pomyślał. Tylko po to, żeby ją wkurzyć. Ale gdyby pasażerowie pociągu zobaczyli u niego broń, w najlepszym wypadku uznaliby go za „nieczystego”, a w najgorszym wezwaliby konstabla, który spytałby go, po co mu spluwa. I nawet dyplomatyczny paszport nie uchroniłby go przed kłopotami.

Kwadrans później jechali już do Londynu, ona studiując medyczne czasopismo, on przeglądając „Daily Telegraph”; John Keegan, historyk, którego Ryan bardzo szanował za kompleksowość analiz, miał w „Telegraph” swoją rubrykę. Ciekawe dlaczego sir Basil nie zwerbował go do pracy w Century House? Ot, i zagadka. Może Keegan radził sobie za dobrze jako historyk propagujący swe idee wśród mas. Cóż, cywile też bywali inteligentni.

Zresztą to logiczne. Żaden angielski urzędnik państwowy nigdy nie dorobił się majątku.

Poza tym ta anonimowość. Przecież miło jest dostać pochwałę za wyjątkowo dobrze wykonaną robotę, przynajmniej od czasu do czasu. Natomiast urzędników – wszystkich, nie tylko brytyjskich – tej przyjemności pozbawiano.

Mniej więcej w tym samym czasie, gdy mijali stację Elephant and Castle, boeing 747 British Airways, lot 214, skręcał z pasa w kierunku terminalu czwartego lotniska Heathrow. Ale zamiast podkołować do rękawa, zatrzymał się w miejscu, gdzie czekały autobusy przewożą-

ce pasażerów na odprawę celno-paszportową. Gdy tylko zabezpieczono koła klockami, otworzyły się drzwi luku bagażowego i dwie trumny, które na lotnisku Logana trafiły na pokład jako ostatnie, wyładowano teraz jako pierwsze. Wyznaczeni do roli „grabarzy” agenci wiedzieli, dokąd je zawieźć – obie zaopatrzone w przywieszki z adresem – mimo to na wszelki wypadek obserwowało ich dwóch anonimowych ludzi z Century House. Trumny ustawiono na czterokołowym wózku, przewieziono na parking i szybko załadowano do ma-

łej, nieoznakowanej furgonetki. Agenci wskoczyli do szoferki i odjechali, nie mając zielonego

pojęcia, co tak naprawdę robią. W tej pracy często tak bywało.

Czterdzieści minut później byli już w Century House. Tam trumny ponownie ustawiono na wózku i windą towarową zwieziono do podziemi.

Na pierwszym piętrze podziemi czekało na nie dwóch ludzi. Obaj błogosławili los za szczodry zapas suchego lodu, którym je wypełniono, dzięki czemu zwłoki nie wydzielały jeszcze trupiego odoru, mdlącego fetoru rozkładających się tkanek. Włożywszy gumowe rękawice, przenieśli ciała na stalowe stoły. Ciała były nagie, a widok zwłok małej dziewczynki napawał ich szczególnym smutkiem.

326

Szybko przekonali się, że będzie jeszcze gorzej. Obejrzawszy zdjęcia zrobione na dworcu Kijowskim, bez zaskoczenia stwierdzili, że twarz dziewczynki bardzo różni się od twarzy małej Swietłany. To samo odnosiło się do kobiety, chociaż jej wzrost i tusza mniej więcej pasowały; umarła, wdychając trujący czad i twarz miała całą, nawet nienadpaloną. Dlatego, żeby móc wykorzystać zwłoki w operacji „Beatrix”, musieli je mocno zniekształcić. Zrobili to palnikami na propan. Najpierw włączyli potężny wyciąg pod sufitem. Potem – mieli na sobie ognioodporne kombinezony – zapalili palniki i z bezduszością kata skierowali je na głowy ofiar bostońskiego pożaru. Włosy – miały nieodpowiedni kolor – spłonęły najszybciej.

Potem spalili się twarze. Wszystko razem trwało krótko, choć dla nich wlokło się w nieskończoność. Ten, który zajmował się zwłokami dziewczynki, odmówił w duchu modlitwę za jej duszę, wiedząc, że jest już tam, dokąd idą dusze wszystkich niewinnych dzieci. To, co pozostało, było jedynie zimną powłoką, bez żadnej wartości dla jej właścicielki i o dużej wartości dla Wielkiej Brytanii; dla Stanów Zjednoczonych najpewniej też, w przeciwnym razie nie przydzielono by im tak makabrycznego zadania. Gdy wewnętrzne ciśnienie rozsadziło dziewczynce lewe oko, mężczyzna odwrócił się i zwymiotował. Ale nie, musiał dokończyć dzieła. Oczy dziewczynki miały zły kolor.

Potem spalili im dłonie i dokładnie obejrzelili zwłoki w poszukiwaniu tatuaży oraz innych znaków szczególnych. Nie znaleźli żadnych, nawet blizny po operacji wyrostka.

Spędzili przy stołach półtorej godziny. Po oględzinach ubrali zwłoki w rosyjskie ubranie, które następnie musieli dobrze nadpalić, żeby włókna materiału wniknęły w zwęgloną tkanę. Skończywszy, włożyli ciała do trumien i obłożyli je suchym lodem, żeby spowolnić rozkład. Trumny ustawili obok identycznej aluminiowej trumny w kącie sali. Nadeszła już pora lunchu, ale nie mieli apetytu. Woleli napić się whisky, a w pobliżu było pełno pubów.

– Jack? – Do pokoju zajrzał sir Basil.

Jak na sumiennego analityka przystało, Ryan przeglądał właśnie jakieś dokumenty.

– Tak?

– Spakował się pan?

– Torba jest w domu, ale tak, już się spakowałem.

– To dobrze. O ósmej wieczorem ma pan samolot z Heathrow. O wpół do czwartej podrzucimy pana do domu po rzeczy.

– Nie mam jeszcze paszportu i wizy.

– Dostanie pan po lunchu. Poleci pan tam jako rewident z Ministerstwa Spraw Zagranicznych. O ile dobrze pamiętam, zna się pan na księgowości. Będzie pan mógł przejrzeć naszą dokumentację. – To zabawne, pomyślał Charleston. Przezabawne.

– Ciekawsze księgi niż węgierska giełda – zrewanżował mu się Ryan. – Czy ktoś ze mną leci?

– Nie, ale na lotnisku będzie czekał na pana Andy Hudson, szef budapeszteńskiej ekspozytury. Niech pan do mnie wstąpi przed odjazdem.

– Dobrze. – Głowa sir Basila zniknęła za drzwiami. – Simon – rzucił Ryan. – Co powiesz na piwo i kanapkę?

327

– Dobry pomysł. – Harding wstał i wziął płaszcz. Poszli do pubu.

Obiad był dobry: barszcz, kluski, czarny chleb, a na deser pyszne truskawki z jakiegoś kołchozu. Nie wiedzieć czemu, Swietłana nie lubiła barszczu, co było dziwne jak na Rosjankę, nawet jak na małe dziecko. Zebrała tylko samą śmietankę, potem ze smakiem zjadła kluski i dosłownie pożarła truskawki. Właśnie przejeżdżali przez rumuńską granicę. Potem gó-

ry, Sofia, Belgrad i wreszcie Węgry.

Zwlekali z powrotem do przedziału. Byli już w Sofii. Swietłana wyglądała przez okno.

Oleg Iwanowicz też, paląc papierosa. Gdy przejeżdżali przez miasto, zastanawiał się, który z mijanych po drodze budynków może być siedzibą Drżawnoj Sigurnosti. I czy jest tam teraz pułkownik Bubowoj, czy dalej knuje ze Stokowem spisek na życie papieża. Wła-

śnie, spiszek: jak daleko zaszli? Kiedy zamierzają to przeprowadzić? Jak by się czuł, gdyby KGB zamordowało papieża, zanim zdąży ostrzec Amerykanów? Czy mógł – czy powinien był – działać szybciej? Przekłęte pytania. Tyle wątpliwości, a on nie może się nimi z nikim podzielić! Robisz dobrze, Oleg, powtarzał sobie w duchu. Dajesz z siebie wszystko. Żaden człowiek nie byłby w stanie dać więcej!

Sofijski dworzec, imponujący, kamienny gmach o niemal religijnym przeznaczeniu, wyglądał jak katedra. Nie wiedzieć czemu, Zajcew nie martwił się, że mogą go tu aresztować.

Cały czas myślał tylko o jednym, o tym, żeby przeć naprzód, żeby dojechać do Budapesztu i sprawdzić, co zrobili tam ci z CIA. Miał nadzieję, że są dobrymi fachowcami. Funkcjonariusze Komitetu Bezpieczeństwa Państwowego potrafili przeprowadzić taką akcję z wytrawnym profesjonalizmem, niemal jak cyrkowi sztukmistrze. Czy agenci CIA byli równie dobrzy? Rosyjska telewizja często przedstawiała ich jako złych, acz niewydarzonych przeciwników, jednak w Centrali mówiono co innego. W Centrali uważano ich za śmiertelnie niebezpiecznego wroga, za złe duchy, wiecznie czujne i gotowe do działania, drapieżne i przebiegłe jak sam diabeł. Więc jacy tak naprawdę byli? Już wkrótce miał się o tym przekonać.

Zgasił papierosa i wrócił z rodziną do przedziału.

– Cieszysz się z wyjazdu? – spytał Harding.

– Jak z wizyty u dentysty. Tylko nie mów mi, że to łatwizna. Ty też nie brałeś udziału w takich operacjach.

– Jack, to twoi cię wybrali, nie moi.

– Dlatego kiedy wrócę do Stanów, jeśli w ogóle wrócę – odrzekł Ryan na wpół żartem, na wpół serio – osobiście przyłożę admirałowi Greerowi. Simon, nie jestem przygotowany do takich rzeczy...

– A kto jest? Niewielu. Ale ty masz już doświadczenie.

– Zgoda, służyłem kiedyś w piechocie morskiej. Ile? Mniej więcej jedenaście miesięcy.

Potem rozwaliłem się na Krecie i przetrąciłem sobie kręgosłup. Cholera, nie lubię nawet jeź-

dzić kolejką górską w wesołym miasteczku. Matka i ojciec uwielbiali kolejkę. Kiedy byłem mały, zabierali mnie do parku rozrywki w Gwynn Oak. Chcieli, żebym się w tym rozsmakował. Ojciec służył kiedyś w komandosach, w Sto Pierwszej Dywizji Powietrznodesantowej i nie bał się spadać z nieba jak kamień. W piechocie morskiej skakać im nie kazano – na 328

szczęście. Kurczę, pomyślał nagle. Czyżbym miał większego pietra przed lataniem niż przed skakaniem? Cicho zachichotał. – Czy wasi noszą broń?

Harding parsknął śmiechem.

– Tylko na filmach. Pistolety są koszmarnie ciężkie i można wpaść przez nie w kłopoty.

W brytyjskim wywiadzie nie ma agentów „00”, a przynajmniej o nich nie słyszałem. Francuzi, owszem, od czasu do czasu kogoś zabijają i są w tym całkiem niezli. Podobnie Izraelczycy, ale wszyscy popełniamy błędy, Jack, nawet zawodowcy, a z tego rodzaju błędów trudno jest wytłumaczyć się dziennikarzom.

– Nie możecie wydać im oficjalnego zakazu publikacji? Że niby zagraża to bezpieczeństwu państwa?

– Teoretycznie tak, ale ciężko to przeprowadzić. Fleet Street rządzi się swoimi prawami.

– „Washington Post” też, Nixon poczuł to na własnej skórze. Dobra. Rozumiem, że nie wolno mi nikogo zabić.

– Na twoim miejscu raczej bym tego unikał – odrzekł Simon, żując kęs kanapki z indykiem.

W Belgradzie – dla miejscowych w Beoogradzie – też był ładny dworzec. Dziewiętnastowieczni architekci musieli ze sobą rywalizować, jak ci niegdysiejsi, bogobojni, którzy wznosili gigantyczne katedry. Zajcew ze zdziwieniem stwierdził, że mają kilkugodzinne opóźnienie. Nie rozumiał dlaczego. Przecież nigdzie się na dłużej nie zatrzymywali. Pewnie jechali wolniej, niż powinni. Teraz – minęli już Belgrad – też jechali niezbyt szybko. Ale tu były wzgórza, góry. Zimą muszą być piękne, pomyślał. Czy to nie w tych okolicach mają zorganizować olimpiadę? Zima przychodzi tu pewnie w tym samym czasie co w Moskwie.

W tym roku trochę się spóźniała, co oznacza, że będzie niezwykle surowa. Ciekawe, jakie są zimy w Ameryce...

– Gotowy? – spytał Charleston.

– Chyba tak. – Jack oglądał swój nowy paszport. Paszport dyplomatyczny, a jakże, ozdobniejszy niż zwykle, oprawiony w czerwoną skórę z królewskim herbem na okładce.

Przerzucił kartki, żeby sprawdzić stemple kontroli granicznej krajów, w których... nie był.

Tajlandia, Chińska Republika Ludowa... Cholera, pomyślał, ale się napodróżowałem. – Wi-za? Po co?

– Węgrzy ściśle kontrolują ruch graniczny. Wymagają wizy wjazdowej i wyjazdowej.

Ale wyjazdowa nie będzie panu potrzebna. Hudson was zabierze, pewnie na południe. Ma dobre stosunki z tamtejszymi przemytnikami.

– Piechotą przez góry?

Sir Basil pokręcił głową.

– Nie, rzadko to robimy. Pojedziecie samochodem albo ciężarówką. Nie powinno być absolutnie żadnych problemów, mój chłopcze. – Charleston podniósł wzrok. – To zwykła, rutynowa akcja, Jack.

329

Ale nie dla mnie, pomyślał Ryan.

– Skoro tak pan mówi...

Sir Basil wstał.

– Powodzenia. Do zobaczenia za kilka dni.

Ryan uścisnął mu rękę.

– Tak jest. – *Semper fi*, stary.

Na ulicy czekał samochód. Jack usiadł z przodu i pojechali na wschód. Ruch był mały, więc dotarli na miejsce już pięćdziesiąt minut później. Pociągiem jechałby niewiele krócej.

Córka spała, mały Jack bawił się w kojcu swoimi stopami – niezwykle go fascynowały –

a panna Margaret siedziała w salonie z czasopismem w ręku.

– Pan doktor? Nie spodziewałam się, że...

– Nie szkodzi, mam nagły wyjazd. – Zadzwoił z kuchni do szpitala, ale powiedziano mu, że Cathy właśnie wygłasza wykład na temat lasera ksenonowego. To ta zabawka do zamykania naczyń krwionośnych? Chyba tak. Zmarszczył czoło i poszedł po torbę. Spróbuje zadzwonić z lotniska. Ale na wszelki wypadek zostawił jej krótką wiadomość.

Poleciałem do Bonn. Dzwoniłem. Zadzwonię jeszcze raz. Całuję. Jack. Kartkę przykleił do drzwi lodówki. Pochylił się, żeby pocałować Sally, przytulił na pożegnanie synka. Beee...

Ślina ciekła mu z ust, jak olej ze skrzyni biegów starego rżęcha. Wpadł do łazienki po papierowy ręcznik.

– Szczęśliwej podróży, panie doktorze! – zawołała niania.

– Dzięki, Margaret. Na razie. – Gdy tylko odjechał, zadzwoniła do Century House, żeby powiadomić kogo trzeba, że sir John jest już w drodze na lotnisko. Potem na powrót zajęła się lekturą „Tattlera”.

Pociąg zatrzymał się niespodziewanie pod Zamborem na węgierskiej granicy. Sprawdzanie układów hamulcowych trwało mniej więcej godzinę, a więc – jak na cały skład – dość krótko. Swietłana była zafascynowana. Zajcew też, zwłaszcza że robotnicy pracowali z tak wielką wprawą. Osiemdziesiąt minut później, po wymianie elektrowozu, wyruszyli niemal dokładnie na północ, poprzez żyzne pola uprawne Węgier. Swietłana aż zapiszczała na widok jadących konno mężczyzn, ubranych w miejscowe stroje ludowe. Zarówno ona, jak i jej rodzice uznali, że to bardzo egzotyczne.

Boeing 737 był względnie nowy, mimo to Ryan postanowił zabrać w podróż paczkę przyjaciół. Na lotnisku kupił papierosy i natychmiast zapalił.

Miał miejsce w pierwszej klasie, przy samym oknie. To dobrze. Jedynym plusem latania były widoki, a siedząc przy oknie, mógł ukryć swoją przerażoną twarz – przed wszystkimi z wyjątkiem stewardes, które wyczuwały strach na odległość, jak lekarze. Ponieważ drinki były darmowe, spróbował zamówić whisky tylko po to, by stwierdzić, że mają szkocką (kto-

rej nie lubił), wódkę (której nie lubił) i dzin (którego zupełnie nie tolerował). Jacka Danielsa niestety nie mieli, ale lista win była całkiem, całkiem. Gdy maszyna nabrała wysokości i zga-330

sła tabliczka z zakazem palenia, Ryan ponownie wyjął papierosy. Wolałby szklaneczkę dobrego bourbona, ale lepsze to niż nic. Mógł się przynajmniej wygodnie rozsiąść, zamknąć oczy i udawać spokojnego, od czasu do czasu zerkając w okno, żeby sprawdzić, czy lecą nad zielonym, czy nad niebieskim. Prawie wcale nie rzucało, a gdy rzucało, chwycił się tylko podłokietników; trzy kieliszki porządnego francuskiego wina zrobiły swoje. W połowie drogi, gdzieś nad Belgią, pograżył się w zadumie. Ilu ludzi nie lubiło latać? Jedna trzecia? Połowa? Ilu nie znosiło latać tak samo jak on? Połowa tejże połowy? A więc prawdopodobnie nie był sam. Ci bojaźliwi próbowali ukryć strach: wystarczyło się rozejrzeć, żeby zobaczyć wiele twarzy równie zaleknionych jak jego własna. Tak więc nie, prawdopodobnie nie był jedynym mięczakiem na pokładzie. A wino było dobre, owocowe w smaku. I skoro nie zdołali go skasować ci z ULA, Armii Wyzwolenia Ulsteru, istniało duże prawdopodobieństwo, że na Węgrzech też nikt go nie skasuje. Dlatego mógł się odprężyć i cieszyć lotem – tak czy inaczej, utknął tu jak w latającej puszczy, bo boeing pruł przed siebie z prędkością dziewięciuset kilometrów na godzinę.

Podczas schodzenia trochę rzucało, ale dla niego była to jedyna faza lotu, podczas której czuł się bezpiecznie: wracali na ziemię. Oczywiście zdawał sobie sprawę, że są to chwile najbardziej

niebezpieczne, ale nie wiedzieć czemu, zawsze odbierał to inaczej. Słyszał jęk silników wspomagających, potem dobiegł go charakterystyczny stukot wychodzącego podwozia i wreszcie zobaczył mknącą ku nim ziemię. Lądowanie było twarde, mimo to powitał je z prawdziwą ulgą. Ponownie znalazł się na stałym lądzie, gdzie mógł stać i samodzielnie chodzić lub jeździć ze względnie bezpieczną prędkością. I bardzo dobrze.

Jechali przez wielką rozjezdnię, zastawioną wagonami pasażerskimi, towarowymi i takimi do przewozu bydła – Swietłana znowu przytknęła nos do szyby. Co chwila zmieniali tor i pociągiem rzucało i szarpało na wszystkie strony. W końcu stanęli pod przeszklonym dachem. Dworzec Wschodni. Do wagonu bagażowego podeszło kilku portierów w niechluj-nych i niekompletnych uniformach. Swietłana zeskoczyła ze schodów, omal nie przewraca-jąc mamy, która wysiadała tuż za nią z kilkoma torbami w ręku. Oleg Iwanowicz ruszył w stronę wagonu bagażowego, żeby dopilnować wyładunku waliz. Portier ułożył je na dwuko-

łowym wózku i przez zapuszczoną halę kasową wyszli przed dworzec. Na postoju stało mnóstwo taksówek, same rosyjskie łady – radziecka wersja starego fiata – wszystkie beżowe i bardzo brudne. Zajcew dał portierowi rubla i zaczekał, aż ten przeniesie walizy do samochodu. Bagażnik okazał się za mały. Część toreb ułożono na tylnym siedzeniu i Swietłana musiała usiąść na kolanach matki. Taksówka ruszyła, łamiąc przepisy, zakręciła i na złamanie karku popędziła przed siebie szeroką, pełną sklepów ulicą.

Cztery minuty później zahamowała przed hotelem Astoria. Hotel był wielki, imponują-

cy, jak z innej epoki, hol zaś, choć niezbyt duży, wyłożono rzeźbioną dębową boazerią na znak, że jest to przybytek luksusowy. Recepcjonista powitał ich z uśmiechem i wręczając Zajcewowi klucz, wskazał na drugą stronę ulicy, gdzie stał Dom Przyjaźni Radziecko-Węgierskiej: to, że mieści się w nim miejscowa placówka KGB, było tak oczywiste, że równie dobrze mogli wznieść tam pomnik Feliksa Dzierżyńskiego. Boy zaprowadził ich do naroż-

nego pokoju numer 307, który przez najbliższe dziesięć dni miał być ich domem – a przynajmniej tak wszyscy myśleli: wszyscy z wyjątkiem Olega. Zajcew dał boyowi rubla i zostali sami w klitce niewiele większej od ich pociągowego przedziału, za to w klitce z wanną i 331

prysznicem, którego wszyscy troje bardzo potrzebowali. Jako pierwsze do łazienki weszły żona i córka.

Nędzny wedle zachodnich standardów pokój, wedle standardów rosyjskich był niemal pałacową komnatą. Przy oknie stało krzesło. Zajcew usiadł i zlustrował ulicę w poszukiwaniu agentów CIA. Wiedział, że to głupie, ale nie mógł oprzeć się pokusie.

Ludzie, których wypatrywał, nie byli bynajmniej Amerykanami: Tom Trent i Chris Morton należeli do zespołu Andy'ego Hudsona. Obaj mieli ciemne włosy i tego dnia specjalnie nie wzięli prysznic, żeby jeszcze bardziej upodobnić się do przedstawicieli węgierskiej klasy robotniczej. Trent czuwał na dworcu, Morton zaś w hotelu. Ponieważ mieli zdjęcia całej rodziny – te od moskiewskiego korespondenta „Timesa” – rozpoznanie Zajcewów nie sprawiło im żadnych trudności. Żeby ostatecznie ich zidentyfikować, Morton, który mówił płynnie po węgiersku, zagadał do recepcjonisty, puścił do niego oko i za dwadzieścia forintów otrzymał potwierdzenie, że tak, jego „stary kumpel” mieszka w pokoju 307. Potem ruszył do baru, rozglądając się wokoło i badając teren. W metrze obydwaj uznali, że jak dotąd wszystko idzie bardzo dobrze. Pociąg się co prawda spóźnił, ale z hotelem choć raz wyszło im na piątkę.

Andy Hudson był mężczyzną średniego wzrostu o nierzucającej się w oczy aparycji, nie licząc jasnych włosów, które w krainie ciemnowłosych natychmiast wyróżniały go jako obcokrajowca. Fakt, pomyślał Ryan. Na lotnisku wszyscy wyglądali identycznie.

– Możemy tu rozmawiać?

– Tak, wóz jest czysty – odrzekł Hudson. – Wszystkie pojazdy regularnie sprawdzamy i parkujemy w bezpiecznym miejscu.

– Na pewno?

– Nasz przeciwnik nie łamie dyplomatycznych zasad. Dziwne to, lecz prawdziwe. Poza tym samochód ma skomplikowany alarm. Nie wiem, czy dałbym radę go wyłączyć. Tak czy inaczej, witam w Budapeszcie, sir Johnie. – „Bjuuudapest”: ku zaskoczeniu Ryana, tak to słowo wymówił.

– A więc wie pan, kim jestem?

– Tak. W marcu byłem w Londynie, a to właśnie w marcu zrobił pan z siebie bohatera.

Jezu, ty cholerny głupcze: gdyby ci Irlandczycy nie byli tacy durni, już by pan nie żył!

– Też to sobie często powtarzam...

– Andy – zaproponował natychmiast Hudson.

– Jack.

– Miałeś dobry lot?

– Jak każdy, po którym da się wysiąść z samolotu. Opowiedz mi o tej operacji. Jak zamierzacie ją przeprowadzić?

– Zupełnie rutynowo. Obserwujemy Królika i jego rodzinę – z przerwami, lecz nieustannie – i kiedy nadejdzie odpowiedni moment, wywozimy ich do Jugosławii.

– Jak?

– Samochodem albo ciężarówką, jeszcze nie wiem. Problemów mogą nam przysporzyć tylko Węgrzy. Jugosłowianie mają w dupie, kto tu przyjeżdża; ponad milion ich ziomków pracuje na Zachodzie. A z ich wopistami łączą nas bardzo serdeczne stosunki.

– Biorą?

Hudson kiwnął głową i skręcił, żeby objechać średniej wielkości park.

– Kupują za to modne rzeczy dla rodziny. Znam ludzi, którzy przemycają tu twarde narkotyki; oczywiście, nigdy się z nimi nie zadają. Przemyt prochów to jedyna rzecz, z któ-

rymi tutejsze władze walczą albo przynajmniej udają, że walczą. Problem w tym, że niektó-

rzy wopiści są bardziej otwarci na negocjacje niż inni. Diabła tam, ich wszystkich można przekupić. No, prawie wszystkich. To zadziwiające, co można dostać tu za marki, dolary czy za parę reeboków. Czarny rynek kwitnie jak nigdy, a ponieważ ściąga do kraju twardą walutę, władze polityczne będą odwracać wzrok, dopóki sprawy nie zaczną wymykać im się z rąk. Kapujesz?

– W takim razie dlaczego zawaliliśmy?

– CIA? Wasza ekspozytura? Parszywy pech, i tyle. – Hudson wyjaśnił mu pokrótce, co zaszło. – To tak, jakbyś szedł sobie poboczem pustej drogi i przejechała cię ciężarówka.

– Cholera. Takie rzeczy naprawdę się zdarzają?

– Rzadko, jak główna wygrana na loterii.

– Żeby wygrać, trzeba grać... – wymamrotał Ryan. Tak brzmiało motto stanowej loterii w Marylandzie, która była jedynie kolejną formą podatku dla grających na niej głupców, formą troszkę bardziej cyniczną niż pozostałe.

– Fakt. Wszyscy ryzykujemy.

– Jak się to ma do ewakuacji Królika i jego rodziny?

– Pytasz o szanse wpadki? Jak jeden do dziesięciu tysięcy.

Ryan uznał, że przy tak dużym prawdopodobieństwie wygranej warto jest wyłożyć każde pieniądze, choć martwił go jeden problem.

– Jego żona nie wie, że urlop będzie dłuższy. Mówili ci o tym?

To nim wstrząsnęło. Odwrócił głowę.

– Żartujesz.

– Nie. Tak powiedział naszym ludziom w Moskwie. Będą komplikacje?

Hudson zacisnął ręce na kierownicy.

– Nie, chyba że baba zacznie za bardzo hałasować. Cóż, będziemy musieli coś z tym zrobić... – Jednakże widać było, że wiadomość ta bardzo go zaniepokoiła.

– Podobno Europejki są mniej asertywne niż Amerykanki.

– Zdecydowanie, zwłaszcza Rosjanki. Ano zobaczymy.

Ostatni skręt w Harm Utca i byli już przed brytyjską ambasadą. Hudson zaparkował i wysiedli.

333

– W tamtym budynku mieści się Budapesti Rendorfokapitansag, Komenda Główna węgierskiej policji. Dobrze jest mieszkać w bezpiecznej okolicy, co? Nie stanowią dla nas żadnego zagrożenia, a miejscowi mają ich w głębokim poważaniu. Język? Koszmarny. Ugrofiń-

ski. Nie uwierzysz, ale podobno wywodzi się aż z Mongolii. Po angielsku mówi tu niewiele, ale można dogadać się po niemiecku, bo tuż zaraz jest Austria. Ale spokojnie, zawsze będzie ci towarzyszył ktoś od nas. Jutro rano oprowadzę cię po mieście. Nie wiem jak ciebie, ale mnie podróz zawsze męczy.

– Mnie też – odrzekł Ryan. – Nazywam to szokiem podróжным.

– Dobra, chodź, rozgość się. Żarcie w stołówce jest niezłe, a pokój masz wygodny, chociaż niezbyt luksusowy. Dawaj torbę.

Gościnni są, pomyślał dziesięć minut później Ryan, nie ma co narzekać. Łóżko, łazienka, telewizor, magnetowid i kilkanaście kaset. Wybrał *Okrutne morze* z Jackiem Hawkinsem. Dotrwał do końca filmu i zasnął.

334

Rozdział 26

Turyści

Obudzili się mniej więcej w tym samym czasie. Najpierw mały *zajczik*, potem ona, na końcu on. Mieli tu nawet serwis, co dla obywateli radzieckich było niesłychanym luksusem.

W pokoju był telefon, więc Irina zebrała zamówienia i zadzwoniła na dół. Powiedziano jej, że jedzenie przyniosą za pół godziny.

– To już lepiej sama bym coś ugotowała, było szybciej – mruknęła kwaśno. Ale przynajmniej nie musiała słać łóżek, zawsze to coś. Tak więc czekając na śniadanie, każcie z nich wzięło prysznic.

Ryan też się wykąpał i za kwadrans ósma zszedł do stołówki. Brytyjczycy najwyraźniej lubili luksusy tak samo jak Amerykanie: wziął kopiały talerz jajeczniczy na bekonie – uwielbiał angielski bekon, chociaż ich kielbaski robiono chyba z trocin – i cztery pszenne grzanki, zakładając, że czeka go ciężki dzień. Kawa nie była taka zła. Powiedziano mu, że jest austriacka, co wyjaśniło jej jakość.

– Dickie tak sobie zażyczył. – Hudson usiadł naprzeciwko Ryana. – Uwielbia kawę.

– Kto?

– Richard Dover, nasz ambasador. Przedwczoraj wyjechał do Londynu. Szkoda. Na pewno chciałby cię poznać. Dobry z niego szef. Jak I spałeś?

– Nieźle, to tylko godzina różnicy. A propos. Da się stąd zadzwonić do Londynu? Przed wyjazdem nie zdążyłem pogadać z żoną. Nie chcę, żeby się denerwowała.

– Nie ma problemu, sir Johnie – odrzekł Hudson. – Możesz przekręcić ode mnie.

– Ona myśli, że jestem w Bonn, że robię coś dla NATO.

– Naprawdę?

– Wie, że pracuję w Agencji, ale nie wie, czym się dokładnie zajmuję. Zresztą co tam ona.

Ja sam nie mam pojęcia, co tu, do diabła, robię. Cholera, jestem analitykiem, nie tajnym agentem.

– Tak, uprzedzili nas. Bzdura. Potraktuj to jako nowe doświadczenie do kolekcji.

– Wielkie dzięki, stary – odparł Ryan z krzywym uśmiechem. – Mam ich aż za dużo.

– Będiesz przynajmniej dokładnie wiedział, jak wygląda to z naszej strony. Na pewno przyda ci się

przy sporządzaniu jakiejś kolejnej analizy.

– Jasne, obym tylko nie wpadł na jakiś mur.

– Na pewno nie wpadniesz, moja w tym głowa. Ryan wypił duży łyk kawy. Nie umywała się do tej, którą parzyła Cathy, ale nie była taka zła.

– Jaki mamy plan gry?

– Na dzisiaj? Skończysz jeść i wychodzimy. Jestem twoim przewodnikiem. Poznasz miasto i zobaczysz, jak tu żyją. No i pomyślisz o operacji „Beatrix”.

335

Zajcewowie byli zaskoczeni, że jedzenie jest tak pyszne. Oleg Iwanowicz słyszał o węg-

ierskiej kuchni wiele dobrego, ale teoria teorią, praktyka praktyką, dlatego przeżył naprawdę miłą niespodziankę. Chcąc jak najszybciej wyjść do miasta, skończyli jeść, ubrali się i zeszli do recepcji. Ponieważ Irinę interesowały głównie zakupy, spytała o najbliższe centrum handlowe. Recepcjonista polecił jej Váci Utca – mogli tam dojechać metrem, najstarszym metrem w Europie. Tak więc wyszli na Andrassy Utca, zeszli schodami na dół i stwierdzili, że budapeszteńskie metro to zwykły tramwaj, tyle tylko że jeżdżący pod ziemią. Tramwaj bardzo stary, cały z drewna – z drewna były również słupy, między którymi biegła linia wysokiego napięcia. Ale ponieważ jeździł pod ziemią – nie szkodzi, że płytko – sunął przed siebie całkiem chyżo i już dziesięć minut później Zajcewowie dotarli na Vorosmarty Tér, plac Czerwonego Marty’ego, skąd mieli ledwie parę kroków do ulicy Váci. Nie zauważyli towarzyszącego im dyskretnie mężczyzny – Toma Trenta – który ze zdumieniem skonstatował, że idą prosto do brytyjskiej ambasady przy Harm Utca.

Za radą Hudsona, Ryan wrócił na górę po płaszcz, po czym zbiegł do holu. Słońce co i raz kryło się za chmurami i wyglądało na to, że będzie padać. Hudson skinął głową strażnikowi i wyszli na ulicę, gdzie czekała ich nie lada niespodzianka. Andy przystanął, odruchowo spojrzął w lewo, na gmach Komendy Głównej, i siedemdziesiąt, siedemdziesiąt pięć metrów dalej zobaczył Toma Trenta idącego za...

Królikiem i jego rodziną? Chryste!

– Jack?

– Tak?

– Cholera, przecież to nasz pieprzony Królik, z żoną i córką. Ryan zerknął w lewo i ze zdumieniem stwierdził, że Andy ma rację – on też rozpoznał ich ze zdjęć.

– O żesz... Co tu jest grane?

– Pewnie idą na zakupy, to turystyczna okolica – mruknął wyraźnie zaniepokojony Hudson. – Sklepy, i tak dalej. Cholernie dziwny zbieg okoliczności...

– Idziemy za nimi? – spytał Jack.

– Czemu nie? – rzucił retorycznie Andy. Zapalił cienką cygaretkę i zaczął, aż Ryan przypalił sobie papierosa. Minęli ich Zajcewowie, minął ich Trent. Ruszyli dopiero wtedy.

– Czy to coś znaczy? – spytał Ryan.

– Nie wiem – odparł Hudson. Twarz miał spokojną, lecz głos spięty.

Prawie natychmiast, bo już dwie minuty później, wszystko się wyjaśniło: Królik, pani Królikowa i Króliczátko szli po prostu na zakupy; pani Królikowa oczywiście przodem, jak wszystkie mamy na świecie.

Ulica Váci robiła wrażenie bardzo starej, chociaż stojące przy niej domy musiano odrestaurować po drugiej wojnie światowej. Na początku 1945 o Budapeszt toczyły się ciężkie walki. Ryan zauważył, że w oknach wystaw sklepowych leżą towary gorszej jakości i w znacznie mniejszym wyborze niż te w Stanach czy w Londynie. Dla pani Królikowej musiały być jednak niezwykle atrakcyjne, gdyż przy każdym oknie entuzjastycznie wymachiwała rękami.

336

– Myśli, że jest na Bond Street – powiedział Hudson.

– Niezupełnie. – Jack zachichotał. Był na Bond Street i zdążył zostawić tam sporo pieniędzy.

Ulica ta należała na pewno do najświetniejszych w świecie, pod warunkiem, że miało się kupić szmalu. Ale jaka była Moskwa? Jak reagowali Rosjanie na widok ulic budapeszteń-

skich?

Pod jednym względem wszystkie kobiety są takie same: uwielbiają oglądać wystawy sklepowe, dopóki napięcie wynikające z faktu, że jeszcze niczego nie kupiły, nie doprowadzi ich do obłądu. W przypadku pani Królikowej trwało to ledwie parę minut, bo już kilkadziesiąt metrów dalej weszła do sklepu odzieżowego, ciągnąc za sobą Króliczátko. Pan Królik wszedł jako ostatni, z widoczną niechęcią.

– Prędko stamtąd nie wyjdą – prorokował Ryan. – Znam to. Byłem, widziałem, kupiłem sobie podkoszulek.

– Jaki podkoszulek?

– Jesteś żonaty?

– Tak.

– Masz dzieci?

– Dwóch synów.

– To szczęściarz z ciebie. Dziewczynki są droższe w utrzymaniu. – Podeszli bliżej, żeby obejrzyć sklep, do którego weszli Zajcewowie. Ubrania dla kobiet i dziewcząt. Tak, pomyślał

Jack. Trochę to potrwa.

– Cóż, wiemy już, jak wyglądają. Chodźmy, sir Johnie. – Hudson mówił, z ożywieniem gestykulując, pokazując ręką to tu, to tam, jakby oprowadzał go po Budapeszcie, ale jego oczy nieustannie omiatały ulicę jak anteny radaru. Szli w kierunku ambasady. – A więc wiemy, jak wyglądają – powtórzył. – Nie widzę, żeby ktoś za nami laźł. Gdyby ruscy coś knuli, nie pozwoliliby im podejść tak blisko nas. Przynajmniej ja bym tego nie zrobił, a ruchy tych z KGB łatwo przewidzieć.

– Myślisz?

– O tak. Są bardzo dobrzy, ale przewidywalni, tak jak w piłce nożnej czy w szachach.

Plan gry mają zwykle prosty i znakomicie go egzekwują, ale brak im indywidualności i polotu. Sami siebie ograniczają, mają to we krwi. Słyszałeś, żeby zachęcali swoich do oryginalności?

– Nie, ale ich przywódcy bywali oryginalni.

– Ostatni z nich umarł trzydzieści lat temu i nie chcą już kolejnego.

– Fakt. – Nie było sensu się sprzeczać. Rosyjski system polityczny skutecznie zniechęcał do wszelkiej indywidualności. – Dokąd teraz?

– Sala koncertowa, hotel, miejsca, które warto zobaczyć. Dość tych niespodzianek.

Mali chłopcy nie znoszą chodzenia na zakupy – w przeciwieństwie do małych dziewczynek, a już na pewno do Swietłany, która nigdy w życiu nie widziała tylu kolorowych 337

ubrań, nawet w sklepach za złotymi firankami. Pod czujnym okiem mamy przymierzyła sześć płaszczyków, od ciemnozielonego poczynając, na jaskrawoczerwonym z czarnym welwetowym kołnierzem kończąc, i chociaż zaraz potem przymierzyła jeszcze dwa, ostatecznie kupiły jaskrawoczerwony. Dziewczynka natychmiast go włożyła i wyszli na ulicę.

Następnym przystankiem był sklep dla Olega Iwanowicza, który nabył w nim trzy magnetowidy, nielicencjonowane, a więc pirackie kopie japońskich Sony Betamax. Powiedziano im, że wszystkie towary zostaną dostarczone do hotelu – sklep ten często odwiedzali zachodni turyści – i tym sposobem Oleg załatwił połowę zakupów dla kolegów z pracy. Postanowił

dorzucić do tego kilka kaset; broń Boże nie dla córki, tylko dla siebie i dla kumpli z moskiewskiej Centrali. Kosztowało go to w sumie prawie dwa tysiące rubli, z których na Zachodzie i tak nie miałby żadnego pożytku.

Wyprawa trwała do obiadu. Do tego czasu byli już tak obciążeni zakupami, że ledwo szli, więc żeby córka zbytnio się nie zmęczyła, postanowili wrócić metrem do hotelu.

Plac Bohaterów powstał za panowania Habsburgów, pod koniec XIX stulecia – Habs-burgowie chcieli w ten sposób uczcić fakt objęcia rządów na Węgrzech. Stały tam też pomniki poprzednich węgierskich królów, łącznie z pomnikiem świętego Stefana – czyli „Istvana”

– którego koronę zwrócił Węgrom Jimmy Carter.

– Krzyż na koronie jest zgięty, widzisz? – mówił Andy Hudson. Podobno stało się to wtedy, gdy Stefan grzmotnął koroną o koronę. Jej zwrot był ze strony Cartera bardzo spryt-nym posunięciem. To ich narodowy symbol. Komuniści nie bardzo mogli jej nie przyjąć, a przyjąwszy, oficjalnie potwierdzili fakt, że historia tego kraju to coś więcej niż tylko marksizm i leninizm. Nie przepadam za Carterem, ale przyznaję, że była to niezwykle wyrafinowana zagrywka. Widzisz, Węgrzy nie znoszą komunizmu. Są bardzo religijni.

– Rzeczywiście, dużo tu kościołów – zauważył Ryan; w drodze do parku minęli sześć al-bo siedem.

– To kolejna rzecz, która dodaje im poczucia jedności politycznej. Rządowi to się nie podoba, ale zadzierać z Kościołem? Zbyt duża sprawa, brachu, zbyt niebezpieczna. Dlatego panuje między nimi coś w rodzaju kłopotliwego zawieszenia broni.

– Gdybym miał obstawiać, postawiłbym na Kościół – rzekł Ryan.

– Ja również, sir Johnie, ja również.

Jack rozejrzał się wokoło.

– Kawał placu, co? – Tak na oko miał ponad dwa i pół kilometra kwadratowego powierzchni.

– O jego wielkości zdecydowano w pięćdziesiątym szóstym – wyjaśnił Hudson. – Rosjanie chcieli, żeby mogły tu lądować samoloty desantowe. Rozumowali tak: jeśli miejscowi ponownie zaczną rozrabiać, przyślemy tu dziesięć, dwanaście „Antków” z komandosami.

Komandosi się obwarują i czekając na nadciągające ze wschodu czołgi, będą bronić centrum przed kontrrewolucjonistami. Może niezbyt to błyskotliwe, ale ruscy naprawdę tak myśla.

– A gdyby tak kontrrewolucjoniści ustawili pośrodku dwa miejskie autobusy z prze-strzelonymi oponami?

338

– Jack, nie twierdzą, że plan jest błyskotliwy. Dwa autobusy albo kilka min, co? Parę trupów, ładny pożar: podchodzący do lądowania pilot w żaden sposób by tego nie zauważył.

Ci z transportu są najgłupszy i kompletnie ślepi.

A więc Rosjanie, myślał Ryan, chcą przerzucić tu swoich, zanim sprawy wymkną im się z rąk. Pasuje...

– Wiesz, kto był tu rosyjskim ambasadorem w pięćdziesiątym szóstym?

– Nie. Zaraz, zaczekaj... Andropow?

Hudson kiwnął głową.

– Jurij Władimirowicz we własnej osobie. Teraz już wiesz, dlaczego miejscowi tak bardzo go kochają. Mnóstwo ich wtedy zginęło.

W pięćdziesiątym szóstym Ryan chodził do podstawówki i był za mały, żeby zrozumieć tę skomplikowaną sytuację. Doszło do niej na jesieni, w roku wyborów prezydenckich, w tym samym czasie, kiedy Wielka Brytania i Francja postanowiły najechać Egipt, żeby bronić Kanału Sueskiego. Dwa kryzysy naraz: Eisenhower był sparaliżowany i pewnie dlatego niewiele mógł zrobić. Ale wkrótce potem do Stanów napłynęła fala węgierskich emigrantów, więc coś jednak dzięki temu zyskali.

– A ich безпеka?

– Andrassy Utca numer 60, niedaleko stąd. Zwykły budynek, który dosłownie ocieka krwią. Teraz jest znacznie lepiej. W tamtych czasach siedzieli w nim zagorzali wielbiciele Feliksa Dzierżyńskiego, gorsi niż gestapowcy. Ale po pięćdziesiątym szóstym trochę zła-godnieli. Zmieniłi nawet nazwę z Allamvedelmi Oształy na Allamvedelmi Hivatal: Biuro Bezpieczeństwa Państwowego, zamiast Wydział Bezpieczeństwa Państwowego. Zmieniłi też szefa i jakby stracili

pazury. Poprzednio regularnie stosowali tortury, teraz podobno już nie.

Ale sama reputacja wystarczy, żeby każdy podejrzany natychmiast wymiękł. Dobrze jest mieć paszport dyplomatyczny...

– Umieją coś?

– Węgierska bezpieka? Dno dna. Może kiedyś mieli dobrych fachowców, ale to już przeszłość. Z tamtych czasów, z lat czterdziestych i pięćdziesiątych, pozostała im tylko legenda.

Porządni ludzie nie chcą u nich pracować, poza tym komuniści nie oferują im w zamian żadnych dodatkowych korzyści, jak choćby KGB. Jest tu kilka wspaniałych uniwersytetów i politechnik. Kształcą znakomitych inżynierów i naukowców. A akademia medyczna Semmelweisa jest naprawdę pierwszorzędna.

– Połowa naukowców zaangażowanych w „Projekt Manhattan” pochodziła z Węgier, prawda?

– Tak, i było wśród nich wielu Żydów. Podczas wojny hitlerowcy mordowali ich milio-nami, ale Węgrzy zdołali uratować ponad połowę swoich. Podobno zginął przez to ich dyktator, admirał Horthy; zmarł w tak zwanych „niewyjaśnionych okolicznościach”. Trudno powiedzieć, kim tak naprawdę był, ale niektórzy uważają, że należał do zagorzałych anty-komunistów, że wcale nie był faszystą. Może po prostu urodził się w złym miejscu i w złym czasie. Nigdy się tego nie dowiemy. – Hudson przewodnikiem. Tak dla odmiany. Niezła odmiana, jak na króla – no, może na księcia – szpiegów.

339

Nadeszła pora wracać do interesów.

– Dobra – rzucił Jack. – Jak to zrobimy? – Wypatrywał ogona, ale żadnego nie zauważył.

Pozostawali niewidzialni, chyba że śledzili ich z anonimowych i nierzucających się w oczy –

bo brudnych – ład, których wszędzie było pełno. W tej kwestii musiał zaufać Hudsonowi.

– Wskakuj – odrzekł Andy. – Obejrzymy sobie hotel. – Jazda Andrassy Utca trwała ledwie kilka minut. Domy, które po drodze mijali, miały francuską architekturę. Ryan nigdy nie był w Paryżu, ale zamknąwszy oczy, pomyślał, że równie dobrze mógł tam być.

– To tu. – Hudson zjechał do krawężnika; w krajach komunistycznych dobre było to, że nie brakowało tam miejsca do parkowania.

– Nikt nas nie obserwuje? – spytał Ryan, rozglądając się najdyskretniej, jak tylko umiał.

– Jeśli nawet, robią to tak, że tego nie widać. Po drugiej stronie ulicy jest placówka KGB.

Tam, widzisz? Dom Przyjaźni Węgiersko-Rosyjskiej. Jedna wielka żenada. Ani przyjaźni, ani kultury, ani nic. Zamiast tego, siedzi tam trzydziestu, czterdziestu agentów, ale żaden z nich nie będzie się nami interesował. Przeciętny Węgier wolałby dostać sraczki, niż tam wejść.

Trudno opisać, jak oni nienawidzą ruskich. Tak, wezmą szmal, może nawet uściskną im rękę, ale nic więcej. Rok pięćdziesiąty szósty, brachu. Wciąż o tym pamiętają.

Hotel mógłby pochodzić z epoki, którą H. L. Mencken nazwał „złotym wiekiem”: był mieszaniną szampańskiej ambicji i piwnego budżetu.

– Mieszkałem w lepszych – powiedział Jack. Astoria nie przypominała ani nowojorskiej Plaży, ani londyńskiego Savoya.

– Ale nasi rosyjscy przyjaciele na pewno nie.

Cholera, dumiał Ryan. Jeśli ewakuujemy ich do Stanów, pomyślą, że trafili do rajów.

– Wejdźmy do środka. Jest tam ładny bar.

I rzeczywiście był, zaraz po lewej stronie, schodami w dół. Taka nowojorska dyskoteka, choć dużo mniej hałaśliwa. Orkiestra jeszcze nie grała, więc puszczała muzykę z płyt. Muzykę amerykańską. Dziwne. Hudson zamówił dwa kieliszki tokaju.

Ryan ostrożnie pociągnął łyk. Tokaj był całkiem niezły.

– Pewnie butelkują go w Kalifornii. To ich narodowy trunek. Kwestia smaku, ale jest dużo lepszy od grappy.

Ryan zachichotał.

– Wiem. Grappa, „płyn do zapalniczek”. Mój wujek Mario uwielbiał grappę. Cóż, de gustibus, jak powiadają. – Rozejrzył się po sali. Najbliższy gość siedział sześć metrów dalej. –

Możemy tu pogadać?

– Lepiej sobie popatrzmy. Przyjdę tu wieczorem. Bar zamykają po północy; chcę sprawdzić, jaki mają tu personel. Królik mieszka w 307. Drugie piętro, narożny pokój, łatwy dostęp schodami ewakuacyjnymi. Trzy wejścia: główne i dwa boczne. Jeśli na dole siedzi tylko jeden recepcjonista, wystarczy odwrócić jego uwagę, wnieść paczki na górę i sprowadzić Króliki na dół.

– Paczki?

Hudson znieruchomiał.

– Nie powiedzieli ci?

– Czego?

Jasna cholera, pomyślał Andy. Zawsze to samo. Nigdy nie mówią ludziom tego, co najważniejsze.

– Pogadamy potem.

Oho, pomyślał Ryan. Kroci się coś, co na pewno mu się nie spodoba. Na sto procent. Może jednak powinien był zabrać ze sobą browninga. Dopił tokaj i poszedł poszukać toalety.

Odnalazł ją po charakterystycznych symbolach. Dawno jej nie czyszczono, więc cieszył się, że nie musi siadać. Andy czekał przed drzwiami. Wyszli na ulicę i wsiedli do samochodu.

– Dobra – rzucił Jack. – Możemy teraz omówić nasz mały problem?

– Później – odparł Hudson. Ryan był coraz bardziej zaniepokojony.

Tymczasem paczki – trzy duże pudła opatrzone dyplomatycznymi naklejkami – właśnie wylądowały; na płycie lotniska czekał urzędnik z ambasady, żeby nikt się nimi nadmiernie nie zainteresował. Ktoś pomyślał i kazał włożyć je do skrzyń jednej z firm elektronicznych –

w tym przypadku niemieckiego Siemens – żeby wszyscy pomyśleli, że jest to coś dużego i delikatnego. Załadowane do furgonetki, szybko odjechały w kierunku centrum, wzbudzając jedynie zwykłą ciekawość. Dzięki obecności urzędnika z ambasady nikt ich nie prześwietlał: to bardzo ważne. Prześwietlenie promieniami rentgena uszkodziłoby mikroprocesory, pomyśleli ci z odprawy celnej i natychmiast zameldowali o tym Belügyminisztérium. Wkrótce do wszystkich zainteresowanych, łącznie z KGB, miała dotrzeć wiadomość, że ambasada Wielkiej Brytanii w Budapeszcie sprowadziła nowe maszyny szyfrujące. Wiadomość zostanie skrupulatnie odnotowana w aktach i szybko zapomniana.

– No i? – spytał Hudson, gdy weszli do gabinetu. – Jak ci się podobała przechadzka?

– Lepsze to niż sprawdzanie ksiąg – odparował Ryan. – Powiesz mi wreszcie czy nie?

– Wasi na to wpadli. Mamy ewakuować Królika w taki sposób, żeby KGB uznało ich za zmarłych, nie podejrzewając, że zwiiali na Zachód. Żeby to zrobić, wyprowadzimy z hotelu Kuleczkę, Piłeczkę i Puszysty Ogonek i podrzucimy tam trzy trupy.

– To wiem. Simon mi mówił. A potem?

– Potem zorganizujemy w pokoju mały pożar. Te trupy to ofiary pożaru. Powinni je dzisiaj przywieźć.

Ryan czuł jedynie narastającą odrazę. Widać to było po jego twarzy.

– W tej pracy trzeba się czasem ubrudzić, sir Johnie – dodał Hudson.

– Chryste, Andy! Skąd te... te trupy?

– To ważne?

Jack wziął głęboki oddech.

341

– Nie, chyba nie. – Pokręcił głową. – A potem?

– Pojedziemy na południe. Poznasz mojego agenta, Istvana Kovacs, zawodowego przemytnika, któremu dobrze zapłaciłem za przerzucenie nas do Jugosławii. Z Jugosławii wyruszymy do Dalmacji. Nie ma to jak piękne słońce; jeździ tam sporo moich ziomków.

Wsadzimy Króliki do samolotu, polecicie do Anglii i ku zadowoleniu wszystkich zainteresowanych stron, operacja „Beatrix” dobiegnie szczęśliwego końca.

– Jasne. – Cóż jeszcze mogę powiedzieć? – pomyślał Ryan. – Kiedy?

– Za dwa, trzy dni.

– Będiesz... uzbrojony?

– Chodzi ci o pistolet?

– Na pewno nie o procę.

Hudson pokręcił głową.

– Pistolety nie są zbyt przydatne. Jeżeli wpadniemy w kłopoty, wyjdą na nas żołnierze z bronią maszynową. Pistolet sprowokuje ich tylko do strzału, a ponieważ będzie ich znacznie więcej,

większe też będzie prawdopodobieństwo, że oberwiemy. Nie. Jeśli do tego dojdzie, pomachamy im z daleka naszymi paszportami. A propos. Mamy już paszporty dla Króli-ków. – Andy wyjął z szuflady dużą kopertę. – Pan Królik mówi podobno po angielsku. To powinno wystarczyć.

– Widzę, że wszystko sobie przemyślałeś. – Ryan wcale nie był tego pewien.

– Za to mi płacą, sir Johnie.

A ja nie mam prawa cię krytykować, pomyślał Jack.

– Dobra, ty tu jesteś zawodowcem. Ja jestem tylko głupim turystą.

– Mam wiadomość od Trenta. – Na biurku leżała jakaś kartka. – Pisze, że za Królikami nikt nie łązi. Jak dotąd operacja przebiega prawidłowo, bez żadnych niespodziewanych wydarzeń. Wszystko jest cacy. – Z wyjątkiem trzech nadpalonych i zamrożonych trupów w naszej piwnicy, pomyślał. – Dobrze, że ich widzieliśmy. Wyglądają całkiem zwyczajnie, to pomaga. Gdybyśmy mieli wywieźć stąd Grace Kelly, sprawa byłaby bardziej skomplikowana. Kobiety takie jak ona rzucają się w oczy, w przeciwieństwie do pani Królikowej.

– Kuleczka, Piłeczka i Puszysty Ogonek... – wyszeptał Ryan.

– Trzeba tylko przenieść ich do innej klatki.

– Skoro tak mówisz... – odrzekł niepewnie Jack. Ten facet żył po prostu innym życiem.

Cathy zarabiała na życie krojeniem ludzkich oczu – gdyby kazano mu to zrobić, zemdlałby jak panienska na widok grzechotnika w wannie. Tak, chodzi po prostu o inny sposób zarabiania na życie. Tyle tylko, że on zarabiać tak by nie mógł.

Tom Trent poszedł za nimi do ogrodu zoologicznego. Zoo to świetne miejsce dla dzieci.

Lew i tygrys były wspaniałe, a po wybiegu dla słoń – pastelowe kolory, pijany arabski styl –

chodziło kilka wielkich słoń. Dziewczynka dostała lody i turystyczna część dnia dobiegła końca. Rodzina wróciła do hotelu i przez ostatnie kilkaset metrów tatuś musiał nieść śpiącą 342

córeczkę na rękach. Ten odcinek drogi był dla Trenta najtrudniejszy, ponieważ pozostawanie niewidzialnym na brukowanym placu wielkości sporego lądowiska wymagało nie lada zręczności, ale Króliki nie zwracały na nikogo najmniejszej uwagi i po prostu szły przed siebie. W Astorii wpadł do toalety i wywrócił płaszcz na drugą stronę, żeby choć trochę zmienić wygląd. Pół godziny później Zajcewowie wyszli ponownie, ale natychmiast skręcili w kierunku ludowej restauracji po sąsiedzku. Jedzenie było tam dobre, niezbyt apetyczne, ale – co ważne – bardzo tanie. On patrzył, a oni usiedli z kopiastymi talerzami i zaczęli łapczywie jeść. Zostawili trochę miejsca na deser, na szarlotkę, która

w Budapeszcie była równie smaczna, jak ta w Wiedniu, tyle że ponad połowę tańsza. Czterdzieści minut później byli tak najedzeni i zmęczeni, że zrezygnowali nawet z poobiedniego spaceru. Wrócili do hotelu, pojechali windą na górę i pewnie od razu poszli spać. Na wszelki wypadek Trent pokręcił się tam jeszcze pół godziny, po czym złapał taksówkę i pojechał na plac Czerwonego Marty'ego.

Miał za sobą ciężki dzień, a musiał jeszcze napisać raport dla Hudsona.

Gdy wrócił do ambasady, Andy i Jack pili piwo w stołówce. Hudson przedstawił go Ryanowi i zamówił jeszcze jedno jasne.

– No i?

– Wygląda na to, że jest tak, jak się spodziewaliśmy. Dziewczynka – ojciec nazywa ją

„króliczkiem”, tak? – jest przeurocza. Są zwyczajną rodziną i robią zwyczajne rzeczy. Na Váci kupili trzy magnetowidy; sklep dostarczył je do hotelu. Potem poszli na spacer.

– Dokąd?

– Po prostu na spacer, jak to turyści. Trafili do zoo. Lwy, tygrysy, słonie: dziewczynka była pod wrażeniem, ale największe wrażenie zrobiło na niej czerwone paltko z czarnym kołnierzem, które kupili rano. W sumie to mała, miła rodzina. I tyle – zakończył agent.

– Nie zauważyłeś niczego odbiegającego od normy? – spytał Hudson.

– Absolutnie. Jeśli ktoś za nimi chodził, to go nie widziałem. Jediną niespodzianką dnia było to, że idąc na zakupy, przeszli tuż pod waszym nosem. Fakt, to było niesamowite, ale zupełnie przypadkowe. Váci jest ulicą popularną zarówno wśród turystów ze Wschodu, jak i z Zachodu. Przypuszczam, że recepcjonista ich tam skierował.

– Słowem, sam miód i wanilia, co? – Jack dopił piwo.

– Na to wygląda – odrzekł Trent.

– Dobra, a więc kiedy?

– Jutro wieczorem jest koncert tego Rozsy – myślał na głos Hudson. – Może pojutrze?

Niech pani Królikowa posłucha sobie muzyki. Możesz załatwić nam bilety?

– Nie ma problemu. Łoża numer sześć. Prawa strona, dobry widok na całą salę. Dobrze jest być dyplomatą, nie?

– A w programie jest...

– Jan Sebastian Bach. Trzy pierwsze *Koncerty Brandenburskie* i kilka opusów.

– Miło – mruknął Ryan.

– Całkiem nieźle grają, sir Johnie.

343

– Andy, dość tego tytułowania, dobra? Mam na imię John Patrick, ale odkąd skończyłem trzy lata, mówią mi „Jack”.

– Bycie rycerzem królowej to zaszczyt...

– Świetnie. Podziękuj za to Jej Wysokości, ale tam, skąd pochodzę, nie ma żadnych rycerzy.

– Cóż, siadać z mieczem u boku jest chyba niewygodnie – rzekł ze współczuciem Trent.

– A dbanie o konia? – Hudson parsknął śmiechem. – Ileż z tym roboty. Nie wspominając już o tym, że od czasu do czasu trzeba walczyć na kopie!

– Wiedziałem, że to powiesz. Chcę po prostu, żebyśmy wywieźli ich stąd, i już.

– I wywieziemy, Jack – zapewnił go Hudson. – Przekonasz się na własne oczy.

– Wszyscy są już w Budapeszcie – zameldował Bostock. – Królik mieszka w hotelu Astoria.

– Czy nie nazywa się tak któraś z dzielnic Nowego Jorku? – spytał sędzia Moore.

– Tak: Queens – odrzekł Greer. – Więc co z tym hotelem?

– Najwyraźniej odpowiada naszym potrzebom. Basil mówi, że jak dotąd operacja przebiega normalnie. Nasi ludzie nie zauważyli, żeby cel był przez kogoś obserwowany. A więc sama rutyna. Szef ich placówki musi być dobrym fachowcem. Zwłoki też są już na miejscu.

Pozostała jedynie kwestia dogrania szczegółów.

– Szanse powodzenia? – spytał Greer.

– Powiedziałbym, że siedemdziesiąt pięć procent, panie admirale. Może trochę więcej.

– A jak tam nasz Ryan?

– Londyn nic o nim nie wspominał. Przypuszczam, że się trzyma.

– Powinien, to dobry dzieciak.

– Ciekawe, czy jest bardzo nieszczęśliwy – zastanawiał się Moore.

Pozostali dwaj wymienili uśmiechy i pokręcili głowami. Bostock przemówił jako pierwszy. Jak wszyscy pracownicy wydziału operacyjnego, miał spore wątpliwości co do kompetencji pracowników o wiele liczniejszego wydziału do spraw wywiadu.

– Prawdopodobnie czuje się mniej pewnie, niż siedząc za biurkiem w wygodnym fotelu.

– Poradzi sobie – zapewnił ich Greer z nadzieją, że tak będzie.

– Ciekawe też – szepnął sędzia – co ten człowiek dla nas ma...

– Dowiemy się za tydzień. – Bostock był wiecznym optymistą. Siedemdziesiąt pięć procent: dość wysokie szanse pod warunkiem, że nie trzeba samemu nadstawiać tyłka.

Sędzia Moore spojrzął na zegar i dodał sześć godzin. Budapeszteńczycy już spali, londyńczycy właśnie szli spać. Przypomniały mu się przygody, które kiedyś przeżył, przygody polegające głównie na czekaniu na informatora, na sporządzaniu raportów dla urzędasów, którzy wciąż kierowali Agencją. To nie do uwierzenia, ale CIA była instytucją rządową i 344

podlegała wszystkim restrykcjom tudzież niedogodnościom, jakim podlegała cała smutna rzeczywistość. Ale tym razem, ta operacja przebiegała szybko i zgodnie z planem... tylko dlatego, że Królik twierdził, iż Rosjanie rozpracowali ich system łączności. Nie dlatego, że miał informację o kimś – o kimś niewinnym – komu groziło śmiertelne niebezpieczeństwo.

Rząd kierował się swoimi priorytetami, które nie zawsze odpowiadały priorytetom racjonalnego świata. Moore był dyrektorem Centralnej Agencji Wywiadowczej i zgodnie z obowiązującym prawem federalnym, odpowiadał za gromadzenie informacji wywiadowczych, za wszystkie operacje prowadzone w imieniu rządu Stanów Zjednoczonych Ameryki. Ale zmuszenie tej olbrzymiej

machiny biurokratycznej do sprawnego działania równało się wyciągnięciu na brzeg wieloryba i wydaniu mu rozkazu, żeby poszybował jak ptak. Można było na niego krzyczeć i wrzeszczeć ile sił w płucach, ale wieloryb i tak nie pokona grawitacji. Rząd tworzyli ludzie, dlatego teoretycznie mogli go zmienić lub zreorganizować, ale teoria teorią, praktyka praktyką. Tak więc istniało siedemdziesiąt pięć procent szans na to, że uda im się ewakuować tego Rosjanina, przewieźć go na wirgińskie wzgórza i dokładnie przesłuchać: być może dowiedzą się czegoś ważnego i użytecznego, co wcale nie oznaczało, że zasady tej gry kiedykolwiek się zmienią, tak samo, jak wątpliwe było to, że kiedykolwiek zmieni się sama CIA.

– Przekazać coś Basilowi?

– Nic nie przychodzi mi do głowy – odrzekł Bostock. – Po prostu siedzimy tu jak myszki pod miotłą i czekamy, aż nasi wypełnią zadanie.

– Tak – zgodził się z nim sędzia Moore.

Spał kiepsko, chociaż wypił ponad półtora litra ciemnego angielskiego piwa. Nie wiedział dlaczego. Hudson i jego zespół byli dobrymi fachowcami, a Królik i jego rodzina wyglądali całkiem zwyczajnie. Troje Rosjan, z których jeden chciał dać nogę ze Związku Radzieckiego, co było w sumie krokiem zupełnie rozsądnym, mimo że Rosjanie należeli do najbardziej patriotycznych narodów w świecie. Ale nie ma reguły bez wyjątków i sumienie kazało mu widocznie zainterweniować, kazało mu czemuś zapobiec. Jack nie wiedział czemu i wołał nie zgadywać. Spekulowanie to nie to samo co analizowanie, a jemu płacili te marne grosze za to, że potrafił dobrze analizować.

Ale bardzo go to ciekawiło. Nigdy dotąd nie rozmawiał z uciekinierem. Czytał ich zeznania, czasami wysyłał do nich konkretne pytania na piśmie, ale nigdy nie spojrzął żadnemu w oczy, nigdy nie widział jego twarzy. A, tak samo jak w kartach, to jedyny sposób na rozszyfrowanie człowieka. Nie potrafił robić tego tak dobrze jak Cathy – wykształcenie medyczne miało swoje plusy – ale nie był też naiwnym trzylatkiem, który we wszystko uwierzy. Nie, chciał zobaczyć tego Rosjanina, chciał z nim porozmawiać, przepytać go, wymaglować na wszystkie strony i ocenić jego wiarygodność. Ostatecznie KGB mogło go podstawić; słyszał, że takie rzeczy robili. Wkrótce po zabójstwie Johna Kennedy’ego zjawił się u nich uciekinier, który zaklinał się na wszystkie świętości, że Komitet Bezpieczeństwa Pań-

stwowego nie miał z tym nic wspólnego. To wystarczyło, żeby CIA zaczęła podejrzewać, że Kennedy’ego zabili Rosjanie. Ci z KGB mogli być przebiegli, ale jak wszyscy chytry, podstępni gracze wcześniej czy później obstawiali za wysoko: im później, tym gorzej na tym wychodzili. Rozumieli Zachód i sposób myślenia jego mieszkańców. Nie, mimo zapewnień 345

panikarzy z Waszyngtonu – a nawet z Langley – Rosjanie nie mieli trzech metrów wzrostu i nie było wśród nich samych geniuszy.

Każdy popełniał błędy. Nauczył go tego ojciec, który żył z chwytania morderców, a ci uważali się zwykle za wyjątkowo przebiegłych. Nie, różnica między mądrym i głupim polega jedynie na wielkości popełnianych przez nich błędów. Błądzić jest rzeczą ludzką, a im człowiek mądrzejszy, potężniejszy, im wyżej zajdzie, tym z większej wysokości spada. Jak choćby L.B. Johnson i Wietnam, wojna, której Jack uniknął ze względu na swój wiek: gigan-tyczna obsuwa, zafundowana Amerykanom przez najzręczniejszego polityka i taktyka XX

wieku, człowieka, który wierzył, że jego niezwykle zdolności znajdą przełożenie w polityce międzynarodowej, i który przekonał się na własnej skórze, że azjatyccy komuniści myślą zupełnie inaczej niż senator z Teksasu. Wszyscy są ułomni. Problem w tym, że jedni są bardziej niebezpieczni od innych. I podczas gdy mądrość zdaje sobie sprawę z tych ułomności, głupota nie zna granic.

Leżał w łóżku, paląc papierosa, patrząc w sufit i zastanawiając się, co przyniesie mu dzień. Kolejne

wcielenie Seana Millera i jego terrorystów?

Oby nie. Swoją drogą, dlaczego ten Hudson nie chce zabrać ze sobą broni? Europejczycy muszą mieć do niej uraz. W przeciwieństwie do Amerykanów, którzy będąc na wrogiej ziemi, lubią mieć pod ręką chociaż jednego przyjaciela.

346

Rozdział 27

Ucieczka

Kolejny dzień w obcym mieście, pomyślał Zajcew o wschodzie słońca, które wstawało tu godzinę później niż w Moskwie. W domu byłby już dawno na nogach. Miał nadzieję, że niedługo obudzi się gdzieś indziej, w zupełnie innej strefie czasowej. Ale teraz leżał nieruchomo, rozkoszując się chwilą. Zza okien nie dochodził dosłownie żaden dźwięk, może tylko odległy warkot jakiejś ciężarówki. Słońce nie wychynęło jeszcze zza horyzontu. Wciąż było ciemno, choć noc już minęła. Brzask, ale jeszcze nie świt: środek początku nowego dnia.

Przyjemna chwila. Chwila uwielbiana przez małe dzieci, magiczny czas, kiedy świat należy tylko do tych, którzy już nie śpią, podczas gdy wszyscy pozostali leżą niewidzialni pod koł-

drą, kiedy każdy mały chłopiec może chodzić po domu jak król pogrążonego we śnie królestwa, dopóki mama nie zaciągnie go z powrotem do łóżka.

Ale on nie chodził, on po prostu leżał, wsłuchując się w powolny oddech żony i córki.

Całkowicie rozbudzony, mógł wreszcie spokojnie pomyśleć.

Kiedy nawiążą z nim kontakt? Co powiedzą? Zmienia zdanie? Zawiodą go?

Dlaczego tak bardzo się denerwował? Czyż nie pora im wreszcie zaufać? Czyż nie jest dla nich cennym nabytkiem? Nawet KGB, skąpe i zachłanne jak dziecko tulące do piersi ulubioną zabawkę, nagradzało uciekinierów wygodami i prestiżem. Ileż to wódki wychłał ten Philby, iluż pedałów zaliczył Burgess – tak przynajmniej głosiła plotka. Jeden i drugi, głosiła, miał duże potrzeby. Ale każda plotka ma do siebie to, że im dłużej krąży, tym bardziej staje się nieprawdopodobna, a w tym przypadku chodziło pewnie – przynajmniej częściowo – o typową dla Rosjan niechęć do homoseksualistów.

Ale ja taki nie jestem, myślał Zajcew. Ja mam zasady. Na pewno? Oczywiście, że tak.

Przecież dla tychże zasad żongluję własnym życiem. Jak cyrkowy żongler nożami. I jeśli żonglując, popełnię jakiś błąd, skrzywdzę jedynie sam siebie. Zapalił papierosa, po raz setny myśląc o tych samych sprawach, po raz setny szukając innego wyjścia.

Tak, mógłby pójść na koncert czy na dalsze zakupy, wrócić do Moskwy, rozdać kolegom prezenty – magnetowidy, kasety pornograficzne, rajstopy dla żon – i zostać ich bohaterem.

KGB nigdy by się o niczym nie dowiedziało.

Ale wtedy, myślał, polski papież zginie z rosyjskiej ręki. Z ręki, którą możesz jeszcze powstrzymać. Jeśli tego nie zrobisz, kogo, jakiego człowieka będziesz widział co rano w lu-strze?

Wszystko sprowadzało się do tego samego.

Nie było sensu spać, więc leżał, palił papierosa i patrzył na jaśniejące za oknami niebo.

Cathy Ryan obudziła się na dobre dopiero wtedy, gdy jej ręka natrafiła na pustkę w miejscu, gdzie powinien leżeć jej mąż. To spowodowało, że jak automat momentalnie otworzyła oczy i przypomniała sobie, że Jack wyjechał, że nie ma go ani w tym kraju, ani w tamtym, to znaczy w Stanach, że została sama, że jest samotną matką, czego wychodząc za Johna Patricka Ryana, w ogóle nie brała pod uwagę. Oczywiście nie była jedyną kobietą, której mąż podróżował w interesach – podróżował choćby jej ojciec i już w dzieciństwie zdążyła do tego 347

przywyknąć. Ale tu, w Anglii, pierwszy raz w życiu została bez Jacka i wcale się jej to nie podobało.

Nie, żeby nie mogła z tym sobie poradzić. Codziennie radziła sobie z gorszymi udręka-mi. Nie bała się również, że wyjechawszy, Jack znajdzie sobie kochankę. Często zastanawiała się, czy nie robił tak ojciec – małżeństwo jej rodziców bywało dość burzliwe – i nie wiedziała, jak podchodziła do tego jej nieżyjąca już matka. Ale z Jackiem... Nie, z Jackiem nie będzie tego rodzaju problemów. Problem w tym, że go kochała, wiedziała też, że on kocha ją, a ludzie, którzy się kochają, powinni być razem. Gdyby poznali się, gdy służył w piechocie morskiej, musiałyby do tego przywyknąć. Co gorsza, musiałyby brać pod uwagę to, że któregoś dnia Jack może zginąć, a życie z tą świadomością byłoby prawdziwym piekłem. Ale nie, poznała go dopiero potem. Ojciec zaprosił ją na kolację i w ostatniej chwili zaprosił też jego, młodego, bystrego brokera obdarzonego niebywałym instynktem, który właśnie zamierzał

przeprowadzić się z Baltimore do Nowego Jorku. Z zaskoczeniem – bardzo zresztą miłym –

stwierdziła, że natychmiast przypadli sobie do gustu, a wkrótce potem – z jeszcze większym zaskoczeniem – dowiedziała się, że Jack chce wycofać zainwestowane pieniądze i wrócić do nauczania historii. Miała trudniej niż on, bo on ledwo ojca tolerował. Joseph Muller, wicedyrektor Merrill Lynch Pierce Fenner i Smith, właściciel i szef Bóg wie ilu jeszcze firm, które przejął w ciągu ostatnich pięciu lat, był dla niego „nim”, czyli nadętym dupkiem, natomiast dla niej był zwykłym „tatusiem”.

Bonn? – myślała. Niemcy? NATO? Co, do diabła, on tam robi? Przeklęty wywiad. Szukanie tajemnic i sporządzanie równie tajemniczych analiz dla kogoś, kto pewnie nawet ich nie przeczyta. Ona leczyła ludzi, próbowała naprawiać im wzrok: jej praca była przynajmniej uczciwa. Jej tak, ale nie praca Jacka.

Nie, żeby robił coś kompletnie bezużytecznego. Tłumaczył jej to na początku roku. Na świecie było dużo złych ludzi i ktoś musiał z nimi walczyć. Na szczęście walczył bez nabitego pistoletu. Nienawidziła pistoletów, nawet tych, dzięki którym uniknęła porwania i śmierci w Marylandzie w dniu narodzin ich syna. Opatrywała rany postrzałowe podczas stażu i opatrzyła ich mnóstwo, ale były dla niej jedynie świadectwem krzywdy, której nie udało się zapobiec. Jej świat był pod tym względem ograniczony i dobrze to rozumiała, dlatego pozwalała Jackowi trzymać tą przeklętą broń pod ręką, w miejscu, gdzie dzieci nie mogły do-sięgnąć jej, nawet stając na krześle. Raz próbował nauczyć ją strzelać, ale nie chciała. Pod-

świadomie zdawała sobie sprawę, że przesadza, ale cóż, była kobietą, i tyle. Zresztą Jack nie nalegał.

Ale dlaczego go tu nie ma? Co mogło być aż tak ważne, że wyjechał, zostawiając żonę i dzieci?

Nie wiedziała. I właśnie dlatego wpadła w złość. Ale tego rodzaju złości nie sposób zwalczyć; była to złość inna od tej, jaką odczuwała na widok pacjenta chorego na raka. I wcale nie chodziło o to, że Jack mógłby posuwać teraz jakąś niemiecką Gerdę. Ale cholera. Po prostu chciała, żeby już wrócił.

Przebywający prawie tysiąc trzysta kilometrów dalej Ryan zdążył już wstać, wziąć prysznic, ogolić się i ubrać. Obudził się dużo wcześniej niż zwykle – pewnie przez tę podróż

– i musiał teraz beczynnie czekać, aż otworzą stołówkę. Popatrzył na stojący przy łóżku telefon. Mógłby zadzwonić do Cathy, ale nie wiedział, jak się stąd dzwoni, poza tym musiał-

348

by najpierw poprosić o pozwolenie Hudsona. Niech to szlag. Otworzył oczy o trzeciej nad ranem i chciał pocałować ją w policzek; lubił to robić, chociaż obudziwszy się, Cathy nigdy nic nie pamiętała. Ale zawsze oddawała pocałunek. Naprawdę go kochała. W przeciwnym razie w ogóle by nie zareagowała. We śnie nie można udawać. W prywatnym wszechświecie Ryana fakt ten był bardzo ważny.

Włączyć radio? Bez sensu. Węgierski brzmiał jak język Marsjan. Bo na pewno nie Ziemian. Jack nie rozpoznał ani jednego, ani jedniutkiego słowa, które mógłby sobie skojarzyć ze słowem angielskim, niemieckim czy łacińskim. Poza tym tubylcy mówili piekielnie szybko, jak karabin maszynowy, co jeszcze bardziej pogarszało sprawę. Gdyby Hudson wyrzucił

go gdzieś w mieście, nie trafiłby z powrotem do ambasady: uczucia tak wielkiej bezradności nie doświadczył, odkąd skończył cztery lata. Równie dobrze mógłby wylądować na obcej planecie – paszport dyplomatyczny niewiele by mu pomógł, ponieważ wysłali go tu nie ci, co trzeba. Jakoś o tym nie pomyślał. Jak większość Amerykanów założył, że z paszportem i kartą kredytową American Express może bezpiecznie podróżować po świecie w samych szortach, lecz świat ten ograniczał się jedynie do świata kapitalistycznego, w którym ludzie mówili po angielsku na tyle dobrze, żeby wskazać mu drogę do budynku z amerykańską flagą na dachu i żołnierzami piechoty morskiej przed wejściem. Wszędzie, ale nie w tym obcym mieście. Tu nie trafiłby nawet do kibla; owszem, raz mu się udało, w tamtym barze.

Uczucie bezradności zadreęczało go jak przysłowiowy potwór pod łóżkiem, a przecież był

dorosłym Amerykaninem, miał ponad trzydzieści lat i jeszcze niedawno służył w piechocie morskiej.

Zwykle podchodził do tego zupełnie inaczej. Siedział tak i obserwując cyferki zmieniające się na elektronicznym cyferblacie radia, szykował się na spotkanie z przeznaczeniem. Sekunda po sekundzie, cyferka po cyferce.

Andy Hudson był już na nogach. Istvan Kovacs przygotowywał się do kolejnego, rutynowego przerzutu przez granicę: tym razem miał przywieźć partię reeboków z Jugosławii.

Twardą walutę schował do metalowego pudełka pod łóżkiem i właśnie pił poranną kawę, słuchając radia, gdy usłyszał pukanie do drzwi. Wstał i w samej bieliźnie otworzył drzwi.

– Andy! – zawołał zaskoczony.

– Obudziłem cię?

Kovacs zaprosił go do środka.

– Nie, wstałem pół godziny temu. Co cię sprowadza?

– Moja przesyłka. Musimy zrobić to dziś w nocy.

– O której?

– Koło drugiej nad ranem.

Hudson wyjął z kieszeni plik banknotów.

– Masz. Połowa umówionej kwoty. – Nie było sensu płacić mu całej. Zmieniłoby to położenie szal na wadze.

– Znakomicie. Napijesz się kawy?

– Tak, chętnie.

Kovacs zaprowadził go do kuchni i sięgnął po filiżankę.

349

– Jak chcesz to zrobić?

– Podrzucę przesyłkę do granicy i tam ją przejmiesz. Oczywiście znasz żołnierzy z posterunku...

– Tak. Dzisiaj będzie tam kapitan Budai Laszlo. Od lat robię z nim interesy. I sierżant Kerekes Mihaly. Dobry chłopak. Chce iść na uniwersytet i zostać inżynierem. Siedzą od północy do południa. O tej porze będą już znudzeni i otwarci na propozycje. – Kovacs potarł kciukiem o palec wskazujący.

– Ile zwykle biorą?

– Za czterech ludzi?

– Muszą wiedzieć, że chodzi o ludzi? – odparował Hudson.

Kovacs wzruszył ramionami.

– Chyba nie. Powiem, że wiozę buty. Tu popularne są reeboki. Reeboki i zachodnie kasety z filmami. Magnetowidy już mają.

– Bądź hojny, ale nie za hojny. – Nie musiał dodawać dlaczego: żeby nie nabrali podejrzeń. – Jeśli są żonaci, dorzuć coś dla żon...

– Andy, znam Budajów. Nie będzie żadnego problemu. – Mieli młodą córkę, Zsókę, i wiedział, że drobny prezent na pewno ją ucieszy.

Hudson obliczał w myśli czas. O tej porze nocy powinno im wystarczyć dwie i pół godziny. Do granicy dojadą małą ciężarówką. Istvan przesadzi ich do większej. Myślał pewnie, że jeśli coś pójdzie nie tak, to go tam zastrzelą. Oto, jakie korzyści przynosi oglądanie filmów z Jamesem Bondem. Jednakże o wiele skuteczniejsze niż pistolet były tu dolary i marki.

– Dokąd pojedziemy?

– Powiem ci wieczorem – odrzekł Hudson.

– Jasne. W takim razie o drugiej czekam na ciebie w Csurgo.

– Świetnie. – Andy dopił kawę i wstał. – Dobrze jest mieć tak niezawodnego przyjaciela.

– Dobrze mi płacisz – odrzekł Kovacs, precyzując rodzaj łączącej ich przyjaźni.

Hudson chciał dodać, jak bardzo mu ufa, ale nie była to prawda, przynajmniej nie do końca. Jak większość agentów operacyjnych, obdarzał ludzi zaufaniem dopiero po udanej misji. Czy Kovacs mógł pracować dla AVH? Najpewniej nie. Tych z AVH nie stać by było na regularną pensję w wysokości pięciu tysięcy marek, a on za bardzo lubił wygodne życie. Jeśli komunistyczny rząd tego kraju kiedykolwiek upadnie, Istvan będzie jednym z pierwszych milionerów i wybuduje sobie willę na wzgórzach Pesztu, taką z widokiem na Dunaj.

Dwadzieścia minut później Andy odnalazł Ryana na czele kolejki po jedzenie w stołówce ambasady.

– Widzę, że smakują ci nasze jajka.

– Są stąd, czy z Austrii?

350

– Nie, stąd. Węgierskie produkty rolne są bardzo dobre. Ale nie ma to jak angielski bekon.

– Też go polubiłem – przyznał Ryan. – No i? Co się dzieje? – Andy był podekscytowany, poznał to po jego oczach.

– To już dzisiaj. Idziemy na koncert, a potem do dzieła.

– Uprzedzisz ich?

Hudson pokręcił głową.

– Nie. Facet może zrobić coś głupiego. Wolę uniknąć komplikacji.

– A jeśli nie będzie gotowy? Jeśli się rozmyśli?

– To dupa. Znikniemy w otulonym mgłą Budapeszcie, a w Londynie, Waszyngtonie i w Moskwie zaroi się od facetów z wypiekami na twarzy.

– Jesteś cholernie opanowany.

– W tej pracy bierze się rzeczy takimi, jakimi są. Po co się podniecać? To nie pomaga. –

Andy wykrzywił usta w ironicznym uśmiechu. – Dopóki mam w kieszeni królewskie szylingi i jadam królewskie herbatniczki, będę robił to, co Jej Wysokość mi każe.

– *Semper fi* – mruknął Ryan. Dolał śmietanki do kawy i pociągnął mały łyk. Kawa była taka sobie, ale cóż.

Jedzenie w państwowej restauracji obok hotelu Astoria też było takie sobie, mimo to Swietłana dosłownie pochłonęła wiśniowe ciastko, zapijając je szklanką pełnotłustego mleka.

– Dziś wieczorem idziemy na koncert – powiedział Oleg Iwanowicz. – Cieszysz się?

– Wiesz, kiedy ostatni raz byłam na prawdziwym koncercie? – odrzekła Irina. – Jesteś dla mnie taki dobry. Nigdy ci tego nie zapomnę. – Była zaskoczona wyrazem jego twarzy, ale o nic nie spytała.

– Cóż, zaraz idziemy po zakupy. Dla was. Masz pole do popisu.

– Naprawdę mogę kupić coś dla siebie?

– Moja droga, możesz wydać aż osiemset pięćdziesiąt rubli – odrzekł z szerokim uśmiechem Oleg, zastanawiając się, czy to, co kupią, będzie coś warte pod koniec tygodnia.

– Mąż jeszcze nie wrócił? – spytał Beaverton.

– Niestety – odrzekła Cathy.

Szkoda, pomyślał taksówkarz. Z biegiem lat nauczył się obserwować ludzi i widział, że pani Ryan jest bardzo smutna. Cóż, sir John robi pewnie coś ciekawego. Trochę się o nich wywiedział, poświęcił na to sporo czasu. W gazetach pisano, że Cathy Ryan jest chirurgiem, co zgadzało się z tym, co powiedziała mu przed tygodniem. Natomiast jej mąż, który twierdził, że jest zwykłym urzędnikiem w ambasadzie amerykańskiej, pracował najpewniej w CIA. Wspomniano o tym zaraz po tej marcowej strzelaninie przed pałacem, ale tylko raz, potem już nie. Ktoś musiał poprosić tych z Fleet Street – i to grzecznie – żeby przestali o tym 351

pisać. Eddie Beaverton niczego więcej nie musiał wiedzieć. Znalazł też krótką notatkę, która mówiła, że sir John jest bardzo bogaty, a jeśli nie bogaty, to na pewno dobrze sytuowany: potwierdzał to luksusowy jaguar na podjeździe przed ich domem. A więc sir John wyjechał

na tajną misję... Nie było sensu spekulować na jaką. Zjechał do krawężnika i zaparkował.

– Miłego dnia – rzucił, gdy wysiadła.

– Dziękuję, Eddie. – wysoki napiwek, jak zwykle. Dobrze jest mieć stałych, hojnych klientów.

Cathy czekała codzienna jazda pociągiem do Londynu w towarzystwie czasopisma medycznego, ale bez pocieszającej świadomości, że tuż obok siedzi Jack, który czyta „Daily Telegraph” albo po prostu drzemie. To zabawne, że mogło jej brakować nawet śpiącego męża.

– To tu.

Podobnie jak stary volkswagen polo rabbit Ryana, Budapeszteńska Sala Koncertowa by-

ła w każdym szczególe zadbana, lecz niezwykle mała i zajmowała ledwie niewielką część kwartału, którego architektura przypominała architekturę oddalonego o trzysta dwadzieścia kilometrów Wiednia. Andy i Ryan weszli do środka, żeby odebrać bilety zamówione przez Węgierskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych. Hol też był zaskakująco mały. Hudson chciał obejrzeć łożę, a

ponieważ miał paszport dyplomatyczny, bileterka natychmiast zaprowadziła ich na górę.

Sala była podobna do sal teatrów broadwayowskich, choćby do Majestica. Niezbyt duża, lecz elegancka, z obitymi czerwonym welwetem krzesłami i kapiącym od złoceń tynkiem, znakomicie nadawałaby się na salę audiencyjną dla króla, który raczył przybyć do lennego miasta ze swego cesarskiego pałacu w odległym Wiedniu. Na salę, w której zgromadziliby się witający go notable, a przynajmniej ci, którzy notabli udawali, dobrze wiedząc – podobnie jak sam król – że nimi nie są. Tak czy inaczej, widać było, że jej wystrój pochłonął wiele starań, a dobra orkiestra powinna zrekompensować ewentualne braki. Akustyka była najpewniej świetna i tylko to się liczyło. Sala ta musiała być miejscowym odpowiednikiem nowojorskiej Carnegie Hall, w której Ryan nigdy nie był, odpowiednikiem dużo mniejszym i dużo skromniejszym.

Jack powiódł wzrokiem po widowni. Loża znakomicie się do tego nadawała. Widać z niej było niemal wszystkie krzesła na dole.

– Gdzie siedzą? – spytał cicho.

– Nie wiem. Tom to sprawdzi.

– I?

– Potem – uciał Hudson.

Tom Trent miał od groma roboty. Po pierwsze, kupił ponad dziewięć litrów czystego, dziewięćdziesięciopięcioprocentowego spirytusu. Praktycznie rzecz biorąc, można go było pić, ale pili go jedynie ci, którzy chcieli urznąć się błyskawicznie i skutecznie. Wziął trochę na język, żeby sprawdzić, czy naklejka nie kłamie. Nie czas ryzykować. Wystarczyła mikro-skopijna kropelka. Tak, czyściutki spirytus, bez wyraźnego zapachu, i tylko po smaku moż-

352

na było poznać, że to nie woda destylowana. Słyszał, że niektórzy dodają go do ponczu na ślubnych przyjęciach czy innych oficjalnych uroczystościach, żeby trochę ożywić atmosferę.

Na uroczyste pożegnania też się na pewno nadawał.

Kolejne zadanie było dużo mniej przyjemne. Musiał zajrzeć do skrzyń; piwnicę zamknię-

to i nikt nie miał prawa do niej wejść. Przeciął taśmę, podważył wieko i...

Zwłoki spoczywały w półprzezroczystych workach, takich, w jakich przewozi się trupy; wiedział

nawet, że worki mogą być różnych rozmiarów, dla dorosłych i dla dzieci. Pierwsze zwłoki były zwłokami dziewczynki. Dzięki Bogu, że plastik zasłaniał jej twarz, a raczej to, co z niej pozostało. Widział tylko czarną plamę i jak na razie to mu wystarczyło. Nie musiał

nawet otwierać worka: tym lepiej.

Kolejne były cięższe, ale poszło mu z nimi dużo łatwiej. Te zawierały przynajmniej zwłoki dorosłych. Ułożył je na betonowej podłodze, a suchy lód wysypał w przeciwległym kącie, gdzie z czasem miał wyparować, nie robiąc nikomu krzywdy. Pozostało im mniej wię-

cej czternaście godzin i wiedział, że przez ten czas ciała powinny odtajać. Wyszedł z piwnicy i dokładnie zamknął drzwi.

Następnie wstąpił do ochroniarzy. W ambasadzie pracowało ich trzech, a wszyscy służyli przedtem w wojsku. Na tę noc Trent potrzebował dwóch. Wybrał Rodneya Truelove'a i Boba Smalla. Obaj byli kiedyś sierżantami, obaj byli sprawni fizycznie.

– Chłopaki, musicie mi dzisiaj pomóc.

– W czym? – spytał Truelove.

– Musimy coś przenieść, szybko i tak, żeby nikt tego nie widział – odrzekł enigmatycznie Trent. Nie musiał dodawać, że to bardzo ważne. Dla tych ludzi wszystko było ważne.

– Tak... cichaczem? – spytał Small, były sierżant Walijskiego Pułku Królewskich Wojsk Inżynieryjnych.

– O której?

– Wyjdziemy stąd o północy. Zabierze nam to najwyżej godzinę.

– Jak się ubrać? – To znowu Small.

Dobre pytanie. Garnitury i krawaty raczej nie pasowały, a kombinezony mogły zwrócić czyjąś uwagę. Musieli ubrać się tak, żeby pozostać niewidzialnymi.

– Luźno, na sportowo – postanowił. – W kurtki, jak miejscowi. Koszule i spodnie. To powinno wystarczyć. Aha, i weźcie rękawiczki. – Tak, na pewno zechcą je włożyć.

– Nie ma sprawy – powiedział Truelove. Jako żołnierze, przywykli do robienia rzeczy, które nie mają sensu, i brania życia takim, jakim było. Trent miał nadzieję, że jutrzejszy dzień tego nie zmieni.

Fogale. Francuskie rajstopy. Tak było napisane na etykiecie. Irina omal nie zemdlała, biorąc je do ręki. Rajstopy były prawdziwe, ale jakby nieprawdziwe, bo delikatne jak najdelikatniejsza mgiełka. Słyszała, że takie istnieją, ale nigdy dotąd nie miała ich w ręku, nie wspominając już o tym, że nigdy

ich nie nosiła. I pomyśleć tylko, że kobiety na Zachodzie mogą mieć ich ile dusza zapragnie. Żony kolegów Olega zemdleją na ich widok, a koleżanki 353

z GUM-u? Jakże będą jej zazdrościć! I jak ostrożnie będzie je wkładała – żeby broń Boże nie puściły oczka – żeby o coś nie zahaczyć, na nic w nich nie wpaść, jak mała dziewczynka, któ-

ra codziennie wraca do domu z posiniaczonymi kolanami. Były na to zbyt cenne. Będzie musiała wybrać odpowiedni rozmiar dla żon kolegów męża... I kupi sześć par dla siebie.

Tylko jakiego rozmiaru? Wziąć za duże? To obraza dla każdej kobiety, nawet dla Rosjanki. A że jej koleżanki były bardziej pulchne? Że miały rubensowskie kształty? Że w niczym nie przypominały wychudzonych kobiet z krajów Trzeciego Świata albo tych aktorek z Hollywoodu? I co z tego? Rozmiar A, B, C i D... Dodatkowa komplikacja polegała na tym, że rosyjskie, pisane cyrylicą B odpowiadało łacińskiemu W, C zaś łacińskiemu S. Irina wzięła głęboki oddech i poprosiła o dwadzieścia par rozmiaru C, w tym sześć par dla siebie. Były koszmarnie drogie, ale w portmonetce miała też ruble od koleżanek, więc wzięwszy jeszcze jeden głęboki oddech, zapłaciła za nie żywą gotówką, odpowiadając uśmiechem na uśmiech sprzedawczyni, która dobrze ją rozumiała. Z rajstopami w torbie, wyszła ze sklepu, czując się jak młoda carewiczówna – uczucia takiego jak to chciałyby doświadczyć każda kobieta chociaż raz w życiu. Miała teraz czterysta osiemdziesiąt dziewięć rubli mniej i omal nie wpadła w panikę. Tyle tu pięknych rzeczy do kupienia. Tak mało pieniędzy. Tak mało miejsca w domowych szafach.

Buty? Nowy płaszcz? Nową torebkę?

Bizuterię zwykle kupował Oleg, ale jak większość mężczyzn, nie miał zielonego pojęcia, co noszą kobiety.

Może bieliznę? Stanik od Chantarelle'a. Czy będzie miała śmiałość kupić coś aż tak eleganckiego? Musiał kosztować co najmniej sto rubli, nawet przy najkorzystniejszym kursie... I tylko ona będzie wiedziała, że ma go na sobie. Taki stanik jest jak... jak dłonie. Jak dłonie kochanka. Tak, musi go sobie kupić.

I kosmetyki. Koniecznie. To jedyna rzecz, na którą Rosjanki zawsze zwracały uwagę.

Znalazła się w odpowiednim miejscu, bo Węgierki też dbały o cerę. Pójdzie do dobrego sklepu i porozmawia ze sprzedawczynią jak towarzyszką z towarzyszką. Węgierki: ich twarze – ich skóra – mówiły same za siebie. Tak, pod tym względem były bardzo kulturnyje.

Zajęło to dwie godziny. Dwie godziny błogości tak wielkiej, że zapomniała nawet o mę-

żu i córce. Spełniło się jej najskrytsze marzenie, marzenie każdej Rosjanki: wydawać pienią-

dze może nie na Zachodzie, no ale prawie. Cudowne uczucie. Na koncert pójdzie w nowym staniku. Będzie słuchała Bacha, udając, że przeniosła się do innego czasu i do innego miejsca, do miejsca, gdzie wszyscy są kulturalni i gdzie dobrze jest być kobietą. Szkoda, że w Związku Radzieckim takie

miejsce nie istniało.

Przed sklepem – jednym, drugim, trzecim, czwartym – stał Oleg. Palił papierosa i jak każdy mężczyzna w jego sytuacji, śmiertelnie się nudził. Jak można coś takiego lubić? Wybieranie i przymierzanie, wybieranie i przymierzanie. I ten wieczny brak decyzji, to, że wystarczy im sama atmosfera, sam fakt, że przebywają w otoczeniu rzeczy, na które je nie stać, które nawet się im nie podobają. Brały sukienkę, przykładały ją do siebie, spoglądały w lustro i mówiły, *niet*, nie ta. I tak bez końca, aż do zachodu słońca, aż do nocy, jakby zależało od tego to, dokąd pójdzie po śmierci ich dusza. Ta niebezpieczna przygoda nauczyła go cierpliwości, ale wiedział, że jednego nigdy się nie nauczy: tego, jak patrzeć na robiącą zaku-354

py kobietę bez chęci jej uduszenia. Kurwa! Toż stał tam jak objuczony wielbłąd, dźwigając rzeczy, na które się w końcu zdecydowała tylko po to, żeby za chwilę zmienić zdanie. Cóż, nie mogło to trwać w nieskończoność. Mieli bilety na koncert. Musieli wrócić do hotelu, znaleźć kogoś, kto popilnuje *zajczika*, przebrać się i dojechać na miejsce. Nawet Irina by to zrozumiała.

I pewnie zrozumie, pomyślał posepnie. Jakby nie miał większych zmartwień na głowie.

Natomiast Swietłana niczym się nie przejmowała. Jadła loda i rozglądała się na wszystkie strony. Dziecięca niewinność. Szkoda, że tak szybko się ją traci. W takim razie dlaczego dzieci tak bardzo chcą dorosnąć? Czyżby nie wiedziały, jak cudowny jest ich świat? Czyżby nie rozumiały, że wraz z wiekiem cuda tego świata zmieniają się w ciężary? I w ból.

I w wątpliwości. Tyle wątpliwości...

Ale nie, Swietłana tego nie wiedziała, a kiedy się dowie, będzie już za późno.

Irina wyszła wreszcie ze sklepu z uśmiechem, jakiego nie widział u niej od chwili, gdy urodziła córkę. I wtedy przeżył prawdziwy szok, bo objęła go i pocałowała.

– Oleg, jesteś dla mnie taki dobry... – I kolejny pocałunek kobiety zaspokojonej udanymi zakupami. Niesamowite, pomyślał Zajcew. To dla nich lepsze niż seks.

– Wracamy do hotelu, kochanie. Musimy się przebrać.

Metro, hotel, winda, pokój 307. Dotarłszy na miejsce, uznali, że zajczik pójdzie jednak z nimi. Z załatwieniem opiekunki mieliby kłopot. Oleg zastanawiał się nawet, czy nie poprosić o pomoc którejś z funkcjonariuszek KGB z Domu Przyjaźni Węgiersko-Rosyjskiej po drugiej stronie ulicy, ale woleli tego nie robić – czuliby się nieswojo. Tak więc zabierali Swietlanę ze sobą. Szósty rząd, miejsca A, B i C: Oleg miał siedzieć tuż przy przejściu, co bardzo mu odpowiadało. Zajczik włożył nowe ubranie i na pewno będzie szczęśliwy, zwłaszcza że było to najlepsze ubranie, jakie kiedykolwiek miała.

Tego wieczoru w łazience panował tłok. Irina długo robiła sobie twarz i oczy. Oleg załatwił sprawę znacznie szybciej, nie mówiąc już o Swietłanie, której przetarli twarzyczkę mo-krym ręcznikiem – krzywiła się, ale to wystarczyło. Potem się przebrali. Oleg zapiął córeczce klamerki błyszczących czarnych bucików – włożyła je do białych rajstop, które natychmiast pokochała. Potem włożyła czerwony płaszcz z czarnym kołnierzem i była już gotowa na kolejną przygodę. Zjechali windą na dół i złapali taksówkę.

Trent czuł się trochę nieswojo. Obserwacja holu powinna sprawić mu trudności, ale zdawało się, że obsługa nie zwraca na niego uwagi, tak więc, gdy przesyłka wreszcie wyszła, po prostu wsiadł do samochodu i pojechał za nimi do odległej o półtora kilometra sali koncertowej. Zaparkował w pobliżu i szybko wszedł do środka. W holu serwowano drinki i Zajcewowie wzięli chyba tokaj. Dziewczynka dosłownie promieniała. Jest naprawdę urocza, pomyślał agent. Miał nadzieję, że spodoba jej się na Zachodzie. Gdy weszli na widownię i usiedli, wszedł schodami na górę.

Ryan i Hudson siedzieli już w łoży, w starych, wyłożonych aksamitem fotelach.

– Hej – rzucił Trent. – Środek szóstego rzędu, tuż przy przejściu.

355

Zamrugwały światła. Muzycy skończyli stroić instrumenty, rozsunęła się kurtyna i zza kulis po prawej stronie wyszedł Jozsef Rozsa. Oklaski były ledwie uprzejme. Dawał swój pierwszy koncert i publiczność jeszcze go nie знаła. Ryan uznał, że to dziwne: Rozsa ukoń-

czył Akademię Muzyczną imienia Franciszka Liszta. Dlaczego nie powitali go serdeczniej?

Był wysokim szczupłym mężczyzną o czarnych włosach i ascetycznej twarzy. Ukłonił się dwornie i odwrócił do orkiestry. Batuta – Ryan nie był pewien, czy tak się to nazywa – leżała na pulpicie i gdy ją podniósł, w sali zapadła kompletna cisza. Gwałtownym ruchem wyrzucił rękę do przodu i sekcja smyczkowa Orkiestry Symfonicznej Węgierskich Kolei Państwowych rozpoczęła koncert.

Ryan nie znał się na muzyce tak jak jego żona, ale Bach to Bach i majestatyczność utworu czuć było już od pierwszej chwili. Muzyka, podobnie jak malarstwo, jest sposobem przekazywania informacji, ale nie za bardzo wiedział, co ci kompozytorzy chcą mu przekazać. Z

Johnem Williamsem było łatwiej, ponieważ jego muzyka doskonale współgrała z akcją filmu, ale Bach, który o filmach na pewno nie słyszał, musiał „opowiadać” o czymś, co jemu współcześni dobrze rozumieli. Problem w tym, że Ryan żył teraz, a nie w tamtych czasach, pozostawało mu więc jedynie wsłuchiwać się w cudowną harmonię jego utworów. Pianino brzmiało trochę dziwnie i gdy

odszukał je wzrokiem, zobaczył, że to wcale nie pianino, tylko stary klawesyn, na którym gra równie stary wirtuoz, mężczyzna o długich, białych jak śnieg włosach i smukłych dłoniach... chirurga. Jack znał się trochę na muzyce fortepianowej. Cathy twierdziła, że ich przyjaciółka, Sissy Jackson, solistka Waszyngtońskiej Orkiestry Symfonicznej, gra zbyt mechanicznie, ale on zauważył tylko, że nigdy nie fałszuje i to mu wystarczyło.

Ten facet też nie fałszuje, pomyślał, obserwując jego ręce i wsłuchując się w cudowną kakofonię dźwięków. Każdy z nich doskonale współbrzmiał z pozostałymi i był dokładnie taki, jak trzeba, w zależności od partytury, raz głośny, raz cichy. Muzycy zaś byli wyćwiczeni jak żołnierze kompanii reprezentacyjnej Korpusu Piechoty Morskiej: ruchy mieli precyzyjne jak sterowane laserami automaty.

Nie rozumiał tylko, co właściwie robi dyrygent. Przecież każdy z muzyków miał przed sobą nuty, czyż więc dyrygowanie nie sprowadzało się jedynie do sprawdzenia – podczas prób – czy każdy z nich opanował swoją część partytury? Będzie musiał spytać o to Cathy.

Żona przewróci pewnie oczami i powie, że jest kompletnym ignorantem. Ale Sissy Jackson z kolei twierdziła, że Cathy gra mechanicznie na keyboardzie, że nie wkłada w to duszy. No i proszę, lady Caroline! Co pani na to?

Sekcja smyczkowa była znakomita. Cholera, myślał. Jak oni to robią, że sunąc smyczkiem po strunach, wydobywają z nich dźwięk dokładnie taki, jak trzeba? Dobrzy są. Muszą być dobrzy, bo z tego żyją. Usiadł wygodniej, żeby cieszyć się muzyką. Dopiero wtedy zobaczył, że Andy Hudson nie odrywa wzroku od Zajcewów. On też popatrzył w ich stronę.

Dziewczynka wierciła się w fotelu, robiąc wszystko, żeby być grzeczną, ale cóż, Bach na pewno nie umywał się do *Czarnoksiężnika z Krainy Oz* i nic nie można było na to poradzić.

Ale jak na małe Króliczątko siedzące między mamusią i tatusiem zachowywała się bardzo grzecznie.

Pani Królikowa słuchała z wyteżoną uwagą. Pan Królik taktownie udawał, że słucha.

Może powinniśmy zadzwonić do Londynu i załatwić Irinie walkmana? – pomyślał Jack.

Walkmana i kilka kaset Christophera Hogwooda... Cathy go lubiła. Jego i Neville'a Marinera.

356

Tak czy inaczej, dwadzieścia minut później skończyli menueta. Muzyka ucichła, dyrygent odwrócił się do publiczności.

A publiczność niemalże oszalała. Ludzie klaskali, krzyczeli: „Brawo!” Ryan nie bardzo wiedział, o co w tym wszystkim chodzi, ale najwyraźniej Węgrzy wiedzieli. Rozsa uklonił się nisko, zaczekał, aż

hałas ucichnie, ponownie stanął twarzą do orkiestry, uniósł batutę i rozpoczął się *II Koncert brandenburski*.

W pierwszej części dominowały instrumenty dęte blaszane tudzież skrzypce i Ryan stwierdził, że o wiele bardziej fascynują go poszczególni muzycy niż to, co robi dyrygent. Jak długo trzeba się uczyć, żeby dojść do takiego mistrzostwa? W Stanach Cathy grała dwa, trzy razy tygodniowo; ich dom był za mały na fortepian, czego trochę żałowała. Zaproponował, że kupi pianino, ale powiedziała, że to nie to samo. Sissy Jackson grała trzy godzinny dziennie. Ale ona z tego żyła, podczas gdy Cathy miała zupełnie inną pasję zawodową.

Drugi koncert był krótszy od pierwszego. Trwał około dwunastu minut, a zaraz po nim muzycy zagrali koncert trzeci. Bach musiał kochać skrzypce, a sekcja smyczkowa tej orkiestry była naprawdę wyśmienita. W każdej innej sytuacji Jack odprężyłby się i zanurzył w muzyce, ale tej nocy czekało go znacznie poważniejsze zadanie. Co kilka sekund spoglądał

w dół, na rodzinę Zajcewów...

Trzeci koncert skończył się mniej więcej godzinę po rozpoczęciu pierwszego. Zapłonęły lampy, nadeszła pora na przerwę. Królik, jego żona i córka wstali. Powód był oczywisty.

Króliczátko musiało siusiu, a jej ojciec zapewne też chciał skorzystać z usług miejscowego systemu kanalizacyjnego. Hudson zerwał się na równe nogi, wyszedł z łoży na korytarz i wraz z Trentem zbiegł schodami na dół, do męskiej toalety. Ryan został i spróbował się od-prężyć. Misja rozpoczęła się na dobre.

Pięćdziesiąt metrów dalej Oleg Iwanowicz stał w kolejce do pisuaru. Hudson zdołał stanąć tuż za nim. W korytarzu rozbrzmiewał gwar głosów, jak to podczas antraktu. Niektórzy poszli do baru na drinka. Inni palili papierosy, a dwudziestu kilku mężczyzn z pełnymi pę-

cherzami cierpliwie czekało na swoją kolej. Przesuwali się do przodu dość szybko – męż-

czyźni są pod pewnymi względami sprawniejsi od kobiet – i wkrótce dotarli do wyłożonego kafelkami pomieszczenia.

Pisuary, eleganckie jak każdy inny element wyposażenia tego gmachu, zrobiono chyba z marmuru z Carrary; szlachetna potrzeba, szlachetny kamień. Hudson stał wraz z innymi z nadzieją, że jego ubranie nie rzuca się w oczy, że nikt nie rozpozna w nim obcokrajowca.

Pchnąwszy przeszkłone drewniane drzwi, wziął głęboki oddech i lekko pochylił się do przodu.

– Dobry wieczór, Olegu Iwanowiczu – powiedział cicho po rosyjsku. – Proszę się nie odwracać.

– Kim pan jest? – szepnął Zajcew.

– Pracownikiem biura podróży. O ile wiem, chciałby pan pojechać na małą wycieczkę...

– Niby dokąd?

357

– Och, gdzieś na zachód. Boi się pan o czyjeś bezpieczeństwo, prawda?

– Pan jest z CIA? – syknął Zajcew.

– Powiedzmy, że wykonuję dość specyficzny zawód. – Nie było sensu mieszać facetowi we łbie.

– Co chcecie zrobić?

– Mój przyjacielu – zapewnił go Hudson. – Tej nocy będzie pan spał w innym kraju. Pan, pańska żona i urocza córeczka.

Zajcewowi opadły ramiona. Z ulgi, ze strachu, a może i z ulgi, i ze strachu. Głośno odchrząknął.

– Co mam robić?

– Po pierwsze, muszę wiedzieć, czy nadal chce pan zrealizować swój plan.

Krótkie wahanie.

– *Da.* Chcę.

Zbliżali się do pisuarów.

– W takim razie proszę załatwić to, po co pan tu przyszedł, posłuchać muzyki, a potem wrócić do hotelu. Porozmawiamy o wpół do drugiej. Da pan sobie radę?

Krótkie skinienie głową, jedna krótka sylaba:

– *Da.* – Oleg Iwanowicz naprawdę musiał teraz skorzystać z pisuaru.

– Spokojnie, przyjacielu – szepnął Hudson. – Wszystko zaplanowaliśmy, wszystko bę-

dzie dobrze. – Facet potrzebował teraz otuchy i wsparcia. Przeżywał najbardziej przerażające chwile w życiu.

Głos umilkł. Zajcew zrobił trzy kroki do przodu i rozpiął rozporek. Ulżyło mu, nie tylko fizycznie. Odwrócił się i wyszedł, nie widząc twarzy Hudsona.

Ale Trent widział jego twarz. Stojąc w holu z kieliszkiem białego wina w ręku, uważnie go obserwował i jeśli Królik przekazał jakiś sygnał kolegom z KGB, on tego nie zauważył.

Zajcew ani nie potarł nosa, ani nie poprawił krawata: nie wykonał ani jednego podejrzanego gestu. Po prostu pchnął wahadłowe drzwi i wrócił na swoje miejsce. Operacja „Beatrix” nabierała rumieńców.

Publiczność siedziała już w sali. Ryan robił co mógł, żeby się nie wyróżniać, żeby wyglądać jak zwykły miłośnik muzyki klasycznej. Do loży weszli Hudson i Trent.

– No i? – szepnął Jack.

– Pięknie grają, co? – rzucił obojętnie Andy. – Ten Rozsa jest świetny. To niesamowite, że komunistyczny kraj stać na coś więcej niż na nową wersję *Międzynarodówki*. Aha. Po koncercie idziemy na kielicha z moimi nowymi przyjaciółmi. Co ty na to?

Ryan odetchnął, głęboko i powoli.

358

– Chętnie, z przyjemnością. – Cholera, pomyślał. A więc jednak. Wciąż miał mnóstwo wątpliwości, ale teraz były jakby mniejsze. Tak czy siak, doszedł do wniosku, że mogło być znacznie gorzej.

Druga połowa koncertu: *Toccata i Fuga d-moll*. Zamiast smyczków dominowały w nich instrumenty dęte blaszane, a kornecista, który wydobywał z kornetu nieprawdopodobnie wysokie tony, mógłby udzielać korepetycji samemu Louisowi Armstrongowi. Ryan pierwszy raz w życiu słyszał tyle Bacha naraz i pierwszy raz od rozpoczęcia koncertu zdołał się jako tako rozluźnić. Bach, pomyślał. Facet musiał mieć łeb jak sklep. Jeśli orkiestra robiła coś nie tak, on tego nie słyszał, a roznamiętniony dyrygent był tak pochłonięty chwilą, tak nią zahipnotyzowany, jakby spędzał noc z miłością swego życia. Ciekawe, czy Węgierki są dobre w łóżku. Robiły wrażenie prostolinijnych i trzeźwo myślących, ale rzadko się uśmiecha-

ły... Może to przez ten komunizm. Rosjanie też się prawie nie uśmiechali.

– Jest coś nowego? – spytał sędzia Moore.

Mike Bostock podał mu depeszę z Londynu.

– Basil mówi, że szef budapeszteńskiej placówki wywiezie ich dzisiaj w nocy. Aha, jeszcze jedno. Mam tu prawdziwy przebój dnia: Królik mieszka dokładnie naprzeciwko tamtejszej rezydentury KGB.

Moore błysnął oczami.

– Żartujesz.

– Jak bym śmiał z tego żartować?

– Kiedy wraca Ritter?

– Wieczorem, liniami Pan Am. Z tego, co pisze, w Seulu wszystko poszło dobrze.

– Dostanie ataku serca, kiedy dowie się o „Beatrix”.

– Na pewno wybałuszy oczy.

– Zwłaszcza gdy powiemy mu o Ryanie, co?

– Może pan na to postawić całe ranczo, wszystkie krowy i dom na dokładkę.

Sędzia Moore głośno zachichotał.

– Cóż, Agencja może więcej niż jeden człowiek.

– Podobno.

– Kiedy dadzą nam znać?

– Myślę, że Basil odezwie się do nas, kiedy odlecą z Jugosławii. Czeka ich bardzo długa noc.

Potem zegrali *Niechaj owce bezpiecznie się pasą*, melodię, którą Ryan rozpoznał ze spotu reklamowego biura werbunkowego marynarki wojennej. Ten kawałek, cichy i spokojny, bardzo różnił się od poprzednich. Jack nie był pewien, czy koncert ten jest popisem geniuszu 359

Jana Sebastiana Bacha, czy dyrygenta, w każdym razie publiczność reagowała coraz bardziej spontanicznie i znacznie głośniej niż poprzednio. I kolejny utwór. Ryan miał program, ale nawet nie zawracał sobie głowy, żeby do niego zajrzeć: był napisany po węgiersku, a on nie znał marsjańskiego.

Na końcu zegrali *Kanon Pachelbela*, słynny – nie bez powodu – utwór, który Jackowi zawsze kojarzył się z filmem o pięknej dziewczynie z XVII wieku: bogobojna dziewczyna próbuje skupić się

na modlitwie, zamiast myśleć o przystojnym chłopcu z pobliskiego domu, ale jakoś z tym sobie nie radzi.

Jozef Rozsa odwrócił się do publiczności, która zerwała się na równe nogi, by przez długie minuty krzytać: „Brawo!” i głośno klaskać. Tak, pomyślał Ryan. Chłopak wyjechał, wrócił, odniósł sukces i miejscowi, starzy kumple z dawnych czasów bardzo się z tego cieszą. Wycieńczony dyrygowaniem Rozsa prawie się nie uśmiechał. Jakby dobiegł do mety maratonu. Twarz spływała mu potem. Czy dyrygowanie jest naprawdę aż tak wyczerpują-

ce? Jeśli wkłada się w to całą duszę, pewnie jest. On też stał i wraz ze swymi angielskimi kolegami oklaskiwał muzyków jak wszyscy pozostali – po co się wyróżniać? Gdy hałas nieco umilkł, Rozsa wskazał batutą na orkiestrę – oklaski natychmiast przybrały na sile – potem na koncertmistrza i pierwszego skrzypka. Wspaniałomyślny gest, ale pewnie musiał to robić, jeśli chciał, żeby muzycy dali z siebie wszystko. Wreszcie zapadła cisza i publiczność zaczęła wychodzić z sali.

– Podobało się, sir Johnie? – spytał Hudson z chytrym uśmieszkiem na twarzy.

– Dużo bardziej niż to, co puszcza u nas w radiu – odrzekł Ryan. – Co teraz?

– Teraz pójdziemy do miłej, przytulnej knajpki i napijemy się dobrego wina. – Andy dał

znak Trentowi, który szybko odszedł.

Na dworze zrobiło się chłodno. Jack natychmiast zapalił papierosa, podobnie jak wszyscy mężczyźni i większość stojących w pobliżu kobiet; wyglądało na to, że Węgrzy nie zamierzają żyć wiecznie. Czuł się przywiązany do Hudsona jak małe dziecko do matki, chociaż wiedział, że nie potrwa to zbyt długo. Wzdłuż ulicy stały bloki. Na Zachodzie byłyby to prywatne apartamentowce, ale tu nie wchodziło to w rachubę. Andy wskazał ręką kierunek i wraz z grupą trzydziestu innych wielbicieli muzyki klasycznej ruszyli do odległego o dwie ulice baru. Hudson wybrał narożny boks, skąd mógł obserwować salę, i wkrótce podszedł

do nich kelner z dwoma kieliszkami wina.

– A więc dzisiaj?

Andy skinął głową.

– W nocy. Powiedziałem mu, że przyjdziemy o wpół do drugiej.

– A potem?

– Potem pojedziemy do Jugosławii. Ryan nie pytał o nic więcej. Nie musiał.

– Kontrola graniczna na południu jest prawie żadna – wyjaśnił Andy. – Na granicy austriackiej jest dużo ostrzej, ale Jugosławia, brachu, to komunistyczny kraj, przynajmniej tak się oficjalnie mówi. Dla mnie to fikcja. Sam już nie wiem, jaki tu mają ustrój. Węgierscy wo-360

piści świetnie sobie radzą i mają bardzo przyjacielskie układy z przemytnikami. To rozwojowy biznes, brachu, ale ci naprawdę bystrzy nie chcą się za bardzo rozwijać. Po cholere rzucać się w oczy tym z Belügyminisztérium, ichniego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych?

Lepiej tego unikać.

– Ale jeśli są to tylne drzwi do krajów Układu Warszawskiego, KGB musi chyba o tym wiedzieć?

– Więc dlaczego ich nie zamkną? – odpowiedział pytaniem Hudson. – Pewnie by mogli, ale ucierpiałyby na tym miejscowa gospodarka, poza tym sami Rosjanie kupują tu masę rzeczy. Trent mówi, że nasz przyjaciel obkupił się, że hej. Magnetowidy, rajstopy... Za te pieprzone rajstopy ich baby gotowe są zabić. Irina wiozła je pewnie swoim moskiewskim kole-

zankom... A więc gdyby KGB zainteresowało albo zmusiło do interwencji AVH, ruscy straciliby źródło towarów, których sami potrzebują. Małe przekupstwo nie jest aż tak wielkim złem, w dodatku podsycza zachłanność drugiej strony. Nie zapominaj, że oni też mają swoje słabe punkty. Pewnie więcej niż my, wbrew temu, co wszyscy twierdzą. Pragną tych samych rzeczy co my. Kanały oficjalne są zatkane, ale nieoficjalne funkcjonują znakomicie.

Jest takie powiedzenie: *A nagy kapu mellett, mindig van egy kis kapu*. Obok wielkiej bramy zawsze jest mała furtka. I właśnie dzięki tej małej furtce wszystko się tu kręci.

– I ja nią dzisiaj przejdę.

– Tak jest. – Hudson dopił wino i zrezygnował z drugiego kieliszka. Miał prowadzić, po ciemku, kiepskimi drogami. Zamiast tego zapalił cygaretkę.

A Ryan papierosa.

– Nigdy tego nie robiłem, Andy.

– Boisz się?

– Tak – przyznał Jack. – Boję się.

– Pierwszy raz jest zawsze najtrudniejszy. Ja nie miałem w domu gości ze spluwami w rękę.

– Bynajmniej ci ich nie polecam – odrzekł Ryan z krzywym uśmiechem. – A już na pewno nie w charakterze wieczornej części rozrywkowej. Mieliśmy fart, i tyle.

– Ja tam w fart nie wierzę. No, może trochę... Bo wbrew temu, co mówią, głupi szczęścia nie ma.

– Sam nie wiem. Trudno powiedzieć... – Znowu przypomniła mu się tamta koszmarna noc. Ciężące w rękach uzi. Jeden strzał. Tylko jeden celny strzał. I świadomość, że na drugi nie będzie szans. Przyklęknął, wymierzył i pociągnął za spust. Nie znał nazwiska człowieka, którego wtedy zabił. Dziwne. Jeśli zabija się kogoś w pobliżu swego domu, powinno się je znać...

Ale tak, jeżeli potrafił zrobić tamto, potrafi i to. Spojrzał na zegarek. Mieli czas, tego wieczoru nie zamierzał prowadzić, więc jeszcze jeden kieliszek mu nie zaszkodzi. Ale na tym poprzestanie.

Zajcewowie położyli Swietłanę spać i Oleg zamówił butelkę wódki do pokoju. Była to popularna rosyjska wódka, wódka „robotnicza”, półlitrowa flaszka z cynfolią zamiast korka, 361

co praktycznie zmuszało do wypicia wszystkiego za jednym posiedzeniem. Niezły pomysł, jak na taką noc. Wódkę przyniesiono pięć minut później i zajczik zdążył w tym czasie za-snąć. Oleg siedział na łóżku, Irina w fotelu. Pili ze szklanek z łazienki.

Oleg Iwanowicz miał do wykonania jeszcze jedno zadanie. Żona nie знаła jego planów.

Nie wiedział, jak zareaguje. Wiedział natomiast, że jest nieszczęśliwa. Że tu, w Budapeszcie, przeżywa najwspanialsze chwile swego małżeństwa. Że nie znosi pracy w GUM-ie, że pragnie lepszego życia. Ale czy zechce dobrowolnie porzucić ojczyznę?

Po stronie plusów było to, że Rosjanki, w tym kobiety niezamężne, nie cieszyły się zbyt dużą swobodą. Mężatka robiła zwykle to, co kazał jej mąż – owszem, mąż mógł za to zapła-cić, ale dopiero potem. Poza tym Irina kochała go, ufała mu, a on sprawił jej frajdę, jakiej dawno nie miała, dlatego, tak, posłucha męża i pojedzie.

Ale było jeszcze za wcześnie, musiał zaczekać. Po co niepotrzebnie ryzykować? Po drugiej stronie ulicy mieściła się rezydentura KGB. Gdyby dowiedzieli się o jego planach, byłoby po nim.

Bob Small i Rod Truelove dźwignęli plastikowe worki i nie zwracając, a przynajmniej próbując nie zwracać uwagi na ich zawartość, przenieśli je do nierzucającej się w oczy furgonetki; tablice rejestracyjne zostały już zmienione. Potem wrócili do ambasady po pojemniki ze spirytusem, po świeczkę i karton po mleku. Byli gotowi. Tego wieczoru wypili co najwy-

żej po kuflu piwa i bardzo żalowali, że nie strzelili po kielichu czegoś mocniejszego. Wyruszyli kilka minut po północy, żeby niespiesznie dojechać na miejsce i przed przystąpieniem do akcji spokojnie zlustrować okolicę. Wiedzieli, że trudno im będzie znaleźć miejsce do parkowania, ale ponieważ mieli na to ponad godzinę, byli pewni, że prędzej czy później je znajdą.

Bar powoli pustoszał, a Hudson nie chciał wyjść jako ostatni. Rachunek opiewał na pięć-

dziesiąt forintów i uregulował go, nie zostawiając napiwku. Taki był miejscowy zwyczaj i gdyby go złamał, kelner mógłby ich zapamiętać. Dał Ryanowi znak i ruszył do drzwi, ale w ostatniej chwili zmienił zamiar i wstąpił do toalety. Jack uznał, że to mądre posunięcie.

Gdy wyszli na ulicę, spytał co dalej.

– Pójdziemy się przejść, sir Johnie – odrzekł szyderczo Hudson. – Półgodzinny spacer do hotelu dobrze nam zrobi. – Dzięki temu będą mogli również sprawdzić, czy nikt ich nie śledzi. Gdyby przeciwnik wpadł na trop operacji „Beatrix”, nie oparłby się pokusie i by za nimi poszedł, a na opustoszałych ulicach łatwo by go wypatrzyli... chyba, że mieli do czynienia z KGB. Ci z KGB byli znacznie lepsi od miejscowych tajniaków.

Zajcew i jego żona wychylili po trzy szklaneczki i było im dobrze. To dziwne, ale Irinie wcale nie chciało się spać. Pewnie jest podekscytowana koncertem, pomyślał Oleg. Może to i lepiej. Tylko kiedy jej powie? No i jak CIA zamierza wywieźć ich z Węgier? Czym? Śmigłowcem, który wystartuje spod granicy i polecą tuż nad ziemią, poza zasięgiem węgierskich radarów? Tak, na ich miejscu wybrałby śmigłowiec. Czy będą w stanie przerzucić ich prosto 362

do Austrii? Na co ich stać? Uprzedzą go? Zaplanowali coś naprawdę zmyślnego i odważnego? Coś niebezpiecznego?

Uda im się? Jeśli nie... Cóż, konsekwencje wpadki były oczywiste.

Nie tylko dla niego. Nie pierwszy raz uświadomił sobie, że ta węgierska przygoda może go zabić, a na żonę i córkę ściągnąć wielkie nieszczęście. Rosjanie by ich nie zabili, ale do końca swych dni chodziłyby z piętnem na czole. Żona i córka zdrajcy: byłyby skazane na nędzę i cierpienie. Tak więc były też zakładniczkami jego sumienia. Ilu Rosjan bało się uciec na Zachód tylko dlatego, że powstrzymywała ich ta właśnie myśl? Zdrada była najcięższą zbrodnią i jako taka podlegała najbardziej złowrogim karom.

Wlał do szklanki resztkę wódki i wypił, czekając, aż agenci CIA przyjdą uratować mu życie...

Czy cokolwiek tam sobie zaplanowali. Nieustannie zerkał na zegarek, podczas gdy córka spała, a żona uśmiechała się i rytmicznie kiwając głową, nuciła pod nosem Bacha. Nigdy dotąd nie sprawił jej tak wielkiej przyjemności. Dobre i to.

Znaleźli miejsce tuż przy bocznych drzwiach hotelu i Small gładko się w nie wpasował; parkowanie równoległe było sztuką, którą wciąż pamiętał z Anglii. Potem po prostu siedzieli, Small paląc papierosa, Truelove swoją ulubioną fajkę. Siedzieli i patrzyli na opustoszałą ulicę; hen, daleko,

widać było ledwie kilku przechodniów. Small od czasu do czasu zerkał w lusterko, na rezydenturę KGB. Na pierwszym piętrze paliło się światło, ale żadnego ruchu nie dostrzegł. O, po prostu światło. Pewnie ktoś zapomniał je zgasić.

To tam, pomyślał Ryan. Po prawej stronie. Jeszcze tylko trzy ulice.

Pora zacząć przedstawienie.

Nie pamiętał, jak i kiedy pokonali ostatnie metry. Przy narożniku stał Tom Trent. Głównymi drzwiami wychodzili ludzie, pewnie z podziemnego baru, w którym byli z Hudsonem.

Dwójkami, trójkami – nikt nie wychodził sam. Musieli tam mieć coś w rodzaju klubu dla samotnych, miejsce, gdzie można poderwać panienkę na noc. Panienkę albo faceta. A więc tu też coś takiego mieli? W komunizmie?

Podeszli bliżej i Hudson pstryknął niedopałkiem cygaretki. Na ten znak Trent wszedł do środka, żeby odwrócić uwagę recepcjonisty. Jak to zamierzał zrobić, tego Ryan nie wiedział, ale gdy chwilę później zajrzeli do holu, nikogo już tam nie było.

– Chodźmy. – Andy wbiegł na schody wijące się wokół szybu windy. Wejście na drugie piętro zajęło im niecałą minutę. Pokój 307. Hudson nacisnął kławkę. Królik nie zamknął

drzwi na klucz. Dobrze.

Drzwi. Zajcew zobaczył, że się otwierają. Irina już spała. Zerknął na nią i wstał.

– Dobry wieczór – powiedział cicho Hudson i wyciągnął do niego rękę.

– Dobry wieczór – odrzekł po angielsku Oleg. – Panowie z biura podróży?

– Tak. To jest pan Ryan.

– Ryan? – powtórzył Zajcew. – KGB prowadzi operację o tym kryptonimie.

363

– Naprawdę? – zdziwił się Jack. Coś takiego.

– Porozmawiamy o tym później, towarzyszu Zajcew. Teraz musimy iść.

– *Da*. – Oleg potrząsnął żonę za ramię. Obudziła się gwałtownie i zobaczyła dwóch obcych mężczyzn

w pokoju.

– Irino Bogdanowa – zaczął Oleg z nutką surowości w głosie. – Musimy nagle wyjechać.

Zaraz. Teraz. Obudź Swietłanę.

Irina wytrzeszczyła oczy.

– Oleg, co się stało? Co ty robisz?

– Wyjeżdżamy. Musimy iść. Natychmiast.

Ryan nie rozumiał ani słowa, ale sprawa była oczywista. I wtedy Irina go zaskoczyła: wstała, jak robot podeszła do łóżeczka Swietłany, podniosła na wpół śpiącą córkę i zaczęła ją ubierać.

– Dokąd nas zabieracie? – spytał Zajcew.

– Do Anglii – odrzekł Hudson. – Jeszcze dzisiaj – dodał z naciskiem.

– Nie do Ameryki?

– Najpierw do Anglii – wtrącił Ryan. – Potem zawiozę was do Stanów.

– Aha. – Jack widział, że Zajcew jest bardzo spięty, ale nie było w tym nic dziwnego. Facet postawił własne życie, a kości wciąż były w powietrzu. I to właśnie on, Ryan, miał wyrzucić dla niego trzy szóstki. – Co zabieramy?

– Nic – odparł Hudson. – Zostawcie wszystko, łącznie z dokumentami. Mamy dla was nowe. – Pokazał mu trzy paszporty z mnóstwem fałszywych stempli. – Na razie je zatrzymam.

– Pan jest z CIA?

– Nie, jestem Anglikiem. On jest z CIA.

– Ale... dlaczego?

– To długa historia, panie Zajcew – odrzekł Ryan. – Musimy iść. *Zajczik* był już ubrany, ale wciąż spał, podobnie jak Sally tamtej strasznej nocy w Peregrine Cliff.

Hudson rozejrzał się i z nieukrywaną radością zobaczył butelkę po wódce na stoliku nocnym. Cholera, ale fart! Irina wciąż była oszołomiona trzema szklaneczkami mocnego alkoholu i nocnym trzęsieniem ziemi, które ich nagle nawiedziło. Niecałe pięć minut później wszyscy byli gotowi do drogi. I wtedy Irina przypomniała sobie o torbie z rajstopami. Ruszyła w jej stronę.

– *Niet!* – rzucił Hudson. – Proszę to zostawić. Tam, dokąd jedziemy, jest tego pełno.

– Ale... Ale...

– Rób, co ci mówi! – syknął Oleg, wytrącony z równowagi wódką i napięciem.

– Gotowi? – spytał Hudson. Do cna skonsternowana Irina wzięła Swietłanę na ręce i ruszyli do drzwi. Andy wyjrzał na korytarz i dał im znak. Ryan wyszedł jako ostatni, sprawdzwszy, czy drzwi się nie zatrzasną.

364

W holu wciąż nie było żywego ducha. Nie wiedzieli, co zrobił Trent, ale na pewno zrobił

to skutecznie. Bocznyymi drzwiami wyszli na ulicę. Trent podstawił tam samochód z ambasady, a Hudson miał zapasowe kluczyki. Wsiadając, pomachał ręką Smallowi i Truelove'owi, którzy czekali w parkującej naprzeciwko furgonetce. Jaguar był granatowy, z kierownicą po lewej stronie. Ryan zapakował Zajcewów na tylne siedzenie, zatrzasnął drzwiczki i usiadł z przodu. Potężny V-8 zaskoczył natychmiast – dbano o niego i z czułością konserwowano do takich właśnie celów – i Hudson wcisnął pedał gazu.

Zanim tylne światelka jaguara zdążyły rozmyć się w mroku, Small i Truelove wysiedli z furgonetki i szybko otworzyli tylne drzwiczki. Wzięli po worku każdy i weszli do hotelu.

Hol. Nikogo. Wbiegli na schody z bezwładnym ciężarem na ramieniu. Korytarz też był opustoszały. Jak najciszej otworzyli drzwi i weszli do pokoju. Tam otworzyli worki i wyjęli z nich zwłoki. Czekala ich najtrudniejsza chwila. Obaj byli zawodowymi żołnierzami, obaj brali udział w walce, ale widok nadpalonych zwłok trudno jest znieść bez wstrzymania od-dechu i silnego zaciśnięcia zębów. Ciało mężczyzny i ciało kobiety. Pochodziły z różnych krajów, z różnych kontynentów, a teraz leżały obok siebie na podwójnym łóżku. Small i Truelove zeszli na dół, zabierając ze sobą puste worki. Small wyjął z furgonetki ostatnią przesył-

kę, Truelove chwycił torbę i wrócili do hotelu.

Zadanie Smalla okazało się najtrudniejsze: wiedział, że nieprędko wymaże z pamięci widok zwłok małej dziewczynki, które musiał wyjąć z plastikowego worka. Ułożył ją na łó-

zeczku. Miała na sobie prawie całkowicie zwęgloną piżamkę i pewnie pogłaskałby ją po głowie, gdyby nie to, że spalono jej włosy. Dlatego mógł tylko odmówić szeptem krótką modlitwę za jej niewinną duszę, a gdy ją odmawiał, naszły go gwałtowne mdłości. Żeby nie zwymiotować, musiał się szybko odwrócić.

Tymczasem Truelove robił swoje. Złożył plastikowy worek, wetknął go za pasek i do-kładnie

sprawdził, czy nie zostawili po sobie jakichś śladów. Wciąż byli w rękawiczkach, a więc nie, na pewno nie. Mimo to jeszcze raz rozejrzał się po pokoju i gestem ręki wyprosił

Smalla za próg.

Potem oderwał górną część kartonu po mleku – karton został dokładnie wymyty i wysuszony. Zapalił świeczkę gazową zapalniczką i nalał na dno trochę wosku. Potem zdmuchnął

plomień i sprawdził, czy świeczka dobrze stoi.

Teraz czekał go najniebezpieczniejszy moment. Odkręcił pojemniki i napełnił karton spirytusem – prawie po sam brzeg, bo powierzchnię cieczy dzieliła od knota odległość mniejsza niż dwa i pół centymetra. Potem polał spirytusem oba łóżka. Resztę alkoholu wylał na pod-

łogę, wokół kartonu. Skończywszy, rzucił puste pojemniki Smallowi.

Dobra, myślał. Cztery i pół litra czystego spirytusu na pościel, cztery i pół litra na tani dywan. Jako saper – podobnie jak większość żołnierzy wojsk inżynieryjnych, był specjalistą od wielu rzeczy – wiedział, że teraz musi zachować szczególną ostrożność. Pochyliwszy się, ponownie pstryknął zapalniczką i musnął płomieniem knot świeczki z delikatnością, z jaką kardiochirurg muska skalpelem zastawkę serca. Potem, nie tracąc ani sekundy, wyszedł z 365

pokoju. Przedtem sprawdził jednak, czy drzwi są dobrze zamknięte i czy wisi na nich tabliczka z napisem *Nie przeszkadzać*.

– Pora zjeżdżać – rzucił trzydzieści sekund później, gdy bocznymi drzwiami wyszli na ulicę.

– Za ile? – spytał Small.

– Świeczka? Góra za pół godziny.

– To małe biedactwo... Myślisz, że ją...

– Nie, stary. Codziennie są pożary, codziennie giną w nich ludzie. Nie zrobili tego specjalnie.

Small kiwnął głową.

– To dobrze.

W tej samej chwili w holu pojawił się Tom Trent. Niestety, nie znaleźli aparatu, który zgubił gdzieś na górze, mimo to dał recepcjoniście hojny napiwek. Okazało się, że facet ma tu siedzieć aż do piątej

rano, i to zupełnie sam.

To się jeszcze okaże, pomyślał Trent, wsiadając do furgonetki.

– Z powrotem do ambasady, panowie. Czeka na nas butelka przedniej whisky.

– Świetnie – mruknął Small, wciąż myśląc o małej dziewczynce z hotelu. – Kieliszek dobrze mi zrobi.

– Możesz nam powiedzieć, o co tu chodzi?

Trent pokręcił głową.

– Nie dzisiaj. Może kiedyś.

366

Rozdział 28

Anglia środkowa

Świeca paliła się normalnie, nie wiedząc, jaką rolę odgrywa w tej nocnej przygodzie.

Knot robił się coraz krótszy, wosku powoli ubywało, powierzchnia alkoholu, chemicznego przyspieszacza, była coraz bliżej. Dokładnie trzydzieści cztery minuty od chwili, gdy Truelove pstryknął zapalniczką, spirytus uległ zapłonowi. Był to początek tego, co fachowcy nazywają pożarem klasy B, czyli pożarem wywołanym płynnym środkiem łatwopalnym.

Alkohol palił się równie szybko jak benzyna – dlatego Niemcy używali go jako paliwa do rakiet V-2 – gwałtownie pochłaniając karton po mleku i wylewając się na podłogę. Wówczas zajął się nasiąknięty spirytusem dywan. W ciągu kilku sekund przez podłogę przetoczyła się fala błękitnego ognia. Sunęła błyskawicznie, jak coś żywego, pozostawiając za sobą białe, świetliste płomienie, które łapczywie pożerały tlen zgromadzony w wysokim pokoju. Jeszcze chwila i ogień dotarł do łóżek, pochłaniając leżące na nich zwłoki.

W hotelu Astoria nie było wykrywaczy dymu ani automatycznych spryskiwaczy, które mogłyby zdławić pożar w zarodku. Dlatego niemal natychmiast płomienie buchnęły pod biały, pokryty zaciekami sufit, spalając farbę, osmalając tynk i atakując tanie hotelowe meble.

Pokój zmienił się w piec krematoryjny dla trzech ludzkich zwłok, które ogień pożerał niczym krwiożercza bestia, za jaką mieli go mieszkańcy starożytnego Egiptu. Największe zniszczenia dokonały się w ciągu pierwszych pięciu minut, a potem, zaspokoiwszy głód, pożar nieco przygasł. Przygasł, ale nie zgasł.

Recepcjonista z holu miał więcej pracy, niż można się było spodziewać. O wpół do trzeciej nad ranem postawił na kontuarze tabliczkę z napisem *Proszę Zaczekać* i pojechał windą na najwyższe piętro, żeby sprawdzić korytarze. Jak zwykle nie znalazł tam nic niepokojącego – dopóki nie dotarł na drugie piętro.

Już na schodach poczuł dziwny zapach. Zmarszczył brwi, ale zdenerwował się dopiero wtedy, gdy wszedł do korytarza. Skręcił w lewo i zobaczył smugę dymu wydobywającą się spod drzwi pokoju 307. Zrobił trzy kroki w ich stronę i chciał nacisnąć klamkę, ale boleśnie go sparzyła. I wtedy popełnił błąd.

Wyjął z kieszeni uniwersalny klucz, włożył go do zamka i nie sprawdzwszy, czy drzwi są równie gorące jak klamka, pchnął je ramieniem i otworzył.

Pozbawiony tlenu ogień zdążył prawie wygasnąć, ale w pokoju panowała bardzo wysoka temperatura: tynkowane ściany były rozgrzane jak kamienie wokół wypełnionego gorącym popiołem ogniska.

Otwierając drzwi, recepcjonista wpuścił do środka olbrzymią porcję świeżego powietrza i tlenu, lecz zanim zobaczył potwornie zwęglone zwłoki, doszło do zjawiska zwanego podmuchem.

Podmuch to prawie eksplozja. Cały pokój momentalnie stanął w ogniu, w ogniu, który wybuchnął z tak wielką siłą, że omal nie zwałił recepcjonisty z nóg: nie ulegało wątpliwości, że ta gwałtowna implozja wciągnęłaby go do środka, gdyby nie to, że w tej samej chwili doszło do eksplozji – owego podmuchu właśnie – która pchnęła go w przeciwną stronę. Męż-

czynna osłonił rękami poparzoną twarz, upadł na kolana i nie zamykając drzwi, na oślep wymacał włącznik alarmu na ścianie. W hotelu przeraźliwie zabręczały dzwonki, podobnie jak w najbliższej remizie strażackiej, odległej o trzy kilometry od Astorii. Wyjąc z bólu, recepcjonista zszedł, a raczej stoczył się schodami na dół, gdzie najpierw chlusnął sobie w 367

twarz szklanką wody, a potem wykręcił numer telefonu alarmowego, żeby zameldować o pożarze. Schodami zbiegali już pierwsi goście. Zaszokowani, z przerażeniem mijali drugie piętro, ale poparzony recepcjonista mógł jedynie spryskać ich gaśnicą, gdyż nie był w stanie ponownie wejść na górę i uruchomić ukryty w przeszklonej szafce hydrant z wężem. Zresztą nie miałyby to teraz żadnego znaczenia.

Pierwszy wóz zajęchał przed hotel niecałe pięć minut później. Strażacy nie musieli o nic pytać – wybuch roztrzaskał szyby i ogień widać było z ulicy – dlatego przepchnęli się szybko przez tłum uciekających i już kilka chwil później z pierwszego węża trysnął strumień wody.

Błyskawicznie ugasili pożar, weszli do pokoju i w gęstym dymie i potwornym odorze znaleźli to, co obawiali się znaleźć: troje martwych ludzi w łóżkach.

Dowódca oddziału natychmiast chwycił dziewczynkę w ramiona i zniósł ją na ulicę, choć wiedział,

że to strata czasu. Wyglądała jak kawał mięsa przypalonego w piekarniku.

Polał ją wodą, lecz woda odsłoniła tylko potworne zwęglone ciało, dlatego nie pozostawało mu nic innego, jak odmówić za nią cichą modlitwę. Miał brata, który był katolickim księ-

dzem w tym marksistowskim kraju, więc prosił Boga o litość dla małej duszyczki, nie zdając sobie sprawy, że dokładnie to samo zdarzyło się przed dziesięcioma dniami, ponad sześć tysięcy kilometrów od Budapesztu.

W ciągu kilku minut byli już za miastem. Hudson prowadził ostrożnie, przestrzegając ograniczeń prędkości, żeby nie zatrzymała ich drogówka. Ale szosa była pusta, nie licząc kilku ciężarówek dostawczych, które wiozły coś Bóg wie dokąd. Siedzący z przodu Ryan odwrócił głowę. Na twarzy wciąż oszołomionej alkoholem Iriny gościł wyraz konsternacji i przerażenia. Dziewczynka spała, jak wszystkie dzieci o tej porze nocy. Zajcew usiłował zachować stoicki spokój, ale nawet po ciemku widać było, że się boi. Jack próbował wczuć się w jego sytuację, lecz nie potrafił. Zdradzić ojczyznę: to przekraczało jego wyobraźnię. Wiedział, że są tacy, którzy chętnie dźgnęliby Amerykę nożem w plecy, głównie za pieniądze, ale nawet nie udawał, że rozumie kierujące nimi motywacje. Tak, oczywiście, w latach trzydziestych i czterdziestych było sporo takich, którzy uważali, że komunizm jest siłą napędową historii, ale ich filozofia była dzisiaj równie aktualna, jak myśli Włodzimierza Iljicza Lenina. Komunizm powoli umierał, żył jedynie w umysłach tych, którym zapewniał władzę.

Być może nieliczni wciąż wciąż wierzili, bo albo nie znali żadnej innej filozofii, albo zarazili się nim we wczesnej młodości i teraz trudno im było od niego odejść. Ci, którzy jako dzieci mocno wierzyli w Boga, często zostawali księżmi, ale Dzieła zebrane Lenina nie były dla Ryana tym samym co Pismo Święte. Ukończywszy studia, złożył przysięgę na konstytucję, a potem, już jako podporucznik Korpusu Piechoty Morskiej Stanów Zjednoczonych, przyrzekł, że będzie jej „wierny i posłuszny”. Do tego się to sprowadzało.

– To daleko? – spytał.

– Do Csurgo? Godzina z małym hakiem – odrzekł Hudson. – Nie ma ruchu.

I rzeczywiście. Gdy tylko przekroczyli granice miasta, wszystkie światła nagle zgasły, jakby któryś z pracowników elektrowni odciął dopływ prądu dla tej okolicy. Jechali wąską, dwupasmową asfaltówką. Słupy telefoniczne, brak barierek ochronnych... I to ma być przelotówka? – myślał Ryan. Takie szosy są jeszcze tylko w środkowej Nevadzie. Co kilometr jedno, najwyżej dwa światła. Pewnie paliły się przed wiejskimi chatami, żeby ich mieszkańcy mogli trafić nocą do wychodka. Znaki na jezdni były zatarte, bardzo niewyraźne i zu-

pełnie nie przypominały miętowozielonych znaków amerykańskich czy angielskich, przyjaźnie błękitnych. Większość napisów na drogowskazach była oczywiście po marsjańsku.

Rozumiał tylko znaki ograniczenia prędkości, takie z czarnymi cyframi na białym tle z czerwonym paskiem wokoło.

Hudson palił cygaretkę i prowadził tak, jakby jechali do Covent Garden w Londynie.

Ryan dziękował Bogu, że przed wejściem do hotelu wpadł do toalety, w przeciwnym razie mógłby stracić kontrolę nad pęcherzem. Miał nadzieję, że tamci nie widzieli, jak bardzo jest zdenerwowany. Nieustannie powtarzał sobie, że jemu nic nie grozi, sęk w tym, że niebezpieczeństwo groziło tym z tyłu, a on za nich odpowiadał i podświadomie – pewnie miał to po ojcu policjancie – traktował to jak sprawę najwyższej wagi.

Milczenie przerwał Oleg Zajcew, nagle i zupełnie nieoczekiwanie.

– Jak brzmi pana pełne nazwisko?

– Ryan. Jack Ryan.

– To nazwisko amerykańskie?

– Moi przodkowie byli Irlandczykami. „John” to po rosyjsku „Iwan”, ale mówią mi „Jack”. Po waszemu „Wania”.

– I pracuje pan w CIA?

– Tak.

– Co pan tam robi?

– Jestem analitykiem. Siedzę za biurkiem i piszę raporty.

– Ja też, w Centrali.

– Jest pan... łącznościowcem?

Zajcew kiwnął głową.

– *Da.* – Nagle przypomniał sobie, że tak ważnych informacji nie powinien zdradzać, jeszcze nie teraz, i zamilkł.

Ryan dobrze go rozumiał. Rosjanin miał dużo do powiedzenia, ale nie chciał mówić tutaj. W porządku, pogrywał ucziwie.

Podróż przebiegła gładko, bez przygód. Hudson wypalił cztery cygaretki, Ryan sześć papierosów i wkrótce dojechali do Csurgo.

Nie wiedzieć czemu, Jack spodziewał się czegoś więcej. Csurgo było po prostu punktem, miejscem

przy szosie. Nie było tam nawet stacji benzynowej, nie wspominając już o super-markecie. Hudson skręcił w boczną drogę i trzy minuty później w mroku zamajaczył zarys ciężarówki. Po chwili okazało się, że to maszyna marki Volvo, taka z czarną, brezentową plandeką, i że przy szoferce stoi dwóch mężczyzn z papierosami w ręku. Hudson zaparkował kilka metrów dalej, za jakąś szopą. Wysiadł, dał im znak, żeby też wysiedli, po czym ruszył z Ryanem w stronę mężczyzn.

Podszedł do tego starszego i uściśnął mu rękę.

– Jak się masz, Istvan. Dobrze, że jesteście.

– Witaj, Andy. Nudna noc. Kim są twoi przyjaciele?

369

– To jest pan Ryan. A tamci to Somersetowie. Jedziemy do Jugosławii.

– Nie ma sprawy – odrzekł Kovacs. – To jest Jani, mój kierowca. Andy, ty usiądziesz z nami, z przodu. Reszta z tyłu. Chodźcie.

W klapę ciężarówki wmontowano metalowe schodki. Ryan wsiadł, nachylił się, wziął od Iriny córeczkę – wiedział już, że ma na imię Swietłana – i podał rękę jej matce. W ładowni stały wielkie kartonowe pudła, może na węgierskie magnetowidy. Kovacs wsiadł i spytał:

– Mówicie po angielsku? Wszyscy? To dobrze. Do granicy jest tylko pięć kilometrów.

Ukryjcie się w tych pudłach. Musicie zachować ciszę. To ważne. Rozumiecie? Absolutną ciszę. – Tamci kiwnęli głowami. Mężczyzna – na pewno nie Anglik – przetłumaczył jego słowa kobiecie. I wziął na ręce dziecko. Gdy weszli do pudeł, Kovacs zamknął klapę.

– Pięć tysięcy marek, he? – rzucił.

– Zgodnie z umową – odrzekł Hudson.

– Powinienem zażądać więcej, ale nie jestem chciwy.

– Ufam ci, przyjacielu – odparł Andy. – Dobry z ciebie towarzysz. – Przez krótką chwilę żałował, że nie zabrał ze sobą pistoletu.

Jani wskoczył za wielką, niemal całkowicie płaską kierownicę, ryknął dieslowski silnik i ruszyli.

Jechali krótko.

I dzięki Bogu, pomyślał Ryan, kuląc się w kartonowym pudle. Rosjanie czuli się pewnie jak

nienarodzone dzieci w potwornym łonie, do którego ktoś przystawił lufę karabinu.

Bał się nawet zapalić, chociaż było mało prawdopodobne, żeby w odorze smrodliwych dieslowskich spalin ktoś poczuł dym z papierosa.

– Powiedz mi, Istvan, jak ty to robisz – rzucił siedzący w szoferce Hudson.

– Zaraz zobaczysz. Zwykle jeździmy nocą. Tak jest bardziej... dramatycznie? Tak się to mówi? Kapitan Budai Laszlo to człowiek interesu. Ma żonę i małą córeczkę i zawsze domaga się dla niej prezentów. A ja coś dla niej mam. – Kovacs wskazał papierową torbę.

Jasno oświetlony posterunek graniczny zobaczyli już z odległości trzech kilometrów; na szczęście o tej porze nocy szosa była zupełnie pusta. Jani zwolnił, zahamował i stanął w miejscu, które wskazał mu wopista w stopniu szeregowca.

– Jest kapitan Budai? – spytał natychmiast Kovacs. – Mam coś dla niego. – Żołnierz wszedł do wartowni i chwilę później wrócił z przelożonym.

– Laszlo! – wykrzyknął po węgiersku Kovacs. – Jak się masz? Zimna noc, co? – Z torbą w rękę wyskoczył z szoferki.

– Cóż mogę powiedzieć, Istvan. Zimna i nudna.

– A jak tam Zsóka?

– Za tydzień ma urodziny, kończy pięć lat.

– O! – Kovacs podał mu torbę. – Daj jej to.

„Tym” były zapinane na rzepy czerwone reeboki.

370

– Piękne – odrzekł kapitan Budai z nieudawaną radością. Obejrzał je w świetle latarni.

Spodobałyby się każdej małej dziewczynce, więc cieszył się tak, jak córka cieszyć się będzie za kilka dni. – Dobry z ciebie przyjaciel, Istvan. Co dzisiaj wiesz?

– Nic takiego. Ale rano odbieram przesyłkę z Belgradu. Potrzebujesz czegoś?

– Żona chciałaby parę kaset do walkmana, którego przywiozłeś jej w zeszłym miesiącu. –

To zadziwiające, ale Budai wcale nie był chciwy. Między innymi właśnie dlatego Kovacs lubił robić

z nim interesy.

– Jakich zespołów?

– Nie wiem. Bee Geesów czy jakoś tak... A dla mnie z muzyką filmową, jeśli możesz.

– Amerykańską? Może z *Gwiezdnych Wojen*?

– To już mam, ale może z *Imperium kontratakuję*...

– Załatwione. – Uścisnęli sobie ręce. – Kawy nie chcesz?

– Jakiej?

– Austriackiej, może amerykańskiej? W Belgradzie mogę kupić Folgersa. Jest bardzo smaczna.

– Może, ale nie piłem.

– Dobra, spróbujesz. Na mój koszt.

– Dobry z ciebie człowiek, Istvan. Szerokiej drogi. – Dał znak szeregowcowi. – Przepuść go.

I już. Na tym się skończyło. Kovacs wsiadł do szoferki. Świetnie. Nie musiał nawet rozstawać się z prezentem dla sierżanta Kerekesa Mikaly. Bardzo był z tego rad.

– Nie sprawdził nawet dokumentów? – spytał zdziwiony Hudson.

– Siądzie do teleksu i prześle moje nazwisko do Budapesztu. Opłacam tam paru ludzi. Są bardziej chciwi niż László, ale w sumie biorą niedużo. Jedź, Jani. – Ryknął silnik i ciężarówka przejechała przez wymalowaną na jezdni białą linię. Kraje Układu Warszawskiego pozostały za nimi.

Siedzący w pudle Ryan ożył. Rzadko kiedy cieszył się z tego, że samochód wreszcie ruszył. Chwilę później ciężarówka przystanęła ponownie, ale już na innej granicy.

Jani załatwił to, nie wyłączając silnika, ot, po prostu zamienił kilka słów z wartowni-kiem, który niedbałym machnięciem ręki wpuścił ich do sąsiedniego, na wpół komunistycznego kraju. Trzy kilometry dalej skręcili w boczną drogę. Kilka wybojów i volvo znieruchomiało. Jugosłowiańskie służby graniczne są do dupy, stwierdził w duchu Hudson.

Zanim rozchylił brezentową plandekę, Ryan zdążył już wyjść z pudła.

– Jesteśmy na miejscu, Jack.

– To znaczy gdzie?

– W Jugosławii, chłopcze, pod Legradem. I tu się pożegnamy.

– Tak?

– Tak. Przekazuję was Vicowi Lucasowi, koledze z Belgradu. Vic?

Mężczyzna, który do nich podszedł, mógłby być jego bratem bliźniakiem, gdyby nie czarne włosy. Był również siedem, może nawet osiem centymetrów wyższy. Wskoczył na skrzynię, żeby pomóc wyjść z pudeł Zajcewom. Ryan wziął na ręce Swietlanę – to zadziwiające, ale dziewczynka wciąż spała – i podał ją matce, oszołomionej jeszcze bardziej niż przedtem.

Hudson zaprowadził ich do dużego, wygodnego kombi, angielskiego forda.

– Sir John... – powiedział. – Jack. Dobra robota. Dzięki za pomoc.

– Przestań, nie kiwnąłem nawet palcem. Ale ty byłeś świetny. – Ryan uściśnął mu rękę. –

Jeśli kiedyś będziesz w Londynie, wpadnij do mnie na piwo.

– Chętnie, dzięki – odrzekł Hudson.

Zajcewowie usiedli z tyłu, Jack ponownie z przodu. Za kierownicą siedział Lucas.

– Dokąd teraz?

– Na lotnisko. Samolot czeka.

– Tak? Specjalny?

– Nie, zwykły, pasażerski. Ma niewielkie opóźnienie z powodu „drobnych usterek technicznych”, ale zanim tam dojedziemy, na pewno zdążą je usunąć.

– Bomba – mruknął Ryan. Lepsze to niż prawdziwa awaria. I nagle uświadomił sobie, że czeka go jeszcze jedna niemiła przygoda. Byli już w na wpół wolnym kraju i poczuł, że znowu ogarnia go strach przed lataniem.

– Dobra, jedziemy. – Lucas odpalił silnik i ruszyli.

Bez względu na to, jakim był agentem, musiał uważać się za młodszego brata Stirlinga Mossa. Samochód pomknął przed siebie jak błyskawica, zanurzając się w jugosłowiańską noc.

– Jak było, Jack?

– Ciekawie – odrzekł Ryan, sprawdzając, czy dobrze zapiął pasy.

Szosa była lepiej oświetlona, lepiej zaprojektowana i lepiej utrzymana niż ta węgierska, a

przynajmniej tak mu się wydawało. Pędzili przed siebie z prędkością stu dwudziestu kilometrów na godzinę – jeździł tak Robby Jackson, ale Jackson był pilotem myśliwca, człowiekiem niezwykłym za kierownicą jakiegokolwiek środka transportu. Vic Lucas musiał czuć się jak on, bo spokojnie spoglądał przed siebie, poruszając kierownicą szybkimi, gwałtownymi ruchami. Oleg Iwanowicz był wciąż spięty. Irina wciąż próbowała pogodzić się z niezrozumiałą rzeczywistością, a ich córeczka wciąż spała jak mały aniołek. Ryan palił jednego papierosa za drugim. Trochę mu to pomagało, chociaż zdawał sobie sprawę, że jeśli Cathy poczuje zapach dymu, czeka go prawdziwe piekło. Cóż, będzie musiała mnie zrozumieć, pomyślał, patrząc na słupy telefoniczne, które migały za oknem jak sztachety płotu.

Ostatecznie robię to dla Wujka Sama.

Na poboczu szosy stał radiowóz. Policjanci pili kawę albo po prostu drzemali na służbie.

372

– Spokojnie – powiedział Lucas. – Mamy tablice dyplomatyczne. Jestem starszym doradcą w ambasadzie Jej Królewskiej Mości. A wy jesteście moimi gośćmi.

– Jasne. Daleko jeszcze?

– Pół godziny. Jest mały ruch. Nie ma ciężarówek. Ta szosa bywa zatłoczona nawet no-cą... A Kovacs współpracuje z nami od lat. Mógłbym na nim nieźle zarobić. Często przewozi tędy węgierskie magnetowidy. Są całkiem dobre, a oni sprzedają je za nędzne grosze. Dziwne, że nie eksportują ich na Zachód, ale musieliby najpierw wykupić licencję od Japończyków. Pod tym względem nie są zbyt skrupulatni. – Nie zwalniając, Lucas pokonał kolejny zakręt.

– Jezu, jak ty jeździsz za dnia? – wykrztusił Ryan.

– Niewiele szybciej. Ten wóz ma dobre reflektory, ale zawieszenie jest denne. Amerykańskie, za miękkie.

– Kup sobie corvette, jak mój kumpel.

– Piękne cacko, ale z plastiku. – Lucas pokręcił głową i sięgnął po cygaro. Pewnie kubańskie, pomyślał Ryan. W Anglii je uwielbiali.

– No i już – pogratulował sobie pół godziny później Via – Jesteśmy na miejscu.

Wszystkie lotniska są do siebie podobne. Prawdopodobnie projektował je ten sam architekt. Różniły

się tylko symbolami na drzwiach do ubikacji. „Ubikacja” – tak nazywali je Anglicy. Trochę brzydko, jak na ten łagodny i subtelny kraj. Tu czekała go niespodzianka. Zamiast stanąć przed halą odlotów, Lucas skręcił i przez bramę wjechał prosto na pas do kołowania.

– Mam dobre układy z dyrektorem – wyjaśnił. – Facet lubi słodową whisky. – Wzdłuż żółtej linii dojechali do samotnego samolotu przy rękawie dla pasażerów. – No i jesteśmy.

Wysiedli. Tym razem to Irina niosła śpiącą Swietlanę. Wraz z Lucasem weszli schodami na górę.

W drzwiach czekał na nich pilot z czterema belkami na ramieniu.

– Pan Lucas?

– Tak, panie kapitanie. A to są pańscy pasażerowie. – Wskazał Ryana i Zajcewów.

– Świetnie. – Kapitan Rogers spojrział na szefową stewardes. – Możemy wpuścić resztę.

Stewardesa wskazała im cztery miejsca w pierwszej klasie. Jack usiadł tuż za przepięrzeniem i z zaskoczeniem stwierdził, że z radością zapina pasy. Na pokład weszło około trzydziestu pasażerów, głównie robotników po urlopie w słonecznej Dalmacji – Dalmacja była w Anglii bardzo popularna, przynajmniej ostatnio – wyraźnie niezadowolonych z trzy-godzinnego opóźnienia. Potem wszystko potoczyło się gładko. Pilot uruchomił silniki i BAC-111 – brytyjski odpowiednik Douglasa DC-9 – pokołował na start.

– Co teraz? – spytał Oleg prawie normalnym głosem.

– Polecimy do Anglii – odrzekł Ryan. – Za dwie godziny powinniśmy być na miejscu.

– To... takie proste?

373

– Myśli pan, że to było proste? – odparł Jack z niedowierzaniem w głosie. Zatrzeszczały głośniki.

– Panie i panowie, mówi kapitan Rogers. Miło mi donieść, że w końcu udało nam się wymienić ten nieszczęsny układ elektroniczny. Dziękuję państwu za cierpliwość. Zaraz po starcie zapraszamy wszystkich na kieliszek wina lub czegoś mocniejszego. Na koszt naszych linii oczywiście. – Odpowiedziały mu radosne wiwaty z tyłu kabiny. – A teraz zechcą pań-

stwo wysłuchać wskazówek dotyczących bezpieczeństwa lotu.

Zapnijcie pasy, głupki. Tu wetknąć, tu zatrzasnąć. Tak samo jak w samochodzie. Co za idioci. Trzy minuty później maszyna powoli wzbiła się w powietrze.

Zgodnie z obietnicą, gdy tylko weszli na wysokość trzech tysięcy metrów i zgasły napisy ostrzegawcze, w przejściu między rzędami foteli pojawił się wózek z napojami. Zajcew poprosił o wódkę i dostał trzy miniaturowe buteleczki finlandii. Ryan wziął wino, wiedząc, że na jednym kieliszku nie poprzestanie. Wiedział też, że nie zaśnie, chociaż bał się mniej niż zwykle. Najlepszym sposobem na strach była świadomość, że komunistyczny świat został

na dole, że oddalają się od niego z prędkością ośmiuset kilometrów na godzinę.

Oleg Iwanowicz pił wódkę, jakby była zimną wodą po całym dniu koszenia trawy w upale. Jego żona też. Delikatnie sącząc francuskie wino, Ryan czuł się przy nich jak uosobienie wszelkich cnót.

– Jest wiadomość od Basila – zameldował Bostock. – Królik już leci. Za półtorej godziny ląduje w Manchesterze.

– Świetnie – rzucił sędzia Moore. Ulżyło mu. Operacja „Beatrix” przebiegła zgodnie z planem. Co lepsze, przeprowadzili ją bez Boba Rittera, który – jak się okazało – wcale nie był

człowiekiem niezastąpionym, choć na pewno poczciwym.

– Jeszcze tylko trzy dni i będziemy mogli go przesłuchać – powiedział Bostock. – Zawieziemy go do Winchesteru?

– Tak. Zobaczymy, czy lubi konie. – W domu w Winchesterze był nawet fortepian Steinwaya. Pani Królikowa sobie pogra, a Króliczątko pobiega wśród zielonych drzew.

W tym samym czasie Alan Kingshot wraz z dwoma podwładnymi wjeżdżał na parking lotniska w Manchesterze. Nazajutrz rano miał wziąć wielkiego, czarnego daimlera i wywieźć Zajcewów do Somerset. To dwie godziny jazdy, ale chyba nie zaprotestują. Tę noc spędzą w ładnym wiejskim domu niedaleko lotniska. Na pewno mieli dość podróżowania, a pod koniec tygodnia czekał ich kolejny lot. To go zastanowiło. Zniosą to czy nie? Postanowił pomy-

śleć o tym w barze.

Ryan był porządnie wstawiony. Wino plus napięcie, mruknął, idąc do toalety. Szybko wrócił i jeszcze szybciej zapiął pasy. Prawie nigdy ich nie rozpiął. Podano im kanapki, nic więcej. Angielskie kanapki z ich ulubioną rzeżuchą. Jak można lubić rzeżuchę? Chętnie zjadłby porcję dobrej peklowanej wołowiny, ale Brytyjczycy nie wiedzieli nawet, co to jest i mylili ją z żarciem dla psów, takim z puszki. Znając ich zamiłowanie do wszelkiej maści do-374

mowych zwierzątek, psy karmili pewnie czymś lepszym niż peklowana wołowina. Przesuwające się w dole światelka mówiły, że lecą nad zachodnią Europą. Wschodnia była prawie nieoświetlona.

Ale Zajcew miał co do tego wątpliwości. Może to tylko wielka *maskirowka*, podpucha, żeby zaczął sypać? A jeśli Drugi Zarząd Główny zbudował w tym celu wieś albo nawet mia-steczko?

– Panie Ryan?

Jack drgnął.

– Tak?

– Co zobaczę w Anglii?

– W Manchesterze? Nie wiem, jakie mają plany.

– Pracuje pan w CIA?

Jack kiwnął głową.

– Tak.

– Na pewno?

– Cóż... – Ryan wyjął portfel. – To moje prawo jazdy. Karty kredytowe, pieniądze...

Paszport jest oczywiście fałszywy. Jestem Amerykaninem, ale wcisnęli mi brytyjski... – Nagle go olśniło. – Aha, rozumiem. Myśli pan, że to podstęp, tak?

– Po prostu nie mam pewności.

– Mój przyjacielu, za niecałą godzinę sam się pan przekona. – Ponownie otworzył portfel. – Proszę. To moja żona, córka i synek. Tu, na prawie jazdy, jest mój domowy adres: Maryland, hrabstwo Anne Arundel, Peregrine Cliff Road. Mieszkamy niedaleko zatoki Chesapeake. Dojazd do Langley zajmuje mi prawie godzinę. Moja żona pracuje w szpitalu Johns Hopkinsa w Baltimore. To słynny szpital. Musiał pan o nim słyszeć.

Zajcew pokręcił głową.

– Dwa lata temu trzech okulistów z Hopkinsa operowało Michaiła Susłowa. Wiem, że niedawno umarł. Uważamy, że zastąpi go Michaił Jewgienijewicz Aleksandrow. Trochę o nim wiemy, ale niewiele. Szczerze mówiąc, o Juriju Władimirowiczu też mało wiemy.

– O Andropowie? Czego o nim nie wiecie?

– Jest żonaty? Nigdy nie widzieliśmy zdjęcia jego żony...

– Czy jest żonaty? Przecież wszyscy o tym wiedzą. Tatiana Andropowa to bardzo elegancka kobieta. Irina mówi, że ma szlachetne rysy twarzy. Ale nie mają dzieci.

No i proszę, pomyślał Ryan. Informacja numer jeden.

– Jak to możliwe, że o tym nie wiedzieliście? – spytał Zajcew.

– Olegu Iwanowiczu, nie wiemy wielu rzeczy o Związku Radzieckim. Ważnych i tych mniej ważnych.

375

– Naprawdę?

– Naprawdę.

Nagle Zajcew o czymś sobie przypomniał.

– Nazywa się pan Ryan, tak?

– Tak.

– Pański ojciec był policjantem?

– Skąd pan o tym wie? – spytał zaskoczony Jack.

– KGB założyło panu teczkę, waszyngtońska rezydentura. Zaatakowano was, tak? Pana i pańską rodzinę.

Chryste, interesuje się mną KGB? – pomyślał Ryan.

– Tak, terroryści. Chcieli nas zabić. Tamtej nocy urodził się mój syn.

– I potem wstąpił pan do CIA?

– Tak, przynajmniej oficjalnie. Współpracowałem z nimi od kilku lat. – Ciekawość wzięła górę. – Co wasi o mnie piszą?

– Że jest pan bogatym głupcem. Że służył pan w piechocie morskiej. Że pańska żona też jest bogata i dlatego pan się z nią ożenił. Dla pieniędzy.

A więc nawet KGB jest więźniem swoich własnych uprzedzeń politycznych. Ciekawe...

– Nie jestem biedakiem, ale ożeniłem się z nią z miłości, nie dla pieniędzy. Tylko głupcy żenią się dla pieniędzy.

– Wśród kapitalistów dużo jest takich? Ryan wybuchnął śmiechem.

– Więcej, niż pan myśli. W Stanach nie trzeba być geniuszem, żeby się wzbogacić. –

Najwięcej bogatych idiotów mieszkało w Nowym Jorku i Waszyngtonie, ale Zajcew potrzebował trochę czasu, że się o tym przekonać. – Kto założył mi teczkę?

– Waszyngtoński korespondent „Izwestii”. Jest młodszym rezydentem KGB. Założył ją jeszcze w zeszłym roku.

– Jak się pan o tym dowiedział?

– Jego depesze przechodziły do mnie, a ja przekazywałem je do Instytutu Amerykańsko-Kanadyjskiego. To placówka KGB. Wiecie o tym, tak?

– Tak, o tym wiemy. – W tym momencie zatkało mu uszy. Samolot schodził w dół. Ryan dopił resztkę wina, wiedząc, że za kilka minut będzie po wszystkim. Z operacji „Beatrix”

wyniósł jedną nauczkę: zdecydowanie nie nadawał się na agenta.

Gong i ponownie zakaz palenia. Jack ustawił oparcie fotela w pozycji pionowej i wtedy za oknem pojawiły się światła Manchesteru. Reflektory samochodów, ogrodzenie lotniska, a kilkanaście sekund później... Bum! Koła dotknęły ziemi. Byli w starej, wesołej Anglii. Anglia to nie to samo co USA, ale zawsze.

Oleg cały czas spoglądał w okno, wypatrując napisów i znaków na ogonach parkujących na płycie samolotów. Nie, za dużo ich jak na *maskirowkę* KGB. Wyraźnie się odprężył.

376

– Witamy w Manchesterze. – W głośnikach ponownie zabrzmiał głos kapitana Rogersa. –

Jest godzina trzecia czterdzieści. Temperatura powietrza: dwanaście stopni Celsjusza. Jeszcze raz dziękujemy państwu za cierpliwość i wyrozumiałość. Do zobaczenia na pokładzie samolotów British Midlands Airways.

Po moim trupie, staruszkule, pomyślał Jack.

Siedział i czekał, aż maszyna podkołuje do sektora przylotów. Podjechały schody i szefowa stewardes otworzyła drzwi. On i Zajcewowie wysiedli jako pierwsi. Na dole skierowa-no ich do

czekających w pobliżu samochodów, zamiast do autobusu dla pasażerów.

Alan Kingshot uściskał mu rękę.

– I jak było, Jack?

– Jak w Disney Worldzie – odrzekł Ryan bez cienia ironii w głosie.

– Rozumiem. Wsiadajmy. Nie ma to jak wygodne łóżko.

– O tak... Która tu godzina? – Jack nie zdążył cofnąć zegarka. – Za kwadrans czwarta?

– Zgadza się.

– Kurczę. – Było za późno, żeby zawiadomić Cathy, że już wrócił. Ale na dobrą sprawę, jeszcze nie wrócił. Musiał teraz reprezentować CIA podczas pierwszego przesłuchania Zajcewa. Pewnie na rozkaz sir Basila, który uważał, że Ryan jest za mało doświadczony, żeby cokolwiek z niego wyciągnąć. Dobra, pokaże tym angolom, jaki z niego głupek. Ale najpierw spać. Stres jest równie męczący jak bieganie, tyle że bardziej osłabia serce.

Zwłoki przewieziono do budapeszteńskiej kostnicy, instytucji równie przygnębiającej za żelazną kurtyną, jak i przed nią. Kiedy okazało się, że są to ciała obywateli rosyjskich, za-dzwoniono do ambasady radzieckiej, gdzie szybko ustalono, że Zajcew jest, a raczej był

funkcjonariuszem KGB. Ta wiadomość bardzo zainteresowała rezydenturę mieszczącą się naprzeciwko hotelu, w którym wybuchł pożar. Rozdzwoniły się telefony.

Tuż przed piątą rano funkcjonariusze AVH wyciągnęli z łóżka profesora Zoltana Biró.

Biró był patologiem i pracował w Akademii Medycznej imienia Ignaza Semmelweisa. Na-zwana tak od nazwiska jednego z autorów teorii o drobnoustrojach, która dokonała przełomu w dziewiętnastowiecznej medycynie, wciąż była uczelniana tyle dobrą, że przyciągała nawet studentów z Niemiec Zachodnich, z których oczywiście żaden nie miał uczestniczyć w sekcji zwłok nakazanej przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych. W sekcji brał również udział lekarz ambasady radzieckiej w Budapeszcie.

Zaczęli od mężczyzny. Przedtem technicy pobrali próbki krwi ze wszystkich ciał, żeby poddać je analizie w laboratorium.

– Są to zwłoki białego mężczyzny w wieku około trzydziestu pięciu lat, wysokości stu siedemdziesięciu pięciu centymetrów i wagi siedemdziesięciu sześciu kilogramów. Kolor włosów nie do ustalenia ze względu na rozległe zwęglenia głowy. Pierwsze wrażenia: śmierć w ogniu, najprawdopodobniej w wyniku zaczadzenia, na co wskazuje normalny układ kończyn i brak oznak walki o życie. – Profesor zrobił klasyczne nacięcie w kształcie litery Y i otworzył klatkę piersiową mężczyzny.

Właśnie oglądał serce, gdy zatrzeszczał głośnik.

377

– Panie profesorze? – odezwał się technik z laboratorium. – Stężenie tlenu węgla we wszystkich trzech próbkach przekracza poziom śmiertelny. – I podał mu dokładne liczby.

Biró spojrzał na Rosjanina.

– Potrzebujecie czegoś jeszcze? – spytał. – Mogę ich pokroić, ale przyczyna śmierci jest oczywista. Tego człowieka na pewno nie zastrzelono. Oczywiście zrobimy pełną analizę krwi, żeby sprawdzić, czy nie został otruty, ale z całą pewnością stwierdzam, że na jego ciele nie ma żadnych ran. Ani wlotowych, ani wylotowych, ani innych. Ci ludzie zginęli w ogniu.

Po południu prześlę wam dokładne wyniki badań laboratoryjnych. – Biró głęboko odetchnął.

– *A kurva életbe!* – zakończył po węgiersku.

– Taka śliczna dziewczynka... – szepnął Rosjanin. Nie wiedzieć jakim cudem portfel Zajcewa ocalał z pożaru i znaleziono w nim rodzinne zdjęcia. Zdjęcie Swietłany było szczególnie wzruszające.

– Śmierć nigdy nie jest sentymentalna, przyjacielu – odrzekł Biró. Jako patolog, wiedział o tym aż za dobrze.

– Cóż... Dziękuję, towarzyszu profesorze. – Wychodząc, Rosjanin układał już w myśli meldunek do moskiewskiej Centrali.

378

Rozdział 29

Przesłuchanie

Dom był okazały. Sądząc po wyglądzie, wzniesiony w minionym stuleciu, musiał być kiedyś wiejską rezydencją arystokraty, który miał zarówno pieniądze, jak i gust. Ozdobiony licznymi stiukami i zbudowany z ciężkich dębowych bali, jakich używano niegdyś do budowy okrętów takich choćby jak HMS „Victory”, okręt taki przypominał. Ale cumował na stałym lądzie, daleko od błękitnego morza: w tym wyspiarskim królestwie, dalej od brzegu nie można go było zakotwiczyć.

Alan Kingshot musiał o tym wiedzieć, w przeciwnym razie zawióźłby ich gdzie indziej.

Dwoje służących – wyglądali na małżeństwo gliniarzy, emerytowanych pracowników Londyńskiej Policji Metropolitalnej – uprzejmie zaprowadziło nowych gości do pięknego apartamentu. Irina Zajcewa wytrzeszczyła oczy na widok wnętrza, które zrobiło wrażenie nawet na Ryaniu. Tymczasem Oleg Iwanowicz wszedł tylko do łazienki, zostawił tam swoje przybory do golenia, ściągnął ubranie, padł na łóżko i pięć minut później zapadł w głęboki, wzmocniony alkoholem sen.

Otrzymałszy wiadomość, że przesyłka jest już w bezpiecznym miejscu, sędzia Moore też poszedł spać; było tuż przed północą. Pozostało mu jedynie zadzwonić do dowództwa Sił Powietrznych i poprosić, żeby przygotowali do lotu KC-135 albo maszynę podobnej klasy, lecz mógł to załatwić jednym telefonem do Pentagonu. Ciekawiło go, co powie Królik, ale będzie musiał jeszcze zaczekać. Cóż, gdy niebezpieczeństwo mijało, potrafił być w miarę cierpliwy. Czuł się jak przed wizytą Świętego Mikołaja: chociaż nie wiedział, co znajdzie pod choinką, wierzył, że będzie to coś dobrego.

Sir Basil właśnie zamierzał sięść do śniadania, gdy kurier przywiózł mu wiadomość z Century House. Bardzo miły początek dnia, pomyślał Charleston. Bywały dużo gorsze. Wyszedł do pracy przed siódmą, żeby już na miejscu zapoznać się ze szczegółami sukcesu operacji „Beatrix”.

Ryana obudził warkot przejeżdżających samochodów; budowniczym tej wspaniałej rezydencji nie przypuszczali, że ledwie trzysta metrów dalej ktoś poprowadzi nitkę autostrady. To dziwne, ale nie męczył go kac po winie, a napięcie i podekscytowanie zerwały z łóżka już po sześciu i pół godzinie snu. Umył się i zszedł do przytulnej, chociaż wcale niemałej jadalni. Alan Kingshot właśnie robił herbatę.

– Ty chcesz pewnie kawę?

– Jeśli jest.

– Tylko rozpuszczalna.

Jack z trudem ukrył rozczarowanie.

– Lepsza taka niż żadna.

– Jajka sadzone na grzance z szynką? – spytała emerytowana policjantka.

- Za jajka na grzance jestem gotów wybaczyć brak kawy firmy Starbucks – odrzekł z uśmiechem Ryan. W tej samej chwili zobaczył poranne gazety i pomyślał, że życie wraca do normy. Prawie.
- Gospodarzami tego domu są państwo Thomsonowie – wyjaśnił Kingshot. – Nick był detektywem w wydziale zabójstw, Emma pracowała w administracji.
- Jak mój ojciec – zauważył Ryan. – Jak trafiliście państwo do wywiadu?
- Nick pracował nad sprawą Markowa – odrzekła pani Thomson.
- I świetnie się spisał – dodał Kingshot. – Byłby z niego dobry agent.
- Ja Bondem? Jamesem Bondem? – rzucił Nick Thompson, wchodząc do kuchni. – Wątpię. Nasi goście już wstali. Córeczka ich obudziła.
- Skąd ja to znam... – mruknął Jack. – Przesłuchamy ich tutaj czy gdzieś indziej?
- Mieliśmy jechać do Somerset ale wczoraj postanowiłem, że nie warto. Po co ich tyle wozić i stresować? Ten dom mamy od roku i jest dość wygodny. Ten w Somerset, pod Taunton, jest może bardziej odizolowany, ale chyba nie zamierzają stąd zwiewać, co?
- Gdyby Zajcew wrócił, martwy byłby z niego Królik... – myślał na głos Ryan. – On o tym wie. W samolocie bał się, że to robota KGB, jedna wielka maskirowka... Irina zrobiła w Budapeszcie duże zakupy. Może ktoś zabrałby ją na zakupy tutaj? A my spokojnie z nim porozmawiamy. Mówi po angielsku całkiem nieźle. Mamy tu kogoś, kto zna rosyjski?
- Kogoś załatwimy – odrzekł Kingshot. – Moja w tym głowa.
- Najpierw musimy go spytać, dlaczego postanowił uciec.
- Jasne, ale o co chodzi z tymi kanałami komunikacyjnymi?
- Taa... – westchnął Ryan. – Pewnie dostajecie przez to świra.
- Żebyś wiedział.
- Pracowałeś w Moskwie?

Anglik skinął głową.

– Zaliczyłem dwie tury. Dobra zabawa, tylko cholernie stresująca.

– A poza Moskwą?

– Siedziałem w Warszawie i w Bukareszcie. Mówię po polsku, rosyjsku i rumuńsku. Jak ci się

podobał Andy Hudson?

– Jest niesamowity. Opanowany, pewny siebie, zna teren, ma dobre dojścia. Bardzo o mnie dbał.

– Pańska kawa, sir Johnie – powiedziała pani Thompson. Brytyjczycy to dobrzy ludzie, pomyślał Jack. Wbrew temu, co mówią, ich jedzenie jest całkiem do zniesienia, ale na kawie się nie znają. Cóż, dobrze, że mieli chociaż rozpuszczalną.

Wkrótce potem podano jajka sadzone na grzance z szynką i okazało się, że pani Thompson jest prawdziwą mistrzynią patelni. Ryan otworzył gazetę, „Timesa”, i odprężył się, żeby ponownie nawiązać kontakt z normalnym światem. Postanowił, że za godzinę zadzwoni do Cathy. Przy odrobinie szczęścia za dwa dni nareszcie ją zobaczy. W świecie doskonałym 380

czekałaby na niego gazeta amerykańska albo „International Tribune”, ale świat nie był jeszcze doskonały. Rozgrywki baseballowe. Rozpoczęły się już nazajutrz. Jak wypadną w tym roku filadelfijczycy? Cóż, to się okaże, właśnie po to grają...

– Jak tam wrażenia z wyprawy, Jack? – spytał Kingshot.

– Powiem tak: ci ludzie zasłużyli na każdego centa, którego zarabiają. Nie mam pojęcia, jak znosicie to nieustanne napięcie.

– Normalnie. Można się przyzwyczaić, jak do wszystkiego. Twoja żona jest chirurgiem.

Ja nie mógłbym kroić ludzi nożem.

Jack parsknął śmiechem.

– Ani ja. W dodatku ona kroi oczy. Fajnie, co?

Kingshot aż się wzdrygnął, a Ryan uświadomił sobie, że pracując w Moskwie, prowadząc tam agentów – i prawdopodobnie organizując ucieczki dla Królików takich jak Zajcew

– Alan bawił się równie dobrze, jak bawiłby się podczas transplantacji serca. Dobiegł ich głos pani Thompson:

– Pan Somerset. Dzień dobry. Serdecznie zapraszam.

– *Spasibo* – odrzekł zaspanym głosem Zajcew. Dzieciaki, z ich uśmiechniętymi twarzyczkami i wesołym usposobieniem, mogą wyrwać człowieka ze snu o najbardziej zwariowanej porze. – Somerset? To moje nowe nazwisko?

– Tymczasowe – odrzekł Ryan. – Potem wymyślimy stałe. Dzień dobry.

– Jesteśmy w Anglii?

– Niecałe trzysta kilometrów od Manchesteru – odezwał się Kingshot. – Witam. Gdyby pan mnie nie pamiętał, nazywam się Alan Kingshot. To jest pani Emma Thompson. Zaraz przyjdzie tu jej mąż, Nick. – Wymienili uściski rąk.

– Moja żona też zaraz przyjdzie. Musi ubrać *zajczika*.

– Jak się pan czuje? – spytał Kingshot.

– Długa droga, dużo strachu... Ale teraz jesteśmy już bezpieczni, tak?

– Absolutnie – zapewnił go Alan.

– Co życzy pan sobie na śniadanie? – spytała pani Thompson.

– Niech pan spróbuje tego – doradził mu Ryan, wskazując swój talerz. – Są świetne.

– Chętnie. Co to jest?

– Jajka sadzone na grzance z szynką. Emmo, pani sos jest przepyszny. Mógłbym prosić o przepis dla żony? – A Cathy powinna nauczyć ją parzenia kawy, pomyślał. Uczciwy kontrakt.

– Ależ oczywiście, sir Johnie – odrzekła pani Thompson z promiennym uśmiechem.

Komplement kulinarny przyjmie każda kobieta na świecie.

– W takim razie dla mojej też – wtrącił Oleg Iwanowicz.

– Herbata czy kawa?

381

– Ma pani taką angielską do... do śniadania?

– Oczywiście. Podać?

– Tak, dziękuję.

– Nie ma za co. – Pani Thompson zniknęła w kuchni.

Zajcew wciąż nie mógł ochłonąć. Oto on, Oleg Iwanowicz, siedział w jadalni wielkiego, wspaniałego domu, który nadawałby się na rezydencję starego arystokraty, prawdziwego pałacu, takiego ze stajniami i z powozownią, otoczonego zielonymi trawnikami rodem z

„Augusta National” i gigantycznymi, dwustuletnimi dębami. Pałac ten był jak z kosztownego albumu

ze zdjęciami, nadawał się na muzeum albo na siedzibę Piotra Wielkiego, tymczasem on zamieszkał w nim jako honorowy gość? On?

– Ładny dom, prawda? – spytał Ryan, skończywszy jeść jajka.

– Niesamowity – odrzekł Zajcew, rozglądając się wokoło.

– Kiedyś należał do rodziny książęcej – powiedział Kingshot. – Przed stu laty kupił go jakiś fabrykant, właściciel zakładu włókienniczego, ale w ciężkich czasach interes padł i rok temu posiadłość przeszła w posiadanie rządu. Służy nam jako dom kryjówka, czasem urzą-

dzamy tu konferencje. System ogrzewania jest trochę prymitywny, ale teraz to nie problem.

Mieliśmy ciepłe lato, jesień też nie będzie chłodna.

– W Stanach zrobiliby tu pole golfowe – powiedział Jack, patrząc w okno. – I to wielkie.

– Wiem – odrzekł Kingshot. – Warunki są idealne.

– Kiedy pojedziemy do Ameryki? – spytał Zajcew.

– Za trzy, cztery dni. Najpierw chcielibyśmy trochę z panem porozmawiać.

– Kiedy?

– Może po śniadaniu? – zaproponował Alan. – Spokojnie, proszę się nie spieszyć. Tu nie Związek Radziecki. Nie zamierzamy pana ponaglać.

Akurat, pomyślał Ryan. Stary, wyssiemy ci cały mózg z czaszki, każdą myśl rozbijemy na atomy. Ale cóż, wyciągnęli ich stamtąd, zafundowali im darmowy bilet na Zachód, zaofiarowali perspektywę wygodnego życia, a za wszystko trzeba w życiu płacić.

Herbata bardzo Olegowi smakowała. Niebawem dołączyła do nich reszta rodziny, skutkiem czego pani Thompson prawie zabrakło sosu – obecność Rosjan gwarantowała też stały rynek zbytu dla okolicznych właścicieli kurzych farm.

Irina poszła zwiedzić dom. Wielce podekscytowana, prawie natychmiast wypatrzyła fortepian Bösendorfera i jak dziecko pod bożonarodzeniową choinką spytała, czy mogłaby zagrać. Już dawno wyszła z wprawy, mimo to usiadła i z twarzą, na której rysowały się wspomnienia z dzieciństwa, z trudem przebrnęła przez pierwsze takty *Mostu w Avignonie*, swojej ulubionej melodii, którą ćwiczyła jako małe dziecko.

– Moja przyjaciółka jest zawodową pianistką – powiedział z uśmiechem Ryan, ciesząc się jej radością.

– Kto? – spytał Oleg. – Gdzie?

– Sissy, to znaczy, Cecilia Jackson. Przyjaźnię się z jej mężem. Jest pilotem myśliwca w marynarce wojennej, a Sissy drugą solistką w Waszyngtońskiej Orkiestrze Symfonicznej.

Moja żona też gra, ale Sissy jest naprawdę świetna.

– Jesteście dla nas bardzo dobrzy – odrzekł Oleg Iwanowicz.

– Gość w dom, Bóg w dom – odparł Kingshot. – Może porozmawiamy w bibliotece?

Biblioteka z tysiącami książek i trzema drabinkami na kółkach – bez drabinek nie byłaby klasyczną angielską biblioteką – była wybitnym – i kolejnym w tym domu – przykładem dziewiętnastowiecznej stolarki. Usiedli w wygodnych pluszowych fotelach. Pani Thompson przyniosła zimną wodę i szklanki. Rozpoczęło się pierwsze przesłuchanie.

– Panie Zajcew, proszę nam opowiedzieć coś o sobie, dobrze? – zaproponował Kingshot.

Oleg Iwanowicz podał mu swoje nazwisko, imię ojca, datę i miejsce urodzenia i wykształcenie.

– Nie służył pan w wojsku? – spytał Ryan.

Zajcew pokręcił głową.

– Nie, KGB mnie wybroniło.

– Nawiązali z panem kontakt już na uniwersytecie, tak? – uściślił Kingshot. Trzy magnetofony nagrywały każde ich słowo.

– Tak, na pierwszym roku.

– Kiedy wstąpił pan do KGB?

– Zaraz po studiach. Przydzielili mnie do wydziału łączności.

– Długo pan tam pracował?

– Od... W sumie dziewięć i pół roku, nie licząc szkoleń w akademii.

– A ostatnio?

– W centrum komunikacyjnym w podziemiach moskiewskiej Centrali.

– Co pan tam dokładnie robił? – spytał w końcu Alan.

– Na moje biurko spływały wszystkie depesze od agentów terenowych. Moim zadaniem było zabezpieczenie ich tajności i ściśle przestrzeganie procedur postępowania. Depesze przekazywałem odpowiednim adresatom na górze. Albo – Oleg spojrzął na Ryana – do Instytutu Amerykańsko-Kanadyjskiego.

Jack zrobił wszystko, żeby nie opadła mu szczeka. Ten facet naprawdę zwiął z radzieckiego odpowiednika Mercurego CIA. Wszystko widział. Wszystko albo prawie wszystko.

Jezus Maria. Mieli tu kopalnię złota. O zesz...

Kingshot potrafił ukrywać uczucia trochę lepiej, lecz gdy zerknął na Ryana, zalśniły mu oczy.

O cholera.

– A więc zna pan nazwiska agentów operacyjnych i rodzaj zadań, jakie wykonują?

383

– Znam dużo nazwisk oficerów KGB. Bardzo dużo. Nazwisk agentów znam mało, ale kryptonimy tak. W Wielkiej Brytanii naszym najlepszym agentem jest Minister. Przekazuje cenne informacje dyplomatyczne i polityczne. Od wielu lat, chyba już od dwudziestu.

– Mówił pan, że KGB rozpracowało nasz system łączności – wtrącił Ryan.

– Tak. To Neptun, agent o kryptonimie Neptun. Ile informacji przekazuje, tego nie wiem, ale wiem, że KGB potrafi rozszyfrować depesze waszej marynarki wojennej.

– Tylko marynarki wojennej? – spytał natychmiast Jack.

– Nie wiem, nie jestem pewien. Ale wy używacie wszędzie takich samych maszyn szyfrujących, prawda?

– Nie, to niezupełnie tak – odrzekł Alan. – I twierdzi pan, że angielskie systemy łączności są bezpieczne?

– Jeśli je rozpracowano, ja o tym nie wiem – odparł Zajcew. – Najwięcej informacji dyplomatycznych i wywiadowczych przychodziło od Kassjusza, doradcy ważnego polityka z Waszyngtonu. Informacji o CIA i o tym, co CIA wie o nas.

– Ale mówił pan, że ten Kassjusz nie pracuje w CIA.

– Nie. Myślę, że jest czyimś doradcą, pomocnikiem, sekretarzem, kimś takim.

- Dobrze. – Jack zapalił i poczęstował papierosem Zajcewa, który chętnie go przyjął.
- Skończyły mi się krasnoprienskije – wyjaśnił.
- Powinienem oddać panu całą paczkę. Żona chce, żebym rzucił palenie. Jest lekarką.
- Ba! – mruknął Zajcew.
- Dlaczego postanowił pan uciec? – spytał Kingshot, pociągając łyk herbaty. Słyszając odpowiedź, omal nie upuścił filiżanki.
- Dlatego, że KGB chce zabić papieża.
- Pan... poważnie? – To nie Ryan zadał to pytanie, tylko on: bardziej doświadczony Alan.
- Czy mówię poważnie? Rzykuję życie, swoje, żony i córki. *Da*, mówię poważnie – zapewnił ich gniewnie Zajcew.
- Cholera – szepnął Ryan. – Oleg, musimy znać więcej szczegółów.
- Zaczęło się w sierpniu. Piętnastego sierpnia... – Oleg Iwanowicz mówił przez pięć, sześć minut bez przerwy.
- I ta operacja nie ma kryptonimu? – spytał Jack, gdy skończył.
- Nie. Ma tylko numer referencyjny: 15-8-82-666. To data pierwszej depezy Andropowa do rzymskiej rezydentury, no i numer depezy, tak? Jurij Władimirowicz pytał w niej, jak podejść blisko do papieża. Rzym odpowiedział, że to niedobry pomysł. Potem pułkownik Roźdiestwienski... On jest głównym doradcą przewodniczącego, tak? Więc potem pułkownik wysłał depezę do rezydentury w Sofii. Operację organizują tam, na miejscu. Wszystkim kieruje Centrala, ale wykonawcą jest Drżawna Sigurnost. Ten oficer nazywa się chyba Strokow. Borys Andriejewicz Strokow.

384

Kingshot zmarszczył brwi i wyszedł z biblioteki. Wrócił z Nickiem Thompsonem, byłym detektywem wydziału zabójstw londyńskiej policji.

– Nick, czy mówi coś panu nazwisko Borys Aleksandrowicz Strokow?

Thompson szybko zamrugał.

– Tak, jak najbardziej. Naszym zdaniem, ten facet zabił Georgija Markowa na moście Westminsterskim. Obserwowaliśmy go, ale zwiął z kraju, zanim znaleźliśmy powód, żeby go

przymknąć i przesłuchać.

– Nie miał paszportu dyplomatycznego? – spytał zdziwiony Ryan.

– Nie. Przyleciał prywatnie, odleciał tak samo. Sam go widziałem na Heathrow. Ale za wolno wtedy myśleliśmy. To była okropna sprawa. Trucizna, którą wstrzyknęli Markowowi, też.

– Dobrze się pan mu przyjrzał?

Thompson kiwnął głową.

– O, tak. Niewykluczone, że mnie zauważył. Wtedy nie dbałem już o ostrożność. To on zabił Markowa. Daję za to głowę.

– Skąd ta pewność? – spytał Ryan.

– Ściagałem morderców przez prawie dwadzieścia lat, zdążyłem się na nich poznać. A on był właśnie jednym z nich. Umiejętnie to wyczuć – odparł z przekonaniem Thompson. Ojciec Jacka też taki był, nawet wtedy, gdy prowadząc jakąś sprawę, wiedział, że ma rację i nie mógł tego udowodnić.

– Bułgarzy mają coś w rodzaju umowy z Rosjanami – wyjaśnił Kingshot. – W 1964 zgodzili się odwalać mokrą robotę za KGB. W zamian za to otrzymują od Rosjan różne korzyści, głównie polityczne. Stokow, tak. Słyszałem to nazwisko. Ma pan może jego zdjęcie?

– Ponad pięćdziesiąt – odrzekł Thompson. – Nigdy nie zapomnę tej gęby. Ma trupie oczy. Nie ma w nich życia, jak w oczach lalki.

– Dobry jest? – spytał Ryan.

– Jako zabójca? Bardzo dobry. Świetny. Na tym moście odwalił kawał znakomitej roboty.

To była już trzecia próba. Pierwsi dwaj zawali i Rosjanie wezwali na pomoc jego. Gdyby sprawy potoczyły się trochę inaczej, nie wiedzielibyśmy nawet, że to było morderstwo.

– Na pewno pracował też gdzie indziej – powiedział Kingshot – ale nie mamy na ten temat żadnych informacji. Same plotki i pogłoski. Jack, robi się niebezpiecznie. Muszę natychmiast zawiadomić sir Basila. – Alan wyszedł, żeby zatelefonować. Ryan popatrzył na Zajcewa.

– I dlatego postanowił pan uciec?

– KGB chce zabić niewinnego człowieka. Widzę, jak knują spisek. Sam Andropow wydaje rozkaz. Ja wysyłam i odbieram depesze. Jak tu powstrzymać KGB? Ja nie dam rady, ale nie będę im pomagał zabijać papieża. Przecież to niewinny człowiek, prawda?

Jack spuścił oczy.

– Prawda, Olegu Iwanowiczu, prawda. – Boże święty... Zerknął na zegarek. Musiał przekazać tę wiadomość do Langley, ale w Langley wszyscy jeszcze spali.

– Cholera jasna... – mruknął sir Basil do słuchawki. – To wiarygodne?

– Tak, panie dyrektorze, całkowicie. Ten Zajcew to porządny i rozgarnięty facet. Wygląda na to, że kierował się wyłącznie sumieniem. – Kingshot przekazał mu następnie rewelację dnia: wiadomość o agencie o kryptonimie Minister.

– Piątka się tym zajmie. – Służba Wywiadowcza Bezpieczeństwa Imperialnego, czyli MI-5, to po prostu kontrwywiad. Żeby zdemaskować i aresztować Ministra, potrzebowali więcej informacji, ale mieli już od czego zacząć. Dwadzieścia lat. No proszę. Co za pracowity zdrajca, myślał sir Basil. Najwyższa pora, żeby odwiedził więzienie Parkhurst na wyspie Wight...

Charleston poświęcił wiele lat na oczyszczenie swojego urzędu, który był kiedyś placykiem zabaw KGB. Ale koniec z tym. Nigdy więcej, postanowił kawaler Orderu Łaźni.

Komu powiedzieć? – zastanawiał się Ryan. Basil na pewno zadzwoni do Langley. On to sprawdzi, ale sir Basil był człowiekiem, na którym można polegać. I najtrudniejsze pytanie: co, do diabła, można – mogę, możemy – z tym wszystkim zrobić?

Zapalił kolejnego papierosa. Cholera, to robota dla policjanta, nie dla analityka...

Najważniejsze to jak tę sprawę zaklasyfikują.

Będzie problem. Wielki problem. Jeśli komuś powiemy, prędzej czy później dojdzie do przecieku i ten ktoś dowie się, że mamy Królika. I wiesz co, Jack? Dla CIA Królik jest teraz ważniejszy niż życie papieża.

Cholera. Przypominało to czarodziejski chwyt jujitsu, nagłą zmianę biegunów kompasu.

Północ była teraz południem, wewnątrz zewnątrz. A potrzeby amerykańskiego wywiadu mogły okazać się istotniejsze niż życie biskupa Rzymu. Wyraz twarzy zdradził jego myśli.

– Co się stało? – spytał Zajcew.

– Chodzi o to, co pan przed chwilą powiedział. Od dwóch miesięcy niepokoiśmy się o życie papieża,

ale jak dotąd nie mieliśmy dowodów, które przekonałyby nas, że to prawda. A teraz musimy coś z tym zrobić. Ta operacja... Nie wie pan o niej nic bliższego?

– Prawie nic. Szefem rezydentury w Sofii jest pułkownik Bubowoj, Ilja Fiodorowicz. Peł-

ny pułkownik, ambasador naszych w Drżawnoj Sigurnosti, taki... łącznik. Nazwisko Strokowa pamiętam z wcześniejszych spraw. To ich główny zabójca. Robi też inne rzeczy, ale jak trzeba zabić, to idzie on.

Jak w kiepskim filmie, pomyślał Ryan. Z tym, że w filmach wielka, zła CIA miała specjalny wydział zabójstw, coś jakby szafę z nietoperzami-wampirami. Gdy dyrektor chciał

kogoś zabić, otwierał drzwiczki, jeden z wampirów wylatywał, zabijał, wracał do szafy i za-wisał głową w dół, czekając na kolejny rozkaz. Jasne. Ci z Hollywoodu wpadli na wszystko, tylko nie na to, że rządowa biurokracja pożera tony papieru.

Bez pisemnego polecenia nic się nigdy nie działo – tylko dobra podkładka, zapisany atramentem dokument był w stanie uratować komuś tyłek, gdyby sprawy poszły nie tak –

więc jeśli już trzeba było kogoś zabić, któryś z szefów musiał podpisać wyraźny rozkaz, a 386

kto by taki rozkaz podpisał? Przecież to niepodważalny dowód, że doszło do czegoś złego, bezprawnego, zapis zbrodni, który prędzej czy później dotrze aż do Gabinetu Ovalnego, a nie jest to raczej dokument z rodzaju tych, które trafiają potem do prezydenckiej biblioteki, żeby po wsze czasy upamiętnić poczynania człowieka, znanego jako szef Białego Domu i naczelny dowódca. Ci ze środkowego szczebla też by czegoś takiego nie podpisali, bo urzędnicy rządowi nie lubią się po prostu wychylać – tak ich nauczono.

Wszystkich z wyjątkiem mnie, pomyślał Ryan. Ale nie zabiłby nikogo z zimną krwią.

Strzelając do Seana Millera, owszem, był wzburzony, ale nie aż tak bardzo i chociaż uważał, że jest to dość dziwny powód do dumy, z pewnością lepsze było to, niż mordowanie kogoś z premedytacją.

Nie, nie bał się wychylić. Tracąc rządową pensję, tylko by na tym zyskał. Mógłby wrócić do nauczania. Na jakimś małym, prywatnym uniwersytecie. Pobierałby w miarę przyzwoitą pensję i dorabiałby na boku, handlując akcjami, czego obecna praca wcale mu nie ułatwiała...

I co, do diabła, mam teraz robić? Najgorzej, że uważał się za katolika. Może nie bywał co tydzień w kościele. Może nie nazwą jego imieniem żadnego kościoła, ale cholera jasna, chodził do katolickich szkół, w sumie spędził u jezuitów dwanaście lat, dlatego papież był kimś, kogo bardzo szanował, kogo po prostu musiał szanować. Poza tym, co równie ważne, służył

kiedyś w Korpusie Piechoty Morskiej Stanów Zjednoczonych. Nauczono go tam, że jeśli widzisz coś, co trzeba zrobić, to robisz to z nadzieją, że przełożony cię potem pochwali, ponieważ zdecydowanie nieraz uratowało honor korpusu. „Dużo łatwiej jest uzyskać przebaczenie niż pozwolenie”, mawiał

na szkoleniu ich major i z uśmiechem dodawał: „Tylko mnie nie cytujcie”. Po prostu trzeba było umieć oceniać swoje szanse, a to przychodziło wraz z doświadczeniem. Problem w tym, że doświadczenia nabywało się, podejmując błędne decyzje.

Masz ponad trzydzieści lat, Jack, i doświadczenia, jakich nigdy nie chciałeś mieć: to niemożliwe, żeby niczego cię nie nauczyły. Do tej pory byłby pewnie już kapitanem. Może nawet majorem, jak Billy Tucker, który ich szkolił. Do biblioteki wrócił Kingshot.

– Al, mamy problem – zaczął Ryan.

– Wiem. Rozmawiałem z sir Basilem. Już nad tym pracuje.

– Jesteś agentem. Co o tym myślisz?

– Jack, to przekracza moje kompetencje.

– I co? – warknął Ryan. – Tak po prostu pstryk! i wyłączasz sobie mózg?

– Nie możemy zdradzić źródła informacji – odwarknął Kingshot. – To teraz najważniejsze.

– Al, wiemy, że ktoś chce zabić głowę mojego kościoła. Znamy jego nazwisko, a Nick ma cały album zdjęć sukinsyna. – Ryan nabrał powietrza. – Nie zamierzam siedzieć tu z założonymi rękami – oświadczył, zapominając na chwilę o obecności Zajcewa.

– Z założonymi rękami? – powtórzył zaskoczony Rosjanin, z trudem nadążając za szybką wymianą zdań. – To znaczy, że nic nie zrobicie? Ja ryzykuję życie, a wy nic nie zrobicie?

Odpowiedział mu Kingshot:

387

– To nie od nas zależy. Nie możemy zdradzić źródła informacji, Olegu Iwanowiczu. To znaczy pana. Musimy pana strzec.

– Kurwa! – Ryan wstał i wyszedł. Tylko co, do diabła, mógł zrobić? Poszukał STU, podniósł słuchawkę i wybrał numer.

– Murray.

– Dan? Mówi Jack.

– Co się z tobą działo? Dzwoniłem dwa dni temu, ale Cathy powiedziała, że jesteś w Niemczech, że NATO czy coś tam. Chciałem...

- Chuj z tym. – Nie ma to jak żołnierski język. – Byłem zajęty. Posłuchaj. Potrzebuję informacji, i to szybko.
- Wal.
- Chcę znać harmonogram zajęć papieża na najbliższy tydzień. – Był piątek. Ryan miał nadzieję, że biskup Rzymu będzie w ten weekend odpoczywał.
- Co? – spytał zaskoczony Murray.
- Ogluchłeś?
- Ale po cholere?
- Nie mogę nic... Dan, mamy powody przypuszczać, że chcą go zabić.
- Kto?
- Na pewno nie Rycerze Kolumba.
- Cholera, ty poważnie?
- A jak myślisz?
- Dobra. Dobra. Zaraz podzwonię. Co im mogę powiedzieć? Ryan zaniemówił. Myśl, chłopie, myśl!
- Dzwonisz jako osoba prywatna. Twój kumpel jedzie do Rzymu i chce na własne oczy zobaczyć Jego Świątobliwość. Spytasz, jak to zrobić. Kapujesz?
- Co na to Langley?
- Dan, szczerze mówiąc, mam to w dupie. Załatw to, dobra? Przekręcę za godzinę.
- OK, za godzinę. – Murray odłożył słuchawkę. Jack wiedział, że można mu zaufać. Podobnie jak wielu agentów specjalnych FBI, on też skończył jezuitów, a konkretnie Boston College, tak samo jak Ryan, więc łączyły ich więzy szczególnej przyjaźni. Oddychając nieco lżej, Jack wrócił do książęcej biblioteki.
- Do kogo dzwoniłeś? – spytał Kingshot.
- Do Dana Murraya z ambasady. Powinieneś go znać.
- Attaché prawny. Tak, znam go. O co go prosiłeś?
- O harmonogram papieża na ten weekend.
- Przecież niczego jeszcze nie wiemy.

– I lepiej się przez to czujesz?

– Chyba nie powiedziałeś mu, że...

– Że mamy Królika? Myślisz, że jestem aż tak głupi?

Kingshot pokręcił głową.

– Dobra. Nic się nie stało.

Przez kolejną godzinę przesłuchanie toczyło się rutynowo. To, co Zajcew opowiedział im o Ministrze, wystarczyło, żeby natychmiast rozpocząć poszukiwania. Było oczywiste, że Kingshot chciałby obdrzeć go żywcem ze skóry. Równie oczywiste było to, że przez dwadzieścia lat Minister przekazywał KGB wprost bezcenne informacje. Był mężczyzną – Zajcew nie miał co do tego wątpliwości – prawdopodobnie starszym urzędnikiem państwowym w Whitehall ale już wkrótce – na okres bliżej nieokreślony – miał przejść na utrzymanie rządu Wielkiej Brytanii: „Na życzenie Jej Królewskiej Mości”, jak brzmiała oficjalna formułka. Ale Ryan miał na głowie pilniejsze sprawy. O czternastej dwadzieścia ponownie zadzwonił do Murraya.

– Dan, tu Jack.

– Rzymska ambasada mówi, że ma pracowity weekend – zaczął bez wstępów Murray. –

W środy po południu ma audiencję dla wiernych. Jeździ po placu otwartym białym dżipem, żeby go widzieli, i błogosławi zgromadzonych. Otwartym dżipem, Jack, więc jeśli chcą go skasować, trudno o lepszy moment. Chyba że przeniknęli do jego najbliższego otoczenia.

Sprzątacze, hydraulik, elektryk, cholera go wie, ale trzeba założyć, że ci, którzy mają do niego dostęp, są pewni.

Jasne, pomyślał Ryan. I właśnie ci pewni mają najwięcej okazji, żeby coś takiego zrobić.

Zawieść cię mogą jedynie ci, którym ufasz. Cholera. Najlepiej by było, gdyby zajęli się tym ci z wywiadu, ale wprowadzenie ich do watykańskich urzędów – najstarszej maszyny biurokratycznej świata – wymagałoby boskiej interwencji.

– Dzięki, stary. Masz u mnie piwo.

– *Semper fi*, Jack. Wygląda na to, że kroi się coś dużego. Powiesz mi coś więcej?

– Chyba nie, ale to nie ode mnie zależy. Muszę kończyć. Na razie. – Ryan odłożył słuchawkę i wrócił

do biblioteki.

Gdy słońce zawisło nad skrajem dziedzińca, na stole pojawiła się butelka Loire Valley, białego i prawdopodobnie bardzo starego. Pokryta warstwą kurzu, musiała leżeć w piwnicy kawał czasu, a piwnice domu takiego jak ten na pewno nie prowadziły tanich sikaczy.

– Zajcew zna dość szczegółowe dane na temat tego Ministra – rzucił Kingshot. Nie musiał dodawać, że reszta jest tylko kwestią tego, jak je z niego wyciągnąć. Nazajutrz mieli sprowadzić tu doświadczonych psychologów, może psychiatrów, może nawet hipnotyzerów. Ryan nie wiedział, czy takie sesje przynoszą jakiś skutek; niektórzy policjanci twierdzili, że tak, ale adwokaci dostawali piany na ustach, więc w sumie nie miał pojęcia, jak to naprawdę jest. Szkoda, że Zajcew nie zwiął z plikiem zdjęć akt KGB, ale równie dobrze mogliby go prosić, żeby wsadził głowę pod ostrze gilotyny i zawołał kata. Ale to nic, bo pamięć miał naprawdę imponującą.

389

Czy to możliwe, żeby go podstawili? Że miał ich zmylić, wcisnąć CIA fałszywe informacje? Tak, możliwe, ale przekonają się o tym dopiero wtedy, gdy zidentyfikują agentów, któ-

rych kryptonimami sypał. Jeśli Minister współpracował z Rosjanami, jego wartość można będzie oszacować po jakości informacji, jakimi handlował. Rosjanie nie wiedzieli, co znaczy lojalność w stosunku do agenta – w przeciwieństwie do Amerykanów, nigdy, dosłownie ani razu nie próbowali wyciągnąć swoich ludzi z amerykańskich czy brytyjskich więzień, w któ-

rym ci mieli gnić do końca życia. Nie, agent był dla nich kimś w rodzaju człowieka jednorazowego użytku, którego po użyciu po prostu się wyrzucało, udekorowawszy go przedtem

„tajnym” orderem, którego uhonorowany tym zaszczytem biedak nigdy nie będzie nosił.

Dziwne. Pod wieloma względami Komitet Bezpieczeństwa Państwowego działał bardzo profesjonalnie: czyżby nie wiedzieli, że lojalność w stosunku do swoich jest najlepszą zachętą dla innych agentów? Być może była to kwestia ich narodowej filozofii, która wypierała zdrowy rozsądek. W Związku Radzieckim to typowe.

Szesnasta. W Langley musieli się już obudzić. Popatrzył na Zajcewa.

– Olegu Iwanowiczu, czy KGB rozpracowało nasze STU?

– Chyba nie. Nie jestem pewien, ale wiem, że mamy w Waszyngtonie agenta o kryptonimie Cricket, którego prosiliśmy o informacje na ten temat. Jak dotąd nic nam nie przysłał.

KGB boi się z kolei, że CIA rozpracowała nasz system łączności telefonicznej, dlatego ważne informacje przekazujemy inaczej.

- Dzięki. – Ryan wyszedł do sąsiedniego pokoju i podniósł słuchawkę.
- James Greer, słucham.
- Mówi Jack.
- Podobno Królik jest już w nowej klatce – rzucił na powitanie szef wydziału do spraw wywiadu.
- Tak jest, panie admirale. I twierdzi, że nasz system łączności jest w porządku, łącznie ze STU. Pierwsze doniesienia musiały być przesadzone albo źle zinterpretowane.
- A złe nowiny? – spytał ostrożnie Greer. – Pewnie jakieś są.
- Niestety. Jurij Andropow chce zabić papieża.
- To pewne?
- Panie admirale, właśnie z tego powodu Zajcew postanowił uciec. Za dwa dni prześlę panu dokładny stenogram przesłuchania, ale tak, sprawa jest absolutnie pewna: KGB organizuje zamach na papieża. Znamy nawet numer referencyjny operacji. Na pewno zechce pan zawiadomić o tym dyrektora i NCA.
- Rozumiem... – odrzekł wiceadmirał Greer z odległości prawie pięciu i pół tysiąca kilometrów. – No to mamy problem.
- Jak cholera. – Ryan wziął głębszy oddech. – Co możemy zrobić?
- Właśnie w tym problem, chłopcze. Po pierwsze, czy w ogóle możemy. Po drugie, czy chcemy.
- Czy chcemy? – powtórzył Ryan i zabrzmiało to prawie tak, jakby sprzeciwiał się przedłożonemu. – Dlaczego mielibyśmy nie chcieć?

390

– Spokojnie, synu. Dokładnie to sobie przemyśl. Naszym najważniejszym zadaniem jest ochrona interesów Stanów Zjednoczonych Ameryki i niczyich więcej; no, sojuszników też oczywiście – dodał pod magnetofony, które nagrywały ich rozmowę. – Ale powtarzam, przede wszystkim musimy dochować wierności fladze Stanów Zjednoczonych, a nie papieżowi czy komukolwiek innemu. Tak, spróbujemy mu pomóc i jeśli będziemy mogli, na pewno pomożemy. Jeśli nie, trudno.

– Rozumiem – odrzekł Ryan przez zaciśnięte zęby. A co z dobrem i złem? Nie, z tym pytaniem musiał trochę poczekać.

– Zwykle nie szastamy tajnymi informacjami i dobrze wiesz, że ucieczka tego człowieka jest i będzie najpilniej strzeżoną tajemnicą.

– Tak jest. – Ale przynajmniej tajemnicą, którą można podzielić się z obcokrajowcami.

Brytyjczycy byli obcokrajowcami. Wiedzieli już o Beatrix i o Zajcewie, ale Brytyjczycy niechętnie dzielili się informacjami, czasami z nimi, z Amerykanami, lecz zwykle żądali czegoś w zamian. Tak to już było. Ryan też nie miał prawa wspominać o niektórych rzeczach. Talent Keyhole: informacje zebrane dzięki sieci amerykańskich satelitów szpiegowskich, dane, któ-

re CIA i Pentagon przekazywały Anglikom podczas wojny o Falklandy wraz ze wszystkimi przekazami przechwyconymi z Ameryki Południowej przez Agencję Bezpieczeństwa Narodowego. Cóż, krew jest gęstsza od wody. – Panie admirale, jak to będzie wyglądało w gazetach, jeśli okaże się, że Centralna Agencja Wywiadowcza wiedziała o grożącym papieżowi niebezpieczeństwie i siedziała z założonymi rękami?

– Czy to...

– Pogróżka? Nie, panie admirale. Zawsze przestrzegam zasad i dobrze pan o tym wie.

Ale ktoś może zacząć mówić tylko dlatego, że się wkurzy, a wtedy będziemy musieli za to zapłacić, i to cholernie dużo.

– Rozumiem. Masz jakiś pomysł?

– To przekracza moje kompetencje, panie admirale, ale uważam, że musimy przedsięwziąć jakieś kroki.

– Nasz nowy przyjaciel powiedział coś jeszcze?

– Podał nam kryptonimy trzech agentów KGB. Minister. Pracuje w Whitehall i dostarcza im informacji na temat brytyjskiej polityki zagranicznej. Neptun. Ma coś wspólnego z amerykańską marynarką wojenną i to on stanowi najpoważniejszą groźbę dla bezpieczeństwa naszych systemów komunikacyjnych. Ci z moskiewskiej Centrali czytają nasze depesze, panie admirale. Kassjusz. Jest doradcą któregoś z wpływowych polityków z Kapitolu. Między innymi dostarcza Rosjanom wiadomości na nasz temat...

– Na nasz, to znaczy o CIA? – przerwał mu Greer z nagłym zatroskaniem w głosie.

Bez względu na to, jak starym graczem się było, bez względu na to jak doświadczonym, myśl, że przeciwnik mógł zinfiltrować Agencję, napawała koszmarnym przerażeniem.

– Tak – odrzekł Ryan. Nie musiał nic dodawać. Nikt z Langley nie czuł się zbyt dobrze, wiedząc, że

najważniejsze informacje wywiadowcze trafiają do różnych „nadzwyczajnych”

komisji Izby Reprezentantów i Senatu. Ostatecznie politycy zarabiali na życie gadaniem. Nie ma nic trudniejszego, niż zamknąć takiemu usta. – Panie admirale, Zajcew jest kopalnią bez-cennych informacji. Skończymy z nim tu za dwa, trzy dni, ale pełne przesłuchanie potrwa 391

wiele miesięcy. Poznałem jego żonę i córkę. Są bardzo mili. Swietłana jest w wieku Sally. Ten człowiek bardzo nam się przyda. To prawdziwa żyła złota.

– Jak się tam czuje?

– W tej chwili jest pewnie w stanie szoku. Zastanawiałbym się, czy w okresie aklimatyzacji nie powinien zająć się nim psychiatra. Może nawet kilku. Dobrze by było, żeby się przystosował. Żeby nabrał pewności siebie. To niełatwe, ale na pewno się opłaci.

– Mamy tu odpowiednich ludzi. Spróbują im pomóc. Czy istnieje ryzyko, że zechce uciec?

– Moim zdaniem nic o tym nie świadczy, ale musimy pamiętać, że dokonał wielkiego skoku i wylądował w miejscu, które jest dla niego czymś w rodzaju obcej planety.

– Rozumiem. Celna uwaga, Jack. Coś jeszcze?

– Nie, na razie to wszystko. Rozmawiamy z nim dopiero od pięciu godzin, ale już z tego widać, że wody są piekielnie głębokie.

– Dobrze. Arthur dzwoni właśnie do Basila. Przekażę mu twoje spostrzeżenia. Aha, Bob Ritter wrócił z Korei. Jest zmęczony i zaspany. Opowiemy mu o twojej przygodzie. Jeśli spróbuje odgryźć ci głowę, to będzie wyłącznie nasza wina. Moja i sędziego.

Ryan wbił wzrok w dywan. Nie bardzo rozumiał, dlaczego Ritter go nie lubi, ale cóż, nie przysyłali sobie bożonarodzeniowych kart, i tyle.

– Wielkie dzięki, panie admirale.

– Nie ma za co. Dobrze się spisałeś, chłopcze.

– Dziękuję. W każdym razie nie potknąłem się o własne nogi. Przynajmniej tyle mogę powiedzieć na pewno.

– I słusznie. Napisz raport i jak najszybciej mi go przefaksuj.

Dyżurujący w moskiewskiej ambasadzie Mike Russell odebrał faks. Dziwne, ale był to faks graficzny i przedstawiał okładkę pierwszego wydania *Królika Piotrusia* Beatrix Potter.

Na dole widniał adres odbiorcy i odręczny dopisek: *Pileczka, Kuleczka i Puszysty Ogonek są już w nowej klatce.*

A więc jednak, pomyślał Russell. Namierzyli Królika i udało im się go ewakuować. Chociaż nie miał co do tego całkowitej pewności, znał szpiegowski żargon. Wyszedł na korytarz i zapukał do drzwi Eda Foleya.

– Wlazł! – krzyknął z gabinetu Ed.

– Z Waszyngtonu. – Mike podał mu faks.

– Bardzo dobrze... – Foley złożył kartkę i schował ją do kieszeni marynarki: dla Mary Pat. – Wynika z tego coś jeszcze. Zauważyłeś?

– Nie. Co?

– Nasz system łączności jest bezpieczny. W przeciwnym razie przysłaliby to kurierem.

– I dzięki Bogu – westchnął z ulgą Russell.

392

Rozdział 30

Amfiteatr flawiuszów

– Że co? – warknął Ritter. – Ryan?

– Uspokój się, Bob. Po co te nerwy? – odrzekł James Greer głosem na wpół kojącym, na wpół wyzywającym. Sędzia Moore obserwował ich z nieukrywaniem rozbawieniem. –

Uczestniczył w akcji jako obserwator, bo nikogo innego nie mieliśmy. Nie zawalił, nie dał plamy. Nasz uciekinier jest już w Anglii i z tego, co wiemy, śpiewa jak kanarek.

– Co mówi?

– Po pierwsze – odezwał się Moore – Andropow organizuje zamach na papieża.

Ritter gwałtownie odwrócił głowę.

– To wiarygodne?

– Właśnie to skłoniło Królika do ucieczki – wyjaśnił Moore. – Sumienie, Bob, sumienie.

– Dobrze. Co jeszcze?

– Wszystko wskazuje na to, że nasz Królik – nazywa się Oleg Iwanowicz Zajcew – jest starszym oficerem łącznościowym w moskiewskiej Centrali KGB.

Ritter zaniemówił.

– O cholera... – szepnął po chwili. – O cholera. Wy poważnie?

– Wiesz, czasem bywa tak, że wrzucasz do automatu ćwierć dolara, ciągniesz za wajchę i wygrywasz główną wygraną.

– A niech mnie – wykrztusił Ritter.

– Wiedziałem, że nie będziesz miał nic przeciwko temu – kontynuował sędzia. – Ale najlepsze jest to, że Rosjanie nie wiedzą o jego ucieczce.

– Jakim cudem?

– Dzięki Foleyom. – Moore opowiedział mu, jak to zorganizowali. – Musisz ich pogłaskać po główce, Bob. Oboje na to zasłużyli.

– Cholera, że też akurat wyjechałem..

– Siadaj i pisz listy pochwalne – rzucił Greer. – W tym list dla Jacka.

– Chyba będę musiał... – Ritter zamilkł na chwilę, rozważając pozostałe konsekwencje wypływające z operacji Beatrix. – Powiedział coś jeszcze?

– Oprócz tego, że Rosjanie chcą zabić papieża? Podał nam kryptonimy dwóch agentów: Neptun – pracuje w naszej marynarce wojennej – i Kassjusz z Kapitolu. Na pewno powie dużo więcej.

– Kilka minut temu rozmawiałem z Ryanem. Zajcew wywarł na nim duże wrażenie. Ma ponoć encyklopedyczną wiedzę i jest, tu cytuję Jacka: „prawdziwą żyłą złota”.

– A on się na złocie zna – zauważył sędzia Moore.

– Świetnie, niech faceta poprowadzi, ale agentem nie był i nie będzie – gderał Ritter.

393

– Bob, Ryan świetnie sobie poradził. Czyżbyś chciał go za to ukarać? – Sprawa zaszła za daleko. Moore uznał, że pora przemówić głosem sędziego sądu apelacyjnego, którym do niedawna był, czyli głosem Boga.

– Dobrze, Arthurze. Chcesz, żebym napisał list pochwalny? – Ritter dostrzegł nadjeżdżający pociąg i wiedział, że trzeba szybko zejść z torów. Zresztą co tam. List i tak trafi do akt.

Wyróżnienia i pochwały rzadko kiedy oglądały światło dzienne. Agencja utajniła nawet nazwiska agentów, którzy zginęli bohaterską śmiercią przed trzydziestu laty. Były to takie tylne drzwi do nieba – drzwi à la CIA, rzecz jasna.

Narada jakoby poważnych i opanowanych dyrektorów zaczynała się sypać, więc Greer postanowił zainterweniować:

– Dobrze, panowie. Skoro załatwiliśmy już sprawy administracyjne, powróćmy do spi-sku na życie papieża.

– Czy ta informacja jest absolutnie pewna? – spytał Ritter.

– Przed chwilą rozmawiałem z Basilem. Uważa, że powinniśmy potraktować to bardzo poważnie, ale myślę, że najpierw musimy pogadać z tym Zajcewem. Dopiero wtedy bę-

dziemy mogli stwierdzić, jak wielkie niebezpieczeństwo grozi naszemu polskiemu przyjacielowi.

– Powiesz prezydentowi?

Moore pokręcił głową.

– Dzisiaj cały dzień jest zajęty sprawami legislacyjnymi, a wieczorem leci do Kalifornii.

W niedzielę i poniedziałek będzie przemawiał w Oregonie i Kolorado. Mam się z nim zobaczyć dopiero we wtorek o czwartej. – Sędzia mógłby poprosić o pilne, nadzwyczajne spotkanie – w sprawach wielkiej wagi miał do tego prawo – ale przed rozmową z Zajcewem rzecz nie wchodziła w rachubę. Zresztą niewykluczone, że prezydent zechce porozmawiać z Rosjaninem osobiście. Taki już był.

– W jakim stanie jest nasza rzymska placówka? – spytał Rittera Greer.

– Siedzi tam Rick Nolfi. Jest niezły, ale za trzy miesiące przechodzi na emeryturę. Rzym to jego pożegnanie. Sam prosił, żebyśmy go tam wysłali. Jego żona Anne kocha Włochy. Ma sześciu ludzi, głównie speców od NATO. Dwóch doświadczonych, czterech świeżych. Ale zanim postawimy ich na nogi, musimy tę sprawę dobrze przemyśleć. Nie zaszkodzi też pogadać z prezydentem. Problem polega na tym, jak ich zawiadomić, nie zdradzając źródła informacji? Panowie, przecież to oczywiste: skoro zadaliśmy sobie tyle trudu, żeby ukryć jego ucieczkę, czy jest teraz sens rozdawać wszystkim to, co nam sprzeda?

– Tak, to rzeczywiście problem. – Moore musiał się z nim zgodzić.

– Papież ma ochronę – kontynuował Ritter. – Ale jego ludzie nie mają takiej swobody jak nasi. Poza tym nie wiemy, co umieją i czy można na nich polegać.

– To stara historia – mówił Ryan. – Jeśli zaczniemy szastać informacjami, zdradzimy ich źródło, które natychmiast straci swoją użyteczność. Ale jeśli tych informacji nie wykorzystamy, bojąc się, że zdradzimy źródło, to po jaką cholere zadawaliśmy sobie tyle trudu i w 394

ogóle po co nam te pieprzone informacje? – Dopił wino i sięgnął po butelkę. – Nawet książkę o tym napisano.

– Tak? Jaką?

– *Double-Edged Secrets*. Jasper Holmes. Podczas drugiej wojny światowej służył w marynarce wojennej, jako łącznościowiec we FRUPAC, w Radiu Floty Pacyfiku. Współpracował z Joem

Rochefortem i jego chłopakami. Bardzo dobra rzecz. Pokazuje, jak działał wywiad tam, gdzie było naprawdę gorąco.

Kingshot zapamiętał tytuł i postanowił, że przy okazji ją przeczyta. Zajcew był na trawniku – bardzo zielonym, soczystym i mięciutkim – z żoną i córeczką. Pani Thompson miała zabrać ich na zakupy. Musieli dać im choć trochę prywatności – ich sypialnia była oczywi-

ście na podsłuchu, łazienka też: założyli tam nawet filtr białych szumów – ponieważ poczucie bezpieczeństwa i zadowolenie rodziny było kluczowe dla powodzenia całej operacji.

– Cokolwiek Rosjanie zaplanowali, zajmie im to trochę czasu – powiedział Alan. – Ich biurokracja jest jeszcze gorsza od naszej.

– KGB też? Zawsze myślałem, że KGB funkcjonuje sprawnie, a Jurij Andropow słynie z niecierpliwości. Pamiętasz? W pięćdziesiątym szóstym był ambasadorem w Budapeszcie.

Działali wtedy szybko i zdecydowanie.

– Bo Budapeszt zagrażał ich systemowi – zauważył Kingshot.

– A papież nie zagraża? – odparował Jack.

– Fakt, tu mnie masz.

– W środę. Tak powiedział Dan. W każdą środę objeżdża dziupem plac Świętego Piotra.

Tak, pokazuje się w oknie, żeby pobłogosławić wiernych i dobry snajper mógłby go wtedy zdjąć, ale karabin za bardzo rzuca się w oczy. Poza tym karabin to wojsko, a wojsko to rząd...

Tego rodzaju wystąpienia publiczne są chyba nieregularne i nie planuje się ich z dużym wyprzedzeniem, ale cholera, w każdą środę facet wsiada do otwartego samochodu i jeździ po tym pieprzonym placu. Wśród tłumów ludzi, Al, wśród tłumów ludzi. Wystarczy zwykły pistolet. – Ryan usiadł wygodniej i wypił łyk wina.

– Nie wiem, czy chciałbym strzelać z tak małej odległości.

– Na Trackiego nasłali faceta z czekaniem – przypomniał mu Jack. – Zasięg działania?

Najwyżej sześćdziesiąt centymetrów. Tak, oczywiście, sytuacja jest zupełnie inna, ale odkąd to Rosjanom zależy na swoich ludziach? Poza tym nie zapominaj, że to ma być Bułgar. Nick twierdzi, że ten skurwiel jest doświadczonym zabójcą. A zawodowcy potrafią cuda. W Quantico był taki sierżant. Facet brał czterdziestkę piątkę i z odległości piętnastu metrów wypisywał na tarczy swoje nazwisko. Widziałem to na własne oczy. – Ryan też umiał strzelać, ale na pewno nie tak dobrze.

– Za bardzo się tym przejmujesz, Jack.

– Może. Ale czułbym się o niebo lepiej, gdyby Jego Świątobliwość występował na placu w

kamizelce kuloodpornej. – Rzecz w tym, że papież nigdy by jej nie włożył. Ludzie tacy jak on nie znali uczucia zwykłego strachu. Nie, żeby uważał się za niepokonanego, jak niektórzy zawodowi żołnierze. On po prostu nie bał się śmierci. Powinien się tak czuć każdy dobry katolik, ale Ryan tak się nie czuł. W każdym razie niezupełnie.

395

– To co mamy robić? – spytał Kingshot. – Szukać w tłumie czyjejs twarzy? A skąd wiadomo, że to akurat ta twarz? Skąd wiadomo, że ten Strokow kogoś nie wynajął? Kurczę, nie wyobrażam sobie, że mógłbym strzelać do kogoś w tłumie ludzi.

– Bierzesz pistolet z tłumikiem, takim długim, cylindrycznym. Hałas prawie żaden, niebezpieczeństwo dużo mniejsze. Pamiętaj, że wszyscy patrzą na twój cel, a nie na ciebie.

– To prawda.

– Cholernie łatwo jest znaleźć powód, żeby nic nie robić. Czy to nie dr Johnson powiedział, że nic nie robić może każdy? A my właśnie to robimy: cały czas szukamy powodu, żeby nic nie robić. Pozwolimy temu człowiekowi zginąć? Będziemy tu siedzieli, pili wino i czekali, aż Rosjanie go zabiją?

– Nie, ale nie możemy też wjechać w to wszystko jak czołgiem. Tego rodzaju operacja musi być zaplanowana, profesjonalnie i przez profesjonalistów. Zawodowiec może dużo, ale najpierw musi dostać rozkaz.

Problem w tym, że rozkazy wydawał ktoś inny.

– Pani premier, mamy podstawy przypuszczać, że KGB organizuje zamach na papieża –

zameldował sir Basil. Poprosił o pilne spotkanie, zakłócając harmonogram jej popołudnio-wych spotkań politycznych.

– Doprawdy? – spytała oschle. Zdążyła już przywyknąć do tego, że szef wywiadu mówi czasem bardzo dziwne rzeczy i starała się nie reagować zbyt gwałtownie. – Skąd ta wiadomość?

– Kilka dni temu opowiadałem pani o operacji „Beatrix”. Razem z Amerykanami udało nam się tego człowieka ewakuować. Co więcej, zorganizowaliśmy to tak, że Rosjanie są przekonani o jego śmierci. Przebywa teraz w jednym z naszych domów pod Manchesterem.

– Amerykanie już wiedzą?

– Tak. Ostatecznie to oni go namierzeli. Za kilka dni zabierają go do Stanów, ale rozmawiałem dzisiaj z Arthurem Moore’em, dyrektorem Centralnej Agencji Wywiadowczej. Na początku przyszłego tygodnia zamelduje o tym prezydentowi.

– Myśli pan, że Amerykanie zainterweniują?

– Trudno powiedzieć. To bardzo ryzykowne. Ten uciekinier, ma na imię Oleg, jest niezwykle cennym nabytkiem, dlatego musimy zrobić wszystko, żeby utrzymać jego tożsamość w tajemnicy. Jego tożsamość oraz fakt, że jest teraz po tej stronie żelaznej kurtyny. To, w jaki sposób moglibyśmy ostrzec Watykan, jest niezmiernie skomplikowaną kwestią natury politycznej.

– Czy Rosjanie naprawdę mogą się do tego posunąć? – spytała pani premier. Trudno w to było uwierzyć, chociaż wiedziała, że stać ich niemal na wszystko.

– Na to wygląda – odrzekł sir Basil. – Oczywiście nie znamy szczegółów, ale tak, mogą.

– Rozumiem. – Pani premier milczała przez chwilę. – Nasze stosunki z Watykanem są serdeczne, ale niezbyt bliskie. – I to już od czasów Henryka VIII, chociaż Kościół katolicki powoli o tej sprawie zapominał.

396

– Niestety.

– Rozumiem... – powtórzyła pani premier i ponownie popadła w zadumę. – Rząd Jej Królewskiej Mości nie zamierza patrzeć beczynn timer, jak nasi przeciwnicy mordują głowę zaprzyjaźnionego z nami państwa – oświadczyła dostojnie i z mocą. – Sir Basilu, proszę przyrzeć się tej sprawie i przeanalizować możliwość podjęcia kroków, które mogłyby temu zapobiec.

Niektórzy strzelają z biodra, pomyślał Charleston. Inni z serca. Mimo pozornej surowości, szefowa rządu Zjednoczonego Królestwa należała do tych ostatnich.

– Dobrze, pani premier. – Sęk w tym, że nie powiedziała mu, jak, do diabła, ma to zrobić.

Będzie musiał pogadać z Arthurem. Ale teraz miał na głowie zadanie co najmniej trudne. Bo konkretnie co miał zrobić? Wysłać tam oddział SAS?

Ale takich rzeczy pani premier się nie mówiło, przynajmniej nie w sali konferencyjnej przy Downing Street numer 10.

– Czy ten uciekinier powiedział coś jeszcze?

- Tak. Podał nam kryptonim rosyjskiego agenta w Whitehall: Minister. Gdy tylko zdobędziemy więcej informacji na ten temat, zajmie się nim służba bezpieczeństwa.
- Jakiego rodzaju informacje im przekazuje?
- Polityczne i dyplomatyczne. Oleg twierdzi, że pochodzą z bardzo wysokiego szczebla, ale na razie wiemy za mało, żeby tego człowieka zidentyfikować.
- Interesujące... – Sprawa nie była nowa i kojarzyła się z „Piątką Wspaniałych”, siatką agentów zwerbowanych przez Rosjan przed wojną na uniwersytecie w Cambridge i rozpracowanych dopiero w latach sześćdziesiątych. Charleston oczyścił z nich wywiad, ale Whitehall raczej mu nie podlegał.
- Proszę informować mnie na bieżąco. – Zwykle polecenie służbowe pani premier miało moc przykazania spisanego na granitowej płycie z góry Synaj.
- Oczywiście, pani premier.
- Czy pomogłaby w tej sprawie moja rozmowa z prezydentem?
- Moim zdaniem lepiej by było, gdyby najpierw porozmawiał z nim dyrektor CIA. Nie ma sensu doprowadzać do śpięć w ich systemie. Ostatecznie pomysł operacji wyszedł od nich.
- Tak, ma pan rację. Ale kiedy już do niego zadzwonię, chciałabym, żeby wiedział, że rozmawiamy o sprawie najwyższej wagi i że oczekuję od niego konkretnych działań.
- Pani premier, nie przypuszczam, żeby go to nie poruszyło.
- Tak, to porządny człowiek. – Pełna historia pomocy, jakiej Amerykanie udzielili Anglikom podczas wojny o Falklandy, nie ujrzy światła dziennego przez wiele dni, a może nawet lat – Stany Zjednoczone musiały przecież dbać o dobre stosunki z Ameryką Południową. Ale pani premier nie należała do ludzi, którzy o czymś takim zapominają.
- Wracając do operacji „Beatrix”. Czy przeprowadzono ją sprawnie?
- Bezbłędnie, pani premier – zapewnił Charleston. – Nasi ludzie nie zawiedli.
- Ufam, że zostaną za to wynagrodzeni.

- Oczywiście, pani premier.
- To dobrze. Dziękuję, że zechciał mnie pan odwiedzić, sir Basilu.

– Zawsze robię to z wielką przyjemnością, pani premier. – Gdy wstawał, przyszło mu do głowy, że Ryan nazwałby ją „równą babką”. I taką chyba była. Przez całą drogę do Century House łamał sobie głowę nad operacją, którą musiał teraz zorganizować. Zorganizować, ale dokładnie co i jak? Musiał coś wymyślić: ostatecznie pobierał za to wysoką pensję.

– Cześć, kochanie.

– Gdzie jesteś? – spytała natychmiast Cathy.

– Już w Anglii, ale nie mogę powiedzieć gdzie. Sprawy trochę się skomplikowały i muszę jeszcze zostać.

– Nie możesz wpaść chociaż na chwilę?

– Raczej nie. – Mógłby, ale bał się, że rozwali się na jakiejś bocznej drodze. – Co u was?

Wszystko w porządku?

– Tak, oprócz tego, że ciebie nie ma – odrzekła Cathy z nutką gniewu i rozczarowania w głosie. Jednego była pewna: Jack dokądś wyjechał, ale na pewno nie do Niemiec. Oczywiście nie mogła powiedzieć tego przez telefon. Tyle z tego szpiegowania rozumiała.

– Przykro mi, skarbie. Zrozum, to bardzo ważne.

– Na pewno. – Wiedziała, że Jack wolałby być teraz w domu, z rodziną. Nie należał do mężczyzn, którzy lubią wyjeżdżać.

– Co w pracy?

– Cały dzień okulary. Ale jutro rano mam zabieg. Zaczekaj. Sally chce z tobą porozmawiać.

W słuchawce zabrzmiał jej cieniutki głosik:

– Cześć, tato.

– Cześć, Sally. Jak się masz?

– Dobrze. – Dzieci zawsze tak odpowiadają.

– Co dziś robiłaś?

– Kolorowałam z panną Margaret.

– Coś ładnego?

– Tak, krówki i koniki! – odrzekła z wielkim entuzjazmem; uwielbiała kolorować, zwłaszcza konie i

pelikany.

– Sally, muszę porozmawiać z mamusią...

– Dobrze. – Puszczając *Czarnoksiężnika z Krainy Oz*, pomyśli zapewne, że rozmowa z tatusiem była bardzo głęboka i ważna.

– A jak nasz mały?

– Cały czas gryzie sobie paluszki. Teraz siedzi w kojcu i ogląda telewizję.

398

– Sprawia mniej kłopotów niż Sally w jego wieku – zauważył z uśmiechem Jack.

– Dzięki Bogu, że nie ma kolki – zgodziła się z nim natychmiast pani doktor.

– Tęsknię za tobą – szepnął ze smutkiem Jack. Bo rzeczywiście tęsknił.

– Ja za tobą.

– Muszę już lecieć.

– Kiedy wrócisz?

– Za parę dni.

– Trudno. – Musiała się z tym smutnym faktem pogodzić. – Zadzwoń.

– Zadzwonię.

– Pa.

– Do zobaczenia. Kocham cię.

– Ja ciebie też.

– Pa.

– Pa.

Ryan odłożył słuchawkę i po raz setny stwierdził, że takie życie zupełnie mu nie odpowiada. Podobnie jak kiedyś jego ojciec, chciał sypiać u boku żony. Czy ojciec spędził chociaż jedną noc poza domem? Nie pamiętał. Ale on, Jack, wybrał pracę, w której nie zawsze było to możliwe. A

przecież miało być inaczej. Był analitykiem, miał pracować przy biurku i spać w domu, lecz okazało się, że nic z tego. Niech to szlag.

Na obiad podano wołowinę i yorkshire pudding. Pani Thompson mogłaby być szefową kuchni w dobrej restauracji. Jack nie wiedział, skąd pochodzi wołowina, ale była bardziej delikatna niż ta, którą jadał w Anglii przedtem. Albo kupiła ją w jakimś specjalnym sklepie –

wciąż mieli tu specjalistyczne sklepy mięsne – albo umiała ją odpowiednio zmiękczyć. Le-ciutki jak mgielka pudding, francuskie wino – obiad był po prostu boski; to ulubiony przy-miotnik Anglików.

Rosjanie zaatakowali jedzenie, jak Georgij Żukow Berlin, z apetytem i werwą.

– Olegu Iwanowiczu – przyznał Ryan w przypiływie szczerości. – Muszę panu powiedzieć, że w Ameryce rzadko kiedy jadamy tak dobrze. – Oczywiście powiedział to w chwili, gdy do jadalni weszła pani Thompson. – Jeśli kiedykolwiek będzie pani potrzebowała reko-mendacji na szefową kuchni, proszę do mnie zadzwonić, dobrze?

– Dziękuję, sir Johnie – odrzekła Emma z przyjaznym uśmiechem.

– Poważnie, to jest przepyszne.

– Jest pan bardzo miły.

Ciekawe, pomyślał, jak smakowałyby jej stek z grilla i sałatka szpinakowa Cathy. Najważniejsza to wołowina z karmionej kukurydzą krowy, którą w Anglii niełatwo było zdobyć, chociaż mógłby zadzwonić do tych z Greenham Commons i...

Obiad trwał prawie godzinę, a poobiednie drinki też były wyborne. Na cześć rosyjskich gości podano nawet starkę, a Oleg nie wylewał za kołnierz.

399

– Nawet członkowie Biura Politycznego nie jadają tak dobrze – powiedział.

– Wszystko dzięki szkockim krowom – wyjaśnił Nick Thompson, zbierając talerze. –

Aberdeen Angus, taka rasa.

– Karmią je kukurydzą? – spytał Ryan. Kukurydza w Anglii?

– Nie wiem. Japończycy poją swoje piwem, może Szkoci też.

– To by wszystko wyjaśniało – odrzekł ze śmiechem Jack. – À propos. Olegu Iwanowiczu, musi pan

napić się angielskiego piwa. Jest najlepsze w świecie.

– Angielskie? – spytał Rosjanin. – Nie amerykańskie?

Ryan pokręcił głową.

– Nie. Warzenie piwa to jedyna rzecz, którą Anglicy robią lepiej od nas.

– Naprawdę?

– Naprawdę – potwierdził Kingshot. – Ale Irlandczycy też są niezli. Uwielbiam guin-nessa, chociaż w Dublinie jest dużo lepszy niż w Londynie...

– Po co marnować go na Anglików? – odparł Jack. – Nie warto.

– Cały Irlandczyk, cholera – mruknął Kingshot. – Irlandczyk z ciebie wyłazi.

Ryan zapalił papierosa.

– Oleg, ma pan do nas jakieś zastrzeżenia? – spytał. – Dobrze się pan tu czuje?

– Nie narzekam, ale CIA nie da nam chyba tak pięknego domu.

Jack wybuchnął śmiechem.

– Olegu Iwanowiczu, jestem milionerem, ale też w takim nie mieszkam. Mogę jedynie zapewnić, że wasz nowy dom będzie wygodniejszy niż moskiewskie mieszkanie.

– Dostanę samochód?

– Oczywiście.

– Długo będę czekał?

– Na co? Na samochód?

Zajcew kiwnął głową.

– Oleg, może pan pójść do jednego z setek salonów, wybrać wóz, jaki się panu podoba, zapłacić i wrócić nim do domu. Kolor zwykle wybierają żony.

– To takie proste? – spytał z niedowierzaniem Rosjanin.

– Tak. Kiedyś miałem volkswagena rabbita, ale teraz wolę chyba naszego jaguara. Może kupię sobie taki w Stanach. Potężna maszyna. Cathy też się podoba, ale ona jest wierna porsche. Jeździła nimi jeszcze jako nastolatka. Tylko że jak ma się dwoje dzieci, to mało praktyczna zabawka. – Ryan nie przepadał za tą niemiecką dwumiejscówką. Mercedesy robiły wrażenie dużo bezpieczniejszych.

– Kupno domu też jest takie proste?

400

– To zależy. Jeśli kupuje się nowy, tak, bardzo proste. Ale jeżeli już ktoś w nim mieszka, najpierw trzeba z nim porozmawiać i złożyć mu konkretną propozycję. Zwykle pomaga w tym pośrednik handlu nieruchomościami.

– Gdzie będziemy mieszkali?

– Gdzie zechcecie. – Ale dopiero po tym, jak wypierzemy ci mózg, przyjacielu. – Mamy takie powiedzenie: „To wolny kraj”. Wolny i duży. Będziecie mogli wybrać sobie miejsce i tam zamieszkać. Wielu uciekinierów mieszka w okolicach Waszyngtonu. Nie wiem dlaczego. Mnie się tam nie podoba. Waszyngton latem to koszmar.

– Tak, potworny upał – zgodził się z nim Kingshot. – I ta wilgoć.

– Jeśli się wam nie spodoba, pojedźcie na Florydę – zaproponował Jack. – Ale niektórzy Waszyngton uwielbiają.

– I podróżuje się bez dokumentów? – spytał Zajcew. Jak na oficera KGB, facet gównu wie, pomyślał Ryan.

– Bez. Damy wam kartę kredytową, żeby to ułatwić. – Musiał mu wyjaśnić, co to takiego.

Zajął mu to aż dziesięć minut, ponieważ koncepcja karty kredytowej była dla Rosjan zupełnie obca. Zajcew dostał chyba zawrotu głowy.

– Ale pod koniec miesiąca trzeba wszystko spłacić – ostrzegł go Kingshot. – Niektórzy o tym zapominają i popadają w poważne tarapaty.

Sir Basil sącył francuski koniak i gawędził ze swoim przyjacielem. Starym przyjacielem, ponieważ znali się z sir George'em Hendleyem jeszcze ze studiów, a więc od ponad trzydziestu lat. Sir George, z zawodu prawnik, blisko współpracował z brytyjskim wywiadem i Ministerstwem Spraw Zagranicznych jako ekspert z prawem wglądu do najtajniejszych dokumentów i pełnym dostępem do najpilniej strzeżonych informacji. Był powiernikiem kilku premierów i ufano mu jak samej królowej. Sir George uważał, że to normalne: ostatecznie nosił krawat z Winchestera.

– Papież, hę?

– Tak, George. Pani premier chce, żebyśmy się tym zajęli. Cały kłopot w tym, że nie mam pojęcia, jak to zrobić. Przecież nie możemy skontaktować się bezpośrednio z Watykanem.

– Raczej nie. Można im wierzyć, ale zaufać ich polityce? Powiedz mi, co sądzisz o ich wywiadzie?

– Trzeba przyznać, że pod wieloma względami są znakomici. Któż może być lepszym powiernikiem niż ksiądz? Czy znasz lepszy sposób przekazywania informacji niż rozmowa w konfesjonale? Ich wywiad polityczny nie ustępuje prawdopodobnie naszemu, może jest nawet lepszy. Na pewno są doskonale zorientowani w tym, co dzieje się teraz w Polsce.

Przypuszczam, że pozostałe kraje Europy Wschodniej też nie mają przed nimi tajemnic. Cóż, nie zapominajmy, że potrafią odwołać się do najwyższej lojalności, na jaką nas stać. Mamy ich na oku od bardzo wielu lat.

– Naprawdę?

– O tak. Podczas drugiej wojny światowej oddali nam wiele cennych przysług. W Watykanie był pewien niemiecki kardynał. Nazywał się Mansdorf. Dziwne, prawda? Nosił ży-401

dowskie nazwisko. Dieter Mansdorf, arcybiskup w Mannheim, a potem dyplomata. Dużo podróżował. Podróżował i od 1938 do końca wojny przekazywał nam tajemnice nazistów.

Widać, nie lubił Hitlera.

– A ich system łączności?

– Watykański? Mansdorf dał nam książkę kodową do przekopiowania. Po wojnie kody oczywiście zmieniono, więc nie mogliśmy już przechwytywać ich depezy, ale system szyfrowania pozostał ten sam i chłopcy z Głównej Kwatery Łączności Rządowej czasami ich namierzają. Dobry był człowiek z tego Mansdorfa. Naturalnie nigdy nie doczekał się oficjalnego uznania. Zmarł chyba w pięćdziesiątym dziewiątym...

– Ale skąd wiadomo, że Watykan już o tej operacji nie wie? – Dobre pytanie, pomyślał

Charleston, chociaż od dawna się nad tym zastanawiał.

– Ten Rosjanin twierdzi, że organizują ją w ścisłej tajemnicy. Kurierzy, zakaz maszynowego szyfrowania, i tak dalej. Poza tym wie o tym ledwie garstka ludzi. Znamy tylko jedno nazwisko, tego bułgarskiego agenta. Borys Stokow, pułkownik z Drżawnoj Sigurnosti. Po-dejrzewamy, że zabił Georgija Markowa. O tam, niedaleko. – Sir Basil uważał, że to prawdziwa obraza majestatu, może nawet otwarte wyzwanie rzucone brytyjskiemu wywiadowi.

Amerykańska Centralna Agencja Wywiadowcza i rosyjski Komitet Bezpieczeństwa Pań-

stwowego zawarli nieformalne porozumienie: ani jedni, ani drudzy nie będą zabijali ludzi w stolicy

przeciwnika. Wywiad brytyjski z nikim takiego porozumienia nie zawarł, za co Markow zapłacił życiem.

– Myślisz, że wyślą do Watykanu tego Strokowa?

Sir Basil rozłożył ręce.

– To wszystko, co wiemy, George.

– To niewiele...

– Tak, za mało, żeby poczuć się dobrze, ale lepsze to niż nic. Mamy dużo jego zdjęć.

Chłopcy ze Scotland Yardu chcieli go aresztować, ale uciekł im do Paryża, a stamtąd do Sofii.

– Może się spieszył?

– To zawodowiec. Tacy ludzie nie ryzykują. Patrząc wstecz, dziwię się, że Scotland Yard w ogóle go namierzył.

– A więc myślisz, że Strokow może być teraz we Włoszech. – Zabrzmiało to jak stwierdzenie, nie pytanie.

– Tak, to możliwe, ale komu o tym powiedzieć? Włoska jurysdykcja jest dość dziwna.

Układ laterański daje im w sumie nieograniczone prawa, które Watykan może jednak zawetować. – Charleston doszedł do wniosku, że będzie musiał sprawdzić, jak to wygląda od tej strony. – Watykan ma swoją własną służbę bezpieczeństwa – wiesz, Gwardię Szwajcarską –

ale bez względu na to, jak są dobrzy, odgórnie narzucone restrykcje bardzo ich ograniczają.

A włoski rząd z oczywistych powodów nie może zalać okolicy swoimi tajnikami.

– Pani premier zleciła ci zadanie nie do wykonania.

– Otóż to – zgodził się z nim sir Basil.

– Więc co możesz zrobić?

402

– Tylko jedno: rozmieścić w tłumie kilku ludzi i kazać im szukać tego Strokowa.

– A jeśli go wypatrzą?

– Poprosić go grzecznie, żeby sobie poszedł? – zastanawiał się na głos sir Basil. – To by pewnie poskutkowało. Stokow jest zawodowcem i gdyby go zauważyli – gdyby ostentacyjnie zrobili mu zdjęcie – doszedłby do wniosku, że trzeba przerwać misję.

– Niepewna sprawa.

– Bardzo. – Charleston musiał się z nim zgodzić, ale było to przynajmniej coś, z czym mógłby pójść do pani premier.

– Kogo chcesz wysłać?

– Naszą rzymską placówką kieruje Tom Sharp. Jest dobry. Ma pod sobą czterech ludzi.

Podesłalibyśmy mu kogoś stąd, z Century House.

– Brzmi całkiem rozsądnie. Ale właściwie dlaczego chciałeś ze mną rozmawiać?

– Myślałem, że podsuniesz mi jakąś myśl, George. – Ostatni łyk koniaku, chociaż miał ochotę na jeszcze jeden kieliszek.

– Nikt nie jest doskonały – odrzekł ze współczuciem Hendley.

– Za dobry z niego człowiek, żeby zginąć z ręki tych przeklętych Rosjan. I to za co? Za to, że wspiera swoich rodaków? Za taką lojalność się nagradza, a nie morduje w miejscu publicznym.

– A pani premier jest podobnego zdania.

– Tak, lubi zajmować konkretne stanowisko. – Słynęła z tego na cały świat.

– Co na to Amerykanie?

Charleston wzruszył ramionami.

– Nie rozmawiali jeszcze z tym uciekinierem. Ufają nam, ale nie do końca.

– Cóż, zrób, co możesz. Zresztą Rosjanie tak szybko tego nie przeprowadzą. Są w tym dobrzy?

– Zobaczymy – odrzekł krótko sir Basil.

Mimo bliskości autostrady, ciszej tu niż u nas, pomyślał Ryan, zrywając się z łóżka za dziesięć siódma rano. Umywalka była tu równie ekscentryczna jak ta w Londynie, bo miała dwa krany, jeden na zimną wodę, drugi na gorącą, tak że podczas gdy jedna ręka dosłownie się gotowała, druga zamarzała. Mimo to dobrze było ogolić się, ubrać i przygotować na nadejście nowego dnia, nawet jeśli musiał rozpoczynać go od filiżanki paskudnej herbaty.

Kingshot krzątał się już w kuchni. To zabawne, że ludzie śpią długo w niedzielę, ale rzadko kiedy w sobotę.

– Jest wiadomość z Londynu – rzucił na powitanie.

– Jaka?

– Pytanie: co byś powiedział na lot do Rzymu dziś w południe?

403

– Co się dzieje?

– Sir Basil wysłała do Watykanu kilku ludzi. Chce wiedzieć, czy chciałbyś się do nich przyłączyć. Ostatecznie to operacja CIA.

– Powiedz mu, że tak – odrzekł bez namysłu Jack. – O której? – Nagle zdał sobie sprawę, że znowu jest porywczy, że działa pod wpływem chwili. Niech to szlag.

– Koło dwunastej, z Heathrow. Powinieneś zdążyć wpaść do domu i się przebrać.

– A samochód?

– Nick cię podrzuci.

– Co powiesz Olegowi?

– Prawdę. Poczuję się ważniejszy. – To zawsze dobrze im robiło.

Godzinę później torby były już w bagażniku, a oni w drodze.

– Ten Zajcew musi być kimś ważnym – powiedział Nick, gdy wjechali na autostradę.

– Żebyś wiedział. To chodząca encyklopedia. Będziemy traktowali go jak kurę znoszącą złote jajka.

– Miło, że CIA pozwoliła nam go przesłuchać.

– Nie jesteśmy grubianami, Nick. To wy go stamtąd wyciągnęliście i zrobiliście to bardzo zręcznie. – Nie mógł powiedzieć nic więcej. Ufał mu, lecz nie wiedział, jakie Thompson ma uprawnienia.

Ale Nick wiedział, o co wolno mu pytać.

- A więc twój ojciec był policjantem, tak?
- Tak, detektywem. Pracował w wydziale zabójstw. Ponad dwadzieścia lat. Kapitanowie siedzą głównie za biurkiem, ale jemu to nie odpowiadało. Lubił ganiać za zbirami i wsadzać ich do pudła.
- Gdzie?
- Do pudła, do więzienia. Nasze stanowe więzienie mieści się w Baltimore, tuż przy Jones Falls. Wygląda złowieszczo, jak średniowieczna forteca, może nawet gorzej. Nazywają je Zamkiem Frankensteina.
- I tak powinno być. Nie znoszę morderców.
- Ojciec mało o nich mówił. Nie zabierał roboty do domu. Mama tego nie lubiła. Ale raz go wysłuchała. Opowiadał wtedy o ojcu, który zabił syna podczas kłótni o kanapkę z kra-bami; to taki mały hamburger z krabowymi paluszkami. Tata powiedział, że to główniany powód. Ojciec, ten zabójca, od razu się przyznał. Załamał się, i w ogóle. Ale było już za póź-
- no.
- Niesamowite, co? Wpadają w furję, zabijają, a potem mają wyrzuty sumienia.
- Za szybko się zestarzał, za późno zmądrzał.
- Tak. To cholernie smutne.

404

- A ten Strokow?
- To zupełnie inna sprawa – odrzekł Nick. – Takich jak on jest niewielu. Dla nich skrócenie komuś życia to po prostu kolejna robota. Nie mają typowego motywu działania, nie pozostawiają za sobą żadnych śladów. Trudno ich znaleźć i to głównie my ich znajdujemy.

Czas gra na naszą korzyść. Prędzej czy później ktoś zaczyna gadać, a my mamy dobre uszy.

Większość przestępców trafia do więzienia za gadulstwo. Ale tacy jak Strokow mówią dopiero wtedy, kiedy wracają do domu i zaczynają spisywać oficjalny raport. Sęk w tym, że my tych raportów nie czytamy. Namierzyliśmy go tylko dlatego, że mieliśmy fart. Markow pa-miętał, że jakiś mężczyzna dźgnął go parasolem, pamiętał kolor jego garnituru. Jeden z naszych konstabli widział kogoś w takim garniturze i uznał, że facet zachowuje się dziwnie. A on zamiast czym prędzej zwiewać, spokojnie czekał, żeby sprawdzić, czy Markow na pewno umarł. Poprzednie dwie próby zamachu spieprzyli, więc wezwali na pomoc jego, bo miał

doświadczenie. Dobry jest, to zawodowiec pełną gębą. Chciał mieć całkowitą pewność, że tamten umarł, chciał przeczytać o tym w gazetach. Pogadaliśmy z obsługą hotelu, w którym mieszkał, zaczęliśmy zbierać informacje. Włączyła się w to służba bezpieczeństwa, włączył

się rząd. Ci z rządu bali się, że dojdzie do incydentu międzynarodowego i nas przetrzymali, chyba że dwa dni. Pierwszego dnia Stokow złapał taksówkę, pojechał na Heathrow i odleciał do Paryża. Byłem w zespole, który go śledził. Stałem cztery i pół metra od niego. Mieli-

śmy dwóch chłopaków z aparatami fotograficznymi, więc zrobili mu kupę zdjęć. Na ostatnim Stokow spokojnie wsiada do boeinga. Nazajutrz dostaliśmy pozwolenie, żeby go zatrzymać i przesłuchać.

– Dzień się spóźniłeś, dolara straciłeś, co?

Thompson kiwnął głową.

– Właśnie. Chciałem zawlec go do Old Bailey, ale zwiął. Francuzi namierzyli go na lotnisku De Gaulle'a, ale cały czas siedział w środku, w terminalu międzynarodowym, z nikim nie rozmawiał. Skurwiel, nie miał najmniejszych wyrzutów sumienia. Takie coś to dla niego jak rąbanie drewna na opał.

– Tak. Na filmach zabijają, a potem piją martini, wstrząśnięte, niez mieszane. Kiedy zabi-jasz zwyczajnego, przyzwoitego faceta, jest zupełnie inaczej.

– Bo co ten Markow takiego zrobił? – Nick mocniej zacisnął ręce na kierownicy. – Wy-stąpił w BBC, nic więcej. Widać, wkurzył tych z Sofii.

– Wolność słowa, bracie. Po tamtej stronie żelaznej kurtyny coś takiego nie istnieje.

– Pieprzeni barbarzyńcy. A teraz Stokow chce zabić papieża, tak? Nie jestem katolikiem, ale papież to sługa Boży i wygląda na porządnego faceta. Nawet najgorszy bandzior ma opory przed zaatakowaniem księdza.

– Tak, wiem. Lepiej nie wkurzać Boga. Ale oni w Boga nie wierzą, Nick.

– Mają szczęście, że to ja nim nie jestem.

– Fakt, miło by było móc naprawić wszelkie zło tego świata. Problem w tym, że według szefów Markowa, to właśnie oni je naprawiają.

– Dlatego my mamy normy prawne. Tak, wiem: oni wymyślają własne..

– Otóż to. – Wjechali do Chatham.

– Ładna okolica – rzucił Thompson, skręcając w City Lane.

– Tak, bardzo. Cathy też się podoba. Wolałbym mieszkać bliżej Londynu, ale mnie przegłosowała.

Nick zachichotał.

– Jak to kobieta. – Z Fristow Way skręcił w lewo, w Grizedale Close, i stanęli przed domem. Ryan wysiadł i wyjął torby z bagażnika.

– Tatuś! – wrzasnęła Sally, gdy wszedł do środka. Rzucił torby i porwał ją w ramiona.

Małe dziewczynki cudownie się przytulają, chociaż całują dość mokrawo.

– Jak się miewa moja ukochana córeczka?

– Dobrze.

– Pan doktor? – zdziwiła się Margaret. – Nie wiedziałam, że...

– Ja tylko na chwilę. Zmieniam ubranie, i już mnie nie ma.

– Znowu wyjeżdżasz? – spytała Sally z druzgoczącym rozczarowaniem w głosie.

– Przykro mi, kochanie. Tatuś ma sprawy do załatwienia.

Wysunęła mu się z ramion.

– A fuj! – I wróciła do telewizora, stanowczo osadzając ojca w miejscu.

Jack poszedł na górę. Trzy... Nie, cztery czyste koszule, pięć kompletów bielizny, cztery nowe krawaty i... Tak, coś bardziej sportowego. Dwie marynarki i dwie pary luźnych spodni. I krawat z piechoty morskiej. To chyba wszystko. Brudne ubrania rzucił na łóżko, spakował torbę i zbiegł na dół. Ups! Postawił torbę i wrócił po paszport. Zabieranie brytyjskiego nie miało sensu.

– Pa, Sally!

– Pa, tatusiu! – Po krótkim namyśle zerwała się z podłogi i mocno go objęła. Kiedy doro-

śnie, zamiast łamać chłopakom serca, będzie je im wydzierać i przypiekała na grillu. Ale to jeszcze nieprędko i na razie miał ją tylko dla siebie. Mały Jack spał w kojcu i Ryan postanowił

go nie budzić.

– Cześć, staruszkę – szepnął tylko od drzwi.

– Dokąd pan się wybiera? – spytała Margaret.

– Interesy mnie gonią. Zadzwoń do Cathy z lotniska.

– Szczęśliwej podróży.

– Dzięki.

Wsiadł do samochodu.

– Jak stoimy z czasem?

– Na pewno się wyrobimy – odrzekł Thompson. Gdyby nie zdążyli, w samolocie wykryto by drobną usterkę techniczną.

406

– To dobrze. – Jack zapiął pas, oparł głowę o zagłówek i zasnął. Obudził się na Heathrow. Przed halą odlotów czekał na nich mężczyzna w cywilu. Wyglądał na urzędnika państwowego.

I rzeczywiście nim był. Gdy tylko Ryan wysiadł, facet podszedł do niego z kopertą w ręku.

– Pański samolot odlatuje za czterdzieści minut – powiedział. – Wyjście numer 12. W

Rzymie będzie czekał na pana Tom Sharp.

– Jak go poznam?

– On pozna pana.

– Dobra. – Jack wziął bilety i otworzył bagażnik, żeby wyjąć torbę.

– Ja się tym zajmę – uprzedził go tamten.

W sumie miło jest tak podróżować, pomyślał Ryan. Pomachał na pożegnanie Thompsonowi, wszedł do hali i rozejrzał się w poszukiwaniu wyjścia numer 12. Znalazł je bez trudu.

Postawił torbę i otworzył bilet. Ponownie pierwsza klasa. Brytyjski wywiad miał pewnie jakąś umowę z British Airways. Teraz musiał tylko przeżyć lot.

Dwadzieścia minut później wszedł na pokład samolotu, usiadł, zapiął pas i przesunął

zegarek godzinę do przodu. Potem były bezsensowne wskazówki dotyczące bezpieczeństwa lotu i prawidłowego zapinania pasa, co już go nie dotyczyło, bo dawno go zapiął.

Lot trwał dwie godziny i dziewięć minut, po trzeciej części miejscowego wylądowali na lotnisku Leonarda da Vinci w Rzymie. Ryan wysiadł, poszukał stanowisk odprawy paszportowej dla dyplomatów i w pięć sekund – stał przed nim jakiś palant, który zapomniał, gdzie wsadził paszport – był już po drugiej stronie barierki.

Wziął torbę z karuzeli i ruszył do wyjścia. Przypatrywał mu się mężczyzna z siwobrzową brodą.

– Jack Ryan?

– Tom Sharp?

– Tak. Proszę mi to dać, poniosę. – Dlaczego ludzie to robią, tego Jack nie wiedział, chociaż sam robił to dość często, a Brytyjczycy słynęli z wyjątkowo dobrych manier.

– Pan jest...

– Szefem tutejszej placówki – dokończył Sharp. – Sir Basil uprzedził mnie, że pan przyjeżdża i kazał mi po pana wyjść.

– To miło z jego strony.

Czekała na nich limuzyna, brązowy bentley z kierownicą po lewej stronie, pewnie na znak, że byli w barbarzyńskim kraju.

– Piękna bryka – rzucił Ryan.

– Oficjalnie pracuję tu jako zastępca szefa misji – odrzekł Sharp. – Mógłbym mieć ferrari, ale to trochę zbyt ostentacyjne. Siedzę głównie w administracji. Właściwie to jestem zastępcą szefa misji. Ale nie znoszę dyplomacji. Może doprowadzić człowieka do szału.

– Jak się tu żyje?

407

– We Włoszech? Uroczy kraj, uroczy ludzie. Trochę kiepsko zorganizowani. Powiadają, że Anglicy to bałaganiarze, ale w porównaniu z nimi jesteśmy jak Prusacy.

– A tutejsza policja?

– Jest całkiem niezła. Mają kilka rodzajów sił policyjnych. Najlepsi są karabinieri, para-militarna policja rządowa. Niektórzy z nich są naprawdę świetni. Na Sycylii próbują walczyć z mafią. Zastrana

roboty, ale myślę, że w końcu ich wykończą.

– Powiedzieli ci, dlaczego tu jestem?

– Bo Jurij Władimirowicz chce zabić papieża? Tak napisali w teleksie.

– Mamy uciekiniera, który tak twierdzi. Naszym zdaniem, nie kłamie.

– Znacie jakieś szczegóły?

– Niestety. Przysłali mnie chyba po to, żebym z tobą współpracował do czasu, aż coś wymyślą. Moim zdaniem, spróbują zrobić to w środę.

– Na cotygodniowej audiencji na placu?

– Tak. – Jechali autostradą do miasta. Krajobraz był jakiś dziwny i dopiero po chwili Ry-an odkrył dlaczego. Dachy domów miały inny kąt nachylenia, dużo łagodniejszy niż dachy na przykład w Anglii. Pewnie dlatego, że zimą nie padał tu śnieg. Same domy wyglądały jak kostki cukru, pomalowane na biało, żeby lepiej odbijały promienie gorącego włoskiego słoń-

ca. Cóż, każdy kraj ma swoją architekturę.

– A więc w środę, tak?

– Chyba tak. Szukamy też faceta nazwiskiem Borys Stokow, pułkownika z Drżawnoj Sigurnosti. To zawodowy zabójca.

Sharp skupił wzrok na drodze.

– Znam to nazwisko. To jego podejrzewano o zabójstwo Markowa?

– Tak. Powinni przysłać nam jego zdjęcia.

– Już tu są. Przywiózł je kurier. Lecieliście tym samym samolotem. Jedzie do miasta inną trasą.

– Cholera, co z tym można zrobić? Masz jakiś pomysł?

– Najpierw zwiozę cię do ambasady, a właściwie do mnie; mieszkam dwie ulice dalej.

Ładnie tam, zobaczysz. Potem pojedziemy na plac Świętego Piotra i się rozejrzemy. Byłem tam, żeby połączyć po muzeach, i tak dalej – watykańska kolekcja sztuki nie ustępuje królewskiej – ale nigdy tam nie pracowałem. Pierwszy raz w Rzymie?

– Tak.

– Obwiozę cię. Poznasz okolicę.

Rzym wyglądał na miasto zbudowane bez żadnego planu – ale tak samo wyglądał plan Londynu,

którego ojcowie musieli działać pod dużym wpływem swych żon i matek. Z tym, że Rzym był starszy co najmniej o tysiąc lat i powstał w czasach, kiedy najszybszym środkiem transportu był koń, a prawdziwe konie biegają znacznie wolniej niż te z westernów Johna Forda. Kręte ulice, meandrująca środkiem miasta rzeka. A wszystko stare, ale nie tak 408

zwyczajnie stare, tylko stare tak, jakby chodziły tu kiedyś dinozaury. Trudno to było pogodzić z widokiem samochodów i motocykli.

– To amfiteatr Flawiuszów. Nazwano go Koloseum, ponieważ Neron kazał wznieść tu...

o tam – Sharp wskazał ręką – swój pomnik. Pomnik był olbrzymi, prawdziwy kolos, i ludzie zaczęli nazywać tak amfiteatr, ku złości rodziny Flawiuszów, którzy zbudowali go zaraz po buncie Żydów. Pisał o tym żydowski historyk Józef Flawiusz.

Ryan widział Koloseum w telewizji i na filmach, ale zobaczyć je na własne oczy to zupełnie co innego. Zbudowano je tylko siłą ludzkich mięśni, za pomocą zwykłych lin konopnych. Kształtem przypominało stadion Jankesów w Nowym Jorku, z tym że Babe Ruth nigdy nie wypruł nikomu flaków. A tu flaki wypruwano, i to często.

– Wiesz – wyznał – gdyby kiedykolwiek wynaleziono wehikuł czasu, chciałbym tu wrócić i zobaczyć, jak to naprawdę było. Barbarzyńca ze mnie, co?

– Oni traktowali to jak my rugby – odrzekł Sharp. – Albo jak piłkę nożną. Piłka nożna też bywa niebezpieczna.

– Babska gra.

– Fakt, barbarzyńca z ciebie, sir Johnie – odparł Sharp swoim najlepszym akcentem. –

Piłka nożna to dżentelmeńska gra, w którą grają bandyci, natomiast rugby to bandycka gra, w którą grają dżentelmeni.

– Wierzę ci na słowo. Chciałbym po prostu przejrzeć „International Tribune”. Moja drużyna baseballowa startuje w Pucharze Świata i nie wiem, jak sobie radzi.

– Baseball? Rodzaj palanta, tak? To jest dopiero babska gra.

– Tak, tak, już to kiedyś słyszałem. Wy tego nie rozumiecie.

– A wy nie rozumiecie piłki nożnej. Włosi szaleją za nią jeszcze bardziej niż my. Grają ostro, ale z polotem, inaczej niż Niemcy, bo Niemcy, cholera, idą jak czołg.

To było tak, jak słuchać eksperta wyjaśniającego różnice między piłką podkreconą, pła-ską, szybką i

wolną. Ryan ich nie wyczuwał – zwykle polegał na tym, co mówi sprawozdawca, który wiele rzeczy pewnie zmyślał. Ale wiedział, że nie ma gracza, który potrafiłby pośląć podkręconą piłkę na trybuny.

Pięć minut później wyrosła przed nimi Bazylika Świętego Piotra.

– O cholera!

– Duża, co?

Nie była duża: była olbrzymia.

Sharp skręcił w lewo, wjechali w uliczkę pełną sklepów – głównie jubilerskich – i tam zaparkowali.

– Rozejrzyjmy się.

Dobra okazja, żeby rozprostować nogi, pomyślał Jack, i natychmiast przypomniał sobie, że nie przyjechał tu podziwiać dzieła Bramantego i Michała Anioła. Przyjechał tu po to, żeby zbadać teren, zaplanować misję, a tego nauczono go w Quantico. Jeśli wiedziało się, o co chodzi, nie było to takie trudne.

409

Z góry plac musiał wyglądać jak stary klucz z okrągłym uchwytem. Miał dobre dwieście metrów średnicy i zwęzał się do sześćdziesięciu paru, gdy zostawiwszy za sobą gigantyczne spiżowe wrota, szło się w stronę samego kościoła.

– Gdy zbierze się tłum – powiedział Sharp – papież wsiada do samochodu, czegoś po-

średniego między dżipem i wózkiem golfowym, i jedzie tędy. Tam zawraca i jedzie z powrotem. Wszystko razem trwa około dwudziestu minut, zależnie od tego, jak często przystaje, żeby uścisnąć komuś rękę. Nie, nie powinienem porównywać go do polityka. To porządny gość, naprawdę dobry człowiek. Przeżył hitlerowców, przeżył komunistów i ani razu nie zboczył z obranej przez siebie drogi.

– Kurczę, jak na widelcu... – wymamrotał w odpowiedzi Ryan. Mógł myśleć tylko o jednym. – Gdzie będzie słońce?

– Z tyłu.

– Więc jeśli facet przyjedzie, stanie gdzieś tutaj, żeby nie raziło go w oczy. Ludzie z naprzeciwka będą patrzyli prosto w słońce. Może to niewiele, ale jeśli już grasz, grasz wszystkimi kartami. Służyłeś w wojsku?

- W Coldstream Guards. Byłem w Adenie, ale głównie siedziałem w BOAR. I zgadzam się z twoją oceną sytuacji. Ruchy zawodowców można do pewnego stopnia przewidzieć, bo wszyscy przerabiają ten sam materiał. A snajper?
 - Ilu będziemy mieli ludzi?
 - Czterech, nie licząc mnie. Może Basil nam kogoś podeśle, ale jeśli, to niewielu.
 - Jednego bym dał tam. – Ryan wskazał kolumnadę. Dwadzieścia jeden metrów? Dwadzieścia cztery? Mniej więcej z takiej wysokości Lee Harvey Oswald strzelał do Kennedy’ego... z włoskiego karabinu. O Chryste. Przeszedł go zimny dreszcz.
 - Mogę go przebrać za fotografa. – Poza tym teleobiektyw jest niezłą lornetką.
 - Powinniśmy mieć radionadajniki.
 - Powiedzmy, sześć przenośnych krótkofalówek nadających na cywilnej częstotliwości.
- Jeśli nie mamy ich w ambasadzie, ściągnę je z Londynu.
- Lepsze byłyby wojskowe. Są mniejsze, łatwiejsze do ukrycia. W piechocie mieliśmy takie ze słuchawkami, jak od tranzystora. Lepiej też, żeby nadawały na kanale kodowanym, ale to może być trudne. – Nie dodał, że tego rodzaju systemy często zawodzą.
 - Nie, spróbuję to załatwić. Masz dobre oko, Jack.
 - Nie służyłem w piechocie zbyt długo, ale ci z Quantico dali mi taką szkołę, że sporo pamiętam. Jak na sześciu ludzi, to cholernie wielki plac.
 - Ci ze szkółki wywiadu też by tak powiedzieli.
 - Jezu, nasza Secret Service rzuciłaby tu setkę agentów, może nawet więcej. Sprawdzili-by każdy hotel w mieście, każdy motel, przeczesałoby całą okolicę. – Jack wypuścił powietrze. – Nie, cholera, to niemożliwe. Duży ten tłum?
 - Różnie. Latem przyjeżdża tylu turystów, że wypełniliby stadion w Wembley. A w tym tygodniu? Na pewno kilka tysięcy. Dokładnie ilu, trudno przewidzieć.

Za cholere, pomyślał Ryan. To niewykonalne.

- Da się jakoś sprawdzić hotele i poszukać tego Strokowa?

– Tu jest ich więcej niż w Londynie. Z czterema ludźmi nie da rady. A do policji raczej się z tym nie zwrócimy.

– Basil, co? – rzucił Jack, dobrze znając odpowiedź.

– Każe nam trzymać język za zębami. Nikt nie ma prawa wiedzieć, co tu robimy.

Na pomoc miejscowej placówki CIA też nie mogli liczyć. Bob Ritter nigdy w życiu by czegoś takiego nie zatwierdził. Niewykonalne? Cóż za optymizm.

411

Rozdział 31

Budowniczy mostów

Rezydencja Sharpa była równie okazała, jak dom kryjówka pod Manchesterem. Nie sposób było odgadnąć po co – czy dla kogo – ją zbudowano, zresztą Ryan miał już dość wypytywania. Dostał pokój z łazienką i to mu wystarczyło. Wszystkie pomieszczenia były bardzo wysokie, pewnie po to, żeby dało się tu wytrzymać latem. Rzym służył z upałów. Tego po-południa termometr wskazywał prawie dwadzieścia siedem stopni Celsjusza – ciepło, ale dla kogoś z okolic Baltimore czy Waszyngtonu jeszcze do zniesienia, podczas gdy Anglik czułby się tu jak w rozgrzanym piekarniku; londyńczycy padali na ulicach już przy dwudziestu czterech stopniach. Miał przed sobą trzy dni zmartwień, w tym jeden na zrealizowanie planu, który w sumie jeszcze nie istniał – cały czas nie opuszczała go nadzieja, że nic się nie zdarzy, że CIA znajdzie jakiś sposób, ostrzeże ochronę Jego Świątobliwości i że ci potroją środki ostrożności. Jezu Chryste, toż on nawet ubierał się na białe, żeby stanowić lepszy cel dla czyhającego w tłumie zabójcy – był jak wielka papierowa tarcza, do której nic, tylko strzelać. Nawet George Armstrong Custer nie wpakował się w gorszą sytuację taktyczną, ale on zrobił to przynajmniej świadomie, chociaż wzrok przesłaniała mu zabójcza duma i wiara w szczęście. Papież nie miał takich złudzeń. Nie, papież wierzył, że Bóg wezwie go do siebie, gdy będzie Mu to pasowało, i tyle. Ryan też w to wierzył, z tym że wierzył również, iż Bóg nie bez powodu dał człowiekowi umysł i wolną wolę. Czy był więc narzędziem w Jego rę-

ku? Nie, to za trudne pytanie, przynajmniej jak na tę chwilę, poza tym nie był księdzem, że-by je zgłębiać. Może brakowało mu wiary? Może za bardzo wierzył w świat rzeczywisty?

Jego żona leczyła ludzi, ale czy nawiedzające ich choroby zesłał sam Bóg? Niektórzy tak uważali. A może Bóg zsyłał te choroby tylko po to, żeby ktoś taki jak Cathy je leczył, kontynuując w ten sposób Jego dzieło? Jack skłaniał się ku temu pogładowi, Kościół chyba też, inaczej nie finansowałby budowy tylu szpitali na całym świecie.

Ale było oczywiste, że Bóg nie pochwała morderstwa i teraz on miał do morderstwa nie dopuścić.

Nie należał do tych, którzy staliby i przyglądali się temu bezczyinnie. Książdz ograniczyłby się pewnie do perswazji, co najwyżej do biernej interwencji. Tymczasem on wiedział, że gdyby zobaczył człowieka celującego do papieża z pistoletu – nie tylko do papieża, zresztą – bez sekundy wahania wpakowałby mu kulę w łeb. Może dlatego, że taki po prostu już był, może dlatego, że miał to po ojcu, a może nauczyli go tego w piechocie morskiej: bez względu na powody, nie zemdlałby, stosując przemoc fizyczną – co najwyżej potem. Udowodnił to, posyłając do piekła paru ludzi. Tak więc na wszelki wypadek – na wypadek gdyby wypatrzył w tłumie Strokowa i musiał go zastrzelić – zaczął przygotowywać się do tego psychicznie. I nagle dotarło do niego, że nic by mu za to nie groziło: przecież miał paszport dyplomatyczny. Owszem, zgodnie z Konwencją Genewską, Departament Stanu miał prawo mu go odebrać, ale w tym przypadku na pewno by tego nie zrobił. Tak więc, zastrzeli kogoś czy udusi, będzie wolny jak ptaszek, co wcale nie było takie złe.

Sharpowie zabrali go na kolację. Niedaleko, do knajpki po sąsiedzku, ale żarcie dawali tam przepyszne, co stanowiło kolejny dowód na to, że nie ma to jak mały, rodzinny interes.

Sharpowie musieli tam często bywać, bo kelnerzy byli dla nich bardzo uprzejmi.

– Tom, co my, do diabła, zrobimy? – spytał otwarcie Jack, zakładając, że Annie wie, gdzie pracuje jej mąż.

Sharp wzruszył ramionami.

412

– Będziemy się z tym pieprzyć. Tak by powiedział Churchill. Nie wiem. Zrobimy, co się da.

– Czułbym się o wiele lepiej, mając do dyspozycji pluton żołnierzy.

– Myślisz, że ja nie? Ale jakoś trzeba sobie radzić.

– O czym wy właściwie mówicie? – wtrąciła Annie.

– To tajemnica, skarbie.

Annie spojrzała na Ryana.

– Ale pan pracuje w CIA, prawda?

– Tak – odrzekł Jack. – Przedtem wykładałem historię w Akademii Marynarki Wojennej w Annapolis, jeszcze przedtem handlowałem akcjami na giełdzie, a przed giełdą służyłem w piechocie morskiej.

– Sir John... To pan jest...

– I nigdy mi tego nie wybaczą, wiem – przerwał jej Ryan. Dlaczego, do cholery, nie wepchnął wtedy żony i córki za drzewo i nie pozwolił, żeby Sean Miller dokończył dzieła? Cathy zrobiłaby parę zdjęć, policja by go na podstawie tych zdjęć zidentyfikowała i byłoby cudnie. Żaden dobry – ani głupi – czyn nie ujdzie człowiekowi bezkarnie. – I proszę mnie nie tytułować. Nie mam ani konia, ani zbroi. – Jedynym mieczem był ozdobny bagnet, który wręczyli mu podczas oficerskiej promocji w Quantico.

– Jack – odparł Sharp. – Rycerz to ktoś, kto w obronie króla czy królowej jest gotów chwycić za broń. O ile dobrze pamiętam, ty zrobiłeś to dwukrotnie. Dlatego masz do tego tytułu wszelkie prawo.

– Wy nigdy nie zapominacie, co?

– Nie czegoś takiego, sir Johnie. Odwagi w obliczu nieprzyjaciela się nie zapomina.

– Do mnie powraca to tylko we snach, ale we snach broń zawsze się zacina. Tak – przyznał otwarcie pierwszy raz w życiu – wciąż miewam koszmary... Tom, co robimy jutro?

– Rano mam robotę w ambasadzie. Połóż sobie po mieście. Złapię cię po lunchu.

– Dobra. Gdzie?

– W bazylice, po prawej stronie Piety. Kwadrans po pierwszej. Pasuje?

– Jasne.

– Gdzie jest Ryan? – spytał Zajcew.

– W Rzymie – odrzekł Alan Kingshot. – Pojechał się rozejrzeć. W sprawie papieża. –

Przez cały dzień rozmawiali o operacjach KGB w Wielkiej Brytanii. Zajcew wiedział bardzo dużo, na tyle dużo, że trzech agentów ze służby bezpieczeństwa obecnych na przesłuchaniu dosłownie się śliniło, robiąc notatki. Ryan nie ma racji, pomyślał Kingshot przy obiedzie. Ten facet nie jest kopalnią złota. Ten facet jest jak Kimberley: sypie z ust diamentami. Zajcew trochę się odprężył i powoli zaczynał doceniać swój nowy status. No jasne. Podobnie jak facet, który wynalazł komputerowy chip, był ustawiony na całe życie. Te wszystkie marchewki do zjedzenia, tylu uzbrojonych goryli strzegących klatki przed złymi niedźwiedziami...

Natomiast Króliczątka odkryło zachodnie kreskówki. Najbardziej spodobał jej się *Struś Pędziwiatr*: natychmiast zauważyła, że filmy z tej serii są podobne do rosyjskich, tych o wilku i zającu, i śmiała

się przy nich do łez.

W Irinie z kolei odżyła miłość do fortepianu. Grała na wielkim Bösendorferze w pokoju muzycznym, robiąc błędy, lecz nieustannie się ucząc i przypominając sobie dawno zapomniane umiejętności – ku szczeremu podziwowi Emmy Thompson. Emma nie umiała grać, ale wytrzasnęła skądś stery nut, żeby pani Zajcewa mogła poćwiczyć.

Ta rodzina poradzi sobie na Zachodzie, dumął Kingshot. Dziecko, jak to dziecko. Ojciec miał do sprzedania tony cennych informacji. Matka nareszcie odetchnie i będzie grała na fortepianie ile dusza zapragnie. Wolność będzie dla nich jak nowe, wygodne ubranie. Oboje byli – by użyć rosyjskiego określenia – ludźmi kulturowymi, zdrowymi przedstawicielami bogatej kultury, która zapuściła w Rosji korzenie na wiele lat przed epoką komunizmu. Dobrze było wiedzieć, że nie wszyscy uciekinierzy są zapitymi bandziorami.

– Sir Basil mówi, że jak kanarek na amfetaminie – powiedział sędzia Moore. – Że nie będziemy w stanie tego wszystkiego przerobić.

– Tak? – mruknął Ritter. – Zobaczymy.

– Oczywiście, Bob, zobaczymy. Kiedy tu przyjedzie? – spytał admirał Greer.

– Basil poprosił o dwa dni więcej. Powiedzmy w czwartek po południu. Nasze siły po-wietrzne wyślą po niego VC-137. A co tam, niech się przeleci pierwszą klasą. – Moore był

hojny, bo cóż, ostatecznie to nie on za to płacił. – Tak przy okazji: Basil postawił na nogi swoich ludzi w Rzymie na wypadek, gdyby KGB chciało to zrobić już teraz.

– Nie są tacy szybcy – powiedział z przekonaniem Ritter.

– Na twoim miejscu byłbym ostrożniejszy, Bob – odrzekł Greer. – Jurij Władimirowicz nie słynie z cierpliwości. – Admirał nie był pierwszym, który to zauważył.

– Wiem, ale ich system jest powolniejszy od naszego.

– Co z tymi Bułgarami? – spytał sędzia. – Podobno zamachowcem ma być niejaki Stokow, Borys Stokow. To on zabił Markowa na moście Westminsterskim. Basil twierdzi, że to doświadczony zawodowiec.

– W tym, że wynajmą Bułgara, nie ma nic dziwnego – zauważył Ritter. – Bułgaria to odpowiednik naszego Murder Incorporated. Ale to też komuniści, a komuniści są szachistami, a nie kowbojami z westernów. Wciąż nie wiemy, jak ostrzec Watykan. Możemy porozmawiać o tym z nuncjuszem?

Mieli bardzo mało czasu, żeby się nad tym zastanowić, a teraz musieli podjąć ostateczną decyzję. Papieskim nuncjuszem, ambasadorem Watykanu w Stanach Zjednoczonych, był

Giovanni kardynał Sabatino. W dyplomacji pracował od wielu lat, a urzędnicy Departamentu Stanu darzyli go szacunkiem i poważaniem za mądrość i dyskrecję.

– Da się to zrobić w taki sposób, żeby nie wspomnieć o Zajcewie?

– Możemy powiedzieć, że Bułgarzy się wygadali...

414

– Oj, ostrożnie, Arthurze, ostrożnie – przestrzegł Moore’a Ritter. – Pamiętaj, że Drżawna Sigurnost ma specjalny pododdział. Ludzie ci odpowiadają bezpośrednio przed Biurem Politycznym i, według naszych źródeł, nie sporządzają prawie żadnych raportów pisemnych. To taka komunistyczna wersja naszego Alberta Anastasji. Stokow tam pracuje, przynajmniej tak słyszeliśmy.

– Możemy powiedzieć, że ich pierwszy sekretarz wygadał się kochance – zaproponował

Greer. Jako zastępca dyrektora do spraw wywiadu, dysponował licznymi informacjami na temat intymnych zwyczajów wielu światowych przywódców, a pod względem tychże szef Bułgarskiej Partii Komunistycznej był prawdziwym człowiekiem z ludu. Oczywiście gdyby sprawa wyszła na jaw, bezpośrednio zainteresowane nią kobiety znalazłyby się w dość kłopotliwej sytuacji, ale za cudzołóstwo trzeba płacić. Zresztą bułgarski przywódca pił tak du-

żo, że prawdopodobnie nie pamiętałby, komu powiedział coś, co by mu przypisano. To uspokoiłoby trochę ich sumienie.

– Do przyjęcia – powiedział Ritter.

– Kiedy moglibyśmy spotkać się z nuncjuszem? – spytał Moore.

– W połowie tygodnia? – zaproponował Ritter. Wszyscy trzej mieli przed sobą pracowity tydzień. Sędzia siedział na Kapitolu, omawiając sprawy budżetowe i był wolny dopiero w środę rano.

– Gdzie? – Do Langley nie mogli go zaprosić. Nuncjusz by tu nie przyjechał. Miałby zbyt duże nieprzyjemności, gdyby ktoś go zauważył. Sędzia Moore nie mógł z kolei pojechać do niego. Jego twarz była w Waszyngtonie zbyt dobrze znana.

– W Departamencie Stanu? – myślał na głos Greer. Dyrektor CIA bywał tam dość często, nuncjusz też.

– Dobrze, w Departamencie Stanu. – Moore przeciągnął się. Nie znosił pracować w niedzielę. Nawet sędziowie sądu apelacyjnego mieli wolne weekendy.

– Jeszcze jedno – przestrzegł ich Ritter. – Dobrze, ostrzeżemy ich, ale co oni właściwie mogą

zrobić? Basil ruszył swoich?

– Tak, postawił na nogi ludzi z rzymskiej placówki. Jest ich tylko pięciu, ale jutro wyśle tam jeszcze paru na wypadek, gdyby Rosjanie chcieli przeprowadzić zamach już w najbliż-

szą środę. W środę Jego Świątobliwość ukazuje się publicznie. On też ma dużo pracy.

– Szkoda, że nie może odwołać tej rundy wokół placu. Gdyby ktoś go o to poprosił, pewnie by się nie zgodził.

– Na pewno nie – mruknął Moore. Nie powiedział mu, że Ryan jest w Rzymie. Ritter znowu wpadłby w furję, a sędzia nie miał ochoty tego oglądać. Nie w niedzielę.

Jack wstał jak zwykle wcześnie, zjadł śniadanie i pojechał taksówką na plac Świętego Piotra. Miło było go obejść – był prawie okrągły – choćby tylko po to, żeby rozprostować nogi. To dziwne, myślał, idąc. W stolicy Włoch leży tytułarnie niezależne państwo, którego oficjalnym językiem jest łacina. Ciekawe, czy cesarom spodobałoby się to, że ostatnie miejsce, w którym używano ich języka, jest również siedzibą instytucji, która doprowadziła do 415

upadku ich gigantyczne imperium – ale nie mógł przecież pójść na Forum i spytać o to mieszkające tam duchy.

Jego uwagę przykuła sama bazylika. Nie sposób opisać, jaka była wielka. Ilość pieniędzy wydanych na jej budowę pchnęła Marcina Lutera do wywieszenia żarliwego protestu na drzwiach katedry w Wittenberdze, co zapoczątkowało reformację, której zakonnice od Świę-

tego Mateusza nie aprobowały, i na którą jezuita – Ryan miał z nimi do czynienia nieco póź-

niej – patrzyli z nieco innego, nieco szerszego punktu widzenia. Towarzystwo Jezusowe też zawdzięczało swoje istnienie reformacji: powołano je po to, żeby tę reformację zwalczać.

Ale w tej chwili nie miało to znaczenia. Język angielski był zbyt ubogi, żeby opisać bazylikę. Ryan uznał, że trudno o bardziej odpowiednie miejsce na siedzibę Kościoła rzymskokatolickiego. Stał w progu i stwierdził, że w środku jest jeszcze większa, a tak mu się przynajmniej wydawało. Można by grać tu w futbol. Do głównego ołtarza, przed którym mszę mógł odprawiać jedynie papież, było ze sto metrów, natomiast sam ołtarz zbudowano nad kryptą, gdzie spoczywali byli papieże, łącznie – wedle tradycji – z samym świętym Piotrem.

„Ty jesteś Piotr [czyli skała], i na tej skale zbuduję Kościół mój...”¹ – według świętego Mateusza, tak miał powiedzieć sam Jezus. Cóż, nie ulegało wątpliwości, że z pomocą architektów i armii robotników zbudowali kościół nad kościoły. Kościół, który fascynował Ryana jak prywatna rezydencja samego Boga. Katedra w Baltimore mogłaby być jego alkową. Rozejrzawszy się, zobaczył turystów gapiących się na sufit z rozdziawionymi ustami. Jak oni zbudowali to bez

stalowych umocnień? Kamień na kamieniu, a na tym kamieniu jeszcze jeden kamień – budowniczo wie z tamtych czasów musieli być mistrzami nad mistrze. Ich synowie pracowali teraz u Boeinga i w NASA. Ryan spędził tam dobre dwadzieścia minut, gdy nagle przypomniał sobie, że nie przyjechał do Rzymu jako turysta.

Niegdyś stał w tym miejscu Circus Maximus. Wielki tor wyścigowy dla rydwanów takich jak z Ben-Hura. Potem go zburzono i zbudowano kościół, ale z biegiem czasu kościół

popadł w ruinę, dlatego przedsięwzięto z górą stuletni projekt, żeby wznieść nowy – jego budowę ukończono dopiero w XVI wieku. Ryan wyszedł na zewnątrz, żeby ponownie obejrzeć okolice. Chociaż szukał nowych pomysłów, wyglądało na to, że ten pierwszy jest najlepszy. Papież wsiada do samochodu tam. Jedzie tędy, dlatego największe niebezpieczeń-

stwo grozi mu... chyba tam. Problem w tym, że „tam” było półokręgiem o średnicy blisko dwustu metrów.

Dobra, pora na krótką analizę. Zamachowiec będzie profesjonalistą. Profesjonalista musi uwzględnić dwie rzeczy: po pierwsze, skąd oddać skuteczny strzał, po drugie, jak stąd w cholerę zwiać.

Dlatego Jack postanowił poszukać drogi, którą facet mógłby ewentualnie zbiec. Po lewej stronie, najbliżej drzwi, będzie stał zbity tłum ludzi chcących popatrzeć na wychodzącego z bazyliki papieża. Nieco dalej trasa jego przejazdu trochę się rozszerzała, co zwiększało odległość strzału, a tego Strokow na pewno wolałby uniknąć. Musiał uciec, a najlepszą trasą ucieczki była... boczna uliczka, gdzie poprzedniego dnia Sharp zaparkował samochód. Moż-

na tam ukryć wóz, myślał Ryan. Strzeli i jeśli tylko zdoła tam dotrzeć, wsiądzie, wciśnie do dechy pedał gazu i popędzi do miejsca, gdzie czeka zapasowy wóz. Musi mieć zapasowy, bez dwóch zdań, bo wszyscy gliniarze będą szukali tego pierwszego, a w Rzymie pełno było policjantów, którzy skoczyliby w ogień, żeby tylko dopaść tego, kto strzelał do papieża.

1 Biblia Tysiąclecia, Ewangelia św. Mateusza, 16, 18, wyd. Pallottinum, Poznań 1995

Miejsca zamachu, jeszcze raz. Gęsty tłum odpada, a więc Strokow raczej nie stanie przy drzwiach bazyliki. Ale na pewno zechce zwiać pod tamtym łukiem. Ile to? Sześćdziesiąt me-trów. Dziesięć sekund? Dziesięć, kiedy na placu jest pusto. A więc trzeba by to podwoić.

Żeby odwrócić od siebie uwagę, pewnie będzie coś krzyczał: „Jest tam! Jest tam!” Ktoś go na pewno zapamięta, policja łatwiej go potem zidentyfikuje, ale pułkownik Strokow zamierzał

spędzić noc w Sofii, nie w Rzymie. Trzeba sprawdzić rozkład lotów. Kiedy już strzeli i zdoła uciec z placu, na pewno nie wróci do Bułgarii statkiem. Nie, poszuka najszybszego środka transportu, chyba że ma w Rzymie dobrze zakamuflowaną kryjówkę...

To możliwe. Cały problem w tym, że Ryan miał do czynienia z doświadczonym agentem, który mógł zaplanować sobie dużo rzeczy. Ale z drugiej strony to była rzeczywistość, nie film, a w świecie rzeczywistym zawodowcy wybierają proste rozwiązania, bo nawet najprostsze mogą ni z tego, ni z owego nie wypalić.

Musi mieć co najmniej jeden plan awaryjny. Może ma kilka, ale jeden na pewno.

Przebierze się za księdza? Księży tu mnóstwo. Zakonnicy też, więcej niż gdziekolwiek indziej. Ile on ma wzrostu? Jeśli metr siedemdziesiąt albo więcej, na zakonnice będzie za wysoki. Ale jeżeli przebierze się za księdza, pod sutanną może ukryć nawet ręczną wyrzutnię pocisków przeciwpancernych. Przyjemna myśl. Ale jak szybko można biec w sutannie? Raczej niezbyt.

Trzeba założyć, że będzie strzelał z pistoletu z tłumikiem. Karabin? Nie. Wady karabinu zawierają się w jego zaletach. Jest tak długi, że ktoś stojący obok może podbić lufę, i po pta-kach. AK-47? Facet pójdzie na całego i puści serię z biodra? Nie, tak robili tylko na filmach.

On próbował w Quantico, z M-16. Czuł się jak John Wayne, ale skuteczność rażenia była żadna – szkolący ich sierżant mawiał, że celownik instaluje się na broni nie bez powodu.

Błyskawicznie dobyć spławy i strzelić z biodra, jak Wyatt Earp w telewizji: jasne, pod warunkiem, że palcem jednej ręki naciskasz spust, a drugą trzymasz skurwiela za ramię, żeby ci nie zwiął. Natomiast celownik mówi ci, gdzie – i jak – celujesz: pocisk to kawałek metalu o średnicy około dziewięciu milimetrów i tak naprawdę to strzelasz do celu równie małego.

Dostaniesz czkawki, lufa drgnie i chybisz, a w stresie celujesz znacznie gorzej niż na spokojnie... chyba że przywykłeś do zabijania ludzi. Jak Borys Stokow, pułkownik z Drżawnoj Sigurnosti. A jeśli jest kimś takim jak Audie Murphy z Trzeciej Dywizji Piechoty? Ale ilu takich może być? Murphy był jedyny, jedyny na osiem milionów amerykańskich żołnierzy biorących udział w drugiej wojnie światowej i jego nieprawdopodobną odwagę – całkowity brak strachu – dostrzeżono dopiero na polu walki. Pewnie sam był zaskoczony, że się nie boi. Pewnie myślał, że jest taki sam jak inni.

Stokow jest zawodowcem, a więc będzie działał jak zawodowiec. Zaplanuje każdy szczegół, zwłaszcza ucieczkę.

– Pan Ryan? – Cichy głos, brytyjski akcent. Blady mężczyzna o rudych włosach.

– A pan kto?

– Mick King. Sir Basil mnie przysłał. Mnie i jeszcze trzech. Przeprowadza pan lustrację terenu?

– Aż tak rzucam się w oczy?

– Nie, mógłby pan uchodzić za studenta architektury. – Za studenta architektury. Bzdura. – I co pan o

- Zamachowiec będzie stał mniej więcej tutaj. – King rozejrzał się.
 - Trochę to ryzykowne, ale tak, uwzględniając, że będą tu tłumy, to dobre miejsce.
 - Gdybym ja to organizował, wlaźłbym na tę kolumnadę i spróbował zdjąć go ze snaj-perki. – Właśnie. Musimy tam kogoś mieć.
 - Słusznie. Wyślę tam Johna Sparrowa. To ten z krótkimi włosami. Przywiózł ze sobą to-nę aparatów fotograficznych.
 - I kogoś w tej uliczce na lewo. Facet będzie próbował zwiać i tam zaparkuje.
 - Czy to nie nazbyt oczywiste?
 - Hej, nie jestem szachistą: służyłem w piechocie morskiej. – Ale to dobrze, że miał ko-goś, kto widział tę sytuację inaczej. Możliwości taktycznych było bez liku, każdy czytał mapę inaczej, a Bułgarzy mogli uczyć się z zupełnie innego podręcznika.
 - Parszywe zadanie. Oby ten Stokow się nie pokazał... Aha, właśnie. – King podał mu kopertę. Była pełna zdjęć, i to całkiem dobrej jakości.
 - Nick Thompson mówi, że facet ma trupie oczy – powiedział Ryan, przyglądając się pierwszemu.
 - Zimne, bezduszne.
 - W środę będziecie uzbrojeni?
 - Ja na pewno – odparł z przekonaniem King. – Biorę browninga. Mamy kilka w ambasadzie. Wiem, że gdy robi się niebezpiecznie, potrafi pan celnie strzelać, sir Johnie – dodał lekko, acz z szacunkiem.
 - Co nie znaczy, że to lubię. – Pistolet jest najskuteczniejszy wtedy, kiedy przytknie się komuś lufę do brzucha. Z lufą wbitą w brzuch trudno spudłować, poza tym huk jest mniejszy. Facet od razu zrozumie, że lepiej się nie stawiać.
- Chodzili po placu przez dwie godziny, ale ciągle wracali tam, skąd wyruszyli.
- Nie obstawimy tego nawet setką ludzi – powiedział w końcu King. – A jeśli nie można być

wszędzie, trzeba wybrać jedno miejsce i ściągnąć tam wszystkie siły.

Napoleon poprosił swoich generałów, żeby opracowali plan obrony Francji przed inwazją i kiedy ci rozstawili żołnierzy wzdłuż całej granicy, z beznamiętną ironią spytał, czy zamierzają bronić kraju przed przemytnikami. Tak, jeśli nie można być silnym wszędzie, trzeba zaplanować wszystko tak, żeby być silnym w jednym miejscu i modlić się, żeby było to miejsce właściwe. W takiej sytuacji kluczem do sukcesu jest wyczucie, umiejętność myślenia tak, jak myśli przeciwnik. Myśl jak twój przeciwnik, a na pewno wygrasz. W teorii brzmiało to pięknie i było bardzo łatwe. Niestety, tylko w teorii.

Zobaczyli Toma Sharpa, który szedł w kierunku bazyliki, i poszli razem do restauracji na lunch.

– Sir John ma rację – powiedział King. – Najlepsze miejsce jest tam, po lewej stronie.

Mamy zdjęcia tego kutasa. – Popatrzył na Sparrowa. – John, weźmiesz aparaty i wejdiesz na kolumnadę. Będziesz obserwował tłum i meldował nam przez radio.

418

Sparrow kiwnął głową, chociaż po jego minie wszyscy poznali, co o tym myśli. Kelner przyniósł piwo.

– Masz rację, Mick. To parszywe zadanie. Cholera, powinniśmy tu ściągnąć pułk SAS, a i to by nie wystarczyło. – Dwudziesty drugi pułk Specjalnej Służby Powietrznej był tak naprawdę niewiele większy od kompanii, ale żołnierzy mieli tam wspaniałych.

– Nie nam rozstrzygać dlaczego – odrzekł Sharp. – Jak to dobrze, że sir Basil czytuje Tennysona. – Anglicy tylko prychnęli. Cóż mogli rzec?

– Co z krótkofalówkami? – spytał Jack.

– Już jadą – odrzekł Sharp. – Małe, zmieszczą się w kieszeni. Mają mikrofony, ale niestety, nie takie, o jakich mówiłeś.

– Cholera. – Przydałyby im się takie, jakich używali goryle prezydenta, ale przecież nie mógł do nich tak po prostu zadzwonić. – Kto ochrania waszą królową?

– Chyba Policja Metropolitalna. Bo?

– Mają mikrofony w klapach marynarek.

– Popytam – odparł Sharp. – Dobry pomysł.

– Powinni nam pomóc – mruknął King.

– Pogadam z nimi jeszcze dzisiaj – obiecał Sharp.

Bomba, pomyślał Ryan. Przejdziemy do historii jako ci, którzy zawalili, dysponując najnowocześniejszym sprzętem.

– Oni nazywają to piwem? – rzucił Sparrow po pierwszym łyku.

– Lepsze to niż te amerykańskie siuski z puszki – odrzekł któryś z agentów.

Jack nie połknął przynęty. Poza tym do Włoch przyjeżdżało się nie na piwo, tylko na wi-no.

– Co wiemy o Strokowie?

– Przekazali mi jego akta – powiedział Sharp. – Czytałem je rano. Czterdzieści trzy lata, metr siedemdziesiąt siedem wzrostu, dziewięćdziesiąt siedem kilogramów wagi. Najwyraźniej za dużo je. A więc ani atleta, ani sprinter. Ma brązowe włosy. I talent do języków.

Po angielsku mówi z obcym akcentem, ale po francusku i włosku jak rodowity Francuz i Włoch. Ekspert od krótkiej broni palnej. Pracuje w tej branży od dwudziestu lat. Do oddziału specjalnego Drżawnoj Sigurnosti trafił piętnaście lat temu. Ma na koncie osiem zabójstw, możliwe, że więcej. Trudno to ustalić.

– Rozkoszniaček, co? – Sparrow wziął ze stolika jedno ze zdjęć. – Łatwo go będzie wypatrzeć. Trzeba by tylko je pozmniejszać, żeby zmieściły się w kieszeni.

– Załatwione – powiedział Sharp. W ambasadzie mieli małą ciemnię, z której korzystał głównie on.

Ryan potoczył wzrokiem po ich twarzach. Dobrze było pracować z zawodowcami. Gdyby musieli wkroczyć do akcji, pewnie niczego by nie spieprzyli – jak banda piechociarzy z jego korpusu. A to już coś.

– Co z naszym uzbrojeniem? – spytał.

419

– Są te browningi – odrzekł Sharp.

Ryan chciał go spytać, czy mają do nich naboje z pociskami grzybującymi, ale pewnie mieli tylko zwykłe, wojskowe. Konwencja Genewska, cholera. Powszechnie uważano, że najpotężniejszym

nabojem europejskim jest dziewiątka parabellum, ale w porównaniu z czterdziestką piątką colta była jak zwykły śrut. W takim razie po co trzymał w domu browninga hi-power? No tak, ale jego browning był nabit dziesięcioipółgramowymi „grzybka-mi”, które FBI uważała za jedyne skuteczne pociski pod względem zarówno zdolności pene-tracyjnej, jak i siły obalającej.

– Cholera, dobrze by było, gdyby stał gdzieś blisko – powiedział King. – Nie strzelałem od lat. – Co uświadomiło Ryanowi, że w przeciwieństwie do Amerykanów, Anglicy nie przepadali za bronią palną, że broń ta nie jest i nigdy nie była elementem ich kultury. Nie tylko zwykli Anglicy, agenci tajnych służb wywiadowczych też: James Bond żył tylko w filmach. Uświadomił też sobie, że najprawdopodobniej jest najlepszym strzelcem z nich wszystkich, a przecież strzelał dość marnie. Wiedział, że dostaną od Sharpa standardowe wojskowe browningi, takie z mikroskopijną, zupełnie niewidoczną muszką i toporną rękoje-

ścią. Rękojeść jego browninga była idealna, dopasowana jak szyta na miarę rękawiczka.

Szlag by to. Im głębiej w las, tym więcej drzew.

– Dobra – rzucił Sharp. – John, wejdiesz na kolumnadę. Sprawdź, jak można się tam dostać i załatw to tak, żebyś w środę rano siedział już na górze.

– Tak jest. – Sparrow miał legitymację prasową i nie spodziewał się żadnych trudności.

– Po południu jeszcze raz pójdziemy na plac. Połazimy, sprawdzimy, czy czegoś nie przeoczyliśmy. Zastanawiam się, czy nie wysłać kogoś do tej bocznej uliczki. Gdybyśmy wypatrzyli nadchodzącego Strokowa, moglibyśmy za nim pójść.

– Nie zatrzymałbyś go? – spytał Ryan.

– Nie, lepiej, żeby podszedł bliżej, gdzie nas więcej – myślał na głos Sharp. – Trudniej by mu było zwać. Jeśli już go namierzemy, nic nie robi. Nasza w tym głowa.

– Dałby się tak łatwo zaskoczyć?

– Na pewno już tu był, sprawdzał teren. Całkiem możliwe, że wypatrzymy go jeszcze dziś albo jutro.

– Nie byłbym tego taki pewny – odparł Jack.

– Gramy takimi kartami, jakie mamy, sir Johnie – wtrącił King. – I wierzymy w szczęście.

Fakt, pomyślał Ryan. Nic dodać, nic ująć.

– Gdybym planował tę operację, postawiłbym na maksymalną prostotę. Przygotowania?

– Sharp postukał się palcem w skroń. – Wszystko zależy od tego. On też będzie spięty, mimo doświadczenia i wprawy. Tak, jest przebiegły, ale nie jest Supermanem. Kluczem do sukcesu jest zaskoczenie. A on tego klucza już nie ma, prawda? Nagła strata elementu zaskoczenia to koszmar każdego agenta. Wszystko rozpada się wtedy jak rozbity zegarek. Pamiętajcie: jeśli Strokow zobaczy

coś, co mu się nie spodoba, najprawdopodobniej odejdzie i wróci kiedy indziej. Jego terminy nie gonią.

– Tak myślisz? – Ryan bardzo w to wątpił.

420

– Tak. Gdyby było inaczej, już by to przeprowadzili i papież gawędziłby teraz z Panem Bogiem. Z tego, co mówi Londyn, Rosjanie planują tę operację gdzieś od sześciu tygodni. Co znaczy, że Strokowowi tak bardzo się nie spieszy. Będę zaskoczony, jeśli zrobi to w środę, ale musimy założyć, że data była stuprocentowo pewna.

– Obyś miał rację...

– Sir Johnie, bez względu na narodowość, agent terenowy myśli i działa jak agent terenowy – odparł z przekonaniem Sharp. – Mamy trudne zadanie, tak, ale mówimy jego językiem. Gdyby się im spieszyło, byłoby już po herbacie. Prawda, panowie? – Wszyscy kiwnęli głową – wszyscy z wyjątkiem Amerykanina.

– A jeśli coś przeoczyliśmy? – spytał tenże.

– To możliwe – przyznał Sharp. – Ale jest to możliwość, z którą obaj musimy żyć. Wiemy jedynie to, co wiemy i nasz plan musi się na ty opierać.

– Nie mamy wyboru, prawda, sir Johnie? – wtrącił Sparrow. – Dysponujemy tylko tym, czym dysponujemy.

– Fakt – przyznał ze smutkiem Ryan. I nagle przyszło mu do głowy, że na placu może zdarzyć się coś jeszcze. A jeśli zamachowiec czy zamachowcy zastosują jakiś podstęp? Jeśli na przykład rzucą w tłum wiązkę petard, żeby wystraszyć ludzi i odwrócić ich uwagę od tego, co robią? Tak. Zdał sobie sprawę, że to naprawdę możliwe.

Niech to szlag.

– O co chodzi z tym Ryanem? – spytał Ritter, wpadając jak burza do gabinetu sędziego Moore’a.

– Ponieważ operacja „Beatrix” jest operacją CIA, Basil uznał, że warto by było wysłać tam jednego z naszych ludzi. To na pewno nam nie zaszkodzi.

– Do diabła, dla kogo ten Ryan właściwie pracuje?

- Bob, uspokój się. Co on może zepsuć?
- Cholera jasna...
- Uspokój się, Robercie – powiedział Moore głosem sędziego, który decyduje absolutnie o wszystkim, łącznie z pogodą.
- Arthurze. – Ritter troszkę się opanował. – To nie miejsce dla niego.
- Nie widzę powodu, żeby go odwoływać. Przecież nie wierzymy, że coś się tam stanie.
- No... chyba nie.
- Poszerzy swoje horyzonty i będzie lepszym analitykiem, prawda?
- Możliwe, ale nie lubię, kiedy kancelista bawi się w agenta. Nie ma do tego kwalifikacji.
- Bob, Ryan służył w wojsku – przypomniał mu sędzia. A Korpus Piechoty Morskiej Stanów Zjednoczonych miał swoją klasę, podobnie jak CIA. – Zapewniam cię, że nie zsiusia się w spodnie.
- Pewnie nie.

421

- Rozejrzy się, niczego szczególnego nie zobaczy, a kontakt z agentami terenowymi dobrze mu zrobi.
 - Ale to Anglicy – zaprotestował słabo Ritter.
 - Ci sami Anglicy, którzy ewakuowali dla nas Zajcewa.
 - Dobrze, tu mnie masz.
 - Bob, znowu wpadłeś w furję, ale może pomyślałbyś raczej, jak wykorzystać tych ludzi do czegoś pożytecznego?
 - Tak, ale wydział operacyjny podlega mnie. Chcesz, żebym wciągnął w to Ricka Nolfie-go?
 - Uważasz, że to konieczne?
- Ritter pokręcił głową.
- Nie, chyba nie.
 - W takim razie niechaj Anglicy prowadzą tę swoją minioperację. My zachowamy spokój,

przesłuchamy Zajcewa i zastanowimy się, czy papieżowi grozi realne niebezpieczeń-

stwo. Dobrze?

– Dobrze, Arthurze. – Z tymi słowami zastępca dyrektora do spraw operacyjnych wyszedł z gabinetu.

Kolacja się udała. Anglicy byli miłymi kompanami, zwłaszcza kiedy rozmowa przeszła na tematy niezwiązane z ich operacją. Wszyscy byli żonaci. Trzech miało dzieci. Jeden miał

wkrótce zostać ojcem.

– Pan ma dwoje, tak? – spytał Mick King.

– Tak. Syn urodził się w bardzo burzliwą noc. Burzliwą i pracowitą. Ray Stones, jeden z nowo przybyłych, wybuchnął śmiechem.

– Cholera. Jak zniosła to żona?

– Kiedy już się urodził, szybko doszła do siebie, ale reszta wieczoru była naprawdę super.

– Na pewno – rzucił King.

– Właściwie skąd wiemy, że Bułgarzy chcą zabić papieża? – spytał Sparrow.

– Nie Bułgarzy, tylko KGB – odparł Jack. – Kilka dni temu ewakuowaliśmy kogoś z Rosji. Jest już bezpieczny i śpiewa jak ta dziewczyna z *Aidy*. To najważniejsze.

– Jest wiarygodny? – spytał King.

– Jak góra szczerego złota, tak. Sir Basil w to wszedł. Dlatego was tu przysłał – dodał

Jack na wypadek, gdyby jeszcze tego nie wiedzieli. – Poznałem tego człowieka i myślę, że nie, on nie kłamie.

– To była wasza operacja? – spytał Sharp.

Ryan kiwnął głową.

– Tak. Mieliśmy kłopoty, a wy byliście tak dobrzy, że nam pomogliście. Nic więcej nie wolno mi powiedzieć. Przepraszam.

Wszyscy to zrozumieli. Za gadanie o tajnych sprawach służbowych można było porządnie oberwać.

– Pomysł musiał wyjść od samego Andropowa. Papież przysparza im kłopotów w Polsce.

– Chyba tak. Może ma jednak więcej dywizji, niż tamci myśleli.

– Trudno w to wszystko uwierzyć – odezwał się King. – Przecież cały świat... Jak zareagowałby świat na wiadomość o zamachu na papieża?

– Najwyraźniej Rosjanie bardziej boją się upadku politycznego Polski niż reakcji świata – odrzekł Stones. – Boją się, że papież może do tego doprowadzić. Miecz i duch, jak mawiał Napoleon. Duch zawsze w końcu zwycięża.

– To prawda, a my jesteśmy w samym centrum duchowej stolicy świata.

– Ja pierwszy raz – powiedział Stones. – Niesamowite miasto. Muszę przyjechać tu z rodziną.

– Trzeba przyznać, że znają się na żarciu i winie – wymlaskał Sparrow, jedząc cielecinę. –

A tutejsza policja?

– Jest niezła – odrzekł Sharp. – Szkoda, że nie możemy zwrócić się do nich o pomoc.

Znają teren, to ich miasto.

Ale ci faceci są zawodowcami z Dover, pomyślał Ryan z nieśmiałą nadzieją. Żeby tylko było ich więcej.

– Tom, dzwoniłeś do Londynu w sprawie krótkofalówek?

– Tak. Przyślą dziesięć. Takich ze słuchawkami i mikrofonami do wpięcia w klapę. Od-bierają i nadają na wstędze bocznej, jak wojskowe. Nie wiem, czy na częstotliwości kodowa-nej, ale jeśli przestrzega się dyscypliny radiowej, są podobno względnie bezpieczne. Przynajmniej się dogadamy. Jutro po południu trochę poćwiczymy.

– A w środę?

– Przyjeżdżamy koło dziewiątej, zajmujemy pozycje i czekamy, aż zbiorą się ludzie.

– Nie do tego szkolono mnie w korpusie – powiedział Ryan.

– Sir Johnie – odparł King. – Nas też do tego nie szkolono. Tak, mamy doświadczenie, ale to jest zadanie dla ochrony, jak choćby dla tych, którzy strzegą Jej Królewskiej Mości, chodzą za panią premier czy za waszym prezydentem. Nawiasem mówiąc, to jest dopiero ciężka robota.

– Masz rację, Mick – powiedział Ray Stones ku ogólnemu poparciu siedzących przy stole. – Po tym

wszystkim będą ich bardziej szanował.

Ryan spojrzał na Sparrowa.

– John, ma pan najbardziej odpowiedzialne zadanie: wypatrzeć tego sukinsyna w tłumie.

423

– Cudnie – odrzekł Sparrow. – Muszę tylko przyjrzeć się twarzom pięciu, sześciu tysięcy ludzi. Cudnie.

– Jak pan stoi ze sprzętem?

– Mam trzy nikony i kilka teleobiektywów. Jutro kupię silną lornetkę. Obym tylko znalazł dobre miejsce na tej cholernej kolumnadzie. Ma wysoki parapet i trochę mnie to niepokoi. Tak na oko, będę widział gdzieś od trzydziestego metra dalej. Ludzi stojących pode mną, u podstawy kolumn, nie zobaczę.

– Nie mamy wyboru – odrzekł Ryan. – Z dołu w ogóle nic nie widać.

– Tak, to problem... – zgodził się z nim Sparrow. – Najlepiej by było, gdybyśmy mogli umieścić kogoś po jednej i po drugiej stronie kolumnady. Ale nie starczy nam ludzi, poza tym musielibyśmy mieć pozwolenie papieskiej ochrony, a to zdecydowanie odpada.

– Tak, dobrze by było, gdyby się w to włączyli, ale...

– Nie możemy zdradzić świata, że złapaliśmy Królika – dokończył Ryan. – Tak, wiem.

Życie papieża jest drugorzędną sprawą. Bomba, nie?

– Ile jest warte bezpieczeństwo kraju, sir Johnie? – rzucił retorycznie King.

– Więcej niż jego życie. Tak, wiem, co nie znaczy, że mi się to podoba.

– Czy zabito kiedyś jakiegoś papieża? – spytał Sharp. Jego koledzy tylko wzruszyli ramionami.

– Kiedyś próbowano – powiedział Ryan. – Szwajcarzy go obronili. Prawie wszyscy zginęli, ale papież zdołał zbiec. – Czytał o tym w jakimś komiksie w Świętym Mateuszu. Kiedy to było... W trzeciej, czwartej klasie.

– Dobrzy są ci Szwajcarzy?

– Ładnie wyglądają w tych pasiastych mundurach – odparł Sharp. – Na pewno służą tam z

przekonania. Pytanie tylko, czy są dobrze wyszkoleni. Na tym właśnie polega różnica między cywilem i żołnierzem: na wyszkoleniu. Ci z tajnej ochrony są pewnie niezli w teorii i mają broń, ale czy wolno im jej użyć? Przecież pracują w kościele i dla kościoła. Wątpię, czy uczą ich strzelania do ludzi.

– Wy też mieliście niezłą zabawę – przypomniał sobie Ryan. – Jakiś facet wyskoczył z tłumu i strzelił do królowej z pistoletu startowego, kiedy jechała na otwarcie Parlamentu, tak? Był tam jakiś żołnierz na koniu. Zdziwiło mnie, że nie rozplątał mu łba szablą. Ja bym tak zrobił.

– To była szabla paradna – odrzekł Sharp. – Pewnie nie przeciąłbyś nią kostki masła. Ale koń omal tego sukinsyna nie stratował.

– Ci z obstawy prezydenta zastrzeliliby go na miejscu. Tak, wiem, pistolet był nabity śle-pakami, ale wyglądał jak prawdziwy. Huk też był, że hej. Ale królowa zachowała zimną krew. Ja bym narobił w spodnie.

– Jestem przekonany, że Jej Królewska Mość skorzystała z toalety w pałacu Westminsterkim – odrzekł King. – Ma tam prywatną.

– To był jakiś wariat – powiedział Sharp. – Siedzi teraz w szpitalu dla umysłowo chorych i wycina papierowe laleczki tępymi nożyczkami. Ale gdy oglądał to w telewizji, zamarło mu 424

serce i też się zdziwił, że ten obłąkaniec uszedł z tego z życiem. Gdyby byli tam żołnierze z królewskiej gwardii przybocznej, yeomeni z Tower, na pewno przygwoździliby go pikami do chodnika jak motyla w gablocie. Widać, Bóg naprawdę czuwał nad głupcami, pijakami i małymi dziećmi. – Myślicie, że jeśli ten Stokow strzeli, ludzie go ukatrupią?

– Oby – mruknął King.

Czyż to nie byłoby świetne? – pomyślał Ryan. Zawodowcy nie dali rady ochronić papieża, ale rzymska kelnerka i sprzedawca ze sklepu tekstylnego zatłukli skurwiela na śmierć.

Jezu, już widział tę wiadomość w wieczornym dzienniku NBC.

Zajcew, Irina i Swietłana zjedli kolejną pyszną kolację przygotowaną przez panią Thompson.

– Co jedzą zwykli angielscy robotnicy? – spytał Oleg Iwanowicz.

– Na pewno nie tak dobrze – odrzekł Kingshot. On jadał znacznie gorzej. – Ale staramy się być mili dla naszych gości.

– To, co powiedziałem o Ministrze, czy to wystarczy? Nic więcej nie wiem. – Ci ze służby

bezpieczeństwa wymagali go na wszystkie strony. Wyciągnęli z niego wszystko, a do każdego faktu powracali co najmniej pięć razy.

– Bardzo nam pan pomógł, Olegu Iwanowiczu. Dziękuję. – Zajcew rzeczywiście im pomógł. Agentów takich jak Minister chwymano najczęściej na podstawie informacji, które przekazywał. Jedynie nieliczni mieli dostęp do wszystkich i ludzie z „Piątki” obserwowali ich dopóty, dopóki któryś nie zrobił czegoś dziwnego. Szli za nim do martwej skrzynki kontaktowej i mieli z tego dodatkową premię w postaci oficera prowadzącego KGB, który odbierał przesyłkę. Premię albo nawet kilka premii, bo Rosjanin mógł mieć pod opieką kilku agentów: schemat siatki szpiegowskiej rozrastał się jak konary wielkiego drzewa. Przed aresztowaniem agenta z konaru głównego aresztowało się agenta z najmniejszej, najniższej rosnącej gałązki, żeby KGB nie dowiedziało się, w jaki sposób zdekonspirowano tego najważniejszego: dzięki temu informator – ten, który sypnął, w tym przypadku Oleg Zajcew – pozostawał

anonimowy. W swych zawiłościach kontrwywiad był równie barokowy, jak intrygi na średniowiecznym dworze: za te właśnie zawiłości agenci kochali tę pracę i nienawidzili jej, i tym większą mieli satysfakcję ze schwytania tego czy innego szpiega.

– Co z papieżem?

– Już panu mówiłem – odrzekł Kingshot. – Wysłaliśmy do Rzymu naszych ludzi. Jak na razie, niewiele wiemy. I szczerze mówiąc, niewiele możemy tam działać, ale próbujemy.

– To dobrze. – Oleg Iwanowicz miał nadzieję, że jego trud nie poszedł na marne. Nie zrobił tego po to, żeby zdekonspirować rosyjskich agentów na Zachodzie. Zrobił to po to, żeby zabezpieczyć swoją pozycję w nowym domu. No i oczywiście dla pieniędzy, które dostanie za zdradę ojczyzny. Ale przede wszystkim po to, żeby ocalić życie temu jednemu człowiekowi.

We wtorek Ryan spał dłużej niż zwykle i wstał dopiero po ósmej, doszedłszy do wniosku, że powinien zebrać siły przed środą. Na pewno będą mu potrzebne.

425

Sharp i pozostali byli już na nogach.

– Co nowego? – spytał Jack, wchodząc do jadalni.

– Przysłali krótkofalówki. – I rzeczywiście, leżały na stole. – Są znakomite. Motorole.

Identycznych używa ochrona waszego prezydenta. Nowiuteńkie. Mikrofon, słuchawka, ko-dowana częstotliwość.

Ryan obejrzał swoją. Słuchawka z przezroczystego plastiku była prawie niewidoczna, kabelek też. Świetnie.

– Baterie są?

– Nówki, plus dwie zapasowe do każdego zestawu. Miło jest wiedzieć, że Jej Królewska Mość jest tak dobrze strzeżona.

– A więc możemy rozmawiać bez obawy, że ktoś nas podsłucha – powiedział Ryan. –

Zawsze to coś. – Jedna dobra wiadomość obok wielkiej sterty wiadomości złych. – Co mamy na dzisiaj?

– Ponownie plac. Rozejrzemy się. Może wypatrzymy naszego przyjaciela Strokowa.

– A jeśli, to co wtedy?

– Pójdziemy za nim do hotelu czy tam, gdzie mieszka, i zobaczymy, czy zechce z nami pogadać.

– Tylko pogadać?

Sharp posłał mu zimne spojrzenie.

– A jak pan myśli, sir Johnie?

Naprawdę chcecie to zrobić? – pomyślał Jack. Cóż, ten sukinsyn był wielokrotnym mordercą i chociaż Brytyjczycy uchodzili za ludzi bardzo cywilizowanych, chociaż mieli dobre maniery i słynęli z gościnności, znali się też na rzeczy. Ryan nie wiedział, czy będzie w stanie pójść na całość, ale oni nie mieli takich oporów. Pewnie mógłby z tym żyć, chyba że to on musiałby pociągnąć za spust. Poza tym prawdopodobnie pozwoliliby mu zwiać za granicę.

Lepiej gadać z uciekinierem niż z trupem.

– Nie zdradzilibyśmy się?

Sharp pokręcił głową.

– Nie. Nie zapominaj, że ten facet zabił Georgija Markowa. Zawsze moglibyśmy powiedzieć, że Jej Królewska Mość pragnęła wymierzyć sprawiedliwość komuś, kto na to zasłużył.

– W Anglii nie tolerujemy morderstwa – wtrącił Sparrow. – Strokow powinien ponieść karę. Bardzo byśmy się z tego cieszyli.

– Rozumiem – odrzekł Ryan. Tak, on też by się ucieszył. Podobnie jak jego ojciec. Był te-go pewien.

O tak, na sto procent.

Przez resztę dnia udawali turystów i sprawdzali krótkofalówki. Okazało się, że działają zarówno na placu, jak i w samej bazylice. Postanowili, że każdy z nich będzie występował

426

pod swoim własnym imieniem. Tak było sensowniej. Kryptonimy musieliby zapamiętać i w razie jakiegoś zamieszania mogłyby im się dokumentnie poplątać. Cały czas wypatrywali Borysa Strokowa, mając nadzieję na cud i powtarzając sobie, że cuda się przecież zdarzają.

Wygrywano na loterii – we Włoszech też mieli loterię – co tydzień padały wysokie wygrane w zakładach piłkarskich, więc rzecz nie była niemożliwa, tyle tylko że tego dnia nikt z nich nic nie wygrał.

Nie znaleźli też lepszego czy bardziej prawdopodobnego miejsca, z którego można by oddać strzał w kierunku jadącego powoli pojazdu, i jednogłośnie uznali, że pierwotna ocena taktyczna, to znaczy, ocena jego, Ryana, była najlepsza. Ryan urósł, ale przestał rosnąć, uzmysłowiwszy sobie, że jeśli zawałą, wina spadnie na niego, nie na nich.

– Wiesz – powiedział do Kinga; Sharp musiał wrócić do ambasady – ponad połowa ludzi będzie stała tam, dokładnie pośrodku.

– I dobrze. Tylko głupiec by stamtąd strzelał. Jeśli strzeli i Scotty nie teleportuje go pro-mieniem lasera na pokład wahadłowca „Enterprise”, będzie po nim. Stamtąd nie sposób uciec.

– A jeżeli przyczai się w bazylice, żeby strzelić, kiedy papież będzie szedł do samochodu?

– Znaczyłoby to, że on sam czy jego wspólnik wkradł się już w szeregi urzędników papieskiej administracji, że pracuje w jego najbliższym otoczeniu i że może zaatakować kiedy zechce. Nie wiem czemu, ale myślę, że zinfiltrowanie tej watykańskiej maszyny byłoby cholernie trudne i trwałoby wiele lat. Udawać tak długo księdza tylko po to, żeby teraz strzelić i zabić? – King pokręcił głową. – Nie, odpada.

– Mam nadzieję, że masz rację, Mick.

– Ja też.

Opuścili plac koło czwartej. Osobnymi taksówkami dojechali w pobliże ambasady i resztę drogi pokonali piechotą.

Tego wieczoru przy kolacji prawie nie rozmawiali. Każdy myślał o swoich zmartwie-niach, każdy miał cichą nadzieję, że jeśli nawet pułkownik Strokow z Drżawnoj Sigurnosti chce zabić papieża, to

nie zrobi tego w tę środę i że już nazajutrz będą mogli wrócić do Londynu. Ryan przekonał się o jednym: chociaż byli doświadczonymi agentami, zadanie to wybitnie im nie leżało i czuli się w tej roli tak paskudnie jak on. Nie był więc osamotniony i trochę mu ulżyło. A może to tylko zwykła trema? Jak musieli czuć się żołnierze przed dniem

„D”, przed lądowaniem aliantów w Normandii? Ale nie, na nich nie czekała niemiecka armia. Ich zadaniem było nie dopuścić do morderstwa. I to nie im groziło niebezpieczeństwo.

Niebezpieczeństwo groziło komuś, kto albo o tym nie wiedział, albo miał to gdzieś, dlatego musieli wziąć na siebie odpowiedzialność za jego życie. Mick King miał rację. To była par-szywa misja.

– Mamy nowe informacje od Zajcewa – oznajmił sędzia Moore na cowieczornej odprawie ze swoimi zastępcami.

– Jakie?

427

– Basil mówi, że w ich Ministerstwie Spraw Zagranicznych działa głęboko zakamuflowany agent i że dzięki Zajcewowi zdołali ograniczyć liczbę potencjalnych kandydatów do czterech. „Piątka” już się im przygląda. Opowiedział im też o tym Kassjuszu. Podobno pracuje dla Rosjan od dziesięciu lat. Jest bardzo bliskim współpracownikiem jakiegoś senatora z komisji wywiadu, najpewniej jego doradcą politycznym, a skoro tak, na pewno ma dostęp do tajnych informacji. FBI wyłowiła takich osiemnastu.

– Dużo im sprzedaje?

– Tyle, że jak powiem o tym na Kapitolu, w ciągu tygodnia dowiedzą się o tym ci z placu Dzierżyńskiego.

– A to skurwysyn. Już ja go dorwę – wysyczał Ritter. – Jeśli to prawda, straciliśmy przez niego mnóstwo ludzi. – Bez względu na liczne wady, Ritter dbał o agentów jak niedźwiedzi-ca grizzly o swoje małe.

– Pracuje od tak dawna, że na pewno czuje się bezpieczny.

– Zajcew mówił też o kimś z naszej marynarki wojennej – przypomniał sobie Greer. – O

tym Neptunie, czy jak mu tam.

– Nie powiedział nic więcej, ale na pewno go wypytamy. To może być każdy... Jakie ma-ją tam

środki bezpieczeństwa? Dobrze?

– W marynarce wojennej? – Greer wzruszył ramionami. – Na każdym okręcie służą łącznościowcy, podoficerowie i oficerowie zawodowi. Mają rozkaz niszczyć zużyte formularze, tabele kodów i obwody drukowane i wyrzucać je za burtę. Robią to codziennie, w obecności dwóch ludzi. Wszyscy zostali sprawdzeni i mają dostęp do tajnych...

– Właśnie – przerwał mu Ritter. – Tylko ci z dostępem do tajnych informacji mogą nas wydymać.

– Okradnie cię tylko ten, komu powierzysz pieniądze – rzekł Moore, który wiedział o tym z sądowego doświadczenia. – W tym problem. Wyobraźcie sobie, jak poczują się Rosjanie, jeśli odkryją, że Zajcew żyje i gada.

– To co innego – odparł Ritter. Sędzia wybuchnął śmiechem.

– Bardzo dobrze, Bob. Moja żona mówi tak cały czas. To pewnie okrzyk wojenny kobiet całego świata: „To co innego!” Nie zapominaj, że tamci też uważają się za uosobienie prawdy i piękna.

– Jasne, ale i tak im przypieprzymy.

Cóż za pewność siebie, pomyślał Moore. I kto to mówi? Bob Ritter. Bardzo dobrze.

– Jak tam twoja „Maska czerwonej śmierci”, Robercie? – spytał.

– Zbieram pomysły. Daj mi jeszcze kilka tygodni.

– Oczywiście.

W Waszyngtonie dochodziła pierwsza w nocy, ale tu, we Włoszech, wstał już dzień. Ry-an wziął prysznic – żeby do końca otrzeźwieć – ogolił się i o wpół do siódmej zszedł na śniadanie. Pani Sharp zrobiła kawę po włosku, która smakowała tak, jakby ktoś wrzucił do 428

dzbanka zawartość popielniczki. Cóż, są gusta i guściki. Za to jajka i angielski bekon były dobre, grzanka z masłem też. Nie wiedzieć czemu, panowało przekonanie, że ludzie muszą iść na akcję z pełnym brzuchem. Szkoda, że Anglicy nie słyszeli o tartych ziemniakach sma-

zonych z cebulą, najbardziej niezdrowym jedzeniu na świecie.

Do jadalni wszedł Sharp.

– Gotowy? – spytał.

– A mam jakiś wybór? Gdzie reszta?

– Za trzydzieści pięć minut spotykamy się przed bazyliką. – Z ambasady jechało się tam ledwie pięć minut. – Masz. Poznaj swego nowego przyjaciela. – Podał Ryanowi pistolet.

Jack cofnął zamek. Na szczęście komora była pusta.

– To też ci się przyda. – Sharp rzucił mu dwa pełne magazynki. No jasne, oczywiście: miedziana koszulka, ołowiany rdzeń. Takie coś wchodzi w człowieka jak w masło, żłobi w ciele kanał średnicy dziewięciu milimetrów i wylatuje drugą stroną. Ale Europejczycy uwa-

żali, że można powalić tym słonia. Jack żałował, że nie ma przy sobie czterdziestki piątki, colta M1911A1: draśnięty wystrzelonym z niego pociskiem człowiek natychmiast pada i po-zostaje mu tylko czekać na przyjazd karetki. On strzelał z colta kiepsko, za to całkiem niezłe radził sobie z karabinem, ale z karabinem każdy sobie poradzi. Sharp nie miał kabur, więc cóż, będą musieli chodzić w zapiętych marynarkach, z browningami za paskiem. Fatalnie, bo to cholerstwo było straszliwie niewygodne do noszenia i jeśli się go co jakiś czas nie poprawiało, istniała realna groźba, że wpadnie do spodni i wypadnie nogawką na chodnik. Koszmar. Siadać też było niewygodnie, ale wiedzieli, że na placu siadać raczej nie będą. Zapasowe magazynki schował do kieszeni. Ponownie odciągnął zamek, wsunął do rękojeści maga-zynek i zwolnił dźwignię, żeby zamek wrócił na miejsce. Broń była teraz gotowa do użycia.

Po namyśle, ostrożnie opuścił kurek. Wystarczyłby sam bezpiecznik, ale uczono go, żeby im nie ufać. Będzie musiał tylko pamiętać o odciągnięciu kurka, o czym zapomniał, strzelając do Seana Millera. Ale nie. Jeśli przyjdzie co do czego, tym razem na pewno nie zapomni.

– No to co? – rzucił. – Boogie-woogie?

– To znaczy: „Ruszamy”? – spytał Sharp. – Już to raz powiedziałaś i nie miałem pojęcia, o co chodzi.

– Tak, „Ruszamy”, „Do boju”. Kiedyś był chyba taki taniec.

– Weź radio. Przypnij do paska na tylnej kieszeni. Przełącznik jest tu. Słuchawkę przypinasz do kołnierzyka, mikrofon do klapy. Sprytne, co?

– Dobra. – Ryan „ubrał” sprzęt, ale krótkofalówki nie włączył. Zapasowe baterie też po-wędrowały do kieszeni. Nie sądził, żeby się przydały, ale strzeżonego Pan Bóg strzeże. Się-

gnął do tyłu i wymacał przełącznik. – Jaki mają zasięg?

– Według instrukcji obsługi, trzy mile, pięć kilometrów. Jak dla nas, aż za duży. Gotowy?

– Tak. – Jack wetknął pistolet za pas i wyszli.

Tego ranka ruch był niewielki. Z tego, co dotąd widział, włoscy kierowcy wcale nie jeź-

dzili po wariacku, jak głosiła fama. Ale ci tam, za oknami samochodu, jechali pewnie do pracy, byli trzeźwo myślącymi pośrednikami handlu nieruchomościami albo magazynierami.

Turyści często zapominali, że Rzym jest po prostu zwykłym miastem, a nie parkiem tematycznym założonym dla ich rozrywki.

Kiedy jak kiedy, ale dzisiaj na pewno nie czeka nas zabawa – pomyślał chłodno Ryan.

Sharp zaparkował bentleya w bocznej uliczce, gdzie według ich założeń miał zaparkować Stokow. Stało tam już kilka samochodów, pewnie należących do właścicieli sklepów albo do rannych ptaszków, którzy chcieli załatwić zakupy przed godziną szczytu.

Tak czy inaczej, ich luksusowa limuzyna miała dyplomatyczne tablice rejestracyjne, więc mogli być pewni, że nikt nie będzie próbował się do niej włamać. Gdy weszli na plac, Jack sięgnął do tyłu i nie odsłaniając pistoletu, włączył krótkofalówkę.

– Dobra – rzucił do mikrofonu. – Mówi Ryan. Zgłoście się.

– Sparrow na kolumnadzie – odpowiedział natychmiast wyraźny głos w słuchawce.

– King na pozycji.

– Ray Stones też.

– Parker na pozycji. – Phil Parker, ostatni z nowo przybyłych, czuwał w bocznej uliczce.

– Tu Sharp. Jestem z Ryanem. Co kwadrans sprawdzamy łączność. Jeśli zobaczycie coś ciekawego, natychmiast meldujcie. Bez odbioru. – Tom spojrzął na Jacka. – Jedno z głowy.

– Tak. – Ryan spojrzął na zegarek. Od ukazania się papieża dzieliło ich wiele godzin.

Ciekawe, co teraz robi... Podobno bardzo wcześnie wstawał. Bez wątpienia najpierw – i to musiało być dla niego najważniejsze, tak jak dla każdego katolickiego księdza na świecie –

odprawiał mszę, która przypominała mu, że jest sługą Bożym, że służy Bogu od ponad czterdziestu lat, że było tak i za hitlerowców, i za komunistów, że wciąż jest pasterzem swoich owieczek. Ale jego parafia obejmowała teraz niemal cały świat, a wraz ze wzrostem liczby owieczek, wzrosła i odpowiedzialność.

Znowu przypomniały mu się stare czasy. Płynąc przez Atlantyk lotniskowcem – nie przypuszczał wtedy, że roztrzaska się na Krecie jednym ze śmigłowców, które wtedy transportowali – co niedziela mieli mszę, a przed mszą wciągano na maszt proporzec z krzyżem.

Powiewał wysoko nad banderą narodową. W ten sposób Marynarka Wojenna Stanów Zjednoczonych

oficjalnie uznawała, że wierność i lojalność wobec ojczyzny jest wartością drugorzędną, że istnieje coś wyższego, coś ważniejszego niż to. Tym czymś była lojalność wobec samego Boga, potęgi większej niż Stany Zjednoczone Ameryki, i jego kraj otwarcie to uznawał. Jack czuł to nawet tu, teraz, idąc przed siebie z bronią za pasem. Czuł spoczywające na jego barkach brzemień. Ktoś chciał zabić papieża, Chrystusowego namiestnika na ziemi, i nagle dotarło do niego, że w zbrodni tej jest coś ohydneho. Nawet najgorszy uliczny bandzior nie zaczepiał księdza, pastora czy rabina, bo cholera go wie, może jednak Bóg istniał, może lepiej z Nim nie zadzierać. A papież był Jego osobistym, Jego najważniejszym przedstawicielem wśród ludzi. Czyż coś mogło wkurzyć Boga bardziej niż to, że zamordowano jego nun-cjusza na planecie o nazwie Ziemia? Przecież papież nigdy pewnie nikogo nie skrzywdził.

Kościół katolicki nie był instytucją doskonałą – kościół to ludzie, a ludzie nie są doskonali.

Jednakże kościół ten opierał się na wierze we wszechmocnego Boga, a jego polityka rzadko kiedy – jeśli w ogóle – zapominała o miłości i obowiązku czynieniu dobra.

Ale Związek Radziecki widział w tych doktrynach zagrożenie. Czyż trzeba było lepszego dowodu na to, że na tym świecie to właśnie Rosja jest imperium zła? Będąc żołnierzem, 430

Ryan przysięgał walczyć z wrogami ojczyzny. Teraz poprzysiągł sobie, że będzie walczył z wrogami Boga. Dla KGB najwyższą władzą była partia. Otwarcie się do tego przyznając, otwarcie przyznawali też, że są wrogami całej ludzkości, bo czyż Bóg nie stworzył człowieka na wzór i podobieństwo swoje? Nie na podobieństwo Lenina. Nie na podobieństwo Stalina.

Na podobieństwo swoje, boskie.

Cóż, pomoże mu w tym pistolet skonstruowany przez Mosesa Browninga, Amerykanina, może mormona? Browning pochodził z Utah, ale Jack nie wiedział, jakiego był wyznania.

Czas bardzo się dłużył. Ciągłe zerkanie na zegarek nie pomagało. Na plac zaczęli ściągać ludzie. Nie tłumami, raczej grupami, jak kibice baseballowi, parami albo rodzinami.

Zauważył mnóstwo dzieci, niemowląt w ramionach matek, dzieci z nianiami, wycieczek szkolnych. Wszyscy przybyli tu tylko w jednym celu: chcieli zobaczyć Pontifeksa Maksimu-sa. Określenie to ukuli starożytni Rzymianie, dla których ksiądz już wtedy był pontifeksem, budowniczym mostów pomiędzy ludźmi i czymś, co od ludzi potężniejsze. Budowniczy mostów: zdumiewająco trafne porównanie.

Wikariusz Najwyższego... Ten sukinsyn Strokow gotów był zabić samego Jezusa. Nowy Poncjusz Piłat, a jeśli nie Piłat, to na pewno jego wysłannik, wysłannik ciemniejszych chę-

cych splunąć Bogu w twarz. Nie, żeby Bogu w jakiś sposób to zaszkodziło. Nie ma wśród nas aż tak potężnych, lecz atak na jedną z Jego instytucji, zamach na Jego osobistego przedstawiciela... to aż za dużo. Powiadano, że w odpowiednim czasie ludzie tacy jak Strokow zostaną przez Boga ukarani,

może więc Bóg wybiera też narzędzie tejże kary? Kto wie, może narzędziem tym będzie nawet oficer Korpusu Piechoty Morskiej Stanów Zjednoczonych Ameryki...

Południe. Zanosilo się na ciepły dzień. Jak ci starożytni żyli tu bez klimatyzacji? Żyli, bo po prostu jej nie znali, a ludzkie ciało adaptuje się do środowiska; Cathy mówiła, że ma to coś wspólnego ze szpikiem kostnym. Byłoby mu wygodniej, gdyby zdjął marynarkę, ale za pasem miał przecież pistolet... Wszędzie pełno ulicznych sprzedawców z zimnymi napojami i lodami. Współcześni przekupnie w świątyni? Nie, chyba nie. W każdym razie księża ich nie przepędzali. Hmm, dobre przebranie. W takim przebraniu można podejść... Ale nie, stali za daleko. Poza tym było już za późno, żeby zawracać sobie nimi głowę, zresztą żaden nie przypominał Strokowa. Jack miał w ręku jego małe zdjęcie i co chwila na nie zerkał. Ten sukinsyn mógł się oczywiście przebrać. Byłby głupi, gdyby się nie przebrał, a powiadano, że Strokow głupi nie jest. Ale przebranie nie załatwiłoby sprawy, w każdym razie nie do końca.

Długość i kolor włosów? Tak, owszem. Ale już nie wzrost. Musiałby najpierw poddać się poważnej operacji. Można sztucznie przytyć, ale sztucznie zeszczupłeć się nie da. Zarost?

Dobra, poszukajmy faceta z brodą lub z wąsami. Powiódł wokoło wzrokiem. Nie, nikogo, kto by pasował.

Jeszcze pół godziny. Tłum zgęstniał, zrobił się głośniejszy. Gwar, tysiące głosów, tysiące języków. Turyści i wierni z całego świata. Blondyni ze Skandynawii, Murzyni z Afryki, Azjaci... Kilku typowych Amerykanów, ale ani jednego typowego Bułgara. Jak wyglądają Bułgarzy? Kościół katolicki był kościołem uniwersalnym, co oznaczało, że należą doń ludzie wszelkiej maści. Ileż to różnych przebrań, ileż możliwości.

– Sparrow, tu Ryan. Widzisz coś?

– Nie, nic podejrzanego. Przeczესuję teren wokół ciebie. Jak dotąd nikogo.

431

– Dobra, przyjąłem.

– Jeśli ten skurwiel tu jest, musi być niewidzialny – powiedział stojący tuż obok Sharp.

Znajdowali się osiem, dziesięć metrów od stalowych barierek, które rozstawiano na placu w każdą środę. Robiły wrażenie dość ciężkich. Ilu ludzi potrzeba, żeby wrzucić taką na cięża-rówkę? – pomyślał Jack. Dwóch czy czterech? Już dawno temu stwierdził, że w takich chwilach umysł lubi błędzić, dlatego musiał mieć się na baczności. Patrz na tłum, powtarzał sobie w duchu. Na tłum.

Za dużo tych pieprzonych twarzy! Poza tym, jeśli ten skurwysyn tu przyjdzie, na pewno nie będzie gapił się na ciebie.

– Tom, przejdźmy się wzdłuż barierek, co?

– Dobry pomysł.

Tłum był gęsty, ale jakoś się przebili. Ryan spojrzął na zegarek. Jeszcze piętnaście minut.

Ludzie napierali na barierki, chcieli podejść jak najbliżej. Już w średniowieczu panował pogląd, że dotyk monarchy może uzdrowić chorego albo przynieść szczęście i widać, pozostało tak do dziś dnia. A dotyk samego papieża? Wielu z tu obecnych chorowało pewnie na raka i przyszło błagać Boga o pomoc. Takie cuda ponoć się zdarzały. Lekarze mówili wtedy, że choroba się po prostu cofnęła i przypisywali to procesom biologicznym, których jeszcze nie rozumieli. Ale może były to prawdziwe cuda? Dla ozdrowieńców na pewno tak. Była to jedna z rzeczy, których Ryan nie pojmował.

Ludzie wychylali się za barierki, spoglądali w kierunku bazyliki.

– Sharp, Ryan, Sparrow – zatrzeszczało w słuchawce. – Możliwy cel sześć metrów na lewo od was. Trzeci szereg, granatowa marynarka. – Nie czekając na Sharpa, Ryan ruszył w tamtą stronę. Było gęsto, ale nie tak gęsto jak w nowojorskim metrze. Nikt nawet nie zaklął.

Jack wyciągnął szyję i...

Tak. Tam, niedaleko. Spojrzął na Sharpa i dwa razy dotknął palcem nosa.

– Tu Ryan – rzucił do mikrofonu. – Kieruję się w stronę celu. Podawaj namiary, John.

– Trzy metry prosto przed siebie, tuż obok Włoszki w brązowej sukience. Facet ma jasnobrązowe włosy. Patrzy w lewo.

Mam cię, sukinsynu, pomyślał radośnie Jack. Dwie minuty później stał już tuż za nim.

Dzień dobry, pułkowniku Stokow.

Ukryty w gęstym tłumie, rozpiął marynarkę.

Dziwne. Na jego miejscu podszedłby znacznie bliżej barierki. Wokoło kłębili się ludzie, miał ograniczone pole strzału, ale stojąca tuż przed nim kobieta była niska, więc pewnie liczył na to, że wypali nad jej głową.

No dobrze, Borysie Adriejewiczu. Chciałeś sobie pograć, ale moja zagrywka trochę cię zaskoczy. Tak, skurwielu. Każdy trep czy marynarz, który trafia do nieba, od razu widzi, że po ulicach chodzą tam patrole żołnierzy piechoty morskiej.

Tom Sharp otarł się o Stokowa, stanął dwa kroki dalej, zerknął na Ryana i podniósł do góry zaciśniętą pięć: Bułgar był uzbrojony.

Gwar przybrał na sile, wszystkie języki świata zlały się w mrukliwy syk, który nagle ucichł. Otworzyły się spiżowe wrota.

Sharp czuwał półtora metra dalej. Między nim i Bułgarem stała tylko jedna osoba, jakiś nastolatek. Tom mógł w każdej chwili skoczyć w bok i chwycić skurwysyna za gardło.

Wtem buchnął krzyk. Ryan ostrożnie przesunął się kilka centymetrów do przodu, wyjął pistolet i odwiódł kciukiem kurek. Ani na sekundę nie odrywał wzroku od Strokowa.

– Tu King. Papież już wyszedł. Widać samochód.

Ale Jack nie mógł mu odpowiedzieć. Nie widział też papamobile.

– Tu Sparrow. Tak, widzę go. Ryan, Sharp, za kilka sekund cel znajdzie się w waszym polu widzenia.

Jack wciąż milczał. Nie widział ani papieża, ani ludzi. Widział jedynie plecy i głowę Strokowa. I jego ramiona. Nie można poruszyć ramieniem, nie poruszając łopatką, a kiedy Bułgar poruszy łopatką...

Strzał w plecy to morderstwo, Jack...

Kątem oka dostrzegł przód białego dzipa jadącego powoli z lewej strony ku prawej.

Strokow patrzył w tamtym kierunku, ale jakby trochę... w innym? Dlaczego?

I nagle leciutko poruszył prawym ramieniem, pokazując łokieć, co oznaczało, że zmienił położenie ręki, że trzyma ją teraz równoległe do ziemi.

Poza tym ostrożnie, niemal niezauważalnie, przesunął do przodu prawą stopę. Szykował się do...

Ryan wbił mu w krzyż lufę pistoletu. Wbił tak mocno, że poczuł, jak utyka między kręgamii. Strokow drgnął i leciutko odchylił do tyłu głowę.

– Jeśli pistolet, który trzymasz w ręku, wystrzeli – szepnął mu do ucha Jack – do końca życia będziesz szczał w pieluchy. Oddaj mi go. Tylko powoli, powolutku, czubkami palców, bo pociągnę za spust.

Zadanie wykonane, oznajmił jego umysł. Ten skurwysyn już nikogo nie zabije. Chcesz spróbować jakiejś sztuczki? Śmiało! Nie zdążysz, chłopie. Jack zaciskał palec na spuście tak mocno, że gdyby

tamten wykonał gwałtowny ruch, broń by natychmiast wypaliła i pocisk roztrzaskałby mu krzyż.

Stokow wahał się, Stokow intensywnie myślał. Musiał rozważyć kilka możliwości.

Owszem, mógł z tego wyjść albo przynajmniej spróbować. Istniały na to sposoby, a nawet ćwiczył je podczas szkolenia w akademii wywiadu, ale teraz, dwadzieścia lat później, stojąc z lufą prawdziwego pistoletu w plecach, czasy te wydały mu się bardzo odległe, poza tym czy zdążyłby odwrócić się tak szybko, żeby pocisk nie roztrzaskał mu nerki? Mało prawdopodobne. Dlatego zrobił to, co mu kazano...

Ryan aż podskoczył, słysząc odgłos trzech pistoletowych wystrzałów w odległości czterech i pół metra od miejsca, gdzie stali. W chwilach takich jak ta świat przestaje się kręcić, serce i płuca funkcjonować, a wszystkie zmysły gwałtownie się wyostrajają. Odruchowo po-wędrował wzrokiem w tamtą stronę. Na śnieżnobiałej sutannie Ojca Świętego, na jego piersi, wykwitła czerwona plama wielkości półdolarówki. Na jego przystojnej, dobrotliwej twarzy 433

malował się szok. Bólu pewnie jeszcze nie odczuwał, lecz już padał, już osuwał się powoli na siedzenie dżipa, obracając się w lewo i zginając w pół.

Ryan z trudem zapanował nad zaciśniętym na spuście palcem i lewą ręką wyszarpnął

Bułgarowi pistolet.

– Stój, skurwysynu, ani kroku. Stój, nie odwracaj się, nic nie rób. Tom! – wrzasnął do mikrofonu. – Tom!

– Tu Sparrow. Dopadli zamachowca. Leży na ziemi. Przygniata go z dziesięciu ludzi.

Papież oberwał dwa, może nawet trzy razy!

Tłum zareagował dwojako. Ludzie stojący najbliżej strzelającego rzucili się na niego jak stado kotów na pechową mysz, tak że w ciągu sekundy zniknął pod zwałem ciał, trzy, cztery metry od miejsca, gdzie stali Ryan, Sharp i Stokow. Natomiast ludzie stojący nieco dalej zaczęli się powoli cofać...

– Jack, zabierzmy go stąd. – Ruszyli w kierunku bocznej uliczki.

– Sharp do wszystkich. Mamy Stokowa. Opuszczamy teren oddzielnie i spotykamy się w ambasadzie.

Minutę później dotarli do bentleya. Ryan usiadł obok Bułgara. Stokow odzyskał pewność siebie.

– O co chodzi? Jestem pracownikiem bułgarskiej ambasady i...

– Tak, tak, będziemy o tym pamiętać. Ale na razie jesteś gościem rządu brytyjskiego.

Bądź grzeczny i siedź spokojnie, bo mój kolega cię zabije.

– Proszę, proszę. Narzędzie niezbędne dla każdego dyplomaty... – Ryan popatrzył na je-go broń. Toporny pistolet z dużym, cylindrycznym tłumikiem, wyprodukowany gdzieś na Wschodzie. Nie ulegało wątpliwości, że facet zamierzał kogoś zastrzelić.

Tylko kogo? Ryan miał w głowie mętlik.

– Tom?

– Tak?

– To było bardziej skomplikowane, niż zakładaliśmy.

– Chyba tak – zgodził się z nim Sharp. – Ale on nam wszystko wyjaśni.

Podczas jazdy do ambasady Jack odkrył drzemiące w bentleyu talenty. Maszyna miała potężny silnik, a Sharp umiał wykorzystywać jego możliwości, dlatego przemknęli przez Watykan jak dragsterem. Zahamowali z piskiem opon na małym parkingu obok ambasady, weszli do środka bocznymi drzwiami, zeszli do podziemi. Sharp zakuł Bułgara i posadził go na drewnianym krześle.

– Pułkowniku Stokow – powiedział – musi pan ponieść odpowiedzialność za zabójstwo Georgija Markowa. Ścigamy pana od wielu lat.

Stokow wytrzeszczył oczy. Bentley jeździł szybko, ale umysł Toma Sharpa pracował jeszcze szybciej.

– Nie rozumiem...

434

– Mamy zdjęcia, na których wsiada pan do samolotu na lotnisku Heathrow po zabójstwie Markowa na moście Westminsterskim. Chodzili za panem chłopcy ze Scotland Yardu, ale uciekł pan, zanim zdążyliśmy uzyskać nakaz aresztowania. Pech. Dlatego teraz aresztujemy pana my. Przekona się pan, że jesteśmy mniej cywilizowani niż ci z Yardu. Zamordował pan człowieka na angielskiej ziemi. Jej Królewska Mość tego nie pochwała.

– Ale...

– Po cholere ty z nim gadasz, Tom? – przerwał mu Ryan. – Przecież mamy wyraźne rozkazy.

– Cierpliwości, Jack, cierpliwości. Pan pułkownik już nigdzie się nie spieszy, prawda?

– Chcę zadzwonić do ambasady – odezwał się niepewnie Strokow.

– Zaraz zażąda adwokata! – rzucił Sharp bez cienia wesołości w głosie. – W Londynie może być i mógł, ale do Londynu jest cholernie daleko, brachu.

– Poza tym nie jesteśmy ze Scotland Yardu – dodał Ryan, przejmując od niego pałeczkę.

– Powiniennem był wykończyć go na placu.

Sharp pokręcił głową.

– Za dużo hałasu. Lepiej niech po prostu... puf! Zniknie. Jestem pewien, że Georgij by to zrozumiał.

Po wyrazie twarzy Strokowa poznali, że pułkownik Drżawnoj Sigurnosti nie przywykł

do tego, żeby ktoś decydował o jego losie w taki sam sposób, w jaki on decydował o losie swych ofiar. Stwierdził, że łatwiej jest być odważnym z pistoletem w ręku.

– Nie, nie, nie zamierzałem go zabijać – odrzekł Ryan. – Chciałem mu tylko przetrącić kręgosłup. Wiesz, przykuć go do wózka na resztę życia, zrobić z niego kalekie niewiniątko.

Myślisz, że Bułgaria by się za nim wstawiła?

Sharp omal nie udusił się ze śmiechu.

– Drżawna Sigurnost? Nie rozśmieszaj mnie, Jack. Wsadziliby go do szpitala dla umysłowo chorych i miałby szczęście, gdyby dwa razy dziennie podcieraliby mu dupę.

Fakt, pomyślał Ryan. Żaden z krajów komunistycznych nie okazywał lojalności wobec agentów, którzy wpadli, nawet tym najbardziej wiernych i zaufanych. Strokow dobrze o tym wiedział. Gdy ktoś coś spieprzył, wpadał w głębokie gówno, a wtedy wszyscy przyjaciele znikali jak poranna mgła. Zresztą pułkownik nie wyglądał na takiego, co to ma wielu przyjaciół. Nawet w Drżawnoj Sigurnosti musiał być kimś w rodzaju agresywnego psa, może cennego, ale nie lubianego przez dzieci, które po prostu mu nie ufały.

– Tak czy inaczej – kontynuował Sharp – my tu sobie z pułkownikiem pogadamy, a ty masz samolot. – I dobrze, bo Ryanowi zaczynało już brakować konceptu. – Pozdrów ode mnie sir Basila.

– Jasne, nie omieszkam. – Jack wyszedł z piwnicy i wziął głęboki oddech. Na dworze czekał Mick King i reszta. Ktoś spakował mu rzeczy, a przed ambasadą stał już minibus, któ-

rym mieli pojechać na lotnisko. Zdążyli na czas. Bilety? Jak zwykle pierwszej klasy. Podczas lotu Ryan siedział koło Kinga.

– I co my, do diabła, z nimi zrobimy?

– Ze Strokowem? – odparł Mick. – Na pewno chcesz wiedzieć?

Rozdział 32

Bal maskowy

Podczas dwugodzinnego lotu na Heathrow Ryan pozwolił sobie na trzy małe szklaneczki słodowej whisky, głównie dlatego, że nic innego nie mieli w barku. Nie wiedzieć czemu, strach przed lataniem nieco osłabł, pewnie dlatego, że boeing 737 Brytyjskich Linii Lotniczych leciał tak gładko, jakby wciąż stali na ziemi. No i dlatego, że głowa pękała mu od my-

śli.

– Mick, co poszło nie tak? – spytał gdzieś nad Alpami.

– To, że nasz przyjaciel Stokow nie zamierzał strzelać do papieża sam. Po prostu kogoś wynajął.

– W takim razie po co mu był pistolet z tłumikiem?

– Mam zgadywać? Pewnie chciał zabić zamachowca, wmieszać się w tłum i zniknąć.

Jack, nie sposób przewidzieć, kto co myśli.

– A więc daliśmy dupy.

– Zależy, gdzie weszły kule. John mówił, że jedna trafiła w korpus, druga w ramię czy w rękę, trzecia może nigdzie, a może go tylko drasnęła. Wszystko jest teraz w rękach chirurga, który go operuje. – King wzruszył ramionami. – My nic już tu nie możemy zrobić, przyjacielu.

– Kurwa – zaklął cicho Ryan.

– Czy dał pan z siebie wszystko, sir Johnie?

Jack gwałtownie odwrócił głowę.

– Tak, oczywiście. Każdy z nas dał z siebie wszystko.

– Więcej nie zdziałałby chyba nikt, prawda? Jack, pracuję w tej branży od... od ilu? Od dwunastu lat. Czasem wszystko idzie zgodnie z planem. Czasem nie. Biorąc pod uwagę informacje, którymi dysponowaliśmy, i to, ilu nas było, nie mogliśmy zrobić nic więcej. Jest pan analitykiem, tak?

– Tak.

– Cóż, jak na urzędasza nieźle pan sobie poradził i na pewno nauczył się pan czegoś nowego. W tej pracy nie ma żadnych gwarancji. – King pociągnął ze szklaneczki. – Ja też się paskudnie czuję. Dwa lata temu straciłem w Moskwie agenta, młodego rosyjskiego kapitana.

Porządny facet. Żona, synek... Rozstrzelali go. Bóg wie, co zrobili z rodziną. Może zamknęli ich w obozie pracy albo zesłali na Syberię. Nie wiem. Nikt tego nie wie. Ludzie bez nazwisk, ludzie bez twarzy. Bezimienne ofiary.

– Prezydent jest wkurzony – powiedział Moore. Od rozmowy telefonicznej, którą odbył przed dziesięcioma minutami, wciąż piekło go prawe ucho.

– Aż tak źle? – spytał Greer.

– Aż tak. Chce wiedzieć, kto to zrobił i dlaczego, i to jeszcze przed lunchem.

– Nie damy rady – odrzekł Ritter.

437

– Tu jest telefon, Bob. Zadzwoń do niego i sam mu to powiedz. – Jak dotąd żaden z nich nie widział prezydenta w takim stanie. Woleli go wtedy unikać.

– A więc jednak Jack miał rację – rzucił Greer.

– Zgadł, i tyle – odrzekł Ritter. – Ale nie zdołał temu zapobiec.

– To zawsze coś, Arthurze – zauważył Greer z cichą nutką nadziei w głosie. – Możesz mu to powiedzieć.

– Prezydentowi? Niby tak. Teraz wszystko zależy od włoskich lekarzy.

– Wiemy coś konkretnego? Znamy jakieś szczegóły?

– Ciężka rana piersi. Nasz prezydent coś na ten temat wie. Poza tym dwie inne rany, ale mniej groźne.

– Zadzwoń do Charliego Weathersa z Harvardu i spytaj go o rokowania – zaproponował

Ritter.

– Prezydent rozmawiał już z chirurgami z Walter Reed. Są pełni nadziei, ale unikają jednoznacznej odpowiedzi.

– Jasne, na pewno mówią: „Gdybym to ja go operował, wszystko byłoby dobrze”. – Greer miał złe doświadczenia z wojskowymi lekarzami. Uważał, że piloci myśliwców to przy nich niewinne kwiatuszki.

– Zadzwonię do Basila i każę przewieźć tu Zajcewów, gdy tylko nasi przygotują samolot. Jeśli Ryan będzie wolny – w tej chwili powinien wracać do Londynu – chcę, żeby przyleciał z nimi.

– Po co? – spytał Ritter.

– Żeby przedstawił nam swoją analizę na temat zagrożeń poprzedzających tę tragedię.

Niewykluczone, że prezydent zechce porozmawiać z nim osobiście.

– Jezu Chryste, Arthurze! – Greer omal nie eksplodował. – Przecież dowiedzieliśmy się o tym cztery, pięć dni temu...

– Ale chcieliśmy najpierw go przesłuchać – dokończył za niego Moore. – Tak, James, wiem.

Ryan wysiadł z samolotu za Mickiem Kingiem. U stóp schodów czekał na nich facet wyglądający na pracownika Century House. Gapił się na Jacka.

– Doktor Ryan? Proszę ze mną. Zajmiemy się bagażem.

– Ale dokąd?

– Polecą pan śmigłowcem do bazy RAF-u w Mildenhall i...

– Po moim trupie. Śmigłowcem nigdzie nie polecę. Daleko to?

– Półtorej godziny jazdy.

– I dobrze. Załatwcie mi samochód. – Popatrzył na kolegów z Rzymu. – Dzięki, chłopcy

– powiedział. – Przynajmniej próbowaliśmy. – Sparrow, King i pozostali uścisnęli mu rękę.

Rzeczywiście próbowali, chociaż nikt nie miał się o tym nigdy dowiedzieć. Zastanawiał się 438

przez chwilę, co Sharp zrobi ze Strokowem, ale doszedł do wniosku, że King miał rację. Wołał o tym nie wiedzieć.

Baza Mildenhall leży na północ od Cambridge, siedziby jednego z najstarszych uniwersytetów świata, a kierowca jaguara miał gdzieś ograniczenia prędkości obowiązujące na angielskich drogach. Minęli posterunek pułku obrony terytorialnej i zamiast skręcić w stronę czekającego na pasie samolotu, skręcili w kierunku czegoś, co wyglądało jak poczekalnia dla ważnych osobistości. Tam ktoś wręczył mu długi teleks. Ryan czytał go co najmniej dwadzieścia sekund, a potem mruknął:

– Bomba.

Poszedł poszukać telefonu i zadzwonił do domu.

– Jack? – rzuciła Cathy, rozpoznawszy jego głos. – Gdzie ty, do diabła, jesteś? – Musiała ćwiczyć. Doktor Ryan zwykle tak nie mówiła.

– W Mildenhall. Lecę do Waszyngtonu.

– Po co?

– Skarbie, chcę cię o coś spytać: czy włoscy chirurdzy z tym sobie poradzą?

– Mówisz o... papieżu?

– Tak. – Znużony skinął głową, choć Cathy tego nie widziała.

– W każdym kraju są dobrzy lekarze... Jack, co się dzieje? Byłeś tam?

– Cath, stałem kilka metrów dalej, ale nie mogę ci nic więcej powiedzieć i proszę, żebyś nikomu tego nie powtarzała.

– Dobrze – odrzekła spiętym, sfrustrowanym głosem. – Kiedy wracasz?

– Myślę, że za dwa dni. Muszę porozmawiać z kimś w Langley i pewnie szybko mnie tu odeślą. Przepraszam, kochanie. Interesy. Więc co z tymi włoskimi chirurgami?

– Czułabym się lepiej, gdyby operował go Jack Crammer, ale tam też mają niezłych, w każdym większym mieście. Wydział Medycyny Uniwersytetu w Padwie jest jednym z najstarszych w świecie. Tamtejsi okuliści nie ustępują naszym. Chirurgów ogólnych też mają bardzo dobrych, ale najlepiej nadawałby się Jack. – John Michael Crammer był ordynatorem Wydziału Chirurgii u Hopkinsa, wybitnym, wielce utytułowanym specem od skalpela. Cathy dobrze go znała. Jack widział go tylko raz, na jakimś przyjęciu charytatywnym, i facet bardzo zaimponował mu dostojnym wyglądem, ale jako zwykły analityk nie potrafił ocenić jego zawodowych umiejętności. – Leczenie ran postrzałowych jest stosunkowo proste, chyba że kula naruszy wątrobę lub śledzionę. Najpoważniejszym problemem jest krwotok we-wnętrzny. Pamiętasz Sally po tym wypadku? Jeśli ranny trafi szybko do szpitala i jeśli mają tam dobrego chirurga, istnieje duża szansa, że wszystko będzie dobrze. Powtarzam, pod warunkiem, że pocisk nie naruszył wątroby czy śledziony. Widziałam to w telewizji. Na pewno nie trafił go w serce, nie ten kąt. Moim zdaniem, papież z tego wyjdzie. Szkoda, że nie jest młodszy, ale dobry zespół chirurgów potrafi zdziałać cuda. – Nie powiedziała mu, jak paskudne bywają tego rodzaju rany. Pocisk może zrykoszetować, odbić się od żeber i poszybować w zupełnie nieprzewidywalną stronę. Może rozpaść się na kawałki i dokonać straszliwych spustoszeń w kilku miejscach ciała. Na podstawie pięciosekundowej migawki 439

telewizyjnej nie sposób było postawić trafną diagnozę, nie wspominając już o leczeniu ran.

Twierdziła, że papież ma duże szansę, ale Jack widywał już na wyścigach konie, na które stawiano pięć do jednego – konie, które ostatecznie przegrywały.

– Dzięki, Cath. Kiedy wrócę, będę mógł powiedzieć ci więcej. Uściskaj ode mnie dzieci...

– Masz zmęczony głos.

– Bo lecę z nóg, skarbie. Mam za sobą dwa ciężkie dni. – I nic nie wskazywało na to, że kolejne będą spokojniejsze. – Na razie.

– Kocham cię, Jack.

– Ja ciebie też. Dzięki, że to powiedziałaś.

Na Zajcewów czekał ponad godzinę. Wojsko zaproponowało mu śmigłowiec, no i proszę: wszystko razem trwało sześćdziesiąt minut dłużej. Typowe. Usiadł na niewygodnej wersalce i zasnął.

Zajcewowie przyjechali samochodem. Jakiś sierżant obudził go i zaprowadził do stoją-

cego na pasie KC-135. Był to boeing 707, ale taki bez okien, przystosowany do tankowania maszyn w powietrzu. To, że samolot nie miał okien, nie podniosło go na duchu, ale cóż, rozkaz to rozkaz: wszedł schodami na pokład i usiadł w mięciutkim fotelu tuż przed prawym skrzydłem. Zaraz po starcie przysiadł się do niego Oleg Iwanowicz.

– Co się stało? – spytał.

– Złapaliśmy Strokowa. Dopadłem go z pistoletem w ręku. Ale to nie on strzelał.

– Strokowa? Aresztował go pan?

– Niezupełnie, ale namówiłem go na małą przejażdżkę do ambasady brytyjskiej. Jest pod opieką chłopców z wywiadu.

– A to swołocz – wysyczał Zajcew. – Mam nadzieję, że go zabiją.

Ryan nie odpowiedział, zastanawiając się, czy takie rozwiązanie wchodzi w rachubę.

Czy Anglicy potrafiliby zagrać tak twardo? Niewykluczone. Strokow popełnił okrutne morderstwo, w dodatku niedaleko Century House.

– Papież przeżyje? – Rosjanin pytał ze szczerym zainteresowaniem i nadzieją w głosie.

Może rzeczywiście należał do uciekinierów, którzy kierowali się sumieniem.

– Nie wiem, Oleg. Dzwoniłem do żony; jest chirurgiem. Powiedziała, że ma pięćdziesiąt procent szans.

– To dobrze. To już coś.

– No i? – spytał Andropow.

Stojący na baczność pułkownik Roźdiestwienski wyprostował się jeszcze bardziej.

– Towarzyszu przewodniczący, jak na razie za mało wiemy. Jak towarzysz wie, wynaję-

ty przez Strokowa człowiek oddał kilka strzałów i trafił cel w korpus. Z nieznanymi jak do-
tąd powodów Strokow go nie zlikwidował. Nasz rzymski rezydent próbuje ustalić dlaczego.

Śledztwem kieruje osobiście pułkownik Gordienko. Dowiemy się czegoś więcej, kiedy puł-

440

kownik Strokow wróci do Sofii. Jego samolot powinien wylądować o dziewiętnastej. Ale już teraz
wygląda na to, że odnieśliśmy częściowy sukces.

– Nie ma czegoś takiego jak częściowy sukces, pułkowniku! – warknął Andropow.

– Towarzyszu przewodniczący, mówiłem wam dwa tygodnie temu, że należy brać to pod uwagę.
Musicie pamiętać naszą rozmowę. Ale nawet jeśli papież przeżyje, na pewno nie wróci tak szybko
do Polski, prawda?

– Ano prawda – mruknął Andropow.

– I o to nam właśnie chodziło.

– *Nu da...* – przyznał przewodniczący KGB. – Z Rzymu nic jeszcze nie ma?

– Nie, towarzyszu. Musieliśmy zmienić oficera w centrum łączności i...

– Dlaczego? Co się stało?

– Kapitan Zajcew i jego rodzina zginęli w pożarze, w Budapeszcie. To on odpowiadał za wymianę
depech koordynujących operację 666.

– Dlaczego mnie o tym nie poinformowano?

– Towarzyszu przewodniczący – łagodził Roźdiestwienski – sprawa została dogłębnie zbadana.
Ciała przewieziono do Moskwy i natychmiast pogrzebano. Zajcewowie zatruli się dymem. Sekcję
zwłok przeprowadzono w obecności naszego lekarza.

– Jesteście tego pewni?

– Jeśli sobie tego życzyacie, dostarczę wam protokół – odrzekł z przekonaniem Roźdiestwienski. –

Osobiście go przeczytałem.

Andropow machnął ręką.

– Nie, nie trzeba. Zawiadomicie mnie, kiedy coś przyjdzie. I chcę być informowany o stanie zdrowia tego kłopotliwego Polaka.

– Rozkaz, towarzyszu. – Roźdiestwienski wyszedł, a Andropow zajął się innymi sprawami. Wiedział, że Breżniew coraz bardziej podupada na zdrowiu i że wkrótce trzeba bę-

dzie ustąpić ze stanowiska przewodniczącego Komitetu Bezpieczeństwa Państwowego, żeby zawalczyć o fotel u szczytu dębowego stołu. To było w tej chwili najważniejsze. Poza tym Roźdiestwienski miał rację. Nawet jeśli papież przeżyje, przez wiele miesięcy nie będzie sprawiał Rosji kłopotów. To na razie wystarczyło.

– Jak poszło, Arthurze?

Moore właśnie wrócił z Białego Domu.

– Trochę się uspokoił. Opowiedziałem mu o operacji „Beatrix”, że byli tam Anglicy i nasi ludzie. Chce poznać Zajcewa. Wciąż jest wkurzony, ale przynajmniej nie na nas.

– Brytyjczycy zatrzymali tego Strokowa – zameldował admirał Greer; przed kilkoma minutami otrzymał wiadomość z Londynu. – Uwierzysz, że to Ryan go złapał? Anglicy trzymają go w ambasadzie. Basil zastanawia się, co z nim zrobić. Założenie jest takie, że Strokow wynajął jakiegoś tureckiego bandziora. Schwyтали go z wytłumionym pistoletem w 441

rękę. Pewnie miał zastrzelić go zaraz po zamachu, jak ci z nowojorskiej mafii jakiś czas temu.

Żeby odsunąć podejrzenia od Rosjan.

– I twój chłopak go złapał?

– Był tam z zespołem doświadczonych agentów, pewnie dlatego – mruknął Ritter. – No i cóż, ostatecznie służył kiedyś w piechocie morskiej. Tak, tak, twój złotowłosy geniusz dostanie kolejną pochwałę.

Tylko nie odgryź sobie języka, chłopie, pomyślał Greer.

– Gdzie oni teraz są?

– W połowie drogi – odrzekł Ritter. – Lecą KC-135. O jedenastej czterdzieści lądują w Andrews.

Z przodu maszyny były okna i Ryan stwierdził, że członkowie załogi są całkiem przyjacielscy. Pogadał z nimi o baseballu i zaskoczony dowiedział się, że Oriolesi muszą wygrać tylko jeszcze jeden mecz, żeby wykończyć filadelfijczyków. Piloci nie pytali go ani kogo wiozą, ani po co. Robili to nie pierwszy raz, poza tym i tak nic by im nie powiedział. Zajcewowie spali jak zabici i Jack bardzo im zazdrościł.

– Daleko jeszcze?

– Tam jest Labrador. – Kapitan wskazał ręką okno. – Jeszcze trzy godziny i będziemy nad starym lądem. Może się pan trochę zdrzemnie?

– Nie mogę – wyznał Jack. – W samolocie nigdy nie śpię.

– Spokojnie – odrzekł drugi pilot – nie pan jeden. My też nie śpimy. – Po namyśle Ryan stwierdził, że to pocieszające.

Tymczasem sir Basil Charleston był właśnie na spotkaniu z panią premier. Ani amerykańscy, ani angielscy dziennikarze nigdy nie spekulują – przynajmniej oficjalnie – kiedy i dlaczego szefowie takich czy innych służb wywiadowczych odbywają narady ze swoimi politycznymi zwierzchnikami.

– Proszę mi opowiedzieć o tym Strokowie.

– To niezbyt miły jegomość – odrzekł sir Basil. – Uważamy, że przyszedł na plac, żeby zlikwidować zamachowca. Miał przy sobie pistolet z tłumikiem. Wygląda na to, że chcieli zabić i papieża, i jego mordercę. Martwi milczą. Ale on na pewno nam coś powie. W tej chwili przesłuchuje go włoska policja. Jest tureckim nacjonalistą. Gwarantuję, że ma bogatą przeszłość kryminalną i równie bogate doświadczenie w przemyśle towarów do Bułgarii.

– A więc to Rosjanie za tym stoją? – spytała pani premier.

– Tak, jesteśmy tego absolutnie pewni. Tom Sharp rozmawia z nim teraz w Rzymie. Zobaczymy, czy i jak bardzo jest lojalny wobec swoich mocodawców.

– Co z nim zrobimy? – spytała pani premier. Odpowiedź miała formę innego pytania, na które musiała teraz odpowiedzieć. I odpowiedziała.

Strokovowi nie przyszło do głowy, że gdy Sharp wymienił nazwiska Aleksieja Nikołajewicza Roźdiestwienskigo i Ilji Fiodorowicza Bubowoja, jego los został ostatecznie przesą-

dzony. Oszupiały, po prostu nie mógł uwierzyć, że agenci brytyjskiego wywiadu tak dokładnie spenetrowali KGB. Sharp nie widział powodu, żeby wyprowadzać go z błędu. Zbyt zaszokowany, żeby inteligentnie myśleć, pułkownik zapomniał o swoim wyszkoleniu i zaczął śpiewać. Jego duet z Sharpem trwał dwie i pół godziny i został uwieczniony na taśmie magnetofonowej.

Umysłem Ryana sterował chyba autopilot podobny do tego, który sterował olbrzymim boeingiem, gdy ten siadał na pasie startowym zero-jeden w bazie lotniczej Andrews. Jak długo był na nogach? Od dwudziestu dwóch godzin? Coś koło tego. Zniósłby to o wiele łatwiej jako podporucznik piechoty morskiej (wiek: dwadzieścia dwa lata) niż jako żonaty ojciec dwójki dzieci (lat trzydzieści dwa), który miał za sobą ciężki dzień. Poza tym był lekko wstawiony.

U stóp schodów czekały dwa samochody; Andrews nie dorobiło się jeszcze rękawa dla pasażerów. On wsiadł z Zajcewem do pierwszego, Irina i Swietłana do drugiego. Dwie minuty później byli już na Suitland Parkway, w drodze do miasta. Ryan objaśniał, co akurat mijali. Zajcew wyzbył się już podejrzeń, jakie ogarnęły go przed lądowaniem w Anglii, kiedy to myślał, że KGB zorganizowało dla niego wielką maskirowkę, a jeśli jeszcze jakieś miał, przejazd przed Kapitołem ostatecznie go od nich uwolnił, bo nawet sam George Lucas nie potrafiłby stworzyć tak realistycznej scenografii. Przejechali na drugi brzeg Potomacu, skrę-

cili w George Washington Parkway i wkrótce znaleźli się w Langley.

– A więc to jest siedziba głównego przeciwnika... – wymamrotał Zajcew.

– Dla mnie to po prostu miejsce, gdzie kiedyś pracowałem.

– Kiedyś?

– Nie mówiłem panu? Oddelegowali mnie do Anglii.

Cały zespół śledczy czekał przed głównym wejściem. Ryan znał tylko jednego z nich, Marka Radnera, rusycystę z Dartmouth, który lubił współpracować z CIA, ale tylko od czasu do czasu, a już na pewno nie na cały etat. Dopiero teraz Jack zrozumiał dlaczego. Gdy stanę-

li, wysiadł i podszedł do Greera.

– Masz za sobą parę ciężkich dni, chłopcze.

– Owszem, panie admirale, nie przeczę.

– Jak było w Rzymie?

– Najpierw proszę mi opowiedzieć o papieżu – odparował Ryan.

– Przeszedł już operację. Jest w stanie krytycznym, ale Charlie Weathers z Harvardu twierdzi, że nie ma powodu do obaw. Tym stanem określa się wszystkich pooperacyjnych pacjentów w jego wieku; pewnie po to, żeby podbić im rachunek za leczenie. Jeśli nie będzie żadnych komplikacji, na pewno z tego wyjdzie. Charlie mówi, że Włosi mają dobrych chirurgów. Za trzy, cztery tygodnie Jego Świątobliwość powinien być już w domu. Nie chcą się za bardzo spieszyć, sam rozumiesz.

443

– Dzięki Bogu. Wie pan, kiedy dopadłem tego Strokowa, myślałem, że już po sprawie. I wtedy padły strzały. Chryste, co to była za chwila!

Greer kiwnął głową.

– Wyobrażam sobie. Ale tym razem ci dobrzy wygrali. Aha, a propos. Oriolesi też wygrali. Mecz skończył się dwadzieścia minut temu. Ten wasz Ripken daleko zajdzie.

– Ryan! – Podeszedł do nich sędzia Moore. – Dobra robota, synu. – Kolejny uścisk ręki.

– Dziękuję, panie dyrektorze.

– Pięknie, Ryan, pięknie. – To z kolei Ritter. – Na pewno nie chcesz przejść kursu na Farmie? – To dziwne, ale uściśnił mu dłoń z wyjątkową serdecznością. Musiał chlapnąć sobie kielicha w gabinecie, doszedł do wniosku Jack.

– Panie dyrektorze, w tej chwili czuję się tak, że najchętniej wróciłbym do nauczania historii.

– Ale u nas jest dużo zabawniej, chłopcze. Pamiętaj o tym.

Wszyscy weszli do środka, mijając po drodze tablicę upamiętniającą wciąż anonimowych agentów, którzy oddali życie w służbie za ojczyznę, a potem skręcili do wind. Zajcewów poprowadzono w przeciwną stronę. Na piątym piętrze znajdowały się apartamenty dla ważnych gości oraz dla agentów terenowych przybywających zza oceanu i wyglądało na to, że dyrekcja CIA chce ich tam ulokować. Ryana zaproszono do gabinetu sędziego.

– Dobry jest ten Zajcew? – spytał Moore.

– Cóż, przekazał nam wiarygodne i już niestety sprawdzone informacje o papieżu – odparł trochę zaskoczony Jack. – Anglicy też są z niego zadowoleni. Podał im namiary tego Ministra. Ale mnie najbardziej ciekawi, kim jest Kassjusz.

– I Neptun – dodał Greer. Żeby przetrwać we współczesnym świecie, amerykańska marynarka wojenna potrzebowała stuprocentowo pewnych środków łączności, a James Greer wciąż przechowywał mundur w domowej szafie.

– A inne wrażenia? – To znowu Moore.

– Czy ktoś kiedyś pomyślał – odrzekł Ryan – że Rosjanie muszą być piekielnie zdesperowani? To znaczy, tak, oczywiście, papież był dla nich – mam nadzieję, że wciąż jest – politycznym zagrożeniem, ale do diabła, przecież to nie była racjonalnie umotywowana decyzja, prawda? Moim zdaniem są bardziej zdesperowani, niż przypuszczamy. Powinniśmy to zbadać. – Alkohol i zmęczenie rozwiązało mu język, a rozmyślał o tej sprawie już od dwunastu godzin.

– Jak? – spytał Ritter, przypomniawszy sobie, że Ryan jest specem od gospodarki.

– Jedno wiem na pewno: Kościół katolicki się z tego nie ucieszy. Na Wschodzie mieszka mnóstwo katolików. I właśnie ich powinniśmy wykorzystać. Jeśli tylko inteligentnie pogra-my z Kościołem, Watykan może pójść z nami na współpracę. Owszem, księża odpuszczają grzechy, ale najpierw trzeba się z nich wypowiedzieć.

Moore uniósł brew.

Jack spojrzał na swego bezpośredniego przełożonego.

444

– Analizowałem też stan ich gospodarki, panie admirale. Jest chwiejna. Bardziej chwiejna, niż sądzimy.

– To znaczy?

– Panie dyrektorze, materiały, które analizują nasi chłopcy, to oficjalne materiały z Moskwy, tak?

– Tak – potwierdził sędzia. – Ciężko pracujemy, żeby je zdobyć.

– Skąd pewność, że są prawdziwe? – drażył Ryan. – Tylko stąd, że otrzymują je członkowie Biura Politycznego? Wiemy, że Rosjanie nas okłamują, że okłamują własny naród.

Dlaczego nie mieliby okłamywać samych siebie? Gdybym był rewidentem giełdowym, mógłbym wsadzić do pudła mnóstwo ludzi. To, co twierdzą Rosjanie w oficjalnych dokumentach, ma się nijak do tego, co, zdaniem moim i moich kolegów-analityków, tak naprawdę się u nich dzieje. Ich gospodarka podupada. Jeszcze trochę, jeszcze troszeczkę i runie jak domek z kart.

– Jak można by to wykorzystać? – spytał Ritter. Nie dalej jak przed czterema dniami jego analitycy powiedzieli mu to samo, lecz nie wiedział o tym nawet sędzia Moore.

– Skąd Rosjanie biorą twardą walutę?

- Eksportują ropę – odrzekł Greer. Rzeczywiście, eksportowali jej prawie tyle samo co Saudyjczycy.
- Kto kontroluje ceny ropy naftowej?
- OPEC?
- A kto ma największe wpływy w OPEC?
- Saudyjczycy.
- A czy Saudyjczycy nie są przypadkiem naszymi przyjaciółmi? – kontynuował Jack. –

Trzeba spojrzeć na Związek Radziecki jak na firmę do przejęcia. Jej aktywa są warte o wiele więcej niż sama firma, ponieważ szefostwo źle nią zarządza. To przecież bardzo proste. Nawet dla faceta, który właśnie przeleciał osiem tysięcy kilometrów i ma za sobą koszmarny dzień; tego, rzecz jasna, nie dodał. W CIA pracowało mnóstwo inteligentnych ludzi, ale większość z nich myślała jak typowi urzędnicy, a nie jak zwykli Amerykanie. – Czyżbyśmy nie mieli tu nikogo, kto potrafi myśleć nieszablonowo?

– Bob? – rzucił Moore.

Z każdą sekundą Ritter darzył Ryana coraz większą sympatią. – Jack, czytał pan Edgara Allana Poeego?

– W ogólniaku – odrzekł lekko skonsternowany Ryan.

– *Maskę szkarłatnej śmierci* też?

– Tak. To opowiadanie o zarazie, która nawiedza gości jakiegoś balu czy przyjęcia.

– Niech pan teraz odpocznie. Przed powrotem do Londynu w coś pana wprowadzę.

– Tak, odpoczynek dobrze mi zrobi. Czy mam gdzie spać? – spytał na wypadek, gdyby tamci nie domyślili się jeszcze, że leci z nóg.

445

– Zarezerwowaliśmy dla ciebie pokój w Marriotcie – odrzekł Moore. – Przed wejściem czeka samochód. Idź, synu, idź.

– Może on wcale nie jest taki głupi – myślał na głos Ritter.

– Robercie, miło jest widzieć, że jesteś silny i potrafisz zmienić zdanie – rzekł z uśmiechem Greer,

sięgając po butelkę wyjątkowo drogiego i wyjątkowo dobrego bourbona, które-go sędzia Moore nabył za własne pieniądze. Nadeszła pora to oblać.

Nazajutrz w „Il Tempo”, porannej rzymskiej gazecie, można było przeczytać, że w samochodzie znaleziono martwego mężczyznę, który zmarł – przypuszczalnie – na atak serca.

Identyfikacja zwłok trochę trwała i gdy w końcu ustalono jego tożsamość, okazało się, że był bułgarskim turystą, którego życie nieoczekiwanie dobiegło końca. Niestety, lekarzom nie udało się dociec, czy i jak czyste miał sumienie.

446

PODZIĘKOWANIA

Leonartowi, Joni i Andy’emu za błyskawiczny kurs przemytniczy i za to, że trzymali mnie za rękę za żelazną kurtyną.

I oczywiście Aleksowi za to, że przez cały czas trzymał mnie za drugą rękę.

Tomowi i chłopakom z Tower i pałacu Jej Królewskiej Mości. Trudno o dzielniejszych żołnierzy. Spotkanie z nimi to rzadka przyjemność.

Urzędnikom ambasady Stanów Zjednoczonych w Budapeszcie za to, że tak mile mnie przyjęli, chociaż zjawiłem się bez zapowiedzi.

Michaelowi, Melissie, Gilbertowi i komandorowi porucznikowi Marshy’emu za ich niezwykły profesjonalizm.

447